

The background is a dark, starry night sky. On the left, a tree with a blue, icy trunk and branches is decorated with holly leaves and red berries. On the right, a tree with a golden, glowing trunk and branches is also decorated with holly leaves and red berries. A full moon is visible in the upper left corner. In the center, a small, colorful house with a red roof and a chimney is nestled between the trees. The title 'Zima czarownicy' is written in a light blue, cursive font, and the author's name 'Katherine Arden' is written in a yellow, cursive font. The text is surrounded by small, yellow, star-like symbols.

Zima czarownicy

Powieść autorki bestsellerów
Niedźwiedź i słowik,
Dziewczyna z wieży

Katherine Arden

Katherine Arden

*Zima
czarownicy*



przełożyła Katarzyna Bińkowska



MUZA

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Tytuł oryginału: *The Winter of the Witch*

Projekt okładki: www.headdesign.co.uk

Redaktor prowadzący: *Ewa Orzeszek-Szmytko*

Redakcja: *Beata Słama*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Lilianna Mieszczńska*

© 2019 by Katherine Arden. All rights reserved

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2020

© for the Polish translation by Katarzyna Bieńkowska

ISBN 978-83-287-1349-9

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2020

Dla moich braci,
tego rodzonego i tych przybranych:
Sterling, RJ, Garrett,
kocham Was

*Piękne są we mgle morskie fale,
Kiedy się z nieba błysk wynurzy,
Wierz mi, piękniejsze na tej skale
Dziewczę – od nieba, fal i burzy.*

A.S. Puszkina, *Burza*
przełożył Adam Ważyk

Spis treści

Część pierwsza

1. Maria Moriewna
2. Porachunki
3. Słowik
4. Los wszystkich czarownic

Część druga

5. Kuszenie
6. Ani kości, ani ciała
7. Potwór
8. Między miastem a złem

Część trzecia

9. Wędrowka przez Północ
10. Diabeł w piecu
11. O grzybach
12. Targi
13. Baba Jaga
14. Wodnik
15. Dalsze, dziwniejsze krainy
16. Kajdany króla zimy
17. Pamięć
18. Na grzbietach czarodziejskich koni

Część czwarta

19. Sprzymierzeńcy
 20. Złota uzda
 21. Wróg u bram
 22. Księżna i wojownik
 23. Wiara i strach
- Część piąta
24. Zakręty
 25. Droga przez ciemność
 26. Złota Orda
 27. Oleg Rianzański
 28. Pożoga
 29. Między zimą a wiosną
 30. Wróg mojego wroga
 31. Cała Ruś
 32. Kulikowe Pole
 33. Na progu zimy
 34. Niosący światło
 35. Gwiazdzista droga
 36. Armia trojga
 37. Woda śmierci, woda życia
- Od autorki
- Rodowód Wasilisy Pietrowny
- Podziękowania



Część pierwsza





1.

Maria Moriewna

O zmierzchu pod koniec zimy dwóch mężczyzn przemierzało dziedziniec naznaczonego pożarem pałacu. Zapadali się po kostki w pokrywającą ziemię breję roztopionego śniegu i błota. Rozmawiali jednak z ożywieniem, pochylając ku sobie głowy i nie zważając na wilgoć. Za nimi wznosił się pałac pełen połamanych mebli, dymu, z roztrzaskaną osłoną schodów. Przed nimi znajdowała się zwęglona ruina, która kiedyś była stajnią.

– Czelibej wymknął się w zamieszaniu – powiedział z goryczą pierwszy z mężczyzn. – Byliśmy pochłonięci ratowaniem własnej skóry. – Policzek miał czarny od sadzy, w jego brodzie zakrzepła krew. Szpecące worki pod szarymi oczami przypominały sine odciski kciuka. Młody, o wysklepionej piersi i osobliwej aurze kogoś, kto przekroczył znużenie i przeszedł w stan nadrealnej uporczywej czujności. Odprowadzały go spojrzenia wszystkich obecnych na dziedzińcu. Był Wielkim Księciem Moskiewskim.

– Nie tylko skóry – zauważył drugi, mnich, z nutą czarnego humoru. Ponieważ wbrew wszelkiej nadziei miasto pozostało w większości nietknięte i wciąż należało do nich. Poprzedniej nocy niewiele brakowało, a Wielki Książę zostałby zdetronizowany i zamordowany, choć prawie nikt o tym nie wiedział. Jego miasto omal nie spaliło się na popiół, ocaliła je cudem nagła śnieżycą. To wiedzieli wszyscy. Serce miasta przecinała czarna smuga, jakby w nocy spadła nań karząca ogniem ręka Boga.

– To nie wystarczy – odparł Wielki Książę. – Może zdołaliśmy się uratować, ale nie rozprawiliśmy się ze zdrajcami. – W ciągu całego tego ciężkiego dnia miał słowa otuchy dla każdego, na kogo tylko padł jego wzrok, spokojnie wydawał rozkazy ludziom zaganiającym ocalałe konie i wynoszącym ze stajni zwęglone belki. Mnich jednak dobrze go znał i widział wyczerpanie i wściekłość kryjące się pod pozorami opanowania. – Wyruszam jutro z tyłoma ludźmi, ilu będzie mogło mi towarzyszyć – oznajmił. – Znajdziemy Tatarów i wytniemy ich w pień.

– Chcesz opuścić teraz Moskwę, Dymitrze Iwanowiczu? – spytał mnich z pewnym niepokojem.

Dzień i noc bez snu nie złagodziły wybuchowego usposobienia Dymitra.

– Zamierzasz mi się sprzeciwić, bracie Aleksandrze? – Ton głosu księcia sprawił, że bojarzy z jego orszaku się wzdrygnęli.

– Miasto bez ciebie nie da sobie rady. Trzeba pożegnać umarłych, zabezpieczyć dotknięte ogniem spichlerze, zwierzęta i magazyny. Zemsta nie nakarmi głodnych dzieci, Dymitrze Iwanowiczu. – Mnich nie spał ani chwili dłużej niż Wielki Książę i nie zdołał złagodzić ostrego tonu swoich słów. Lewą rękę miał owiniętą w płótno – strzała przebiła mięsień poniżej barku, a potem musiała zostać wyciągnięta.

– Tatarzy zaatakowali mnie w moim własnym pałacu, i to po tym, gdy przyjąłem ich w dobrej wierze – odparował Dymitr, nawet nie próbując powściągnąć złości. – Spiskowali z uzurpatorem, podpalili moje miasto! Mam im to wszystko puścić płazem, bracie?

W rzeczywistości to nie Tatarzy podpalili miasto, lecz tego brat Aleksander nie powiedział. Uznał, że tamten błąd lepiej wymazać z pamięci, już i tak nie da się go naprawić.

– Czyż twoja siostra nie urodziła w tym chaosie martwego dziecka? – dodał chłodno Wielki Książę. – Dziecko nie żyje, część miasta obróciła się w popiół... Jeśli sprawiedliwości nie stanie się zadość, ludzie zaczną się burzyć.

– Żadna ilość przelanej krwi nie przywróci do życia dziecka mojej siostry – powiedział Sasza ostrzej, niż zamierzał. Wciąż miał przed oczami żalobę siostry bez jednej łzy, gorszą niż głośny lament.

Dymitr położył dłoń na rękojeści miecza.

– Będziesz teraz prawil mi kazania?

Sasza usłyszał w głosie księcia zabliznioną, lecz nieuleczoną urazę.

– Nie będę – odparł.

Dymitr z pewnym wysiłkiem puścił splecione węże na rękojeści miecza.

– Jak zamierzasz znaleźć Tatarów Czelibeja? – Sasza próbował przemówić księciu do rozsądku. – Już raz ich ścigałeś i przez dwa tygodnie nie natrafiłeś na żaden trop, a to było w środku zimy, kiedy łatwo zobaczyć ślady na śniegu.

– Ale w końcu ich znaleźliśmy – przypomniał Dymitr, mrużąc szare oczy. – Czy twoja młodsza siostra przeżyła noc?

– Tak – odrzekł Sasza ostrożnie. – Olga twierdzi, że ma poparzoną twarz i złamane zebro, ale żyje.

Dymitr sposepniał. Jeden z mężczyzn sprzątających zrujnowaną stajnię upuścił koniec złamanej belki i zaklął.

– Gdyby nie ona, nie dotarłbym do ciebie na czas – przemówił Sasza do ponurego profilu kuzyna. – Jej krew ocaliła twój tron.

– Ocaliła go krew wielu ludzi – warknął Dymitr, nie odwracając głowy. – To kłamczucha, która zmusiła do oszustwa ciebie, najbardziej prawego z ludzi.

Sasza milczał.

– Zapytaj ją. – Dymitr odwrócił się w jego stronę. – Zapytaj, jak tego dokonała, jak znalazła Tatarów. Nie tylko dzięki bystremu wzrokowi, mam mnóstwo bystrookich wojów. Zapytaj, jak tego dokonała, a zostanie za to nagrodzona. Nie sądzę, by którykolwiek Moskwianin się z nią ożenił, ale może dałoby się przekonać jakiegoś wiejskiego bojara. A może odpowiednia ilość złota skłoniłaby któryś klasztor, by ją przyjął? – Dymitr

mówił coraz szybciej i szybciej, minę miał niepewną, słowa wprost się z niego wylewały: – Mogłaby też zostać odesłana bezpiecznie do domu albo zamieszkać w teremie z siostrą. Zatroszczę się o to, by miała dość złota, aby wygodnie żyć. Zapytaj ją, jak tego dokonała, a ja już zadbam o wszystko.

Sasza wpatrywał się w niego, a na usta cisnęły mu się słowa, których nie mógł wypowiedzieć: „Wczoraj uratowała ci życie, zgładziła złego czarownika, podpaliła Moskwę i ją ocaliła, a wszystko to w ciągu jednej nocy. Sądzisz, że zgodzi się zniknąć za cenę posagu... za jakąkolwiek cenę? Czy ty w ogóle znasz moją siostrę?”.

Dymitr oczywiście jej nie znał. Znał tylko Wasilija Pietrowicza, chłopca, którego udawała. Są jedną i tą samą osobą. W głębi ducha Dymitr z pewnością zdawał sobie z tego sprawę, zdradzało go zakłopotanie.

Sasza uniknął odpowiedzi, bo od strony stajni dobiegły krzyki. Dymitr odwrócił się z ulgą.

– Chodźmy. – Ruszył zamaszystym krokiem, a Sasza z posępną miną podążył za nim.

W miejscu, gdzie skrzyżowały się dwa zwęglone dźwigary, zbierał się tłum.

– Cofnąć się! Matko Boska, jesteście jak owce na pastwisku! O co chodzi? – Na dźwięk stali w głosie Wielkiego Księcia ludzie się rozstąpili.
– No więc?

– Tam, *gosudar* – odważył się odezwać jeden z mężczyzn i wskazał wyrwę między dwoma przewróconymi słupkami. Ktoś skierował w tamtą stronę światło pochodni. Płomień odbiło coś lśniącego leżącego na ziemi. Wielki Książę i jego kuzyn wpatrywali się w ten dziwny blask oszołomieni i z niedowierzaniem.

– Złoto? – zdumiał się Dymitr. – Tutaj?

– Z pewnością nie – odparł Sasza. – Stopiłoby się.

Trzech mężczyzn odsuwało już belki przygniatające lśniący przedmiot do ziemi. Czwarty wyszarpnął go i podał Wielkiemu Księżciu.

To było złoto, znakomite i niestopione. Wykuto z niego dziwnie połączone ciężkie ogniwa i pręty. Metal miał oleisty połysk, rzucał migoczący biało i czerwono blask na twarze stojących w kręgu ludzi. Sasza poczuł niepokój.

Dymitr obracał przedmiot w dłoniach, aż wreszcie mruknął: „A!”. Przekręcił znalezisko i teraz widać było, że trzyma ogłowie, a na jego nadgarstki opadają cugle.

– Widziałem je już. – Oczy Dymitra pały. Złoto było bardzo mile widziane przez księcia, którego fundusze uszczuplili bandyci i ogień.

– Kasjan Lutowicz założył je wczoraj swojej klaczy – powiedział Sasza, niechętnie przypominając sobie tamten dzień. Spojrzał z odrazą na kolczaste wędzidło. – Nie winiłbym jej, gdyby zrzuciła tak brutalnego jeźdźca.

– Cóż, uznam to za łup wojenny – oznajmił Dymitr. – Szkoda, że ta piękna klaczka zniknęła. Przekłęci złodzieje koni z tych Tatarów. Gorący posiłek i wino dla was wszystkich, doskonale się spisaliście. – Jego ludzie odpowiedzieli radosnymi okrzykami. Dymitr oddał ogłowie zarządcy.

Oczyścić je – polecił. – I pokaż mojej żonie. Może poprawi jej humor. A potem zamknij to złoto w bezpiecznym miejscu.

– Czy to nie dziwne – zaczął Sasza nieufnie, kiedy zarządca, skłoniwszy z szacunkiem głowę, odszedł ze złotym ogłowiem – że to złoto leżało w płonącej stajni, a jednak nie doznało żadnego uszczerbku?

– Nie. – Dymitr zgromił go wzrokiem. – Wcale nie dziwne. To kolejny cud po tamtej niespodziewanej śnieżycy, która nas uratowała. I każdemu, kto zapyta, tak właśnie odpowiedz. Bóg ocalił to złoto, bo wiedział, w jak wielkiej byliśmy potrzebie. – Różnica między niesamowitościami przydarzającymi się dobrym i złym jest równie niepewna jak plotka, i Dymitr dobrze o tym wiedział. – Złoto to złoto. A teraz, bracie... – umilkł nagle. Sasza znieruchomiał z przechyloną głową.

– Co to za hałas?

W mieście, za pałacowym murem, narastał nieokreślony pomruk: szum i huk, niczym woda rozbijająca się o skalisty brzeg. Dymitr zmarszczył czoło.

– To brzmi jak...

Krzyk wartownika nie pozwolił mu dokończyć.

Nieco niżej na zboczu kremłowskiego wzgórza zmierzch zapadł wcześniej, a zimne i gęste cienie spowijały inny pałac, mniejszy i cichszy. Ogień właściwie go nie tknął, nie licząc drobnych śladów od zabłąkanych iskier.

W całej Moskwie wrzało od plotek, szlochów, przekleństw, sporów i pytań, tutaj jednak panował kruchy spokój. Lampy były zapalone, służący zebrali, co tylko się dało, by pomóc w potrzebie tym, którzy ucierpieli w pożarze. Konie drzemały w stajni, z kominów piekarni, kuchni, browarni i samego pałacu unosiły się cienkie smużki dymu.

Twórczynią tego spokoju była jedna kobieta. Siedziała w komnacie do robótek wyprostowana, nienaganna, uderzająco blada. Po obu stronach jej ust widniały głębokie bruzdy, oznaki napięcia, chociaż nie miała jeszcze trzydziestki. Cienie pod jej oczami były tak ciemne, jak te pod oczami Dymitra. Minionego wieczoru urodziła w łaźni trzecie dziecko – martwe. W tym samym czasie jej pierworodna córka została porwana i tej koszmarnej nocy omal nie zginęła.

Mimo tych wszystkich przeżyć Olga Władimirowa nie chciała odpocząć. Zbyt dużo było do zrobienia. Gdy tak siedziała przy piecu, płynął do niej nieprzerwany strumień ludzi: zarządca i kucharka, cieśla, piekarz i praczka... Każde z nich odchodziło z jakimś zadaniem i paroma słowami podziękowania.

Gdy w tej krzątaninie nastąpiła chwilowa przerwa, Olga zgarbiła się na krześle i objęła rękami brzuch, w którym jeszcze niedawno było jej

nienarodzone dziecko. Przed wieloma godzinami odprawiła pozostałe kobiety, spały teraz na wyższym piętrze teremu, odpoczywając po niedawnych wstrząsach, lecz jedna osoba wciąż przy niej trwała.

– Powinnaś się położyć, Olu. W pałacu dadzą sobie radę bez ciebie. –
Dziewczyna, która to mówiła, siedziała sztywna i czujna na ławie przy piecu. Tak jak dumna księżna sierpuchowska miała długie czarne włosy zaplecione w warkocze grube jak nadgarstki i rysy twarzy o trudnym do uchwycenia podobieństwie. Księżna była jednak delikatna, a dziewczyna wysoka, o długich palcach i wielkich wyrazistych oczach w grubo ciosanej twarzy.

– Naprawdę powinnaś – podchwyciła inna kobieta, wchodząc do komnaty z chlebem i kapuśniakiem. Był wielki post, nie jadano więc tłustego mięsiwa. Nowo przybyła wyglądała na równie znużoną jak księżna i jej towarzyszka. Warkocz miała żółty, lekko przetykany siwizną, oczy duże, jasne i bystre. – Dom jest zabezpieczony na noc. Posilcie się. –
Zacząła energicznie nalewać zupę do misek. – A potem kładźcie do łóżek.

– Dom jest bezpieczny – Olga była tak zmęczona, że mówiła bardzo wolno – ale co z miastem? Sądzisz, że Dymitr Iwanowicz albo jego nieszczęsna głupia żona rozsyłają służbę z chlebem, by nakarmić dzieci osierocone tej nocy?

Dziewczyna siedząca na ławie pod piecem zbladła i wbiła zęby w dolną wargę.

– Jestem pewna, że Dymitr Iwanowicz robi sprytne plany, by zemścić się na Tatarach, a ci, którzy ucierpieli w pożarze, będą musieli poczekać. Ale to jeszcze nie znaczy... – nie dokończyła, bo przerwał jej paniczny krzyk dobiegający z góry, a potem czyjeś szybkie kroki. Kobiety z identycznym wyrazem twarzy wbiły wzrok w drzwi. Co teraz?

Do komnaty wpadła roztrzęsiona niania. Za nią przydreptały dwie zasapane dwórki.

– Masza... Masza... zniknęła – wydyszała.

Olga natychmiast poderwała się na nogi. Masza – Maria – była jej jedyną córką, tą, która została porwana z łóżka ubiegłej nocy.

– Wezwijcie strażę – rozkazała.

Młodsza dziewczyna przechyliła głowę, jakby nasłuchując.

– Nie – powiedziała. Wszystkie głowy w komnacie odwróciły się gwałtownie. Dwórki i niania wymieniły mroczne spojrzenia. – Ona wyszła na zewnątrz.

– W takim razie... – zaczęła Olga, ale dziewczyna jej przerwała:

– Wiem, gdzie jest. Pozwól, że po nią pójdę.

Olga obrzuciła dziewczynę przeciągłym spojrzeniem, które tamta odwzajemniła bez mrugnięcia. Jeszcze poprzedniego dnia Olga powiedziałaby, że nigdy nie powierzyłaby swojej szalonej siostrze żadnego ze swoich dzieci.

– Dokąd? – spytała tylko.

– Do stajni.

– Dobrze. Tylko, Wasiu, proszę przyprowadź Maszę, zanim lampy się zapalą. A jeśli jej tam nie będzie, natychmiast mnie zawiadom.

Dziewczyna ze skruszoną miną kiwnęła głową i wstała z ławy. Dopiero kiedy zaczęła iść, okazało się, że pochyła się w jedną stronę. Miała złamane żebro.

Wasilisa Pietrowna znalazła Maszę tam, gdzie spodziewała się ją znaleźć – zwiniętą w kłębek i śpiącą smacznie na słomie w stajennym boksie gniadego ogiera. Drzwi boksu były otwarte, chociaż ogier nie został uwiązany. Wasia weszła do środka, nie obudziła jednak dziewczynki. Oparła się o łopatkę wielkiego konia i przytuliła policzek do jego jedwabistej skóry.

Gniadosz wykręcił głowę i zaczął zawzięcie obwąchiwać jej kieszenie. Wasia uśmiechnęła się, właściwie po raz pierwszy w ciągu tego długiego

dnia, wyciągnęła z rękawa skórkę chleba i podała koniowi.

– Olga nie chce odpocząć – powiedziała. – Zawstydzta nas wszystkich.

– Ty też nie odpoczęłaś – zauważył koń, chuchając jej w twarz ciepłym oddechem.

Wasia wzdrygnęła się i odepchnęła koński łeb. Od gorącego oddechu gniadosza bolały ją poparzenia na głowie i policzku.

– Nie zasługuję na odpoczynek. To ja wywołałam pożar i muszę jakoś naprawić wyrządzone szkody.

– Nie – zaprotestował Słowik, tupiąc nogą. – To Żar-Ptak spowodował pożar, chociaż powinnaś była mnie posłuchać, zanim go uwolniłaś. Klacz była zupełnie oszalała po tylu latach niewoli.

– Skąd ona się wzięła? – zastanawiała się Wasia. – W jaki sposób akurat Kasjan zdołał okiełznać takie stworzenie?

Słowik wydawał się zakłopotany. Strzygł nerwowo uszami i smagał się ogonem po bokach.

– Nie wiem, jak to się stało. Pamiętam, że ktoś krzyczał, a ktoś płakał. Pamiętam skrzydła i krew w błękitnej wodzie. – Tupnął i potrząsnął grzywą. – Nic więcej.

Wyglądał tak żałośnie, że Wasia pogłaskała go po kłębie, mówiąc:

– Nie szkodzi. Kasjan nie żyje, a jego klacz zniknęła. Domowik powiedział mi, że Masza tu jest – dodała, zmieniając temat.

– Oczywiście, że jest – odrzekł koń z wyższością. – Nawet jeśli nie umie ze mną rozmawiać, wie, że kopnę każdego, kto będzie próbował wyrządzić jej krzywdę.

To nie była czcza pogróżka ze strony konia wysokiego na siedemnaście dłoni.

– Nie mogę winić jej za to, że przysłała do ciebie – stwierdziła Wasia. Znowu pogłaskała konia po kłębie, a on opuścił z lubością uszy. – Kiedy byłam mała, zawsze biegłam do stajni, gdy tylko pojawiały się pierwsze

oznaki kłopotów. Nie jesteśmy jednak w Leśnej Ziemi. Ola się wystraszyła, kiedy odkryto, że Maszy nie ma w pałacu. Muszę ją tam odprowadzić.

Skulona na słomie dziewczynka poruszyła się i zakwiliła przez sen. Wasia przyklękała ostrożnie, starając się nie urazić bolącego boku, a w tej samej chwili Masza obudziła się i poderwała gwałtownie, uderzając ciotkę głową prosto w zębra tak mocno, że Wasi zrobiło się czarno przed oczami i z wielkim trudem stłumiła okrzyk bólu.

– Ciiicho, Maszo – szepnęła, kiedy mogła już wydobyć głos. – Ciii... To ja. Wszystko dobrze. Nic się nie dzieje. Jesteś bezpieczna.

Dziewczynka uspokoiła się i znieruchomiła w objęciach cioci. Wielki ogier opuścił pysk i obwąchał włosy Maszy. Podniosła głowę. Bardzo delikatnie musnął chrapami jej nos, a ona zachichotała cichutko. A potem wtuliła twarz w rękaw Wasi i się rozplakała.

– Wasoczka, Wasoczka, ja nic nie pamiętam – mamrotała, łkając. – Pamiętam tylko, że się bałam...

Wasia też pamiętała swój strach. Słowa dziewczynki sprawiły, że sceny minionej nocy śmigły przez jej umysł jak strzały wystrzelone z łuku. Płomienista klacz stojąca dęba. Kurczący się czarnoksiężnik, który padł bezwładnie na ziemię. Zniewolona zakłębieniem Masza o pustym spojrzeniu, posłuszna jak lalka.

I głos króla zimy: „Kochałem cię, jak umiałem”.

Wasia potrząsnęła głową, jakby mogła w ten sposób rozproszyć wspomnienia.

– Nie musisz pamiętać, jeszcze nie teraz – przemówiła łagodnie do dziewczynki. – Teraz jesteś bezpieczna, już po wszystkim.

– Wcale nie czuję, żeby było po wszystkim – mruzczała Masza. – Nic nie pamiętam! Skąd mam wiedzieć, czy jest po wszystkim, czy nie?

– Zaufaj mi. A jeśli nie mnie, zaufaj mamie albo wujowi. Nie spotka cię już nic złego. A teraz chodź, musimy wracać do pałacu. Mama się martwi.

Masza natychmiast wyrwała się Wasi, która nie miała siły, by ją powstrzymać, i oplotła przednią nogę Słowika wszystkimi czterema kończynami.

– Nie! – wrzasnęła, wtulając twarz w końską sierść. – Nie zmusisz mnie!

Zwyczajny koń w takiej sytuacji stanąłby dęba, zarżał albo uderzył Maszę kolanem w twarz, lecz Słowik stał po prostu z niepewną miną. Po chwili opuścił łeb ku Maszy.

– Możesz tu zostać, jeśli chcesz – powiedział, chociaż dziewczynka nie rozumiała jego mowy. Znowu płakała. Było to cichutkie łkanie dziecka na skraju wytrzymałości.

Wasia, którą aż mdliło ze współczucia i gniewu, że dziewczynka ma za sobą takie przeżycia, rozumiała, dlaczego Masza nie chce wracać do pałacu. Została z niego uprowadzona, a jej udziałem stały się potworności, które na szczęście ledwie pamiętała. Dlatego bliskość wielkiego i pewnego siebie Słowika była tak bardzo krzepiąca.

– Coś mi się śniło – wymamrotała dziewczynka z buzią wciąż przyciśniętą do końskiej nogi. – Poza tym snem niczego nie pamiętam. Był tam kościotrup, który śmiał się ze mnie, i cały czas jadłam ciastka, więcej i więcej, chociaż robiło mi się od nich niedobrze. Nie chcę, żeby znów coś mi się przyśniło. Nie wrócę do pałacu. Zamieszkam w stajni ze Słowikiem. – Mocniej objęła nogę ogiera.

Wasia widziała, że jeśli nie postanowi siłą oderwać Maszy od konia i odciągnąć jej od niego – czego jej złamane żebro mogłoby nie wytrzymać i czemu Słowik byłby zdecydowanie przeciwny – dziewczynka nie ruszy się o krok.

Cóż, niech ktoś inny tłumaczy porywczemu ogierowi, dlaczego Masza nie może z nim zostać. Tymczasem...

– No dobrze – Wasia starała się, by jej głos brzmiał pogodnie. – Nie musisz wracać do pałacu, jeśli nie chcesz. Opowiedzieć ci bajkę?

Dziewczynka rozluźniła nieco uścisk wokół nogi Słowika.

– Jaką bajkę?

– Jaką tylko zechcesz. O Iwaniuszcze i Aleniuszcze? – Nagle Wasi ścisnęło się serce. „Siostró, droga siostró Aleniuszko”, powiedział koziołek, „przyłyń tu do mnie. Już rozpalają ogniska, już gotują wodę w garnku, już ostrzą noże. Zabiją mnie”. Ale siostra nie mogła mu pomóc. Utonęła. – Nie, może jednak nie tę – powiedziała pośpiesznie i zastanowiła się. – Może o głupim Wani?

Masza zamyśliła się głęboko, jakby wybór bajki był sprawą wielkiej wagi i mógł zmienić bieg tego ciężkiego dnia. Przez wzgląd na dziewczynkę Wasia żałowała, że naprawdę tak nie jest.

– Chyba... – zaczęła Masza – chyba chciałabym usłyszeć bajkę o Marii Moriewnie.

Wasia się zawahała. W dzieciństwie uwielbiała opowieść o pięknej Wasilisie, swojej bajkowej imienniczce, lecz bajka o Marii Moriewnie mogła okazać się bolesna, zbyt bolesna po tym, co stało się tej nocy. Dziewczynka jednak jeszcze nie skończyła.

– Opowiedz o księciu Iwanie – dokończyła swoją myśl. – Tę część bajki. I o koniach.

I nagle Wasia zrozumiała. Uśmiechnęła się, nie zważając na to, że napina poparzoną skórę twarzy.

– Dobrze. Opowiem ci o tym, jeśli puścisz nogę Słowika. On nie jest słupem.

Maria niechętnie odsunęła się od konia, a on położył się na słomie, żeby obie dziewczyny mogły się przytulić do jego ciepłego boku. Wasia owinęła Maszę i siebie swoją peleryną i rozpoczęła opowieść, gładząc siostrzenicę po włosach.

– Książę Iwan trzykrotnie próbował wyrwać swoją żonę, Marię Moriewnę, spod władzy złego czarownika Kościeja, jednak za każdym razem ponosił porażkę, gdyż Kościej jeździł na najszybszym koniu na świecie, który w dodatku rozumiał ludzką mowę. Jego koń zawsze uciekał przed koniem Iwana bez względu na to, jak szybko tamten galopował.

Słowik prychnął z zadowoleniem, wydmuchując ciepłe, pachnące sianem powietrze.

– Przede mną by nie uciekł – oznajmił.

– W końcu Iwan poprosił swoją żonę Marię, żeby spytała Kościeja, gdzie zdobył tak niezrównanego konia. „Jest taka chatka na kurzej nóżce stojąca nad brzegiem morza”, odparł Kościej. „Mieszka w niej czarownica, Baba Jaga, która hoduje najwspanialsze konie na świecie. Żeby tam dotrzeć, trzeba przemierzyć ognistą rzekę, ale ja mam czarodziejską chustkę rozdzielającą płomienie. Po dotarciu do chatki trzeba przez trzy dni służyć Babie Jadze. Jeśli ktoś dobrze się sprawi, dostanie w podzięce konia. Ale jeśli ktoś zawiedzie czarownicę, zostanie przez nią zjedzony.

Słowik pilnie nadstawił ucha.

– Zatem Maria, dzielna dziewczyna – Wasia pociągnęła siostrzenicę za czarny warkocz, a ta zachichotała – ukradła Kościejowi czarodziejską chustkę i potajemnie dała ją Iwanowi. On zaś wyprawił się do Baby Jagi, żeby dostać na własność najwspanialszego konia na świecie. Rzeka ognia była ogromna i straszna. Iwan jednak pokonał ją, wymachując chustką Kościeja i galopując przez płomienie. Po drugiej stronie zobaczył małą chatkę nad brzegiem morza. Mieszkała tam Baba Jaga i żyły najwspanialsze konie na świecie...

– Umiały mówić? – przerwała jej Masza. – Tak jak Słowik rozmawia z tobą? Naprawdę potrafisz z nim rozmawiać? Czy on zna ludzką mowę? Jak konie Baby Jagi?

– Słowik potrafi mówić – odparła Masza, unosząc rękę, by powstrzymać ten potok pytań. – Jeśli ktoś umie słuchać. A teraz cichutko, pozwól mi dokończyć.

Ale Masza już zadawała kolejne pytanie:

– A gdzie się nauczyłaś słuchać koni?

– Ja... szkolił mnie człowieczek ze stajni, wazila. Kiedy byłam dzieckiem.

– Czy ja też mogę się tego nauczyć? Ze mną człowieczek ze stajni nigdy nie rozmawia.

– Twój nie jest wystarczająco silny – wyjaśniła Wasia. – W Moskwie czarty nie mają dość mocy. Ale sądzę, że mogłabyś się nauczyć. Twoja babcia, moja matka, podobno znała się trochę na magii. Słyszałam też, że twoja prababka przyjechała do Moskwy na wspaniałym koniu, szarym jak poranek. Może ona też widziała czarty, jak ty i ja. Może są gdzieś inne konie, takie jak Słowik. Może wszyscy...

Przerwały jej stanowcze kroki w przejściu między końskimi boksami.

– Może wszyscy – podjął ostry głos Warwary – zjemy teraz kolację? Siostra zaufała ci, że pójdziesz po jej córkę i zaraz ją przyprowadzisz, a widzę, że tarzacie się w słomie niczym wiejskie chłopaczyska.

Masza poderwała się na nogi, a Wasia z trudem wstała, uważając na zraniony bok. Słowik również się dźwignął, kierując ku Warwarze postawione uszy. Kobieta rzuciła mu dziwne spojrzenie. Przez chwilę na jej twarzy malowała się niejasna tęsknota, jakby patrzyła na coś, czego pragnęła dawno temu.

– Chodź, Maszo. Wasia później dokończy tę bajkę. Zupa wystygnie – powiedziała po chwili, nie zważając już na Słowika.

Podczas rozmowy Wasi, Maszy i Warwary stajnię wypełniły cienie. Słowik znieruchomiał z postawionymi uszami.

– Co się dzieje? – zwróciła się do niego Wasia.

– Słyszysz?

– Co? – spytała Warwara, a Wasia rzuciła jej podejrzliwe spojrzenie. Z pewnością ona nie mogła...

Masza nagle poczuła strach.

– Czy Słowik usłyszał, że ktoś tu idzie? Zły człowiek?

Wasia wzięła ją za rękę.

– Mówiłam ci, że jesteś bezpieczna, i wciąż za to rękę. W razie niebezpieczeństwa Słowik zawiezie nas galopem daleko stąd.

– Dobrze – pisnęła Masza ciekim głosikiem, jednak wciąż mocno ścisnęła dłoń cioci.

Wyszły w granat nocy. Słowik ruszył za nimi, sapiąc niespokojnie, z nosem na ramieniu Wasi. Po krwistym zachodzie słońca pozostała jedynie nikła smużka, powietrze było nieruchome i dziwne. Poza grubymi ścianami stajni Wasia usłyszała to, co wcześniej Słowik: tupot wielu stóp i stłumiony szmer ludzkich głosów.

– Masz rację, coś jest nie tak – Wasia zwróciła się cicho do konia. – Na nieszczęście nie ma tu Saszy. – Głośno zaś dodała: – Nie martw się, Maszo, tu, za zamkniętą bramą, jesteśmy bezpieczne.

– Chodźmy. – Zniecierpliwiona Warwara ruszyła w stronę zewnętrznych drzwi pałacu, sieni i schodów prowadzących do teremu.



2.

Porachunki

Na dziedzińcu panowała dziwna cisza, całodzienna krzątanina zamieniła się w ciężki spokój. Warwara wślizgnęła się przez drzwi teremu, mocno trzymając Maszę za rękę. U podnóża schodów Wasia odwróciła się i przycisnęła czoło do jedwabistej szyi Słowika. Zastanawiała się, dlaczego na dziedzińcu jest tak spokojnie. Wielu wartowników Olgi zginęło lub zostało rannych w walce na dworze Wielkiego Księcia, ale gdzie się podziiali służący siostry, jej poddani? Krzyki za bramą stawały się coraz głośniejsze.

– Zaczekaj na mnie – przykazała koniowi. – Pójdę na górę do siostry, ale niedługo wrócę.

– Pośpiesz się, Wasiu – szepnął ogier, a każdy mięsień jego ciała drżał z niepokoju.

Na górę, do komnaty robótek. Gdy Wasia szła po schodach, złamane żebro promieniowało ognistym bólem wzdłuż jej boku. Ogromna sala o niskim stropie była ogrzewana piecem i wietrzona wąską szparą okienną. Teraz panował w niej tłok, hałas obudził dwórki i służące Olgi. Przy piecu siedziała niania trzymająca w objęciach syna Olgi, Daniłę. Chłopczyk jadł kawałek chleba, był spokojny, choć nieco zdezorientowany. Kobiety szeptały między sobą jakby w obawie, że ktoś je usłyszy. Atmosfera w pałacu księżnej sierpuchowskiej zrobiła się nieprzyjemna. Wasia czuła, że poca jej się pokryte pęcherzami dłonie.

Olga stała przy wąskim oknie i patrzyła na ulicę za ogrodzeniem dziedzińca. Masza podbiegła do matki, a ta otoczyła ją ramieniem.

Wiszące lampy rzucały złowrogie cienie, drżące od powiewu wywołanego wejściem Wasi. Głowy wszystkich odwróciły się w jej stronę, lecz ona patrzyła tylko na siostrę, która stała bez ruchu przy oknie.

– Olu? – zagadnęła Wasia. Szepty w komnacie ucichły. – Co się dzieje?

– Mężczyźni. Z pochodniami – odrzekła Olga, nie odwracając się.

Wasia spostrzegła, że kobiety wymieniają przestraszone spojrzenia. Wciąż jednak nie rozumiała.

– Co oni robią?

– Sama zobacz. – Głos Olgi był spokojny. Na jej pierś opadało kilka warstw łańcuszków zwisających z kokosznika. Światło lamp skrzyło się oślepiająco na złocie, pokazując, jak szybko oddycha.

– Posłałabym po straże – dodała Olga – ale ubiegłej nocy w pożarze i w walce z Tatarami straciliśmy tak wielu ludzi. Pozostali pilnują bram miasta, a służący krążą, rozdając rzeczy potrzebującym. Rozesłaliśmy wszystkich z jakąś misją i jeszcze nie wrócili. Może niektórym stanęło coś na przeszkodzie, a inni usłyszeli coś, czego my nie mogliśmy usłyszeć.

Niania ścisnęła Daniłę tak mocno, że aż pisnął. Masza wpatrywała się w Wasię z nadzieją i ślepą ufnością: to ciocia, która ma czarodziejskiego konia. Wasia ruszyła w stronę okna, starając się nie utykać. Kiedy przemierzała komnatę, kilka kobiet odwróciło wzrok i się przeżegnało.

Ulica przed bramą do pałacu była pełna ludzi. Wielu niosło pochodnie, wszyscy krzyczeli. Wasia wytężyła słuch i wreszcie usłyszała wyraźnie ich głosy.

– Czarownica! – krzyczeli. – Wydajcie nam czarownicę! Ogień! To ona wznieciła pożar!

– Przyszli po ciebie – stwierdziła beznamiętnie Warwara, a Masza wyjąkała:

– Wasoczka... Wasoczka... czy oni mówią o... tobie? – Olga tak mocno przytulała córeczkę, że zeszywniała jej ręka.

– Tak, Maszo. – Wasi zaschło w ustach. – O mnie. – Tłum pod bramą przypominał rzekę uderzającą o skałę.

– Musimy zabarykadować drzwi do pałacu – zarządziła Olga. – Oni mogą wyważyć bramę. Warwaro...

– A posłałaś po Saszę? – przerwała jej Wasia. – Po ludzi Wielkiego Księcia?

– Kogo niby miałyby posłać? – zachnęła się Warwara. – Wszyscy byli w mieście, kiedy to się zaczęło. A niech to! Może mogłabym się zorientować i przestrzec was, na co się zanosi, gdybym nie tkwiła cały dzień w teremie i nie była taka zmęczona.

– Ja mogę pójść – powiedziała Wasia.

– Nie bądź głupia – syknęła Warwara. – Myślisz, że cię nie rozpoznają? I może zamierzasz dosiąść tego wielkiego gniadosza, którego każdy mężczyzna, każda kobieta i każde dziecko rozpoznają na pierwszy rzut oka? Jeśli już, to ja pójdę.

– Nikt nigdzie nie pójdzie – przerwała im Olga chłodno. – Spójrzcie, jesteśmy otoczeni.

Wasia i Warwara odwróciły się do okna. Olga mówiła prawdę, blask pochodni się rozprzestrzeniał.

Kobiece szepty stały się piskliwe z przerażenia.

Tłum wzbierał, z bocznych uliczek wciąż napływali ludzie. Zaczęli walić w bramę. Wasia nie mogła dostrzec poszczególnych twarzy, oślepiła ją blask pochodni. Dziedziniec w dole pozostawał zimny i cichy.

– Spokojnie, Wasiu. – Twarz Olgi była nieugięcie opanowana. – Nie bój się, Maszo, idź i usiądź przy ogniu obok brata. – Następnie zwróciła się do Warwary: – Weź do pomocy kilka kobiet i zastawcie drzwi, czym tylko się da. Dzięki temu zyskamy na czasie, jeśli wyważą bramę. Tę wieżę

zbudowano tak, by wytrzymała atak Tatarów. Nic nam nie zrobią. Do Saszy i Wielkiego Księcia dotrą słuchy o zamieszkach, wojowie przybędą na czas.

Niepokój Olgi nadal zdradzało tylko migotanie łańcuszków.

– Jeśli to mnie chcą... – zaczęła Wasia.

– Zamierzasz oddać się w ich ręce? – przerwała jej Olga. – Wierzysz, że uda ci się przemówić do rozsądku temu? – Gwałtownym gestem wskazała kotłujący się tłum.

Warwara już przeganiała kobiety z ław zrobionych z mocnego drewna. Dzięki temu zyskają na czasie. Ale na jak długo?

Nagle przemówił nowy głos:

– Śmierć – wyszeptał.

Wasia odwróciła głowę. Głos należał do domowika Olgi i dobiegał z otworu pieca. Był niczym szelest opadającego popiołu, kiedy ogień wygasł.

Wszystkie włoski na ciele Wasi się zjeżyły. Domowik ma dar przewidywania tego, co stanie się z jego rodziną. Wasia przesadziła drogę do pieca dwoma kulawymi susami. Kobiety wytrzeszczyły oczy. Przerazona Masza napotkała spojrzenie Wasi, ona też usłyszała domowika.

– Och, co teraz będzie?! – wykrzyknęła dziewczynka. Chwyciła chleb, który jadł Daniła. Chłopczyk zaniósł się płaczem, a ona uklękła przy palenisku obok Wasi.

– Maszo, a cóż to... – zaczęła niania, lecz Wasia warknęła „zostaw ją” takim tonem, że wszystkie kobiety w pokoju drgnęły przestraszone. Nawet oddech Olgi zaświstał między jej zębami.

Masza podała chleb wyblakłemu domowikowi.

– Nie mów tak – poprosiła. – Nie mów „śmierć”. Straszysz mojego braciszka.

Jej braciszek nie mógł ani usłyszeć, ani zobaczyć domowika, Masza jednak w swojej dumie nie chciała przyznać, że to ona się boi.

– Nie potrafisz ochronić tego domu? – spytała Wasia domowika.

– Nie. – Domowik był właściwie tylko słabym głosikiem i cieniem rzucanym przez dogasający żar. – Czarnoksiężnik nie żyje, stara kobieta błąka się w ciemnościach. Ludzie zwracają się ku innym bogom. Nie zostało nic, co trzymałoby mnie przy życiu. Mnie i inne czarty.

– Jesteśmy tu! – Strach wzmagął zapalczywość Wasi. – Widzimy cię. Pomóż nam!

– Widzimy cię – powtórzyła szeptem Masza. Wasia ujęła jej rączkę i mocno ścisnęła. Otworzyła jedną z niezliczonych ran z ubiegłej nocy i rozmasowała krew na gorącym kamieniu paleniska.

Domowik zadrżał i nagle zaczął przypominać żywą istotę, a nie mówiący cień.

– Mogę grać na zwłokę – wyszeptał. – Zyskacie trochę czasu, ale to wszystko.

Trochę czasu. Wasia wciąż kurczowo trzymała rączkę siostrzenicy. Kobiety skupiły się za ich plecami, ich twarze wyrażały strach lub potępienie.

– Czarna magia – wycedziła jedna z nich. – Olgo Władimirowa, chyba sama widzisz...

– Naszym losem jest dziś śmierć – Wasia zwróciła się do siostry, ignorując pozostałe kobiety.

Rysy Olgi wyostrzyły się, nabierając ponurej zawziętości.

– Nie dopuszczę do tego. Wasiu, chwyć koniec tej łąwy, pomóż Warwarze zabarykadować drzwi...

W głowie Wasi raz po raz pulsowały słowa: „Oni chcą mnie”.

Na dziedzińcu rozległ się pisk Słowika. Brama się zatrzęsła. Warwara stała w milczeniu najbliżej drzwi. Jej wzrok zdawał się wyrażać jedną myśl. Wasia miała przeświadczenie, że wie jaką.

Przyklękła sztywno, by spojrzeć siostrzenicy w oczy.

– Musisz zawsze dbać o domowika – przykazała jej. – Tutaj, czy gdziekolwiek będziesz, musisz się starać, by pozostał silny, a on będzie

chronił dom.

Masza kiwnęła poważnie główką.

– Ale, Wasoczka, co będzie z tobą? – spytała. – Ja za mało wiem...

Wasia pocałowała ją i wstała.

– Nauczysz się. Kocham cię, Maszo. – Odwróciła się do Olgi. – Olu, ona... Musisz ją wkrótce wysłać do Aloszy, do Leśnej Ziemi. On zrozumie, znał mnie, kiedy dorastaliśmy. Masza nie może zostać tu, w wieży, nie na zawsze.

– Wasiu... – zaczęła Olga. Masza, nie pojmując, co się dzieje, kurczowo trzymała się ręki Wasi.

– Za to wszystko... wybacz mi – szepnęła Wasia, puściła rączkę Maszy i wymknęła się przez drzwi, które otworzyła jej Warwara. Na moment ich spojrzenia spotkały się w ponurym porozumieniu.

Słowik czekał na Wasię przy drzwiach pałacu, na pozór spokojny, nie licząc białej obwódki wokół oka. Dziedziniec był ciemny. Krzyki stawały się coraz głośniejsze. Od strony bramy dobiegał złowieszczy trzask. Między rozłupanymi deskami błyskało światło pochodni. Wasia myślała gorączkowo. Co robić? Słowik, nie do pomylenia z żadnym innym koniem, jest w niebezpieczeństwie. Wszyscy są: ona, jej koń, jej rodzina.

Czy ona i Słowik mogliby ukryć się w stajni i zabarykadować? Nie – oszalały tłum natarłby natychmiast na kruche drzwi teremu i na bezbronne dzieci w środku.

Powinna się ugiąć? Wyjść i oddać się w ich ręce? Może to zadowoli tych ludzi, może nie włamią się do pałacu.

Ale Słowik... co mu zrobią? Ten koń trwający przy niej dzielnie nigdy nie opuściłby jej z własnej woli.

– Chodź – odezwała się. – Ukryjemy się w stajni.

– Lepiej uciekajmy. Otwórzmy bramę i uciekajmy.

– Nie zamierzam otwierać bramy przed tą tłuszcą – warknęła Wasia, po czym zmusiła się, by mówić tonem łagodnej perswazji: – Musimy grać na zwłokę tak długo, jak zdołamy, żeby mój brat zdążył tu dotrzeć z ludźmi Wielkiego Księcia. Brama na pewno wytrzyma. Chodź, musimy się schować.

Koń poszedł za nią niechętnie, podczas gdy wrzaski narastały.

Dwuskrzydłowe wrota stajni zrobiono z mocnego drewna. Wasia otworzyła je, a koń wszedł do środka, parszkając niespokojnie w ciemności.

– Słowiku – powiedziała Wasia, przymykając wrota. – Kocham cię.

Musnął chrapami jej włosy, uważając, by nie urazić poparzeń, i odrzekł:

– Nie bój się. Jeśli wyłamią bramę i się tu wedrą, po prostu uciekniemy. Nikt nas nie znajdzie.

– Dbaj o Maszę – szepnęła Wasia. – Może kiedyś nauczy się z tobą rozmawiać.

– Wasiu! – zawołał Słowik, zadzierając głowę w nagłej panice. Ona jednak odepchnęła jego pysk, wyslizgnęła się przez niedomknięte wrota i zamknęła go w stajni.

Rozległ się jego wściekły pisk, a także łomot kopyt o twarde drewno, ledwie słyszalny poprzez jazgot motłochu. Jednak nawet Słowik nie dałby rady sforsować tak ciężkich wrót.

Niezdarnie ruszyła w stronę bramy, zziębnięta i przerażona.

Szczeliny w bramie robiły się coraz szersze. Nagle noc przeszył pojedynczy głos podjudzający tłum. Odpowiedziały mu jeszcze głośniejsze i bardziej przenikliwe wrzaski.

I znów rozległ się ten sam głos, jedwabisty, śpiewny, którego czysty ton przebijał się przez wrzawę. Ćmiący, kłujący ból w boku Wasi wzmógł się. Na górze, w teremie, zgaszono lampy.

Za plecami Wasi znów zapiszczał Słowik.

– Czarownico! – krzyknął mocny głos po raz trzeci. To było wezwanie, groźba. Brama trzeszczała pod naporem hałastry.

Tym razem Wasia rozpoznała ten głos. Miała poczucie, że oddech opuszcza jej ciało. Ale kiedy odpowiedziała, głos jej nie zadrżał.

– Tu jestem. Czego chcesz?

W tym momencie zdarzyły się dwie rzeczy: brama ustąpiła w kaskadzie drzazg, a za Wasią Słowik wyważył wrota stajni i wypadł przez nie galopem.



3.

Słowik

Tamci byli bliżej niej niż Słowik, lecz nikt i nic nie było szybsze od gniadosza. Pędził ku niej pełnym galopem. Wasia dostrzegła swoją ostatnią szansę: skłonić tłum do pościgu, odciągnąć go od pałacu siostry. Tak więc kiedy Słowik mknął obok, puściła się pędem, dopasowując krok do jego biegu, po czym wskoczyła mu na grzbiet.

Ból i słabość zniknęły w ferworze chwili. Słowik gnał prosto na roztrzaskaną bramę. Wasia pokrzykiwała, by odwrócić uwagę ludzi od wieży. Słowik bił kopytami z całą zawziętością bojowego konia, chcąc przedrzeć się przez tłum. Ludzie doskakiwali do niego, próbując go pojmać, lecz on roztrącał ich na boki.

Byli już blisko bramy. Wasia całe swoje jestestwo skupiła na ucieczce. Na otwartej przestrzeni nic i nikt nie dogoni Słowika. Odciągnie tłum od Olgi, zyska na czasie, a potem wróci z Saszą i wojami Dymitra.

Nic nie mogło prześcignąć Słowika.

Nic.

Nie zauważyła, co ich ugodziło. To mogła być po prostu kłoda przeznaczona do czyjegoś pieca. Usłyszała jedynie świst, a potem poczuła wstrząs wibrujący poprzez końskie ciało, gdy dosięgnął go cios. Noga Słowika uciekła w bok. Upadł, gdy od wyłamanej bramy dzielił go tylko jeden sus.

Tłum ryknął. Wasia poczuła uderzenie niczym ranę zadaną jej samej. Wywinęła się instynktownie, a po chwili klęczała przy głowie konia.

– Słowiku – wyszeptała. – Słowiku, wstań.

Ludzie napierali na nią ze wszystkich stron, czyjaś ręka chwyciła ją za włosy. Odwinęła się i ugryzła, właściciel ręki zaklął i odskoczył. Ogier usiłował się podnieść, kopiąc dziko, lecz jego tylna noga była wygięta pod nienaturalnym kątem.

– Słowiku – błagała Wasia. – Słowiku...

Ogier dmuchnął jej w twarz delikatnym pachnącym sianem oddechem. Jego drżenie przypominało trzepot, a grzywa opadająca na dłonie Wasi była szpiczasta niczym pióra. Jakby jego inne, dziwniejsze wcielenie, ptak, którego nigdy nie widziała, miał wreszcie uwolnić się i rozpostrzeć skrzydła.

I wtedy opadło ostrze.

Ugodziło konia tam, gdzie głowa łączy się z ciałem. Rozległo się wycie.

Wasia czuła się tak, jakby ostrze przebijające konia poderżnęło jej gardło, i nie wiedziała, że krzyczy, kiedy skoczyła niby wilczyca broniąca swego szczenięcia.

– Zabić ją! – wrzasnął ktoś z tłumu. – To ona, przeklęta wiedźma. Zabić ją!

Wasia rzuciła się na nich, nie zważając na nic, nie dbając o swoje życie. A potem uderzyła ją męska pięść, a potem kolejna i kolejna, aż przestała czuć spadające na nią ciosy.

Klęczała w lesie pod rozgwieżdżonym niebem. Świat był czarno-biały i zupełnie cichy. W śniegu, tuż poza zasięgiem jej ręki, trzepotał się brązowy ptaszek. Jakaś postać, czarnowłosa i biała jak śnieg, klęczała obok i wyciągała do niego stuloną dłoń.

Wasia знаła tę dłoń i to miejsce. Miała wręcz wrażenie, że pod odwieczną obojętnością w oczach boga śmierci widzi uczucie. Tyle że on patrzył na ptaszka, nie na nią, więc nie mogła mieć pewności. Był dziwniejszy i odleglejszy niż kiedykolwiek, całą uwagę skupiał na słowiku leżącym w śniegu.

– Zabierz nas razem – wyszeptała.

Nie odwrócił się.

– Pozwól mi pójść z tobą – spróbowała znowu. – Nie możesz dopuścić, żebym straciła mojego konia. – Gdzieś daleko czuła ciosy spadające na jej ciało.

Słowik wskoczył w dłoń boga śmierci, a on zamknął delikatnie palce wokół stworzonka. Drugą ręką nabrał garstkę śniegu. Śnieg stopił się w jego dłoni, kilka kropel kapnęło na ptaszka, który natychmiast znieruchomiał i zeszywniał.

Wtedy bóg śmierci podniósł wreszcie wzrok ku jej twarzy.

– Wasiu – przemówił znajomym głosem – Wasiu, posłuchaj...

Ona jednak nie mogła odpowiedzieć.

W prawdziwym świecie tłum cofnął się na słowo wypowiedziane przez mężczyznę o grzmiącym głosie, a ona została wciągnięta z powrotem w moskiewską noc, krwawiąca w zdeptanym śniegu, lecz wciąż żywa.

A może tylko to sobie wyobraziła? Kiedy jednak uniosła oblepione krwią powieki, ciemna sylwetka boga śmierci wciąż była obok, bledsza niż cień w południe, o natarczywym spojrzeniu, bezradna. Z czułością trzymał w dłoni sztywne ciało słowika.

A potem zniknął. Jakby wcale go tam nie było. Wasia leżała w poprzek ciała swego konia, lepka od jego krwi. Nad nią stał mężczyzna o złotych włosach i oczach błękitnych jak letnie niebo. Odziany był w sutannę i spoglądał na nią z wyrazem zimnego i spokojnego triumfu.

Bez względu na wszystkie zakręty i udręki swego życia Konstanty Nikonowicz miał dar, który nigdy go nie zawiódł: kiedy przemawiał, brzmienie jego głosu miało na ludzi hipnotyczny wpływ.

Przez całą tę noc, kiedy szalała śnieżycą, udzielał ostatniego namaszczenia umierającym i pocieszał rannych.

Później zaś, w czarnej godzinie tuż przed świtem, przemówił do mieszkańców Moskwy:

– Nie mogę milczeć. – Z początku jego głos był cichy i łagodny, a słowa kierował to do tej osoby, to do innej. Kiedy zaś ludzie zaczęli skupiać się wokół niego, podniósł głos: – Wyrządzono wam wielkie zło!

– Wyrządzono? – pytali brudni od sadzy, przerażeni ludzie. – Co nam wyrządzono?

– Ten pożar był karą boską – ciągnął Konstanty. – Ale to nie wy popełniliście zbrodnię.

– Zbrodnię? – szeptali niespokojnie, tuląc swoje dzieci.

– Jak myślicie, dlaczego miasto spłonęło? – zadał pytanie Konstanty. Gardło ścisnął mu szczery żal. Dzieci, uduszone dymem, umarły w objęciach matek. Naprawdę nad tym bolał. Wciąż był zdolny do współczucia. Głos miał ochrypyły z emocji. – Ten pożar był karą boską za udzielenie schronienia czarownicy.

– Czarownicy? Udzieliliśmy schronienia czarownicy? – zaszemrał tłum.

Głos Konstantego stawał się coraz donioślejszy.

– Chyba pamiętacie? Tej, która podawała się za Wasilija Pietrowicza. Ten chłopak był w rzeczywistości dziewczyną. Pamiętacie Aleksandra Pierieswieta, którego wszyscy mieli za świętego, a własna siostra skłoniła go do grzechu? Pamiętacie, jak zwiódła Wielkiego Księcia? I właśnie tej nocy w mieście wybuchł pożar!

Gdy wypowiadał te słowa, poczuł, że nastrój tłumu się zmienia. Ich gniew, żal i lęk znalazły ujście, zyskały cel. Podsycał to jeszcze, rozmyślnie i wprawnie, niczym kowal ostrzący miecz.

Kiedy byli już gotowi, musiał jedynie sięgnąć po tę broń.

– Sprawiedliwości musi stać się zadość – oznajmił Konstanty. – Ale ja nie wiem jak. Może Bóg nam podpowie.

Wasia leżała na dziedzińcu pałacu siostry, a na jej rękach zasychała krew ukochanego konia. Wargę i policzek miała ubrudzone własną krwią, a oczy pełne łez. Z trudem oddychała, lecz żyła. Niezgrabnie spróbowała się podnieść.

– *Batuszka* – powiedziała. Gdy wymawiała to słowo, ze zranionej wargi popłynęła krew. – Odwołaj tych ludzi. – Urywany oddech sprawiał jej ból. – Odwołaj ich. Zabiłeś mojego konia. Ale oszczędź moją siostrę. I jej dzieci.

Tłum gromadził się wokół nich i przesuwał dalej, żądza krwi nie została zaspokojona. Łomotali do drzwi pałacu sierpuchowskiego. Drzwi nadal stawiały opór, ale do czasu. Konstanty się zawahał.

– Dwa razy uratowałam ci życie – dodała cicho. Ledwie trzymała się na nogach.

Konstanty czuł własną moc, kierował furią tłumu niczym jeździec dosiadający na wpół ujeżdżonego konia.

– Cofnąć się! – zawołał do swoich wyznawców, jakby gwałtownie ściągnął wodze. – Cofnąć się! Czarownica jest tutaj. Złapaliśmy ją. Sprawiedliwości musi stać się zadość. Bóg nie będzie czekał.

Zamknęła oczy, czując bezmierną ulgę. A może to była słabość? Nie padła mu do stóp, nie podziękowała za zmiłowanie.

– Ty pójdziesz ze mną i Bóg wymierzy ci karę – oznajmił szyderczo.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego, ale tak, jakby go nie widziała. Jej wargi poruszyły się, wypowiadając jedno słowo. Nie jego imię, nie błaganie o litość, tylko: „Słowiku...”. Nagle skuliła się, bardziej z żalu niż bólu, zgięła się jak trafiona strzałą.

– Koń nie żyje – wycedził i zobaczył, że te słowa są dla niej niczym ciosy pięścią. – Może teraz zwrócisz myśli ku sprawom, jakie przystoją kobiecie. W tym czasie, który ci jeszcze pozostał.

Nie odpowiedziała, wzrok miała błędny.

– Twój los jest przesądzony – dodał Konstanty, nachylając się nad nią, jakby mógł siłą wtłoczyć jej te słowa do głowy. – Ludzie zostali skrzywdzeni i domagają się sprawiedliwości.

– Co to za los? – wyszeptała posiniaczonymi wargami. Jej twarz miała barwę śniegu.

– Radzę ci się modlić – odpowiedział łagodnym szeptem.

Rzuciła się na niego niczym zranione zwierzę. Prawie się roześmiał z niespodziewanej radości, kiedy cios czyjejs pięści powalił ją na ziemię i teraz leżała bezwładnie u jego stóp.



4.

Los wszystkich czarownic

– Co to za wrzawa? – zapytał Dymitr. Niewielu spośród jego wartowników nie odniosło ubiegłej nocy ran, a teraz wyglądało na to, że wszyscy krzyczą. Zza pałacowego ogrodzenia dobiegały wrzaski i tupot wielu stóp depczących śnieg. Dziedziniec oświetlały jedynie pochodnie. Zgiełk w mieście wciąż narastał, nagle rozległ się także potężny łomot. – Matko Boska – jęknął Dymitr. – Jakbyśmy nie mieli dość kłopotów... – Odwrócił głowę, żeby wydać szereg szybkich rozkazów.

Chwilę później tylna brama otworzyła się wśród chaotycznych okrzyków. Do Wielkiego Księcia podeszła bez strachu żółtowłosa służka, a za nią dreptali skonsternowani podwładni Dymitra.

– O co chodzi? – spytał, mierząc kobietę wzrokiem.

– To pokojówka mojej siostry – odezwał się Sasza. – Warwaro, co ty...

Warwara miała posiniaczony policzek, a wyraz jej twarzy zmroził go do szpiku kości.

– Ludzie, których słyszycie, właśnie wyłamali bramę pałacu księżnej sierpuchowskiej – wyrzuciła z siebie. – Zabili gniadego ogiera, którego kochała Wasilisa. – Sasza poczuł, że krew odpływa mu z twarzy. – A ją samą zabrali.

– Dokąd? – zapytał Sasza strasznym, nie swoim głosem.

Dymitr już wzywał swoich ludzi na koń.

- Nawet jeśli są ranni, niech wskakują na konie, to nie może czekać.
- Na dół – odparła Warwara, dysząc ciężko. – Na dół, w stronę rzeki. Boję się, że chcą ją zabić.

Wasia była prawie nieprzytomna od uderzeń pięści, ubranie miała podarte i zakrwawione. Tłum ją zagarnął, a świat był pełen zgiełku. Na wpół wleczona, na wpół niesiona słyszała krzyki, zimny piękny głos panujący nad tłumem i słowo „batuszka” szeptane bez końca.

Schodzili ze wzgórza, potykała się na grudach zmrożonej śnieżnej brei. Ręce – wiele rąk – szarpały ją zewsząd, peleryna i kaftan zostały rozerwane, tak że została tylko w sukience z długimi rękawami, zgubiła gdzieś chustkę i włosy opadały jej na twarz.

Była tego wszystkiego na wpół świadoma. Jej pamięć zatrzymała się na jednym strasznym wspomnieniu: uderzenie kłody i ostrze, którego cios odczuło jej własne ciało. „Słowik. Matko Boska, Słowik”. Wokół szalał rozwścieczony tłum, a ona widziała tylko swojego konia leżącego w śniegu. Cała jego miłość, gracia i siła zostały złamane, zbrukane, unicestwione.

Coraz więcej ludzi szarpało jej ubranie. Straciła jedną macającą ją dłoń i cuchnąca rybami pięść uderzyła ją w twarz, aż szczęknęły jej zęby. Poczula w ustach promieniujący ból, kołnierz sukienki został rozdarty. Opanowany głos Konstantego uspokajał tłum. Cofnęli się niczym skarcone dzieci.

Nadal wlekli ją w dół zbocza. Wokół niej pochodnie sypały iskry, oślepiając ją. „Boisz się wreszcie?” – szepnął Konstanty ledwie słyszalnie, jakby pokonał ją w jakichś zawodach.

W przypiływie wściekłości, która przyćmiła ból, znów się na niego rzuciła.

Może chciała ich sprowokować, żeby ją zabili. Prawie jej się udało. Konstanty pozwolił, by tłum ją ukarał. Szara mgła przesłoniła ukradkiem jej wzrok, nie umarła jednak, a kiedy odzyskała przytomność, zorientowała

się, że wynieśli ją za mury kremla. Znajdowali się teraz na terenie podgrodzia, w tej części Moskwy, która rozciągała się za murami. Wciąż szli, tłum zmierzał nad rzekę. Nieopodal stała cerkiewka. Zatrzymali się tam na prędką naradę. Konstanty przemawiał do tłumu, lecz Wasia zdołała wychwycić tylko pojedyncze słowa:

„Czarownica”.

„Święty mąż”.

„Nanieść dREW”.

Właściwie nie słuchała. Wszystkie zmysły miała otępiała. Nie zrobili krzywdy Oldze ani Maszy. Jej koń nie żyje. Nie dbała o to, co z nią zrobią. O nic już nie dbała.

Poczuła zmianę, kiedy z natarczywego, rażącego kręgu pochodni wrzucono ją w rozświetlony jedynie blaskiem świec cerkiewny mrok. Potoczyła się po posadzce aż pod ikonostas, rozkrwawiając sobie obolałe wargi.

Leżała tak, wdychając woń zakurzonego drewna, otępiała z bólu i szoku. Potem pomyślała, że mogłaby chociaż spróbować się podnieść, zdobyć się na odrobinę odwagi. Odrobinę dumy. Słowik tak by zrobił. Słowik...

Z trudem wstała.

I znalazła się sam na sam, twarzą w twarz, z Konstantym Nikonowiczem. Pop stał tyłem do drzwi i dzieliło ich pół nawy. Przyglądał się Wasi.

– Zabiłeś mojego konia – wyszeptała, a on uśmiechnął się lekko.

Miała rozcięty nos, jedno oko przesłoniła opuchlizna. W cerkiewnym półmroku jej posiniaczona twarz wydawała się bardziej nieziemską niż kiedykolwiek i bardziej delikatną. Poczuli znajomy przypływ pożądania i towarzyszącą mu nienawiść do samego siebie.

Ale... dlaczego miałyby się wstydzić? Bóg nie dba o mężczyzn i kobiety. Liczyła się tylko jego własna wola, a Wasia znalazła się w jego mocy. Ta myśl sprawiła, że krew w nim zawrzała. Podobnie działało na niego uwielbienie tłumu czekającego na zewnątrz. Znów omiół wzrokiem jej ciało.

– Zostałaś skazana na śmierć – oznajmił. – Za swoje grzechy. Podarowano ci tych kilka chwil na modlitwę.

Wyraz jej twarzy się nie zmienił. Może nie usłyszała. Przemówił głośniej:

– Takie jest prawo boże i wola ludu, wobec którego zawiniłaś!

Twarz miała białą jak śnieg, a każdy najbledszy pieg na jej nosie odznaczał się wyraźnie niczym kropla krwi.

– Zabij mnie zatem – powiedziała. – Miej odwagę zrobić to własnoręcznie zamiast oddawać mnie w ręce rozwścieczonego tłumu i nazywać to sprawiedliwością.

– Czy zaprzeczysz zatem, że pożar był twoją sprawką? – Podszedł do niej sprężystym krokiem. Wolny, powiedział sobie w myślach. Wreszcie uwolniłem się spod jej władzy.

Wasia milczała z kamienną twarzą. Nie drgnęła nawet wtedy, gdy zakrzywionymi palcami ujął ją pod brodę i unióś jej twarz ku swojej.

– Nie możesz zaprzeczyć – wycedził. – Bo to prawda.

Nie wzdrygnęła się, kiedy wbił kciuk w sińce wykwitające niczym kwiaty wokół jej ust. Sprawiała wrażenie, jakby ledwie go zauważała.

Naprawdę jest brzydka. Wielkie oczy, szerokie usta, sterczące kości policzkowe. A przecież nie mógł oderwać od niej wzroku. I nigdy nie zdoła, dopóki śmierć nie zamknie tych oczysk. A może jej twarz będzie go nawiedzać nawet potem?

– Odebrałaś mi wszystko, co było dla mnie ważne – powiedział. – Napuściłaś na mnie demony. Zasługujesz na śmierć.

Nie odpowiedziała. Po jej twarzy niepoohamowanym strumieniem płynęły łzy.

W przyływie naglej wściekłości złapał ją za ramiona, pchnął na ikonostas, aż wszyscy święci zadrżeli, i przycisnął do desek. Nie mogła oddychać, twarz do reszty straciła kolor. Zacisnął dłoń na jej szyi, bladej i kruchej, dyszał ciężko.

– Popatrz na mnie, przeklęta!

Powoli podniosła wzrok ku jego twarzy.

– Błagaj o życie – warknął. – Błagaj, a może ci je podaruję.

Powoli pokręciła głową, spojrzenie miała błędne.

Poczuł, że nie panuje nad nienawiścią, zbliżył usta do jej ucha i wyszeptał głosem, który sam ledwie poznawał:

– Umrzesz w ogniu, Wasiliso Pietrowna. I będziesz mnie wołała, zanim twoja męka dobiegnie końca.

Pocałował ją raz, mocno, jakby to było uderzenie, trzymając jej brodę niczym w imadle i smakując krew z rozciętej wargi.

Ugryzła go, rozkrwawiając mu usta. Odskoczył i wpatrywali się teraz w siebie z nienawiścią, która jak w lustrze odbijała się w ich oczach.

– Bóg z tobą – szepnęła z gorzkim szyderstwem.

– Idź do diabła – syknął i wyszedł, zostawiając ją samą.

Po wyjściu Konstantego w cerkwi zapadła cisza. Może budowali stos, a może szykowali jeszcze coś gorszego. Może wreszcie zjawi się jej brat i ten koszmar dobiegnie końca. Wasi było wszystko jedno. Czego miałyby się bać w umieraniu? Może po śmierci znów odnajdzie ojca, matkę, ukochaną nianię Dunię...

Słowika.

Potem jednak pomyślała o ogniu, o ciosach noży i pięści. Nie jest jeszcze martwa, jest przerażona. Może mogłaby po prostu... odejść, zagłębić się w szary las poza życiem i zniknąć. Taką śmierć znała.

– Morozko – szepnęła, a potem wypowiedziała jego starsze imię, imię boga śmierci: – Karachun.

Żadnej odpowiedzi. Zima minęła, a on odszedł z ludzkiego świata. Dygocząc, osunęła się na podłogę i oparła o ikonostas. Na zewnątrz ludzie krzyczeli, śmiali się, przeklinali, lecz tu, w środku, towarzyszyli jej tylko milczący święci spoglądający spokojnie w dół. Wasia nie mogła zmusić się do modlitwy. Zamiast tego odchyliła do tyłu obolałą głowę i zamknęła oczy, uderzeniami serca odmierzając swoje życie.

Niemożliwe, żeby zasnęła, nie w takiej chwili. A przecież jakimś sposobem świat wokół niej zniknął, a ona raz jeszcze znalazła się w czarnym lesie pod rozgwieżdżonym niebem. Poczowała ponurą, połączoną z szokiem ulgę. Już po wszystkim. Bóg wysłuchał jej błagania, tego właśnie pragnęła. Chwiejnie ruszyła przed siebie, nawołując:

– Ojczy! Mamo! Duniu! Słowiku! Słowiku! – On z pewnością tu będzie. Na pewno na nią czeka. Jeśli tylko może.

Morozko by wiedział. Ale Morozki nie było, na jej wołanie odpowiedziała tylko cisza. Brnęła dalej, rozglądając się gorączkowo, tyle że członki miała takie ciężkie, a zebra z każdym oddechem bolały coraz bardziej.

– Wasiu! – Dwukrotnie zawołał jej imię, zanim go usłyszała. – Wasiu!

Potknęła się i upadła, zanim zdołała się odwrócić. Klęczała w śniegu i nie miała siły wstać. Niebo było niczym gwiazdzista rzeka, lecz ona nie mogła podnieść wzroku. Widziała jedynie boga śmierci, choć był właściwie czymś niewiele więcej niż miejscem styczności światła i mroku, delikatny niby chmurka przesłaniająca księżyc. Ale poznała go po oczach. Czekał na nią w tym szarym lesie. Nie była sama.

– Gdzie jest Słowik? – wyjąkała, z trudem łapiąc oddech.

– Odszedł – padła odpowiedź. Bóg śmierci nie mógł zapewnić jej pociechy, nie tutaj. Miała jedynie bolesne poczucie utraty odbite w jego bladych oczach.

Nie wiedziała, że z jej krtani może wydobyć się tak rozpaczliwy jęk. Stłumiła go i szepnęła:

– Proszę. Zabierz mnie ze sobą. Oni chcą mnie dziś zabić, a ja nie...

– Nie – odrzekł. Jej posiniaczoną twarz owionął leciutki wietrzyk niosący woń sosen. Bóg śmierci nosił obojętność niczym zbroję, lecz zaczęła go zawodzić. – Wasiu, ja...

– Proszę – powtórzyła. – Zabili mojego konia. Czeka mnie tylko ogień.

Wyciągnął do niej rękę, ona odpowiedziała tym samym gestem, usiłując przeniknąć dzielące ich zapomnienie, złudzenie czy inną barierę, ale to było tak, jakby chwyciła się mgły.

– Posłuchaj mnie – powiedział, opanowując się. – Posłuchaj.

Z wysiłkiem uniosła głowę. Dlaczego miałyby słuchać? Dlaczego nie może po prostu odejść? Krępowały ją jednak więzy jej ciała, nie mogła się z nich wyzwolić. Twarze ikon usiłowały przedostać się w pole jej widzenia i stanąć między nimi.

– Nie byłem wystarczająco silny – wyznał. – Zrobiłem, co mogłem. Mam nadzieję, że to wystarczy. Nie zobaczysz mnie już. Ale będziesz żyła. Musisz żyć.

– Co? – szepnęła Wasia. Jak? Dlaczego? Za chwilę będę...

Ikony jednak przesłoniły jej widok, realniejsze niż niknący bóg śmierci.

– Żyj – powtórzył jeszcze i zniknął na dobre. A ona ocknęła się sama, na zimnej zakurzonej posadzce cerkwi, nadal potwornie żywa.

Była sama, jeśli nie liczyć Konstantego Nikonowicza, który odezwał się teraz nad jej głową:

– Wstawaj. Zmarnowałaś szansę, by się pomodlić.

Brutalnie związali jej ręce za plecami. Kilku mężczyzn podeszło na skinienie Konstantego i utworzyło szpaler wokół niej. To bynajmniej nie byli żołnierze, lecz wieśniacy albo kupcy, rumiani i brutalni. Jeden trzymał topór, inny kosę.

Twarz Konstantego była biała i zacięta. Ich spojrzenia, wyrażające czystą nienawiść, spotkały się przelotnie, a potem on spokojnie odwrócił wzrok, zacisnąwszy usta z surowym wyrazem twarzy człowieka wykonującego swój obowiązek, bo tak mu nakazuje wiara.

Wokół cerkwi kłębił się tłum, tworzył także szpaler wzdłuż krętej drogi wiodącej nad rzekę. Niektórzy nieśli pochodnie. Cuchnęli gotowanym jedzeniem, dymem, dawnymi ranami i potem. Skórę Wasi mroził wieczorny wiatr. Pozbawili ją butów – w ramach pokuty, jak twierdzili. Idąc po śniegu, czuła w stopach rwący ból. Na twarzach ludzi malował się triumf, jawne uwielbienie dla popa i jawna nienawiść do niej. Pluli na nią.

„Czarownica”, słyszała raz po raz. „Podpaliła miasto. Czarownica”.

Jeszcze nigdy tak się nie bała. Gdzie jest jej brat? Może nie mógł przedostać się przez tłum, może obawiał się ich szaleństwa? A może Dymitr uznał, że jej życie to niewielka cena za spokój w mieście.

Poszturchiwana, szła chwiejnie przed siebie. Konstanty kroczył obok niej, pobożnie pochylając głowę. Czerwone światło pochodni oślepiało ją.

– *Batiuszka* – odezwała się.

Konstanty przerwał modlitwę i spojrzał na nią.

– Teraz mnie błagasz? – szepnął ledwie słyszalnie w ryku tłumy.

Nie odpowiedziała od razu, ze wszystkich sił walczyła z paniką przyprawiającą ją o obłąd. W końcu wyjąkała:

– Nie tak. Nie... w ogniu.

Pokręcił głową i posłał jej ukradkowy, niemal poufaly półuśmiech.

– Dlaczego? Czy ty nie skazałaś Moskwy na spalenie?

Milczała.

– Diabły szeptały o tym – ciągnął pop. – Mam przynajmniej jakąś korzyść z twojej klątwy. Diabły mówiły prawdę. Szeptały o dziewczynie obdarzonej czarodziejską mocą i ognistym potworze. Nawet nie musiałem kłamać, wyjawiając ludziom twoją zbrodnię. Powinnaś była o tym pomyśleć, zanim rzuciłaś na mnie klątwę słyszenia tego, co one mówią.

Z wyraźnym wysiłkiem oderwał od niej wzrok i podjął modlitwę. Twarz miał bladą jak płótno, lecz kroczył pewnie. Wydawał się upojony wściekłością tłumu, zafascynowany tym, co sam wywołał.

Wzrok Wasi nabrał czarno-białej ostrości, ponurej i złowieszczej. Czuła na twarzy zimne powietrze, paliły ją zamarzające na śniegu stopy. Przesycone dymem moskiewskie powietrze płynęło jej żyłami niczym rtęć, wciągane z każdym panicznym oddechem.

Przed nią na skutej lodem Moskwie skupiło się całe morze zwróconych ku niej twarzy, szyderczych, zapłakanych albo po prostu ciekawskich. Kawalek dalej na lodzie wznosił się stos polan ze wszystkich stron oświetlony pochodniami. Pośpiesznie ułożony stos pogrzebowy. Na jego szczycie, rysując się ostro na tle nieba, stała oplątana linami klatka skazańca. Tłum wydawał teraz niski przeciągły dźwięk przypominający warczenie groźnego zwierzęcia.

– Klatka nie będzie potrzebna – powiedziała Wasia do Konstantego. – Ci ludzie rozerwą mnie na strzępy, zanim tam dotrę.

Spojrzenie, które jej rzucił, było niemal współczujące, i nagle zrozumiała, dlaczego idzie obok niej, a także dlaczego się modli z tą obliczoną na efekt gracją. Było tak jak w Leśnej Ziemi, zebrał tych wszystkich ludzi, wykorzystując ich ból i strach, przyciągnął ich swoim złotym głosem i złotymi włosami, więc teraz stali się bronią, którą trzymał w garści, narzędziem zemsty i ofiarą jego dumy. Nie zaatakują, dopóki on będzie przy niej, a on chciał zobaczyć, jak płonie na stosie. Ubiegłej nocy nie udało mu się przecież do tego doprowadzić. Zawsze, zawsze miała skłonność do niedoceniań Konstantego Nikonowicza.

– Potwór – wycedziła, a on prawie się uśmiechnął.

Chwilę później weszli na lód. Podniósł się wrzask przypominający jęk mnóstwa konających zajęcy. Ludzie nacierali na nią ze wszystkich stron, plując i bijąc. Jej strażnikom z trudem udawało się ich odpychać. Ze świstem nadleciał kamień i głęboko rozciął jej policzek. Przyłożyła dłoń do rany, a pomiędzy palców pociekła krew.

Oszołomiona raz jeszcze odwróciła głowę, by spojrzeć na Moskwę. Ani śladu jej brata. Natomiast pomimo ciemności dostrzegła czarty. Widziała ich sylwetki na dachach i ogrodzeniach: domowiki, dworniki i banniki, niknące moskiewskie duchy domowe. Były tam. Co jednak mogły zrobić? Tylko patrzeć. Czarty rodzą się z nurtu ludzkiego życia, płyną z prądem, ale nie mogą mu się przeciwstawić.

Nie licząc dwóch. Jeden był jej wrogiem, a drugi przebywał daleko, poza tym wiosna i sama Wasia pozbawiły go mocy. Mogła najwyżej mieć nadzieję, że zapewni jej śmierć bez męczarni. Trzymała się tej nadziei kurczowo, kiedy tłum, wrzeszcząc, szturchał ją i popychał w stronę stosu, po lodzie. Łzy płynęły jej po twarzy, z bezsilności, a także w mimowolnej reakcji na otaczającą ją nienawiść.

A może jest w tym jakaś sprawiedliwość? Raz po raz widziała ludzi kulejących, poparzonych, z obandażowanymi rękami lub twarzami. Ale ja nie chciałam uwolnić Żar-Ptaka – myślała. Nie wiedziałam, co się stanie. Nie wiedziałam...

Lód wciąż był twardy, gruby na wysokość człowieka, lśniący w miejscach, gdzie wiatr lub sanie rozgarnęły śnieg. Minie jeszcze sporo czasu, zanim rzeka wyrwie się z okowów zimy. Czy będzie mi dane to zobaczyć? Czy wciąż będę żyła? – zastanawiała się Wasia. Czy poczuje jeszcze słońce na skórze? Chyba nie. Myślę, że nie...

Tłum zafalował wokół stosu. Złote włosy Konstantego w świetle pochodni przybrały szarosrebrzysty odcień, na jego twarzy malowały się jednocześnie triumf, udręka i pożądanie. Głos i charyzma popa nie uległy zmianie, ale teraz jego moc wyrwała się z krępujących go wymogów religii. Wasia pożałowała nagle, że nie może ostrzec brata ani Dymitra. „Sasza, wiesz przecież, co on zrobił Maszy. Nie ufaj mu, nie...”

I nagle pomyślała: Saszo, gdzie jesteś?

Jej brata jednak nie było, a Konstanty Nikonowicz po raz ostatni spojrzał na jej twarz. Wygrał.

– Co powiesz Bogu, którym pogardzasz, kiedy zanurzysz się w ciemność? – szepnęła Wasia, ze strachu oddychając krótko i płytko. – Wszyscy kiedyś umrzemy.

Konstanty tylko się uśmiechnął, uniósł rękę, by nakreślić znak krzyża, po czym zaintonował modlitwę. Tłum ucichł, by go posłuchać. Następnie pop nachylił się, by szepnąć Wasi do ucha:

– Boga nie ma.

Chwilę później chwycili ją, by zawlec na stos, a ona szarpała się niczym dzikie zwierzę w potrzasku. Czysty instynkt, jednak tamci byli od niej silniejsi, miała związane ręce, krew ciekła jej po palcach, tak głęboko sznur wżynał się w nadgarstki, kiedy próbowała się wyzwolić. Siłą podnieśli ją na stos, a Wasia myślała: Matko Boska, to się dzieje naprawdę.

Umieranie, myślała, powinno się wiązać z pewnym poczuciem spełnienia, końca podróży. A to było tak, jakby nagle wyrwano ją z życia, ze wszystkim, z jej potem, łzami, przerażeniem, z jej pragnieniami i żałami.

Klatka była tak mała, że musiała w niej przykucnąć. Wepchnęli ją do środka z nożem przyłożonym do pleców. Zatrzasnęli drewniane okratowane drzwi i zabezpieczyli sznurami.

Ze strachu Wasi mącił się wzrok. Świat sprowadzał się do ciągu chaotycznych wrażeń: czarna, rozświetlana ogniem zbita masa ludzi, ostatnie mignięcie nieba i wspomnienia dzieciństwa w lesie, rodziny, Słowika.

Mężczyźni rzucali pochodnie na stos drew. Buchnął dym, a potem pierwsza kłoda zajęła się z trzaskiem. W pewnym momencie wzrok Wasi natrafił na zbielełą twarz Konstantego Nikonowicza. Uniósł dłoń. Głód, ból i radość w jego spojrzeniu były przeznaczone wyłącznie dla niej. Po chwili przesłoniła go spirala dymu.

Obiema dłońmi objęła kraty. Drzazgi wbijały jej się w palce. Dym szczyptał w oczy i wywoływał kaszel. Miała wrażenie, że gdzieś w oddali słyszy niewyraźny tętent kopyt, nawoływanie nowych głosów, lecz one należały do innego świata, jej świat składał się wyłącznie z ognia.

„Wiele osób mówi: lepiej umrzeć, póki nie nadejdzie godzina ich śmierci”, powiedział jej kiedyś Morozko. Miał rację. Żar stawał się nie do wytrzymania. Ale Morozki nie było nigdzie widać, nie mogła schronić się w tym lesie poza życiem.

Nie mogła oddychać.

Moja babka przybyła do Moskwy i już nigdy jej nie opuściła. Teraz moja kolej. Nie wydam się z tej klatki. Przemienię się w popiół na wietrze i nigdy już nie zobaczę mojej rodziny...

Nagle ogarnęła ją furia, która kazała jej otworzyć oczy i wbić stopy w podłogę klatki. Nigdy? Te wszystkie godziny, wspomnienia skradzione przez jednego obłąkanego popa, który dostrzegł szansę, by się zemścić, i ją wykorzystał? Czy pewnego dnia powiedzą o niej: „Nigdy nie wyjechała, jej historia zakończyła się tam, na lodzie”? A co z Maszą? Dzielną, skazaną na zgubę Maszą? Może Konstanty zwróci się także przeciwko niej, małej czarownicy, która знаła prawdę o jego zbrodni?

Nie ma żadnej drogi ucieczki. Kuciała na podłodze zamkniętej od zewnątrz klatki, ze wszystkich stron otaczały ją płomienie palące jej i tak już poparzoną twarz. Nie ma innej drogi ucieczki poza tą w śmierć. Prętów klatki nie da się wyłamać. To niemożliwe.

„Niemożliwe”.

Morozko wypowiedział to słowo, kiedy wbrew wszelkiej nadziei sprowadziła go do piekła płonącej Moskwy.

Magia polega na tym, by zapomnieć, że świat kiedykolwiek był inny, niż się chciało, by był.

W przypiływie ślepej woli Wasilisa Pietrowna zacisnęła dłonie na grubych, parzących prętach klatki i pociągnęła.

Twarde pręty pękły.

Wasia z niedowierzaniem przywarła do szczeliny. Pociemniało jej w oczach. Klatka tliła się, spowijała ją ognista zasłona. Co z tego, że wyłamała pręty? Ogień przecież ją pochłonie. A jeśli nawet jakimś cudem uniknie tego losu, to i tak tłum rozszarpie ją na strzępy.

Mimo to wypełzła z klatki, włożyła w ogień dłonie, potem twarz i podniosła się na nogi. Przez moment stała tak chwiejnie, poza strachem, nietknięta przez płomienie. Zapomniała, że mogą ją poparzyć.

A potem skoczyła.

Leciała przez płomienie własnego stosu pogrzebowego. Spadła na śnieg i przetoczyła się na bok, spocona, okopcona i zakrwawiona. Wszystkie obserwujące ją czarty podniosły bezgłośny krzyk. Jest poparzona, lecz nie spłonęła.

Żyje.

Wstała z wysiłkiem i rozejrzała się niespokojnie, jednak nikt nie krzyknął. Konstanty, wszyscy wpatrywali się w ogień, jakby wcale nie zwała się ze stosu na lód. Jakby była duchem. Czyżby umarła? Czyżby trafiła do innego świata niczym diabeł, który nie może dotknąć ziemi, a jedynie żyć nad nią lub pod nią? Miała niejasne wrażenie, że tętent kopyt staje się coraz głośniejszy i że słyszy znajomy głos wołający jej imię.

Nie zważała jednak na to. Bo oto przemówił inny głos, niski i rozbawiony, jakby tuż przy jej uchu:

– No, no, a już sądziłem, że nic mnie nie zdziwi.

A potem się zaśmiał.

Wasia odwróciła gwałtownie głowę i padła jak długa w roztopioną śnieżną breję. Opary dymu dusiły ją, powietrze falowało od gorąca niczym tkanina, przemieniając krąg ludzi w bezkształtne cienie. Nadal jej nie widzieli. Może jednak umarła albo naprawdę przeniosła się do świata

diabłów. Nie czuła swoich ran, a jedynie słabość. Nic nie wydawało się rzeczywiste. A już z pewnością nie stojący nad nią człowiek.

Nie, nie człowiek. Czart.

– Ty... – wyszeptała.

Stał bardzo blisko ognia, który powinien go przypiekać, ale nie przypiekał. W pokrytej sinymi bliznami twarzy błyszczało jedno oko.

Kiedy widziała go po raz ostatni, zabił jej ojca.

– Wasiliso Pietrowna – odezwał się czart zwany Niedźwiedziem.

Wasia z wysiłkiem dźwignęła się na nogi, uwięziona między diabłem a ogniem.

– Nie, nie ma cię tutaj, nie możesz tu być.

Nie zareagował na jej słowa, tylko ujął Wasię pod brodę i przyciągnął jej twarz ku swojej. Powieka brakującego oka była mocno zaciśnięta. Jego grube palce cuchnęły zgnilizną i rozgrzanym metalem i były jak najbardziej realne. Uśmiechnął się szeroko.

– Nie?

Wyrwała mu się przerażona. Krew z jej pękniętej wargi skapnęła mu na palce, a on zlizął ją i dodał poufałym tonem:

– Powiedz mi: myślisz, że jak długo będziesz mogła korzystać z twojej nowo odkrytej mocy? – Obrzucił tłum oceniającym spojrzeniem. – Rozerwą cię na strzępy.

– Byłeś... uwiązany – wyszeptała Wasia głosem dziewczynki pogrążonej w koszmarnym śnie. To mógłby być koszmarny sen. Odkąd umarł jej ojciec, Niedźwiedź nawiedzał jej sny, a teraz stali twarzą w twarz w nawałnicy dymu i czerwonego światła. – Nie możesz tu być.

– Uwiązany? – powtórzył Niedźwiedź. W jedynym szarym oku błysnęło wspomnienie furii, jego warczący cień nie był cieniem człowieka. – Ach, tak – ciągnął ironicznie. – To ty i twój ojciec spętaliście mnie z pomocą mojego podstępного brata bliźniaka. – Obnażył zęby. – Cóż za szczęśliwy traf, że się uwolniłem! Nie cieszysz się? Zamierzam ocalić ci życie.

Wpatrywała się w niego. Rzeczywistość drżała niczym powietrze wokół ognia.

– Być może nie jestem wybawcą, jakiego byś sobie życzyła – dodał Niedźwiedź z szelmowskim uśmiechem – ale mój szlachetny brat nie mógł przybyć osobiście. Zniweczyłaś jego moc, niszcząc szafirowy klejnot, a potem nadeszła wiosna. Jest teraz mniej niż duchem. A zatem uwolnił mnie i przysłał tu w zastępstwie. Właściwie to zadał sobie dużo trudu. –

Spojrzeniem pojedynczego oka omiół jej skórę. – O gustach się nie dyskutuje.

– Nie – wyjąkała. – Nie zrobiłby tego. – Zbierało jej się na mdłości, ze strachu i z szoku, od zwierzęcego odoru na wpół widocznego tłumy przesłoniętego przez dym.

Czart sięgnął do postrzępionego rękawa i z miną wyrażającą obrzydzenie podał jej drewnianego ptaszka wielkości dłoni.

– Dał mi to dla ciebie jako dowód, że nie kłamię. Oddał wolność za twoje życie. A teraz musimy iść.

Jego słowa zdawały się błędzić w jej umyśle, nie mogła uchwycić ich sensu. Drewniany ptaszek został niepokojąco udanie wystrugany na wzór słowika. Widziała kiedyś, jak król zimy, brat Niedźwiedzia, rzeźbi ptaka z drewna pod świerkiem, na śniegu. Jej dłoń zacisnęła się na rzeźbionym słowiku.

– Kłamiesz. Nie ocaliłeś mi życia. – Marzyła o łyku wody. Marzyła, by się obudzić z tego koszmaru.

– Jeszcze nie. – Niedźwiedź łypnął na płonącą klatkę. Z jego twarzy znikło szyderstwo. – Ale nie uciekniesz z miasta, chyba że pójdziesz ze mną. – Chwycił ją nagle za rękę mocnym uściskiem. – Nasza umowa dotyczyła twojego życia. Przysiągłem mu, Wasiliso Pietrowna. Chodź. Teraz.

To nie sen. To nie sen. On zabił mojego ojca. Zwilżyła wargi i zmusiła głos do posłuszeństwa.

– Skoro jesteś wolny, to co zrobisz, kiedy uratujesz mi życie?

Jego pokryte bliznami usta wykrzywiły się.

– Zostań ze mną, a się dowiesz.

– Nigdy.

– Jak sobie chcesz. W takim razie uratuję cię, jak obiecałem, a reszta nie powinna cię obchodzić.

Był potworem. Ale nie sądziła, by kłamał. Dlaczego król zimy miałby zrobić coś takiego? Miałaby teraz zawdzięczać życie tej bestii? W jakim świetle to go stawia? W jakim świetle stawia ją?

Wobec czyhającej wszędzie śmierci Wasia się zawahała. Nagle tłum podniósł krzyk i wzdrygnęła się, lecz wrzaski gawiedzi nie dotyczyły jej. Przez stłoczonych gapiów przedzierała się grupa jeźdźców. Oczy wszystkich odwróciły się od ognia w ich stronę, nawet Niedźwiedź na nich łypnął.

Wasia wyrwała mu się i puściła biegiem. Nie oglądała się za siebie, bo gdyby to zrobiła, przystanąłaby, w rozpacz uległaby obietnicom wroga albo śmierci wciąż depczącej jej po piętach. Uciekając, starała się być jak duch, jak czart. „Magia polega na tym, by zapomnieć, że świat kiedykolwiek był inny, niż się pragnie”. I może to działało. Nikt za nią nie wołał, nikt nawet nie zerknął w jej stronę.

– Głupia – fuknął Niedźwiedź. Słyszała jego głos tuż przy uchu, chociaż oddzielał ich teraz zbity tłum. Jego znużone rozbawienie było gorsze niż furia. – Mówię ci prawdę. To właśnie tak cię przeraża. – Ona jednak nadal pędziła przez rzekę ludzi niby cuchnący ogniskiem duch, starając się nie słyszeć tego sarkastycznego metalicznego głosu. – Pozwolę im więc cię zabić – stwierdził Niedźwiedź. – Możesz odejść stąd ze mną albo wcale ci się to nie uda.

W to wierzyła. A jednak biegła, zanurzając się coraz głębiej w tłum. Mdlilo ją ze strachu i od smrodu, spodziewała się, że w każdej chwili mogą ją zauważyć i pochwycić. Drewniany słowik był zimny i twardy w jej spoconej dłoni – obietnica, której nie rozumiała.

A potem głos Niedźwiedzia znów rozbrzmiał z całą siłą, lecz teraz nie zwracał się do niej:

– Patrzcie! Patrzcie! Co to? To duch... nie... to ona, wiedźma! Uciekła z ognia! Czary! Czarna magia! Jest tam! Tam!

Wasia uświadomiła sobie z przerażeniem, że tłum go słyszy. Kolejne głowy odwracały się w jej stronę. Widzieli ją. Jakaś kobieta wrzasnęła, równocześnie czyjaś dłoń zacisnęła się na nadgarstku Wasi. Wyrwała się, szarpiąc dziko, jednak ucisk tylko się wzmocnił. Wtem ktoś zarzucił jej na ramiona pelerynę, zakrywając poczerniałą sukienkę. Znajomy głos przemówił do ucha, a równocześnie ręka wciągała ją coraz głębiej w tłum.

– Tędy – powiedział.

Wybawca Wasi naciągnął kaptur na jej osmalone włosy, zakrywając ją całą z wyjątkiem stóp. Ocaleniem okazał się ścisk, większość ludzi starała się uniknąć stratowania. Było zbyt ciemno, by dostrzec czerwone odciski jej stóp. Za plecami słyszała grzmiący i wściekły teraz głos Niedźwiedzia:

– Tam! Tam!

Jednak nawet on nie mógł kierować tłumem w takim zamęcie. Sasza, Dymitr i jeźdźcy Wielkiego Księcia, którzy wreszcie przybyli, przepchnęli się pod sam stos, krzycząc gorączkowo. Rozgarniali płonące kłody, klęcząc, gdy parzyli sobie dłonie. Ubranie jednego z mężczyzn zajęło się ogniem, wrzeszczał rozpaczliwie. Tłum falował, wszędzie wokół Wasi ludzie cisnęli się bezładnie, wykrzykując, że widzieli ducha czarownicy albo ją samą uciekającą z ognia. Nikt nie zwrócił uwagi na chudą dziewczynę potykającą się pod peleryną.

Głos brata Wasi wznosił się ponad ogólną wrzawę, wydawało jej się, że słyszy także nagłący ton Dymitra Iwanowicza. Tłum rozstał się przed jeźdźcami. Muszę dotrzeć do brata, pomyślała Wasia. Nie mogła jednak zmusić się do tego, by zawrócić, wszystkie jej zmysły były skupione na ucieczce, a gdzieś tam z tyłu czyhał Niedźwiedź...

Ręka na jej nadgarstku wciąż ją ciągnęła.

– Chodź – odezwał się znajomy głos. – Szybko.

Wasia podniosła głowę i nic nie rozumiejąc, spojrzała w posępną, posiniaczoną twarz Warwary.

– Skąd wiedziałaś? – szepnęła.

– Wiadomość – odparła zdyszana Warwara, nie przestając jej wlec.

Wasia nie zrozumiała.

– Masza – wyjąkała. – Czy Olga i Masza...

– Żyją. – Wasia odetchnęła z ulgą. – Są całe i zdrowe. Chodź. – Pociągnęła Wasię, holując ją przez cofający się tłum. – Musisz opuścić miasto.

– Opuścić? – szepnęła Wasia. – Jak? Nie... Nie mam...

Słowik. Nie mogła wypowiedzieć tego słowa. Ból odebrałby jej resztkę sił.

– Nie potrzebujesz konia – powiedziała Warwara ostro. – Chodź.

Wasia nic już nie mówiła, toczyła rozpaczliwą walkę o to, by nie stracić przytomności. Krawędzie złamanych żeber ocierały się o siebie. Bose stopy już nie bolały, były zrętwiałe z zimna. Odmawiały jej natomiast posłuszeństwa, wciąż się potykała, i jedynym, co ją chroniło przed upadkiem, była ręka Warwary.

Za nimi kłębiło się mrowie ludzi rozpędzanych przez żołnierzy Dymitra. Ktoś krzyknął do Warwary, pytając, czy dziewczyna, którą prowadzi, zasłabła, i Wasię zalała nowa fala strachu.

Warwara wyjaśniła spokojnie, że to siostrzenica, której zrobiło się słabo z powodu utraty krwi. Równocześnie coraz bardziej siniaczyła przedramię Wasi, gdy ciągnęła ją na brzeg rzeki i dalej, w ciemność pod młodymi drzewami porastającymi podgrodzie. Wasia próbowała zrozumieć, co się właściwie dzieje.

Warwara zatrzymała się nagle przy młodym dąbku, bezlistnym pod koniec zimy.

– Północnico – przemówiła w ciemność.

Wasia знаła osobę – diabolicę – zwaną Północnicą. Ale co służąca jej siostry może wiedzieć o...

Z cienia wyłonił się Niedźwiedź, blask ognia rysował pasy na jego twarzy. Wasia cofnęła się odruchowo. Warwara powiodła wzrokiem za jej spojrzeniem jak niewidoma, wpatrując się nieprzytomnie w ciemność.

– Myślałaś, że cię zgubię? – zagadnął Niedźwiedź, na wpół gniewny, na wpół rozbawiony. – Cuchniesz strachem. Za tym zapachem trafiłbym wszędzie.

Warwara nie mogła go zobaczyć, jednak zacisnęła kurczowo rękę na przedramieniu Wasi, która uświadomiła sobie, że służąca też go usłyszała.

– Żarłok – wyszeptała Warwara. – Tutaj? Północ... Znad rzeki docierały głosy rozpraszającego się tłumu.

Niedźwiedź obrzucił Warwarę pytającym spojrzeniem.

– Ty jesteś tą drugą, prawda? Zapomniałem, że staruszka miała bliźniaczkę. Jak tego dokonałaś, że żyjesz tak długo?

Wasi wydawało się, że te słowa powinny mieć jakiś sens, lecz zrozumienie umknęło jej, zanim zdołała je uchwycić.

– Ona zamierza wyprawić cię przez Północ – zwrócił się Niedźwiedź do Wasi. – Na twoim miejscu nie zgodziłbym się na to. Umrzesz tam, to równie pewne jak śmierć w ogniu.

Głosy rozchodzącego się tłumu zbliżały się, w miarę jak ludzie przecinali lasek, by dotrzeć na podgrodzie. Za chwilę ktoś je zobaczy, a wtedy... Wśród drzew rozbłyskały pochodnie. Jakiś mężczyzna dostrzegł Wasię i Warwarę.

– Co tu robicie takie przyczajone?

– Dziewczeta! – rozległ się drugi głos. – Spójrzcie na nie, zupełnie same. Po takim widowisku mógłbym mieć dziewczynę...

– Możesz zginąć z ich rąk albo pójść teraz ze mną – zwrócił się Niedźwiedź do Wasi. – Mnie tam wszystko jedno, już więcej cię o to nie spytam.

Wasia jedno oko miała tak spuchnięte, że nie mogła go otworzyć, drugie zaszło jej mgłą, być może to dlatego nie od razu dostrzegła czwartą postać przyglądającą im się z cienia. Miała fioletowoczarną skórę, włosy zaś białe, kosmyki opadały na oczy przypominające dwie gwiazdy. Bez słowa przenosiła wzrok z dwóch kobiet na Niedźwiedzia i z powrotem.

Był to demon zwany Północnicą.

– Nie rozumiem – wyszeptała Wasia. Stała jak wmurowana między Warwarą, która miała swoje sekrety, a Niedźwiedziem, który proponował zdradzieckie bezpieczeństwo.

Za nimi stała milcząca Północnica. Las za jej plecami jakby się zmienił. Był teraz gęstszy, dzikszy, ciemniejszy.

– Co widzisz? – spytała Warwara cicho i zapalczywie, przykładając usta do ucha Wasi.

– Niedźwiedzia – odszepnęła Wasia. – I demona zwanego Północnicą. I... ciemność. Za nią rozciąga się ciemność, straszna ciemność. – Dygotała od stóp do głów.

– Biegnij w tę ciemność – poleciła Warwara. – Taką otrzymałam wiadomość. I obietnicę. Dotknij młodego dębka i biegnij w ciemność. To droga stąd aż do dębu nad jeziorem. Droga przez Północ otwiera się każdej nocy przed tymi, którzy mają oczy, żeby widzieć. Nad jeziorem znajdziesz schronienie. Zachowaj to w pamięci: lśniaca tafla wody i wielki dąb, który rośnie na łukowatym brzegu. Biegnij w ciemność i bądź dzielna.

Komu ufać? Głosy mężczyzn stawały się coraz głośniejsze. Ich chrzęszczące kroki przeszły w bieg. Miała do wyboru ogień albo ciemność, albo diabła pomiędzy nimi.

– Biegnij, leć! – krzyknęła Warwara. Położyła zakrwawioną dłoń Wasi na korze dębu i pchnęła dziewczynę. Wasia zatoczyła się do przodu. Ciemność się zbliżyła, a wtedy ręka Niedźwiedzia zacisnęła się na jej ramieniu na moment przed tym, nim pochłonęła ją noc. Odwrócił Wasię twarzą do siebie, jej zdrętwiałe nogi niezdarnie szurały po śniegu.

– Zanurz się w ciemność – wycharczał – a umrzesz.

Nie miała słów, nie została w niej nawet odrobina odwagi czy oporu. Nie zareagowała. Jeśli zebrała resztki sił, by wyrwać się Niedźwiedziowi i rzucić w ciemność, to tylko dzięki pragnieniu ucieczki od niego, od zgiełku, od zapachu ogniska.

Wyszarpnęła się z jego uścisku i skoczyła w mrok. Światła i hałasy Moskwy natychmiast zniknęły. Była sama w lesie, pod dziewiczym niebem. Zrobiła krok do przodu i jeszcze jeden. A potem potknęła się, upadła na kolana i nie zdołała już się podnieść. Ostatnim, co usłyszała, był jakby znajomy głos: „Umarła, ot tak? Cóż, może starucha jednak się myliła”.

Gdzieś za nią Niedźwiedź znów się śmiał.

Wasia leżała bez ruchu, nieprzytomna.

W prawdziwym świecie oddech Niedźwiedzia z sykiem wydobywał się spomiędzy jego zębów, wciąż zaprawiony gniewnym śmiechem. Odezwał się do Warwary:

– No i ją zabiłaś. Nie musiałem nawet łamać słowa danego bratu. Dziękuję ci za to.

Warwara nie odpowiedziała. „Największą mocą Żarłoka jest znajomość ludzkich pragnień i słabości”. Matka Warwary dużo ją nauczyła o zwyczajach czartów. Warwara starała się zapomnieć, co wie. Jakie to ma znaczenie? Nie potrafiła ich zobaczyć, co siostra z upodobaniem jej przypominała.

Ale teraz Żarłok jest na wolności, a jej matka i siostra odeszły.

Zataczając się, nadeszli dwaj pijani młodzi mężczyźni. W ich oczach płonął żarłoczny blask.

– No, jesteś stara i brzydka, ale się nadasz – stwierdził jeden z nich.

Warwara bez słowa kopnęła pierwszego w krocze, a drugiego zdzieliła łokciem. Obaj ze skowytem padli na śnieg. Usłyszała zadowolone

westchnienie Niedźwiedzia. „Przede wszystkim – mówiła jej matka – miłuje on wojsko, walkę i przemoc”.

Unosząc spódnicę, Warwara puściła się pędem w stronę świateł, chaosu podgrodzia i dalej, na wzgórze kremla. Biegając, słyszała w głowie głos Niedźwiedzia, chociaż nie wykonał żadnego ruchu, by ją dogonić.

– Muszę podziękować ci raz jeszcze, Bezoka, że mała wiedźma nie żyje, a ja nie złamałem obietnicy.

– Nie dziękuj mi jeszcze – wycodziła Warwara przez zaciśnięte zęby. – Jeszcze nie.



Część druga





5.

Kuszenie

Klatka runęła w kaskadzie iskier akurat w chwili, kiedy Sasza i Dymitr przedarli się przez krąg gapiów i zaczęli rozgarniać ognisko rękojeściami włóczni. Chaos osiągnął apogeum.

Konstanty Nikonowicz wymknął się, korzystając z zamętu, naciągnawszy kaptur na złote włosy. Powietrze było gęste od dymu, oszalały tłum potrącał go, nieświadom, kim jest. Zanim kłody ogniska zostały rozrzucone, Konstanty niepostrzeżenie przemierzył podgrodzie i chyłkiem sunął w stronę monasteru.

Nawet nie zaprzeczyła, że jest winna, rozmyślał, śpiesząc przez na wpół zmrożoną śnieżną breję. Podpałiła Moskwę. To słuszny gniew ludu sprowadził na nią karę. Kto mógłby winić jego, świętego męża?

Jest martwa. Jego zemsta została dopełniona.

Miała siedemnaście lat.

Gdy tylko dotarł do swojej celi i zamknął za sobą drzwi, wybuchnął przypominającym szloch śmiechem. Śmiał się z tych wszystkich potakujących, pełnych uwielbienia tępych twarzy Moskwian, przyjmujących każde jego słowo jak Ewangelię, śmiał się też na wspomnienie twarzy Wasi i strachu w jej oczach. Śmiał się nawet z ikon na ścianie, z ich surowości i milczenia. Po chwili stwierdził, że jego śmiech przechodzi w płacz. Z gardła wydobywały się odgłosy cierpienia, wbrew jego woli. Musiał wetknąć sobie pięść do ust, żeby stłumić te dźwięki.

Wasilisa nie żyje. To okazało się takie łatwe. Być może jako demon, czarownica, bogini istniała tylko w jego umyśle.

Próbował się opanować. Ludzie byli w jego dłoniach niczym glina, a pożar Moskwy dodatkowo ich zmiękczył. Nie zawsze będzie aż tak łatwo. Jeśli Dymitr Iwanowicz odkryje, że Konstanty podburzał tłum, w najlepszym razie zobaczy w nim zagrożenie dla swojej władzy, a może nawet mordercę kuzynki. Konstanty nie był pewny, czy jego nowo zdobyte wpływy wystarczą, by stawić czoła gniewowi Wielkiego Księcia.

Był tak pochłonięty łkaniem, chodzeniem w tę i we w tę po celi i biciem się z myślami, że nie zauważył cienia na ścianie, dopóki ten nie przemówił:

– Płaczesz jak dziewczyna? Tej nocy czy każdej? Co ty wyprawiasz, Konstanty Nikonowiczu?

Konstanty odskoczył, wydając dźwięk zbliżony do krzyku.

– To ty – wyjąkał, oddychając jak dziecko, które boi się ciemności. Po czym dodał: – Nie. – I wreszcie: – Gdzie jesteś?

– Tutaj – odrzekł głoś.

Konstanty odwrócił się, lecz zobaczył jedynie własny cień rzucany przez lampę.

– Nie, tutaj. – Tym razem wydawało się, że to mówi ikona Najświętszej Marii Panny. Kobięca twarz pod złoceniem łypała na niego pożądliwie. To wcale nie była Maria Panna, lecz Wasia z rozpuszczonymi czerwono-czarnymi włosami, miała tylko jedno oko i pokrytą bliznami twarz. Konstanty zdusił krzyk przerażenia.

Wtedy głos przemówił po raz trzeci, tym razem z jego pryczy, brzmiał w nim śmiech.

– Nie, tutaj, nieszczęsny głupcze.

Konstanty spojrział i zobaczył... mężczyznę.

Mężczyznę? Stwór na jego łóżku wyglądał jak mężczyzna, choć w żadnym monastyrze takiego nie widziano. Z uśmiechem rozpierał się na pryczy, miał potargane włosy i bose stopy. Ale jego cień... miał pazury.

– Kim jesteś? – spytał Konstanty, oddychając szybko.

– Nigdy wcześniej nie widziałeś mojej twarzy? – zapytał stwór. – Ach nie, zimą widziałeś moje zwierzęce wcielenie i cień, lecz nie człowieka. – Wstał powoli. Był tego samego wzrostu co Konstanty. – Nieważne. Znasz mój głos. – Spuścił wzrok jak dziewczyna. – Podobam ci się, człeku boży? – Jedna strona jego ust, ta bez blizn, wykrzywiła się w uśmiechu.

Konstanty przywarł plecami do drzwi, zatykając pięścią usta.

– Pamiętam. Jesteś diabłem.

Mężczyzna – czart – słysząc te słowa, podniósł wzrok, jego jedyne oko rozbłysło.

– Ja? Ludzie mówią na mnie Niedźwiedź, jeśli w ogóle jakoś mnie nazywają. Nigdy nie przyszło ci do głowy, że zarówno niebo, jak i piekło są bliżej ciebie, niż chciałbyś wierzyć?

– Niebo?! Bliżej?! – wykrzyknął Konstanty. Czuł na plecach każdą wypukłość drewnianych drzwi. – Bóg mnie opuścił. Oddał mnie diabłom. Nie ma żadnego nieba. Jest tylko ten świat z gliny.

– Otóż to – przytaknął demon i rozpostarł szeroko ramiona. – Glina, którą możesz formować, jak zechcesz. Czego pragniesz z tego świata, ojczulku?

Konstanty dygotał.

– Dlaczego pytasz?

– Bo jesteś mi potrzebny. Potrzebuję człowieka.

– Do czego?

Niedźwiedź wzruszył ramionami.

– Ludzie wykonują robotę za diabły, czyż nie? Zawsze tak było.

– Nie jestem twoim sługą. – Głos popa drżał.

– Nie... komu potrzebny sługa? – Niedźwiedź podchodził coraz bliżej, zniżając głos. – Wróg, kochanek, oddany niewolnik, do wyboru, ale sługa...

nie. – Musnął górną wargę czerwonym językiem. – Widzisz, składam hojne propozycje.

Konstanty przełknął ślinę z wysiłkiem, zaschło mu w ustach. Oddychał płytko z żądzą i rozpaczą, miał wrażenie, jakby ściany celi napierały na niego ze wszystkich stron.

– Co dostanę w zamian za... lojalność?

– A co chcesz dostać? – zapytał czart, a jego głos dochodził z tak bliska, że prawie szeptał Konstantemu do ucha.

Konstanty dokonał w duchu rozpaczliwego rozrachunku. Modliłem się... przez wszystkie lata mego życia modliłem się. Ale ty milczałeś, Panie. Jeśli wchodzę w układy z diabłami, to tylko dlatego, że mnie opuściłeś.

Diabeł miał taką minę, jakby śledził jego myśli z bez troską i sekretną rozkoszą.

– Chcę się zatracić w uwielbieniu tłumów. – Konstanty po raz pierwszy w życiu wypowiedział tę myśl na głos.

– Załatwione.

– Pragnę wygód przysługujących książętom – ciągnął pop. Miał uczucie, że zaraz zatonie w oku Niedźwiedzia. – Tłustych mięs i miękkich legowisk. – Ostatnie słowo wypowiedział niemal bezgłośnym szeptem: – Kobiet.

Niedźwiedź się zaśmiał.

– I to też.

– Pragnę ziemskiej władzy – zakończył Konstanty.

– Ile tylko twoje dwie ręce, twoje serce i twój głos mogą zagarnąć. Masz świat u swych stóp.

– Ale czego ty chcesz? – wysapał Konstanty Nikonowicz.

Demon zacisnął w pięść szponiastą dłoń.

– Zawsze pragnąłem jedynie wolności. Ten drań, mój brat, uwięził mnie na polanie na skraju zimy na wiele ludzkich żywotów. W końcu jednak

zapraǳnął czegoś bardziej niż mojego zniewolenia i zostałem oswobodzony. Mogę patrzeć na gwiazdy, wdychać zapach dymu i czuć smak ludzkiego strachu. – Po chwili dodał ciszej: – Stwierdziłem, że czarty nikną, stały się cieniami samych siebie. Ludzie podporządkowują teraz swoje życie dźwiękom przeklętych dzwonów. Zamierzam zatem obalić te dzwony, a przy okazji obalić Wielkiego Księcia, podpalić cały ten mały ruski światek i zobaczyć, co wyrośnie z popiołów.

Konstanty wpatrywał się w niego z fascynacją i bojaźnią.

– Podobałoby ci się to, prawda? – zapytał Niedźwiedź. – Dopiero dałbyś temu twojemu Bogu nauczkę za to, że tak cię ignorował. – Odczekał chwilę, po czym podjął bardziej prozaicznie: – A tymczasem chcę, żebyś dzisiaj poszedł tam, dokąd ci rozkażę, i zrobił, co ci powiem.

– Dzisiaj? W mieście panuje niepokój, minęła północ i...

– Boisz się, że ktoś zobaczy, jak po północy zadajesz się ze złymi mocami? Cóż, zostaw to mnie.

– Dlaczego? – spytał Konstanty.

– A dlaczego nie?

Konstanty nie odpowiedział. Diabeł szepnął mu do ucha:

– Wolałbyś tu zostać i rozpamiętywać jej śmierć? Siedzieć w ciemności i pożądać umarłej dziewczyny?

Konstanty poczuł w ustach smak krwi, bo zacisnął zęby i przygryzł sobie policzek.

– Była czarownicą. Zasłużyła na śmierć.

– To jeszcze nie znaczy, że nie miałeś z tego przyjemności – wymamrotał diabeł. – Myślisz, że dlaczego przyszedłem do ciebie po raz pierwszy?

– Była brzydka.

– Była nieposkromiona jak morze. I jak morze pełna tajemnic.

– Umarła – stwierdził Konstanty beznamiętnie, jakby wypowiedzenie tego słowa mogło zatrzeć wspomnienia.

Diabeł uśmiechnął się tajemniczo.

– Umarła...

Konstanty poczuł, że powietrze gęstnieje mu w płucach, jakby wdychał dym.

– Nie ma czasu do stracenia – oznajmił Niedźwiedź. – Pierwszy cios... pierwszy cios trzeba zadać dziś.

– Już raz mnie przechytryłeś – przypomniał Konstanty.

– I mogę zrobić to znowu – odrzekł Niedźwiedź. – Boisz się?

– Nie. W nic już nie wierzę i niczego się nie boję.

Niedźwiedź się zaśmiał.

– I tak być powinno. Bo tylko wtedy możesz zagrać o wszystko, jeśli nie boisz się przegrać.



6.

Ani kości, ani ciała

Dymitr i jego ludzie rozebrali stos na rzece. Sasza pracował wraz z innymi w strasznej, beznadziejnej desperacji. Wreszcie na pobrużdżonym, parującym lodzie rozciągało się całe pole żarzących się kłód. Trudno było stwierdzić, które zwęglone kawałki są częściami klatki. Tłum się rozpierchł, nastąpiła najzimniejsza i najmroczniejsza część nocy. Stali na polu dogasającego ognia pomiędzy zimną ziemią a wiosennymi gwiazdami.

Potworna siła, która pchała Saszę do działania, nagle zniknęła. Oparł się o pachnący dymem bok swojej klaczy. Nic. Po Wasi nie został żaden ślad. Nie mógł opanować drżenia.

Dymitr odgarnął z czoła kosmyk włosów i zrobił znak krzyża.

– Niech spoczywa w Bogu – powiedział cicho, kładąc dłoń na ramieniu kuzyna. – Nikt nie może dochodzić sprawiedliwości w moim mieście bez mego pozwolenia. Pomścimy ją.

Sasza milczał, a Wielkiego Księcia zdumiał wyraz jego twarzy. Dostrzegwał na niej, co rozumiałe, ból i gniew. Ale także... zdziwienie?

– Bracie? – zagadnął Dymitr.

– Spójrz – szepnął Sasza. Kopnięciem odsunął na bok jedną kłodę, potem następną i wskazał pozostałości klatki.

– Co? – spytał Dymitr ostrożnie.

– Ani kości – Sasza przełknął ślinę – ani ciała.

– Spaliły się – orzekł Dymitr. – Ogień był gorący.

Sasza wolno pokręcił głową.

– Nie płonął wystarczająco długo.

– Chodź – powiedział Dymitr z troską. – Kuzynie, wiem, że chciałbyś, aby żyła, ale ona weszła do klatki. Nie mogłaby z niej wyjść.

– Nie. – Sasza odetchnął głęboko. – Nie, to byłoby niemożliwe. – Mimo to raz jeszcze obrzucił spojrzeniem piekielny czerwono-czarny krajobraz na rzece, po czym pośpiesznie dosiadł swojej klaczy. – Dołączę do siostry.

Zapadła złowroga cisza. Po chwili Dymitr zrozumiał.

– Dobrze – powiedział. – Powiedz księżnej sierpuchowskiej, że ja... że przykro mi z powodu jej cierpienia, a także twojego. Wasia... była... dzielną dziewczyną. Bóg z tobą.

Słowa, tylko słowa. Sasza wiedział, że Dymitr nie może całym sercem żałować śmierci Wasi. Stanowiła problem, którego nie potrafił rozwiązać. A jednak w ognisku nie było żadnych kości. No i Wasia... nie dało się do końca przewidzieć, co zrobi. Sasza ruszył galopem w górę ku podgrodziu i bramie Moskwy.

Dymitr ściągnął brwi i odwrócił się, by wydać rozkazy swoim ludziom i przywołać strażników. Był bardzo zmęczony i miał poczucie, że ten ogień, który zapłonął w Moskwie po raz drugi, był na swój sposób równie niszczycielski jak pierwszy.

Sasza ze zgrozą patrzył na roztrzaskaną bramę pałacu Olgi i zdeptany dziedziniec. Wielki Książę jednak przysłał część swoich żołnierzy, tylu, ilu mógł, a oni przywrócili jaki taki porządek i chronili budynki gospodarcze przed złupieniem. Na dziedzińcu panował spokój.

Minął ludzi Dymitra, pozdrowiwszy ich serdecznym słowem. Kilku stajennych zdążyło wrócić po tym, gdy wściekła tłuszcza zeszła nad rzekę.

Sasza zbudził jednego, który drzemał w stajni, i niemal w biegu rzucił mu wodze swojej klaczy.

Śnieg na dziedzińcu był splamiony krwią, a na drzwiach teremu widniały ślady butów i ostrzy. Przestraszona służka zareagowała wreszcie na jego pukanie i Sasza zdołał ją przekonać, żeby go wpuściła.

Olga siedziała przy piecu w swojej sypialni, nie spała jeszcze i wciąż była ubrana. Twarz miała mizerną i szarą w blasku świecy, cienie wyczerpania zmąciły jej mleczną urodę. Masza łkała histerycznie z buzią ukrytą na podolku mamy, czarne włosy opływały ją niczym woda. Były tylko we dwie. Sasza zatrzymał się w progu. Olga omiotła spojrzeniem jego brudną, poparzoną oraz ubrudzoną sadzą sylwetkę i zbladła.

– Jeśli masz jakieś wieści, mogą poczekać – powiedziała, spoglądając znacząco na córkę.

Sasza nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Jego nikła, przerażająca nadzieja wydawała się głupia wobec zbryzganego krwią dworu, a także dzikiej rozpaczy Maszy.

– Czy z Maszą wszystko dobrze? – zapytał, przemierzając pokój i klękając obok siostry.

– Nie – odparła Olga.

Masza uniosła głowę, od płaczu miała wokół oczu sine obwódki.

– Zabili go! – szlochała. – Zabili go, a on nie skrzywdziłby nikogo, tylko złych ludzi, uwielbiał kaszę, a oni nie powinni go zabijać! – Spojrzenie miała zawzięte. – Poczekam, aż wróci Wasia, a wtedy razem pójdziemy zabić wszystkich tych, którzy zrobili mu krzywdę! – Jej miotające pioruny oczy znów napełniły się łzami. Wściekłość ucichła równie szybko, jak wezbrała. Skuliła się, łkając głośno w spódnicę matki.

Olga głaskała córeczkę po włosach. Z bliska Sasza zobaczył, że drży jej ręka.

– Tłum był rozwścieczony – odezwał się cicho. – Wasia...

Olga położyła palec na ustach, zerkając na szlochającą Maszę, po czym zamknęła na moment swoje czarne oczy.

– Bóg z nią – szepnęła.

Masza uniosła głowę.

– Wujku Saszo, czy Wasia wróciła z tobą? Ona nas potrzebuje, będzie jej smutno.

– Maszo... – zaczęła Olga łagodnie – musimy modlić się za Wasię. Obawiam się, że nie wróciła tutaj.

– Ale ona...

– Ciii... Nie wiemy, co dokładnie się stało. Musimy poczekać, aż poznamy prawdę. Poranki są mądrzejsze od wieczorów. Chodź, może trochę pośpisz?

Masza nie chciała spać. Zerwała się na nogi.

– Nie wróciła! – wykrzyknęła. – Dokąd pójdzie, jeśli nie wróciła tutaj?

– Może poszła do Boga – odparła Olga spokojnie. Nie okłamywała dzieci. – Jeśli tak, módlmy się o spokój jej duszy.

Dziewczynka przenosiła wzrok z matki na wuja, z przerażenia aż otworzyła usta. A potem odwróciła głowę, jakby w pokoju odezwał się ktoś jeszcze. Sasza powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem w kąt za piecem. Nikogo tam nie było. Dreszcz przebiegł mu po krzyżu.

– Wcale nie! – zawyła Masza, wyrrywając się z objęć matki. Otarła mokre oczy. – Ona nie jest z Bogiem. Mylisz się! Jest... gdzie? – zwróciła się do pustej przestrzeni nad podłogą. – Północ to nie miejsce.

Sasza i Olga spojrzeli na siebie.

– Maszo... – zaczęła Olga.

Nagle dał się słyszeć jakiś ruch przy drzwiach. Wszyscy podskoczyli. Sasza odwrócił się gwałtownie, kładąc brudną dłoń na rękojeści miecza.

– To ja – odezwała się Warwara. Jasny warkocz miała potargany, ubranie uwalane sadzą i krwią.

Olga wytrzeszczyła oczy.

– Gdzieś ty była?

– Wasia żyje – oznajmiła Warwara bez wstępów. – W każdym razie żyła, kiedy ostatnio ją widziałam. Chcieli ją spalić na stosie, lecz ona wyłamała pręty klatki i niepostrzeżenie zeskoczyła. Wyprowadziłam ją z miasta.

Sasza miał nadzieję, jednak tak naprawdę nie sądził, by...

– Niepostrzeżenie? – Ale zaraz pomyślał o ważniejszych sprawach. – Gdzie? Czy została ranna? Gdzie ona jest? Muszę...

– Tak, jest poraniona, została pobita przez wściekły tłum – odparła Warwara z goryczą. – Była też bliska obłędu z powodu magii, która spłynęła na nią zniecka wskutek jej desperacji. Ale żyje, a jej rany nie są śmiertelne. Uciekła.

– Gdzie jest teraz? – spytała Olga ostro.

– Wędruje drogą przez Północ. – Na twarzy Warwary malowało się przedziwne połączenie zdumienia i żalu. – Może nawet dotrze nad jezioro. Zrobiłam, co mogłam.

– Muszę do niej jechać – powiedział Sasza. – Gdzie jest ta droga przez Północ?

– Nigdzie – odrzekła Warwara. – I wszędzie. Ale tylko o północy. A północ już minęła. Tak czy owak, nie masz daru widzenia, mocy, by wejść samotnie na drogę Północy. Wasia jest poza twoim zasięgiem.

Olga spoglądała chmurnym wzrokiem to na Maszę, to na Warwarę.

Sasza nie wierzył własnym uszom.

– I mam dać wiarę twoim słowom? Opuścić siostrę w potrzebie?

– Nie opuszczasz Wasi, po prostu nie masz wpływu na jej los. – Warwara usiadła na stołku, jakby wcale nie była służącą. W jej zachowaniu zaszła subtelna zmiana. Spojrzenie miała uważne i zatroskane. – Żarłok jest na wolności – oznajmiła. – Stwór, którego ludzie nazywają Niedźwiedziem.

Nawet kiedy Wasia powiedziała im prawdę, po tym, gdy Moskwa stanęła w ogniu i została ocalona przez śnieżycę, Sasza nie bardzo mógł

uwierzyć w opowieści siostry o diabłach. Już miał ponownie poprosić, żeby Warwara wyjaśniła mu, gdzie dokładnie jest Wasia, kiedy Olga spytała:

– Co to znaczy, że Niedźwiedź jest na wolności? Co to za Niedźwiedź? I czym grozi to, że jest wolny?

– Nie wiem – odparła Warwara. – Niedźwiedź jest jednym z najpotężniejszych czartów, to pan nieczystych sił na ziemi. – Mówiła powoli, jakby przypominając sobie dawno zapomnianą lekcję. – Jego główna umiejętność polega na czytaniu ludziom w myślach i naginaniu ich do swojej woli. Ze wszech miar kocha chaos i zniszczenie i będzie starał się siał zamęt, gdzie tylko zdoła. – Potrząsnęła głową i nagle znów stała się pokojówką Warwarą, bystrą i praktyczną. – To musi poczekać do jutra, teraz wszyscy jesteśmy śmiertelnie zmęczeni. No już, ta szalona dziewczyna żyje i jest poza zasięgiem zarówno przyjaciół, jak i wrogów. Czy możemy wszyscy pójść spać?

Zapadła cisza. Wreszcie Sasza powiedział ponuro:

– Nie... Jeśli nie mogę do niej jechać, to przynajmniej chcę się pomodlić. Za moją siostrę, za to obłąkane miasto.

– To miasto nie jest obłąkane – zaprotestowała Masza. Śledziła rozmowę dorosłych z zawziętym spojrzeniem czarnych oczu, po czym odwróciła głowę, by posłuchać niewidzialnej dla innych istoty nad podłogą.

– To mężczyzna o złotych włosach, to on ich do tego zmusił. Przemawiał do nich i wzbudził w nich złość. – Zaczęła dygotać. – To on przyszedł do mnie zeszłej nocy i kazał mi iść za sobą. Ludzie go słuchają. Ma piękny głos. A on nienawidzi cioci Wasi.

Olga chwyciła córeczkę w ramiona. Wyczerpana Masza szlochała bezdźwięcznie.

– Cicho, kochanie – uspokajała ją matka.

Sasza poczuł, że twarz mu tężeje.

– Złotowłosy pop. Konstanty Nikonowicz... – wycedził.

– Nasz ojciec przyjął go pod swój dach. Ty sprowadziłeś go do Moskwy. A ja mu udzieliłam schronienia w moim pałacu – odrzekła Olga. Jej zwykłe opanowanie nie zdołało ukryć wyrazu jej oczu.

– Pomodłę się teraz – postanowił Sasza. – Jeśli do tego miasta przybył diabeł, mogę mu się przeciwstawić jedynie poprzez modlitwę. Jutro natomiast udam się do Dymitra Iwanowicza. Dopilnuję, żeby ten pop został osądzony i żeby sprawiedliwości stało się zadość.

– Musisz go zabić swoim mieczem, wujku Saszo – powiedziała Masza. – Bo myślę, że on jest bardzo zły.

Sasza ucałował je obie i opuścił komnatę, nic więcej nie mówiąc.

– Dziękuję, że ocaliłaś życie naszej siostrze – zwróciła się Olga do Warwary.

Ta nie odpowiedziała, uścisnęła tylko dłoń Olgi. Znały się od tak dawna, że słowa nie były potrzebne.

– A teraz powiedz mi coś więcej o tym demonie, który przybył do Moskwy – poprosiła Olga. – Jeśli to dotyczy bezpieczeństwa mojej rodziny, nie może czekać do rana.



7.

Połówór

W innej części Moskwy, w czarnej i zimnej godzinie przed świtem pewien wieśniak leżał bezsennie wraz z żoną na piecu swego brata. Poprzedniej nocy stracili w pożarze chatę, cały dobytek i pierworodne dziecko i od tamtej pory żadne z nich nie mogło zmrużyć oka.

Nagle rozległo się ciche i natarczywe pukanie w okno.

W dole, na podłodze, rodzina brata zaczęła się wiercić. Pukanie nie ustawało, monotonne, najpierw do okna, potem do drzwi.

– Kto to może być? – wymamrotał mąż.

– Może ktoś w potrzebie? – odparła żona głosem ochrypłym od płaczu. – Otwórz.

Mąż niechętnie zsunął się z pieca i podreptał do drzwi, potykając się o śpiących na podłodze członków rodziny brata. Otworzył wewnętrzne drzwi i odryglował zewnętrzne.

Żona usłyszała pojedynczy krzyk przypominający szloch, i nic więcej. Pośpiesznie dołączyła do męża.

W progu stała mała postać. Szczerniała skóra schodziła z niej płatami, przez rozdarcia w ubraniu przeświecały kawałki białych kości.

– Mamusiu? – wyszeptała żałosna istotka.

Matka zmarłego dziecka wrzasnęła przeraźliwie, ten wrzask mógłby obudzić umarłych – tyle że ci już się obudzili. Obudził też sąsiadów

śniących niespokojne sny o niedawnym realnym pożarze. Ludzie otwierali okiennice i drzwi.

Dziecko nie weszło do domu. Odwróciło się i ruszyło drogą przed siebie. Szło jak pijane, zataczając się. W świetle księżyca spojrzenie jego oczu wydawało się niepewne, przestraszone, lecz zarazem uważne.

Wyrwani ze snu sąsiedzi gapili się na nie i pokazywali je palcami.

– Matko Boska!

– Kto to?

– Co to?

– Dziecko?

– Jakie dziecko?

– Boże, miej nas w opiece, to mały Andriusza, ale on przecież nie żyje...

– Nie! – krzyknęła matka dziecka. – Nie, wybacz mi! Tu jestem. Maleńki, nie zostawiaj mnie!

Pobiegła za zmarłym chłopcem, potykając się o na wpół zmrożone wertepy. Jej mąż ruszył chwiejnie za nią. Wśród przerażonych ludzi na drodze był pop. Mąż złapał go za sutannę i pociągnął za sobą.

– *Batiuszka*, zrób coś! – krzyknął. – Spraw, żeby on odszedł! Pomódl się...

– Upiór!

To słowo – straszne słowo z legendy, sennego koszmaru i z bajki – przekazywano sobie z domu do domu, w miarę jak do ludzi docierało, co właściwie widzą. Słowo to z sykiem wędrowało uliczką w jedną i w drugą stronę, narastając, aż przerodziło się w jęk, a potem w krzyk.

– Umarły chłopiec. On powstał z martwych. Umarli wychodzą z grobów. Jesteśmy przeklęci. Biada nam!

Chaos nasilał się z każdą chwilą. Zapalano gliniane lampy, pochodnie tworzyły świetliste złote punkciki pod bladym księżycem. Rozlegały się krzyki. Ludzie mdleli, płakali albo wzywali na pomoc Boga. Niektórzy

otwierali drzwi i wybiegali na drogę, żeby zobaczyć, co się dzieje. Inni barykadowali się w domach i modlili całymi rodzinami.

A martwy chłopiec wciąż szedł na chwiejnych nogach w stronę wzgórza kremla.

– Synku! – wysapała jego matka, podbiegając do niego. Nie miała odwagi go dotknąć. Poruszał się sztywno, chwiejnie, inaczej niż za życia, lecz w jego oczach – była tego pewna – pozostało coś z jej synka. – Moje maleństwo, co to za koszmar? Czy Bóg odesłał cię do nas z powrotem? Czy przybywasz z jakimś ostrzeżeniem?

Martwe dziecko odwróciło głowę i znów pisnęło:

– Mamusiu?

– Tu jestem – wyszeptała kobieta, wyciągając ku niemu rękę. Skóra na twarzy chłopca łuszczyła się pod jej dotknięciem.

Mąż pchnął popa do przodu.

– Zrób coś, na miłość boską!

Pop, choć wargi mu drżały, pokuśtykał przed siebie i uniósł trzęsącą się rękę.

– Zjawo, nakazuję ci...

Dziecko podniosło wzrok, spojrzenie miało błędne. Gapie cofnęli się, przeżegnali i patrzyli... Chłopczyk omiótł wzrokiem ich twarze.

– Mamusiu? – wyszeptał po raz ostatni. I skoczył.

Niezbyt szybko, osłabiły go rany i śmierć, poruszał się niezdarnie na wątych członkach. Jego matka nie stawiała oporu. Wampir wbił zęby w jej pomarszczoną szyję.

Wydała bulgotliwy okrzyk bólu i miłości, przytuliła synka, charcząc w agonii i przemawiając łagodnie na jednym oddechu.

– Tu jestem – szepnęła.

A mała zmarła istotka wymazała się jej krwią, kiwając głową w przód i w tył niby potworna karykatura dziecka.

Ludzie uciekali z krzykiem.

Aż nagle z położonej wyżej ulicy ozwał się dźwięczny głos i ze wzgórza zszedł ojciec Konstanty. Kroczył zamasyście, zawzięty, dostojny, o złotych włosach posrebrzanych blaskiem księżycy.

– Ludu Boży! – wołał. – Jestem tutaj, nie lękajcie się ciemności. – Jego głos brzmiał jak dzwony cerkiewne o świcie. Długa szata migotała przy każdym ruchu. Minął męża, który padł na kolana, bezradnie wyciągnąwszy rękę.

Z werwą żołnierza dobywającego miecza Konstanty uczynił znak krzyża.

Mały upiór syknął. Twarz miał czarną od krwi.

Za Konstantym czaił się jednooki cień w upojeniu śledzący tę tandetną i krwawą scenę, lecz nikt go nie widział. Nawet Konstanty, który nie patrzył za siebie. Może naprawdę zapomniał, że to nie tylko jego głos poskramia upiora.

– Odejdź, diable – rozkazał Konstanty. – Wracaj tam, skąd przyszedłeś. I nie nękać już żywych.

Wampir syknął. Uciekający tłum zamarł w pół kroku. Ci, którzy byli najbliżej, patrzyli z niemą fascynacją. Przez dłuższą chwilę upiór i pop zwarli spojrzenia jakby w potwornej walce woli. Jedynym dźwiękiem był charkot konającej matki.

Ktoś uważny mógłby dostrzec, że zmarły chłopiec nie patrzy na Konstantego, lecz nieco dalej. Za plecami popa jednooki cień machnął ręką w nieznoszącym sprzeciwu geście – w podobny sposób ludzie każą odejść psu.

Wampir warknął jeszcze, ale cicho, jako że moc, która dała mu powtórne życie, oddech i ruch, wygasła. Runął bezwładnie na pierś matki. Nikt nie potrafiłby stwierdzić, które z nich dwojga wydało ostatnie rżące tchnienie.

Mąż spoglądał na ciała swoich bliskich nieruchomo, wstrząśnięty, wyzuty z wszelkich uczuć. Tłum jednak nie na niego patrzył.

– Wycofaj się – syknął Niedźwiedź do ucha Konstantego. – Uważają cię za świętego, nie pora teraz tutaj sterczeć. Jedno kichnięcie i zepsujesz cały efekt.

Konstanty Nikonowicz, otoczony przez otępiałe z nabożnej czci twarze, wiedział to doskonale. Raz jeszcze pobłogosławił ich znakiem krzyża, po czym ruszył pod górę wąską uliczką, krocząc w ciemności z nadzieją, że nie potknie się o zamarznąłą koleinę. Ludzie rozstępowali się przed nim z płaczem.

W Konstantym na wspomnienie mocy, jaką w sobie odkrył, wrzała krew. Po latach modlitw, szczerzej żarliwości został bożym wyrzutkiem, a ten demon mógł uczynić go wielkim pośród ludzi. Wiedział o tym. Jeśli nawet jakiś wewnętrzny głos przestrzegał go szeptem: „on dostanie twoją duszę”, Konstanty nie zważał na to. Jaki niby ma pożytek z tej duszy?

Mruknął jednak, niejako mimowolnie:

– Ta kobieta umarła z powodu twojego widowiska.

Diabeł wzruszył ramionami. Część jego twarzy, ta pokryta bliznami, ginęła w ciemności. Wyglądał zwyczajnie, jeśli nie liczyć stąpających bezgłośnie bosych stóp. Od czasu do czasu zerkał w górę na gwiazdy.

– Niezupełnie umarła. Umarli nie spoczywają spokojnie, kiedy ja jestem w pobliżu. – Konstanty zadrżał. – Nocami będzie krążyła po ulicach, wołając synka. Ale to wszystkim wyjdzie na dobre. Podsyci jeszcze ich strach. – Zerknął z ukosa na popa. – Żałujesz? Za późno na skrupuły, człeku boży. – Konstanty nie odpowiedział. – Na tym świecie nie ma nic oprócz władzy – ciągnął diabeł. – Ludzie dzielą się na tych, którzy mają władzę, i tych, którzy jej nie mają. Do których chcesz należeć, Konstanty Nikonowiczu?

– Przynajmniej jestem człowiekiem – warknął Konstanty. – Ty jesteś tylko potworem.

Białe zwierzęce zęby Niedźwiedzia błysnęły przelotnie w uśmiechu.

– Potwory nie istnieją. – Pop prychnął. – Nie istnieją – powtórzył Niedźwiedź. – Na świecie nie ma ani potworów, ani świętych, tylko niezliczone cienie wplecione w ten sam gobelin, jasne i ciemne. Potwór jednego człowieka jest ukochanym drugiego. Mądrzy to wiedzą.

Dotarli już prawie pod bramę monastynu.

– A zatem jesteś moim potworem, diable? – spytał Konstanty.

Cień w kąciku ust Niedźwiedzia się pogłębił.

– Owszem. I twoim ukochanym. Jeśli chodzi o ciebie, to jedno i to samo.
– Niedźwiedź ujął w dłonie złocistą głowę Konstantego, przyciągnął ją do swej twarzy i pocałował go prosto w usta.

Następnie zniknął w ciemności, śmiejąc się szyderczo.



8.

Między miastem a złem

Brat Aleksander opuścił pałac siostry w szarobłękitnej godzinie przed wschodem słońca. Moskwa wrzała ponuro. Wściekłe wzburzenie miasta przeszło w głębszy niepokój. Dymitr wysłał tylu ludzi, ilu mógł, na ulice – wojowie strzegli bramy kremla, bramy jego pałacu, a także bojarskich domów, lecz wydawało się, że ich obecność tylko podsycą ogólny strach.

Kilka osób, mimo tak wczesnej pory i kaptura, który skrywał jego twarz, rozpoznało Saszę. Dawniej poprosiliby go o błogosławieństwo, teraz rzucali mu wrogie spojrzenia i odciągali dzieci na bok.

Brat tej czarownicy.

Sasza szedł, zacisnąwszy usta. Lepszy mnich może skupiłby się na sprawach nieba, wybaczył i zapomniał zamiast opłakiwać udrękę siostry czy utratę własnej reputacji. Ale też, gdyby był lepszym mnichem, siedziałby teraz w Ławrze.

Słońce ozdobiło horyzont miedzianą krawędzią, a pod topniejącym śniegiem ciurkała woda, kiedy Sasza przekroczył bramę pałacu Wielkiego Księcia i zastał Dymitra rozmawiającego półgłosem z trzema bojarami.

– Bóg z wami – pozdrowił ich Sasza. Bojarzy przeżegnali się, a na ich twarzach malował się frasunek na wpół skryty pod zarostem. Sasza nie mógł ich za to winić.

– Książęcym rodzinom to się nie podoba – odezwał się Dymitr, kiedy bojarzy uklonili się i odeszli, a jego słudzy oddalili się poza zasięg słuchu. – Wcale a wcale. To, że zdrajca omal mnie nie zabił i że ubiegłej nocy straciłem panowanie nad miastem. I... – Dymitr urwał – krążą pogłoski, że w Moskwie widziano demona.

Sasza przypomniał sobie ostrzeżenie Warwary. Być może Dymitr spodziewał się drwiny, lecz on zapytał ostrożnie:

– Jakiego rodzaju... demona?

Dymitr rzucił mu kose spojrzenie.

– Nie wiem. Ale to dlatego ci trzej przyszli do mnie tak wcześnie i w takim popłochu. Oni też słyszeli plotki i boją się, że na miasto ktoś rzucił klątwę. Twierdzą, że ludzie nie mówią o niczym innym, jak tylko o diabłach i zepsuciu. Twierdzą, iż miasto oparło się złu tylko dzięki temu, że pop, zwany ojcem Konstantym, odegnał demona. Powiadają, że to święty i tylko on stoi między miastem a złem.

– Bzdury! – prychnął Sasza. – Wczoraj ten sam ojciec Konstanty podburzył tłum i doprowadził do spalenia Wasi na stosie.

Dymitr zmrużył oczy.

– Podjudzona przez niego tłuszcza wyważyła bramę pałacu mojej siostry Olgi – ciągnął Sasza. – Poza tym on... – zawiesił głos. Chciał powiedzieć „Porwał z łóżka moją siostrzenicę i oddał ją zdrajcy”, lecz Olga zakazała mu tego, przestrzegając go: „Nie waż się mówić na głos, że moja córka opuściła terem tamtej nocy. Zadbaj o sprawiedliwość dla Wasi, jeśli zdołasz, ale co ludzie gadaliby o Maszy?”.

– Możesz tego dowieść? – spytał Dymitr.

Niegdyś Sasza odpowiedziałby pytaniem: „Czyż moje słowo nie wystarczy?”, a Dymitr odparłby: „Oczywiście, bracie” i na tym dyskusja by się zakończyła. Między nich wkradło się jednak kłamstwo, więc Sasza oświadczył:

– Są świadkowie, którzy widzieli ojca Konstantego w tłumie pod pałacem księżnej sierpuchowskiej i przy stosie na rzece.

Dymitr nie odpowiedział wprost:

– Kiedy rano usłyszałem plotki, wysłałem ludzi do monasteru Michała Archanioła z rozkazem, by sprowadzili do mnie tego popa. Lecz jego tam nie było. Był w Soborze Uspienskim, gdzie modlił się i płakał, a pół miasta słuchało go i wpatrywało się w niego z uwielbieniem. Podobno śpiewa jak anioł, a po Moskwie krążą legendy o jego urodzie, pobożności i o tym, jak uwolnił miasto od demonów. Już same te pogłoski czyniłyby go niebezpiecznym, nawet gdyby nie był takim nikczemnikiem, jakim go przedstawiasz.

– Skoro jest niebezpieczny, dlaczego go nie aresztowałeś?

– Nie słuchałeś mnie? Nie mogę wyciągać świętego męża z soboru na oczach połowy miasta. Nie, dzisiaj przyjdzie tutaj, wezwany spokojnie, i wtedy postanowię, co z nim zrobić.

– Podburzył tłum do wyważenia bramy pałacu księżnej sierpuchowskiej – przypomniał Sasza. – Można z nim zrobić tylko jedno.

– Sprawiedliwości stanie się zadość, kuzynie – zapewnił Dymitr, a w jego spojrzeniu kryło się ostrzeżenie. – Jednak ja ją wymierzę, nie ty.

Sasza nie odpowiedział. Na dziedzińcu słychać było uderzenia młotów, nawoływania mężczyzn i rżenie koni. Zza ogrodzenia dobiegał hałas budzącego się miasta.

– Zaordynowałem specjalne nabożeństwo – dodał Dymitr. W jego głosie pobrzmiwało zmęczenie. – Zapędziłem wszystkich biskupów do modlitwy. Nie wiem, co jeszcze moglibyśmy zrobić. Do diabła, nie jestem świątobliwym mężem, żebym mógł rozstrzygać kwestie klątw i demonów. Ludzie są już wystarczająco wzburzeni bez piekielnych pogłosek. Trzeba odbudować miasto i znaleźć tatarskich bandytów.

Konstanty miał wrażenie, że cała Moskwa podąża za nim z soboru do pałacu Wielkiego Księcia. Głosy Moskwian zdawały się go szarpać, a ze wszystkich stron otaczał go smród ludzkich ciał.

– Niedługo wrócę – zapewnił wiernych, przechodząc przez bramę. Czekali na zewnątrz z ikonami, modląc się głośno, lepsi niż setka strażników.

Mimo to, idąc przez dziedziniec, Konstanty czuł na plecach zimny pot. Dymitr miał swoich strażników, uzbrojonych i czujnych. Od tamtego ranka diabeł nie odstępował Konstantego, teraz też beztrudnie kroczył obok, niewidzialny dla nikogo poza nim, i rozglądał się z zaciekawieniem. Konstanty uświadomił sobie ze zgrozą, że Niedźwiedź doskonale się bawi.

Na dziedzińcu stały w grupkach małe demony, stworki strzegące domostw. Na ich widok Konstantego przeszły ciarki.

– Czego one chcą?

Niedźwiedź uśmiechnął się wzgardliwie, łypiąc na czarty.

– Boją się. Cerkiewne dzwony odbierają im moc rok po roku, a jeśli ogniska domowe zostaną zniszczone, całkiem wymrą. Wiedzą, co zamierzam zrobić. – Ukłonił im się szyderczo. – Są skazane na zgubę – dodał wesoło, jakby chciał mieć pewność, że go usłyszą, po czym ruszył dalej.

– I dobrze – mruknął Konstanty, idąc za nim. Spojrzenia domowych czartów zdawały się wbijać w jego plecy.

W sali audiencyjnej czekało na niego dwóch mężczyzn: brat Aleksander i Dymitr Iwanowicz, za którego plecami sztywno niczym posągi stali członkowie jego świty. W pałacu nadal cuchnęło dymem. Jedna ze ścian nosiła ślady mieczy, które siekły ją podczas walki.

Dymitr siedział na rzeźbionym fotelu, brat Aleksander stał czujnie obok.

– Ten cię zabije, jeśli zdoła – stwierdził Niedźwiedź, wskazując Saszę ruchem brody. Sasza zmrużył oczy. Czy Konstanty tylko to sobie

wyobraził, czy mnich rzeczywiście przeniósł na moment wzrok z niego na diabła? Poczł przyplłw paniki.

– Spokojnie – mrukł Niedźwiedź ze wzrokiem wciąż wbitym w Sasę.
– W jego żyłach płynie ta sama krew, co w żyłach naszej czarownicy. On wyczuwa to, czego nie może zobaczyć, ale to wszystko. – urwał. – Nie daj się zabić, człeku boży.

– Konstanty Nikonowiczu – przemówił Dymitr chłodno. Konstanty przełknął ślinę. – Wczoraj pewna dziewczyna, moja krewna, została bez procesu spalona na stosie. Powiadają, że to ty podburzyłeś moskiewski lud do jej zabicia. Co masz do powiedzenia?

– Nie zrobiłem tego – odparł Konstanty, siląc się na spokojny ton. – Próbowałem powstrzymać ludzi przed gorszą przemocą, przed włamaniem się do teremu księżnej sierpuchowskiej i zabicim obecnych tam kobiet. To mi się udało, ale dziewczyny nie zdołałem uratować. – Nie musiał udawać smutku, po prostu pozwolił mu wyłonić się z mieszanki targających nim emocji. – Modliłem się za jej duszę. Nie mogłem powstrzymać gniewu ludzi. Dziewczyna sama się przyznała, że wywołała pożar, który zabił tylu mieszkańców Moskwy.

Trafił w idealny ton: pełen żalu i skruchy. Niedźwiedź parsknął śmiechem. Konstanty z trudem się pohamował, by nie odwrócić się do niego i nie spiorunować go wzrokiem.

Sasa stał nieruchomo.

– Mnich wie, od czego zaczął się pożar – powiedział Niedźwiedź. – Przyciśnij go, nie będzie okłamywał Wielkiego Księcia.

– To kłamstwo – stwierdził Dymitr równocześnie. – Ogień podłożyli Tatarzy.

– Spytaj brata Aleksandra. – Konstanty pozwolił, by jego głos wypełnił salę. – Spytaj świątobliwego mnicha, czy to dziewczyna wywołała pożar. W imię Boże nakazuję mu wyznać prawdę.

Dymitr odwrócił się do Saszy. Oczy mnicha pały gniewem, lecz Konstanty spostrzegł ze zdumieniem, że Niedźwiedź miał rację. Nie

zamierzał kłamać.

– To był wypadek – wyjąkał Sasza. – Dymitrze Iwanowiczu...

Twarz Dymitra stężała, bez słowa odwrócił się do Konstantego. Popa ogarnęła dzika radość, zobaczył, że Niedźwiedź uśmiecha się szeroko. Wymienili znaczące spojrzenia, ich porozumienie było całkowite i Konstanty pomyślał: Może zawsze byłem dotknięty klątwą czytania w myślach tego potwora?

– Ta dziewczyna ocaliła też miasto – mruknął Niedźwiedź. – Ale tego jej brat nie może powiedzieć bez oskarżenia swojej siostry o czary. Szalona dziewczyna! Ma moc godną ducha chaosu – powiedział niemal z uznaniem.

Konstanty zacisnął wargi.

Dymitr szybko opanował emocje.

– Słyszałem także – odezwał się – że wczoraj walczyłeś z demonem i go wypędziłeś.

– Z demonem albo biedną zbłąkaną duszyczką, sam nie wiem. Ale zjawił się w złości, by dręczyć żywych. Modliłem się – teraz Konstanty lepiej panował nad głosem – a Bóg raczył mnie wysłuchać. To wszystko.

– Czyżby? – zapytał brat Aleksander cicho. – A jeśli ci nie uwierzymy?

– Mogę sprowadzić z miasta wielu świadków, by to udowodnić – odrzekł Konstanty z większą pewnością. Mnich miał teraz związane ręce.

Dymitr pochylił się do przodu.

– A więc to prawda? W Moskwie był demon?

Konstanty się przeżegnał.

– To prawda. Martwa istota. Widziałem na własne oczy – powiedział z pochyloną głową.

– Jak sądzisz, *batiuszka*, dlaczego martwa istota pojawiła się w Moskwie?

Konstanty odnotował tę grzecznościową formę. Odetchnął głęboko.

– To kara boska za dawanie schronienia wiedźmom. Ale teraz wiedźma nie żyje, więc może Bóg nam odpuści.

– Mało prawdopodobne – orzekł Niedźwiedź, ale usłyszał go tylko Konstanty.

Niech diabli wezmą tego złotoustego popa, wyrzekął Sasza w myślach. I Wasię też, gdziekolwiek jest. Mógł bowiem bronić jej dobrych intencji i dobrego serca, nie mógł jednak z czystym sumieniem stwierdzić, że siostra jest bez winy. Nie mógł stwierdzić, że nie jest czarownicą. Nie mógł mówić głośno o porwaniu Maszy.

I teraz musi stać przed tym mordercą, słuchać jego półprawd, nie mając dobrych odpowiedzi, a Dymitr, co niewiarygodne, wierzy popowi. Sasza pobladał z wściekłości.

– Czy martwa istota zjawi się znowu? – chciał wiedzieć Dymitr.

– Bóg jeden wie. – Konstanty zerknął w lewo, choć niczego tam nie było. Saszy zjeżyły się włoski na karku.

– W takim razie... – zaczął Dymitr, ale nie dokończył, ponieważ uwagę wszystkich przykuł zgiełk na schodach. Drzwi do sali audiencyjnej się otworzyły.

Do sali wszedł chwiejnie zarządca Dymitra, a za nim mężczyzna w wytwornym, acz przybrudzonym po podróży stroju.

Dymitr wstał. Członkowie jego świty złożyli ukłony. Przybysz był wyższy od Wielkiego Księcia, ale miał takie same szare oczy. Wszyscy od razu go rozpoznali. Był najpotężniejszym człowiekiem w Moskwie, zaraz po Wielkim Księciu, i jedynym prawowitym księciem mającym własny majątek, bez wasalstwa. Włodzimierz Andriejewicz, książę sierpuchowski.

– Witaj, kuzynie. – Dymitr się rozpromienił. Spędzili razem chłopięce lata.

– W mieście widziałem ślady pożaru – Włodzimierz nie bawił się w uprzejmości. – Cieszę się, że Moskwa wciąż stoi. – Spojrzenie miał poważne. Wyglądał mizernie po zimowych podróżach. – Co się stało?

– Był pożar, jak sam widziałeś – odparł Dymitr. – I zamieszki. Wszystko ci opowiem. Ale dlaczego przybywasz w takim pośpiechu?

– Ten tiemnik Mamaj zbiera swoje wojska.

W sali zapadła cisza. Włodzimierz niczym nie złagodził tego ciosu.

– Wywiedziałem się w Sierpuchowie – ciągnął. – Mamaj ma na południu rywala, który z dnia na dzień rośnie w siłę. Żeby stawić czoła temu zagrożeniu, potrzebuje poddaństwa Wielkiego Księstwa Moskiewskiego i naszego srebra. Osobiście wybiera się na północ, by to zdobyć, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Jeśli mu nie zapłacisz, Dymitrze Iwanowiczu, przed jesienią zjawi się w Moskwie. Będziesz musiał zgromadzić srebro i zmobilizować armię, nie ma czasu do stracenia.

Na twarzy Dymitra malowała się dziwna mieszanina gniewu i gorliwości.

– Powiedz mi wszystko, co wiesz – zażądał. – Chodź, napijmy się i... – Sasza spostrzegł z wściekłością, że kuzyn przyjął z ulgą to, że chwilowo może odsunąć na bok wszelkie kwestie diabłów, umarłych oraz odpowiedzialności za rozruchy i spalenie Wasi na stosie. Sprawy dotyczące wojny i polityki były bardziej naglące i budziły mniejsze przerażenie.

Zalany zimną falą gniewu i konsternacji Sasza mógłby przysiąc, że w komnacie ktoś się śmieje.

– Odesłałeś popa bez żadnej kary? – nie dowierzał Sasza. Z trudem panował nad głosem. Od przybycia Włodzimierza Andriejewicza nie było ani chwili, by mógł porozmawiać z kuzynem na osobności. Wreszcie Sasza dopadł Dymitra na dziedzińcu, kiedy ten już dosiadał konia, by obejrzyć spalone części Moskwy. – Sądziś, że Włodzimierz Andriejewicz dobrze to przyjmie? Wasia była jego szwagierką.

– Kazałem aresztować prowodyrów zamieszek – odparł Dymitr. Wziął wodze od stajennego i położył dłoń na końskim kłębie. – Zostaną skazani na śmierć za zniszczenie własności księcia sierpuchowskiego i za krzywdy wyrządzone jego krewnej. Nie zamierzam jednak tknąć tego popa... Nie, posłuchaj mnie, może i jest szarlatanem, ale bardzo dobrym. Widziałeś tłumy pod bramą?

– Widziałem – przyznał Sasza niechętnie.

– Jeśli go zabiję, wybuchną zamieszki. A ja nie mogę na to pozwolić. On panuje nad tłumem, a ja zapanuję nad nim. To człowiek, który łaknie złota i chwały, mimo pozorów wielkiej pobożności. Wieści z południa wszystko zmieniają, wiesz o tym przecież. Mogę albo przycisnąć wszystkich moich bojarów i książąt, a także nieszczęsnych ojców miasta Nowogrodu, prosząc o srebro, albo obrać znacznie trudniejszą drogę i wezwać wszystkich książąt Rusi i stworzyć armię. Przez wzgląd na mój lud spróbuję tego pierwszego, ale nie mogę przy tym być w konflikcie z własnym miastem. Ten człowiek może okazać się użyteczny. Podjąłem już decyzję, Saszo. Zresztą jego opowieść jest wiarygodna. Może mówi prawdę.

– Uważasz zatem, że to ja kłamię? A co z moją siostrą?

– To ona spowodowała pożar – odparł Dymitr zimnym nagle głosem. – Może jej śmierć w ogniu była sprawiedliwa. Ty oczywiście mi o tym nie powiedziałaś. Wygląda na to, że wróciliśmy do punktu wyjścia. Do kłamstw i przemilczeń.

– To był wypadek.

– Mimo wszystko. – Dymitr nie ustępował.

Patrzyli na siebie. Sasza zdawał sobie sprawę, że kruche, z trudem odzyskane zaufanie znowu zostało podkopane. Milczeli.

– Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił – odezwał się wreszcie Wielki Książę. Puścił wodze konia i odciągnął Saszę na bok. – Czy nadal jesteśmy rodziną, bracie?

– Nie udało mi się przekonać Dymitra – Sasza ze znużeniem zdawał relację Oldze. – Pop jest bezkarny. Dymitr zamierza zbierać srebro, żeby uspokoić Tatarów.

Jego siostra cerowała pończochy, zwykłe igły i zwinne dłonie kontrastowały z przepychem haftów na jej sukni. Jedynie gwałtowne ruchy palców zdradzały jej emocje.

– Nie dosięgnie go zatem sprawiedliwość za moją siostrę, za moją córkę i za zniszczoną bramę mojego pałacu? – spytała.

Sasza wolno pokręcił głową.

– Nie teraz. Na razie nie. Ale wrócił twój mąż. Przynajmniej jesteś bezpieczna.

– Tak – odparła Olga beznamietnie. – Wrócił Włodzimierz. Przyjdzie tu do mnie dziś albo jutro, kiedy już przekaże wszystkie informacje, poczyni plany, wykąpie się, zje i pohula z Wielkim Księciem. Wtedy będę mogła mu powiedzieć, że syn, na którego tak czekał, okazał się córką, a ta umarła podczas porodu. Tymczasem po mieście grasuje demon i... Myślisz, że będzie wojna?

Sasza się zawahał, ale zacięta mina Olgi zdawała się rzucać mu wyzwanie: „Tylko spróbuj się nade mną uzalać!”. Przystał więc na zmianę tematu.

– Nie, jeśli Dymitr zapłaci. Mamaj nie może tak naprawdę pragnąć wojny, ma rywala na południe od Saraju. On chce tylko pieniędzy.

– Domyślam się, że ogromnych, skoro zadaje sobie trud powołania armii, żeby je zdobyć – wtrąciła Olga. – Przez całą zimę Wielkie Księstwo Moskiewskie pustoszyli bandyci, a Moskwa dopiero co stanęła w płomieniach. Czy Dymitr zdoła zdobyć pieniądze?

– Nie wiem – przyznał Sasza, po czym dodał: – Olu, on mnie wysyła z Moskwy.

Te słowa sprawiły, że całe jej opanowanie zniknęło.

– Wysyła? Dokąd?

– Do Ławry. Do ojca Sergiusza. Kłopoty z ludźmi i wojskiem Dymitr rozumie, lecz w związku z całym tym gadaniem o złu, czarach, zepsuciu i demonach chce prosić ojca Sergiusza o radę i mnie po niego wysyła. –

Sasza zaczął niespokojnie chodzić po komnacie. – Moskwianie są teraz przeciwko mnie, z powodu Wasi. – To wyznanie sporo go kosztowało. –

Dymitr sądzi, że niemądrze byłoby, gdybym został. Dla twojego dobra i mojego.

Olga obserwowała, mrużąc oczy, jak brat chodzi tam i z powrotem.

– Saszo, nie możesz wyjechać. Nie, kiedy uwolnione zostało takie zło. Masza jest obdarzona taką samą mocą, jak Wasia, a pop, który próbował zabić naszą siostrę, o tym wie.

Sasza przestał chodzić po komnacie.

– Będziesz miała strażników. Rozmawiałem o tym z Dymitrem i Włodzimierzem. Włodzimierz wezwie ludzi z Sierpuchowa. W teremie Masza będzie bezpieczna.

– Tak jak Wasia?

– Wasia opuściła terem.

Olga siedziała nieruchomo. Milczała.

Sasza uklęknął obok niej.

– Olu, muszę jechać. Ojciec Sergiusz jest najświętszym człowiekiem w całej Rusi. Jeśli w mieście grasuje demon, on będzie wiedział, co robić. Ja nie wiem. – Jego siostra nadal milczała. – Dymitr mnie o to prosił – dodał Sasza ciszej. – Zaufał mi.

Olga zacisnęła dłonie na igłach, gniotąc pończochy.

– Bez względu na twoje śluby jesteśmy rodziną i potrzebujemy cię tutaj.

Sasza przygryzł wargę.

– Chodzi o los Rusi, Olu.

– A więc bardziej ci zależy na nieznanym dzieciach niż na moich? – Napięcie ostatnich dni odcisnęło piętno na nich obojgu.

– Dlatego zostałem mnichem. Żebym mógł się troszczyć o cały świat, a nie być uwiązany do jednego jego zakątka. I na co zdałoby się to wszystko, gdybym nie mógł chronić całej Rusi zamiast obszaru lenna jedynie, kilkorga osób zamiast wielu?

– Jesteś taki sam jak Wasia – stwierdziła Olga. – Wydaje wam się, że możecie strząsnąć rodzinne więzy niby koń uprząż. Spójrz, dokąd ją to zaprowadziło. Nie jesteś odpowiedzialny za całą Ruś, ale możesz pomóc zapewnić bezpieczeństwo siostrzenicy i siostrzeńcowi. Nie jedź.

– To zadanie twojego męża... – zaczął Sasza.

– On zostanie tutaj jeden dzień lub tydzień, potem znów wyruszy z jakąś księżącą misją. Jak zawsze – wykrzyknęła Olga łamiącym się głosem. – Nie mogę powiedzieć mu o Maszy. Jak myślisz, co by zrobił z tak naznaczoną córką? Natychmiast, wspaniałomyślnie i przezornie, wysłałby ją do klasztoru. Bracie, proszę!

Olga rządziła w pałacu żelazną ręką, lecz ostatnie dni sprawiły, że uświadomiła sobie swoje ograniczenia. Niewiele mogła zrobić, kiedy wydarzenia przeniosły się poza ściany teremu. A teraz pozostało jej tylko błagać, bo nie miała tak dużej władzy, by zapewnić bezpieczeństwo rodzinie.

– Olu. Twój mąż zadba o to, by strażnicy strzegli bramy, będziesz bezpieczna. Ja nie mogę... nie mogę odmówić Wielkiemu Księciu. Wrócę najszybciej, jak zdołam, z ojcem Sergiuszem. On będzie widział, co zrobić z demonem i... z ojcem Konstantym.

Kiedy to mówił, Olga opanowała złość, znów była nieskazitelną księżną sierpuchowską.

– Jedź zatem, nie potrzebuję cię. – Na jej twarzy malowała się niechęć.

Ruszył w stronę drzwi, lecz przystanął w progu.

– Bóg z tobą – rzucił.

Olga nie odpowiedziała. Kiedy wyszedł w ociekającą wodą szarość wczesnej wiosny, usłyszał jej urywany oddech, jakby próbowała stłumić

szloch.

W Moskwie zapadła noc i miasto trwało w bezruchu, nie licząc żebraków usiłujących się rozgrzać w wiosennej wilgoci, a także bladych domowych duchów, które kręciły się wszędzie i szeptały. W powietrzu bowiem czuło się zmianę, tak samo jak w wodzie pod lodem i w wilgotnym wietrze. Czarty przekazywały sobie plotki, podobnie jak mieszkańcy miasta.

Niedźwiedź krążył bezszelestnie po ulicach, zimny deszcz ziębił mu twarz, a mniejsze czarty chowały się przed nim. Nie zważał na nie. Rozkoszował się dźwiękami i zapachami, powiewem wiatru, nabierającym kształtu owocem swego sprytu. Przybycie tatarskiej armii będzie zrządzeniem losu, które zamierzał w pełni wykorzystać.

Musi mu się udać. Musi. Lepiej zniszczyć cały świat – lepiej samemu zginąć – niż wrócić na ponurą polanę na skraju zimy i przespać kolejne lata. Nie dojdzie do tego. Jego brat jest daleko, uwięziony tak głęboko, że nigdy się nie wyzwoli.

Niedźwiedź uśmiechnął się do obojętnych gwiazd. Niechaj przyjdzie wiosna, później lato, a ja położę kres temu miastu i uciszę dzwony. Za każdym razem, kiedy wybijały klasztorne godziny modlitwy, wzdrygał się lekko. Ludzie są jednak ludźmi, bez względu na to, jakim bogom oddają cześć – czyż nie pozyskał właśnie dla własnych knowań sługi nowszego Boga?

W mroku przed nim rozbrzmiał stukot końskich kopyt i z cienia wyłoniła się kobieta na czarnym koniu.

Niedźwiedź powitał ją skinieniem głowy, nie był zaskoczony.

– Jakież wieści, Północnico? – spytał z nutą rozbawienia w głosie.

– Nie umarła w moim królestwie – odparła Północnica beznamiętnym tonem. Spojrzenie Niedźwiedzia nabrało ostrości.

– Pomogłaś jej?

– Nie.

– Ale ją śledziłaś. Dlaczego?

Północnica wzruszyła ramionami.

– Wszyscy ją obserwujemy. Każdy czart. Odmówiła wam obu, Morozce i Niedźwiedziowi, a zatem ustanowiła swoją własną moc w waszej wielkiej wojnie. Czarty znów wybierają strony.

Niedźwiedź zaśmiał się, lecz spojrzenie jego szarego oka pozostało baczne.

– Gotowe wybrać ją, a nie mnie? Ona jest jeszcze dzieckiem.

– Już raz cię pokonała.

– Z pomocą mego brata i dzięki ofierze swego ojca.

– Trzykrotnie przeszła próbę ognia i nie jest już dzieckiem.

– Dlaczego mi to mówisz?

Północnica znów wzruszyła ramionami.

– Ponieważ na razie ja także nie opowiedziałam się po żadnej ze stron, Niedźwiedziu.

– Jeszcze zdążysz pożałować swego niezdecydowania – ostrzegł Niedźwiedź z uśmiechem.

Czarny koń Północnicy spłoszył się i łypał dziko na Niedźwiedzia. Północnica wygładziła mu grzywę dłonią.

– Być może. Ale, widzisz, teraz ja ci pomogłam. Będziesz miał całą wiosnę, by robić, co tylko zechcesz. Jeśli nie zdołasz umocnić swojej pozycji, to może czarty słusznie skierują się ku mocom tej młodej dziewczyny.

– Gdzie ją znajdę?

– W lecie, oczywiście. Nad wodą. – Północnica spojrzała na niego z wysokości końskiego grzbietu. – Będziemy patrzeć.

– Mam zatem czas – stwierdził Niedźwiedź i znowu podniósł wzrok ku migoczącym na niebie gwiazdom.



Część trzecia





9.

Wędrownka przez Północ

Wasia obudziła się w ciemności tak głębokiej, że ogarnęło ją przerażenie, iż któryś z ciosów ją oślepił. Uniosła głowę. Nic. Jej ciało wychłodziło się i zeszywniało, ruch wywołał kaskadę bólu spływającą na szyję, kark i plecy. Zastanawiała się półprzytomnie, dlaczego nie jest martwa, a także dlaczego leży w paprociach zamiast na śniegu. Panowała cisza, jeśli nie liczyć delikatnego skrzypienia gałęzi w górze. Ostrożnie uniosła do oczu drżącą dłoń. Jedno oko było tak spuchnięte, że nie mogła go otworzyć. Drugie wydawało się nienaruszone, tylko rzęsy się skleiły. Dwoma palcami delikatnie uniosła powiekę.

Wciąż było ciemno, ale teraz coś jednak widziała. Błady sierp księżyca rzucał nikłe światło na dziwny las. Pozostały w nim jedynie łaty śniegu, drzewa spowijała mgła rozświetlona blaskiem księżyca. Wasia czuła zapach zimnej, mokrej ziemi. Z wysiłkiem podniosła się na nogi i rozejrzała. Wszędzie ciemność. Próbowała sobie przypomnieć ostatnie godziny, ale pamiętała jedynie niejasno strach i ucieczkę. Co ona zrobiła? Gdzie była?

– Ha! – rozległ się głos. – Jednak nie umarłaś.

Głos dochodził z góry. Wasia odwróciła się gwałtownie, chcąc dostrzec mówiącego. Zdrowe oko łzawiło. Wreszcie na konarze nad głową dostrzegła blade gwiazdziste włosy i błyszczące oczy. W miarę jak jej wzrok przyzwyczajał się do ciemności, Wasia zaczęła powoli wyodrębniać sylwetkę Północnicy siedzącej na gałęzi dębu i opartej o jego pień.

W cieniu pod drzewem poruszyła się plama intensywniejszej czerni. Wasia zmrużyła oko i z wysiłkiem dojrzała wspaniałego czarnego konia pasącego się w świetle księżyca. Uniósł łeb, by na nią spojrzeć. Wasi załomotało serce, usłyszała je wyraźnie i zaczęły powracać wspomnienia: lepka krew na jej dłoniach, twarz ojca Konstantego, ogień...

Stała nieruchomo. Gdyby się poruszyła, wydała jakikolwiek dźwięk, natychmiast by uciekła, zaczęła wrzeszczeć i oszalała od wspomnień i od tej niemożliwej ciemności gdzieś z dala od Moskwy. Co jest rzeczywiste? To? Jej koń nie żyje, a ona ocalała dzięki magii? Zadrzała i padła na kolana, przyciskając dłonie do lodowatej mokrej ziemi. Próba zrozumienia była niczym chwytanie się deszczu. Przez długą chwilę mogła tylko oddychać i czuć swoje dłonie na ziemi.

Wreszcie z potwornym wysiłkiem podniosła głowę. Słowa wypłynęły z jej ust bardzo powoli:

– Gdzie ja jestem?

Północnica westchnęła cicho.

– Do tego przy zdrowych zmysłach. – Wydawała się lekko zdziwiona. – To moje królestwo. Kraina zwana Północą. – Jej uśmiech był zimny. – Witam cię.

Wasia starała się spowolnić oddech.

– Gdzie jest Moskwa?

– Kto to wie? – Północnica zsunęła się z gałęzi i lekko opadła na ziemię. – Nigdzie w pobliżu. Moje królestwo nie składa się z dni ani pór roku, lecz z północy. Możesz przemierzyć cały świat w jednej chwili, pod warunkiem że tam, dokąd zmierzasz, jest północ. Lub, co bardziej prawdopodobne, możesz umrzeć, próbując tego dokonać, bądź oszaleć.

– Powiedziano mi – Wasia mówiła stłumionym głosem, usiłując sobie przypomnieć – że muszę znaleźć jezioro z dębem rosnącym na brzegu.

Północnica uniosła bladą brew.

– Jakie jezioro? W moim królestwie jest tyle jezior, że musiałabyś go szukać przez tysiąc ludzkich żywotów.

„Szukać”? Wasia ledwie trzymała się na nogach.

– Pomożesz mi?

Czarny koń zastrzygł uszami.

– Pomóc ci? – prychnęła Północnica. – Już ci pomogłam. Przyjęłam cię do mojego królestwa. A nawet ukryłam cię tutaj, gdy leżałaś nieprzytomna. Czy muszę zrobić jeszcze więcej? – Włosy Północnicy opadały niczym zimny deszcz na ciemność jej skóry. – Podczas naszego ostatniego spotkania byłaś nieuprzejma.

– Proszę...

Północnica posłała jej lekki uśmiech i podeszła jeszcze bliżej, po czym wyszeptwała odpowiedź, jakby to była tajemnica.

– Nie. Znajdź je sama. Albo umrzyj tutaj, umrzyj teraz. Powiem o tym starej. Może nawet będzie cię opłakiwała, chociaż wątpię.

– Starej? – zdziwiła się Wasia. Ciemność zdawała się na nią napierać ze wszystkich stron, coraz bardziej agresywnie. – Proszę – powtórzyła.

– Ja nie zapominam zniewag, Wasiliso Pietrowna. – Północnica odwróciła się i oparła dłoń na kłębie czarnego konia. Po chwili siedziała na nim okrakiem, zawróciła go i wjechała między drzewa, nie oglądając się za siebie.

Wasia została sama w ciemności.

Mogła leżeć na leśnej ściółce i czekać na świt. Ale jak doczekać świtu w krainie złożonej z samych północy? Mogła iść, chociaż kiedy stała, drżały jej nogi. Tylko dokąd? Miała na sobie jedynie pelerynę Warwary i zakrwawione, cuchnące strzępy sukienki. Jej bose stopy były poranione, oddychanie sprawiało ból, dygotała. Ta noc była trochę cieplejsza niż noc w Moskwie, lecz niewiele.

Czyżby przeszła próbę ognia, przeciwstawiła się Niedźwiedziowi i uciekła z Moskwy dzięki magii tylko po to, by umrzeć w ciemności? „Idź nad jezioro”, powiedziała Warwara. „Tam znajdziesz schronienie. Nad jezioro z dębem rosnącym na brzegu”.

No cóż, skoro Warwara sądziła, że Wasia zdoła je znaleźć, to może miała jakąś szansę. Warwara myślała pewnie, że Północnica jej pomoże, ponieważ Wasia nie miała tu żadnego wyczucia kierunku. Ale przynajmniej umrze w poszukiwaniu schronienia. Zbierając resztki sił, Wasia ruszyła w ciemność.

Nie wiedziała, jak długo szła. Dawno zużyła już wszelkie siły, a jednak brnęła dalej. Mrok nigdy się nie zmieniał, słońce nigdy nie wschodziło. Wasia zaczęła rozpaczliwie łaknąć światła. Jej stopy zostawiały krwawe ślady.

Północnica mówiła prawdę: to była kraina złożona z północy. Wasia nie potrafiła się w nich rozeznać. W jednej chwili szła po zimnej suchej trawie, mając nad głową półksiężyc, w następnej wchodziła w cień drzewa i stwierdzała wstrząśnięta, że księżyc zniknął, a pod jej nogami chlupocze błoto. Zawsze była wczesna wiosna, mniej lub bardziej zaawansowana, lecz miejsce zmieniało się co kilka kroków: szalona poszatkowana kraina.

„Wciąż tu jestem” – powtarzała sobie Wasia raz po raz. „Wciąż jestem sobą. Żyję”. Mocno trzymając się tej myśli, szła dalej. Gdzieś w oddali nawoływały się wilki i Wasia uniosła głowę, by posłuchać ich wycia. Nagle wiatr, niczym lodowata woda, buchnął jej w twarz. Na wzgórzu w oddali zobaczyła światła przypominające ogniska i ruszyła szybko w ich stronę, lecz zaraz zniknęły. Potem wędrowała pod jasnymi brzoźami białymi niczym martwe palce pod szkarłatnym księżycem.

Zupełnie jakby szła przez senny koszmar, nie miała żadnej orientacji w terenie, nie odróżniała kierunków świata. Kuśtykała, zaciskając zęby, ale teraz ziemia zasysała jej stopy i Wasia stwierdziła, że wpadła w bagno.

Wszędzie błoto, nie miała siły, by się z niego wyrwać. Płakała z wyczerpania.

Odpuść, pomyślała. Już dość, daj sobie spokój. Przynajmniej nie ma tu nienawistnego tłumu, który będzie szydzić, gdy pójdę do Boga.

Czarne zasysające bagnisko zdawało się przytakiwać jej bulgotem. Spod powierzchni mokradła wpatrywały się w nią złośliwe oczy przypominające zielone lampy. Należały do błotnika wydmuchującego wraz z oddechem cuchnące pióropusze bagiennego gazu. Gdyby mu pozwoliła, mógłby ją szybko zabić, wciągnąć w zimną ciemność i nie musiałaby dłużej brnąć na poranionych stopach ani oddychać z bólem połamanych żeber, ani pamiętać ostatnich dwóch dni.

Ale Masza, myślała Wasia mgliście. Masza jest w Moskwie, i mój brat, i siostra, bezbronni wobec Niedźwiedzia.

I co z tego? Co może na to poradzić? Sasza i Wielki Książę mogą...

Mogą? Oni nic nie wiedzą. Nic nie rozumieją...

„Mój brat oddał wolność za twoje życie”, powiedział Niedźwiedź. W rękawie sukienki wciąż miała drewnianego słowika. Wymacała go teraz i zacisnęła brudną rękę na stworzonku, odnosząc wrażenie, że w jej zziębnięte członki wnika odrobina ciepła.

Królu zimy, jak mogłeś zrobić coś tak potwornego?

Musiał mieć swoje powody. Morozko nie był głupi. Czy nie powinna raczej odkryć, dlaczego to zrobił, zamiast zakładać, że jego ofiara poszła na marne? Była jednak taka zmęczona...

Słowik powiedziałby, że jest niemądra, kazałby jej wskoczyć na swój grzbiet i zawiózłby ją spokojnie tam, gdzie trzeba, strzygąc radośnie uszami.

Z jej oczu trysnęły gorące łzy. W przypiływie furii wyszarpnęła się z błota i wygramoliła na brzeg mokradła. Zrozpaczona zanurzyła dłoń w wodzie i przemówiła do czającego się w bagnisku demona stłumionym, wciąż ochrypłym od dymu głosem:

– Dziadku, szukam jeziora, na którego brzegu rośnie dąb. Czy możesz mi powiedzieć, gdzie to jest?

Oczy błotnika ledwie wystawały ponad powierzchnię wody. Wasia mogła dojrzeć pokryte łuską ciało kotłujące się w błotnistej kipieli. Wyglądał na zdziwionego.

– Wciąż żyjesz? – szepnął. Jego głos był jak zasysający bulgot bagniska, oddech zaś cuchnął zgnilizną.

– Proszę. – Wasia rozchyliła palcami jedną z zakrzepłych ran na ramieniu i pozwoliła krwi skapnąć do wody.

Błotnik wysunął język, spił krew, a jego oczy rozbłyły nagle jasnym blaskiem.

– No, uprzejma z ciebie dziewczyna – stwierdził, oblizując wargi. – Spójrz zatem.

Popatrzyła tam, gdzie wskazywały jego roziskrzone oczy. Między czarnymi drzewami mignęło coś czerwonego. To nie był brzask. Może ogień? W przypiływie strachu poderwała się na równe nogi, ciążyła jej oblepiona błotem peleryna.

Ale to nie był ogień. To było żywe stworzenie.

W bagnisku stała wysoka, obrysowana światłem klacz. Z jej grzywy i ogona sypały się iskry przypominające świetliki, były niczym stopiona biel na tle jej srebrzystozłotej sierści. Z zadartą głową przyglądała się Wasi, nieruchoma, jeśli nie liczyć ogona, którym chłostała się po bokach, tworząc świetliste łuki.

Wasia mimowolnie zrobiła chwiejny krok w jej stronę, rozdarła między zdumieniem a furią.

– Pamiętam cię – zwróciła się do konia. – Uwolniłam cię w Moskwie.

Klacz nie odpowiedziała, zastrzygła tylko wielkimi złotymi uszami.

– Mogłaś po prostu odlecieć – ciągnęła Wasia. Głos jej się łamał, bolało ją gardło. – Ale ty sypnęłaś iskrami na drewniane miasto i oni... i oni... – Nie mogła wypowiedzieć tych słów.

Złota klacz uderzyła wyzywająco kopytem o ziemię, rozchlapując błoto, i odezwała się:

– Gdybym mogła, zabiłabym ich wszystkich. Zabiłabym wszystkich ludzi na świecie. Ośmielili się mnie przechytryć i okiełznać. – Złocistą doskonałość klaczy znaczyły blizny od siodła i ostróg, a na jej pysku widniały białe paski tam, gdzie odcisnęło się złote ogłowie. – Zabiłabym całe miasto.

Wasia nie odpowiedziała. Ból był niczym zamarznęta kula w jej ustach, mogła tylko wpatrywać się w klacz z niemą nienawiścią.

Klacz odwróciła się i pogalopowała przed siebie.

– Idź za nią, głupia – syknął bagienny demon. – Albo, jeśli wolisz, zostań tutaj, a ja cię pożrę.

Wasia nienawidziła tej klaczy, ale nie chciała umrzeć. Ruszyła między drzewami, potykając się na zakrwawionych stopach. Szła i szła, podążając za złotym świetlistym punkcikiem, aż była już pewna, że nie da rady zrobić ani kroku więcej.

Ale też nie musiała.

Drzewa się skończyły i Wasia znalazła się na pochyłej łące schodzącej ku ogromnemu zamarznętemu jezioru. Był początek wiosny. Na otwartej przestrzeni gwiazdy nadawały nikły srebrny połysk wysokim trawom. Wszędzie wokół Wasia widziała majaczące kształty wielkich drzew, czarnych na tle srebrzystego nieba. Śnieg leżał na tej łące jedynie łatami, głównie we wgłębieniach. Wasia słyszała cichy szmer wody pod powierzchnią lodu.

Na łące pasło się więcej koni. Trzy... sześć... dwanaście. W nocy wszystkie, poza złotą klaczą, wydawały się szare. Stojąc między nimi, lśniła niczym upadła gwiazda, zadzierając wyzywająco głowę.

Wasia przystanęła w zdumieniu i udreće. Jakaś część niej była na wpół przekonana, że jej koń też musi gdzieś tu być, wśród swoich pobratymców, że za chwilę przygalopuje do niej, rozbryzgując śnieg, i nie będzie już sama.

– Słowiku – wyszeptała. – Słowiku...

Uniosła się ciemna głowa, potem jaśniejsza. Nagle wszystkie konie rzuciły się do ucieczki. Pierzchały od dźwięku jej głosu galopem, w dół, do jeziora, lecz tuż przed tym, gdy ich kopyta dotknęły lodu, wyrosły im skrzydła. Jako ptaki wzlęciały w powietrze i szybowały nad rozświetloną przez gwiazdy powierzchnią jeziora.

Gdy Wasia odprowadzała je wzrokiem, miała w oczach łzy czystego zdumienia. Leciąły nad jeziorem, jeden niepodobny do drugiego. Sowa, orzeł i kaczka oraz mniejsze ptaszki, dziw nad dziwy. Jako ostatnia oderwała się od ziemi złota klacz. Jej skrzydła machały szeroko, pozostawiając smugi dymu, a pierzasty ogon miał wszystkie kolory płomieni: złoty, niebieskofioletowy i biały. Leciąła za innymi końmi, wołając je. W ciągu paru chwil wszystkie pochłonęła ciemność.

Wasia wpatrywała się w miejsce, w którym dopiero co stały konie. Zupełnie jakby jej się przyśniły. Wzrok mącił jej się ze zmęczenia. Stopy i twarz miała odrętwiałe, nie dygotała już, spowijał ją lodowaty kokon ośpienia. Słowiku, dlaczego ty też nie odleciałeś? – zastanawiała się na wpół świadomie.

Na samym skraju jeziora rósł rozłożysty dąb. Na tle księżycowobiałego lodu jego konary wyglądały niby poczerńnięte kości. Na prawo, wtulony między drzewa, majaczył przysadzisty ciemny kształt.

To była chatka.

A raczej jej ruiny. Dach, spadzisty, by nie gromadził się na nim śnieg, zapadł się. Przez okno i drzwi nie było widać płonącego ognia. Wszędzie tylko cisza, delikatne skrzypienie gałęzi, trzask lodu topniejącego na jeziorze. A jednak to miejsce, ta polana nad wodą, nie sprawiało wrażenia pustego. Raczej czujnego.

Chatka została zbudowana na solidnej platformie między dwoma drzewami, które sprawiały, że wyglądała tak, jakby stała czujnie na silnych nogach. Okna były niczym czarne oczy spoglądające w dół. Przez chwilę

chatka wcale nie wydawała się martwa. Wasia miała wrażenie, że ją obserwuje.

Potem jednak poczucie zagrożenia zniknęło. To była tylko ruina. Zmurszałe schody się rozpadały. W środku z pewnością będą suche liście, myszy i nieukożona ciemność.

Ale może trafi się także sprawny piec, a nawet garść ziaren pozostawionych przez ostatniego mieszkańca chatki? W najgorszym razie Wasia schroni się chociaż przed wiatrem.

Nie do końca świadoma tego, co robi, przemierzyła łąkę, potykając się o kamienie i ślizgając na śniegu. Zaciskając zęby, wdrapała się po schodach. Jedyne, co słyszała, to pojękiwanie gałęzi i jej własny chrapliwy oddech.

U szczytu schodów stały dwa słupy z rzeźbionymi wizerunkami oświetlonymi gwiazdami i fantastycznymi niedźwiedziami, słońcami, księżycami, dziwnymi małymi twarzyczkami, które mogły należeć do czartów. Nad drzwiami znajdowała się belka wyrzeźbiona w kształt dwóch stojących dęba koni.

Drzwi wisiały krzywo na zawiasach, a pod nimi nagromadziły się śliskie zgniłe liście. Wasia stanęła i nasłuchiwała.

Cisza. Oczywiście. Być może w środku schroniły się jakieś zwierzęta, jednak Wasia była zbyt wyczerpana, by się tym przejmować. Na wpół urwane drzwi ustąpiły ze skrzypieniem zardzewiałych zawiasów. Wasia, słaniając się, weszła do chatki.

W środku znalazła kurz, stare liście, woń zgnilizny, ziąb i wilgoć. Nie było cieplej niż na zewnątrz, choć przynajmniej nie przenikał tu lodowaty wiatr znad jeziora. Większą część izby zajmował rozsypujący się ceglany piec, w ciemności palenisko przypominało czarną zwierzęcą paszczę. Po drugiej stronie izby, w kącie przeznaczonym na ikony, zamiast nich stało pod ścianą coś dużego i ciemnego. Przesunęła się po omacku w tamtą stronę i stwierdziła, że to drewniana skrzynia z brązowymi okuciami zamknięta na wrzeciędz.

Dygocząc, odwróciła się w stronę pieca. Najbardziej ze wszystkiego pragnęła po prostu paść na podłogę w ciemności i stracić przytomność, bez względu na ziąb.

Zaciskając zęby, dźwignęła się na ławę przy piecu i ostrożnie zaczęła macać szorstkie cegły na jego wierzchołku, gdzie ktoś, kto kiedyś tu mieszkał, mógłby wydać ostatnie tchnienie. Niczego tam nie było, żadnej derki i z całą pewnością żadnych kości. Jaka tragedia sprawiła, że ta dziwna chatka opustoszała i popadła w ruinę? Noc otulała domek milczącą grozą.

Palce Wasi natrafiły na kilka zakurzonych patyczków przy piecu. Wystarczy, by rozpaścić ogień, chociaż ona nie chciała ognia. Jej pamięć pełna była płomieni i gryzącego dymu. Od gorąca znów zaczęłaby ją piec poparzona twarz.

Z pewnością jednak w chacie było tak zimno, że poraniona dziewczyna, odziana jedynie w pelerynę i cienką sukienkę, zamarłaby na śmierć. A ona zamierzała żyć.

Tak więc poruszana jedynie zimnym popiołem, jaki pozostał po jej silnej woli, Wasia przystąpiła do rozpalania ognia. Wargi i koniuszki palców miała zupełnie zdrętwiałe. Siniaczyła sobie golenie o przedmioty, których nie mogła dostrzec, szukając patyków i sosnowych igieł na podpałkę.

Po omacku, ogromnym wysiłkiem, po którym cała się trzęsła, zdołała ułożyć z patyków stosik, który ledwie widziała w otworze paleniska. Obmacała cały dom w poszukiwaniu krzesiwa i osmalonej szmatki, jednak niczego nie znalazła.

Mogłaby wykrzesać ogień, używając płaskiego kawałka drewna, dzięki cierpliwości oraz sile rąk, lecz zarówno jej siła, jak i cierpliwość były na wyczerpaniu.

No, zrób to albo zamarzniesz. Chwyciła patyk w dłonie. Kiedy była mała, bawiła się tak w jesiennym lesie. Patyk, deseczka i szybki energiczny ruch. W umiejętnych dłoniach dym przeradzał się w ogień. Wasia wciąż pamiętała zachwycony uśmiech Aloszy, kiedy pierwszy raz dokonała tego bez niczyjej pomocy.

Tym razem jednak, chociaż aż się spociła z wysiłku, z deseczki między jej kolanami nie wydobyła się ani jedna smużka dymu, w rowku nie rozżarzył się żaden wiórek. W końcu Wasia wypuściła patyk, drżąca, pokonana. Pozbawiona nadziei. A więc jednak umrze, mając wokół siebie jedynie prochy cudzego życia.

Nie potrafiłaby stwierdzić, jak długo siedziała tak w cierpkiej ciszy, nie płacząc, nie czując zupełnie nic, zawieszona niejako na skraju przytomności.

Sama nie wiedziała, co ją skłoniło do uniesienia głowy. Przygryzła dolną wargę. Musi rozpalić ogień. Musi. W jej głowie, w jej sercu wciąż płonął potworny ogień, wspomnienie silniejsze niż cokolwiek innego w jej życiu, jakby całą jej duszę przepęłniały płomienie. Niedorzeczne, że ogień płonął tak jasno w znieprawionym wspomnieniu, a tutaj, gdzie tak by się przydał, nie było nawet iskierki.

Dlaczego miałyby istnieć wyłącznie w jej głowie? Zamknęła oczy i przez chwilę wspomnienie było tak wyraziste, że zapomniała, iż to tylko wspomnienie.

Wasia najpierw poczuła dym i otworzyła oczy w chwili, gdy patyki zajęły się ogniem.

Wstrząśnięta, niemal przerażona swoim dokonaniem, szybko dołożyła więcej drewna. Izba wypełniła się światłem, a cienie cofnęły.

W blasku ognia chata wyglądała jeszcze gorzej: na podłodze liście po kostki, rozpadające się ściany, spleśniałe, pokryte grubą warstwą kurzu sprzęty. Ale było jeszcze trochę drewna na opał, którego wcześniej nie zauważyła: kilka suchych polan. I robiło się coraz cieplej. Ogień przegonił noc i chłód. Będzie żyła. Wasia przysunęła do ognia drżące dłonie.

Nagle z paleniska wystrzeliła czyjaś ręka i chwyciła ją za nadgarstek.



10.

Diabeł w piecu

Przerażona Wasia wciągnęła gwałtownie powietrze, lecz się nie wyrywała. Ręka była mała jak u dziecka, o długich palcach obwiedzionych czerwienią i złotem w blasku ognia. Nie puszczała. Wasia stwierdziła natomiast, że wciąga do izby maleńką istotkę.

Była to kobieta sięgająca Wasi może do kolana, o oczach koloru ziemi. Zlizywała żarłocznie żar z końca patyka, przerwała jednak, by spojrzeć w górę na Wasię, i oznajmiła:

– No, zasnęłam bez dwóch zdań. Kim jesteś? – Nagle dostrzegła opłakany stan chaty i wykrzyknęła w nagłej panice: – Gdzie moja pani? Co ty tutaj robisz?

Wasia usiadła na rozpadającej się ławie, wyczerpana i zdumiona. Domowiki nie żyją w ruinach, po odejściu rodziny, której strzegły, ich istnienie traci sens.

– Nikogo tu nie ma – powiedziała Wasia. – Tylko ja. To miejsce... jest martwe. Co ty tutaj robisz?

Domowik, a właściwie domowicha wytrzeszczyła oczy.

– Nie rozumiem. Dom nie może być martwy. To ja jestem domem, a ja przecież żyję. Na pewno kłamiesz. Co z nią zrobiłaś? Co zrobiłaś z tą chatą? Wstań i mi odpowiedz! – Ze strachu jej głos zrobił się piskliwy.

– Nie mogę wstać – wyszeptała Wasia. Mówiła prawdę. Ogień odebrał jej resztki sił. – Jestem tylko wędrowcem. Chciałam rozpaść ogień i zatrzymać się tu na noc.

– Ale ty... – Domowicha znowu rozejrzała się po domu, oceniając zniszczenia. Wybałuszyła oczy wstrząśnięta. – Naprawdę zasnęłam! Spójrz tylko na ten brud. Nie mogę, ot tak, przyjmować tu włóczągów bez pozwolenia mojej pani. Będziesz musiała odejść. Muszę doprowadzić dom do porządku, zanim moja pani wróci.

– Nie sądzę, by twoja pani wróciła. Ten dom jest opuszczony. Nie wiem, jak ci się udało przetrwać w tym zimnym piecu. – Głos Wasi się załamał. – Proszę, proszę, pozwól mi zostać. Nie wytrzymam już dłużej.

Chwila ciszy. Wasia czuła na sobie uważne spojrzenie domowichy.

– Dobrze zatem – rzekła wreszcie. – Zostaniesz dziś tutaj, biedne dziecko. Moja pani by sobie tego życzyła.

– Dziękuję – szepnęła Wasia.

Domowicha, mamrocząc coś pod nosem, podeszła do skrzyni stojącej w kącie. Na szyi miała zawieszony klucz i otworzyła nim żelazny wrzeczadł. Ustąpił z opornym pstryknięciem.

Na oczach zdumionej Wasi domowicha wyjęła ze skrzyni płótno i glinianą misę, po czym położyła je na palenisku. Następnie wzięła wiadro i wyszła na zewnątrz po śnieg, który natychmiast zaczęła podgrzewać, a także gałąź sosny z młodymi igłami, które wrzuciła do wody.

Wasia patrzyła, jak dym ulatuje przez dziurę w dachu, jedynie na wpół świadoma zwinnych ruchów domowichy, gdy ta zdejmowała z niej sukienkę, która omal nie stała się całunem. Szybko zmyła najgorszy pot strachu, sadzę i krew, a także oczyściła zranione oko Wasi. Bolało, ale kiedy strup został zdjęty, Wasia mogła coś zobaczyć przez szparkę. Nie straciła wzroku. Była jednak zbyt zmęczona, by odczuwać ulgę.

Domowicha wyjęła ze skrzyni wełnianą koszulę. Wasia prawie nie czuła, jak domowicha ją ubiera. Po chwili stwierdziła, że leży na piecu, na kocu z króliczych skórek. Nie miała pojęcia, jak się tam znalazła. Cegły były

ciepłe. Zanim zagarnęła ją nieświadomość, usłyszała cieniutki głos domowichy:

– Trochę odpoczynku i dojdiesz do siebie, ale będziesz miała bliznę na twarzy.

Wasilisa Pietrowna nie miała pojęcia, jak długo spała. W jej głowie kołatały się niewyraźne wspomnienia koszmarów, w których krzyczała do Słowika, żeby uciekał. Śnił jej się głos Północnicy – „Trzeba to zrobić. Odeślij ją dla dobra nas wszystkich” – i podniesiony głos protestującej domowichy. Zanim jednak Wasia zdążyła się odezwać, znów zagarnęła ją ciemność.

Otworzyła oczy o świcie, niezliczone godziny później. Światło było wręcz wstrząsem po tak długiej ciemności. Zupełnie jakby splątane drogi Północy tylko jej się przyśniły. Może tak było? Leżąc w mętym szarym brzasku, mogłaby być gdziekolwiek, na wierzchołku jakiegokolwiek pieca.

– Duniu! – zawołała, tak wyraziste było wspomnienie dzieciństwa. To stara niania zawsze pocieszała ją, gdy miała senne koszmary.

Nagle dopadły ją świeższe wspomnienia. Krzyknęła z udreki. Przy jej barłogu natychmiast pojawiła się mała główka, lecz Wasia ledwie widziała domowichę. Pamięć trzymała ją za gardło. Dziewczyna dygotała.

Domowicha przyglądała jej się, marszcząc czoło.

– Wybacz mi – wyjąkała Wasia. Odgarnęła z twarzy skołtunione włosy. Zęby jej szczękały. Piec był ciepły, ale przez dziurę w dachu wpadało zimne powietrze, a jej wspomnienia były jeszcze zimniejsze. – Jestem... jestem Wasilisa Pietrowna. Dziękuję ci za gościnność.

Domowicha wydawała się niemal smutna.

– To nie gościnność – odparła. – Spałam w piecu. Obudziłaś mnie. Teraz ty jesteś moją panią.

– Ale to nie mój dom.

Domowicha nie odpowiedziała. Wasia usiadła, krzywiąc się z bólu. Domowicha zrobiła, co mogła, gdy dziewczyna spała: kurz, martwe myszy i zgniłe liście zniknęły.

– Teraz jest tu zdecydowanie bardziej jak w domu – zauważyła Wasia ostrożnie.

W świetle poranka zobaczyła, że większość desek dachu i stół są rzeźbione, podobnie jak belka nad drzwiami, oraz gładkie od używania i dbałości. Chata miała swoją godność, podobnie jak jej domowicha – czas nie zdołał przesłonić jej starej delikatnej urody. Domowicha wyglądała na zadowoloną.

– Nie możesz leżeć w łóżku. Jest gorąca woda. Twoje rany trzeba znów obmyć i opatrzyć. – Zniknęła. Wasia usłyszała, że dokłada drewna do ognia.

Dziewczyna z trudem zeszła z pieca, zupełnie jakby właśnie doszła do siebie po wysokiej gorączce. Nie dość, że była poraniona, to jeszcze głodna.

– Czy jest... – wychrypiała, przełknęła ślinę i spróbowała znowu: – Czy jest coś do jedzenia?

Domowicha ściągnęła wargi i pokręciła głową.

Czemu miałyby coś być? Trudno się spodziewać, że pani tego domu, która dawno stąd odeszła, zostawiła na wszelki wypadek bochen chleba i ser.

– Spaliłaś moją sukienkę? – spytała Wasia.

– Tak – potwierdziła domowicha i się wzdrygnęła. – Cuchnęła strachem.

Bardzo możliwe. Nagle Wasia zeszywniała.

– Tam była pamiątka, rzeźbiona figurka, miałam ją w rękawie. Czy ją też...

– Nie. Jest tutaj.

Wasia chwyciła małego drewnianego słowika, jakby to był talizman. Może zresztą był. Zabrudził się, lecz nie został uszkodzony. Wytarła go i wsunęła do rękawa.

Na piecu parowała miska stopionego śniegu. Domowicha zarządziła energicznie:

– Zdejmij koszulę, obmyję ci rany.

Wasia wolała nie myśleć o swoich ranach, wolałaby nie mieć ciała. Tuż pod powierzchnią jej świadomości czaił się najdotkliwszy ból, wspomnienie śmierci, przemocy przekraczającej wszelkie granice. Nie chciała widzieć tych wspomnień zapisanych na swojej skórze.

Domowicha nie okazała jej współczucia.

– Gdzie twoja odwaga? Chyba nie chcesz umrzeć z powodu zakażonej rany!

Tu akurat miała rację, to byłaby powolna i potworna śmierć. Jednym ruchem, by nie stracić zimnej krwi, Wasia ściągnęła koszulę przez głowę, stanęła drżąca w świetle wpadającym przez dziurę w dachu i spojrzała na swoje ciało.

Sińce we wszystkich odcieniach: czerwone i czarne, fioletowe i niebieskie. Jej tułów znaczyły rany cięte, cieszyła się, że nie może zobaczyć swojej twarzy. Dwa zęby się chwiały, wargi miała popękane i obolałe, jedno oko wciąż było półprzymknięte od opuchlizny. Kiedy uniosła dłoń do twarzy, natrafiła na zaskorupiałe rozcięcie na policzku.

Domowicha wyjęła ze skrzyni zioła o duszącym zapachu, miód do opatrunków i długie kawałki płótna. Wasia patrzyła na to wszystko zdumiona.

– Kto zostawia takie rzeczy w zamkniętej skrzyni w zrujnowanej chacie?

– Trudno powiedzieć – odparła domowicha szorstko. – Były tu i już.

– Na pewno coś pamiętasz.

– Nie pamiętam! – Domowicha nagle wpadła w gniew. – Dlaczego pytasz? Nie wystarczy, że to wszystko tu było, że ocaliło ci życie? Siadaj. Nie, tam.

Wasia usiadła.

– Przepraszam. Po prostu byłam ciekawa.

– Im więcej ktoś wie, tym szybciej się starzeje – warknęła domowicha. – Nie ruszaj się.

Wasia próbowała. Ale to bolało. Niektóre rany zasklepiły się same i te domowicha zostawiła w spokoju, jednak wiele zostało otwartych ubiegłej nocy, a w blasku ognia nie zdołała dokładnie oczyścić ich z sadzy i brudu.

W końcu jednak wszystkie zostały opatrzone.

– Dziękuję – powiedziała Wasia, słysząc, że głos jej drży. Pośpiesznie włożyła koszulę, żeby odciąć się od widoku swojego ciała, po czym wzięła w palce kosmyk swoich osmalonych włosów. Ohydne. Splątane, cuchnące spalenizną, nigdy już nie będą czyste.

– Obetniesz mi włosy? – poprosiła domowichę. – Najkrócej, jak zdołasz. Mam już dość Wasilisy Pietrowny.

Domowicha miała tylko nóż, jednak chwyciła go bez słowa. Na podłogę bezgłośnie niczym śnieg spadały czarne pukle. Potem można będzie je wymieść na dwór, gdzie przydadzą się ptakom do budowy gniazd. Kiedy było już po wszystkim, Wasia miała wrażenie, że wiatr gwiżdże jej dziwnie koło uszu i owiewa szyję. Jeszcze nie tak dawno opłakiwałaby utratę swoich pięknych włosów, teraz cieszyła się, że ich nie ma. Długi lśniący warkocz należał do innej dziewczyny, w innym życiu.

Domowicha, nieco markotna, znów podeszła do skrzyni stojącej w kącie. Tym razem wyjęła z niej chłopięcy ubiór: luźne spodnie i szarfę, kaftan, a nawet buty, porządne, skórzane, z wysoką cholewką. Były okropnie pogniecione, pożółkłe ze starości, ale nienoszone. Wasia zmarszczyła czoło. Garstka ziół to jedno, ale coś takiego? Solidna odzież, uszyta wprawną ręką z gęsto tkanego płótna i grubej wełny.

Wszystko na nią pasowało.

– Czy... – Wasia sama nie mogła w to uwierzyć. Przyjrzała się sobie. Była czysta, wypoczęta, żywa, ubrana i wreszcie nie marzła. – Czy ktoś wiedział, że tu przybędę? – Śmieszne pytanie, te ubrania są starsze od niej, a jednak... – Domowicha wzruszyła ramionami. – Kim była twoja pani? – dopytywała się Wasia. – Kto przedtem mieszkał w tym domu?

Domowicha spojrzała na nią bez wyrazu.

– Jesteś pewna, że to nie byłaś ty? Prawie cię pamiętam.

– Nigdy wcześniej tu nie byłam – zapewniła Wasia. – Naprawdę nie pamiętasz?

– Pamiętam, że istniałam. – Domowicha wyglądała na nieco urażoną. – Pamiętam te ściany, mój klucz. Pamiętam imiona i cienie w ogniu. Nic więcej. – Wydawała się roztrzęsiona. Wasia przez grzeczność nie drażyła tematu. Z zaciśniętymi zębami skupiła się na włożeniu wełnianych pończoch i butów na poranione i poparzone nogi. Ostrożnie postawiła stopy na podłodze, po czym stanęła i się skrzywiła.

– Żeby tak mogła fruwać jak diabeł, który unosi się nad ziemią i nie może jej dotknąć – jęknęła, robiąc na próbę kilka chwiejnych kroczków.

Domowicha podała jej stary wiklinowy koszyk.

– Jeśli chcesz zjeść kolację, musisz ją sobie znaleźć – oznajmiła. W tonie jej głosu było coś dziwnego. Wskazała las.

Wasia wzdrygnęła się na samą myśl, że miałyby iść i coś zbierać w takim stanie. Wiedziała jednak, że nazajutrz będzie się czuła jeszcze gorzej, gdy sińce i strupy stwardnieją.

– Dobrze – powiedziała.

Domowicha wydawała się zaniepokojona.

– Strzeż się lasu – poradziła, odprowadzając Wasię do drzwi. – Nie przepada za obcymi. Lepiej wróć do domu, zanim zapadnie zmierzch.

– Co się stanie o zmierzchu? – chciała wiedzieć Wasia.

– Wtedy... zmieni się pora roku. – Domowicha splatała nerwowo palce.

– Co to znaczy?

– Kiedy pora roku się zmieni, nie będziesz mogła wrócić. A jeśli nawet ci się uda, to będzie już inne miejsce.

– Jak to... inne?

– Inne! – wrzasnęła domowicha, tupiąc nogą. – A teraz idź!

– Dobrze – starała się ją udobruchać Wasia. – Wrócę przed zmierzchem.



11.

O grzybach

Pod koniec zimy jedzenia w lesie jest najmniej, a Wasia nie bardzo mogła dotykać czegokolwiek, bo dłonie miała pokryte pęcherzami. Jeśli jednak nie chciała umrzeć z głodu, musiała spróbować.

Chłodny perłowoblady poranek rozpościerał mgliste wici na niebieskoszarym lodzie. Zamarznięte jezioro okalały prastare drzewa, ciemne konary zdawały się podtrzymywać niebo. Szron srebrzył ziemię, a wszędzie wokół szemrała woda wrywająca się z okowów zimy. Z głębi lasu nawoływał drozd. Nie było śladu koni.

Wasia mogłaby stać na zmurszałych schodach, póki by nie zamarzła, zapomniawszy o swoich smutkach wobec tego czystego i nieskalanego piękna. Żołądek jednak przypominał jej, że musi żyć. A żeby żyć, musi jeść. Z determinacją weszła do lasu.

W innym życiu Wasia wędrowała po lasach Leśnej Ziemi o każdej porze roku. Wiosną zapuszczała się w leśne ostępy, mając słońce we włosach, a czasem witała się ze swoją przyjaciółką rusałką, która budziła się z długiego snu. Ale teraz Wasia nie stapała bezszelestnie. Kulała. Każdy krok zdawał się wywoływać nowy ból. Jej ojciec byłby niepokieszony, bo jego rączka, beztraska córka odeszła i już nie wróci.

Nie było tu żadnych ludzi, a kiedy chatka zniknęła jej z oczu, nic nie wskazywało na to, że kiedykolwiek jacyś byli. Samotny spacer w ciszy sprawił, że dusza Wasi wyzwoliła się nieco z dławiącego uścisku

wściekłości, strachu i żalu. Dziewczyna zaczęła przyglądać się okolicy i zastanawiać, gdzie znajdzie coś do jedzenia.

Jej włosy rozwiał dziwnie ciepły powiew wiatru. Oddaliła się od chatki spory kawałek. W oświetlonej słońcem przerwie między drzewami kwitła kępa mleczy. Zaskoczona Wasia schyliła się i zerwała całą ich garść. Tak wcześniej? Idąc dalej, zjadła jeden z kwiatów. Żuła, ostrożnie ruszając obolałą szczęką.

Kolejna kępa mleczy. Dziki szczypiorek. Słońce wzniosło się już ponad korony drzew. O tam – młody szczaw o zwiniętych liściach. I poziomki? Wasia przystanąła. „Jeszcze za wcześniej” – mruknęła pod nosem.

Zdecydowanie za wcześniej. A tam grzyby? Borowiki? Czubki ich kapeluszy ledwie wystawały ze sterty suchych liści. Wasi ślinka napłynęła do ust. Pochyliła się, by je ściąć, po czym przyjrzała im się uważniej. Jeden z kapeluszy miał plamki, które dziwnie błyszczały w słońcu.

To nie plamki. To oczy. Największy z grzybów spojrział na nią sinoczerwonymi oczami. To wcale nie był grzyb, lecz czart, zaledwie długości jej przedramienia. Grzybowy duszek, gniewnie błyskając oczami, otrząsnął się z suchych liści.

– Kim jesteś? – Głos miał przenikliwy. – Dlaczego przybywasz do mego lasu? – Do jego lasu? – Intruz! – pisnął i Wasia zrozumiała, że stworek się boi.

– Nie wiedziałam, że to twój las. – Pokazała czartowi puste ręce, uklękła sztywno, żeby mógł jej się lepiej przyjrzeć. Zimny mech zamoczył jej spodnie. – Nie mam złych zamiarów. Ja tylko szukam jedzenia.

Grzybowy duszek zamrugnął i wyjaśnił:

– To niezupełnie mój las. – Po czym dodał pośpiesznie: – Ale to bez znaczenia. Nie możesz tu być.

– Nawet jeśli dam ci prezent? – Wasia położyła przed stworkiem najładniejszy mlecz.

Czart dotknął kwiatka szarawym palcem. Jego kontury stały się wyraźniejsze. Teraz przypominał bardziej małego człowieczka niż grzyba. Przyjrzał się sobie ze zdziwieniem, a potem znów podniósł wzrok na Wasię.

– Nie wierzę ci! – wrzasnął, ciskając kwiatek w jej stronę. – Myślisz, że będę wykonywał twoje rozkazy? Nie będę! Nieważne, ile dasz mi prezentów. Niedźwiedź się uwolnił. I mówi, że teraz pokażemy, na co nas stać. Jeśli do niego dołączymy, sprawi, że ludzie znów w nas uwierzą. Znów będą oddawać nam cześć i nie będziemy musieli targować się z czarownicami.

Wasia zerwała się na nogi.

– W jaki sposób zamierzacie pokazać, na co was stać? – Rozejrzała się niespokojnie, lecz nic się nie poruszyło. Tylko ptaki fruwały wśród drzew i słońce świeciło jasno.

– Dokonamy wielkich i strasznych czynów – oznajmił grzybowy duch po chwili milczenia.

Wasia starała się nie okazywać zniecierpliwienia.

– Co to znaczy?

Grzybowy duch zadarł dumnie głowę, jednak nie udzielił żadnego wyjaśnienia. Może sam nie wiedział.

„Wielkie i straszne czyny”? Wasia spoglądała na milczący las. Udręczona żalem, bólem i strachem nie miała czasu na zastanawianie się nad konsekwencjami swojej ostatniej nocy w Moskwie. Jakie siły wprowadził w ruch Morozko, uwalniając Niedźwiedzia? Co to oznaczało – dla niej, dla jej rodziny i dla całej Rusi?

Dlaczego to zrobił?

Coś w niej szeptało: „On cię kocha i dlatego poświęcił swoją wolność”. Ale to nie mógł być jedyny powód. Wasia nie była na tyle próżna, by sądzić, że król zimy zaryzykowałby wszystko, czego tak długo bronił, dla śmiertelnej dziewczyny.

Jednak od pytania o przyczynę ważniejsze było to, co ona z tym zrobi.

Muszę znaleźć króla zimy, postanowiła. Niedźwiedź znów musi zostać związany. Nie wiedziała jednak, jak zabrać się do jednego i drugiego. Nadal była poraniona i głodna.

– Skąd pomysł, że chcę, byś wykonywał moje rozkazy? – Kiedy rozmyślała, grzybowy duch schował się pod kłodą leżącą obok. Widziała jedynie błysk jego oczu. – Kto ci to powiedział?

Duch wytknął głowę z ukrycia i łypnął na nią spode łba.

– Nikt. Nie jestem głupi. A czego innego pragnęłaby wiedźma? Z jakiego innego powodu wędrowałabyś przez krainę Północy?

– Uciekłam tutaj, żeby ratować życie – wyjaśniła Wasia. – A weszłam do tego lasu tylko dlatego, że jestem głodna. – Na dowód wyjęła z koszyka garść młodych świerkowych pędów i zaczęła je z determinacją żuć.

Grzybowy duch, wciąż podejrzliwy, zaproponował:

– Mogę ci pokazać, gdzie rośnie lepsze jedzenie, jeśli, jak mówisz, jesteś głodna. – Przypatrywał jej się uważnie.

– Jestem – odparła Wasia natychmiast. – Przyda mi się przewodnik.

– Wobec tego chodź za mną. – To mówiąc, dał nura w leśne poszycie.

Wasia po chwili namysłu ruszyła za nim, starając się jednak nie tracić z oczu jeziora. Nie ufała wrogiej ciszy lasu ani małemu grzybowemu duszkowi.

Nieufność Wasi wkrótce połączyła się ze zdumieniem, trafiła bowiem do krainy cudów. Świerki miały młode delikatne pędy, mleczko kołysały się na wiejącym od jeziora wietrze. Jadła, zbierała i znów jadła, aż nagle uświadomiła sobie, że u swych stóp ma poletko czarnych jagód, a w wilgotnej trawie ukrywają się poziomki. To nie była już wiosna, lecz lato.

– Co to za miejsce? – zapytała Wasia grzybowego duszka. W myślach zaczęła go nazywać Dziadkiem Grzybem.

Rzucił jej dziwne spojrzenie.

– Kraina między południem a północą. Między zimą a wiosną. Jezioro leży w samym środku. Wszystkie krainy stykają się tu, nad wodą, i możesz przejść z jednej do drugiej.

Magiczna kraina, o której kiedyś marzyła.

Po chwili pełnego czci milczenia Wasia spytała:

– Czy jeśli będę szła wystarczająco długo, dotrę do krainy zimy?

– Tak – przytaknął czart, chociaż minę miał niepewną. – To długa droga.

– Czy król zimy tam jest?

Dziadek Grzyb rzucił jej kolejne dziwne spojrzenie.

– Skąd mam wiedzieć? Nie mogę rosnąć w śniegu.

Wasia zmarszczyła z namysłem czoło i znów skierowała uwagę na napełnianie koszyka i brzucha jedzeniem. Znalazła rzeżuchę i kaczeńce, czarne jagody, agrest i poziomki.

Zanurzała się coraz głębiej w letni las. Ależ Słowik byłby tu szczęśliwy, pomyślała, deptając miękką trawę. Może razem znaleźlibyśmy jego pobratymców? Smutek zgasił przyjemność, jaką sprawiały jej ciepło słońca na plecach i dojrzałe na słońcu poziomki w ustach. Zbierała jednak dalej. Ciepły zielony świat koił jej poranioną duszę. Dziadek Grzyb czasami był widoczny, a czasami nie, lubił się chować pod pniami drzew. Zawsze jednak czuła na sobie jego wzrok, ciekawski i nieufny.

Kiedy słońce znalazło się wysoko nad jej głową, przypomniała sobie ostrzeżenie domowicy i daną jej obietnicę. Nie odzyskała jeszcze sił, a będzie ich potrzebowała bez względu na to, co stanie się potem.

– Mam wszystko, czego mi trzeba – oznajmiła. – Muszę wracać.

Dziadek Grzyb wychylił się zza pniaka.

– Nie doszłaś jeszcze do najlepszej części – zaprotestował, wskazując odległą plamę drzew odzianych w czerwień i złoto. Jak gdyby jesień, podobnie jak lato, była miejscem, do którego można dojść. – To już niedaleko.

Wasia była ogromnie ciekawa. Myślała także łakomie o kasztanach i sosnowych orzeszkach, lecz ostrożność wygrała.

– Poznałam koszta lekkomyślności – powiedziała do Dziadka Grzyba. – Myślę, że mam już dość jak na jeden dzień.

Wydawał się zawiedziony, ale nic nie powiedział. Wasia niechętnie zawróciła w stronę, z której przyszła. W tej krainie lata było gorąco. Ubrała się na wczesną wiosnę, w wełnianą koszulę i pończochy. Wyładowany koszyk ciążył jej na przedramieniu, stopy rwały, żebra bolały.

Po jej lewej stronie las szemrał i patrzył. Po prawej rozciągało się jezioro, błękitne latem. Między drzewami dostrzegła piaszczystą zatoczkę. Spragniona skręciła nad wodę, uklękła i się napiła. Woda była czysta jak powietrze i tak zimna, że rozbolały ją zęby. Swędziała ją skóra pod opatrunkami. Poranne obmycie szmatką nie osłabiło głębokiego, przeszywającego ją do szpiku kości poczucia, że jest brudna.

Nagle Wasia wstała i zaczęła się rozbierać. Domowicha będzie się złościła, że zdjęła te wszystkie staranne opatrunki, lecz Wasia jakoś nie potrafiła się tym przejąć. Ręce trzęsły jej się z niecierpliwości, zupełnie jakby czysta woda mogła usunąć zarówno brud z jej skóry, jak i wspomnienia z jej głowy.

– Co ty robisz? – zdziwił się Dziadek Grzyb. Skryty w cieniu, trzymał się w bezpiecznej odległości od piasku i skał.

– Chcę popływać.

Dziadek Grzyb otworzył usta i po chwili je zamknął.

Wasia zamarła.

– Czy jest jakiś powód, dla którego nie miałabym tego zrobić?

Grzybowy duszek powoli pokręcił głową, rzucił jednak w stronę jeziora nerwowe spojrzenie. Może nie lubił wody.

– No dobrze – powiedziała Wasia, lecz się zawahała. Ale, Matko Boska, miała taką ochotę zrzucić własną skórę i stać się kim innym. Może

zanurzenie się w jeziorze wyciszy przynajmniej jej umysł. – Nie odpłynę daleko. Możesz popilnować mojego koszyka?

Weszła do wody. Najpierw stapała po kamieniach, krzywiąc się z bólu. Potem dno zrobiło się muliste. Dała nurka i wynurzyła się z krzykiem. Lodowata woda zamknęła jej płuca i rozpała zmysły. Stała tyłem do brzegu i zaczęła płynąć. Woda, kontrastująca z żarem słońca, upajała ją. Ależ była zimna. Wreszcie Wasia zatrzymała się, gotowa zawrócić do brzegu, wyszorować się na płyciźnie i położyć na słońcu, żeby wyschnąć...

Kiedy się jednak odwróciła, wszędzie widziała tylko wodę.

Wasia okręciła się wokół własnej osi. Nic. Zupełnie jakby cały świat zatonał nagle w jeziorze. Przez parę chwil młóciła wodę, płynąc w miejscu, wstrząśnięta. Zaczął ogarniać ją strach.

Może nie jest sama?

– Nie mam złych zamiarów – powiedziała na głos, starając się nie zważać na szczękające zęby.

Nic się nie zdarzyło. Wasia znów się okręciła dookoła. Nadal nic. Panika w tej lodowatej wodzie oznacza pewną śmierć. Musi po prostu wybrać jakiś kierunek i się modlić.

Nagle z wody tuż przed nią, z pluskiem przypominającym krzyk, wyskoczył jakiś stwór. Dwa wąskie nozdrza między wyłupiastymi oczami, zęby koloru skały osadzone w szpiczastej szczęce. Gdy wypuszczał parujące powietrze, po jego pysku spływała oleista ciecz.

– Utopię cię – szepnął i rzucił się na nią.

Wasia nie odpowiedziała, lecz jej stulona dłoń opadła na wodę jak grom z jasnego nieba. Czart odskoczył, a Wasia warknęła:

– Nie zdołał mnie zabić nieśmiertelny czarownik ani pop, mający całą Moskwę na swoje skinienie, a ty sądzisz, że tobie się uda?

– Weszłaś do mojego jeziora. – Czart obnażył czarne zęby.

– Żeby popływać, nie umrzeć!

– O tym ja zdecyduję.

Wasia starała się zignorować nagłący ból w żebrach i mówić spokojnie.

– Zawiniłam wobec ciebie tym, że samowolnie weszłam do wody, ale nie zapłacę za to życiem.

Czart zionął Wasi w twarz gorącym powietrzem.

– Jestem bagiennik – warknął. – I mówię ci, że twoje życie należy do mnie.

– Więc spróbuj mi je odebrać. Ale się ciebie nie boję.

Czart pochylił głowę, mącąc i pieniąc błękitną wodę.

– Nie? Co miałaś na myśli, mówiąc, że nie zdołał cię zabić nieśmiertelny czarownik?

Wasi zaczynały drętwieć nogi.

– W Moskwie, w ostatnią noc Maslenicy, zabiłam Kościeja Nieśmiertelnego.

– Kłamiesz! – wrzasnął bagiennik i znów się na nią rzucił.

Wasia ani drgnęła. Była skoncentrowana na tym, żeby utrzymać się na powierzchni.

– Kłamałam, owszem – przyznała. – I zapłaciłam za to. Ale w tej sprawie mówię prawdę: zabiłam go.

Bagiennik zamknął gwałtownie paszczę.

Wasia odwróciła się, wypatrując brzegu.

– Teraz cię poznaję – mruknął bagiennik. – Widzę rodzinne podobieństwo. To ty wędrowałaś przez Północ.

Wasia nie miała czasu go słuchać.

– To ja. Ale moja rodzina jest daleko stąd. Jak mówiłam, nie mam złych zamiarów. Gdzie jest brzeg?

– Daleko stąd. A także tuż obok. Nie rozumiesz ani siebie, ani tego miejsca.

Zaczynała zanurzać się coraz głębiej.

– Dziadku, brzeg...

Czarne zęby bagiennika lśniły od wody. Podpłynął bliżej, poruszając się zwinnie jak wąż wodny.

– Chodź, to nie potrwa długo. Utoniesz, a ja będę żył tysiąc lat dzięki wspomnieniu twojej krwi.

– Nie.

– No to jaki z ciebie pożytek? – Przysuwał się coraz bliżej i bliżej. – Utoń!

Wasia resztkami sił zmuszała odrętwiałe członki do młócenia wody.

– Jaki ze mnie pożytek? Żaden. Popełniłam więcej błędów, niż potrafię zliczyć, i świat nie ma dla mnie miejsca. A jednak, jak powiedziałam, nie zamierzam umrzeć dla twojej przyjemności.

Bagiennik kłapał zębami tuż przy jej twarzy, a Wasia, nie bacząc na swoje rany, chwyciła go za szyję. Miotał się i omal się nie wyrwał. Nie udało mu się jednak. W jej rękach była ta sama siła, która wyłamała pręty klatki w Moskwie.

– Nie będziesz mi groził – wysapała Wasia do ucha czarta, po czym wstrzymała oddech, bo właśnie zanurkowali. Kiedy wynurzyli się na powierzchnię, wciąż ścisnęła go za szyję. Nabrała powietrza i dodała: – Mogę umrzeć jutro albo dożyć późnej starości. Ale ty jesteś tylko jeziorną zjawą i nie będziesz mi rozkazywać.

Bagiennik znieruchomiał i Wasia puściła go, kaszląc i plując, i czując napięcie mięśni w obolałym boku. W nosie i w ustach miała pełno wody. Z kilku otwartych ran tryskała krew. Bagiennik obwąchał jej krwawiącą skórę. Nie poruszyła się.

– Może nie jesteś jednak bezużyteczna – stwierdził zaskakująco łagodnie. – Nie czułem takiej siły, odkąd... – urwał. – Poprowadzę cię do

brzegu. – Dodał z nagłą skwapliwością.

Wasia przywarła do parzącego węzowego ciała. Wzdrygnęła się, czując, jak do jej odrętwiałych członków wraca życie.

– O co ci chodziło z tym rodzinnym podobieństwem? – spytała ostrożnie.

Płynąc falującym ruchem, bagiennik odrzekł:

– Nie wiesz? – W jego głosie słyhać było dziwną żarliwość. – Kiedyś w chatce przy dębie mieszkała stara kobieta i jej córki bliźniaczki. Opiekowały się końmi, które pasą się nad brzegiem jeziora.

– Jaka stara kobieta? Byłam w tej chatce. Teraz to ruina.

– Bo zjawił się czarownik. Mężczyzna młody i piękny. Twierdził, że chce ujarzmić jednego z koni, ale to Tamarę, spadkobierczynię starej, zdobył. Latem pływali razem w jeziorze. Jesienią o zmroku szeptał jej do ucha obietnice. I w końcu dla niego Tamara włożyła złotą uzdę złotej klaczy, Żar-Ptakowi.

Teraz Wasia słuchała uważnie. To była jej własna historia opowiadana niefrasobliwym tonem przez jeziornego ducha w odległej krainie. Jej babka miała na imię Tamara. Przybyła do Moskwy z dalekiego kraju na wspaniałym koniu.

– Czarownik zabrał złotą klacz i wyjechał z krainy nad jeziorem – ciągnął bagiennik. – Zapłakana Tamara ruszyła w ślad za nim, na jednym oddechu przysięgając, że odzyska klacz i że go kocha. Nigdy jednak nie wróciła, podobnie jak czarownik. On został panem ogromnych terenów i wielu ludzi. Nikt nigdy się nie dowiedział, jaki los spotkał Tamarę. Jej stara matka w rozpaczy zamknęła wszystkie wiodące tutaj drogi i strzegła ich, poza tą przez Północ.

Wasi cisnęły się na usta setki pytań. Wypowiedziała pierwsze z nich:

– Co się stało z pozostałymi końmi? Wczoraj widziałam kilka z nich. Były dzikie.

Jeziorny duch płynął przez chwilę w milczeniu, już straciła nadzieję na odpowiedź. Wreszcie odezwał się głębokim i wzburzonym głosem:

– Pozostały tylko te, które widziałaś. Czarownik zabił wszystkie, które oddaliły się od jeziora. Czasami udawało mu się schwytać źrebaka, lecz żaden nie przetrwał tam długo, bo albo umierały, albo uciekały.

– Matko Boska – szepnęła Wasia. – Jak? Dlaczego?

– Konie z tej krainy są największym cudem świata. Czarownik nie mógł na nich jeździć. Nie umiał ich oswoić. Więc je zabijał. – Bagiennik dodał ledwie słyszalnie: – Te, które zostały... Stara zatrzymała je tutaj, gdzie są bezpieczne. Ale teraz odeszła i z każdym rokiem jest ich coraz mniej. Świat stracił swój cud.

Wasia milczała. Przed oczami miała płomienie i krew Słowika.

– Skąd one się wzięły? – wyszeptała. – Te konie?

– Kto wie? Zrodziła je ziemia. Są zaklęte. Oczywiście i ludzie, i czarty pragną je oswoić. Niektóre z nich chętnie noszą jeźdźców – dodał bagiennik. – Łabędź, gołąb, sowa i kruk. I słowik...

– Wiem, co się stało ze słowikiem. – Wasi z trudem przyszło wypowiedzenie tych słów. – Był moim przyjacielem i umarł.

– Te konie nie dokonują niemądrych wyborów – stwierdził bagiennik.

Wasia nie odpowiedziała. Po długim milczeniu uniosła głowę i spytała:

– Możesz mi powiedzieć, gdzie Niedźwiedź uwięził króla zimy?

– Tam, gdzie nie sięga pamięć, dawno temu, bardzo daleko, w głębokiej ciemności, która się nie zmienia. Sądzisz, że Niedźwiedź ryzykowałby, że jego brat bliźniak odzyska teraz wolność?

– Nie. Pewnie nie. – Nagle Wasia poczuła się strasznie zmęczona. Świat był ogromny, dziwny i przyprawiający o obłąd, wszystko wydawało się nierzeczywiste. Nie wiedziała ani co robić, ani jak. Oparła głowę o ciepły grzbiet czarta i milczała.

Nie zauważyła, że światło się zmienia, dopóki nie usłyszała szemrania wody w kamienistej zatoczce.

Kiedy pływali, słońce powędrowało na zachód, było teraz zimne i żółtozielone. Zapadał letni zmierzch, prawie noc. Żłocisty dzień zniknął, jakby utonął w jeziorze. Wasia z pluskiem zeskoczyła z grzbietu bagiennika na płyciznę i kuśtykając, wyszła na brzeg. Cienie drzew wyciągały się ku wodzie, długie i szare, jej ubrania tworzyły zimną stertę.

Bagiennik, na wpół zanurzony w jeziorze, był teraz zaledwie ciemną smugą. Wasia w przypiływie nagłego strachu krzyknęła do niego:

– Gdzie się podział dzień?! – Dostrzegła pod wodą oczy bagiennika i błyszczące rzędy zębów. – Celowo sprowadziłeś mnie w zmierzch? Dlaczego?

– Bo zabiłaś czarownika. Bo nie pozwoliłaś mi się zabić. Bo wśród czartów krążą słuchy i wszyscy jesteśmy ciekawi – wydobyła się spod wody odpowiedź bagiennika, bezosobowa i obojętna. – Radzę ci rozpalić ogień. Będziemy patrzeć.

– Dlaczego? – spytała Wasia, lecz stwór zanurzył się głębiej i zniknął.

Stała bez ruchu, wściekła, starając się stłumić strach. Wokół niej dzień umykał pośpiesznie, jakby sam las postanowił schwytać ją o zmroku. Przyzwyczajona do swojej bezmyślnej wytrzymałości musiała teraz stawić czoła słabości sponiewieranego ciała. Od chatki przy dębie dzieliło ją pół dnia drogi.

„Pora roku się zmieni”, powiedziała domowicha. Co miała na myśli? Czy może ryzykować? Czy powinna? Wasia podniosła wzrok na ciemniejące niebo i zrozumiała, że nie zdąży wrócić przed nocą.

Zostanę zatem, postanowiła. I skorzysta ze złośliwej rady bagiennika, by zużyć resztki światła na zbieranie drewna na ognisko. Bez względu na to, jakie niebezpieczeństwa czyhają na nią w okolicy, lepiej przywitać je w ciepłe ognia i z pełnym brzuchem.

Zaczęła zbierać drewno, wściekła z powodu własnej łatwowierności. Las w Leśnej Ziemi był jej przyjazny i to zaufanie wciąż w niej trwało, chociaż

miejsce, w którym się znalazła, nie musiało okazać się dla niej przyjazne. Jaskrawy zachód słońca barwił wodę na czerwono, wiatr gwizdał w gałęziach sosen. Jezioro było nieruchome i złociste.

Kiedy szarpała się z płataniną zwalonych drzew i gałęzi, znów zjawił się Dziadek Grzyb.

– Nie wiesz, że po zmianie pór roku nie wolno ci spędzić nocy nad jeziorem? – zagadnął. – Albo nigdy nie odzyskasz poprzedniej pory. Jeśli jutro wrócisz do chaty przy dębie, będzie lato i nie znajdziesz tam już wiosny.

– Bagiennik zatrzymał mnie w jeziorze – wyjaśniła Wasia ponuro. Wspominała białe, skrzące się dni w domu Morozki w jodłowym zagajniku. „Wrócisz tej samej nocy, podczas której wyruszyłeś w drogę”, powiedział jej wtedy. I tak się stało, mimo że spędziła w jego domu wiele dni, a nawet tygodni. A teraz... czyżby księżycy miało przybywać i ubywać w szerszym świecie, podczas gdy ona spędzi w tej letniej krainie zaledwie jedną noc? Jeśli w ciągu kilku minut w jeziorze minął cały dzień, co jeszcze jest możliwe? Ta myśl przeraziła ją bardziej niż pogróżki bagiennika. Rytm dnia i nocy, lata i zimy był dla niej równie naturalny, jak oddychanie. Czy tutaj nie istnieje żaden ustalony rytm?

– Myślałem już, że wcale nie wynurzysz się z jeziora – wyznał czart. – Wiem, że wielcy planują coś dla ciebie. Poza tym bagiennik nienawidzi ludzi.

Wasia cisnęła z wściekłością naręcze gałęzi.

– Mogłeś mnie uprzedzić!

– Dlaczego? – zdziwił się Dziadek Grzyb. – Nie mogę się mieszać w plany wielkich. Poza tym pozwoliłaś umrzeć jednemu z koni, zgadza się? Może to byłaby sprawiedliwość, gdyby bagiennik zabił ciebie, bo on kocha konie.

– Sprawiedliwość? – prychnęła Wasia. Nagle wylały się z niej cała złość, poczucie winy i bezradność, jakie odczuwała w ciągu ostatnich kilku dni. – Czyż nie zaznałam ostatnio dość sprawiedliwości? Przyszłam tu tylko po

jedzenie, nie zrobiłam nic złego ani tobie, ani temu lasowi. A jednak ty... wy wszyscy...

Zabrakło jej słów. W przyływie rozgoryczenia chwyciła patyk i walnęła nim grzybowego duszka w głowę.

Nie była przygotowana na jego reakcję. Chmurzaste ciało czarta zostało rozcięte, a on runął na ziemię, krzycząc z bólu. Wasia stała nad nim wstrząśnięta, podczas gdy Dziadek Grzyb bezkrwawo zmienił kolor z białego na szary, a potem na brązowy. Zupełnie jak grzyb przewrócony kopnięciem przez nieuważne dziecko.

– Nie... – wyjąkała Wasia zdjeta zgrozą. – Nie, ja nie chciałam. – Niewiele myśląc, przyklękła i położyła dłoń na jego głowie. – Przepraszam, nie chciałam zrobić ci krzywdy. Przepraszam.

Przestał ciemnieć. Wasia uświadomiła sobie, że zaczęła płakać. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo wniknęła w nią przemoc ostatnich dni ani że wciąż w niej jest, zwinięta i gotowa wybuchnąć w chwili strachu lub złości.

– Wybacz mi...

Czart zamrugnął czerwonymi oczami. Oddychał. Nie umierał. Wydawał się bardziej rzeczywisty niż przedtem. Zranione ciało na powrót się scaliło.

– Dlaczego to zrobiłaś? – spytał.

– Nie chciałam cię skrzywdzić. – Wasia przycisnęła do oczu stulone dłonie. – Nigdy nie chciałam nikogo skrzywdzić. – Drżała. – Ale masz rację, zrobiłam to, ja...

– Ty... – Grzyb przyglądał się ze zdumieniem swojej chmurzastoszarej ręce – dałaś mi swoje łzy.

Wasia pokręciła głową, nie mogąc wydobyć głosu.

– Z powodu mojego konia – wyjąkała wreszcie. – Mojej siostry. Nawet Morozki. – Otarła łzy i próbowała się uśmiechnąć. – A trochę z twojego.

Dziadek Grzyb wpatrywał się w nią uroczyście. Wasia w milczeniu wstała z klęczek i zaczęła szykować się do nocy w lesie.

Układała gałęzie na ognisko na gołej ziemi, kiedy grzybowy duszek znowu się odezwał, na wpół ukryty w stercie liści:

– Z powodu Morozki, powiedziałaś. Szukasz króla zimy?

– Tak, szukam. Jeśli nie wiesz, gdzie on jest, może chociaż znasz kogoś, kto mógłby to wiedzieć? – W głowie huczały jej słowa Niedźwiedzia: „Oddał swoją wolność za twoje życie”. Dlaczego to zrobił? Dlaczego?! I inne, jeszcze głębiej ukryte wspomnienie, głos Morozki mówiący: „Kochałem cię, jak umiałem...”.

Drewno na ognisko zostało ułożone, drobne gałązki na podpałkę między większymi konarami. Rozmawiając z Dziadkiem Grzybem, Wasia szykowała igły sosnowe na hubkę.

– Północnica wie – oznajmił Dziadek Grzyb. – Jej królestwo obejmuje wszystkie minione północe. Wątpię jednak, czy ci powie. A kto jeszcze mógłby to wiedzieć... – Dziadek Grzyb umilkł, najwyraźniej intensywnie nad czymś myśląc.

– Czy ty mi pomagasz? – Wasia ze zdumienia aż przysiadła na piętach.

– Dałaś mi łyżę i kwiat. Pójdę za tobą, nie za Niedźwiedziem. Jestem pierwszy. – Wypiął dumnie pierś.

– Pierwszy do czego?

– Pierwszy wzięłem twoją stronę.

– Moją stronę? – zdziwiła się Wasia.

– A jak myślisz? Odmówiłaś zarówno królowi zimy, jak i jego bratu, prawda? I stałaś się trzecią siłą w ich wojnie. – Dziadek Grzyb zmarszczył czoło. – Czy może chcesz odszukać króla zimy, by stanąć po jego stronie?

– Nie jestem pewna, jaka to różnica, jeśli chodzi o strony... Chcę znaleźć króla zimy, ponieważ potrzebuję jego pomocy. – Nie był to jedyny powód, nie zamierzała jednak tłumaczyć wszystkiego grzybowemu duszkowi.

Zbył to machnięciem ręki.

– No cóż, nawet jeśli on też stanie po twojej stronie, ja i tak już na zawsze będę pierwszy.

Wasia ściągnęła brwi, patrząc na nierozpalone ognisko.

– Skoro nie wiesz, gdzie znaleźć króla zimy, to jak zamierzasz mi pomóc? – spytała ostrożnie.

Dziadek Grzyb się zastanowił.

– Wiem wszystko o grzybach. Mogę też sprawić, że wyrosną.

To bardzo ucieszyło Wasię.

– Uwielbiam grzyby. Możesz mi znaleźć trochę kurek?

Nawet jeśli Dziadek Grzyb odpowiedział, nie usłyszała go, bo w tej właśnie chwili wciągnęła gwałtownie powietrze i pozwoliła, by jej duszę wypełniło palące wspomnienie ognia. I z jej ogniska buchnęły płomienie. Z satysfakcją dorzuciła kilka gałązek.

Dziadek Grzyb rozdziawił usta. Wszędzie wokół rozległy się szmery, jakby drzewa szeptały między sobą.

– Powinnaś uważać. – Dziadek Grzyb po chwili odzyskał mowę.

– Dlaczego? – Wasia wciąż była bardzo z siebie zadowolona.

– Od magii można zwariować – przestrzegł Dziadek Grzyb. – Zmieniasz rzeczywistość tak bardzo, że zapominasz, co istnieje naprawdę. Ale teraz może pójdzie za tobą trochę więcej czartów.

Jakby na potwierdzenie jego słów z jeziora wyskoczyły z pluskiem dwie ryby i leżały teraz na piasku, łapiąc powietrze, czerwonosrebrzyste w świetle ogniska.

– Pójdzie za mną dokąd? – zapytała Wasia nieco rozdrażniona, ale podeszła, by wziąć ryby. – Dziękuję – rzuciła burkliwie w stronę wody. Jeśli bagiennik usłyszał, nie odpowiedział, ale Wasia nie sądziła, że odpłynął. On czekał.

Na co, tego nie wiedziała.



12.

Targi

Wasia wypatroszyła ryby i oblepiła gliną, by upiec je w żarze ogniska. Dziadek Grzyb dotrzymał słowa, podreptał w głąb lasu i przyniósł jej całe garście grzybów. Niestety, mało że nie umiał rozpoznać kurek, to jeszcze nie wiedział, które grzyby są jadalne. Wasia musiała przebierać ogromne ilości muchomorów. Tymi dobrymi natomiast nafaszerowała ryby, dodając zioła i dziki szczypiorek, a kiedy były gotowe, poparzyła sobie palce, jedząc je.

Pełny brzuch to miła sprawa, lecz noc wcale nie była miła. Od jeziora wiał silny wiatr, Wasia nie mogła też się pozbyć poczucia, że jest obserwowana i oceniana przez niewidzialne oczy. Czuła się jak nieświadoma dziewczyna wrzucona w sam środek bajki, której nie rozumie, a wszyscy wokół czekają, aż wejdzie w nieznaną sobie rolę. Nieobecność Słowika stanowiła niesłabnącą dojmującą udrękę.

Wreszcie Wasia zapadła w płytki lodowaty sen, jednak nawet to nie przyniosło jej wytchnienia. Widziała we śnie pięści i rozwścieczone twarze, słyszała, jak krzyczy, ponagłając ukochanego konia do biegu. Wierzchowiec zmienił się jednak w słowika i łucznik zestrzelił go z nieba. Wasia obudziła się gwałtownie z imieniem swego konia na wargach, a gdzieś w ciemności usłyszała nierówny tętent.

Zerwała się z legowiska i stanęła boso w chłodnych letnich paprociach, boleśnie zeszywniała. Z ogniska zostało kilka dogasających węgielków. Księżyc wisiał nisko nad horyzontem. Między drzewami migotało jakieś światło. Pomyślała o mężczyznach z pochodniami i w pierwszym odruchu chciała rzucić się do ucieczki.

Zmrużywszy oczy, zorientowała się jednak, że to nie pochodnie. To była złota klacz. Jej blask jakby przygasł od ubiegłej nocy, kuląła na przednią nogę, jej pierś pokrywała piana. Wasi zdawało się, że w lesie, za klaczą, słyszy szepty. Wiatr niósł jakiś paskudny zapach.

Prędko dorzuciła gałęzie do przygasającego ogniska.

– Tutaj! – zawołała.

Klacz próbowała uciekać, potknęła się na równej drodze i skierowała w stronę Wasi. Głowę miała zwieszoną. W odrodzonym świetle ogniska wyraźnie widać było długą głęboką ranę na jej przedniej nodze.

Wasia podniosła toporek i płonące polano. Nie widziała, co ściga klacz, lecz smród tej istoty gęstniał wokół nich, to była cuchnąca woń padliny gnijącej w upale. Dzierżąc żalostną broń, Wasia zaczęła cofać się w stronę jeziora. Nie przepadała za tą żywą iskrą, która podpałiła Moskwę, ale... zawiodła swojego konia. Nie zamierzała zawieść i tego.

– Tędy – szepnęła.

Klacz nie miała w odpowiedzi słów, a jedynie strach wyrażany całym ciałem. Wciąż szła w stronę Wasi.

– Dziadku Grzybie! – zawołała Wasia.

Grupka grzybów, lśniąca bladozielono w ciemności, zadrżała.

– Lepiej, żebyś wyszła z tego żywa. W przeciwnym razie co bym miał z tego, że byłem pierwszy? Wszyscy patrzą.

– Co?

Nie dosłyszała jednak odpowiedzi, nawet jeśli ta padła, ponieważ spomiędzy drzew bezszelestnie wyłonił się Niedźwiedź i stanął w blasku księżyca nad wodą.

W Moskwie wyglądał jak mężczyzna. Tutaj także, teraz jednak miał ostre zęby, a oko patrzyło dziko. Wasia widziała w nim bestię przeciągającą się niczym cień za jego plecami. Wydawał się bardziej dziwny, starszy, zadomowiony w tym niemożliwym lesie.

– Pewnie to dlatego bagiennik chciał, żebym spędziła tę noc w lesie – powiedziała spięta. Z poszycia dobiegały chrapliwe, warczące oddechy. – Chciał jednak, żebym umarła.

Pozbawiony blizn kącik ust Niedźwiedzia wykrzywił się.

– Może tak, a może nie. Przestań prychać jak kotka. Nie przyszedłem cię zabić.

Płonące polano zaczęło parzyć ją w rękę. Cisnęła je na ziemię pomiędzy nimi.

– Polujesz zatem na Żar-Ptaka?

– To też nie. Ale moje stworki będą miały niezłą zabawę. – Syknął na klacz, uśmiechając się szeroko, a ona uskoczyła spłoszona, zanurzając w wodzie tylne kopyta.

– Zostaw ją! – warknęła Wasia.

– No dobrze – odparł niespodziewanie Niedźwiedź. Usadowił się na kłodzie przy ogniu. – Nie usiądziesz ze mną?

Nie ruszyła się z miejsca. Kiedy się uśmiechnął, jego kły błysnęły w ciemności, ostre i białe.

– Naprawdę nie pragnę twojego życia, Wasiliso Pietrowna. – Rozłożył rękę. – Chciałbym złożyć ci propozycję.

Teraz ją zaskoczył.

– Już raz zaproponowałeś, że ocalisz mi życie. Nie chciałam tego, uratowałam się sama. Dlaczego miałabym przyjąć od ciebie coś mniej cennego?

Niedźwiedź nie odpowiedział od razu. Spojrzał na gwiazdy przeświecające przez frędzle liści i odetchnął głęboko letnim nocnym powietrzem. Widziała złociste punkciki odbijające się w jego oku, jakby sycił się ich blaskiem po długim czasie mroku. Nie chciała rozumieć jego radości.

– Spędziłem niezliczone ludzkie żywoty uwiązany na polanie, na skraju terenów należących do mego brata – rzekł wreszcie. – Uważasz, że był dobrym zarządcą świata, kiedy ja spałem?

– Morozko przynajmniej nie siał zniszczenia, gdziekolwiek się pojawił – odparła Wasia. Obok niej złota klacz krwawiła do wody. – Co robiłeś w Moskwie?

– Zabawiałem się. Mój brat robił kiedyś to samo, chociaż teraz udaje świętego. Kiedyś byliśmy bardziej do siebie podobni. Przecież jesteśmy bliźniakami.

– Jeśli usiłujesz wzbudzić moje zaufanie, nie najlepiej ci idzie.

– Ale... mój brat sądzi, że ludzie i czarty mogą dzielić ze sobą ten świat. Ci sami ludzie, którzy szerzą się jak zaraza, bijąc w cerkiewne dzwony i zapominając o nas. Mój brat jest głupcem. Jeśli zostawić ludzi samym sobie, pewnego dnia na świecie nie będzie już czartów, drogi przez Północ ani żadnych cudów.

Tak jak Wasia nie chciała rozumieć, dlaczego Niedźwiedź uniósł z zachwytem oko ku nocnemu niebu, tak nie chciała teraz się z nim zgodzić. Miał jednak rację. Na całej Rusi czarty były nikłe jak dym. Strzegły swoich wód, lasów i domostw, choć ich ręce, pozbawione siły, nie mogły niczego chwycić, a głowy niewiele pamiętały. Milczała.

– Ludzie boją się tego, czego nie rozumieją – mruknął Niedźwiedź. –

Ranią cię. Biją, plują na ciebie, chcą spalić na stosie. Ludzie pozbawią świat dzikości, aż nie będzie już miejsca, w którym dziewczyna czarownica mogłaby się ukryć. Spalą ciebie i tobie podobne. – To był jej najgłębszy i najpotworniejszy lęk. Musiał o tym wiedzieć. – Ale nie musi tak być. Możemy ocalić czarty i krainę między południem a północą.

– My? – zdziwiła się Wasia. Jej głos nie brzmiał zbyt pewnie. – W jaki sposób?

– Jedź ze mną do Moskwy. – Znów był na nogach, połowa jego twarzy, ta bez blizn, wydawała się rumiana w blasku ognia. – Pomóż mi obalić dzwonnice i pozbawić książąt władzy. Bądź moją sojuszniczką, a pomogę ci zemścić się na twoich wrogach. I już nigdy nikt nie ośmieli się tobą pomiatać.

Niedźwiedź był duchem nie bardziej cielesnym niż Dziadek Grzyb, a jednak na tej polanie zdawał się pulsować życiem.

– Zabiłeś mojego ojca – przypomniała mu Wasia.

Rozłożył ręce.

– Twój ojciec rzucił się prosto na moje pazury. Mój brat pozyskał twoje oddanie kłamstwami, prawda? Półprawdami szeptanymi w ciemności i niebieskimi oczami tak kuszącymi dla dziewcząt? – Ze wszystkich sił starała się nie okazać żadnych uczuć. Kącik jego ust uniósł się, zanim podjął: – Oto jestem tutaj i proszę cię o lojalność, nie uciekając się do niczego poza prawdą.

– Skoro powołujesz się na prawdę, powiedz, czego chcesz – zażądała Wasia. – Z mniejszą finezją, a większą szczerością.

– Pragnę sojusznika. Przyłącz się do mnie i dokonaj zemsty. My, starzy, znów będziemy rządzić tym krajem. Tego właśnie chcą czarty. To dlatego bagiennik cię tutaj sprowadził. To dlatego wszyscy cię obserwują. Żebyś mnie wysłuchała i się ze mną zgodziła.

Czy on kłamie?

Wasia stwierdziła ze zgrozą, że zastanawia się, co by było, gdyby przystała na propozycję Niedźwiedzia i uwolniła duszącą ją wściekłość w paroksyzmie przemocy. Czuła, że ten impuls odbija się w pokrytej bliznami postaci stojącej naprzeciwko niej. On rozumiał jej poczucie winy, jej smutek oraz furję, którą wyładowała na głowie Dziadka Grzyba.

– Tak – szepnął. – Dobrze się rozumiemy. Nie da się stworzyć nowego świata bez zniszczenia tego starego.

– Zniszczenia? – powtórzyła Wasia. Z trudem rozpoznawała swój głos. – Co zamierzasz zniszczyć, tworząc ten nowy świat?

– Nie zniszczę niczego, co nie może zostać naprawione. Pomyśl o tym. Pomyśl o dziewczynkach, które nie trafią na stos.

Chciała jechać do Moskwy, mając władzę, by zniszczyć to miasto. Przemawiała do niej dzikość Niedźwiedzia, podobnie jak jego smutek z powodu długiego uwięzienia. Złota klacz stała nieruchomo.

– I zemszczę się? – wyszeptała.

– Tak.

– Czy Konstanty Nikonowicz umrze, krzycząc?

Miała wrażenie, że Niedźwiedź zawahał się, zanim odrzekł:

– Umrze.

– A kto jeszcze umrze, Niedźwiedziu?

– Mężczyźni i kobiety umierają każdego dnia.

– Umierają zgodnie z wolą boską, nie dla mnie – zauważyła Wasia. Wbiła paznokcie we wnętrze dłoni. – Nikt nie zasługuje na to, by umierać, dlatego że ja jestem w rozpacz. Masz mnie za głupią? Myślisz, że możesz mi sączyć do ucha słowa niby słodką truciznę? Nie jestem twoją sojuszniczką, potworze, i nigdy nie będę.

Wydało jej się, że w lesie rozlega się szmer, nie potrafiła jednak stwierdzić, czy to odgłos radości, czy rozczarowania.

– Ach! – wykrzyknął Niedźwiedź. Żal w jego głosie wydawał się prawdziwy. – Mała Wasilisa Pietrowna pod pewnymi względami taka mądrała, a taka głupiutka pod innymi. Bo, oczywiście, jeśli się do mnie nie przyłączysz, nie ujdiesz z życiem.

– Moje życie było ceną za twoją wolność – przypomniała Wasia. Czuli zimną obecność jeziora za plecami, obok niej wciąż stała złota klacz, ciepła i drżąca. – Nie możesz mnie zabić.

– Ofiarowałem ci życie. To nie moja wina, że jesteś uparta i głupia i go nie przyjęłaś. Spłaciłem swój dług. Zresztą nie zamierzam cię zabić. Możesz przyłączyć się do mnie żywa. Albo zostać moją służką. – Wykrzywił usta. – Mniej żywą.

Wasia usłyszała ciche szuranie. I znowu. Ktoś szedł, powłócząc nogami. Wasi puls tętnił w uszach, a w głowie rozbrzmiały dawne ostrzeżenia: „Niedźwiedź jest na wolności. Strzeż się umarłych”.

– Będę miał zabawę – ucieszył się Niedźwiedź. – Powiedz mi, co postanowisz. – Cofnął się. – Tak czy owak, przekazę bratu, że żałujesz.

Po lewej stronie Wasi w kręgu światła pojawił się martwy mężczyzna o czerwonych oczach i brudnej twarzy. Po prawej kobieta o zakrwawionych wargach śmiała się szeroko, do jej białej jak kość czaszki przylgnęło kilka pukli gnijących włosów. Oczy trupów były jak piekielne otchłanie, czerwono-czarne. Kiedy otwierały usta, ich ostre zęby lśniły w blasku dogasającego ogniska. Wasia i klacz zostały otoczone zacieśniającym się półkolem.

Złota klacz stanęła dęba. Przez chwilę wydawało się, że na jej plecach rozbłysły ogromne płomieniste skrzydła. Opadła jednak na ziemię, wciąż będąc klaczą, do tego ranną. Nie mogła latać.

Wasia upuściła bezużyteczny toporek. Jej duszę wciąż przepełniało wspomnienie ognia. Zacisnęła pięści i zapomniała, że trupy nie płoną.

Udało się lepiej, niż oczekiwała. Drwa rozbłysły jak pochodnie. Upiory wrzasnęły i dreptały na oślepi, całe w płomieniach. Musiała chwycić gałąź, żeby je odgonić, bosymi stopami stojąc w wodzie. Złota klacz cofała się, młócąc gorączkowo przednimi kopytami.

– O nie – odezwał się Niedźwiedź jakimś nowym głosem. – Moskwa naprawdę rozpała ci duszę, czyż nie? Sama stałaś się na poły duchem chaosu, spodobałby ci się sojusz ze mną. Może rozważysz jeszcze moją propozycję?

– Ty nigdy nie milkniesz? – odparowała Wasia. Oblewał ją zimny pot. Kolejny upiór stanął w płomieniach i rzeczywistość zaczęła się zacierać. Teraz zrozumiała. „Magia sprowadza na ludzi obłąd. Zapominają, co jest rzeczywiste, bo zbyt wiele jest możliwe”.

Zostały jeszcze cztery trupy, nie miała wyboru. Znów ruszyły w jej stronę.

Niedźwiedź wbił spojrzenie w jej oczy, jakby dostrzegł w nich ziarno obłądu.

– Tak, stracić rozum, szalona dziewczyno, a będziesz moja – wydyszał.

Wasia nabrała powietrza i...

– Dosyć – przemówił nowy głos.

Jego dźwięk wyrwał Wasię z mrocznego snu. Spomiędzy drzew wyszła stara kobieta o wielkich dłoniach i szerokich ramionach, obrzuciła wzrokiem upiorną scenę i powiedziała z rozdrażnieniem, jakby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie:

– Niedźwiedziu, nie powinieneś próbować tego o północy.

W tym samym momencie fala z jeziora omal nie utopiła Wasi i ukazał się bagiennik, dryfując na płytkich wodach i obnażając zęby.

– Żarłoku, nie mówiłeś nic o krzywdzeniu koni.

Stara kobieta mogła być kiedyś wysoka, lecz z wiekiem się zgarbiła, ubranie miała złachmanione, paznokcie szponiaste, nogi wygięte w pałąk. Na plecach niosła kosz.

Wasia, stojąc po kostki w wodzie, w poczuciu, iż rzeczywistość jest ulotna niczym mgła, stwierdziła, że Niedźwiedź się boi.

– Ty nie żyjesz – zwrócił się do staruszki, a ona zachichotała.

– O północy? Na mojej własnej ziemi? Powinieneś wiedzieć lepiej.

Wasia, jak przez sen, odniosła wrażenie, że dostrzega lśnienie włosów Północnicy i jej gwiaździste oczy na wpół ukryte wśród drzew i czujnie wszystko obserwujące.

– Powinienem – przyznał Niedźwiedź. – Ale po co się wtrącać? Co cię obchodzi twoja zdradziecka rodzina?

– Obchodzi mnie przynajmniej klacz, ty wielki żarłoku. – Staruszka tupnęła. – Wracaj terroryzować Wielkie Księstwo Moskiewskie.

Za plecami staruszki skradał się jeden z upiorów. Nie obejrzała się, nawet nie drgnęła, a trup stanął nagle w białym ogniu i runął z wrzaskiem na ziemię.

– Przypuszczam, że musiałbym bardzo długo czekać, aż oszalejesz. – W jego głosie brzmiał szacunek. Wasia słuchała tego ze zdumieniem.

– Jestem szalona od lat – odparła staruszka, a kiedy się zaśmiała, wszystkie włoski na ciele Wasi się zjeżyły – Ale o północy to wciąż moje królestwo.

– Dziewczyna nie zostanie z tobą. – Niedźwiedź wskazał Wasię ruchem głowy. – Nie zostanie, żebyś nie wiem jak ją przekonywała. Opuści cię tak jak tamte. A kiedy to się stanie, będę czekał. – I dodał, zwracając się do Wasi: – Ty wciąż masz wybór. Tak czy inaczej, zostaniesz moją sojuszniczką. Czarty nie zgodzą się na nic innego.

– Odejdź! – warknęła staruszka.

I – nie do wiary – Niedźwiedź uklonił się im obu i wycofał w ciemność. Jego słudzy, z piekielnym blaskiem wygasłym w oczach, poszli za nim, powłócząc nogami.



13.

Baba Jaga

Powróciły zwykłe nocne odgłosy. Tkwiącej w wodzie Wasi zdrętwiały nogi. Złota klacz stała ze zwieszoną głową. Staruszka zasznurowała usta, przyglądając się dziewczynie i zwierzęciu.

– *Babuszka* – odezwała się Wasia ostrożnie – dziękuję, że ocaliłaś nam życie.

– Jeśli chcesz sterczeć w jeziorze tak długo, aż wyrosną ci płetwy, to twoja sprawa – odparła staruszka. – W przeciwnym razie podejdź do ognia.

Pokuśtykała w stronę ogniska i dorzuciła do niego kilka patyków. Wasia wyszła z jeziora, klacz jednak się nie poruszyła.

– Krwawisz – zwróciła się do niej Wasia, próbując obejrzeć rozcięcie na jej przedniej nodze.

Uszy klaczy wciąż leżały płasko na głowie. Wreszcie przemówiła:

– Kiedy inne konie odleciały, ja biegłam, żeby odciągnąć upiory, ale były zbyt szybkie. A potem skaleczyłam się w nogę i nie mogłam odlecieć.

– Mogę ci pomóc.

Klacz nie odpowiedziała. Nagle jednak Wasia zrozumiała jej bezruch i opuszczoną złotą głowę.

– Obawiasz się, że znów zostaniesz zniewolona? Bo jesteś ranna? Nie bój się. Zabiłam czarownika. Tamara też nie żyje. – Czują, że staruszka za

jej plecami słucha. – Nie mam nawet postronka, a co dopiero złotej uzdy. Nie dotknę cię bez twojego pozwolenia, podejź do ognia.

Wasia poparła słowo czynem i sama ruszyła w stronę ogniska. Klacz wciąż stała nieruchomo, jej uszy zdradzały niepewność. Staruszka czekała na Wasię po drugiej stronie ognia. Miała białe włosy, lecz jej twarz była twarzą Wasi odbitą w krzywym zwierciadle.

Wasia wpatrywała się w nią wstrząśnięta.

Las wciąż wydawał się gęsty od obserwujących oczu. Przez chwilę panowała niczym niezmacona cisza. Wreszcie staruszka zapytała:

– Jak masz na imię?

– Wasilisa Pietrowna.

– Jak miała na imię twoja matka?

– Marina Iwanowna. A jej matka miała na imię Tamara. To ta dziewczyna, która założyła uzdę Żar-Ptakowi.

Staruszka omiotła spojrzeniem poranioną i posiniaczoną twarz Wasi, jej krótko obcięte włosy, ubranie, a przede wszystkim chciała odczytać wyraz jej oczu.

– Dziwię się, że nie odstraszyłaś Niedźwiedzia – powiedziała oschłym tonem. – Z tą straszną twarzą. A może mu się spodobała? Z nim nigdy nic nie wiadomo. – Ręce jej drżały.

Wasia milczała.

– Tamara i jej siostra były moimi córkami. Tobie by się zdało, że dawno temu.

Wasia to wiedziała.

– Jak to możliwe, że wciąż żyjesz? – wyszeptała.

– Nie żyję. Umarłam przed twoim urodzeniem. Ale tu jest Północ.

Złota klacz przerwała ciszę, która zapadła po tych słowach, pluskiem towarzyszącym jej wyjściu z wody. Równocześnie odwróciły się w jej stronę. Blask ognia oświetlał bezlitośnie blizny po pejczu i ostrogach.

- Dobrana z was para – stwierdziła staruszka.
 - *Babuszka*, obie potrzebujemy pomocy.
 - Najpierw Pożoga – zdecydowała staruszka. – Wciąż krwawi.
 - To jej imię?
- Stara wzruszyła ramionami.
- Jakie imię mogłoby pasować do takiego stworzenia? Po prostu tak ją nazywam.

Klaczy niełatwo było jednak pomóc. Gdy któraś próbowała jej dotknąć, kładła ostrzegawczo uszy i cofała się. Gdy machała ogonem, na letnią ziemię sypały się kaskady iskier. Jedna zaczęła się tlić. Wasia zdusiła ją butem.

- Ranna czy nie, jesteś groźna – stwierdziła.

Staruszka prychnęła. Pożoga rzuciła Wasi piorunujące spojrzenie. Ale też była wyczerpana. I wreszcie, kiedy Wasia przeciągnęła dłonią od jej barku do kolana, tylko zadrżała.

- Będzie bolało – ostrzegła ją Wasia. – Nie wolno ci kopać.
- Niczego nie obiecuję – odparła klacz, kładąc uszy.

Wspólnymi siłami udało im się przekonać Pożogę, by stała spokojnie, dopóki Wasia nie zszyje jej rany na nodze, chociaż, zanim skończyła, nabawiła się kilku nowych siniaków. Później, kiedy roztrzęsiona Pożoga uciekła, kulejąc, żeby paść się w bezpiecznej odległości, Wasia usiadła przy ognisku i odgarnęła z twarzy mokre od potu włosy. Ubrania wyschły jej od żaru bijącego z ciała klaczy. Wciąż była ciemna noc, choć wydawało się, że od nadejścia Niedźwiedzia minęło wiele godzin.

Staruszka miała w koszu garnek, sól i kilka cebul. Kiedy zanurzyła rękę w jeziorze, wyciągnęła rybę, a zrobiła to tak naturalnie, jak inna kobieta wyjęłaby chleb z domowego pieca. Zabrała się do robienia zupy, jakby to nie była północ.

Wasia przyglądała się jej.

– To twój dom? – spytała. – Ten przy dębie.

Staruszka patroszyła rybę i nie podniosła wzroku.

– Kiedyś był mój.

– Ta skrzynia... zostawiłaś ją tam? Dla mnie?

– Tak – odparła staruszka, wciąż nie podnosząc wzroku.

– Wiedziałaś, że ja... Więc jesteś tą wiedźmą z lasu, która opiekuje się końmi – stwierdziła Wasia. Pomyślała o Maszy i na jej wargach pojawiło się nieproszone stare straszne imię, imię z bajek. Gdy je wypowiadała, przeszedł ją dreszcz: – Baba Jaga. Jesteś moją prababką.

Staruszka zaśmiała się krótko. Rybie wnętrzności lśniły ciemno między jej palcami, gdy wrzucała je do jeziora.

– Mniej więcej. Do jednej bajki trafia zlepek kilku czarownic. Może jestem jedną z nich.

– Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

– Od Północnicy oczywiście. – Staruszka grzebała teraz w koszyku Wasi, żeby dodać do zupy zieleninę. Oczy błyszczały jej w ciemności, wielkie i dzikie, zaczerwienione od blasku ognia. – Chociaż czekała z tym do ostatniej chwili, aż niemal było za późno. Chciała, żebyś spotkała się z Niedźwiedziem.

– Dlaczego?

– By zobaczyć, co zrobisz.

– Dlaczego? – powtórzyła Wasia. Czuła, że jest niebezpiecznie blisko wzniesienia płaczliwej dziecięcej skargi. Bolały ją nogi, żebra i rana na twarzy. Znow miała dojmujące poczucie, że została wrzucona do nieznannej bajki.

Staruszka nie odpowiedziała od razu. Raz jeszcze przyjrzała się Wasi. Wreszcie przemówiła:

– Większość czartów nie chce występować przeciwko światu ludzi. Ale nie chcą też zniknąć. Są rozdarte.

Wasia zmarszczyła czoło.

– Rozdarte? Ale co to ma wspólnego ze mną?

– Jak myślisz, dlaczego Morozko zadał sobie tyle trudu, żeby ocalić ci życie? Tak, Północnica i o tym mi powiedziała.

– Nie wiem. – Wasia mimowolnie podniosła głos. – Myślisz, że tego chciałam? To było szaleństwo.

Spod powiek staruszki wydobył się ostry złośliwy błysk.

– Czyżby? Pewnie nigdy się tego nie dowiesz.

– Dowiedziałabym się, gdybyś mi to wyjaśniła.

– Nie zrobię tego. To coś, co musisz zrozumieć sama albo wcale. – Staruszka uśmiechnęła się, wciąż jednak trochę złośliwie. Posoliła zupę. – Szukasz łatwej drogi, dziecko?

– Gdyby tak było, nigdy nie opuściłabym rodzinnego domu. – Wasia starała się być uprzejma. – Ale jestem zmęczona błądzeniem w ciemności.

Staruszka mieszała zupę, blask ognia wydobył dziwny wyraz jej twarzy.

– Tu zawsze jest ciemno – zauważyła.

Wasia, wciąż mająca mnóstwo pytań, umilkła nagle zawstydzona. Po chwili odezwała się nieco innym tonem:

– To ty wysłałaś do mnie Północnicę, gdy jechałam do Moskwy?

– Ja. Byłam ciekawa, kiedy usłyszałam, że dziewczynka z mojego rodu wyruszyła w drogę wraz z jednym z jeziornych koni.

Wasia wzdrygnęła się na wspomnienie Słowika.

Zupa była gotowa. Wiedźma naląła sobie dużą porcję i trochę skromniejszą Wasi. Dziewczyna nie miała jej tego za złe, zdążyła najeść się rybami. Polewka była smaczna, piła ją powoli.

– *Babuszka*, czy kiedykolwiek widziałaś swoje córki po tym, gdy stąd wyjechały? – zagadnęła.

Stara twarz Baby Jagi stała się nieruchoma jak rzeźbiony kamień.

– Nie. Porzuciły mnie. – Wasia pomyślała o wyschniętym duchu Tamary i zastanawiała się, czy ta staruszka mogła zapobiec temu koszmarowi. – Moja córka uknuła spisek z czarownikiem, by siłą zabrać Żar-Ptaka! – wybuchnęła staruszka, jakby czytała Wasi w myślach. – Nie mogłam ich złapać. Ta klacz jest najszybsza na świecie. Ale przynajmniej moja córka została ukarana.

– To było twoje dziecko – obruszyła się Wasia. – Wiesz, co ten czarownik jej zrobił?

– Sama to sobie zrobiła.

– Mam ci opowiedzieć, co się z nią stało?! – Wasię ogarnęła złość. – O jej odwadze i rozpacz? O tym, jak została uwięziona w moskiewskim terenie aż do śmierci? A nawet dłużej! Zamknęłaś swoją krainę i nawet nie próbowałaś jej pomóc?

– To ona zdradziła mnie! – upierała się wiedźma. – Wybrała mężczyznę, przedkładając go nad swoją rodzinę. Oddała złotą klacz we władanie Kościejowi. Moja Warwara też mnie opuściła. Próbowала najpierw zająć miejsce Tamary, ale nie umiała. Oczywiście, że nie, nie miała daru widzenia. Więc odeszła jak tchórz. – Wasia znieruchomiała, bo nagle spłynęło na nią zrozumienie. – Nie potrzebowałam żadnej z nich – ciągnęła staruszka. – Zamknęłam wszystkie wiodące tutaj drogi poza tą przez Północ, a ona jest moja, ponieważ Północnica to moja sługa. Zachowałam moje włości nietknięte, czekam, aż zjawi się nowa spadkobierczyni.

– Zachowałaś swoje włości nietknięte? – powtórzyła Wasia z niedowierzaniem. – A twoje dzieci były uwięzione w świecie ludzi, twoja córka została porzucona przez ukochanego?

– Tak. Zasłużyła na to. – Wasia nie odpowiedziała. – Ale teraz – podjęła wiedźma, a jej głos złagodniał – mam nową dziedziczkę. Wiedziałam, że któregoś dnia tu dotrzesz. Potrafisz rozmawiać z końmi, obudziłaś domowicę, rozpalając ogień, przeżyłaś atak bagiennika. Ty mnie nie zdradzisz. Zamieszkaż w chacie przy dębie, a ja będę się zjawiała

o północy i uczyła cię wszystkiego, co wiem: jak zapanować nad czartami, jak zadbać o bezpieczeństwo twoich bliskich. Czy chciałabyś dowiedzieć się tego wszystkiego, biedna mała dziewczynko o poparzonej twarzy?

– Tak. Bardzo bym chciała się tego dowiedzieć. – Baba Jaga rozsiadła się wygodniej z zadowoloną miną. – Kiedy przyjdzie czas na naukę – dokończyła Wasia. – Ale jeszcze nie teraz. Teraz po Rusi grasuje Niedźwiedź.

Staruszka się obruszyła.

– Co dla ciebie znaczy Ruś? Próbowali cię spalić, czyż nie? Zabili twojego konia.

– Ruś to moja rodzina. Moi bracia i siostra. Moja siostrzenica, która widzi tak samo jak ja. Twoje prawnuki. I praprawnuki.

Oczy więdźmy zaczęły niepokojąco błyszczeć.

– Jeszcze jedna z darem widzenia? Dziewczynka? Przejdziemy przez Północ i sprowadzimy ją tutaj.

– Chcesz powiedzieć „wykradniemy”? Zabierzemy matce, która ją kocha? – Wasia wciągnęła gwałtownie powietrze. – Powinnaś najpierw pomyśleć, co spotkało twoje własne dzieci.

– Nie – burknęła staruszka. – Nie potrzebowałam ich, tych małych żmij. – Spojrzenie miała dzikie i Wasia zastanawiała się, czy to samotność, czy magia zasiały w niej ziarno szaleństwa, i dlatego odtrąciła własne dzieci. – Przejmiesz moją moc i moje czarty, prawnuczko.

Wasia wstała, podeszła do staruszki i uklękła przy niej.

– To dla mnie zaszczyt – powiedziała, starając się zachować spokój. – O zmierzchu byłam włóczęgą, a teraz jestem czyjąś prawnuczka. – Zdziwiona staruszka siedziała sztywno i przyglądała się Wasi z niepewną nadzieją. – Ale Niedźwiedź został uwolniony ze względu na mnie i muszę doprowadzić do jego ponownego związania – dokończyła.

– Zabawy Niedźwiedzia cię nie dotyczą. Tak długo był więźniem, nie sądzisz, że zasłużył na odrobinę słońca?

– Właśnie próbował mnie zabić – przypomniała Wasia zgryźliwie. – Ta spośród jego zabaw dotyczy mnie bezpośrednio.

– Nie zdołasz mu się przeciwstawić. Jesteś za młoda i widziałas niebezpieczeństwa nadmiaru magii. On jest najsprytniejszym z czartów. Gdybym się nie zjawiała, zabiłby cię. – Wyciągnęła wysuszoną rękę i chwyciła dłoń Wasi. – Zostań tutaj i ucz się, dziecko.

– Zrobię to – zapewniła Wasia. – Zrobię. Kiedy Niedźwiedź zostanie związany, wrócę tu i będę się od ciebie uczyła jako twoja dziedziczka. Muszę jednak zadbać o bezpieczeństwo mojej rodziny. Możesz mi pomóc?

Staruszka cofnęła rękę. Wrogość powoli wypierała z jej twarzy nadzieję.

– Nie pomogę ci. Jestem gospodynią tego jeziora, tych lasów, nie dbam o świat, który rozciąga się dalej.

– A możesz mi chociaż powiedzieć, gdzie jest uwięziony król zimy?

Wiedźma się zaśmiała. Naprawdę się śmiała, rechotała, odrzuciwszy do tyłu głowę.

– Myślisz, że jego brat zostawiłby go leżącego gdzieś jak kociaka, którego zapomniał utopić? – Zmrużyła oczy. – Czy jesteś jak Tamara? Przedkładasz mężczyznę nad swoją rodzinę?

– Nie! Ale potrzebuję jego pomocy, by znów związać Niedźwiedzia. Czy wiesz, gdzie on jest? – Mimo wszelkich starań, by zachować spokój, w głosie Wasi znowu pojawił się ostry ton.

– Nie na żadnym z moich terenów.

Północnica wciąż stała w cieniu i słuchała uważnie. „Baba Jaga ma troje służących: Dzień, Zmierzch i Noc” – tak głosiła opowieść.

– Tak czy owak, znajdę go – oświadczyła Wasia.

– Nie wiesz nawet, gdzie zacząć.

– Zacznę w krainie Północy. – Wasia zerknęła na Północnicę. – Z pewnością, jeśli obejmuje ona każdą północ, jaka kiedykolwiek się zdarzyła, to jedna z nich sięga do Morozki w jego więzieniu.

– To kraina tak rozległa, że twój umysł jej nie ogarnie.

– Czy pomożesz mi więc? – Wasia patrzyła na twarz starej, która była lustrzanym odbiciem jej twarzy. – Proszę. *Babuszka*, jestem pewna, że jest jakiś sposób.

Wiedźma poruszyła wargami. Zdawała się wahać. Serce Wasi drgnęło w przypiływie nadziei. Wtedy jednak Baba Jaga odwróciła się sztywno, zaciskając zęby.

– Jesteś taka sama jak Tamara i jak Warwara, obie te wstrętne dziewczuchy. Nie pomogę ci, głupia. Dasz się tylko zabić i wszystko pójdzie na marne, i to po tym, gdy ten twój wspaniały król zimy zadał sobie tyle trudu, by cię uratować. – Wstała. Wasia również.

– Zaczekaj – powiedziała. – Proszę. – Północnica trwała bez ruchu w ciemności.

– Jeśli przemyślisz sobie własną głupotę, wróć, a wtedy może i ja się zastanowię – wycedziła starucha. – Jeśli nie, cóż... pozwoliłam odejść córkom, z prawnuczką powinno być jeszcze łatwiej.

To powiedziawszy, zanurzyła się w ciemność i zniknęła.



14.

Wodnik

Wasia bardzo chciała się rozplakać. Jakaś część jej duszy tęskniła za prababką, tak samo jak tęskniła za matką, której nigdy nie poznała, i za starszą siostrą, która wyjechała tak młodo. Ale jak mogłaby żyć spokojnie w krainie magii, podczas gdy Niedźwiedź jest na wolności, zagrażając jej rodzinie, a król zimy gnije gdzieś w więzieniu?

– Jesteście zbyt do siebie podobne – odezwał się znajomy głos. Wasia podniosła głowę. Północnica wysunęła się z cienia. – Porywcze. Nierozważne. – Blask księżyca rozpalil blade włosy demona białym ogniem. – Zamierzasz zatem odszukać króla zimy?

– Dlaczego pytasz?

– Z ciekawości – odparła Północnica lekko.

Wasia jej nie uwierzyła.

– Powiesz Niedźwiedziowi?

– Dlaczego miałabym to robić? Tylko by się śmiał. Nie zdołasz wyciągnąć Morozki z więzienia. Możesz jedynie umrzeć, próbując tego dokonać.

– No cóż, sądząc po naszym ostatnim spotkaniu, ty byś pewnie wołała, żebym umarła. Dlaczego mi nie powiesz, gdzie on jest, skoro dzięki temu szybciej umrę?

Północnica wyglądała na rozbawioną.

– To by się na nic nie zdało. W krainie Północy dotrzeć dokądś nie jest tak łatwo, jak wiedzieć, dokąd się zmierza.

– Jak tu się zatem podróżuje?

– W krainie Północy nie ma kierunków geograficznych – wyjaśniła Północnica łagodnie. – Nie ma północy, południa, wschodu czy zachodu. Nie ma żadnego tu i tam. Musisz myśleć intensywnie o miejscu, do którego chcesz dojść, i bez wahania iść w ciemności, bo nigdy nie wiadomo, jak długo będzie trwała podróż.

– To wszystko? Dlaczego w takim razie Warwara kazała mi dotknąć młodego dębu?

Północnica prychnęła.

– Ona może trochę wie, ale niczego nie rozumie. Pokrewieństwo ułatwia podróż. Podobieństwa się przyciągają. Tak samo działają więzy krwi. Najłatwiej dotrzeć do własnych krewnych. Nie mogłaś dotrzeć samodzielnie do drzewa nad jeziorem, ponieważ użyłaś słabego przyciągania: dąb do dębu. – Zrobiła przebiegłą minę. – Może nie będzie ci trudno znaleźć króla zimy, panieneczko. Między wami z pewnością jest przyciąganie. Przecież kochał cię na tyle, by poświęcić swoją wolność. Może tęskni za tobą nawet teraz.

Wasia nigdy nie słyszała czegoś bardziej niedorzecznego, ale powiedziała tylko:

– Jak mam się dostać do Północy?

– Każdej nocy, gdy nadejdzie pora, moje królestwo jest dostępne dla tych, którzy mają oczy i widzą.

– No dobrze. A jak się potem stamtąd wydostać?

– Najłatwiej? Zasnąć. – Północnica przyglądała jej się uważnie. – A twój śpiący umysł odnajdzie świt.

Spod kłody wyrzął Dziadek Grzyb.

– A gdzie ty byłeś w całym tym zamieszaniu? – spytała go Wasia.

– Schowałem się – wyznał bez ogródek grzybowy duszek. – Cieszę się, że nie umarłaś. – Zerknął nerwowo na Północnicę. – Lepiej nie szukaj króla zimy. Stracisz życie, a ja zadałem sobie tyle trudu, by zostać twoim sprzymierzeńcem.

– Muszę. On się dla mnie poświęcił.

Północnica zmrużyła oczy. Wasia była poważna, lecz nie mówiła tonem nieszczęśliwie zakochanej dziewczyny.

– To był jego wybór, nie twój – zauważył Dziadek Grzyb. Wyglądał bardziej niepewnie niż kiedykolwiek.

Wasia, nie mówiąc już nic więcej, ruszyła w stronę Pożogi, zatrzymując się w bezpiecznej odległości od miejsca, gdzie się pasła. Klacz potrafiła ugryźć.

– Powiedz mi, o pani, czy wszystkie jesteście spokrewnione? To znaczy ty i inne konie-ptaki?

Požoga zastrzygła z irytacją uszami.

– Oczywiście, że jesteśmy – odparła. Jej noga już wyglądała dużo lepiej.

Wasia odetchnęła głęboko.

– Czy w takim razie wyświadczysz mi przysługę?

Požoga natychmiast się spłoszyła.

– Nie wsiądziesz na mój grzbiet – zapowiedziała.

Wasi wydawało się, że słyszy śmiech Północnicy.

– Nie, nie prosiłabym cię o to. Chciałam tylko zapytać, czy pojedziesz ze mną przez Północ. Zaprowadzisz mnie do białej klaczy Morozki? Więzy krwi, jak się dowiedziałam, mają moc przyciągania.

Ostatnie słowa wypowiedziała przez wzgląd na Północnicę. Czuła na sobie jej pełen napięcia wzrok.

Požoga przez chwilę stała nieruchomo, po czym zastrzygła niepewnie wielkimi złotymi uszami.

– Chyba mogę spróbować – powiedziała z rozdrażnieniem i tupnęła nogą. – Jeśli to wszystko. Ale nadal nie wsiądziesz na mój grzbiet.

– Nawet dobrze się składa – odrzekła Wasia. – Mam złamane źebro.

Dziadek Grzyb zmarszczył czoło.

– Czy nie mówiłaś, że...

– Czy nikt nie wierzy w mój zdrowy rozsądek? – prychnęła Wasia, wracając do ogniska. – Przez krainę Północy prowadzi pokrewieństwo. Bardzo pięknie, ale nie jestem tak naiwna, żeby ufać więzi między Morozką a mną, która jest zbudowana z kłamstw, tęsknot i półprawd. Zwłaszcza że, jak przypuszczam, Niedźwiedź tego właśnie się po mnie spodziewa i liczy, że to mnie zgubi.

Sądząc po minie Północnicy, tak właśnie było.

– Nawet jeśli znajdziesz króla zimy – przemówiła, otrząsając się ze zdumienia – nie zdołasz go stamtąd wyciągnąć.

– Po kolei, jedno zadanie na raz. – Wasi nic nie mogło zrazić. Wyjęła z koszyka garść poziomek i podała je Północnicy. – Powiesz mi coś jeszcze, pani Północnico?

– Och, teraz chcesz mnie przekupić? – Północnica przyjęła jednak owoce i pochyliła głowę ku ich słodczy. – Co mam ci powiedzieć?

– Jeśli wyruszę przez Północ na poszukiwanie Morozki, czy Niedźwiedź albo jego słudzy będą mnie śledzili?

Północnica się zawahała.

– Nie. On ma dość roboty w Moskwie. Jeśli chcesz marnować życie, próbując wyciągnąć króla zimy z więzienia, z którego nie można się wydostać, to twoja sprawa. – Znów powąchała poziomki. – Ale dam ci ostatnią przestrożę. Północe najbliżej ciebie pokonują jedynie odległość. Możesz do nich wejść i z nich wyjść zgodnie z twoją wolą. Jednak dalsze północe... te przemierzają lata. Jeśli w nich zaśniesz i zgubisz drogę przez Północ, wyparujesz jak rosa albo twoje ciało w jednej chwili rozsypie się w proch.

Wasię przeszedł dreszcz.

– Jak mam poznać, która jest bliska, a która daleka?

– To bez znaczenia. Jeśli chcesz znaleźć króla zimy, nie wolno ci zasnąć, dopóki go nie odzujesz.

Wasia odetchnęła głęboko.

– W takim razie nie będę spała.

Wasia podeszła do jeziora, żeby napić się przed drogą, i zastała tam bagiennika wijącego się z wściekłości na płyciźnie.

– Żar-Ptak tu wrócił! – warknął. – By znów zamieszkać nad wodą. Wbrew wszelkiej nadziei. I może znów pojawi się wielkie stado, by o świcie przelatywać nad jeziorem. A teraz ty chcesz ją stąd zabrać na te twoje głupie poszukiwania.

– Nie zmuszam jej, żeby mi towarzyszyła – odparła Wasia łagodnie. Bagiennik walił ogonem o wodę w niemej rozpacz. – Jeśli Pożoga będzie chciała wrócić, może to zrobić. A jeżeli przeżyję tę wyprawę, też tutaj wrócę, zamieszkać nad jeziorem i zacząć się uczyć. Odnajdę rozproszone po świecie konie i będę się nimi opiekowała. Na cześć mojego konia, którego bardzo kochałam. Czy to cię zadowoli?

Bagiennik nie odpowiedział.

Wasia się odwróciła.

Za jej plecami czart przemówił innym tonem:

– Trzymam cię za słowo.

Wasia wzięła koszyk i resztki ryb. Dziadek Grzyb pisnął z trawy:

– Zostawisz mnie?

Siedział teraz na pieńku i lśnił w ciemności nieprzyjemnym odcieniem zieleni.

– Mogę odejść daleko od jeziora – odrzekła Wasia, patrząc na niego z powątpiewaniem.

Dziadek Grzyb wydawał się mały i zdeterminowany.

– I tak z tobą pójdę – oznajmił. – Jestem po twojej stronie, pamiętasz? Zresztą ja nie mogę rozsypać się w proch.

– Szczęściarz z ciebie – skomentowała Wasia chłodno. – Dlaczego stanąłeś po mojej stronie?

– Niedźwiedź może rozwścieczyć czarty, a gniew sprawia, że stają się silniejsze. Natomiast dzięki tobie jesteśmy bardziej realne. Teraz to rozumiem. Podobnie jak bagiennik. – Dziadek Grzyb był wyraźnie z siebie dumny. – Jestem po twojej stronie i idę z tobą. Beze mnie zabłądzisz.

– Może i tak. – Wasia się uśmiechnęła, po chwili jednak w jej głosie pojawiło się zwątpienie. – Zamierzasz iść pieszo? – Dziadek Grzyb był bardzo mały.

– Tak – odparł i odmaszerował.

Pożoga potrząsnęła grzywą.

– Pośpiesz się – ponagliła Wasię.

Złota klacz zanurzyła się w mroku, skubiąc po drodze trawę. Kiedy znalazła dobrą kępę, opuszczała głowę i pasła się przez dłuższą chwilę. Wasia jej nie poganiała, nie chcąc, żeby rana na nodze została podrażniona, zastanawiała się jednak z niepokojem, kiedy zacznie robić się senna i ile godzin potrwa wędrówka...

Ale nie było warto o tym rozmyślać. Podjęła decyzję. Albo jej się uda, albo nie.

– Nigdy nie oddalałem się od jeziora – wyznał Wasi Dziadek Grzyb, kiedy szli. – Ani razu od czasów, gdy były tu wsie i dzieci wyobrażały mnie

sobie, kiedy jesienią ludzie zbierali grzyby.

– Wsie? – zdziwiła się Wasia. – Nad jeziorem?

Szli teraz przez dziwną polanę, pod stopami czuła szorstką trawę i błoto. Gwiazdy były niskie i ciepłe na szczodrym niebie, letnie gwiazdy.

– Tak. Kiedyś na skraju magicznej krainy znajdowały się wsie. Czasami ci najodważniejsi spośród mężczyzn i kobiet zapuszczali się tutaj w poszukiwaniu przygód.

– Może można by ich przekonać, by znów tak robili – zapaliła się Wasia. – I mogliby żyć spokojnie wraz z czartami, z dala od zła tego świata.

Dziadek Grzyb spojrział na nią z powątpiewaniem i Wasia westchnęła.

Szli, zatrzymywali się i znów ruszali w drogę. Noc raz była chłodniejsza, raz cieplejsza. Szli po skałach i wiatr gwizdał. Pożodze w uszach, to znów okrążali staw, pośrodku którego niczym perła leżał księżyc w pełni. Wokół panowała cisza i spokój. Wasia była zmęczona, ale zdenerwowanie i długi sen w chacie nad jeziorem sprawiały, że wciąż szła naprzód.

Była boso, buty przywiązała do koszyka. Choć bolały ją stopy, miło było czuć dotyk ziemi na skórze. Pożoga przypominała srebrnozłoty błysk między drzewami utykający nieco na zranioną nogę. Dziadek Grzyb był jeszcze mniej zauważalny, gdy przemykał od pniaka do głazu czy drzewa.

Wasia miała nadzieję, iż Północnica nie myliła się, twierdząc, że Niedźwiedź nie będzie jej śledził. Mimo to często oglądała się przez ramię, a parę razy z trudem się powstrzymała, by nie popędzać klaczy.

Idąc przez zalesioną dolinę, ze wszystkich stron otoczoną wysokimi sosnami, po raz pierwszy złapała się na myśli, jak to byłoby miło zrobić sobie legowisko z gałęzi i spać aż do brzasku.

Pośpiesznie szukając czegoś, co dodałoby jej wigoru, uprzytomniła sobie, że od jakiegoś czasu nie widziała zielonkawego blasku grzybowego duszka. Rozejrzała się w ciemności.

– Dziadku Grzybie! – Bała się mówić głośniej niż szeptem, ponieważ nie wiedziała, jakie niebezpieczeństwa czyhają wokół. – Dziadku Grzybie!

Grzybowy duszek wyłonił się nagle z ładu u jej stóp, a spłoszona Pożoga odskoczyła do tyłu. Nawet Wasia drgnęła.

– Gdzie byłeś? – spytała go ostrym ze strachu tonem.

– Pomagałem! – oznajmił Dziadek Grzyb. Włożył jej coś w dłoń. Wasia zorientowała się, że to tobolek z jedzeniem. Nie takim z lasu, jak poziomki czy mleczki, ale z podpłomykiem, wędzoną rybą i bukłakiem miodu.

– Och! – wykrzyknęła Wasia, odłamała kawałek podpłomyka i podała Dziadkowi Grzybowi, a kolejny kawałek podsunęła urażonej Pożodze, po czym urwała kęs dla siebie.

– Skąd to masz? – spytała, jedząc.

– Tam są ludzie – wyjaśnił Dziadek Grzyb. Wasia podniosła wzrok i zobaczyła między drzewami niewyraźną lunę bijącą od ognisk. Pożoga cofnęła się spłoszona, jej nozdrza się rozszerzyły. – Ale nie powinnaś podchodzić bliżej – dodał niespokojnie grzybowy duszek.

– Dlaczego?

– Obozują nad rzeką, a tamtejszy wodnik chce ich zabić.

– Zabić!? – wykrzyknęła Wasia. – Jak? Dlaczego?

– Pewnie za pomocą wody i strachu – odparł Dziadek Grzyb. – Bo jak inaczej miałby kogokolwiek zabić? A dlaczego? No cóż, pewnie Niedźwiedź mu kazał. Większość wodnych stworzeń mu podlega, a on manifestuje teraz swoją moc na całej Rusi. Odejdźmy stąd.

Wasia zawahała się. Kierowała nią nie tyle litość dla ludzi utopionych podczas snu, ile ciekawość, dlaczego Niedźwiedź chce zabić akurat tych ludzi. „Przez Północ podróżuje się na mocy pokrewieństwa”. Jakie pokrewieństwo przyciągnęło ją tutaj? Właśnie teraz? Znowu spojrzała między drzewa. Wiele ognisk. To nie jest małe obozowisko.

Nagle usłyszała w oddali znajome dudnienie, jakby tętent koni galopujących po kamieniach. Tylko że to nie były konie.

Ten odgłos przesądził sprawę. Rzuciła swój koszyk Dziadkowi Grzybowi.

– Zostańcie tu oboje – przykazała jemu i klaczy i popędziła boso w stronę łąny dogasających ognisk, krzycząc w ciemności: – Hej, wy tam! W obozie! Obudźcie się! Obudźcie! Rzeka wzbiera!

To biegła, to zsuwała się po stromej ścianie parowu, w którym obcy rozbili obozowisko. Uwiązane do palików konie szarpały sznury, one wiedziały, co się dzieje. Wasia wyrwała paliki i zwierzęta pogalopowały na wyższe tereny.

Na ramię Wasi opadła ciężka dłoń.

– Kradniesz konie, chłopcze? – spytał cuchnący czosnkiem i zepsutymi zębami mężczyzna, który ścisnął jej ramię.

Wasia wyrwała mu się. W innych okolicznościach mogłaby się go przestraszyć, ponieważ jego dotyk i smród przywołały bolesne wspomnienia. Teraz jednak miała pilniejsze sprawy na głowie.

– Czy wyglądam, jakbym chował konie w kapeluszu? Uratowałem wasze konie. Posłuchaj, rzeka wzbiera.

Mężczyzna odwrócił głowę, by popatrzeć, akurat w chwili, gdy od strony rzeki runęła na nich ściana czarnej wody. Kotlina, w której znajdował się obóz, natychmiast została zalana. Wyrwani ze snu mężczyźni rozbiegli się z krzykiem na wszystkie strony. Woda podnosiła się nienaturalnie szybko, zbijając ludzi z nóg i strasząc ich swoją dziwnością.

Jeden z mężczyzn zaczął wydawać rozkazy:

– Najpierw srebro! Potem konie!

Woda jednak wzbierała coraz szybciej i szybciej. Prąd porwał jednego, potem kolejnego z obozowiczów. Wielu zdołało wspiąć się wyżej, lecz ten, który wydawał rozkazy, wciąż brodził w spienionym nurcie.

Na oczach Wasi wodnik, król rzeki, wystrzelił z wody tuż przed nim.

Mężczyzna nie mógł go zobaczyć, uskoczył jednak odruchowo wiedziony instynktem starszym niż wzrok i omal nie wpadł pod wodę.

– Książę? – odezwał się wodnik. Jego śmiech brzmiał jak zgrzyt toczonych przez wodę kamieni. – Byłem tutaj królem, kiedy książęta czołgali się w błocie mojej rzeki i wrzucali swoje córki do wody, żeby zaskarbić sobie moje łaski. A teraz – toń!

Czarna woda wezbrała i zwała mężczyznę z nóg.

Wasia schroniła się na drzewie przed szalejącym w dole nurtem. Teraz dała susa z gałęzi wprost w spienione odmęty. Fala porwała ją ze zdumiewającą mocą, czuła w niej wściekłość wodnika. W jej żyłach wrzała ta sama siła, która pozwoliła jej wyłamać pręty klatki na stosie. Nie była już senna.

Wódz obozu wyłonił się z kipieli, by zaczerpnąć powietrza. Jego ludzie krzyczeli z góry, przeklinając się nawzajem. Wasia trzema uderzeniami ramion przecięła rwący nurt, zbliżając się do wodza. Był potężnym mężczyzną, na szczęście jednak potrafił trochę pływać. Chwyciła go pod pachy i resztkami sił dźwignęła na brzeg. Jej zrastające się zebra przeszyły ostry ból.

Uratowany mężczyzna leżał w błocie i wpatrywał się w nią wytrzeszczonymi oczami. Słyszała, że ze wszystkich stron zbiegają się jego ludzie, nie odezwała się jednak, tylko odwróciła się i znów dała nura do wody, zostawiwszy przywódcę uczeplonego brzegu i odprowadzającego ją wzrokiem.

Pozwoliła prądowi zagarnąć się na środek rzeki, a tam chwyciła się skały i przywarła do niej, łapiąc powietrze.

– Królu rzeki! Chcę z tobą pomówić.

Woda pędziła dziko, niosąc połamane drzewa. Wasia musiała wgramolić się wyżej na skałę, żeby uniknąć ogromnego konara gnanego przez nurt w jej stronę.

Wodnik wyłonił się z wody zaledwie w odległości ramienia od niej. Jego uśmiechnięty pysk pełen był ostrych jak igły zębów, skórę miał grubą od

mułu i rzecznoego brudu. Woda spływała z jego brodawkowatego cielska niczym diamenty, pieniać się i burząc wokół niego. Otworzył kolczastą paszczę i ryknął.

Teraz powinnam przeraźliwie krzycheć, pomyślała Wasia. Potem on się zaśmieje, a ja wydam jęk rozpaczy, wierząc we własną śmierć, a wtedy on wbije zęby w moje ciało i wciągnie mnie w głębinę.

Tak właśnie czarty zabijały ludzi, każąc im uwierzyć, że ich los jest przesądzony.

Wasia przemówiła najspokojniej, jak zdołała, kurczowo trzymając się skały:

– Wybacz mi to najście.

Niełatwo jest zaskoczyć króla rzeki. Zamknął gwałtownie rozdziawioną paszczę.

– Kim jesteś?

– To nieważne. Dlaczego chciałeś zabić tych ludzi?

Fala wezbrała, zalewając jej twarz. Wypluła wodę, otarła oczy i wdrapała się jeszcze trochę wyżej na skałę.

Wiedziała, gdzie jest król rzeki, jedynie dzięki zarysowi jego czarnego cielska na tle nieba oraz blaskowi oczu.

– Nie chciałem.

Ręce zaczęły jej drżeć. Przeklęła w duchu swoją słabość.

– Nie? – szepnęła, wstrzymując oddech.

– Srebro. Miałem zatopić srebro.

– Srebro? Po co?

– Niedźwiedź sobie tego życzył.

– Co mają czarty do ludzkiego srebra? – wysapała Wasia.

– Nie wiem. Wiem tylko, że Niedźwiedź kazał mi to zrobić.

– No dobrze, załatwione. Uspokoisz teraz wodę, królu rzeki?

– Dlaczego?! – zagrział wodnik niezadowolony. – Ci ludzie ze swoim kurzem, końmi i brudem skalali rzekę. Nie przynieśli żadnych darów, nie oddali mi czci. Lepiej, żeby utonęli wraz ze swoim srebrem.

– Nie! Ludzie i czarty mogą dzielić ten świat.

– Nie możemy! – warknął wodnik. – Oni nie odstąpią... Nie skończy się bicie dzwonów, wycinanie drzew i zanieczyszczanie wody, nie przestaną też zapominać, aż wszyscy całkiem znikniemy.

– Możemy – przekonywała. – Widzę cię. Nie znikniesz.

– Ty jedna nie wystarczysz. – Czarne wargi znowu odsłoniły igiełki zębów. – A Niedźwiedź jest silniejszy od ciebie.

– Niedźwiedzia tu nie ma – zauważyła Wasia. – Ja natomiast jestem, więc nie zabijesz tych ludzi. Uspokój wodę!

Wodnik syknął, otwierając szeroko paszczę. Wasia nie odsunęła się, tylko wyciągnęła podrapaną rękę i dotknęła jego gruzłowatego pyska.

– Posłuchaj mnie, królu rzeki, i odejdz w pokoju.

Pod jej dłonią wodnik był niczym żywa woda, zimna, gładka i pulsująca. Zapisała w pamięci fakturę jego skóry.

Skurczył się. Zamknął paszczę.

– Musi tak być? – spytał zmienionym głosem, jakby przestraszonym, choć pod spodem buzowała rozpaczliwa nadzieja. Wasia przypomniała sobie, co mówiła jej prababka: czarty tak naprawdę wcale nie chcą walczyć.

Złapała oddech

– Tak – powiedziała. – Musi.

– Zapamiętam zatem – rzekł wodnik. Wściekła siła nurtu osłabła. Wasia odetchnęła z ulgą. – Ty też musisz pamiętać, nimfo morska. – Wodnik z bulgotem zanurzył się pod powierzchnię wody i zniknął, zanim zdążyła go zapytać, dlaczego tak ją nazywa.

Woda zaczęła opadać. Zanim Wasia dojrzała do brzegu, na powrót stała się mulistym potokiem.

Gdy wychodziła z wody, mężczyzna, którego uratowała, stał na skarpie. Była mokra, zdyszana i drżąca, ale przynajmniej nie chciało jej się spać. Zatrzymała się gwałtownie, kiedy zobaczyła, że na nią czeka, i stłumiła chęć ucieczki.

Uniósł ręce.

– Nie bój się, chłopcze. Uratowałeś mi życie.

Wasia się nie odzywała. Nie ufała mu. Ale za plecami miała rzekę, noc, las i drogę przez Północ. Wszystko to mogło zapewnić jej schronienie. Bała się tego mężczyzny instynktownym strachem, lecz tu nie była osaczona jak w Moskwie. Stanęła zatem przed nim i powiedziała:

– Jeśli jesteś mi wdzięczny, *gospodin*, podaj mi swoje imię i cel podróży.

Patrzył na nią zdumiony. Wasia za późno uświadomiła sobie, że wzięła ją za chłopaka z ludu, a nie mówiła jak wieśniak.

– Myślę, że teraz to już nieważne – powiedział po chwili posępnego milczenia. – Jestem Włodzimierz Andriejewicz, książę sierpuchowski. Wraz z moimi ludźmi wiozę srebro do Saraju jako hołd dla chana i jego tiemnika Mamaja. Mamaj zebrał bowiem wojska i nie rozpuści ich, dopóki nie dostanie lenna. Ale teraz srebro utonęło.

Jej szwagier, wysłany przez Dymitra z misją mającą na celu uniknięcie wojny, nie mógł wykonać swego zadania. Wasia zrozumiała teraz, jakie pokrewieństwo sprowadziło ją tutaj, a także dlaczego Niedźwiedź chciał zatopić srebro. Po co ma sam obalać Dymitra, skoro Tatarzy mogą to zrobić za niego?

Może to srebro dałoby się odnaleźć? Ale nie w ciemności. Czy może zmusić wodnika, by je oddał? Zawahała się pomiędzy lasem i wodą.

Włodzimierz przyglądał jej się, zmrużywszy oczy.

– Kim jesteś?

– Nie uwierzyłbyś mi, gdybym ci powiedział – odrzekła szczerze.

Byстрыm spojrzeniem szarych oczu obrzucił blednące rany i sińce na jej twarzy.

– Nie zrobię ci krzywdy – zapewnił. – Skądkolwiek uciekasz... nie odeślę cię tam. Czy chciałbyś coś zjeść?

Ta niespodziewana dobroć prawie doprowadziła Wasię do łez. Uświadomiła sobie, jak jest zdezorientowana i przestraszona. Nie miała jednak czasu na łzy.

– Nie – powiedziała. – Bardzo dziękuję. – Podjęła już decyzję. Żeby raz na zawsze zakończyć knowania Niedźwiedzia, potrzebuje pomocy króla zimy.

Uciekła zatem niczym zjawa w ciemności.



15.

Dalsze, dziwniejsze krainy

Księżyc wisiał nisko nad horyzontem i wciąż trwała bezkresna, odbierająca siły noc. Wasia szła bosą i bardzo zmarzła.

Zza pniaka wyskoczył Dziadek Grzyb, ściskając w dłoniach jej koszyk. Wyglądał na oburzonego.

– Jesteś mokra – stwierdził. – I masz szczęście, że nie spuszczałem cię z oka. A gdybyśmy tak ty, ja i koń trafili do innych północy? Byłabyś zgubiona.

Wasia dzwoniła zębami.

– Nie pomyślałam o tym – wyznała swojemu małemu sprzymierzeńcowi. – Jesteś bardzo mądry.

Dziadek Grzyb trochę się udobruchał.

– Muszę gdzieś wysuszyć ubranie – zdołała wyjąkać Wasia. – Gdzie Pożoga?

– Tam. – Dziadek Grzyb wskazał światełko w ciemności. – Miałem was obie na oku.

Wasia, przepełniona wdzięcznością, skłoniła się przed nim głęboko i szczerze, po czym poprosiła:

– Mógłbyś znaleźć miejsce, gdzie nikt nie zobaczy ognia, który rozpalę?

Zrobił to, zrzedząc pod nosem. Ułożyła gałęzie na ognisko i zawahała się, czując, że wściekłość i strach – i płomień – w jej duszy tylko czekają, by je uwolniła.

Gałęzie buchnęły kaskadą iskier, niemal zanim o tym pomyślała, i rzeczywistość natychmiast uległa odchyleniu. Nieskończona ciemność tej krainy bardzo jej ciążyła, lecz teraz było sto razy gorzej.

Drżącą ręką sięgnęła pod ubranie, gdzie domowicha wszyła jej drewnianego słowika. Zacisnęła na nim dłoń. To jej talizman.

W gęstwinie drzew coś błysnęło. Z ciemności wyłoniła się Pożoga, drobiąc w paprociach. Potrząsnęła grzywą.

– Przestań czarować, głupia dziewczyno. Oszalejesz jak tamta staruszka. To łatwiejsze, niż myślisz, zatracić się w Północy. – Zastrzygła uszami. – Jeśli oszalejesz, zostawię cię tutaj.

– Proszę, nie. Spróbuję nie oszaleć – z ust Wasi dobył się chrapliwy szept, a klacz prychnęła i zaczęła skubać trawę. Wasia rozebrała się i przystąpiła do nużącego suszenia ubrań.

Miała wielką ochotę zasnąć i obudzić się o świcie. Nie mogła. Wstała zatem i zaczęła chodzić tam i z powrotem, naga, szczypiąc sobie przedramiona i oddalając się od ogniska, by chłód przywrócił jej czujność.

Przystanęła i zastanawiała się, czy ubranie podeschło na tyle, by mogła je włożyć i nie zamrznąć, gdy usłyszała pisk Pożogi. Odwróciła się i ujrzała, jak czarny koń Północnicy, niemal niewidoczny w ciemności, wchodzi w krąg światła ogniska.

– Czyżbyś przywiózł tu swoją panią, żeby udzieliła mi więcej nieocenionych rad? – niezbyt uprzejmie zwróciła się Wasia do konia.

– Nie bądź niemądra – fuknęła Pożoga. – Wezwałam go. To Kruk. – Rzuciła czarnemu koniowi ostre spojrzenie, a ogier oblizwał się na znak uległości. – Łabędzica jest dalej, niż sądziłam, a Kruk wie lepiej ode mnie, jak do niej dotrzeć. Jest bardziej obeznany z podróżami po Północy. Zaczynam być zmęczona tym krążeniem, zwłaszcza że ciągle giniesz mi z oczu. W tym tempie nie zdołamy dotrzeć na miejsce, zanim zmorzy cię

sen. – Wbiła wzrok w Wasię. – Ocaliłaś mnie dwa razy: w Moskwie i nad wodą. Teraz ja też muszę dwa razy cię ocalić i nie będzie już między nami zobowiązań.

– Żadnych – potwierdziła Wasia w przypiływie wdzięczności i ukłoniła się klaczy.

Północnica wyłoniła się z mroku w ślad za swoim koniem. Miała kwaśną minę. Wasia знаła to spojrzenie. Sama miała taki grymas na twarzy, kiedy Słowik coś na niej wymuszał. Prawie się roześmiała.

– Pożogo – odezwała się Północnica – mam sprawy daleko stąd i nie mogę...

– Odrywać się od tego, bo twój koń cię nie słucha? – dopowiedziała Wasia.

Północnica rzuciła jej jadowne spojrzenie.

– A zatem pomóż mi – poprosiła dziewczyna. – Wtedy szybciej będziesz mogła wrócić do swoich spraw. – Czarny koń zastrzygł wielkimi uszami.

Pożoga wyglądała na zniecierpliwioną.

– No już – ponaglała. – Na początku było zabawnie, ale mam już dość ciemności.

Na twarzy Północnicy pojawiło się lekkie rozbawienie.

– Na co ty liczysz, Wasiliso Pietrowna? Jest uwięziony bezpowrotnie, potrójnie: w pamięci, miejscu i czasie.

Wasia nie mogła w to uwierzyć.

– Miałabym być aż tak próżna, by sądzić, że król zimy pozwolił się uwięzić na wieki przez wzgląd na mnie? On nie jest jakimś głupkowskim księciem z bajki, a ja, na Boga, nie jestem piękną Heleną. Musiał więc mieć jakiś powód i wiedzieć, że wyzwolenie będzie jednak możliwe. Co oznacza, że mogę go uwolnić.

Północnica przechyliła głowę.

– Sądziłam, że jesteś zaślepiona i dlatego ryzykujesz dla niego tę podróż przez moją krainę. Nie miałam racji?

– Nie – potwierdziła Wasia.

Na twarzy Północnicy odmalowała się rezygnacja.

– Lepiej włóż buty. – Obrzuciła krytycznym spojrzeniem wciąż wilgotne ubranie Wasi. – Zmarzniesz.

Istotnie zrobiło się zimno. Najpierw Wasia poczuła kryształki szronu trzaskające pod jej butami, gdy przeszła z jednej północy do drugiej. Zielony zapach lata stał się intensywniejszy, bardziej ziemisty, gwiazdy świeciły ostro, przypominały czubki mieczy, o ile nie przesłaniały ich rozpędzone chmury. Cichy szelest letnich liści przeszedł w suche grzechotanie, a potem już nic: tylko nagie drzewa na tle nieba. A potem między kolejnymi północami buty Wasi zostawiły ślady w mokrym śniegu. Dziadek Grzyb zatrzymał się gwałtownie.

– Nie mogę iść dalej. Uschnę. – Patrzył przerażony na białą warstewkę pokrywającą świat.

Wasia uklękła obok niego.

– Zdołasz sam wrócić nad jezioro? Ja muszę iść dalej.

Wyglądał żałośnie. Jego zielonkawy blask przygasł.

– Zawsze mogę wrócić nad jezioro. Ale obiecałem.

– I dotrzymałeś słowa. Znalazłeś mi jedzenie, odszukałeś mnie po tym, gdy wylała rzeka. – Dotknęła jego głowy i dała mu jeszcze jeden kawałek podpłomyka ze swojego kosza. I nagle dodała, tchnięta nową myślą: – Może mógłbyś porozmawiać o mnie z innymi czartami? Powiedz im, że ja... że ja...

Dziadek Grzyb się rozpromienił.

– Wiem, co mam powiedzieć – zapewnił.

Trochę ją to zaniepokoiło. Otworzyła usta, ale się rozmyśliła.

– No dobrze – rzekła tylko. – Ale...

– Jesteś pewna, że ty nie chcesz wrócić nad jezioro? – Dziadek Grzyb z odrazą spojrział na śnieg. – Tu jest ciemno i zimno, i ziemia taka twarda.

– Nie mogę. Jeszcze nie teraz. Ale kiedyś. Gdy będzie już po wszystkim. Może pokażesz mi wtedy, gdzie rosną kurki.

– Niech będzie – zgodził się ze smutkiem Dziadek Grzyb. – Gdyby ktoś pytał, pamiętaj, że byłem pierwszy. – I odszedł, obejrzawszy się jeszcze kilka razy za siebie.

Wasia wyprostowała się i popatrzyła na drogę przed sobą. U ich stóp rozpościerały się zimowe północe: zimne zagajniki, skute lodem potoki, może także zagrożenia, których nie widziała, ukryte w ciemności. Wiał przenikliwy zimny wiatr, biedna Pożoga, w letnim futerku, machała ogonem i kładła uszy.

– Jesteśmy teraz w głębi twojej krainy? – spytała Wasia Północnicę.

– Tak. To zimowe północe, a zaczęliśmy podróż w lecie.

– Domowicha mówiła, że jeśli pora roku się zmieni, nie będę mogła wrócić – powiedziała Wasia.

– Na terenach położonych nad jeziorem – potwierdziła Północnica. – Tu jednak jest kraina Północy. Tu możesz iść, dokąd tylko zechcesz. Dokądkolwiek o jakiegokolwiek porze roku. Tyle że, gdy już rozpoczniesz wędrówkę, nie wolno ci zasnąć.

– Idźmy zatem dalej. – Wasia spojrzała na mroźne niebo.

Szli w ciszy. Od czasu do czasu rozlegał się brzęk, gdy kopyto Pożogi natrafiło na ukryty pod śniegiem kamień. Ale to wszystko. Sunęli niczym duchy nad milczącą ziemią.

W jednej chwili szli przez zasnutą chmurami ciemność, w następnej oświetlał ich księżyc, niemal zbyt jasny dla przyzwyczajonych do mroku oczu Wasi. Zaraz potem potężny powiew wiatru targał jej włosy. W miarę jak szli, robiło się coraz zimniej, a okolica stawała się coraz dziksza. Śnieg siekł ją w twarz.

W pewnym momencie Północnica powiedziała bez ceregieli:

– Gdybyś próbowała wykorzystać twoją więź z królem zimy, szybko byś zabłądziła i umarła. Miałaś rację, więź śmiertelniczki i nieśmiertelnego jest zbyt kapryśna i zbyt wiele pojawiło się między wami półprawd. Lecz ani ja, ani Niedźwiedź nigdy byśmy nie pomyśleli o koniach.

– Między mną a królem zimy nie ma teraz żadnej więzi. Naszyjnik został zniszczony – odrzekła Wasia.

– Naprawdę? – Północnica wydawała się rozbawiona.

– To nigdy nie było nic więcej, jak tylko źle ulokowana tęsknota – upierała się Wasia. – Nie kocham go.

Na to Północnica nie odpowiedziała.

Wasia żałowała, że nie mogą się zatrzymać, ponieważ zaczęła dostrzegać w oddali różne ciekawe rzeczy: przystrojone odświętnie miasta na wzgórzach, skąd dobiegały hulaszczcze okrzyki.

– Są jeszcze dalsze, dziwniejsze krainy – odezwała się Północnica. – Miejsca, do których musiałabyś długo wędrować w ciemności. Miejsca, do których mogłabyś nigdy nie dotrzeć, bo twoja dusza nie zdołałaby ich pojąć. Miejsca, które nie należą do północy twojego życia, sięgają czasów, kiedy narodził się twój najpierwszy przodek albo kiedy umrą dzieci twoich wnuków i prawnuków. Nawet ja nie mogę do wszystkich dotrzeć, stąd wiem, że pewnego dnia przestanę istnieć i nie każda północ w życiu świata zazna mojej władzy.

Wasia poczuła, że gdzieś głęboko przenika ją dreszczyk emocji.

– Chciałabym zobaczyć odległe krańce twojej krainy – wyznała. – Biesiadować w dziwnych miastach, o północy łamać chleb w łaźni przed ślubem albo zobaczyć blask księżyca na morzu.

Północnica spojrzała na nią z ukosa.

– Dziwna z ciebie dziewczyna, że pragniesz takich niebezpiecznych rzeczy... Wiele jeszcze musisz dokonać, zanim będziesz mogła myśleć o podróżach przez Północ czy gdziekolwiek indziej.

– A jednak będę myślała o przyszłości. Żeby sobie przypominać, że terażniejszość nie będzie trwała wiecznie. Może pewnego dnia znów zobaczę mojego brata Aloszę i siostrę Irinę. Może będę miała dom, miejsce i cel w życiu, moje małe zwycięstwo. Czym jest terażniejszość bez przyszłości?

– Nie wiem – odrzekła Północnica. – Nieśmiertelni nie mają przyszłości, wyłącznie terażniejszość. To nasze błogosławieństwo i przekleństwo zarazem.

Robiło się coraz zimniej. Wasia zaczęła dygotać. Na niebie, dobrze widocznym między gałęziami bezlistnych drzew, rozbłysły wielkie mroźne gwiazdy. Teraz z każdym krokiem nogi grzęzły jej w głębokim śniegu. Zaczęła się potykać, półprzytomna ze zmęczenia. Jedynie strach nie pozwalał jej zasnąć.

Wreszcie Kruk i Pożoga stanęli. Drogę przecinał wąski strumyczek, błękitny od lodu. Po drugiej stronie znajdowała się mała wioska otoczona palisadą. Była bezchmurna zimowa noc. Gwiazdy błyszczały gęsto jakby niefrasobliwie chluśnięto je na niebo z wiadra.

Domy miały dymniki zamiast kominów. Belki pod okapami były rzeźbione, lecz niemalowane, palisada zaś niska i prosta, przeznaczona do grodzenia krów i dzieci, nie do obrony przed grabieżcami. I najdziwniejsze ze wszystkiego: nie było cerkwi. Wasia nigdy nie widziała ludzkiej siedziby bez cerkwi. To było tak, jakby zobaczyć człowieka bez głowy.

– Gdzie my jesteśmy? – spytała.

– W miejscu, którego szukałaś.



16.

Kajdany króla zimy

– Morozko jest tutaj? – spytała Wasia. – To jest więzienie demona mrozu?

– Tak – odparła Północnica.

Wasia przyjrzała się wiosce. W jaki sposób król zimy mógłby zostać tu uwięziony?

– Biała klacz, Łabędzica, jest gdzieś w pobliżu? – spytała Pożogę.

Klacz uniosła złotą głowę.

– Tak – odparła. – Ale się boi. Bardzo długo czeka na niego w ciemności. Odszukam ją. Ona mnie potrzebuje.

– Dobrze – zgodziła się Wasia. Położyła dłoń na szyi Pożogi. Klacz nawet nie próbowała jej ugryźć. – Dziękuję. Kiedy znajdziesz białą klacz, przekaz jej, że spróbuję go uratować.

Požoga tupnęła nogą. „Przekażę”. Odwróciła się i pogalopowała przed siebie, rozrzucając na boki śnieg i topiąc go. Rana na jej nodze już prawie się zagoiła.

– Dziękuję – zwróciła się Wasia do Północnicy.

– Idziesz tam na pewną śmierć, Wasiliso Pietrowna – ostrzegła Północnica, lecz w jej głosie pojawił się cień wątpliwości. Czarny ogier wygiął szyję w łuk i prychnął cicho, a ona pogłaskała go po kłębie, marszcząc czoło.

– Mimo wszystko dziękuję. – Wasia ruszyła powoli w stronę wioski, brnąc w głębokim śniegu. Na plecach czuła wzrok Północnicy. Zanim znalazła się poza zasięgiem jej głosu, Północnica krzyknęła do niej, jakby wbrew sobie:

– Idź do dużego domu! Ale nie mów nikomu, kim jesteś!

Wasia obejrzała się za siebie, kiwnęła głową i szła dalej.

Spodziewałyby się raczej, że więzienie Morozki będzie przypominało polanę Niedźwiedzia. Albo może zobaczy zamkniętą na klucz, strzeżoną wieżę, i znajdzie go na samej górze bezradnego jak księżniczka. A przynajmniej oczekiwałyby, że będzie tam lato: pora, kiedy jest słaby i bezsilny. A to była po prostu wioska. Zimą. Ogrody spały pod śniegiem, zwierzęta drzemały w ciepłych stajniach i obórkach. Tylko z domu stojącego na samym środku dochodziły hałasy, na śnieg padało światło. Z otworu w dachu wydobywał się dym. Czuła woń pieczonego mięsiwa.

Jak to możliwe, że Morozko tu jest?

Wasia przelazła przez palisadę i zaczęła się skradać w stronę dużego domu.

Była już całkiem blisko, kiedy świeżo spadły śnieg na podwórzu zadrzał i wyłonił się czart. Wasia zatrzymała się gwałtownie. Rozpoznała dwornika, strażnika podwórza, nie był jednak maleńki, jak inne znane jej dworniki. Był jej wzrostu i spoglądał groźnie.

Wasia ukloniła mu się czujnie i z szacunkiem.

– Przybyszu, co tutaj robisz? – spytał burkliwie.

Miała spierzchnięte usta i zaschło jej w gardle, zdołała jednak wyjąkać:

– Dziadku, przybywam na ucztę. – Właściwie nie skłamała. Była głodna. Jedzenie zdobyte przez Dziadka Grzyba dawno się skończyło.

Cisza.

– Przybywasz z tak daleka tylko na ucztę? – zdziwił się dwornik po chwili.

– Jestem tu również z powodu króla zimy – przyznała cicho. Domowego ducha trudno oszukać i niemądrze byłoby tego próbować.

Dwornik zmierzył ją wzrokiem. Wstrzymała oddech.

– Wejdziesz zatem przez drzwi – powiedział po prostu i zniknął w śniegu.

Czyżby to miało być takie proste? Niemożliwe. Wasia podeszła jednak do drzwi. Kiedyś uwielbiała takie uczty. Teraz słyszała tylko zgiełk i czuła gryzący zapach dymu. Spojrzała na swoją dłoń, jakby z daleka, i stwierdziła, że drży.

Zebrawszy się na odwagę, weszła po schodkach między smugi światła. Jakiś pies zaczął szczekać. Potem dołączył do niego drugi, trzeci, cały chór. W następnej chwili drzwi otworzyły się ze skrzypieniem.

Nie wyłonił się z nich jednak mężczyzna ani też, jak obawiała się Wasia, kilku mężczyzn z bronią. Wyszła do niej kobieta, była sama. Towarzyszył jej tylko strumień ciepłego, zadymionego, przepełnionego kuchennymi woniami powietrza.

Wasia stała bez ruchu, całą sobą skupiona na tym, by nie rzucić się do ucieczki.

Kobieta miała włosy barwy polerowanego brązu, a oczy jak bursztyny. Była prawie wzrostu Wasi. Na jej szyi błyszczał złoty naszyjnik, złote ozdoby lśniły także na jej nadgarstkach, w uszach, przy pasie i we włosach.

Wasia zdawała sobie sprawę, jak musi wyglądać w oczach tej kobiety: istota o błędnym spojrzeniu po długiej podróży w ciemności, ustach drżących z zimna i ze strachu, w sztywnym zlodowaciałym ubraniu. Bardzo starała się sprawiać wrażenie osoby przy zdrowych zmysłach, gdy powiedziała: „Bóg z tobą”, głos jednak miała ochrypły i słaby.

– Domowik zapowiedział, że mamy gościa – oznajmiła kobieta. – Kim jesteś i skąd przybywasz?

Domowik? To ona słyszy...

– Przybywam z daleka. Pragnę prosić o kolację i miejsce do spania.

– Dlaczego młoda dziewczyna podróżuje samotnie w środku zimy? I to w takim odzieniu?

Chłopięce ubranie nie na wiele więc się zdało.

– Świat nie jest przyjazny samotnym dziewczętom – odparła Wasia ostrożnie. – Bezpieczniej przebrać się za chłopca.

Zmarszczka między brwiami kobiety jeszcze się pogłębiła.

– Nie masz żadnego tobołka ani zwierzęcia. Nie jesteś odpowiednio ubrana, by spędzić choć jedną noc na dworze. Skąd przyszłaś, dziewczyno?

– Z lasu – wymyśliła Wasia na poczekaniu. – Wpadłam do rzeki i straciłam wszystko, co miałam.

To była niemalże prawda. Kobieta ściągnęła brwi.

– Dlaczego zatem... – urwała. – Czy ty widzisz? – spytała innym tonem. Nagle wydała się na poły przestraszona, na poły przejęta.

Wasia wiedziała, co kobieta ma na myśli: „Nie mów nikomu, kim jesteś”.

– Nie – odpowiedziała szybko.

Błysk w oczach kobiety zgasł. Westchnęła.

– No cóż, to były płonne nadzieje. Chodź, gościmy panów z różnych stron i ich sługi, nikt cię nie zauważy. Możesz zjeść wraz z innymi, potem dostaniesz ciepłe miejsce do spania.

– Dziękuję.

Ogorzała kobieta otworzyła szeroko drzwi.

– Jestem Jelena Tomisławna – przedstawiła się. – Pan tego domu to mój brat. Wejdz.

Wasia, z łomoczącym sercem, podążyła za nią do środka. Czuła na plecach bacny wzrok dwornika.

Jelena chwyciła za ramię jedną ze służących. Wymieniły kilka słów. Wasia usłyszała tylko „wracać do naszego gościa”, wypowiedziane przez Jelenę. Na twarzy starej sługi pojawił się dziwny wyraz współczucia.

Kobieta zaprowadziła Wasię do piwnicy pełnej skrzyń, tobołków i beczek. Mamrocząc pod nosem, zaczęła czegoś szukać.

– Bez obawy, tu nic złego cię nie spotka, biedactwo. Zdejmij te łachy, zaraz ci znajdę coś odpowiedniego.

Wasia uznała, że lepiej się z nią nie spierać.

– Dobrze, *babuszka* – szepnęła więc tylko i zaczęła się rozbierać. – Chciałabym jednak zachować moje stare ubranie.

– Ależ oczywiście – zgodziła się dobrotliwie stara służąca. – Nigdy nie należy niczego pochopnie wyrzucać. – Na widok sińców Wasi cmoknęła współczująco i stwierdziła: – Robota męża albo ojca, nieważne. Dzielna z ciebie dziewczyna, przebrałaś się za chłopca i uciekłaś. – Odwróciła twarz Wasi do światła i zmarszczyła z powątpiewaniem czoło. – Może, jeśli tu zostaniesz i będziesz ciężko pracowała, pan da ci mały posag i zdołasz znaleźć nowego męża.

Wasia nie była pewna, czy powinna się śmiać, czy oburzyć. Służąca włożyła jej przez głowę sukienkę z grubego płótna, na wierzch zarzuciła kolorowy materiał, wiszący luźno z przodu i z tyłu i ścisnęła go paskiem. Na nogi wsunęła jej łapcie z łyka. Kobieta pogłaskała Wasię po krótkich czarnych włosach i podała jej chustkę.

– Co ty sobie myślałaś, dziecino, żeby obcinać warkocz?

– Podróżowałam jako chłopak – przypomniała jej Wasia. – Tak było bezpieczniej. – Wetknęła drewnianego słowika w rękaw sukienki. Ubranie pachniało cebulą i poprzednią właścicielką, ale było ciepłe.

– Chodź do izby biesiadnej – powiedziała służąca po chwili litościwego milczenia. – Znajdę ci jakąś strawę.

Natychmiast uderzył ją zapach biesiady: potu, miodu i tłustego mięsiwa piekącego się w żarze w wielkim palenisku pośrodku długiej izby pełnej odświeżnie ubranych ludzi. W oparach dymu ich ozdoby błyszcząły miedzią i złotem. Powietrze tańczyło, bo rozgrzane szło do góry i ulatywało przez dziurę w dachu. W ciemności lśniła pojedyncza gwiazda pochłaniana przez dym. Służący wnosili kosze ze świeżym chlebem przyprószonym śniegiem. Wasia rozglądała się na wszystkie strony i omal nie upadła jak długa, potknąwszy się o sukę, która warknęła i uciekła do kąta wraz ze szczeniętami i zdobyczną kością.

Służąca posadziła Wasię na jednej z ław.

– Zostań tu – przykazała, biorąc bochenek chleba i kubek. – Jedz do woli i przyglądaj się wielkim państwu. Będą ucztowali aż do świtu. – Musiała dostrzec zdenerwowanie dziewczyny, bo dodała serdecznie: – Nie spotka cię tu nic złego. Wkrótce dostaniesz pracę. – To powiedziawszy, odeszła. Wasia została sama ze swym posiłkiem i głową pełną pytań.

– On chce siostry gospodarza, żadnej innej – powiedział jeden mężczyzna do drugiego, przechodząc obok i nadeptując na któreś ze szceniąt karmiącej suki.

– Bzdura – rzekł jego towarzysz poważnym wyważonym tonem. – Ma wyjść za męża. A on nie odda jej nawet królowi zimy.

– Nie będzie miał wyboru – powiedział z naciskiem pierwszy mężczyzna.

A więc Morozko tu jest, pomyślała Wasia. Marszcząc czoło, schowała chleb do rękawa i wstała z ławy. Strawa ciążyła jej krzepiąco na żołądku, miód rozgrzał i rozluźnił jej członki.

Nikt nie zauważył, że się podniosła, nikt na nią nawet nie spojrział. Bo niby dlaczego ktoś miałby zwracać na nią uwagę?

W tym właśnie momencie biesiadnicy się rozstąpili i Wasia zobaczyła ludzi skupionych przy palenisku.

Był tam również Morozko.

Oddech zamarł jej w krtani.

Wcale nie jest więźniem, pomyślała.

Siedział na honorowym miejscu, przy ogniu. Płomienie złociły mu twarz i rzucały złoty blask na falujące czarne włosy. Był ubrany jak książę: w kaftan i koszulę aż sztywne od haftów, z futrem przy mankietach i kołnierzu.

Ich spojrzenia się spotkały, jednak wyraz jego twarzy się nie zmienił. Morozko w żaden sposób nie okazał, że ją poznaje. Odwrócił głowę, by porozmawiać z kimś siedzącym obok. Po chwili biesiadnicy stłoczyli się przy ogniu i Wasia nie widziała już Morozki. Wstrząśnięta, na próżno wyciągała szyję.

Co go tutaj trzyma, jeśli nie siła?

Czy naprawdę jej nie rozpoznał?

Suka leżąca na podłodze warknęła. Wasia, którą goście spychali coraz bliżej i bliżej ściany, robiła, co mogła, by nie nadepnąć na biedne zwierzę. „Nie mogłabyś karmić w jakimś spokojniejszym miejscu?” – zagadnęła psa, a wtedy zatoczył się na nią pijany mężczyzna.

Wasia poleciała na ścianę, a karmiąca suka poderwała się, warcząc. Mężczyzna przycisnął dziewczynę do pociemniałego od dymu drewna i z pijacką niezdarnością wodził rękami po jej ciele.

– Ho, ho, masz oczy jak dwa zielone stawy o zmierzchu – wybełkotał. – Ale czy ta twoja pani w ogóle cię nie karmi?

Nieporadnie szturchnął jej pierś palcem wskazującym, jakby szacował jakość jej ciała. Przyłożył rozchylone usta do jej warg.

Wasia czuła wściekły łomot swego serca tuż przy piersi napastnika. Bez słowa pchnęła go całym ciałem, nie zważając na wciąż obolałe żebra, i mu się wywinęła.

Omam się nie przewrócił. Próbowwała zniknąć w tłumie, lecz on odzyskał równowagę, chwycił Wasię za rękę i ją wykręcił, znów przyciągając

dziewczynę do siebie. Na jego twarzy pojawił się wyraz urażonej dumy. Wszystkie głowy odwróciły się w ich stronę.

– Tak mnie traktujesz? – wycedził. – I to w noc zimowego przesilenia! Jaki mężczyzna cię zechce, ty mała żabiousta kocico? – W jego oczach malowała się chytryść. – Znikaj. Przy głównym stole będą chcieli więcej miodu.

Wasia nie odezwała się, lecz przywołała wspomnienie ognia. Płomienie w palenisku, trzaskając, strzeliły w górę. Ci, którzy stali najbliżej, cofnęli się od żaru. Mężczyzna zachwiał się i rozluźnił uścisk. Wasia wyrwała się mu i wmieszała w tłum. Mdlilo ją od gorąca i zaduchu zatłoczonej izby. Po omacku dotarła do drzwi i chwiejnie wyszła na zewnątrz.

Stała w śniegu długą chwilę, oddychając gwałtownie. Noc była czysta i zimna. Wreszcie się uspokoiła.

Nie chciała wracać do środka.

Jednak tam jest Morozko, w jakiś sposób uwięziony. Musi podejść bliżej, musi odkryć, jakie kajdany go tam trzymają.

Nagle przyszło jej do głowy, że może pijany mężczyzna miał rację. Czy może być lepszy sposób, by zbliżyć się niepostrzeżenie do króla zimy, niż udając służącą, która przynosi miód?

Raz jeszcze zachłysnęła się powietrzem mroźnej nocy. Zapach zimy zdawał się owiewać ją niczym obietnica.

Zanurzyła się w wirujący zamęt, jaki panował w izbie. Była ubrana jak służąca, wystarczyło zdobyć bukłak z miodem. Niosąc go ostrożnie i czując jego ciężar na swym sponiewieranym ciele, Wasia precyzyjnie się przez tłum i podeszła do paleniska pośrodku izby.

Król zimy siedział najbliżej płomieni.

Wasi oddech zamarł w piersi.

Morozko miał odkrytą głowę, ogień złocił czerń jego włosów, podkreślał jasny błękit oczu. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, w jego oczach nadal nie było śladu rozpoznania.

Jego oczy były... młode?

Młode?

Ostatnio Wasia widziała go kruchego niczym płatek śniegu, o niemożliwie starym spojrzeniu, w piekle płonącej Moskwy. „Przywołaj śnieg”, błagała go. „Przywołaj śnieg”. Dokonał tego, a potem zniknął o świcie.

Jego ostatnie słowa, mimowolne wyznanie, brzmiały: „Kochałem cię, jak umiałem”. Wasia wiedziała, że nigdy nie zapomni tego, jak wówczas wyglądał. Wyraz jego twarzy i dotyk jego dłoni na zawsze wryły się w jej pamięć.

Ale w jego najwidoczniej nie. Ze spojrzenia Morozki zniknęły całe lata. Nie zdawała sobie sprawy, jak wielka była ich waga, dopóki nie zobaczyła, że wyparowały.

Obrzucił Wasię leniwym spojrzeniem i przeniósł wzrok na kobietę siedzącą obok. Twarz Jeleny wyrażała strach i... coś jeszcze. Była piękna. Złoto na jej nadgarstkach i szyi błyskało delikatnie w blasku ognia. Na oczach Wasi Morozko pochylił swoją dziką ciemną głowę i szepnął coś Jelenie na ucho, a ona przysunęła się bliżej, żeby usłyszeć, co mówi.

Co mogło uwięzić tutaj demona zimy? – pomyślała Wasia z nagłą złością. Miłość? Pożądanie? Czy dlatego siedzi w tej wsi, chociaż cała Ruś jest w niebezpieczeństwie? Z powodu kobiety o złotobrazowych włosach? Widziała wyraźnie, że jest tu, bo chce być.

A przecież Ruś jest w niebezpieczeństwie, ponieważ Morozko poświęcił swoją wolność, żeby ocalić ją z ognia. Dlaczego to zrobił? Dlaczego? I jak mógł zapomnieć?

I nagle pomyślała: Gdybym chciała uwięzić kogoś aż po kres dni, czy nie byłoby najlepiej zamknąć tego kogoś w więzieniu, z którego nie ma ochoty uciec? Tu, w tym miejscu, w tej północy, ludzkość może go zobaczyć. Boją się go i kochają jednocześnie. Czego więcej mógłby chcieć? Czy kiedykolwiek, przez całe lata swego życia, pragnął czegoś więcej?

Wszystkie te myśli przeleciały jej szybko przez głowę, a potem Wasia zebrała się w sobie i ruszyła w ten koniec izby, gdzie król zimy siedział obok siostry pana domu. Bukłak z miodem trzymała przed sobą niby tarczę.

Demon mrozu znów pochylił się ku brązowowłosej kobiecie, szepcząc jej coś do ucha.

Wtem wzrok Wasi przyciągnął nagły ruch. Mężczyzna stojący po drugiej stronie paleniska też obserwował tę parę. Hafty i zdobienia stroju zdradzały jego wysoką pozycję społeczną. Miał wielkie, pociemniałe z bólu oczy. Wykonał nagły ruch, mimowolnie sięgnął do rękojeści miecza, lecz po chwili puścił ją, palec po palcu.

Wasia nie wiedziała, co o tym sądzić.

Nogi same zniosły ją w pobliże Morozki i śniadej kobiety. Zapewne powinna opuścić wzrok, napełnić puchary miodem i umknąć pośpiesznie. Ona jednak podeszła do nich śmiało, z wyzywającą miną, patrząc demonowi mrozu prosto w oczy.

Odwzajemnił jej spojrzenie i z rozbawieniem obserwował, jak przysuwa się jeszcze bliżej.

Wasia w ostatniej chwili opuściła wzrok i przechyliła bukłak, by dolać im miodu.

Na jej nadgarstku zacisnęła się szczupła, zimna, znajoma dłoń. Wasia szarpnęła się, ochlapując wszystkich miodem.

Jelena zdążyła się odwrócić, ratując suknię przed zalaniem. Nagle rozpoznała Wasię.

– Odejdź – przykazała. – Obsługiwanie nas nie należy do twoich obowiązków. – Wasia odniosła wrażenie, że za tymi słowami kryje się ostrzeżenie: Morozko, dumny, młody, o śmiercionośnym dotyku smukłych dłoni, jest niebezpieczny.

Morozko nie starał się przytrzymać dłoni Wasi, kiedy mu się wyszarpnęła. Teraz była pewna, że on wcale jej nie zna. Czymkolwiek była więź, która ich łączyła – tęsknotą, mimowolną namiętnością – zniknęła.

– Wybacz, pani – zwróciła się Wasia do Jeleny. – Chciałam się tylko odwdziżyć za twoją gościnność.

Nie spuszczała przy tym wzroku z oczu demona mrozu. Bez pośpiechu, obojętnie, obrzucił spojrzeniem jej krótkie włosy, wychudłą twarz i całą sylwetkę. Poczwała, że oblewa ją rumieniec.

– Nie znam cię – powiedział.

– Wiem o tym.

Jelena zeszywniała, czy to słysząc słowa Wasi, czy też ich ton. Morozko zerknął na rękę Wasi. Ona też tam spojrzwała i zobaczyła zbielałą skórę w miejscu, gdzie jej dotknął.

– Chcesz mnie prosić o jakąś łaskę? – spytał.

– A wyświadcysz mi ją? – odparowała Wasia.

– Odejdź, głupia! – syknęła Jelena.

W oczach demona mrozu nadal nie było błysku rozpoznania. Wyciągnął natomiast palec i dotknął wewnętrznej strony jej nadgarstka. Poczwała, że jej serce przyśpiesza od ich kontaktu, lecz tylko odrobinę. Przeżyła ostatnio tak dużo, że rytm jej serca niełatwo się zmieniał.

Spojrzenie Morozki było zimne.

– Proś zatem – powiedział.

– Chodź ze mną. Mój lud cię potrzebuje.

Na twarzy Jeleny odmalowało się przerażenie.

On tylko się zaśmiał.

– Mój lud jest tutaj.

– Tak. Lecz gdzie indziej także. Zapomniałeś.

Zimne palce natychmiast puściły jej dłoń.

– Niczego nie zapominam.

– Jeśli kłamię, królu zimy, dlaczego miałabym ryzykować życie i stawać tu przed tobą podczas zimowego przesilenia?

– Dlaczego się mnie nie boisz? – Nie próbował znów jej dotykać. Do izby wtargnął zimny wiatr, barwiąc płomienie na niebiesko i tłumiąc gwar.

Jelena objęła się ramionami, biesiadnicy ucichli. Wasia omal się nie roześmiała. To miało ją przestraszyć? Niebieski ogień? Po wszystkim, co przeszła?

– Nie boję się umrzeć – oznajmiła. Bo tak było. Zaznała już śmierci. W jej zimnym bezruchu i gwiazdzistym bezkresie nie było niczego, co mogłoby ją przerazić. Cierpienie jest dla żywych. – Dlaczego miałabym się ciebie bać?

Zmrużył oczy. Wasia uświadomiła sobie, że ludzie skupieni wokół ognia zamarli niczym ptaki, gdy nadlatuje jastrząb.

– Istotnie, dlaczego? – Morozko odwzajemnił jej spojrzenie. – Głupcy często są odważni, bo nic nie rozumieją. Zostaw nas, dziewczyno, jak mówi twoja pani. Docenię twoją odwagę i zapomnę o głupocie. – Odwrócił się.

Jelena opuściła ramiona, sprawiała wrażenie, jakby czuła zarazem ulgę i rozczarowanie.

Nie wiedząc, co robić, Wasia cofnęła się i wmieszała w tłum. Rękę miała lepka od miodu, nadgarstek mrowił ją w miejscu, gdzie dotknęły go palce Morozki. Jak mogła mu przypomnieć?

– Obraziła cię, panie? – Wasia usłyszała pytanie Jeleny, w którym pobrzmiwały ciekawość i przygana.

– Nie – odpowiedział demon mrozu. Wasia czuła, że odprowadza ją wzrokiem. – Ale nigdy nie spotkałem nikogo, kto by się nie bał.

Ludzie odsuwali się od Wasi, jakby była dotknięta jakąś chorobą. Stara służąca podeszła do niej od tyłu, chwyciła za łokieć, odebrała bukłak i syknęła do ucha:

– Szalona, co cię opętało, by ot tak podchodzić do króla zimy? To pani podaje mu miód. Ona przykuwa jego wzrok, to jej zadanie. Nie wiesz, co się dzieje z dziewczętami, które wpadną mu w oko?

Wasi nagle zrobiło się zimno.

– Co się z nimi dzieje?

– Mógłby wybrać ciebie, wiesz? – wymamrotała służąca, a w tym momencie Jeleną wstała. Była blada, lecz opanowana.

W izbie zapadła martwa cisza.

Wasi krew zaczęła pulsować w uszach. W bajce ojciec wywozi córki do lasu i tam zostawia, najpierw jedną, potem drugą, narzeczone dla króla zimy. Pierwszą król zimy odesłał do domu z posagiem.

Drugą zabił.

„Kiedyś zabijali dziewczęta w śniegu”, wspominał Morozko dawno temu. „Żeby zdobyć moją przychylność”.

Kiedyś? Czy teraz? Która to północ? Wasia знаła tę bajkę, lecz nigdy sobie tego nie wyobrażała: dziewczyna zabrana z rodzinnej wioski, demon mrozu, który znika w lesie.

Znika, lecz nie sam.

Kiedyś karmił się takimi ofiarami.

Morozko i Niedźwiedź byli kiedyś podobni, pomyślała. Wargi miała zimne. Na twarzy króla zimy malowała się wyraźna i bezmyślna radość, żarłoczność jastrzębia rozrywającego na strzępy królika. Wstał i wziął Jeleną za rękę.

Wokół narastało napięcie.

W ciszy rozbrzmiał pojedynczy dźwięk: brzęk wyciąganego miecza. Wszystkie głowy odwróciły się w tamtą stronę. To mężczyzna o ciemnych oczach, który nie mógł się powstrzymać, by nie sięgnąć do rękojeści swego miecza. Twarz miał ściągniętą bólem.

– Nie – przemówił – weź inną. Tej nie dostaniesz.

Wiele rąk próbowało go powstrzymać, on jednak wyrwał się i rzucił do przodu, po czym zamachnął się na ślepo mieczem, chcąc ugodzić króla zimy.

Morozko nie był uzbrojony. To nie miało jednak znaczenia. Gołą ręką chwycił opadające ku niemu ostrze. Jedno szarpnięcie i miecz z brzękiem

upadł na posadzkę, powleczone szronem. Śniada kobieta krzyknęła, ciemnooki mężczyzna zbladł.

Z ręki Morozki zamiast krwi tryskała woda, lecz tylko przez chwilę. Szron szybko zasklepił ranę.

– Jak śmiesz? – wycedził.

Jelena padła na kolana.

– Proszę – załkała. – Nie rób mu krzywdy.

– Nie zabieraj jej – błagał mężczyzna, stojąc przed Morozką z pustymi rękami. – Potrzebujemy jej. Ja jej potrzebuję.

W izbie wisiała martwa cisza.

Morozko ze zmarszczonymi brwiami jakby się wahał.

W tym momencie Wasia wyszła na środek izby. Chustka zsunęła jej się z włosów. Wszyscy na nią patrzyli.

– Pozwól im odejść, królu zimy – powiedziała.

Przypomniała sobie Moskwę i to, jak szła na śmierć w topniejącym śniegu. To bolesne wspomnienie sprawiło, że w jej głosie pobrzmiwała furia, kiedy podjęła:

– To jest ta twoja moc? Zabieranie dziewcząt z rodzinnych domów podczas zimowego przesilenia? I zabijanie ich ukochanych, jeśli próbują cię powstrzymać?

Jej głos rozbrzmiewał w całej izbie. Rozległy się gniewne okrzyki, nikt jednak nie śmiał zbliżyć się do paleniska.

Jelena wyciągnęła rękę i splotła palce z palcami ukochanego tak mocno, że obojgu zbieleły knykcie.

– Panie, to tylko głupia, szalona dziewczyna, która przyszła tu żebrać o jedzenie i schronienie przed śniegiem – szepnęła, nie puszczając jednak dłoni mężczyzny. – Nie zważaj na nią, ja jestem ofiarą mego ludu.

Morozko patrzył na Wasię.

– Ta dziewczyna się z tym nie zgadza – stwierdził.

– To prawda! – wykrzyknęła Wasia. – Wybierz mnie i uczyni swoją ofiarą, jeśli zdołasz.

Wszyscy biesiadnicy się cofnęli. A Morozko wybuchnął śmiechem. Wolny i dziki, i tak podobny do Niedźwiedzia, że Wasia mimowolnie się wzdrygnęła. W jego oczach płonęła beztroska radość.

– Podejdz zatem – rzucił.

Nie ruszyła się z miejsca.

Ich spojrzenia się spotkały.

– Zamierzasz walczyć, panienczko?

– Tak. Jeśli chcesz mojej krwi, to ją weź.

– Dlaczego miałbym to robić, skoro jest inna, ładniejsza od ciebie, i czeka pokornie?

Wasia się uśmiechnęła. Ta jego bezmyślna radość – z wyzwania, z walki – w jakiejś części znalazła odbicie w jej duszy.

– I co to za przyjemność, królu zimy?

– Dobrze zatem. – Wyciągnął z pochwy przy pasie nóż i rzucił się ku niej. Ostrze rozbłysło blado, odbijając światło, jakby zrobione było z lodu.

Wasia odskoczyła, wpatrzona w broń. To Morozko podarował jej pierwszy nóż i nauczył, jak się nim posługiwać. Jego ruchy były wyryte w jej pamięci, chociaż tamte cierpliwe lekcje nijak miały się do...

Wyszarpnęła nóż z za pasa jednego z mężczyzn. Nie zaprotestował. Nóż miał krótki trzonek: zwyczajne śmiertelne żelazo przeciwko migoczącej lodowej klindzie króla zimy.

Wasia uniknęła ciosu Morozki i znalazła się po drugiej stronie ognia, przeklinając niewygodne chodaki. Zrzuciła je kopnięciem i poczuła pod stopami lodowatą posadzkę.

Ludzie umilkli, obserwując pojedynek.

– Po co do mnie przysłaś? – zapytał Morozko. – Tak bardzo chcesz umrzeć?

- Sam oceń.
- Nie... Dlaczego zatem?
- Bo wydawało mi się, że cię znam.

Jego twarz stężała. Znów się poruszył, nieco szybciej. Odparowała cios, lecz nieskutecznie. Ostrze drasnęło ją w ramię, spod rozerwanego rękawa popłynęła krew. Nie mogła się z nim równać. Ale też nie musiała. Musiała tylko sprawić, żeby sobie przypomniął. Tak czy inaczej.

Biesiadnicy stali w milczeniu wokół nich niczym wilki osaczające jelenia.

Gorąca woń jej krwi uświadomiła Wasi, że ta rozgrywka jest dla gapiów rzeczywista. Tylko ona ma poczucie, że znalazła się w bajce, w jakiejś odległej krainie. Może on nigdy jej sobie nie przypomni? Może ją zabije? Północnica wiedziała, że tak będzie. Cóż, może jednak stanę się jego ofiarą, pomyślała Wasia ponuro.

Jeszcze nie! Ogarnęła ją wściekłość. Zaatakowała znienacka i cięła nożem po jego żebrach. Z rany trysnęła zimna woda, przez tłum przeszedł szmer zdumienia.

Cofnął się.

– Kim ty jesteś?

– Jestem czarownicą. – Krew spływała jej po ręce, osłabiając chwyt na trzonku noża. – Zbierałam przebiśniegi w środku zimy, umarłam z własnego wyboru i opłakiwałam słowika. Teraz jestem dalej, niż sięga przepowiednia. – Ich noże skrzyżowały się w walce. – Trzy razy przemierzyłam dziewięć krain, żeby cię znaleźć, mój panie. I zastałam cię tutaj rozbawionego w błogim zapomnieniu.

Poczuła, że się zawahał. Przez jego spojrzenie przemknęło coś głębszego niż pamięć. Może strach?

– Przypomnij mnie sobie – zażądała Wasia. – Kiedyś prosiłeś, żebym ja pamiętała o tobie.

– Jestem królem zimy – zachnął się. – Na cóż mi pamięć dziewczyny? – Znów przypuścił atak, teraz nie żartował. Wytrącił jej nóż z ręki i przeciął ścięgna nadgarstka. – Nie znam cię. – Był nieugięty jak zima długo przed odwilżą. W jego słowach usłyszała echo swojej porażki.

A jednak wpatrywał się w twarz Wasi. Z jej palców kapłała krew. Nagle ogień buchnął złościście. Wszyscy wokół krzyknęli.

– Mógłbyś mnie sobie przypomnieć. Gdybyś się postarał. – Dotknęła go zakrwawioną ręką.

Zawahał się. Mogłaby przysiąc, że się zawahał. Ale to wszystko. Opuściła rękę. Niedźwiedź zwyciężył.

Jej wzrok zmąciły smugi czarnej mgły. Rana na nadgarstku była głęboka, ręka bez czucia, krew spływała, błogosławiąc posadzkę domu.

– Przyszłam tu, by cię odszukać, lecz jeśli mnie nie pamiętasz, poniosłam porażkę. – Huczało jej w uszach. – Jeśli jeszcze kiedykolwiek spotkasz swoją klacz, powiedz jej, co się ze mną stało. – Zachwiała się, na skraju przytomności, a on ją złapał. W jego zimnym uścisku przypomniła sobie drogę, z której nie było już powrotu, drogę w lesie pełnym gwiazd. Mogłaby przysiąc, że Morozko zaklął cicho. A potem poczuła jego ręce pod kolanami i pod pachami.

Wyszedł z izby biesiadnej, niosąc ją na rękach.



17.

Pamięć

Nie była całkiem nieprzytomna, jednak świat stał się szary i nieruchomy. Czowała woń sosen i przesyconej dymem nocy. Kiedy odchyliła głowę do tyłu, ujrzała gwiazdy – cały gwiazdny świat – jakby frunęła między niebem a ziemią niczym wędrowny czart. Pod nogami demona mrozu śnieg nie skrzypiał, jego oddech nie parował w zimnym powietrzu. Usłyszała skrzypnięcie zamarzniętych zawiasów. Nowe zapachy – świeża brzoza, ogień i zgnilizna. Została położona na czymś twardym, syknęła, poczuła obolałe kości i sińce. Podniosła rękę i zobaczyła, że dłoń ma lepka od krwi, a nadgarstek głęboko rozcięty.

Nagle sobie przypomniała.

– Północ – wymamrotała. – Czy wciąż jest północ?

– Wciąż jest północ. – Nagle rozbłysły świece: bryłki wosku we wnękach w ścianie. Podniosła wzrok i zobaczyła, że demon mrozu jej się przygląda.

Powietrze było gorące i parne. Ze zdumieniem stwierdziła, że są w łaźni. Próbowwała usiąść, lecz bardzo krwawiła i zachowanie przytomności wiele ją kosztowało. Zacisnąwszy zęby, sięgnęła do spódnicy, żeby oderwać pas materiału, przekonała się jednak, że nie zdoła tego zrobić jedną ręką.

Podniosła głowę.

– Przyniosłeś mnie tutaj, żeby patrzeć, jak wykrwawiam się na śmierć? Rozczaruję cię. Mam już wprawę w pozostawaniu przy życiu wbrew wszystkiemu i wszystkim.

– Nie wątpię – odpowiedział łagodnie. Stał nad nią. Lekko drwiącym, lecz i zaciekawionym spojrzeniem obrzucił jej zmaltretowaną twarz, po czym przeniósł wzrok na krwawiący nadgarstek. Z całej siły zaciskała na nim palce drugiej ręki, usiłując zatamować krew. On miał jej krew na policzku, na ubraniu, na białych dłoniach. Nosił swoją moc jak drugą skórę.

– Dlaczego łaźnia? – spytała, usiłując zapanować nad oddechem. – Tylko wiemy i czarnoksiężnicy chodzą do łaźni o północy.

– Wszystko się zatem zgadza – odparł beznamiętnym tonem. – A ty nadal się nie boisz? Choć wycieka z ciebie krew? Skąd przybywasz, wędrowniczko?

– To moja tajemnica – wycedziła Wasia przez zaciśnięte zęby.

– A jednak poprosiłaś mnie o pomoc.

– Tak. A ty rozciąłeś mi nadgarstek.

– Wiedziałaś, że tak będzie, z chwilą, gdy rzuciłaś mi wyzwanie.

– No dobrze. Ciekawi cię, kim jestem? Pomóż mi więc. W przeciwnym razie nigdy się nie dowiesz.

Nie odpowiedział, a gdy się poruszył, nie usłyszała go, tylko poczuła zimny powiew, dziwny w gorącym pomieszczeniu. Uklęknął przy niej. Ich spojrzenia się spotkały. Dojrzała w jego oczach cień niepokoju, jakby w lodowej ścianie jego umysłu powstała mała szczelina. Bez słowa stulił dłoń, a w jej wnętrzu zebrała się woda. Polał nią ranę na nadgarstku Wasi.

Tam, gdzie woda dotknęła rozciętego ciała, przeszył ją ból. Przygryzła wnętrze policzka, żeby nie wrzasnąć. Ból ustał równie szybko, jak się pojawił, a Wasia dygotała, czując lekkie mdłości. Rana na nadgarstku zniknęła, pozostała po niej jedynie biała kreska odbijająca światło, jakby blizna była skuta lodem.

– Zostałaś uleczona – oznajmił Morozko. – Teraz mi powiedz... – Nagle umilkł. Wasia powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem. Na jej dłoni widniała druga blizna. Tam, gdzie ją zranił – i uleczył – już wcześniej.

– Nie kłamałam – powiedziała. – Znasz mnie. – Milczał. – Kiedyś rozciąłeś mi dłoń swoją dłonią – ciągnęła. – Zanurzyłeś palce w mojej krwi. A później zasklepiłeś ranę. Nie pamiętasz? Pamiętasz tamtego upiora w noc, kiedy wyruszyłam do lasu w poszukiwaniu przebiśniegów?

Podniósł się z kolan.

– Powiedz mi, kim jesteś.

Wasia również zmusiła się do tego, żeby wstać, choć nadal kręciło się jej w głowie. Morozko cofnął się o krok.

– Nazywam się Wasilisa Pietrowna. Wierzysz teraz, że cię znam? Myślę, że tak. Boisz się.

– Poranionej dziewczyny? – Morozko prychnął pogardliwie.

Pot spływał jej po krzyżu. Ogień w wewnętrznej komorze trzaskał płomiennymi palcami i nawet tutaj, w zewnętrznej izbie, było gorąco.

– Jeśli nie zamierzasz mnie zabić i mnie nie pamiętasz, to dlaczego tu jesteśmy? Co pan zimny może mieć do powiedzenia zwykłej służącej?

– Nie jesteś zwykłą służącą. Nie bardziej niż ja.

– Ja przynajmniej nie jestem uwięziona w tej wiosce – odparła Wasia. Gdyby teraz ich spojrzenia się spotkały, nie spuściłaby wzroku.

– Jestem królem – oburzył się. – Urządzają ucztę na moją cześć, składają mi ofiary.

– Więzienie to nie zawsze cela i kajdany. Zamierzasz spędzić całą wieczność na ucztowaniu, panie?

– Tylko jedną noc – odrzekł zimno.

– Wieczność – poprawiła go. – O tym także zapomniałeś.

– Skoro nie pamiętam, nie jest to dla mnie wieczność. – Zaczynał wpadać w złość. – Co za różnica? To moi poddani. A ty jesteś tylko szaloną

dziewczyną, która nachodzi porządnych ludzi w noc zimowego przesilenia.

– Ja przynajmniej nie zamierzałam nikogo zabić!

Nie odpowiedział, lecz w łaźni zerwał się zimny wiatr, od którego zachwiały się płomienie świec. Zewnętrzna izba była ciasna, prawie krzyczeli sobie nawzajem w twarz. Szczelina w jego murach obronnych się powiększyła. Wasia nie mogła zrozumieć, jakie zaklęcie trzyma go w zapomnieniu. Emocje jednak przyciągnęły jego pamięć nieco bliżej powierzchni. Podobnie jak jej dotyk. I krew. Łączące ich uczucie wciąż tam było. Nie musiał pamiętać, czuł to tak samo, jak ona.

I przyniósł ją tutaj. Wbrew temu, co mówił.

Miała poczucie, że jej skóra jest tak cienka, iż jego oddech mógłby ją posiniaczyć. Wasia, zawsze tak nierozważna w walce, teraz też taka była. Głębiej niż sięga pamięć, pomyślała. Matko Boska, wybacz mi.

Wyciągnęła rękę. Jej dłoń z białymi bliznami zatrzymała się o oddech od jego policzka. Nagle palce Morozki zacisnęły się na jej nadgarstku. Przez moment stali w bezruchu, po czym rozluźnił chwyt, a ona dotknęła jego twarzy, czując pod jego skórą delikatne, wiecznie młode kości. Nie poruszył się.

– Jeśli mogę odwlec godzinę mojej śmierci, królu zimy, chciałabym się wykapać. Skoro już przyniosłeś mnie do łaźni – powiedziała cicho.

Nie zareagował, lecz jego bezruch mówił więcej niż słowa.

W wewnętrznej izbie było zupełnie ciemno, nie licząc żaru bijącego od gorących kamieni w piecu. Wasia zostawiła Morozkę stojącego za nią. Była wstrząśnięta własną bezczelnością. Zastanawiała się, czy nie robiła właśnie największego głupstwa w całym swoim życiu.

Z determinacją zdjęła ubranie i położyła je w kącie. Chlusnęła wodą na kamienie i usiadła, obejmując rękami kolana. Mimo gorąca błoga

ociężałość nie chciała nadejść. Nie wiedziała, czy bardziej się boi tego, że Morozko sobie pójdzie, czy tego, że jednak zostanie.

Wślizgnął się przez drzwi. Ledwie go widziała w ciemności, rozpoznała jego obecność po ruchu pary, gdy przez nią przechodził.

Uniosła podbródek, by ukryć nagły lęk, i spytała:

– Nie rozpuścisz się?

Wydawał się urażony, jednak po chwili się roześmiał.

– Postaram się nie rozpuścić. – Z gracją usadowił się na ławie naprzeciwko Wasi, oparł łokcie na kolanach i złączył dłonie. Zatrzymała wzrok na jego długich palcach. Skórę miał bledszą niż jej skóra, nic sobie nie robił z ich nagości. Spojrzenie miał chłodne i szczere. – Przebyłaś długą drogę.

W mroku nie mogła zobaczyć jego oczu, jednak czuła na sobie jego spojrzenie niczym dłoń. Jeśli wcześniej nie widział jej ciała, teraz mógł je zobaczyć.

– A to jeszcze nie koniec. – Drżącymi palcami dotknęła strupa na policzku i podniosła oczy na Morozkę, zastanawiając się, czy jest odrażająca i czy to ma jakiegokolwiek znaczenie. Nie ruszył się z miejsca. Nikły blask oświetlał jego bark, wgłębienie między żebrami... Uświadomiła sobie, że ogląda go od szyi do stóp, a on ją obserwuje. Zarumieniła się.

– Nie zdradzisz mi swojej tajemnicy? – spytał.

– Jakiej tajemnicy? – odpowiedziała pytaniem, z trudem panując nad głosem. Jego dłonie były nieruchome, lecz wzrok omiatał linie jej ciała. – Już ci powiedziałam. Mój naród cię potrzebuje.

Pokręcił głową i spojrzał jej w oczy.

– Nie, jest coś jeszcze. Coś, co widzę w twojej twarzy za każdym razem, gdy na mnie patrzysz.

„Kochałem cię, jak umiałem”.

– Moje tajemnice są tylko moje, *gosudar* – odparła Wasia ostro. – My, twoje ofiary, możemy zabrać pewne sekrety do grobu, tak samo jak wszyscy inni.

Uniósł brew.

– Nigdy nie spotkałem dziewczyny, która by mniej od ciebie zamierzała umrzeć.

– Bo nie zamierzam – odrzekła Wasia. I dodała, choć brakowało jej tchu: – Chciałam się natomiast wykapać i robię to, a to już coś.

Znów się roześmiał, ich spojrzenia się spotkały.

On też się boi, pomyślała Wasia. Bo on, tak jak ja, nie wie, jak to się skończy. A jednak przyniósł mnie tutaj i został. Zranił mnie i uleczył. Pamięta i nie pamięta.

Nie czekając, aż straci odwagę, zsunęła się z ławki i uklękła między jego kolanami. Jego skóra nie ogrzała się od pary. Nawet w cuchnącej dymem łaźni otaczał go zapach sosen i zimnej wody. Nie zmienił wyrazu twarzy, lecz zaczął oddychać nieco szybciej. Wasia uświadomiła sobie, że cała drży. Przyłożyła dłoń do jego twarzy.

I tym razem chwycił ją za nadgarstek. Ale potem musnął wargami bliznę we wnętrzu jej dłoni.

Patrzyli na siebie.

Macocha z upodobaniem straszyla Wasię i Irinę opowieściami o koszmarach nocy poślubnej, Dunia natomiast zapewniała ją, że to niezupełnie tak jest.

Wasia miała poczucie, że od środka pali ją nieposkromiony ogień.

Morozko powiódł kciukiem po jej dolnej wardze. Nie potrafiła odczytać wyrazu jego twarzy. „Proszę”, powiedziała, a może tylko pomyślała, a on pochylił się i ją pocałował.

Po ogniu w piecu pozostał tylko żar, lecz oni nie potrzebowali światła. Czują pod dłońmi chłód jego skóry, jej pot spływał po nich obojgu.

Dygotała, nie wiedziała, co zrobić z rękami. To było zbyt wiele: ciało i dusza, głód i rozpaczliwa samotność, gwałtowny przypływ uczuć.

Może zwietrzył niepewność pod jej pożądaniem, bo oderwał usta od jej ust i popatrzył na nią. Jedyne dźwiękiem były ich oddechy, jego tak samo chrapliwy jak jej.

– Boisz się teraz? – szepnął. Pociągnął ją za sobą na drewnianą ławę. Usiadła na jego kolanach, jedną ręką obejmował ją w pasie, drugą chłodnym ogniem rysował linie na jej skórze: od ucha do ramienia, wzdłuż obojczyka, między piersiami. Nie mogła zapanować nad oddechem.

– Powinam się bać – odezwała się Wasia ostrzej, niż należało, bo naprawdę się bała, poza tym była zła, bo nie mogła zebrać myśli. Jego dłoń znów powędrowała w górę, a potem w dół, wzdłuż kręgosłupa, zawróciła delikatnie wzdłuż jej żeber, znalazła jej pierś i tam się zatrzymała. – Jestem dziewczyną. A ty... – urwała.

Delikatna dłoń zamarła.

– Boisz się, że zrobię ci krzywdę?

– A zamierzasz? – Oboje usłyszeli drzenie w jej głosie. Naga w jego ramionach była bardziej bezbronna niż kiedykolwiek.

Jednak on też się bał. Czuła to w powściąganym napięciu jego dotyku, widziała w pociemniałych nagle oczach.

I znów na siebie patrzyli.

Naraz on uśmiechnął się lekko i Wasia zrozumiała, czym jest to inne uczucie wybuchające między nimi, pod strachem i pożądaniem.

To była szaleńcza radość.

Jego dłoń musnęła jej talię. Znów przyciągnął jej usta do swoich. Jego odpowiedź była bardziej oddechem niż słowami szeptanymi jej do ucha:

– Nie, nie skrzywdzę cię.

– Wasiu – powiedział w ciemność.

Przenieśli się do zewnętrznej izby. Kiedy pociągnął ją na podłogę, poczuła pod sobą stertę miękkich koców pachnących jak zimowy las. Nic już nie mówili, ale to nie miało znaczenia. Nie potrzebowała słów, żeby go do siebie przywołać. Wystarczyły muśnięcia palców i żar posiniaczonej skóry. Dłonie Morozki ją pamiętały, nawet jeśli jego umysł zapomniał. Poznała to po jego kojącym dotyku, gdy palce przesuwają się po jej na wpół zagojonych ranach, poznała to po uścisku, po spojrzeniu jego oczu, zanim wypaliły się świece.

Później, leżąc sennie w ciemności, wciąż czuła pulsowanie jego ciała w swoim i smak sosny na wargach.

Nagle usiadła złęknioma.

– Czy wciąż jest...

– Północ – dokończył. Wydawał się znużony. – Tak, jest północ. Nie pozwolę ci jej stracić.

Jego głos się zmienił. Wypowiedział jej imię.

Oparła się na łokciu i stwierdziła, że oblewa ją rumieniec.

– Przypomniałeś sobie.

Milczał.

– Wypuściłeś Niedźwiedzia, żeby ocalić mi życie. Dlaczego?

Nadal milczał.

– Dotarłam tu, by cię odnaleźć. Nauczyłam się magii. Skorzystałam z pomocy Żar-Ptaka, nie zabiłeś mnie... Przestań tak na mnie patrzeć!

– Nie zamierzałem... – zaczął, a ją nagle ogarnęła złość, może dlatego, że chciała ukryć narastającą urazę.

Usiadł, odsunął się od niej, linia jego kręgosłupa rysowała się sztywno w półmroku.

– Chciałam tego – przemówiła do jego pleców, starając się nie myśleć o zasadach przyzwoitości, jakie jej wpajano. Czystość, cierpliwość, kłaść

się z mężczyzną tylko po to, by mieć dzieci, a nade wszystko nie czerpać z tego przyjemności. – Myślałam... Myślałam, że ty także. A ty... – Nie chciało jej to przejść przez gardło, więc zamiast tego powiedziała: – Przypomniałeś sobie. To dość niska cena za twoją pamięć. – Wcale nie miała poczucia, że niska.

Odwrócił się tak, że mogła zobaczyć jego twarz. Nie sprawiał wrażenia, że jej wierzy. Wasia pożałowała nagle, że siedzi naga, oddalona od niego zaledwie na szerokość dłoni.

– Dziękuję – powiedział.

„Dziękuję”? Te słowa wydały jej się zimne po ostatnich gorących godzinach. Może żałujesz, że sobie przypomniałeś? – pomyślała. Jakaś część ciebie była tu szczęśliwa, w tym więzieniu, gdzie bali się ciebie i cię kochali. Nie wypowiedziała jednak tego na głos.

– Niedźwiedź chodzi swobodnie po Rusi. Sprawił, że zmarli wyszli z grobów. Musimy pomóc mojemu kuzynowi i mojemu bratu. Przyszłam tu prosić cię o pomoc.

Morozko wciąż milczał. Nie odsunął się od niej, jednak jego spojrzenie stało się odległe, nieprzeniknione, jakby patrzył w swoje wnętrze.

– Jesteś nam winny pomoc – dodała z nagłą złością. – To przez ciebie Niedźwiedź jest na wolności. Nie musiałeś dobijać z nim targu. Sama wydostałam się ze stosu pogrzebowego.

Jego twarz nieco się rozjaśniła.

– Wiedziałem, że zdołasz tego dokonać. Ale i tak było warto. Zrozumiałem to, kiedy ściągnęłaś mnie z powrotem do Moskwy.

– Co rozumiałeś?

– Że mogłabyś stać się pomostem między ludźmi a czartami. Powstrzymać nas przed niknięciem, a ludzi przed zapominaniem. Że może nasz los nie jest jednak przesądzony, jeśli będziesz żyła i odkryjesz swoją moc. A nie miałem innego sposobu, by cię ocalić. Tak więc... uznałem, że warto zaryzykować bez względu na to, co stanie się potem.

– Mogłeś mi zaufać, że sama potrafię się uratować.

– Byłaś gotowa umrzeć. Zobaczyłem to w tobie.

Wzdrygnęła się.

– Tak – przyznała cicho. – Chyba byłam gotowa umrzeć. Słowik zginął, umarł przy mnie i... – urwała. – Ale mój koń uznałby mnie za głupią, gdybym się poddała. Zmieniłam więc zdanie.

Szaleńcza prostota tej nocy zamieniała się w nieskończone komplikacje. Nigdy nie sądziła, że Morozko narażałby swoje królestwo i wolność wyłącznie z miłości do niej. Rozważała to w głębi duszy, lecz on oczywiście był władcą ukrytego królestwa i nie mógł podejmować decyzji pod wpływem emocji. Zależało mu na mocy płynącej w jej krwi.

Była zmęczona, zziębnięta i obolała.

Czuła się jeszcze bardziej samotna niż przedtem.

Nagle jednak ogarnął ją gniew, że tak się nad sobą użala. Na zimno jest sposób, do diabła z tym nowym skrepowaniem między nimi. Wsunęła się pod ciężkie koce i odwróciła plecami do Morozki. Nie poruszył się. Zwinęła się w kłębek, próbując się rozgrzać.

Ramię Wasi musnęła dłoń lekka jak płatek śniegu. Łzy napłynęły jej do oczu, starała się powstrzymać je mruganiem. To zbyt wiele: jego obecność, zimna i cicha, rozsądne i praktyczne wyjaśnienia kontrastujące z oszałamiającym wspomnieniem namiętności.

– Nie, nie smuć się dzisiaj, Wasiu.

– Nigdy byś tego nie zrobił – stwierdziła, nie patrząc na niego. – Tego...

– Szerokim gestem ogarnęła łaźnię. – Gdybyś mógł pamiętać, kim jestem. I nigdy nie ocaliłbyś mi życia, gdybym nie była... gdybym nie była....

Puścił jej ramię.

– Próbowałem się od ciebie oddalić – wyznał. – Próbowałem wiele razy. Bo kiedy cię dotykałem, czy nawet tylko patrzyłem na ciebie, coraz bardziej zbliżałem się do śmiertelności. Bałem się. Mimo to nie mogłem... – Zamilkł, po czym podjął: – Może gdybyś nie była, kim jesteś, znalazłbym

w sobie siłę, by pozwolić ci umrzeć. Ale... usłyszałem twój krzyk. Poprzez mgły mojej słabości po pożarze Moskwy usłyszałem cię. Mówiłem sobie, że jestem praktyczny, powtarzałem, że jesteś naszą jedyną nadzieją. Wmawiałem to sobie cały czas. Ale myślałem o tobie w ogniu.

Wasia odwróciła się do niego. Zacisnął wargi, jakby ujawnił więcej, niż zamierzał.

– A teraz? – spytała.

– Jesteśmy tutaj – powiedział po prostu.

– Przepraszam – szepnęła. – Nie wiedziałam, jak inaczej sprowadzić cię z powrotem.

– Nie było innego sposobu. Jak myślisz, dlaczego mój brat tak wierzył w to więzienie? Nie znał więzi tak silnej, by mogła przywrócić mnie sobie samemu. Ja także nie.

Morozko nie wydawał się jednak z tego cieszyć. Wasi przyszło na myśl, że może czuje się jak ona: obnażony. Wyciągnęła do niego rękę. Nie patrzył na nią, lecz zacisnął palce na jej dłoni.

– Nadal się boję – wyznał. To była wypowiedziana śmiało prawda. –

Cieszę się, że żyjesz. Cieszę się, że znów cię widzę, wbrew wszelkiej nadziei. Nie wiem jednak, co robić.

– Ja też się boję – wyjawiała.

Jego palce znalazły jej nadgarstek tam, gdzie krew buzowała pod skórą.

– Zimno ci?

Tak było. Ale...

– Myślę, że biorąc to wszystko pod uwagę, możemy dzielić te koce jeszcze przez kilka godzin – powiedział, lekko się uśmiechając.

– Musimy iść – zaprotestowała Wasia. – Jest zbyt dużo do zrobienia, nie mamy czasu.

– Godzina albo trzy nie zrobią większej różnicy w krainie Północy. Jesteś cieniem samej siebie, Wasiu.

– To zrobi wielką różnicę – upierała się. – Nie mogę tu zasnąć.

– Teraz możesz – zapewnił. – Zatrzymam cię w Północy.

Zasnąć, naprawdę zasnąć... Matko Boska, ależ jest zmęczona. Morozko wsunął się pod koce. Jej oddech stał się krótki, zacisnęła pięści, usiłując powstrzymać odruch, by go dotknąć.

Patrzyli na siebie czujnie. On poruszył się pierwszy. Jego dłoń podkradła się do jej twarzy, obwiodła ostrą linię szczęki, musnęła zgrubiały strup od uderzenia kamieniem. Zamknęła oczy.

– Mogę to uleczyć – stwierdził.

Skinęła głową, na tyle próżna, by cieszyć się, że zamiast czerwonej będzie miała białą bliznę. Stulił dłoń, polał wodą jej policzek, a ona zacisnęła zęby, czekając na wybuch bólu.

– Opowiedz mi – poprosił potem.

– To długa historia.

– Zapewniam cię, że nie zdążę się zestarzeć.

Opowiedziała. Zaczęła od tamtej chwili, kiedy zostawił ją w szalejącej nad Moskwą śnieżycy, a skończyła na Południu, Włodzimierzu i podróży przez Północ. Gdy umilkła, była wyczerpana, ale też spokojniejsza. Jakby rozprostowała splątane wątki swego życia i ich kłęb w jej duszy się zmniejszył.

Morozko westchnął.

– Przykro mi. Z powodu Słowika. Mogłem tylko patrzeć.

– I przysłać mi swojego obłąkanego brata – wypomniała mu. – Oraz symboliczną pamiątkę. Bez twojego brata mogłabym się obyć, ale ta rzeźba... była mi pociechą.

– Zatrzymałaś ją?

– Tak. Przypomina mi o nim, kiedy... – Urwała. To wciąż bolało.

Nic nie odpowiedział, tylko odgarnął jej za ucho krótki kosmyk włosów.

– Dlaczego się boisz? – spytała.

Opuścił rękę. Nie sądziła, że odpowie. Kiedy to zrobił, mówił tak cicho, że z trudem uchwyciła słowa.

– Miłość jest dla tych, którzy znają smutek przemijania, bo idzie ramię w ramię z utratą. Wieczność z takim ciężarem byłaby męczarnią. A przecież.... – Odetchnął głęboko. – Jakże inaczej nazwać tę udrękę i tę radość?

Tym razem trudniej było się do niego przytulić. Przedtem to było... nieskomplikowane, beztroskie, radosne. Teraz jednak powietrze między nimi było ciężkie od emocji.

Jego skóra ogrzała się od jej skóry, mógłby być człowiekiem, gdyby nie oczy, wiekowe i stroskane. Teraz ona odgarnęła mu włosy, które opadły na czoło. Były szorstkie i zimne. Dotknęła ciepłego miejsca na jego szyi, pod brodą, położyła mu na piersi rozczapierzone palce.

Przykrył jej dłoń swoją, powiódł palcami po jej palcach, ręce, ramieniu, przeniósł dłoń z kręgosłupa na talię, jakby chciał się nauczyć jej ciała na pamięć.

Z gardła Wasi wydobył się chrapliwy dźwięk. Chłód jego oddechu dotknął jej ust. Nie wiedziała, czy to on się poruszył, czy ona, lecz ich wargi się zetknęły. A jego dłoń wciąż błędziła łagodnie, wydobywając gibkość z jej ciała. Nie mogła oddychać. Teraz już nie rozmawiali, czuła wzbierające w nim napięcie – przenikało z dłoni do jej ramienia – tam, gdzie jego palce wbijały się w jej skórę.

Przygarnąć do siebie dzikiego nieznajomego to jedno, ale spoglądać w twarz przeciwnika-sprzymierzeńca-przyjaciela i...

Wsunęła palce w jego włosy.

– Chodź tutaj – powiedziała. – Nie... bliżej.

Uśmiechnął się leniwym, zagadkowym uśmiechem króla zimy. Ale w kąciku jego ust czaił się cień śmiechu, jakiego nigdy wcześniej u niego nie widziała.

– Bądź cierpliwa – zaszemrał prosto w jej usta.

Ale ona nie mogła już czekać ani chwili dłużej i zamiast odpowiedzieć, chwyciła go za ramiona i przetoczyła się na niego. Poczowała w swoim ciele moc, w nikłym blasku świec zobaczyła falowanie mięśni: jego i jej. Pochyliła się i wydyszała mu do ucha:

– Nigdy mi nie rozkazuj.

– Władaj mną zatem – odszepnął. Jego słowa uderzyły jej do głowy niczym wino.

Ciało Wasi wiedziało, co robić, nawet jeśli jej umysł nie do końca. Przyjęła go w siebie całego: śnieg, zimno, moc, długie lata i tę ulotną kruchość. Wymówił jej imię, lecz ona ledwie go słyszała w swoim zatraceniu.

Kiedy leżała potem, ufnie się w niego wtulając, zamruczała:

– Nie jesteś już sam.

– Wiem – odszepnął. – Ty też nie.

I wtedy wreszcie zasnęła.



18.

Na grzbietach czarodziejskich koni

Kilka nieokreślonych godzin później podniósł się ze skotłowanych koców w kolorze śniegu. Nie usłyszała, jak wychodzi, ale poczuła jego nieobecność. Wciąż była północ. Otworzyła oczy, cała drżąca, i usiadła. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest. Po chwili sobie przypomniała i przestraszona zerwała się na równe nogi. Morozko odszedł, zniknął w ciemności, to wszystko tylko jej się przyśniło...

Opanowała się. Czy naprawdę zniknąłby bez słowa?

Nie wiedziała. Szaleństwo już ją opuściło, teraz było jej po prostu zimno. Zacisnęła zęby, by zdławić ogarniający ją wstyd. W głowie huczało jej od reguł i pouczeń, jakie wpajano jej w dzieciństwie, słyszała wyimaginowane oskarżycielskie głosy.

Przygryzła dolną wargę i poszła po swoje ubranie. Do diabła ze wstydem i do diabła z ciemnością. Odwróciła głowę i świeca we wnęce natychmiast buchnęła płomieniem. Zapalenie jej wcale Wasią nie wstrząsnęło, zupełnie jakby jej umysł zaakceptował wreszcie świat, w którym potrafiła myślać rozpałać ogień.

Po omacku znalazła sukienkę w wewnętrznej izbie i ją włożyła. Stała w drzwiach między izbami niezdecydowana i zmarznięta, gdy nagle otworzyły się zewnętrzne drzwi.

Blask świecy uwydatnił rysy twarzy króla zimy i wypełnił ją cieniami. W rękę trzymał tobolek z jej chłopięcym strojem. Z zewnątrz dobiegły ją głosy i chrzęst śniegu pod butami.

Nagle ogarnął ją strach.

– Co tam się dzieje?

Morozko miał skruszoną minę.

– Chyba właśnie wspólnymi siłami potwierdziliśmy mroczne pogłoski na temat łaźni.

Wasia nie odpowiedziała. W głowie znów słyszała odgłosy wściekłej tłuszczy w Moskwie.

Zobaczyła, że zrozumiał jej obawy.

– Wtedy byłaś sama, Wasiu – powiedział. – A teraz nie jesteś. – Obiema rękami uchwyciła się framugi wewnętrznych drzwi, jakby oczekiwała, że wieśniacy wedrą się do łaźni, by wyciągnąć ją stamtąd siłą. – Zresztą nawet wtedy wyzwoliłaś się z ognia.

– Dużo mnie to kosztowało – odrzekła, ale sękata dłoń strachu rozluźniła uścisk na jej gardle.

– Wieśniacy nie są źli – dodał Morozko. – Są zachwyceni. Ta noc jest pełna mocy. – Poczwała, że oblewa ją rumieniec. – Chcesz tu jeszcze zostać? Mnie teraz trudno dłużej zwlekać.

Zastanowiła się. To musi być jak powrót do miejsca, które kiedyś było domem, lecz już przestało nim być. Jak próba włożenia zrzuconej już skóry.

– Czy twoje ziemie graniczą z krainą mojej prababki? – spytała nagle Wasia.

– Tak. A myślisz, że skąd miałem dla ciebie poziomki, gruszki i przebiśniegi w środku zimy?

– A zatem znałeś tę historię? Historię czarownicy i jej córek bliźniaczek? Wiedziałeś, że Tamara była moją babką?

– Wiedziałem – przyznał z niepewną miną. – I ubiegnę twoje pytanie: nie, nigdy nie zamierzałem ci powiedzieć. Aż do tamtej nocy śnieżycy nad

Moskwą, a wtedy było już za późno. Stara czarownica albo już nie żyła, albo zaginęła w krainie Północy. Nikt nie wiedział, co stało się z bliźniaczkami, nie pamiętałem też nic na temat czarownika, który oddzielił swoją duszę od ciała, żeby uniknąć śmierci. Tego wszystkiego dowiedziałem się później.

– I traktowałeś mnie jak dziecko, wykorzystałeś do swoich celów.

– Tak. – Myśli, uczucia i nadzieje ukrył bardzo głęboko. „Nie jestem już dzieckiem”, mogłaby powiedzieć, lecz to było dla niego oczywiste, widziała to w jego oczach.

– Nigdy więcej mnie nie okłamuj – poprosiła więc tylko.

– Nie będę.

– Czy Niedźwiedź odkryje, że jesteś wolny?

– Nie. Chyba że Północnica mu powie.

– Nie sądzę, że będzie się wtrącała – orzekła Wasia. – Ona tylko obserwuje.

Tym razem w jego milczeniu usłyszała niewypowiedzianą myśl.

– Powiedz.

– Nie musisz wracać do Moskwy. Widziałas już dość potworności i spowodowałaś dość nieszczęść. Niedźwiedź będzie teraz starał się zgładzić cię za wszelką cenę, i to w najokrutniejszy możliwy sposób, szczególnie jeśli odkryje, że odzyskałem pamięć. Wie, że będę cierpiał.

– To bez znaczenia – odparła. – On jest na swobodzie z naszej winy. Musi znów zostać spętany.

– Jakim sposobem? – zapytał Morozko. Świeca buchnęła fioletowym płomieniem. Oczy Morozki miały taki sam kolor, jego kontury zdawały się blednąć, aż stał się wiatrem i nocą w ludzkiej postaci. Potrząsnął peleryną i stwierdził: – Jestem królem zimy, sądzisz, że latem w Moskwie będę miał jakąkolwiek moc?

– Nie musisz mnie mrozić, żeby dowieść swojej racji – powiedziała Wasia z urazą. – Musimy coś zrobić. – Wzięła od niego swoje ubranie. –

Dziękuję ci za to – dodała, po czym poszła do wewnętrznej izby, żeby się odziać. – W progu zawołała jeszcze: – Czy ty w ogóle możesz istnieć latem, królu zimy?

– Nie wiem – przyznał niechętnie. – Może. Przez krótki czas. Jeśli będziemy razem. Naszyjnik został zniszczony, ale...

– Już go nie potrzebujemy – dokończyła za niego. Uświadomiła sobie, że teraz ich więź – będąca połączeniem namiętności i gniewu, strachu i kruchej nadziei – jest silniejsza niż jakikolwiek czarodziejski klejnot.

Ubrana wróciła do pierwszej izby. Morozko stał w tym samym miejscu, gdzie go zostawiła.

– Może zdołamy dotrzeć do Moskwy, ale co dalej? – zastanawiał się. – Jeśli Niedźwiedź dowie się o naszym przybyciu, z radością zastawi na nas pułapkę, bym musiał bezradnie patrzeć na twoją śmierć. Albo z kolei ty będziesz musiała patrzeć na cierpienia twojej rodziny.

– Po prostu będziemy musieli być sprytni – stwierdziła Wasia. – To my wpakowaliśmy Wielkie Księstwo Moskiewskie w tarapaty i my musimy je z nich wyciągnąć.

– Powinniśmy teraz wrócić do mojego królestwa i stawić Niedźwiedziowi czoła zimą, gdy będę silniejszy. Wtedy będziemy mieli szansę na zwycięstwo.

– On to z pewnością wie – zauważyła Wasia. – I dlatego musi zrealizować swój plan, jakikolwiek on jest, właśnie tego lata.

– To może nas zgubić.

Wasia pokręciła głową.

– Może i tak. Ale nie zamierzam porzucić rodziny w potrzebie. Będziesz mi towarzyszył?

– Mówiłem już, Wasiu, że nie jesteś sama, i tego nie odwołam – zapewnił ją, choć powiedział to żalonym tonem.

Posłała mu cień uśmiechu.

– Ty też nie jesteś sam. Musimy wciąż to sobie powtarzać, aż choć jedno z nas w to uwierzy. Czy jeśli stąd wyjdę, wieśniacy będą próbowali mnie zabić? – Zdołała powiedzieć to z werwą i bez drżenia w głosie.

– Nie. – Morozko się uśmiechnął. – Ale może narodzić się legenda.

Wasia oblała się rumieńcem. Podał jej rękę.

Pod łaźnią istotnie zebrała się cała wieś. Kiedy drzwi zostały otwarte, cofnęli się. Przenosili spojrzenia to na Wasię, to na Morozkę, zaręczonych i potarganych.

Na czele tłumu stała Jelena, ramię w ramię z mężczyzną, który próbował ją ocalić. Wzdrygnęła się, kiedy Morozko odwrócił się w jej stronę. Odezwał się do niej, ale słyszała go cała wieś:

– Wybacz mi.

Wyglądała na wstrząśniętą. Po chwili odzyskała rezon i skłoniła się przed nim.

– To było twoje prawo, jednak... – Uważniej przyjrzała się jego twarzy. – Jesteś jakiś inny – wyszeptała.

Tak jak wcześniej Wasia widziała długie lata, które zniknęły z jego spojrzenia, tak teraz ta kobieta czuła ich ciężar, który powrócił.

– Nie – zaprzeczył Morozko. – Zostałem ocalony z niepamięci. – Zerknął na Wasię i podniósł głos, by wszyscy dobrze go usłyszeli: – Kochałem ją, lecz klątwa sprawiła, iż zapomniałem. Ona jednak przyszła tu po mnie, zdjęła zaklęcie i teraz muszę iść. Błogosławię wam wszystkim na tę zimę.

Rozległy się zdumione i radosne szepty. Jelena z uśmiechem zwróciła się do Wasi:

– Otrzymaliśmy podwójne błogosławieństwo, siostró. – Trzymała w rękach podarunek: wspaniałą długą pelerynę z wilczej skóry od wierzchu, podbitą króliczym futrem. Wręczyła podarek Wasi i ją uściskała. – Dziękuję – szepnęła. – Czy mogłabyś pobłogosławić moje pierworodne dziecko?

– Zdrowia i długiego życia dla twojego dziecka – powiedziała Wasia nieco zakłopotana. – Szczęścia w miłości i odważnej śmierci za długi, długi czas.

„Królowa Zimy”, szeptali ludzie. To ją przestraszyło, starała się jednak tego nie okazać.

Morozko stał obok niej złudnie spokojny, czuła jednak emocje krążące między nim a jego poddanymi, były niczym rwący nurt. Jego oczy miały zdumiewająco głęboki odcień błękitu. Może nawet teraz korciło go, żeby wrócić do izby biesiadnej, zasiąść na honorowym miejscu i karmić się już wiecznie ich lękiem i czcią.

Jeśli jednak miał wątpliwości, czy podjął dobrą decyzję, zachował je dla siebie.

Kiedy głowy wszystkich odwróciły się na odgłos końskich kopyt, Wasia poczuła ulgę. Na wielu twarzach pojawił się zachwyt. Palisadę przesadziły dwa konie, jeden biały, drugi złoty. Przebiły się przez tłum i podbiegły do nich kłusem. Morozko bez słowa oparł czoło o szyję białej klaczy, a ona odwróciła głowę i zaczęła skubać jego rękaw. Wasię na ten widok przeszył ostry ból.

– Ciebie też zapomniałem – szepnął do klaczy. – Wybacz.

Biała klacz położyła uszy i szturchnęła go głową.

– Nie wiem, dlaczego w ogóle na ciebie czekałyśmy. Było bardzo ciemno.

Požoga uderzyła kopytem o śnieg, wyraźnie się z nią zgadzając.

– Ty też czekałaś – zdziwiła się Wasia.

Klacz ugryzła ją w ramię i tupnęła.

– Więcej nie zamierzam.

– Cieszę się, że cię widzę, pani – powiedziała Wasia, rozcierając nowego siniaka.

– Ona jeszcze nigdy w życiu nie wiozła jeźdźca z własnej woli – stwierdził Morozko nie bez zdumienia.

– I nadal tak jest – zapewniła Wasia pośpiesznie. – Ale pomogła mi tu trafić. Jestem jej wdzięczna. – Pogłaskała Pożogę po kłębie, a ona wbrew sobie poddała się tej pieszczocie.

– Za długo to trwało – powtórzyła, żeby pokazać, że bynajmniej nie lubi, gdy ktoś jej się przypochebia, i znów tupnęła.

Nowa peleryna ciążyła Wasi na ramionach.

– Żegnajcie – zwróciła się do wieśniaków. Mieli oczy okrągłe ze zdumienia. – Myślą, że widzą cud – szepnęła do Morozki. – Ja nie mam takiego poczucia.

– A jednak. Samotna dziewczyna uratowała króla zimy od niepamięci i wykradła go z więzienia za pomocą czarodziejskich koni. To wystarczający cud jak na jedno zimowe przesilenie.

Wasia poczuła, że jej usta rozciągają się w uśmiechu, a on dosiadł białej klaczy.

Zanim zdążył zaproponować – lub nie – że może usiąść przed nim, oznajmiła stanowczo:

– Ja będę szła pieszo. Przecież dotarłam tu na własnych nogach. – Brnięcie w głębokim śniegu bez zimowych butów było koszmarem, ale tego nie powiedziała.

Wbił w nią spojrzenie jasnych oczu. Wasia wolałaby, żeby tego nie robił. Widziała, że jego wzrok przeniknął przez jej dumę – za nic nie chciała, żeby, jak kiedyś, przełożył ją przez łęk siodła – i dotarł do głębszych emocji. Wstrząs wywołany upadkiem i śmiercią Słowika wciąż był zbyt świeży w jej pamięci. Czuła, że triumfalny wyjazd ze wsi byłby teraz nie na miejscu.

– No dobrze – powiedział i zaskoczył ją, zsiadając z klaczy.

– Nie musisz! – zaprotestowała. Dwie klacze zasłaniały ich przed oczami gapiów. – Chyba nie chcesz wymaszerować z tej wioski jak jakiś pasterz? To poniżej twojej godności.

– Widziałem niezliczonych zmarłych – odrzekł chłodno. – Dotykałem ich i wyprawiałem w drogę. Nigdy jednak w żaden sposób nie uczciłem ich pamięci. Mogę teraz iść z tobą, ponieważ ty nie możesz jechać obok mnie na Słowiku. Albowiem był dzielny i oszedł.

Nie płakała po Słowiku. Nie tak, jak by należało. Śnił jej się i budziła się z krzykiem, wzywając go do ucieczki, odczuwała jego nieobecność w postaci tępego, zatruwającego bólu. Nie płakała jednak, nie licząc kilku tłumionych łez po tym, gdy omal nie ukatrupiła grzybowego duszka. Teraz poczuła, że piekące łzy napływają jej do oczu. Morozko delikatnie dotknął palcem pierwszej łzy. Zamarzła pod jego dotknięciem i spadła na ziemię.

W jakiś sposób ten wymarsz z wioski o północy, podczas gdy klacze szły obok nich, sprawił, że utrata Słowika dotarła do niej boleśniej niż podczas wszystkich wstrząsów ostatnich dni. Kiedy minęli palisadę i znów zanurzyli się w zimowym lesie, Wasia ukryła twarz w grzywie białej klaczy i wypłakała wszystkie tamowane dotąd łzy.

Klacz stała cierpliwie, dmuchając ciepłym oddechem na dłonie Wasi, a Morozko czekał w milczeniu i raz tylko położył na jej karku chłodne palce.

Kiedy wreszcie łzy się wyczerpały, potrząsnęła głową, wytarła nos i starała się zebrać myśli.

– Musimy wracać do Moskwy. – Głos miała ochrypły.

– Skoro tak twierdzisz... – Morozko nadal nie wyglądał na uszczęśliwionego tym pomysłem, ale już nie protestował.

– Jeśli mamy jechać aż do Moskwy – przemówiła niespodziewanie biała klacz – Wasia musi wsiąść na mój grzbiet. Mogę nieść was oboje. Tak będzie szybciej.

Wasia już otwierała usta, żeby odmówić, dostrzegła jednak minę Morozki.

– Ona nie przyjmie twojej odmowy – powiedział łagodnie. – Zresztą ma rację. Idąc, tylko stracisz siły. To ty musisz myśleć o Moskwie. Jeśli ja będę nas prowadził, dotrzemy na miejsce zimą.

Przynajmniej byli już poza zasięgiem wzroku wieśniaków. Wasia wskoczyła na grzbiet kłaczy, a Morozko usadowił się za nią. Biała kłacz była drobniejszej budowy niż Słowik, lecz poruszała się podobnie... Starając się nie myśleć o gniadoszu, Wasia opuściła wzrok na dłoń Morozki leżącą swobodnie na jego kolanie i przywołała w pamięci jego dłonie błędzące po jej skórze, szorstkie i zimne włosy, gdy położył głowę na jej piersi.

Na myśl o tym przeszedł ją dreszcz, odpędziła więc i to wspomnienie. To było kilka ukradzionych Północy godzin, teraz muszą skoncentrować się na przechytrzeniu sprytnego i zawziętego wroga.

Tylko... Nie chcąc o tym myśleć, zmusiła się, by zadać pytania, na które odpowiedzi się bała.

– Żeby spętać Niedźwiedzia... czy muszę poświęcić się jak mój ojciec?

Morozko nie zaprzeczył od razu. Wasi zrobiło się słabo. Kłacz lekkim krokiem ruszyła przez śnieg, z nieba sypało się go coraz więcej. Wasia zastanawiała się, czy Morozko nie sprowadził go w udręce, być może to było bezwiedne jak bicie serca.

– Obiecałeś, że nie będziesz mnie już okłamywał – przypomniała mu Wasia.

– Nie będę – potwierdził Morozko. – To nie takie proste jak wymiana twojego życia na jego spętanie, te dwie rzeczy nie są wymienne. Twoje życie nie jest związane z wolnością Niedźwiedzia, nie jesteś tylko... kartą przetargową w naszej wojnie. – Czekala. – Dałem mu jednak władzę nade mną, kiedy wyrzekłem się wolności. Odtąd mój brat i ja nie będziemy już równi sobie w walce. – Te słowa zabrzmiały zgrzytliwie. – Lato to jego pora. Nie wiem, jak go związać, inaczej niż z własnej woli oddając życie albo używając podstęp...

Nieoczekiwanie przemówiła Pożoga, która zbliżyła się do nich na tyle, by słyszeć ich rozmowę:

– A co z tym złotym ohydztwem?

Wasia zamrugła.

– Z jakim złotym ohydztwem?

Klacz machnęła głową w górę i w dół.

– Z tym złotym ohydztwem, które zrobił czarownik! Gdy je nosiłam, nie mogłam fruwać. Musiałam robić, co mi kazał. To mocna rzecz.

Wasia i Morozko wymienili spojrzenia.

– Złota uzda Kościeja – powiedziała Wasia powoli. – Jeśli poskromiła Pożogę, czy mogłaby poskromić twojego brata?

– Może... – Król zimy zamyślił się, ściągnawszy brwi.

– Była w Moskwie – podekscytowana Wasia mówiła coraz szybciej. – W stajni, w stajni Dymitra Iwanowicza. Ściągnęłam ją Pożodze z głowy i rzuciłam na ziemię tamtej nocy, gdy wybuchł pożar. Czy wciąż jest w pałacu? Może stopiła się w ogniu?

– Nie stopiłaby się – odrzekł Morozko. – Mamy więc szansę. – Nie widziała jego twarzy, lecz dłoń na jego kolanie z wolna zacisnęła się w pięść.

Wasia, niewiele myśląc, wychyliła się i z wdzięcznością poklepała Pożogę po szyi.

– Dziękuję – powiedziała. Klacz zniosła to przez chwilę, po czym się odsunęła.



Część czwarta





19.

Sprzymierzeńcy

Lato nadeszło nienaturalnie nagle, spadło na Moskwę niby najeźdźcza armia. W lesie wybuchały pożary, miasto spowijał całun dymu i nikt nie widział słońca. Ludzie wariowali z gorąca, topili się w rzekach, szukając ochłody, albo po prostu padali tak, jak stali, z czerwonymi twarzami, złani lepkiem potem.

Wraz z upałem pojawiły się szczury, wpełzały ze statków handlowych, gdy ludzie wyładowywali srebro, tkaniny i kute żelazo na duszne targowiska. Szczurom sprzyjała duchota i przyciągał je smród moskiewskich śmietników.

Pierwsi zaczęli chorować mieszkańcy podgrodzia żyjący w zatęchłych i zatłoczonych chatach nad rzeką. Kasłali, pocili się, dygotali. Potem pojawiały się obrzęki na szyi i w pachwinach, a na końcu czarne plamy.

Dżuma. To słowo przekazywano sobie z ust do ust. Moskwa zaznała już kiedyś dżumy. Pewnego strasznego lata umarł na nią wuj Dymitra, Siemion, wraz z żoną i synami.

– Zamknijcie domy chorych – polecił Dymitr dowódcy straży. – Nikomu nie wolno wychodzić, nawet do cerkwi. Jeśli znajdzie się pop, który udzieli im błogosławieństwa, może wejść do domów, ale to wszystko. Przekażcie wartownikom przy bramie miasta, żeby nie wpuszczali nikogo, kto wygląda na chorego. – Ludzie, szepcząc, wciąż wspominali śmierć wuja Dymitra:

umierał spuchnięty jak kleszcz, cały w czarnych plamach, nawet jego słudzy bali się do niego zbliżyć.

Strażnik kiwnął głową, ale minę miał ponurą.

– O co chodzi? – spytał Dymitr. Noc tatarskiego ataku zdziesiątkowała straż miejską. Po zamieszkach i spaleniu Wasi powołał nowych strażników, liczniejszych niż kiedykolwiek, wciąż byli jednak niedoświadczeni.

– Ta choroba to boża klątwa, *gosudar* – powiedział dowódca. – Ludzie powinni chyba móc się modlić? Gdy będą wszyscy naraz zanosić modlitwy, może dotrą one do uszu Wszechmogącego.

– Ta klątwa przenosi się z człowieka na człowieka – odparł Dymitr. – Na co Moskwie mury obronne, jeśli nie dla ochrony przed złem?

– Wybacz, *gosudar*, ale... – odezwał się jeden z bojarów towarzyszących księciu. Dymitr odwrócił się doń z gniewną miną.

– Nie mogę już wydać rozkazów bez dyskusowania z połową miasta? – Zazwyczaj szedł na rękę swoim bojarom. W większości byli starsi od niego i to oni zapewnili mu możliwość dziedziczenia tronu, gdy osiągnął stosowny wiek. Straszliwy upał nadwątlił jednak jego siły i wywoływał w nim chorobliwy, znużony gniew. Nie miał wieści od żadnego z kuzynów. Książę sierpuchowski zabrał całe srebro, jakie Wielkie Księstwo Moskiewskie zdołało zgromadzić, i pojechał na południe, by rozmówić się z tiemnikiem Mamajem. Sasza miał sprowadzić do Moskwy ojca Sergiusza. Wciąż jednak nie wracał, a z południa dochodziły słuchy, że Mamaj ciągle umacnia swoje oddziały, jakby nie wysłuchał przesłania Włodzimierza.

– Ludzie się boją – przemówił bojar ostrożnie. – Od początku lata już trzykrotnie zmarli wstawali z grobów, a teraz to. Jeśli zamkniesz bramy Moskwy i zakażesz chorym chodzić do cerkwi, to nie wiem, co oni zrobią. Już i tak krążą pogłoski, że miasto jest przeklęte.

Dymitr znał się na wojaczce i rządzeniu podwładnymi, lecz z klątwami nie miał dotąd do czynienia.

– Wezmę pod rozwagę pokrzepienie mieszkańców Moskwy – obiecał. – Miasto nie jest przeklęte. – W głębi duszy wcale nie był tego taki pewny.

Pragnął zasięgnąć rady ojca Sergiusza, jednak starego mnicha wciąż nie było, więc Wielki Książę niechętnie zwrócił się do swego zarządcy:

– Poślij po ojca Konstantego.

– Jasnowłosy książę nie jest głupi – stwierdził Niedźwiedź. – Jest jednak młody. Przysłał po ciebie. Kiedy do niego pójdziesz, musisz go przekonać, żeby pozwolił ci odprawić nabożeństwo w soborze. Zwołaj wszystkich ludzi i módl się o deszcz, o zbawienie czy o co tam ludzie proszą swoich bogów w tych czasach. Byleś zebrał ich wszystkich razem.

Konstanty był sam w skryptorium monasteru Michała Archanioła, odziany w najlżejszą z sutann. Pot rosił mu czoło i górną wargę.

– Maluję – powiedział. Odwrócił do światła pojemniczek z jedną z farb. Wszystkie stały przed nim niczym sznur klejnotów, niektóre farby były zresztą robione z kamieni szlachetnych. W Leśnej Ziemi uzyskiwał barwniki z kory, leśnych owoców i liści. Teraz złęknieni bojarzy zasypywali go lazurytami i jaspisami do sporządzania błękitów i czerwieni. Płacili najlepszym moskiewskim złotnikom, by robili ramy do jego ikon z młotkowanego srebra wysadzanego perłami.

Kiedy żywe trupy po raz trzeci wyszły na ulice miasta, ich wypędzanie trwało całą noc: najpierw pierwszego, potem drugiego i wreszcie trzeciego.

– To nie może wydawać się zbyt łatwe – wyjaśnił mu potem Niedźwiedź, kiedy Konstanty obudził się z krzykiem, bo śniły mu się twarze umarłych. – Myślisz, że pokonanie jednego dziecięcego upiora wystarczyłoby, żeby pozyskać wszystkich Moskwan, wieśniaków i bojarów? Pij wino, człeku boży, i nie obawiaj się ciemności. Czyż nie spełniłem wszystkich danych ci obietnic?

– Co do jednej – przyznał Konstanty żałośnie, dygocząc i zalewając się zimnym potem. Miał zostać biskupem. Przyznano mu majątek stosowny do jego godności. Mieszkańcy Moskwy wielbili go z trwożną gorliwością. To

jednak nie pomagało mu w nocy, kiedy śnił o wyciągających się ku niemu rękach trupów.

Teraz w skryptorium Konstanty odwrócił się od deski, na której malował, i stwierdził, że diabeł stoi tuż za nim. Wstrzymał oddech. Nie mógł się przyzwyczaić do jego obecności. Niedźwiedź znał jego myśli, budził go z sennych koszmarów, szeptał mu do ucha rady. Konstanty nie mógł się od niego uwolnić.

Może wcale tego nie chcę, myślał w chwilach większej jasności umysłu. Zawsze, ilekroć napotkał spojrzenie jedyne go oka czarta, ten uważnie mu się przyglądał.

Niedźwiedź go widział.

Konstanty tak długo czekał, aż usłyszy głos Boga, On jednak milczał.

Diabeł za to mówił bez przerwy.

Nic jednak nie mogło uspokoić koszmarów Konstantego. Próbował pić miód, żeby mieć mocniejszy sen, jednak potem tylko bolała go głowa. Wreszcie, w desperacji, Konstanty poprosił mnichów o pędzle, deski, olej, wodę i barwniki, po czym przystąpił do pisania ikon. Kiedy malował, miał poczucie, że jego dusza sprowadza się do oka i ręki, a umysł się wycisza.

– Widzę, że malujesz – powiedział Niedźwiedź ostro. – W monastyrze, zupełnie sam. Dlaczego? Sądziłem, że pragniesz ziemskiej chwały, człeku boży.

Konstanty zamaszystym gestem wskazał obraz na desce.

– Mam już ziemską chwałę. A to? Czyż nie jest chwalebne? – Jego ton był ironiczny i pełen goryczy: ikona namalowana przez człowieka bez wiary.

Niedźwiedź spojrzał Konstantemu przez ramię.

– Dziwny ten obraz – stwierdził i obwiodł wizerunek grubym palcem.

Przedstawiał Świętego Piotra. Był ciemnowłosy, wzrok miał błędny, z jego rąk i nóg tryskała krew, oczy wznosił do nieba, gdzie czekały anioły. Jednak anioły te miały spojrzenia równie stanowcze i wrogie jak miecze,

które dzierżyły w dłoniach. Zastępy niebieskie witające apostoła w niebie bardziej przypominały wojsko strzegące bramy. Piotr nie miał pogodnej aury świętego. Jego oczy widziały, dłonie gestykulowały energicznie. Był tak żywy, jak talent Konstantego, a stworzył go nieposkromiony, straszliwy głód, którego pop nie potrafił wykorzenić ze swej duszy.

– Bardzo piękny – uznał Niedźwiedź. Wciąż wodził palcem po malowidle, choć go nie dotykał. Wydawał się niemal zmieszany. – W jaki sposób sprawiasz, że jest tak... żywy? Nie potrafisz czynić magii.

– Nie wiem – odpowiedział Konstanty. – Moje ręce poruszają się same. Co ty wiesz o pięknie, potworze?

– Więcej od ciebie – warknął Niedźwiedź. – Dłużej żyłem i więcej widziałem. Potrafię sprawić, że umarli ożyją, ale to tylko naśladowanie życia. Twoje dzieło... to zupełnie co innego.

Czyżby w szyderym oku potwora pojawiło się zdumienie? Konstanty nie był pewny.

Niedźwiedź obrócił ikonę do ściany.

– Mimo wszystko musisz iść i odprawić nabożeństwo w soborze. Zapomniałeś o naszej umowie?

Konstanty cisnął pędzel.

– A jeśli tego nie zrobię? Przeklniesz mnie? Wykradniesz mi duszę? Poddasz torturom?

– Nie. – Niedźwiedź musnął dłonią jego policzek. – Zniknę, odejdę, wrócę w piekielną otchłań i zostawię cię samego.

Konstanty stał bez ruchu. Samego? Samego z jego myślami? Czasami ten diabeł wydawał się Konstantemu jedynym realnym punktem w całym gorącym, koszmarnym świecie.

„Nie zostawiaj mnie”, chciał poprosić Konstanty, lecz z jego ust wydobył się tylko zgrzytliwy szept.

Grube palce gładziły go po twarzy zaskakująco delikatnie. Szeroko otwarte intensywnie błękitne oczy uniosły się ku pojedynczemu szaremu

oku w twarzy pokrytej bliznami. Niedźwiedź wyszeptał odpowiedź do ucha Konstantego:

– Byłem sam przez sto ludzkich żywotów, zniewolony na polanie pod niezmiennym niebem. Ty potrafisz rękami stwarzać życie, jakiego nigdy nie widziałem. Dlaczego miałbym cię opuścić? – Konstanty nie wiedział, czy powinien czuć ulgę, czy przerażenie. – Ale teraz sobór – mruknął Niedźwiedź.

Dymitr się nie zgadzał.

– Nabożeństwo dla całej Moskwy? Ojczy, bądźże rozsądny. Ludzie pomdleją z gorąca i może zostaną zdeptani. I bez tego są już udręczeni, nie trzeba zbierać ich wszystkich razem, żeby się pocili, modlili i całowali ikony, choć to może miłe Bogu. – Ostatnie słowa dodał po namyśle.

Niedźwiedź, przysłuchujący się ukradkiem rozmowie, stwierdził z satysfakcją:

– Uwielbiam rozsądnych ludzi. Zawsze próbują ogarnąć rozumem niemożliwe, jednak im się to nie udaje. A potem robią głupstwa. Musisz go oszołomić swoim darem wymowy.

Konstanty nie dał po sobie poznać, że go słyszy, zacisnął tylko usta.

– Taka jest wola Boża, Dymitrze Iwanowiczu – powiedział z naganą w głosie. – Jeśli istnieje jakakolwiek możliwość, by zdjąć klątwę z Moskwy, musimy ją wykorzystać. Umarli zarażają Moskwę strachem, a co będzie, jeśli zostaną wezwani za późno? Co będzie, gdy pojawi się coś gorszego niż upiory i moje modły tego nie powstrzymają? Nie, sędzę, że lepiej, by modliło się całe miasto, co być może położy kres tej klątwie.

Dymitr wciąż marszczył czoło, a jednak się zgodził.

Konstantemu świat wydał się mniej realny, kiedy przywdział nowe białoszkarłatne szaty z wysokim, usztywnionym na karku kołnierzem. Pot spływał mu wzdłuż kręgosłupa, kiedy oparł rękę o drzwi prezbiterium.

– Też chcę tam wejść – oznajmił Niedźwiedź.

– To wejdź – mruknął Konstanty, myśląc o czymś innym.

Diabeł cmoknął niecierpliwie i złapał go za rękę.

– Musisz mnie wprowadzić.

Konstanty zwinął dłoń w pięść, chcąc mu się wyrwać.

– Nie możesz wejść sam?

– Jestem czartem – przypomniał mu Niedźwiedź. – Ale też twoim sprzymierzeńcem, człeku boży.

Konstanty wciągnął Niedźwiedzia do prezbiterium i rzucił ikonom mściwe spojrzenie. Widzisz, co robię, skoro Ty nie chcesz do mnie przemówić. Niedźwiedź rozejrzał się z ciekawością. Patrzył na złoczone, wysadzone klejnotami ramy ikon, na szkarłat i błękit sklepienia.

Na ludzi.

Sobór był bowiem pełen wiernych, rozkołysany, rozpychający się tłum cuchnął kwaśnym potem. Stłoczeni przed ikonostasem płakali i modlili się, obserwowani przez świętych, a także przez milczącego jednookiego czarta.

Niedźwiedź wyszedł bowiem do wiernych wraz z duchownym, gdy drzwi ikonostasu zostały otwarte. Patrząc na tłum, orzekł:

– To bardzo dobrze wróży. Dalej, człeku boży. Pokaż, na co cię stać.

Rozpoczynając nabożeństwo, Konstanty sam nie wiedział, do kogo przemawia i dla kogo śpiewa: dla rozmodlonego tłumu czy czujnego demona. Włożył w to jednak całą udrękę swej znękaney duszy, aż wszyscy zalali się łzami.

Po nabożeństwie wrócił do klasztornej celi, którą zachował, mimo iż miał teraz własny dom, i bez słowa położył się w prze poczonej pościeli. Zamknął oczy, a Niedźwiedź się nie odzywał, choć Konstanty czuł jego oszałamiającą piekielną obecność.

Wreszcie wybuchnął, nie otwierając oczu:

- Dlaczego milczysz?! Zrobiłem, o co prosiłeś!
- Malujesz rzeczy, których nie mówisz na głos – odburknął Niedźwiedź.
- Wstyd i żal, i całą tę nudną resztę. To wszystko widać na twarzy twojego Świętego Piotra, a dziś wyśpiewałeś to, czego inaczej nie potrafisz wyrazić. Czułem to. A jeśli ktoś się zorientuje? Czyżbyś chciał złamać dane mi słowo?

Konstanty pokręcił głową, nie otwierając oczu.

- Oni słyszą to, co chcą słyszeć, i widzą to, co chcą widzieć – odrzekł. – Przyjmują moje uczucia, nie rozumiejąc ich, i biorą je za swoje.
- W takim razie ludzie to głupcy. – Niedźwiedź nie drażył dłużej tego tematu. – Tak czy owak, nabożeństwo w soborze powinno przynieść żniwo.
- Wydawał się zadowolony.

– Jakie żniwo? – wymamrotał Konstanty. Słońce już zaszło. Zielonkawy zmierzch zapewnił nieco wytchnienia od straszego upału. Pop leżał nieruchomo, oddychając ciężko i bezskutecznie szukając orzeźwienia.

– Śmiertelne – wyjaśnił Niedźwiedź bez ogródek. – Wszyscy całowali tę samą ikonę. Przydadzą mi się nowi umarli. Jutro pójdziesz do Wielkiego Księcia, umocnić swoją pozycję. Ten mnich od czarownicy, brat Aleksander, niedługo wróci. Musisz zadbać, by jego miejsce u boku władcy na niego nie czekało.

Konstanty podniósł głowę.

- Ten mnich i Wielki Książę przyjaźnią się od dzieciństwa – zauważył.
- Tak – zgodził się Niedźwiedź. – Lecz ten mnich uznał za słuszne okłamać Dymitra, i to więcej niż raz. Bez względu na to, ile przysięg złożył od tamtej pory, trudno będzie mu odzyskać zaufanie księcia, zapewniam cię. Czy łatwiej było podburzyć tłum do zabicia dziewczyny?
- Zasłużyła sobie na to – mruknął Konstanty, zasłaniając oczy przedramieniem. W czerni pod powiekami zobaczył intensywnie zielone spojrzenie w posiniaczonej twarzy i otworzył oczy.

– Zapomnij o niej – poradził Niedźwiedź. – Zapomnij o czarownicy. Bo jeśli nie zapomnisz, pożądanie, duma i żal doprowadzą cię do obłądu.

To było aż nazbyt trafne. Konstanty usiadł gwałtownie.

– Nie możesz czytać w moich myślach!

– Nie – odrzekł Niedźwiedź. – Mogę natomiast czytać z twojej twarzy, a to na jedno wychodzi.

Konstanty znów opadł na szorstkie koce.

– Sądziłem, że to mnie zaspokoi – wyznał cicho.

– Zaspokojenie nie leży w twojej naturze – odparł Niedźwiedź.

– Księżnej sierpuchowskiej nie było dziś w soborze – podjął Konstanty.
– Ani nikogo z jej pałacu.

– Pewnie z powodu dziewczynki – odrzekł Niedźwiedź.

– Maszy? Co z nią?

– Została ostrzeżona – wyjaśnił Niedźwiedź. – Czarty ją ostrzegły. Myślałeś, że wytępiłeś wszystkie moskiewskie czarownice, skoro spaliłeś jedną? Ale nic się nie bój. Przed pierwszym śniegiem w Moskwie nie będzie już czarownic.

– Nie? – szepnął Konstanty. – Jak?

– Ponieważ sprowadziłeś dziś do soboru wszystkich Moskwian. – W głosie Niedźwiedzia słysząc było zadowolenie. – Potrzebowałem armii.

– Nie mogą tam iść! – wykrzyknęła Masza do mamy. – Nikomu nie wolno!

Córka i matka ubrane były w najcieńsze sukienki, pot rosił im twarze, ich identyczne ciemne oczy były szkliste ze zmęczenia. Tamtego lata wszystkie kobiety w teremie żyły w półmroku. Nie palono w piecach, nie zapalano lamp ani świec. I bez tego upał był nie do zniesienia. W nocy otwierano okna, w dzień natomiast zamykano je szczelnie, żeby zachować

wewnątrz jaki taki chłód. Kobiety żyły zatem w szarym mroku, co odbijało się na nich wszystkich. Masza pod oblepiającym jej ciało potem była blada, chuda i słaba.

– Jeśli ludzie chcą się pomodlić w soborze, nie bardzo mogę im zabronić – tłumaczyła Olga łagodnie.

– Musisz! – upierała się Masza. – Musisz! Tak powiedział człowieczek z pieca. Mówił, że ludzie od tego zachorują.

Olga przyjrzała się córce, marszcząc czoło. Od nastania upałów Masza nie była sobą. W innych okolicznościach Olga zabrałaby rodzinę z miasta do topornie zbudowanego Sierpuchowa, gdzie mogliby zaznać nieco spokoju i gdzie powietrze byłoby chłodniejsze. W tym roku jednak donoszono o pożarach na południu. Gdy tylko ktoś wyściubił nos za drzwi, widział piekielne białe opary i wdychał dym. A teraz jeszcze na podgrodziu, tuż za murami kremla, szalała dzuma, i to przesądziło sprawę. Olga postanowiła zostać z rodziną w pałacu. Ale...

– Proszę – błagała Masza. – Wszyscy muszą zostać tutaj. Za zamkniętą bramą.

Olga wciąż marszczyła czoło.

– Nie mogę trzymać bramy zamkniętej na wieki.

– Nie będziesz musiała – odrzekła Masza, a Olga z niepokojem zauważyła przenikliwość spojrzenia córki. Masza dorastała zbyt szybko. Pożar Moskwy i jego następstwa zmieniły dziewczynkę. Widziała rzeczy, których jej matka nie dostrzegała. – Tylko do powrotu Wasi.

– Maszo... – zaczęła Olga.

– Ona wróci. – Masza nie wykrzyczała tego wyzywająco, nie płakała ani nie błagała matki o zrozumienie. Po prostu to stwierdziła. – Ja to wiem.

– Nie ośmieliłaby się – powiedziała Warwara, wchodząc do komnaty z wilgotnymi szmatkami i dzbanem miodu, który trzymany był w słomie w chłodnej piwnicy. – Zakładając nawet, że wciąż żyje, Wasia wie, jakie to

byłoby niebezpieczne dla nas wszystkich. – Podała szmatkę Oldze, a ta zwilżyła sobie skronie.

– Czy to ją kiedykolwiek powstrzymało? – spytała Olga, biorąc od Warwary kubek. Kobiety wymieniły zatroskane spojrzenia. – Udaremnię służbie pójdzie do soboru, chociaż nie będą mi za to dziękować. Maszo, a jeśli... usłyszysz... że Wasia wróciła, powiesz mi o tym?

– Oczywiście – odparła Masza natychmiast. – Musimy mieć dla niej gotową kolację.

– Nie sędzę, by wróciła – powiedziała Warwara do Olgi. – Odeszła zbyt daleko.



20.

Złota uзда

Wasia miała głowę pełną zimowych pónocy i aż się trzęsa z braku światła. Nie była pewna, czy kiedykolwiek się stamtąd wydostaną. Jechali bez przerwy przez granie i doliny glazurowane lodem i wypełnione ciemnością, jakby nigdy nie widziały dnia. Obecność Morozki za plecami nie przynosiła Wasi pociechy, był częścią tej długiej samotnej nocy, a mróz nie robił na nim wrażenia.

Próbowwała myśleć o Saszy, o Moskwie, o dziennym świetle i o życiu, które czeka na nią po drugiej stronie ciemności. Jednak to, w co wierzyła, zostało jej brutalnie odebrane i z trudem zachowywała skupienie, gdy tak jechali przez lodowatą noc.

– Nie zasypiaj – szepnął jej do ucha Morozko. Głowa Wasi opadała na jego ramię, teraz podniosła ją w panice, a biała klacz z wyrzutem zastrzygła uchem. – Jeśli to ja będę nas prowadził, trafimy na moje ziemie w środku zimy – dodał demon mrozu. – Jeśli więc chcesz dotrzeć do Moskwy latem, nie wolno ci zasypiać. – Mijali właśnie polankę pełną przebiśniegów. W górze mieli gwiazdy, a w dole delikatną kwiatową słodycz.

Wasia wyprostowała plecy i próbowała skierować myśli na właściwe tory. Ciemność zdawała się z niej drwić. Jak można oddzielić króla zimy od zimy? Nedorzeczny pomysł. Kręciło jej się w głowie.

– Wasiu – podjął łagodniej. – Jedź ze mną do mego królestwa. Wkrótce do Moskwy też przyjdzie zima. W przeciwnym razie...

– Jeszcze nie zasnęłam – rzuciła z nagłą zapalczywością. – Uwolniłeś Niedźwiedzia, więc musisz teraz pomóc mi go poskromić.

– Z przyjemnością. Zimą. To tylko tchnienie czasu, Wasiu. Czym są dwie pory roku?

– Dla ciebie zapewne krótką chwilą, ale dla mnie i moich bliskich to o wiele więcej.

Nie spierał się już.

Myślała o tym zapomnieniu, tym dziwnym przesunięciu rzeczywistości, w którym można było wykrzesać ogień z niczego albo sprawić, że oczy całej Moskwy jej nie widziały. Niemożliwe, żeby król zimy chodził po świecie latem. Niemożliwe, niemożliwe...

Zacisnęła pięści. Nie, pomyślała. Wcale nie.

– Jeszcze trochę dalej – powiedziała, a biała kłacz bez słowa pogalopowała przed siebie.

I wreszcie, kiedy skupienie Wasi migotało jak płomień na wietrze, ona sama była coraz bardziej wyczerpana i tylko ręka Morozki obejmująca dziewczynę w pasie utrzymywała ją w pionie, mróz stał się trochę mniej siarczasty. Po jakimś czasie pod śniegiem pojawiło się błoto. A potem znaleźli się w świecie szemrzącego listowia. Kopyta białej kłaczy odciskały na spadłych liściach szronową pieczęć, a Wasia trzymała się jej grzywy resztkami sił.

Aż wreszcie ona, Morozko i dwie kłacze przeszli z jednej nocy do drugiej i ujrzała ognisko w zakolu rzeki.

W tym samym momencie letni upał spadł na nią niczym ciężka dłoń, a ostatnie ślady zimy zostały daleko za nimi.

Dotyk Morozki zelżał. Wasia stwierdziła z przerażeniem, że jego dłoń robi się coraz bledsza i bledsza, tak jak pod wpływem ciepłej wody znika szron.

Odwróciła się i chwyciła go za rękę.

– Popatrz na mnie – rozkazała. – Spójrz na mnie.

Uniósł ku niej całkowicie wyzute z koloru oczy, osadzone w równie bezbarwnej twarzy, pozbawione głębi, tak jak światło, które staje się płaskie w śnieżycy.

– Obiecałeś, że mnie nie opuścisz – przypomniała Wasia. – „Nie jesteś już sama”, mówiłeś. Tak łatwo łamiesz swoje obietnice, królu zimy? – Miażdżyła jego dłonie w uścisku.

Wyprostował się. Wciąż tam był, choć bardzo słaby.

– Jestem tu, jestem – powiedział, a chłód jego oddechu poruszył liście letniego lasu. W głosie Morozki pojawiła się lekko drwiąca nuta. – Mniej więcej. – Dygotał jednak.

– Znów jesteś w swojej północy – poinformowała Wasię Pożoga, obojętna na cuda niemożności. – Odchodzę. Spłaciłam dług.

Wasia puściła ostrożnie dłonie Morozki. Nie zniknął, więc zsunęła się z grzbietu białej klaczy.

– Dziękuję – zwróciła się do tej złotej. – Bardziej, niż potrafię wyrazić.

Požoga zastrzygła uchem, odwróciła się i pokłusowała bez słowa w dal.

Wasia patrzyła za nią z pewnym smutkiem, starając się nie myśleć o Słowiku. W ciemności jaskrawo migotało ognisko nad rzeką.

– Północne podróże mają swoje dobre strony – mruknęła Wasia. – Wymagają jednak zbyt częstego podkradania się w ciemności. Jak myślisz, kto to może być?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Morozko. – Stąd nie widzę. – Mówił rzeczowo, lecz wydawał się wstrząśnięty. Zimą jego zmysły sięgały daleko.

Podkradli się bliżej i zatrzymali poza kręgiem światła. Po drugiej stronie ogniska stała niespętana szara klacz. Podniosła niespokojnie łeb i nasłuchiwała.

Wasia ją rozpoznała.

– Mgła – szepnęła, a potem dostrzegła obok klaczy trzech mężczyzn, dwa inne wierzchowce i jucznego konia. Jeden z mężczyzn, owinięty peleryną, wyglądał jak ciemny toból. Dwaj siedzieli wyprostowani przy

ogniu i rozmawiali mimo późnej pory. Jednym z nich był brat Wasi. Miał spaloną słońcem twarz, wychudłą po wielodniowej podróży. W jego włosach pojawiły się srebrne nitki. Drugim był najświętszy mąż w całej Rusi, Sergiusz z Radoneża.

Sasza podniósł głowę, dostrzegłszy niepokój koni.

– Coś jest w lesie – stwierdził.

Wasia nie wiedziała, jak mnich – nawet jej brat – zareaguje na nią taką, jaka teraz była: przeniknięta magią i ciemnością, zaręczona z demonem mrozu. Zdobyła się jednak na odwagę i podeszła do ognia. Sasza odwrócił się gwałtownie, a Sergiusz poderwał na nogi, żwawy mimo podeszłego wieku. Trzeci mężczyzna usiadł i mrugał oszołomiony. Wasia rozpoznała go: Rodion Oslabia, brat z Ławry Troickiej.

Trzej mnisi, brudni po wielu dniach wędrówki, obozujący na polanie w letnią noc. Bolesnie zwyczajni sprawili, że zimowe północe, które miała za sobą, wydawały się snem.

To jednak nie był sen. Udało jej się zbliżyć do siebie oba światy.

Nie miała pojęcia, co z tego wyniknie.

Pierwszym, co zobaczył brat Aleksander, była szczupła postać o posiniaczonej twarzy. Zaklął w duchu, schował miecz do pochwy, odmówił krótką modlitwę dziękczynną i podbiegł do siostry.

Była taka chuda! Rysy jej twarzy były wyostrome, blask ognia wydobywał kształt jej czaszki. Mimo to z mocą odwzajemniła jego uścisk, a kiedy na nią spojrział, zobaczył, że ma mokre rzęsy.

Możliwe, że i on płakał.

– Masza mówiła, że żyjesz. Ja... Wasiu... przepraszam. Wybacz mi. Chciałem cię szukać. Ale... Warwara powiedziała, że znajdujesz się poza naszym zasięgiem, że ty...

– Nie ma czego wybaczać – przerwała ten potok słów.

– Ogień...

Rysy jej twarzy stężały.

– To już minęło. I pożar, i stos.

– Gdzie byłaś? Co się stało z twoją twarzą?

Dotknęła blizny na policzku.

– To pamiątka po tamtym wieczorze, kiedy w Moskwie dopadł mnie tłum.

Sasza przygryzł wargę. Nagle ojciec Sergiusz przerwał im ostrym tonem:

– W lesie jest biała klacz. I... jakiś cień.

Sasza odwrócił się gwałtownie, znów chwycił rękojeść miecza. W ciemności, na samym skraju kręgu światła stała klacz biała niczym księżyc w zimową noc.

– Twoja? – zapytał Sasza siostrę, po czym przyjrzał się uważniej. Cień obok klaczy też im się przypatrywał.

Znowu położył dłoń na rękojeści miecza.

– Nie, Saszo – uspokoiła go siostra. – Nie będzie ci potrzebny.

Sasza dostrzegł, że ten cień to mężczyzna. Mężczyzna, którego oczy były dwoma świetlistymi punktami, bezbarwnymi jak woda. To nie był człowiek, lecz potwór.

Sasza wyciągnął miecz.

– Ktoś ty?

Morozko nie odpowiedział, Wasia czuła jednak jego gniew. On i mnisi byli naturalnymi wrogami.

Podchwyciła spojrzenie brata i z przykrością zauważyła, że wściekłość Saszy nie jest jedynie bezosobową pogardą mnicha dla czarta.

– Wasiu, czy ty znasz tego... stwora?

Wasia już otwierała usta, lecz Morozko wszedł w krąg światła i przemówił pierwszy:

– Naznaczyłem ją już w dzieciństwie. Zabrałem ją do mojego domu, związałem ją ze sobą za pomocą pradawnej magii i wyprawiłem do Moskwy.

Wasia piorunowała Morozkę wzrokiem. Niechęć jej brata najwyraźniej nie była jednostronna. Że też demon mrozu zaczął właśnie od tego...

– Wasiu, cokolwiek ci zrobił...

– To bez znaczenia – przerwała bratu Wasia. – Przemierzyłam całą Ruś w chłopięcym przebraniu. Samotnie zanurzyłam się w ciemność i wyszłam stamtąd żywa. Za późno na twoje skrupuły. Teraz...

– Jestem twoim bratem, więc mnie to dotyczy! – wybuchnął Sasza. – Tak jak dotyczy każdego mężczyzny w naszej rodzinie! Ten...

– Zostawiłeś nas, kiedy byłam mała! – przerwała mu. – Oddałeś się najpierw religii, a potem Wielkiemu Księciu. Nie możesz osądzać mojego życia i mojego losu!

– Jesteśmy ludźmi Boga – wtrącił się Rodion, był poruszony. – A to jest diabeł. Chyba nie trzeba dodawać nic więcej!

– Sądzę – odezwał się Sergiusz – że jednak należałoby powiedzieć nieco więcej. – Nie mówił głośno, lecz wszyscy odwrócili się w jego stronę.

– Córkę – podjął Sergiusz spokojnie – wysłuchamy twojej historii od samego początku.

Usiedli przy ognisku. Rodion i Sasza nie schowali mieczy. Morozko nie usiadł, chodził niespokojnie tam i z powrotem, jakby nie wiedział, do czego czuje większą odrazę: do mnichów czy do upalnej letniej ciemności.

Wasia opowiedziała im wszystko, a przynajmniej wszystko to, co mogła. Pod koniec aż ochrypla. Morozko się nie odzywał. Wasia miała wrażenie, że całą energię koncentruje na tym, żeby nie zniknąć. Mógłby mu pomóc jej

dotyk lub jej krew, lecz Sasza przez cały czas patrzył spode łba na demona mrozu, więc uznała, że lepiej go nie prowokować. Siedziała, obejmując rękami kolana.

Kiedy umilkła, Sergiusz stwierdził:

- Nie powiedziałaś nam wszystkiego.
- Nie – przyznała Wasia. – Na pewne sprawy nie ma słów. Ale powiedziałam prawdę.

Sergiusz milczał. Dłoń Saszy wciąż muskała rękojeść miecza. Ogień dogasał. Morozko paradoksalnie w nikłej czerwonej poświacie wydawał się bardziej realny niż w pełnym blasku ognia. Sasza i Rodion patrzyli na niego z nieskrywaną wrogością. Wasi wydało się nagle, że jej nadzieje były głupie: niemożliwe, aby te dwie moce służyły wspólnej sprawie. Starając się mówić z pełnym przekonaniem, oznajmiła:

- W Moskwie panoszy się zło. Musimy razem stawić mu czoła albo będziemy zgubieni.

Mnisi milczeli.

Wreszcie Sergiusz powiedział powoli:

- Jeśli w Moskwie grasuje zły duch, to co można zrobić, córko?
- Wasia poczuła nikłą nadzieję. Rodion chciał protestować, lecz Sergiusz uniósł rękę, by go uciszyć.
- Niedźwiedzia nie można zgładzić – wyjaśniła Wasia. – Można go jednak ujarzmić. – Powiedziała im wszystko, co wiedziała o złotej uździe.
 - Znaleźliśmy ją – wtrącił nieoczekiwanie Sasza. – W ruinach spalonej stajni tamtej nocy... tamtej nocy, kiedy...
 - Tak! – podchwyciła Wasia. – Tamtej nocy. Gdzie jest teraz?
 - W skarbcu Dymitra, jeśli jeszcze nie przetopił złota – odparł Sasza.
 - Czy jeśli ty i Sergiusz powiecie mu, do czego jest potrzebna, odda ją wam?

Sasza już otwierał usta, aby bez namysłu powiedzieć „tak”, jednak zmarszczył czoło.

– Nie wiem. Nie byłem... Dymitr nie liczy się już z moim zdaniem tak jak kiedyś. Natomiast wielkim zaufaniem darzy ojca Sergiusza.

Wasia zdawała sobie sprawę, że to wyznanie wiele go kosztowało. Wiedziała także, dlaczego Dymitr już nie pokłada w nim ufności.

– Przykro mi – powiedziała.

Pokręcił w milczeniu głową.

– Nie można liczyć, że Wielki Książę komukolwiek zaufa – Morozko po raz pierwszy włączył się do rozmowy. – Niedźwiedź jest mistrzem zamętu, a jego narzędzia to strach i nieufność. Będzie wiedział o waszym przyjeździe i się przygotuje. Dopóki nie zostanie okiełznany, nie możecie ufać nikomu, nie możecie ufać nawet samym sobie, bo Niedźwiedź doprowadza ludzi do obłądu.

Mnisi wymienili spojrzenia.

– Dałoby się wykraść tę uzdę? – spytała Wasia.

Trzej mnisi zrobili pobożne miny i nie odpowiedzieli. Wasia w bezsilnej złości miała ochotę rwać sobie włosy z głowy.

Długo trwało, zanim uzgodnili plany. Kiedy wreszcie skończyli, Wasia marzyła o śnie. Nie tylko dla odpoczynku, lecz dlatego, że sen tutaj, w jej własnej północy, oznaczał, że kiedy się zbudzi, będzie jasno. Przez cały czas, gdy rozmawiali, pozostawali w Północy. Wszyscy tkwili wraz z Wasią w ciemności. Zastanawiała się, czy Sasza zadaje sobie pytanie, dlaczego świt tak się opóźnia.

Kiedy miała już dość, oznajmiła:

– Możemy jeszcze porozmawiać rano. – Po czym odeszła od ogniska. Znalazła miejsce, gdzie sosnowe igły tworzyły gruby materac, i otuliła się peleryną.

Morozko skłonił się mnichom. Lekka kpina, jaką widać było w tym geście, wywołała rumieniec wściekłości na twarzy Saszy.

- Do zobaczenia rano – powiedział król zimy.
 - Dokąd się wybierasz? – zainteresował się Sasza.
 - Idę nad rzekę – odparł z prostotą Morozko. – Nigdy nie widziałem świtu nad płynącą wodą.
- I zniknął w ciemności.

Sasza ze złości i strachu miał ochotę rzucić się na ziemię. Korciło go też, żeby powalić na ziemię tego cienistego stwora, chciał usunąć z głowy wizję demona szepczącego w ciemności do jego młodszej siostry. Wpatrywał się w ciemność tam, gdzie zniknął Morozko, podczas gdy Rodion przyglądał mu się z troską, a Sergiusz ze zrozumieniem.

- Usiądź, synu – powiedział Sergiusz. – Nie czas na gniew.
- Mamy zatem zawrzeć układ z demonem? To grzech, Bóg się rozgniewa...
- Nie jest zadaniem ludzi domniemywanie, jaka jest wola boża – odparł Sergiusz z przyganą. – Zło kryje się tam, gdzie ludzie stawiają się zbyt wysoko i twierdzą: „Wiem, czego chce Bóg, bo ja chcę tego samego”. Ty możesz nienawidzić tego, którego twoja siostra nazywa królem zimy, za to, jak on na nią patrzy. Nie zrobił jej jednak krzywdy, Wasia twierdzi wręcz, że uratował jej życie. Ty nie zdołałeś zrobić dla niej aż tyle.

Sasza wzdrygnął się, słysząc te ostre słowa.

- Nie – przyznał cicho. – Nie zdołałem. Może jednak skazał ją na wieczne potępienie.
- Nie wiem. Nie możemy tego wiedzieć. Mamy jednak obowiązki wobec ludzi bezradnych i przerażonych. Dlatego właśnie jedziemy do Moskwy.

Sasza milczał przez długą chwilę. Wreszcie ze znużeniem dorzucił polano do ogniska i powiedział:

- On mi się nie podoba.
- Obawiam się, że on o to nie dba – skwitował Sergiusz.

Wasia obudziła się w jasnym świetle. Wstała szybko i uniosła twarz do słońca. Wreszcie wydostała się z krainy Północy i miała nadzieję, że już nigdy nie będzie musiała kroczyć tą mroczną drogą.

Przez moment rozkoszowała się ciepłem, po chwili jednak nastął nieopisany upał. Pot spływał jej po plecach i między piersiami. Wciąż miała na sobie wełnianą koszulę z chaty na brzegu jeziora, choć teraz wolałaby płócienną.

Bosymi stopami chłoneła zimno wilgotnej od rosy ziemi. Morozko był kilka kroków od niej, oporządzał białą klacz. Wasia zastanawiała się, czy w nocy trzymała się blisko nich, czy też oddaliła się, znacząc letnią ziemię dziwnym szronem. Mnisi jeszcze spali tym twardym snem, jakim ludzie śpią latem w biały dzień.

Futro i haftowany jedwab Morozki zniknęły, jakby nie mógł utrzymać tych atrybutów władzy w ostrym świetle dnia. Można go było wziąć za wieśniaka brodzącego boso w trawie, tyle że jego kroki pozostawiały gwiazdki szronu, a z mankietów koszuli kapała zimna woda. Emanował chłodem nawet w parny poranek. Wasia odetchnęła głęboko, czując przyjemne orzeźwienie, i westchnęła.

- Matko Boska, jaki upał.

Morozko miał ponurą minę.

- To robota Niedźwiedzia.

– Zimą często marzę o takich porankach – wyznała Wasia. – O tym, by się rozgrzać do szpiku kości. – Podeszła do białej klaczy, żeby pogłaskać ją

po szyi. – A latem przekonuję się, jak jest wtedy duszno. A tobie bywa gorąco?

– Nie – odparł krótko. – Ale upał źle na mnie działa.

Skruszona położyła rękę na jego dłoni poruszającej się na kłębie klaczy. Więź między nimi odżyła i jego kontury stały się mniej mgliste. Zacisnął palce na jej palcach. Przeszedł ją dreszcz, a on się uśmiechnął. Spojrzenie miał jednak odległe, nie mógł cieszyć się z tego, że przypomniał sobie o swojej słabości. Opuściła rękę.

– Myślisz, że Niedźwiedź wie, że tu jesteś? – spytała.

– Nie. I będę się starał, żeby tak zostało. Najlepiej, byśmy jechali przez dwa dni i dotarli do Moskwy w świetle poranka.

– Z powodu żywych trupów? Upiorów? Jego sług?

– One wstają z grobów tylko nocą. – Spojrzenie bezbarwnych oczu było srogie. Wasia przygryzła wargę.

„Stara wojna”, tak to określił Dziadek Grzyb. Czyżby stała się w niej trzecią stroną, jak sugerował czart? Czy też po prostu stanęła po stronie króla zimy? Ściana lat między nimi nagle wydała jej się tak samo nie do pokonania jak wcześniej, przed nocą w łaźni.

Zmusiła się jednak, by oznajmić dziarsko:

– Podejrzewam, że przed końcem dnia mój brat będzie gotów sprzedać duszę za łyk zimnej wody. Proszę, nie dokuczaj mu.

– Byłem zły – przyznał.

– Nie będziemy podróżowali z nimi w nieskończoność.

– Nie – zgodził się Morozko. – Przetrzynam to lato tak długo, jak zdołam, ale, Wasiu, nie mogę znosić go wiecznie.

Nic nie jedli, było za gorąco. Wszyscy byli zaczerwienieni i spoceni, zanim jeszcze wyruszyli. Podjęli wędrówkę wąską drogą wijącą się wzdłuż

rzeki Moskwy i prowadzącą do miasta od wschodu. Wasi z nerwów ścisnął się żołądek. Teraz, gdy się zbliżali do miasta, wcale nie chciała tam wracać. Była śmiertelnie przerażona. Brnęła w pyle drogi, starając się pamiętać, że potrafi czarować, że ma sprzymierzeńców, jednak w ostrym świetle dnia trudno było w to uwierzyć.

Morozko puścił białą klacz luzem, żeby pasła się nad rzeką i nie zwracała niczyjej uwagi. Sam też trzymał się poza zasięgiem ludzkiego wzroku, był czymś niewiele więcej niż chłodny wietrzyk poruszający liśćmi.

Słońce wznosiło się coraz wyżej nad omdlewającym światem. Szare cienie kładły się wzdłuż drogi niczym żelazne pręty. Po ich lewej stronie płynęła rzeka. Po prawej rozciągało się ogromne pole pszenicy, rudozłote jak sierść Pożogi, syczące, gdy gorący wiatr kładł źdźbła. Słońce waliło jak młotkiem między oczy. Pył drogi oblepiał im stopy.

Szli i szli, wciąż mijając pola pszenicy. Jakby ciągnęły się w nieskończoność. Jakby... Nagle Wasia stanęła, osłoniła oczy dłonią i spytała:

– Jak duże jest to pole?

Mężczyźni też się zatrzymali i wymienili spojrzenia. Nikt nie potrafił odpowiedzieć. Ten upalny dzień wydawał się wieczny. Morozki nie było nigdzie widać. Wasia spojrzała na pole. Nad rudozłotym zbożem wirowała kurzowa trąba powietrzna, niebo spowijała żółta mgła, słońce znajdowało się wysoko w górze... wciąż tak wysoko... Jak długo już tam było?

Teraz, gdy się zatrzymali, Wasia spostrzegła, że mnisi są zarumienieni i oddychają szybko. Szybciej niż przedtem? Zbyt szybko? Jest tak gorąco.

– Co się dzieje? – spytał Sasza, ocierając pot z twarzy.

Wasia wskazała trąbę powietrzną.

– Myślę...

Nagle Sergiusz ze stłumionym okrzykiem pochylił się nad grzywą swojego konia i zaczął zsuwać się na bok. Sasza go złapał. Spokojny koń

mnicha nie ruszył się z miejsca, zastrzygł tylko uchem, zdziwiony. Skóra Sergiusza była jaskrawoczerwona, przestał się pocić.

Za mnichami Wasia dostrzegła kobietę o jasnej skórze i zbielejących od słońca włosach, która trzymała sierp w bladej dłoni.

To nie była kobieta. Wasia bez namysłu skoczyła i chwyciła demona za nadgarstek, odciągając go do tyłu.

– Poznałam Północnicę – oznajmiła, nie puszczając demona. – Nie miałam jednak okazji spotkać jej siostry Południcy, której dotyk, jak mówią, wywołuje udar słoneczny.

Sasza klęczał w pyle drogi, z przerażoną miną podtrzymując Sergiusza. Rodion pobiegł po wodę. Wasia nie była pewna, czy uda mu się ją zdobyć. Pole pszenicy w południe było królestwem Południcy, a oni w nim utknęli.

– Puść mnie! – syknęła Południca.

Wasia nie rozluźniła uścisku.

– To ty puść nas – warknęła. – Nie zrobiliśmy ci nic złego.

– Nic złego? – Białe włosy czarcicy łamały się jak słoma od gorącego wiatru. – Ich dzwony oznaczają nasz koniec. To coś wystarczająco złego, nie sądzisz?

– Twórcy dzwonów chcą po prostu żyć. Jak my wszyscy.

– Skoro mogą żyć tylko z zabijania, lepiej, żeby wszyscy umarli.

Rodion wrócił bez wody, Sasza podniósł się z klęczek. Trzymał dłoń na rozgrzanej rękojeści miecza, nie widział jednak, z kim Wasia rozmawia.

– Ich śmierć jest również twoja – zwróciła się Wasia do Południcy. – Ludzie i czarty są ze sobą związani na dobre i na złe. Ale ta więź może być dobra. Możemy dzielić się światem. – Na dowód, że ma dobre intencje, wyciągnęła rękę i skaleczyła się sierpem. Za plecami usłyszała stłumione okrzyki mnichów i zrozumiała, że dotyk jej krwi pozwolił im zobaczyć demona.

Południca zaśmiała się piskliwie.

– Ty zamierzasz nas ocalić, mała śmiertelna dziewczyno? Podczas gdy Niedźwiedź obiecał nam wojnę i zwycięstwo?

– Niedźwiedź kłamie – odrzekła Wasia.

W tym momencie dał się słyszeć słaby szept Sergiusza:

– Bój się i uciekaj, nieczysty i przeklęty duchu, maro zwodnicza. Czy należysz do poranka, południa czy północy, wypędzam cię.

Południca krzyknęła, tym razem z bólu, upuściła sierp, cofnęła się i zaczęła znikać...

– Nie! – krzyknęła Wasia do mnichów. – To nie tak, jak myślicie. Nie tak, jak oni myślą. – Rzuciła się i złapała Południcę za nadgarstek, powstrzymując ją przed całkowitym zniknięciem.

– Widzę cię – zapewniła ją cicho. – Żyj dalej.

Południca stała chwilę zraniona, przestraszona, niepewna. A potem zagarnął ją wir powietrza i zniknęła.

Nagle z południowego blasku wyłonił się Morozko.

– Niania nie ostrzegła cię przed polami pszenicy w środku lata? – spytał.

– Ojcze! – krzyknął Sasza akurat w chwili, gdy Wasia odwracała się do mnichów. Sergiusz oddychał zbyt szybko, na szyi pulsowała mu żyła. Morozko zawahał się, lecz zaraz uklęknął w pyłe drogi, mrużąc coś pod nosem, i przyłożył długie palce do pulsującej szyi mnicha. Jednocześnie chuchnął i mocno zacisnął w pięść drugą dłoń.

– Co ty robisz? – chciał wiedzieć Sasza.

– Zaczekaj – powstrzymała go Wasia.

Zerwał się wiatr. Najpierw ospały, potem coraz bardziej porywisty, kładł zboże płasko na ziemi. To był zimny wiatr pachnący sosnami, niemożliwy w całym tym upale i pyłe.

Morozko zacisnął szczęki, w miarę jak wiatr przybierał na sile, jego kontury stawały się coraz mniej wyraźne. Jeszcze chwila, a mógłby

zniknąć, jego obecność wydawała się równie niewyobrażalna jak płatek śniegu w środku lata. Wasia chwyciła go za ramiona.

– Jeszcze nie – szepnęła mu do ucha.

Rzucił jej przelotne spojrzenie i dalej robił swoje.

Im powietrze stawało się chłodniejsze, tym oddech i przyśpieszony króliczy puls Sergiusza zaczęły zwalniać. Sasza i Rodion również wyglądali lepiej. Wasia łykała chłodne powietrze wielkimi haustami. A kontury Morozki nikły teraz szybko mimo jej uścisku.

– Co mogę zrobić? – niespodziewanie odezwał się Sasza. Na jego twarzy nadzieja wzięła górę nad potępieniem.

Wasia spojrzała na niego zaskoczona i odparła:

– Wystarczy, że będziesz go widział. I pamiętał.

Morozko zacisnął wargi, lecz nic nie powiedział.

Sergiusz odetchnął głęboko. Powietrze wokół nich było na tyle chłodne, by osuszyć pot pod grubą koszulą Wasi. Wiatr osłabł. Słońce się przesunęło, upał wciąż był nie do zniesienia, lecz już nie tak morderczy. Morozko opuścił rękę i pochylił się do przodu, poszarzały niczym wiosenny śnieg. Wasia wciąż trzymała dłonie na jego ramionach. Z jej palców i z jego barków spływała zimna woda.

Wszyscy milczeli.

– Myślę, że na razie nie powinniśmy jechać dalej – powiedziała Wasia, przenosząc wzrok z demona mrozu na spoconych mnichów. – Nie ma sensu wykonywać za Niedźwiedzia jego roboty i zginąć, zanim dotrzemy do celu.

Nikt na to nie odpowiedział.

Znaleźli małą kotlinkę nad rzeką, chłodną od trawy i rwącej wody. Rzeka toczyła brązowe wody u ich stóp, płynąc szybko do Moskwy, gdzie rzeka Moskwa łączy się z Nieglinką. W oddali, za mgłą, mogli dojrzeć

ponure zabudowania miasta. Kawałek dalej na rzece kołysało się mnóstwo łodzi.

Było za gorąco, żeby jeść, jednak Wasia wzięła od brata trochę chleba i sypnęła do wody garść okruchów. Wydawało jej się, że mignęły wyłupiaste rybnie oczy i wezbrała fala nienależąca do rzecznej nurtu, ale to wszystko.

Przyglądający jej się Sasza powiedział nagle:

– Mama... mama też wrzucała czasem chleb do wody. Dla króla rzeki, mówiła. – Zacisnął usta, lecz dla Wasi brzmiało to jak zrozumienie, jak przeprosiny. Uśmiechnęła się do niego niepewnie.

– Ten demon chciał nas zabić – odezwał się Sergiusz wciąż ochrypłym głosem.

– Ona się bała – wyjaśniła Wasia. – Wszystkie się boją. Nie chcą zniknąć. Myślę, że Niedźwiedź podsycy ich strach, dlatego atakują. To nie jej wina. Ojczy, egzorcyzmy sprawią jedynie, że więcej ich przejdzie na stronę Niedźwiedzia.

– Być może. Ale nie chciałem umrzeć na polu pszenicy.

– I nie umarłeś. Bo król zimy ocalił ci życie.

Wszyscy milczeli.

Zostawiła ich w cieniu, a sama poszła w dół rzeki, poza zasięg ich słuchu. Usiadła w wysokiej trawie, zanurzyła nogi w wodzie i rzuciła głośno:

– Wszystko w porządku?

Milczenie. Po chwili jednak w letniej ciszy rozbrzmiał jego głos:

– Bywało lepiej.

Bezszelestnie wyłonił się z sitowia i usiadł na ziemi obok niej. Teraz trudniej było na niego patrzeć, oko ma naturalną skłonność, by prześlizgiwać się bez zrozumienia nad wszelką niemożliwością. Spod zmrużonych powiek wpatrywała się w niego, aż to uczucie minęło. Siedział, podciągnąwszy kolana pod brodę, i patrzył na lśniącą toń.

– Dlaczego mój brat miałby się obawiać mojej wolności? – spytał kwaśno. – Nie jestem nawet cieniem samego siebie.

– Czy on już wie?

– Tak – odrzekł Morozko. – Jak mógłby nie wiedzieć, skoro przywołałem zimowy wiatr... Nie mogłem wyraźniej zaznaczyć swojej obecności, chyba że krzyknąłbym mu w twarz, że jestem. Jeśli mamy dotrzeć do Moskwy, musimy zrobić to dziś, nawet ryzykując, że słońce już zajdzie. Miałem nadzieję, że unikniemy zarówno nocy, jak i upiorów, ale jeśli on tak czy owak, zamierza wysłać swoje sługi, żeby spróbowały cię zabić, lepiej, żebyśmy najpierw zdobyli uzdę.

Wasię mimo wczesnopołudniowego słońca przeszedł dreszcz.

– Nie bez powodu takie czarty jak Południca są po stronie Niedźwiedzia – stwierdziła.

– Wiele może jest. Ale nie wszystkie. Czarty nie chcą zniknąć, jednak większość z nas wie, jakim szaleństwem jest wojna z ludźmi. Nasze losy są ze sobą splecione. – Wasia milczała. – Wasiu, jak bliski był mój brat przekonania cię, byś do niego dołączyła?

– Nie był tego bliski, ani trochę! – obruszyła się. Morozko uniósł brew. – Rozważałam to – przyznała ciszej. – Zapytał mnie, dlaczego miałabym pozostać lojalna wobec Rusi. Przecież moskiewska tłuszczka zabiła mojego konia.

– Uwolniłaś Pożogę, która podpaliła Moskwę – przypomniał jej Morozko. Znow patrzył na wodę. – Spowodowałaś śmierć dziecka twojej siostry, choć była gotowa oddać za nie życie. Może zapłaciłaś jedynie za swoją głupotę?

Jego ton był raniący, a niespodziewane słowa ostre jak sztylet.

– Nie chciałam... – wyjąkała spłoszona.

– Przybyłaś do miasta niczym ptak w trzcinowej klatce, bijąc skrzydłami o pręty i łamiąc je... Dziwisz się, że koniec był taki, jaki był?

– A dokąd miałam iść?! – wybuchnęła. – Do domu, żeby spalono mnie jako czarownicę? A może powinnam posłuchać ciebie, nosić twój talizman, wyjść za mąż, urodzić dzieci i siadać czasem przy oknie, z rozrzewnieniem wspominając dni spędzone z królem zimy? Powinnam pozwolić...

– Zanim cokolwiek zrobisz, powinnaś pomyśleć – przerwał jej w pół słowa, jakby ostatnie pytanie go zabolęło.

– I to mówi demon mrozu, który naraził całe swoje królestwo, żeby uratować mi życie?

Nie odpowiedział. Przełknęła kolejne zapalczywe słowa cisnące jej się na usta. Nie rozumiała, co właściwie jest między nimi. Nie jest ani mądra, ani piękna. W żadnej z bajek nie było mowy o pożądaniu i urazie jednocześnie, o wielkich gestach i potwornych błędach.

– Gdyby Niedźwiedź postawił na swoim, czarty byłyby czczone – powiedziała już łagodniej.

– On byłby czczony – sprostował Morozko. – Nie sądzę, by obchodziło go, co stanie się z czartami, o ile tylko służą jego celom. – Urwał. – Ani co stanie się z ludźmi, ofiarami jego knowań.

– Gdybym chciała powierzyć mój los Niedźwiedziowi, nie szukałabym cię. Ale owszem, chwilami czuję rozgoryczenie na myśl, że wracam, by spróbować ocalić to miasto.

Piorunowała go wzrokiem, a on odwzajemniał jej spojrzenie, zmrużywszy oczy. Dlaczego się złości? A ona? Wasia wiedziała o starannie aranżowanych małżeństwach, o chłopakach zalecających się latem, o zmierzchu, do płowowłosych wieśniaczek. Nasłuchiwała się bajek, zanim nauczyła się mówić. Żadna z nich nie przygotowała jej na to. Musiała zacisnąć dłonie w pięści, żeby powstrzymać się i go nie dotknąć.

Odsunął się gwałtownie w momencie, kiedy nabierała powietrza i odwracała wzrok w stronę wody.

– Prześpię się trochę w słońcu – oznajmiła. – Dopóki ojciec Sergiusz nie będzie gotowy do drogi. Nie znikniesz w tym czasie?

– Nie – odrzekł nieco urażony.

Wasi było jednak tak gorąco i czuła taką senność, że nie miała siły się tym przejmować. Zwinęła się w kłębek na trawie obok Morozki. Ostatnim, co poczuła, był dotyk jego lekkich zimnych palców na jej włosach, niczym przeprosiny, po czym zapadła w twarde sen.

Sasza znalazł ich trochę później. Demon mrozu siedział wyprostowany i czujny. Skośne popołudniowe słońce zdawało się przenikać go na wylot. Kiedy Sasza się zbliżył, podniósł głowę, a mnicha zaskoczył wyraz jego twarzy, który natychmiast się zmienił. Wasia poruszyła się przez sen.

– Pozwól jej pospać, królu zimy – poprosił Sasza.

Morozko milczał. Wygładził palcami zmierzwiłone czarne włosy Wasi.

– Dlaczego uratowałeś życie ojcu Sergiuszowi? – chciał wiedzieć mnich.

– Nie z wrodzonej szlachetności, jeśli o to ci chodzi. Niedźwiedzia trzeba na nowo ujarzmić, a nie zdołamy zrobić tego sami.

Sasza milczał zadumany. Nagle powiedział:

– Nie jesteś stworzeniem bożym.

– Nie jestem. – Druga ręka Morozki, leżąca swobodnie, trwała w nienaturalnym bezruchu.

– A jednak uratowałeś życie mojej siostrze. Dlaczego?

– Najpierw dla własnej korzyści – przyznał Morozko, patrząc na niego śmiało. – Później jednak dlatego, że nie mogłem znieść myśli o jej śmierci.

– A dlaczego teraz jej towarzyszysz? To chyba niełatwe... demon mrozu w środku lata.

– Poprosiła mnie o to. Po co te wszystkie pytania, Aleksandrze Niosący Światło?

Przydomek Saszy został wypowiedziany na poły poważnie, na poły drwiąco. Sasza musiał zdławić przypływ wściekłości.

– Ponieważ z Moskwy udała się do... krainy ciemności – odparł, usiłując zapanować nad głosem. – Powiedziano mi, że nie mogę iść tam za nią.

– Nie mogłeś.

– Ale ty tak?

– Tak.

Sasza zastanawiał się przez chwilę.

– Czy jeśli znów będzie wędrowała w ciemności... przysięgniesz, że jej nie opuścisz?

Jeśli nawet demona zaskoczyły te słowa, nie okazał tego.

– Nie opuszczę jej. Jednak pewnego dnia uda się tam, gdzie nawet ja nie mogę jej towarzyszyć. Jestem nieśmiertelny.

– Wtedy... jeśli o to poprosi... jeśli spotka mężczyznę, który rozgrzeje jej serce, poprosi o jej rękę i da jej dzieci... wtedy pozwól jej odejść. Nie zatrzymuj jej w ciemności.

– Zdecyduj się – burknął Morozko. – Mam przysiąc, że jej nie opuszczę, czy oddać ją mężczyźnie z krwi i kości? Co właściwie mam zrobić?

Mówił kąśliwym tonem. Dłoń Saszy powędrowała ku rękojeści miecza. Nie wyciągnął go jednak.

– Nie wiem – wyznał. – Nigdy wcześniej jej nie chroniłem. Nie wiem, w jaki sposób teraz miałbym to robić. – Demon milczał. – Klasztor by ją zniszczył. Nawet małżeństwo – dodał Sasza niechętnie. – Bez względu na to, jak dobry byłby jej mąż, jak wspaniałe miałyby dom. – Morozko nadal się nie odzywał. – Boję się jednak o jej duszę – ciągnął mnich, mimowolnie podnosząc głos. – Boję się o nią samą w ciemności i boję się o nią z tobą u boku. To grzech. A ty jesteś bajką, koszmarem, nie masz duszy.

– Może i nie – zgodził się król zimy, a jego smukłe palce wciąż muskały włosy Wasi.

Sasza zacisnął zęby. Chciał żądać obietnic, przyrzeczeń, wyznań, choćby po to, by odsunąć świadomość, że pewnych rzeczy nie może już zmienić.

Ugryzł się jednak w język. Wiedział, że to nic nie da. Wasia przetrwała mróz i ogień i znalazła przystań, choćby na krótko. Może na tym okrutnym świecie nikt nie mógłby prosić o więcej.

Cofnął się.

– Będę się modlił za was oboje – powiedział zduszonym głosem. – Wkrótce ruszamy.



21.

Wróg u bram

Był wczesny wieczór, jasny i spokojny, długie szare cienie przechodziły w fiolet, kiedy zeszli ze spalonego słońcem brzegu Moskwy i znaleźli prom, który miał ich przewieźć na drugą stronę.

Przewoźnik patrzył tylko na mnichów. Wasia miała opuszczoną głowę. Z krótkimi włosami, w stroju wieśniaka i ze swoją pozorną gamoniowatością mogła uchodzić za chłopca stajennego. Z początku łatwo jej było zapomnieć, gdzie jest, zajęła się bowiem przemawianiem do koni, by stały spokojnie w kołyszącej się łodzi. Jednak w miarę jak się zbliżali do drugiego brzegu, jej serce biło coraz szybciej i szybciej.

Oczyrna wyobraźni widziała Moskwę skutą czerwonym od ognia lodem. Mężczyźni i kobiety kipieli gniewem wokół pośpiesznie zbudowanego stosu. Może właśnie teraz płyną nad miejscem, gdzie jej prochy wpadłyby do obojętnej wody.

Ledwie dotarła do burty i zwymiotowała do rzeki. Przewoźnik się zaśmiał.

– Biedny wieśniaku, nigdy nie płynąłeś łodzią?

Ojciec Sergiusz łagodnymi dłońmi trzymał jej głowę.

– Popatrz na brzeg – poradził. – Widzisz, jaki jest nieruchomy? Proszę, masz tu czystą wodę, napij się. Tak lepiej.

Jednak dopiero lodowaty dotyk zimnych niewidzialnych palców na jej karku sprawił, że doszła do siebie. „Nie jesteś sama”, powiedział Morozko głosem, który słyszała tylko ona. „Pamiętaj”.

Wyprostowała się z ponurą miną i otarła usta.

– Już dobrze, ojciec – zwróciła się do Sergiusza.

Łódź otarła się o nabrzeże. Wasia chwyciła postronek jucznego konia i wyprowadziła go na brzeg. Sznur wyślizgiwał się ze spoconych dłoni. Ludzie śpieszyli się, by dotrzeć do miasta, zanim brama zostanie zamknięta na noc. Nie było trudno zostać nieco z tyłu za trzema mnichami. Zimna postać Morozki kroczyła obok niej niewidzialna. Wyczekująca.

Czy ktoś z Moskwian ją rozpozna? Czarownicę, którą w swoim mniemaniu spalili? Przed nią, za nią, wszędzie byli ludzie. Bała się. Powietrze cuchnęło pyłem, zgniłymi rybami i chorobą. Między jej piersiami spływał pot.

Głowę wciąż miała spuszczoną, starając się nie zwracać niczyjej uwagi i zapanować nad walącym sercem. Odór miasta przywoływał wspomnienia szybciej, niż mogła je odepchnąć: ogień, strach, ręce szarpiące jej ubranie. Modliła się, żeby nikt nie zaczął się zastanawiać, dlaczego w tym upale ma na sobie grubą koszulę i kaftan. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak straszliwie bezbronna.

Trzej mnisi zostali zatrzymani przed bramą. Wartownicy, kiedy przeszukiwali wozy i zadawali podróżnym pytania, trzymali przy ustach i nosie saszetki z suszonymi ziołami. Światła na rzece raziły w oczy.

– Podajcie imiona i cel przybycia, nieznajomi – zażądał dowódca straży.

– Nie jestem nieznajomym. Jestem brat Aleksander – odrzekł Sasza. – Wracam do Dymitra Iwanowicza w towarzystwie świątobliwego ojca Sergiusza z Radoneża.

Dowódca zmierzył go wzrokiem.

– Wielki Książę rozkazał cię przyprowadzić, gdy tylko przybędziecie.

Wasia przygryzła wargę. Sasza odparł gładko:

– Udam się do Wielkiego Księcia w stosownym czasie. Jego świątobliwość musi jednak najpierw dotrzeć do monasteru, odpocząć i odmówić modlitwy, by podziękować Bogu za szczęśliwą podróż.

Dłonie Wasi ślizgały się na postronku jucznego konia.

– Jego świątobliwość może iść, dokąd mu się podoba – stwierdził dowódca obojętnym tonem. – Ty jednak, zgodnie z rozkazem, pójdziesz do Wielkiego Księcia natychmiast. Moi ludzie będą cię eskortować. Wielki Książę zasięgnął rady i już ci nie ufa.

– Kto udzielił mu tej rady? – zainteresował się Sasza.

– Cudotwórca – odrzekł wartownik i w jego bezbarwnym głosie pojawiła się odrobina emocji. – Ojciec Konstanty Nikonowicz.

„Niedźwiedź już wie, że przybywamy”, powiadomił Morozko Sergiusza i Saszę, gdy wędrowali wzdłuż rzeki w stronę miasta. „Możliwe, że zostaniecie zatrzymani przy bramie. Jeśli do tego dojdzie...”

Wasia z trudem oddychała, panika ścisnęła ją za gardło. Zdołała jednak szepnąć jucznemu koniowi, który stał przy niej:

– Stań dęba!

Stworzenie posłusznie zaczęło dziko młócić muskularnymi przednimi nogami. Po chwili wyszkolona do walki Mgła Saszy również stanęła dęba, wierzgając kopytami. Koń Rodiona także zaczął mocno brykać tuż pod bramą, a potem Sergiusz podniósł głos, dźwięczny i donośny pomimo jego wieku, i krzyknął:

– Chodź, bracie, pomódlmy się razem...

W tym momencie Mgła kopnęła jednego z wartowników. Korzystając z zamętu, Wasia prześlizgnęła się przez bramę, a Morozko za nią.

„Zapomnij”. Tak jak tamtej nocy na tej samej rzece. Musiała zapomnieć, że mogą ją zobaczyć. Oczywiście wartownicy mogli nie zauważyć jej nawet bez czarów, tak skutecznie trzej mnisi przykuli ich uwagę.

Czekała w cieniu bramy, aż Sasza przekroczy ją wraz z Sergiuszem. Wtedy będzie mogła niepostrzeżenie przemknąć za nimi do pałacu

Wielkiego Księcia, niezauważona wejść do środka, a potem wykraść złotą uzdę.

– Uważasz mnie za głupca, bracie? – zapytał znajomy głos. Pod pozorną lekkością pobrzmiwały potyczki wrogich wojsk i rozpaczliwe wrzaski ludzi. Niedźwiedź stał w cieniu bramy i wydawał się większy niż wtedy, gdy widziała go po raz ostatni, jakby urósł, karmiony miazmatami strachu i choroby unoszącymi się nad Moskwą. – To miasto jest moje – oznajmił. –

Co zamierzasz uczynić, zjawiając się jak duch w towarzystwie zastępu mnichów? Zdradzić mnie dla nowej religii? Egzorcyzmować? Nie, ja jestem silniejszy. Tym razem nie trafisz do przyjemnego więzienia niepamięci, to będą kajdany i wieczna ciemność. Po tym, gdy już ją zabiję i na twoich oczach uczynię z niej swoją służbę.

Morozko nie odpowiedział. Miał nóż z lodu, chociaż przy każdym ruchu z ostrza kapała woda. Wasia napotkała jego spojrzenie i bez słowa puściła się biegiem.

– Czarownica! – ryknął Niedźwiedź głosem słyszalnym dla ludzi. – Czarownica! Tam jest czarownica! – Głowy zaczęły się odwracać, nagle jednak jego krzyk ucichł. Morozko przystawił bratu nóż do gardła, Niedźwiedź odepchnął go i po chwili bliźniacy kotłowali się jak wilki, niewidzialni w pyłe drogi.

Wasia uciekała, kryjąc się w cieniu budynków, a serce łomotało jej w krtani.

Starła się nie myśleć o tym, co dzieje się za jej plecami. Sasza i Sergiusz mieli odwrócić uwagę Dymitra, a Morozko zatrzymać Niedźwiedzia.

Reszta zależała od niej.

„Jeśli do tego dojdzie, nie zdołam powstrzymać go w nieskończoność”, tłumaczył Morozko. „Do zachodu słońca, nie dłużej. Po zachodzie to nic nie da. Będzie miał umarłych, będzie silny ludzkim

strachem, który rośnie w ciemności. Musi zostać okiełznany przed zachodem, Wasiu”.

Biegła zatem, pot szczypał ją w oczy. Spojrzenia czartów padały na nią niczym grad kamieni, nie oglądała się jednak za siebie. Ludzie ociężale załatwiali swoje sprawy, zdyszani i spoceni, trzymając saszetki z suszonymi kwiatami, by odpędzić groźbę zachorowania, i nie zważali na samotnego młodego chłopaka. W zaułku między dwoma budynkami leżał martwy mężczyzna, muchy siadały na jego otwartych oczach. Wasia stłumiła mdłości i biegła dalej. Z każdym krokiem musiała walczyć z paniką na myśl, że znów jest w Moskwie, i to zupełnie sama. Każdy dźwięk, każdy zapach, każdy zakręt przywoływał paraliżujące wspomnienia, czuła się jak dziewczyna w sennym koszmarze usiłująca biec w oblepiającym nogi błocie.

Bramy pałacu księcia sierpuchowskiego zostały kilkakrotnie wzmocnione, na górze umieszczono drewniane szpikulce, rozstawiono też strażę. Wasia zatrzymała się, wciąż walcząc ze ściskającym żołądek strachem i zastanawiając się, jak zdoła...

Nagle znad ogrodzenia przemówił jakiś głos. Musiała rozejrzeć się trzy razy, zanim dostrzegła, do kogo należy. To dwornik Olgi. Wyciągnął do Wasi obie ręce.

– Chodź – szepnął. – Szybko, szybko.

Kiedy chwyciła dłonie dwornika, stwierdziła, że są dziwnie krzepkie. Przedtem domowe duchy Olgi były niewiele solidniejsze od mgły. Teraz jednak ręce czarta szarpnęły ją mocno w górę. Wasia gorączkowo szukała podparcia dla nóg, w końcu dostała się na szczyt ogrodzenia, podciągnęła się i znalazła po drugiej stronie.

Opadła na ziemię i rozejrzała się po cichym dziedzińcu, na którym krzątało się ospale tylko kilkoro służących. Odetchnęła głęboko i starała się być niewidzialna. Ledwie jej się to udało. Właśnie tutaj Słowik...

– Muszę pomówić z Warwarą – powiedziała do dwornika przez zaciśnięte zęby.

On jednak złapał ją za rękę i pociągnął w stronę łaźni.

– Musisz zobaczyć się z naszą panią – powiedział.

Leżała w łaźni skulona jak szczeniak. W środku nie było zbyt gorąco. Bannik musi robić dla niej, co się da, pomyślała Wasia. Wszystkie domowe czarty muszą o nią dbać. Bo ona...

Masza usiadła, a Wasia przeżyła wstrząs na widok jej twarzy: oczy miała tak podkrążone, że wydawały się podbite.

– Ciocia! – wykrzyknęła Masza. – Ciocia Wasia! – I rzuciła się, łkając, w ramiona Wasi.

Wtulona w jej pierś dziewczynka opowiadała zapalczywie:

– Nie było cię. Słowik też zniknął i człowieczek w piecu powiedział, że Żarłok będzie przysyłał umarłych do naszych domów, jeśli tylko zdoła. Więc rozmawiałam z czartami i przynosiłam im chleb, i skaleczyłam sobie rękę, i dałam im krew, jak mówiłaś, i mama zatrzymała nas wszystkich w domu zamiast iść do cerkwi...

– Maszo – Wasia przerwała ten potok słów, dumna z siostrzenicy – wspaniale się spisałaś, jesteś bardzo dzielna.

Masza nagle się wyprostowała.

– Pójdę po mamę i Warwarę.

– Dobry pomysł – odparła Wasia, mając na uwadze, że dzień chylił się ku końcowi. Nie bardzo podobała jej się myśl, że ma chować się w łaźni, gdy Masza będzie odgrywała rolę posłańca. Wolą jednak nie ryzykować, że służba ją zobaczy, a nie panowała nad sobą na tyle, by polegać na magii, której sama do końca jeszcze nie pojmowała. Paniczny strach tylko czekał, by chwycić ją za gardło.

– Czarty mówią, że wrócisz – dodała Masza radośnie. – Powiedziały, że wrócisz i pojedziemy do miejsca nad jeziorem, gdzie nie jest tak gorąco i gdzie są konie.

– Mam taką nadzieję – odrzekła Wasia żarliwie. – A teraz pośpiesz się, Maszo.

Dziewczynka wybiegła z łaźni, a Wasia odetchnęła głęboko kilka razy, starając się uspokoić. Odwróciła głowę w stronę bannika.

– Oplakiwałam Słowika, lecz Masza...

– Jest twoją dziedziczką i twoim lustrzanym odbiciem – podchwycił bannik. – Będzie miała konia i będą się kochać tak, jak lewa ręka kocha prawą. Kiedy urośnie, zaczniesz podróżować daleko i szybko. – Urwał. – Jeśli ty i ona przeżyjecie.

– To dobra wróżba – stwierdziła Wasia, po czym przygryzła wargę, bo wróciły wspomnienia.

– Niedźwiedź gardzi domowymi czartami jako ludzkimi sługami – żalił się bannik. – Pomożemy ci, jak tylko zdołamy. Jego czciciel się nas boi.

– Jego czciciel? – zdziwiła się Wasia.

– Pop o złotych włosach – wyjaśnił bannik. – Niedźwiedź zagarnął go dla siebie i nazaczył darem widzenia, który teraz go przeraża. Są ze sobą związani.

– Och! – wykrzyknęła Wasia. To wiele wyjaśniało. – Zabiję tego popa. – To nie była groźba, lecz stwierdzenie. – Czy to osłabi Niedźwiedzia?

– Tak. Ale może być trudne. Niedźwiedź będzie go chronił.

W tym momencie do mrocznej łaźni wpadła Masza.

– Już idą! – Skrzywiła się. – Chyba się ucieszą, że tu jesteś.

Olga i Warwara weszły do łaźni tuż za dziewczynką, lecz Olga wydawała się raczej wstrząśnięta niż ucieszona.

– Wygląda na to, Wasiu, że twoim przeznaczeniem jest zdumiewać mnie nagłym przybyciem – powiedziała. Głos miała dziarski, chwyciła dłonie Wasi i mocno je ścisnęła.

– Sasza mówił, iż wiedziałas, że żyję.

– Masza wiedziała – sprostowała Olga. – I Warwara. Zapewniały nas o tym. Ja miałam wątpliwości, ale... – Umilkła, patrząc na Wasię pytająco.
– Jak zdołałaś uciec?

– To bez znaczenia – wtrąciła Warwara. – Już raz naraziłaś nas wszystkich na niebezpieczeństwo, dziewczyno. A teraz robisz to znowu. Czy ktoś cię widział?

– Nie. Nie dostrzegli, jak zeskakuję z własnego stosu pogrzebowego, i nie zobaczą mnie teraz – odparła Wasia.

Olga pobladła.

– Wasiu – zaczęła – przykro mi...

– To już nieważne. Niedźwiedź chce zniszczyć Dymitra Iwanowicza – przerwała jej Wasia. – I pogrążyć cały kraj w chaosie. Musimy go powstrzymać. – Przełknęła z wysiłkiem ślinę, zdołała jednak dokończyć pewnym tonem: – Muszę się dostać do pałacu Dymitra Iwanowicza.



22.

Księżna i wojownik

Saszy udało się odwrócić uwagę strażników nadspodziewanie skutecznie. Mgła, szkolona do walki i dodatkowo podburzona krzykiem, wspięła się na tylne nogi, kopnęła przednimi kopytami i znów stanęła dęba. Nadbiegło więcej strażników i jeszcze więcej, aż trzech mnisi znaleźli się w środku zgiełkliwego tłumu.

- Wrócił!
- Brat tej czarownicy!
- Aleksander Pierieswiet!
- Kto z nim jest?

Sasza wiedział, że nikt nie zauważył Wasi, bo wszyscy patrzyli na niego. Zbiegało się coraz więcej ludzi. Strażnicy sprawiali wrażenie, jakby nie wiedzieli, z której strony do niego podejść, żeby nie ustawiać się tyłem do gniewnego tłumu. Ktoś rzucił zgniłą główkę sałaty, upadła pod kopyta konia Sergiusza. Konie szarpnęły do przodu i zaczęły się wspinać na wzgórze kremla. Poleciały kolejne warzywa, potem kamień. Sergiusz, wciąż siedzący na koniu, niezrażony, uniósł rękę i pobłogosławił tłum. Sasza podjechał bliżej swego mistrza, by chronić go własnym ciałem i ciałem Mgły.

– Istne szaleństwo – mruknął. – Rodionie, jedźcie obaj do monasteru Michała Archanioła. Tu może być tylko gorzej. Ojcie, proszę. Przyślę wam

wiadomość.

– No dobrze – zgodził się Sergiusz. – Ale bądź ostrożny.

Sasza z ulgą patrzył, jak Rodion i jego wielki koń torują sobie drogę przez tłum, po czym dwaj duchowni odjeżdżają. Strażnicy prowadzili go teraz w stronę pałacu Dymitra. Zamieniło się to w swego rodzaju wyścig, by dotrzeć tam, zanim tłum stanie się zbyt gęsty.

Udało się jednak i Sasza odetchnął, gdy brama zamknęła się za nim. Zeskoczył z konia na pylisty dziedziniec. Wielki Książę był na zewnątrz, patrzył, jak sługa ujeżdża młodego ogiera. Sasza od razu pomyślał, że Dymitr nie wygląda dobrze. Wydawał się ociężały i wymizerowany jednocześnie, a z jego twarzy emanował dziwny tłumiony gniew.

Tuż za nim stał złotowłosy pop. On wyglądał bardziej kwitnąco niż kiedykolwiek. Usta i dłonie miał delikatne jak u kobiety, oczy niewiarygodnie błękitne. Ubrany był w szaty biskupie, z uniesioną głową nasłuchiwał zgiełku niespokojnego miasta. Na jego twarzy nie widać było triumfu, lecz pewność własnej mocy i władzy, co Sasza uznał za zdecydowanie gorsze.

Dymitr zauważył Saszę i aż zeszywniał. Na jego twarzy nie pojawił się serdeczny uśmiech, tylko dziwne napięcie.

Sasza przemierzył dziedziniec, zerkając nieufnie na popa.

– *Gosudar* – zwrócił się oficjalnie do Dymitra. Nie chciał mówić o ojcu Sergiuszu przy tym zimnookim człowieku.

– Teraz wracasz, Saszo?! – wybuchnął Dymitr. – Teraz, kiedy w mieście panuje choroba i niepokoje, a ludzie tylko czekają na pretekst do zamieszek? – Umilkł, by posłuchać narastającej wrzawy tłumy za bramą.

– Dymitrze Iwanowiczu... – zaczął Sasza.

– Nie – przerwał mu Dymitr. – Nie wysłucham cię. Zostaniesz zamknięty na klucz i oby to wystarczyło, by uspokoić mieszkańców Moskwy. Ojczy... zechciałbyś do nich przemówić?

– Przemówię – odparł Konstanty wystudiowanym tonem, w którym zabrzmiał smutek i odwaga.

Sasza, przepełniony nienawiścią do tego człowieka, spróbował raz jeszcze:

– Kuzynie, muszę z tobą porozmawiać.

Ich spojrzenia spotkały się i Sasza mógłby przysiąc, że wyczytał coś w oczach Dymitra, niejasne ostrzeżenie. Po chwili wzrok Wielkiego Księcia znów stał się lodowaty.

– Zostaniesz umieszczony pod kluczem – powtórzył. – Dopóki nie naradzę się ze świętymi mężami i nie zdecyduję, co z tobą zrobić.

– Jewdokia znów jest w ciąży i bardzo się boi – powiedziała Olga do Wasi. – Ucieszy się z moich odwiedzin. Mogę przemycić cię przez bramę.

– To ryzykowne – zauważyła Wasia. – Myślałam, że mogłabym pójść z Warwarą. Dwie służące z wiadomością, nikt nie zwróci uwagi. Albo nawet ja sama. A może mogłabyś mi przydzielić zaufanego sługę, który podsadziłby mnie na ogrodzenie. – Opowiedziała im pokrótce o mocy bycia niewidzialną, którą odkryła w sobie tamtej nocy na stosie.

Olga przeżegnała się, po czym pokręciła głową, marszcząc czoło.

– Bez względu na to, jakie dziwne moce w sobie odkryłaś, Dymitr nadal ma przy bramie wielu strażników. A co stałoby się ze sługą, gdyby ktoś go zobaczył? Moskwa jest na wpół oszalała. Wszyscy boją się dzumy, boją się też umarłych i klątw. Miastem rządzi strach. Ja jestem księżną sierpuchowską, mnie z pewnością przepuszczą przez bramę. W stroju mojej służącej nie będziesz zwracała na siebie uwagi, nawet jeśli ktoś cię zobaczy.

– Ale ty...

– Powiedz, że to nie jest konieczne – przerwała jej Olga. – Obiecuj, że zostawienie spraw własnemu biegowi nie zagrozi moim dzieciom, mojemu mężowi i mojemu miastu. Obiecuj mi to, a chętnie zostanę w domu.

Wasia nie mogła z czystym sumieniem złożyć takiej obietnicy.

Olga i Warwara szybko znalazły Wasi sukienkę służącej. Olga kazała natychmiast zaprząć konie. Masza błagała, by pozwoliły jej jechać z nimi, lecz Olga powiedziała:

- Serduszko moje, na ulicach panoszy się choroba.
- Ale wy jedziecie – upierała się Masza.
- Tak, ty jednak możesz tego uniknąć, moje dzielne kochanie.
- Zajmij się nią – przykazała Wasia dwornikowi Olgi i mocno przytuliła małą.

Siostry opuściły pałac, gdy zmierzch przechodził w zmrok. W zamkniętym powozie było ciemno, czerwone słońce opadało coraz niżej. Z ulicy dochodziły pomruki niepokoju i smród zgnilizny przeludnionego miasta. Wasia, w przebraniu służącej, czuła się bardziej obnażona i bezbronna niż kiedykolwiek w chłopięcym stroju.

– Przed zachodem musimy być z powrotem za bramą twojego pałacu – przypomniała Oldze, starając się panować nad głosem. Odkąd wyjechały na ulice Moskwy, znów zaczął wzbierać w niej strach. – Olu, jeśli coś mnie zatrzyma, wracaj do domu beze mnie.

– Oczywiście, że wrócę – zapewniła Olga. Nie dla niej wielkie i głupie poświęcenie. Wasia zdawała sobie sprawę, że jej siostra już i tak ryzykuje bardziej, niżby chciała. Przez chwilę jechały w milczeniu i nagle...

– Nie wiem, co robić z Maszą – wyznała Olga nieoczekiwanie. – Staram się ją chronić najlepiej, jak potrafię, ale ona jest zbyt podobna do ciebie. Rozmawia z istotami, których ja nie widzę. Z każdym tygodniem staje się coraz bardziej skryta.

– Nie możesz jej chronić przed jej własną naturą – odrzekła Wasia. – Jej miejsce jest gdzie indziej.

– Może i tak – przyznała Olga – lecz w Moskwie mogę ją przynajmniej chronić przed tymi, którzy źle jej życzą. Co będzie, jeśli ludzie odkryją jej tajemnicę?

– Jest taka chata nad jeziorem w dzikiej krainie. Tam właśnie poszłam, gdy uciekłam ze stosu. Stamtąd pochodzą nasza babka i prababka. To nasz dom rodzinny. Kiedy będzie już po wszystkim, wrócę tam. Zbuduję dom bezpieczny dla ludzi i dla czartów. Gdyby Masza poszła tam ze mną, dorastałaby wolna, jeździłaby konno i sama zdecydowałaby o tym, czy wyjść za męża, czy nie. Olu, ona tutaj zwiędnie. Przez całe życie będzie tęskniła za czymś, z czego utraty nawet nie będzie zdawała sobie sprawy.

Zmarszczki wokół ust i oczu Olgi się pogłębiły. Nic jednak nie odpowiedziała.

Zapadło między nimi milczenie. Olga przerwała je nagle, zaskakując Wasię:

– Kim on był, Wasiu? – Wasia uniosła wzrok ku twarzy siostry. – Chyba możesz przyznać, że jestem spostrzegawcza – burknęła Olga na widok miny siostry. – Widziałam wiele dziewcząt po ślubie.

– On... – Wasię opanowało nagle zdenerwowanie. – On jest... – Nie mogła znaleźć właściwych słów. – On nie jest człowiekiem – wyznała. – Jest... jedną z niewidzialnych istot.

Spodziewała się, że Olga będzie wstrząśnięta, ale ona tylko zmarszczyła czoło i patrzyła na siostrę badawczo.

– Chciałaś tego?

Wasia nie wiedziała, czy Olę bardziej przeraziłoby to, że chciała, czy to, że nie chciała. Ale mogła powiedzieć jedynie prawdę.

– Chciałam. On ocalił mi życie. I to nie raz.

– Wzięliście ślub?

– Nie. Nie wiem... nie wiem, czy to w ogóle możliwe. Jaki sakrament mógłby nas połączyć?

Olga posmutniała.

– W takim razie żyjesz poza bożą opatrnością. Boję się o twoją duszę.

– Ja się nie boję. On... on jest moją radością. – Po czym dodała sucho: – A także wielkim źródłem zmartwień.

Olga uśmiechnęła się lekko. Wasia przypomniała sobie, że przed laty, gdy była młodą dziewczyną, jej siostra marzyła o księciu z kruczoczarnymi włosami. Potem porzuciła to marzenie, jak większość kobiet. I może wcale tego nie żałowała. Bo księżę o kruczoczarnych włosach jest dziwny i tajemniczy i wywiódłby ukochaną w niebezpieczny świat.

– Chciałabyś go poznać? – spytała Wasia nagle.

– Ja? – Olga wydawała się wstrząśnięta. Potem jednak odrzekła: – Tak. Nawet dziewczyna zakochana w diable potrzebuje wsparcia bliskiej osoby.

Wasia przygryzła wargę, niepewna, czy powinna się cieszyć, czy martwić.

Zbliżały się do bramy pałacu Dymitra. Zgiełk w mieście jeszcze się wzmógł. Pod bramą kotłował się tłum. Wasię przeszły ciarki.

Nagle ponad krzyki wzniósł się melodyjny głos. Uciszył tłum. Panował nad nim.

Znała ten głos. Ogarnęło ją paralizujące przerażenie, jakiego nigdy wcześniej nie czuła. Oddychała szybko zlaną lepkiem potem. Bezlitosny uścisk Olgi na jej ramieniu przywołał ją do porządku.

– Nie waż mi się zemdleć – wysyczała Olga. – Twierdzisz, że potrafisz stać się niewidzialna. Czy on zdoła cię zobaczyć? To świątobliwy mąż. I już raz chciał cię uśmiercić.

Wasia, mimo strachu tłukącego się wewnątrz jej czaszki niczym bijący skrzydłami ptak, starała się zebrać myśli. Konstany nie jest świątobliwym mężem... widzi teraz czarty. Niedźwiedź dał mu tę moc. Czy może zobaczyć i ją?

– Nie wiem – przyznała.

Powóz się zatrzymał. Wasia miała wrażenie, że jeśli nie zaczerpnie świeżego powietrza, udusi się.

Znów rozbrzmiał głos Konstantego, chłodny i opanowany, tuż obok. Musiała zacisnąć zęby i pięści, żeby nie wydać żadnego dźwięku. Dygotała.

Ludzie, szemrząc, rozstępowali się niechętnie, by je przepuścić. Olga siedziała bez ruchu na wełnianej poduszce, pozornie niewzruszona, spoglądała jednak z obawą na Wasię, poszarzałą na twarzy i spoconą.

– Nic mi nie jest, Olu. Po prostu... wszystko mi się przypomina – zdołała wyjąkać Wasia przez zaciśnięte zęby.

– Wiem – szepnęła Olga i odetchnęła głęboko. – No dobrze – powiedziała stanowczo. – Chodź za mną. – Nie było czasu na nic więcej. Brama zaskrzypiała i znalazły się na dziedzińcu pałacu Wielkiego Księcia Moskiewskiego.

Wieczne słońce rzucało skośne promienie i Olga wyglądała oszalałymi w wysadzonym klejnotami kokoszniku, z długim warkoczem przewiązanym jedwabną wstążką i obwieszonym srebrnymi ozdobami. Ona pierwsza wysiadła z powozu, a Wasia przywołała całą swoją odwagę i poszła w jej ślady. Olga natychmiast chwyciła ją pod ramię, niby po to, by się na niej oprzeć. To jednak księżna sierpuchowska panowała nad sytuacją i ciągnęła Wasię na schody teremu, podtrzymując ją, ilekroć się zachwiała.

– Nie oglądaj się – szepnęła Olga. – On lada chwila przejdzie przez bramę. Ale terem jest bezpieczny. Poczekaj chwilę, potem wyślę cię z jakimś poleceniem. Nie rzucaj się w oczy, a nic ci się nie stanie.

Brzmiało to rozsądnie, jednak rzut oka na słońce pokazał, że zbliża się zachód. Mieli najwyżej godzinę, a umysł Wasi był tak przepełniony lękiem i przerażającymi wspomnieniami, że z trudem zbierała myśli.

Na ruinach starej stajni stała nowa. Były teraz na schodach prowadzących do teremu, po których Wasia wchodziła ostatnio w ciemności, by ratować Maszę. Gdzieś za jej plecami znajdował się Konstanty Nikonowicz, który omal jej nie zabił w najokrutniejszy z możliwych sposobów. A teraz ma za sprzymierzeńca króla chaosu.

Gdzie jest Morozko? A Sasza i Sergiusz? Jak...

Olga ponagliła ją z władczą miną. Weszły na górę i zostały wpuszczone do środka. Wasia, ze wszystkich sił starając się opanować, natychmiast poczuła ulgę, kiedy drzwi teremu zamknęły się za nimi. Teraz jednak znalazły się w komnacie robótek, którą kiedyś Kościej wypełnił widziadłami i w której o mały włos nie zabił Maszy i jej...

Wasia gwałtownie nabrała powietrza, co zabrzmiało niemal jak szloch, i Olga rzuciła jej surowe spojrzenie – „nie waż mi się teraz załamać, siostró” – akurat w chwili, gdy Jewdokia Dmitrijewa, Wielka Księżna Moskiewska, z radością ją witała. Siedząc bez przerwy w dusznej komnacie, Jewdokia i jej dwórki rozpaczliwie pragnęły rozrywki.

Wasia przemknęła pod ścianę i stanęła obok innych służących. Z powodu ciasnej obręczy strachu ściskającej jej płuca nie mogła złapać tchu. Jeszcze chwila i Olga uzna, że może bezpiecznie...

Nagle drzwi teremu się otworzyły. Wasia zamarła.

W półmroku rozbłysły złote włosy Konstantego. Na jego twarzy jak zawsze malował się błogi spokój, spojrzenie jednak miał czujne i zaciekawione.

Wasia wcisnęła się w cień przy ścianie, Olga zaś podniosła wzrok, dostrzegła Konstantego i natychmiast zemdląła z doskonałym wyczuciem czasu i niepokojącą wprawą. Upadła na stół ze słodkościami i miodem, tak że wszystko rozprysło się na boki wielką lepką fontanną.

Jeśli zabiegi Saszy pod bramą były trochę teatralne, na fortel Olgi wszyscy dali się nabrać. Kobiety natychmiast skupiły się wokół niej, nawet Konstanty, stojący w progu, zrobił kilka kroków w jej stronę. Było akurat dość miejsca, by Wasia mogła go ominąć.

On nie może cię zobaczyć. Uwierz w to, uwierz...

Pobiegła w stronę drzwi.

On jednak ją zobaczył. Usłyszała, jak wciąga gwałtownie powietrze, i odwróciła głowę.

Ich spojrzenia się spotkały.

Na jego twarzy odmalowały się szok, zgroza, wściekłość i strach. Wasi drżały nogi, czuła ucisk w żołądku. Stali jak rażeni gromem i wpatrywali się w siebie.

Po chwili Wasia odwróciła się i puściła biegiem. Nie ze szlachetnych pobudek, by zdobyć uzdę i położyć kres temu wszystkiemu. Nie, biegła, by ratować życie.

Usłyszała, jak za jej plecami trzaskają otwierane drzwi teremu, dobiegł ją jego donośny głos. Ona jednak już wpadła przez najbliższe drzwi, jak zjawia przebiegła przez pokój pełen tkaczek i znalazła się na schodach.

Przemknęła przez kolejne drzwi, trafiła do pustej komnaty i z największym wysiłkiem starała się zebrać myśli.

Uzda. Musi zdobyć uzdę. Przed zmrokiem. Jeśli do północy zdoła zapewnić wszystkim bezpieczeństwo, droga przez Północ może mogłaby ich ocalić. Może...

A może umrze, wrzeszcząc przeraźliwie.

Głosy rozbrzmiały tuż za zewnętrznymi drzwiami. Dostrzegła drugie drzwi, prowadzące w głąb pałacu Dymitra, i rzuciła się ku nim. To miejsce było niczym labirynt króliczych nor. Niskie stropy, ciemne komnaty, wiele z nich pełnych skór, beczek z mąką i wzorzystych kobierców. Inne mieściły warsztaty tkackie, stolarskie i szewskie.

Wasia, wciąż biegnąc, wpadła do sali pełnej beli wełny i schowała się za największą z nich. Uklękła, wyjęła zza pasa nóż i chwyciwszy go trzęsącymi się palcami, rozcięła sobie dłoń i skierowała ją w dół, by krople krwi kapały na podłogę.

– Panie – powiedziała w przestrzeń łamiącym się głosem – pomożesz mi? Nie mam złych zamiarów wobec tego domostwa.

Poniżej, na dziedzińcu, Wasia słyszała przekleństwa, krzyki mężczyzn i piski kobiet. Przez komnatę z belami wełny przebiegł służący.

– Podobno ktoś jest w pałacu.

– Czarownica!

– Duch!

Z kąta wyłonił się wyblakły domowik Dymitra.

– Tu grozi ci niebezpieczeństwo – szepnął. – Pop zabije cię z nienawiści, a Niedźwiedź, żeby zrobić na złość bratu.

– Nie dbam o to, co stanie się ze mną – powiedziała Wasia, choć jej cienki, zdyszany głosik przeczył tym brawurowym słowom – dopóki moja siostra i brat będą żyli. Gdzie jest skarbiec?

– Chodź za mną – rozkazał domowik, a Wasia odetchnęła głęboko i ruszyła za nim. Nagle poczuła, że musi sobie podziękować za każdy okrucuch chleba, jaki kiedykolwiek dała temu czy innemu domowemu duszkowi, bo teraz te wszystkie proste dary, chleb i krew, przyśpieszały krok domowika, gdy prowadził ją w głąb szalonego labiryntu pałacu Dymitra.

Coraz głębiej i coraz niżej, aż doszli do pachnącego ziemią korytarza i pod wielkie drzwi z żelaznymi okuciami. Wasia pomyślała o jaskiniach i pułapkach. Nie mogła opanować przyśpieszonego oddechu.

– Tutaj – powiedział domowik. – Szybko. – Chwilę później Wasia usłyszała odgłos ciężkich kroków. Na ścianach poruszały się cienie, miała bardzo mało czasu.

W panice zapomniała, że potrafi być niewidzialna, zapomniała też poprosić domowika o otwarcie drzwi. Zamiast tego rzuciła się do przodu, popędzana tupotem stóp nad głową, i położyła dłoń na drzwiach skarbcza. Rzeczywistość uległa skrzywieniu, drzwi ustąpiły. Zachłysnęła się, wpadła do środka i ukryła pośpiesznie za tarczami z brązu.

Na korytarzu rozległy się kroki.

– Coś słyszałem.

– Wydawało ci się.

Cisza.

– Drzwi są uchylone.

Skrzypienie otwieranych drzwi. Ciężkie kroki.

– Nikogo tu nie ma.

– Co za dureń nie zaryglował drzwi?

– Złodziej?

– Przeszukajcie komnatę.

Czyżby mieli ją tu znaleźć i wywlec na ulice Moskwy, gdzie czeka Konstanty?

Nie. Nie uda im się to.

Nagle na zewnątrz rozległ się grzmot, będący jakby podkreśleniem jej paniki i odwagi zarazem. Pałac się zatrzęsł. Lunał ulewny deszcz.

Pochodnie służących zgasły. Usłyszała ich przekleństwa.

Ręce jej drżały. Odgłosy burzy, ciemność, wielkie drzwi otwierające się pod jej dotknięciem przypominały koszmarny sen. Rzeczywistość zmieniała się zbyt szybko, by ją zrozumieć.

Szok mężczyzn z powodu hałasu i niespodziewanej ciemności zapewnił jej chwilę wytchnienia. Niestety krótką. Zaraz znów zapalą pochodnie. Będą jej szukali i znajdą. Czy tym razem zdoła stać się niewidzialna? Kiedy będą na nią polowali w tym małym pomieszczeniu?

Nie była pewna, więc zacisnęła pięści i pomyślała o Morozce. Pomyślała o śnie przypominającym śmierć, który potrafił zsyłać. Sen. Ci mężczyźni zasną. Musi tylko zapomnieć, że jeszcze nie śpią...

Udało się. Zasnęli. Zwalili się na klepisko w skarbcu.

I nagle, między jednym mrugnięciem a drugim zjawiał się Morozko. To nie ona uśpiła tych mężczyzn, tylko on. Był w skarbcu we własnej osobie, jak najbardziej realny, tuż obok niej.

Skierował na nią spojrzenie bladych oczu. Odwzajemniła je. To naprawdę on. W jakiś sposób przyciągnęła go do siebie, kiedy przypomniła sobie o jego mocy. Jakby przywołanie go było łatwiejsze, niż gdyby sama sprowadziła na tych mężczyzn sen.

Wezwała go. I król zimy zjawił się na jej wezwanie niczym zbłąkany duch.

Oboje uświadomili to sobie w tym samym momencie. Wstrząs na jego twarzy był odbiciem jej uczuć.

Przez chwilę milczeli, wreszcie Morozko zapytał z wysiłkiem:

– Burza z piorunami, Wasiu?

Z trudem poruszając spierzchniętymi wargami, szepnęła:

– To nie ja. To stało się samo.

Morozko pokręcił głową.

– Nie, to nie stało się samo. A teraz, gdy pada deszcz, na dworze jest już wystarczająco ciemno. Niedźwiedź nie musi dłużej zwlekać. Głupia, nie mogę odwracać jego uwagi, tkwiąc w piwnicy! – Morozko nie był ranny, wydawał się jednak... sponiewierany w sposób, którego Wasia nie potrafiła określić, miał dziki wzrok. Wyglądał, jakby stoczył walkę. Prawdopodobnie tak właśnie było, dopóki nieświadomie go nie odciągnęła.

– Nie chciałam – wyjąkała. – Tak bardzo się bałam. – Rzeczywistość trzepotała wokół niej jak tkanina na wietrze. Nie była pewna, czy on naprawdę tu jest, czy tylko go sobie wyobraża. – Wciąż bardzo się boję.

Bez namysłu stuliła dłonie i stwierdziła, że wypełniły je niebieskie płomienie, dzięki którym wyraźnie widziała twarz Morozki. Ogień jej nie parzył. Omal nie wybuchnęła szaleńczym śmiechem, gdy paniczny strach zmieszał się z poczuciem nowo odkrytej mocy.

– Konstanty mnie zobaczył – opowiadała. – Uciekłam. Bardzo się bałam, nie mogłam przestać rozpamiętywać przeszłości, przywołałam więc burzę. A teraz ty tu jesteś. Dwa diabły i dwoje ludzi... – Wiedziała, że plecie bez sensu. – Gdzie uzda? – Rozejrzała się, trzymając ogień w obu dłoniach, jakby to była lampa.

– Wasiu – odezwał się Morozko – dość już magii. Przestań. Wystarczy jak na jeden dzień. Tak bardzo wyginasz umysł, aż w końcu pęknie.

– To nie mój umysł się gniewa – odparła, unosząc ogień między nimi. – Jesteś tutaj, prawda? To wszystko inne. Cały świat się nagina do mojej woli. – Dygotała, płomienie w jej dłoniach drżały.

– Nie ma różnicy pomiędzy światem zewnętrznym a wewnętrznym – powiedział Morozko. – Zamknij dłonie. Przestań. – Pchnął przymknięte drzwi, by otworzyły się szerzej i by z korytarza wpadło więcej światła, po czym ujął dłonie Wasi i zacisnął jej palce na płomieniach. Zniknęły równie szybko, jak się pojawiły. – Wasiu, sama obecność mego brata wywołuje strach, a w ślad za nim pojawia się szaleństwo. Musisz...

Ledwie go słyszała. Roztrzęsiona, rozglądała się za złotą uzdą. Gdzie Olga? Co zrobił Konstanty? Co robi teraz? Wyrwała się z uścisku Morozki i uklękła przy ogromnej skrzyni z żelaznymi okuciami. Z łatwością uniosła wieko. Oczywiście, że tak. W sennych koszmarach nie ma zamków ani rygli. To sen: może robić, co chce. Czy naprawdę jest w piwnicy, znów w Moskwie, ponownie uciekała przed wściekłym tłumem i przywołała króla zimy?

– Dość! – odezwał się Morozko za jej plecami. – Doprowadzisz się do obłądzenia pokonywaniem tych wszystkich niemożliwości. – Jego chłodne bezcielesne dłonie opadły na jej ramiona. – Wasiu, posłuchaj, posłuchaj mnie...

Nadal go nie słyszała. Wpatrywała się w zawartość skrzyni, nie zważając na drżenie swoich rąk.

Morozko podniósł ją, odwrócił i spojrzał jej w twarz.

Oстрыm tonem mruknął coś pod nosem, po czym rozkazał:

– Opowiedz mi o czymś, co jest prawdziwe. Opowiedz mi!

Spoglądała na niego niewidzącym wzrokiem, po czym stwierdziła, wybuchając histerycznym śmiechem:

– Nic nie jest rzeczywiste. Środek nocy to miejsce, na zewnątrz z pogodnego wieczoru zrodziła się burza z piorunami, ciebie tu nie było, a teraz jesteś, a ja tak bardzo się boję...

– Nazywasz się Wasilisa Pietrowna – przerwał jej Morozko brutalnie. – Twoim ojcem był właściciel ziemski imieniem Piotr Władimirowicz. Jako dziecko podkradałaś ciastka z miodem... – Spójrz na mnie! – Siłą uniósł jej twarz ku swojej i kontynuował tę dziwną litanie. Opowiadając jej o prawdziwym życiu. Dalekim od tego koszmaru. – A potem twój koń został zabity przez rozjuszony tłum – ciągnął bezlitośnie.

Szarpnęła się w jego uścisku, nie chcąc dopuścić tego faktu do wiadomości. Może, pomyślała nagle, mogłaby sprawić, żeby Słowik nie umarł, tutaj, w tym koszmarze, gdzie wszystko jest możliwe. On jednak nią potrząsnął, zmusił, by na niego patrzyła, i przemawiał jej do ucha zimowym głosem w tej dusznej piwnicy, przypominając Wasi jej radości i błędy, miłości i skazy, aż znów odnalazła się we własnej skórze, roztrzęsiona, lecz zdolna już zebrać myśli.

Uświadomiła sobie, jak niewiele brakowało, by naprawdę oszalała w tym ciemnym skarbcu, gdzie rzeczywistość rozpadała się niczym zmurszałe drzewo. Zrozumiała także, co przytrafiło się Kościejowi, w jaki sposób stał się potworem.

– Matko Boska – szepnęła. – Dziadek Grzyb mówił, że od magii można oszaleć. Wtedy jednak tego nie pojmowałam...

Morozko patrzył jej uważnie w oczy i nagle uszło z niego całe napięcie.

– A jak myślisz, dlaczego tak niewielu ludzi uprawia magię? – spytał, cofając się o krok. Wciąż czuła na twarzy dotyk jego palców, uświadomiła sobie, jak mocno ją trzymał. Tak samo zresztą jak ona jego.

– Czarty to robią – powiedziała.

– Czarty stosują podstępny i sztuczki. Ludzie są o wiele silniejsi. – Urwał na chwilę. – Albo popadają w obłęd. – Uklęknął przy skrzyni, którą otworzyła. – A kiedy Niedźwiedź jest na swobodzie, łatwiej stać się ofiarą strachu czy szaleństwa.

Odetchnęła głęboko i uklęknęła obok niego. W skrzyni leżała złota uzda.

Wcześniej widziała ją dwukrotnie, raz za dnia na głowie Pożogi, a potem w ciemnej stajni, gdzie złoto zbladło przy ognistym lśnieniu klaczy. Teraz

leżała na kunsztownej poduszce i skrzyła się nieprzyjemnym połyskiem.

Morozko wziął uzdę do rąk tak, że jej części przelewały się niczym woda przez jego palce.

– Żaden czart by tego nie zrobił – powiedział, obracając uzdę. – Nie wiem, jak Kościej ją stworzył. – Wydawał się rozdarty między podziwem a zgrozą. – Myślę jednak, że okiełzna wszystko, na co się ją założy, i ciało, i ducha.

Wasia z odrazą wzięła uzdę z jego rąk. Złoto było ciężkie, giętkie, wędzidło najeżone kolcami. Wasia wzdrygnęła się ze współczuciem, myśląc o bliznach na pysku Pożogi. Rozpięła paski i sprzączki, wodze i kantar, tak że zostały jej dwa złote sznury. Wędzidło cisnęła na podłogę. Dwa sznury leżały w jej dłoniach niby śpiące węże.

– Potrafisz ich użyć? – spytała, oddając je Morozce.

Przyłożył dłoń do złota i się zawahał.

– Nie, to magia stworzona przez śmiertelników i dla nich.

– No dobrze. – Wasia westchnęła. Okręciła sobie sznury wokół nadgarstków, upewniwszy się, że w razie potrzeby szybko je odwinie. – Znajdźmy go zatem.

Rozległ się kolejny grzmot.



23.

Wiana i strach

Konstanty skończył uspokajać tłum pod bramą pałacu Wielkiego Księcia Moskiewskiego. Wyprzęgano konie z powozu księżnej sierpuchowskiej, ona sama i jej służąca zniknęły na schodach wiodących do teremu.

Pewnego dnia, myślał Konstanty ponuro, nie będę studził furie mieszkańców Moskwy, tylko raz jeszcze skłonię ich do bestialskiego ataku. Dobrze pamiętał moc tamtej nocy: tysiące ludzi podatnych na jego najcichsze słowo. Łaknął tej mocy.

„Wkrótce”, obiecał diabeł. „Wkrótce”. Teraz jednak musi wracać do Wielkiego Księcia i zadbać o to, żeby Dymitr nie wysłuchał Aleksandra Pierieswieta.

Odwrócił się, by przemierzyć dziedziniec, i spostrzegł, że na jego drodze stoi mały wąty stworek.

– Biedny naiwniaku – odezwał się dwornik Olgi.

Konstanty zignorował go, zacisnąwszy usta w wąską kreskę, i ruszył przez dziedziniec.

– Okłamał cię, wiesz? Ona nie umarła.

Konstanty mimowolnie zwolnił kroku i odwrócił głowę.

– Ona?

– Ona – potwierdził dwornik. – Idź zaraz do teremu, a sam się przekonasz. Niedźwiedź zdradza wszystkich, którzy idą za nim.

– Mnie by nie zdradził. – Konstanty spojrział na dwornika z odrazą. – Potrzebuje mnie.

– Sam się przekonaj – powtórzył szeptem dwornik. – I pamiętaj, jesteś silniejszy od niego.

– Jestem tylko człowiekiem, on jest demonem.

– I poddanym twojej krwi – szepnął dwornik. – Pamiętaj o tym, kiedy nadejdzie czas. – Z leniwym uśmiechem wskazał schody wiodące do teremu.

Konstanty się zawahał, po czym skręcił w stronę pomieszczeń dla kobiet.

Nie był pewny, co powiedział służącej. Musiało jednak poskutkować, bo wpuszczono go do środka i przez chwilę stał, mrugając w ciemności. Księżna sierpuchowska, nawet nie spojrzawszy w jego stronę, zemdląła. Konstanty natychmiast poczuł obrzydzenie. To tylko kobieta przybyła z wizytą do innej kobiety.

Potem jednak do drzwi podbiegła służąca i on ją rozpoznał.

Wasilisa Pietrowna.

Ona żyje.

Wpatrywał się w nią przez długą, pełną napięcia chwilę. Blizna na twarzy, czarne włosy krótko obcięte... Ale to była ona.

Potem rzuciła się do ucieczki, a on coś krzyknął. Ruszył za nią na oślep, rozglądając się, dokąd pobiegła, lecz na dziedzińcu ujrzał Niedźwiedzia.

Wlókł za sobą jakiegoś człowieka. Albo nie człowieka. Drugiego diabła. Ten drugi miał bezbarwne czujne oczy i wydawał się dziwnie znajomy. Jego kontury zlewały się z cieniem gasnącego dnia.

– Ona tu jest – powiedział Konstanty chrapliwym głosem do Niedźwiedzia. – Wasilisa Pietrowna.

Przez chwilę miał wrażenie, że drugi diabeł się uśmiecha. Niedźwiedź odwinął się i uderzył go w twarz.

– Co tam knujesz, bracie? – spytał. – Widzę to w twoich oczach. Coś kombinujesz. Dlaczego pozwoliłeś jej tu wrócić? Co ona robi?

Diabeł nie odpowiedział. Niedźwiedź odwrócił się do Konstantego.

– Wezwij ludzi i złap ją, człeku boży.

Konstanty się nie poruszył.

– Wiedziałeś – powiedział. – Wiedziałeś, że ona żyje. Kłamałeś.

– Wiedziałem – zniecierpliwiał się Niedźwiedź. – Co za różnica? Teraz umrze. Obaj o to zadbamy.

Konstantemu odebrało mowę. Wasia żyje. Pokonała go jednak. Nawet jego własny potwór jest po jej stronie. Dochował jej tajemnicy. Czyżby wszyscy obrócili się przeciwko niemu? Nie tylko Bóg, lecz również diabeł? I na co się to wszystko zdało, cała ta udręka, umarli wstający z grobów, chwała i proch, żar i wstyd tamtego lata?

Niedźwiedź wypełnił ziejącą czeluść jego wiary samą swoją niepokojącą obecnością i Konstanty zaczął wbrew sobie wierzyć w coś innego niż Bóg. W siłę władzy. W przymierzu ze swoim potworem.

Teraz ta wiara roztrzaskała się u jego stóp.

– Okłamałeś mnie – powtórzył.

– To moja specjalność – przyznał Niedźwiedź, zmarszczył jednak czoło.

Drugi diabeł podniósł głowę i patrzył to na Konstantego, to na Niedźwiedzia.

– Mogłem cię ostrzec, bracie – powiedział beznamiętnym, wyczerpanym głosem. – Przed kłamstwami.

W tym momencie zdarzyły się dwie rzeczy.

Drugi diabeł nieoczekiwanie zniknął, jakby nigdy go tam nie było. Niedźwiedź został sam, wpatrzony w swoją pustą pięść.

Konstanty zaś, zamiast dołączyć do pałacowych strażników biegnących na poszukiwanie Wasi, bez słowa zawrócił do teremu, a w jego duszy płonął jeden rozpaczliwy zamysł.

Tuż za drzwiami skarbcza na Wasię i Morozkę czekał domowik z obłądem w oku.

– Co się dzieje? – zapytała Wasia.

– Jest już ciemno, Niedźwiedź zaraz ich tu wpuści! – krzyknął domowik, któremu wszystkie włosy stanęły dęba. – Dwornik nie utrzyma bramy, a ja chyba nie zdołam ochronić domu.

Rozległ się kolejny grzmot.

– Mój brat skończył z subtelnościami – stwierdził Morozko.

– Chodźmy – rzuciła Wasia.

Wypadli z pałacu na schody i spojrzeli z góry na zmieniony pejzaż. Deszcz padał równym silnym strumieniem, od czasu do czasu rozświetlany błyskawicą. Dziedziniec tonął w błocie, pośrodku jednak stała dziwnie nieruchomo grupka mężczyzn.

Strażnicy, stwierdziła Wasia, mrużąc oczy. Strażnicy Olgi i Dymitra, oszołomieni i zdezorientowani.

Nagle mężczyźni się rozstąpili. Na środku dziedzińca Wasia dostrzegła Konstantego Nikonowicza z mokrymi od deszczu złotymi włosami.

Trzymał za ramię jej siostrę Olgę.

Do jej gardła przyłożył nóż.

I swoim pięknym głosem wołał Wasię.

Strażnicy byli rozdarci między lękiem o księżną a uległością wobec świątobliwego szaleńca. Stali bez ruchu, jeśli którykolwiek z nich protestował przeciwko postępkowi Konstantego, szum deszczu zagłuszał jego słowa. Gdy jeden z wartowników zrobił krok w jego stronę, Konstanty cofnął się, wciąż trzymając nóż przy szyi Olgi.

– Wychodź! – ryknął. – Czarownico! Wyjdź tu albo ją zabiję!

W pierwszym przemożnym odruchu Wasia chciała zbiec na dół do siostry, zmusiła się jednak, by najpierw pomyśleć. Czy to, że zdradzi swoją

obecność, przyniesie Oldze jakikolwiek pożytek? Być może, jeśli Olga się jej wyprze. Mimo to Wasia się wahała. Niedźwiedź stał za popem. Nie patrzył jednak na niego. Wbił wzrok w przesiąkniętą deszczem ciemność.

– Wzywa umarłych – uznał Morozko, patrząc na brata. – Musisz zabrać siostrę z dziedzińca.

To przesądziło sprawę.

– Chodź ze mną – poprosiła, po czym zebrała całą odwagę i z odsłoniętą głową wyszła na deszcz. Strażnicy może by jej nie rozpoznali w burzowym zmroku: dziewczyna, która powinna nie żyć. Konstanty jednak wbił w nią spojrzenie, gdy tylko postawiła nogę na dziedzińcu, i trwał w milczeniu, patrząc, jak idzie w jego stronę.

Najpierw głowę odwrócił jeden strażnik, potem kolejny. Usłyszała ich głosy:

– Czy to...

– Nie, niemożliwe.

– A jednak. Świątobliwy ojciec wiedział.

– To duch?

– Kobieta.

– Wiedźma.

Teraz ich wyciągnięte miecze skierowały się ku niej, jednak nie zwracała na to uwagi. Niedźwiedź, pop, siostra – widziała tylko ich.

Między nią a Konstantym przepływał tak potężny strumień nienawiści i gorzkich wspomnień, że nawet wartownicy musieli go wyczuć, gdyż ją przepuścili. Za jej plecami zamknęli jednak szereg, wciąż dzierżąc miecze.

Wasia dobrze pamiętała ostatni raz, kiedy stała naprzeciwko Konstantego Nikonowicza. Między nimi była krew jej konia i jej życie.

A teraz Olga wpadła w sidła ich wzajemnej wrogości. Wasia pomyślała o płonącej klatce i ogarnęło ją śmiertelne przerażenie, mimo to powiedziała bez drżenia w głosie:

– Jestem tutaj. Puść moją siostrę.

Konstanty nie od razu się odezwał. Uprzedził go Niedźwiedź. Czyżby tylko to sobie wyobraziła, czy też na jego twarzy pojawił się cień niepokoju?

– Wciąż przy zdrowych zmysłach? – zwrócił się do Wasi. – Szkoda. Witaj znowu, bracie – dodał pod adresem Morozki. – Jakież to czary wyrwały cię przedtem z mego uścisku... – Urwał, popatrując to na Wasię, to na króla zimy. – Ach... – westchnął cicho. – Silniejsze, niż mogłem się domyślić: jej moc i wasza więź. Ale mniejsza z tym. Mam znowu cię pokonać?

Morozko nie zareagował. Spojrzenie skierował na bramę, jakby mógł patrzeć na wylot przez okute brązem drewno.

– Pośpiesz się, Wasiu – powiedział.

– Nie powstrzymasz tego – rzucił Niedźwiedź.

Słyszając głos Niedźwiedzia, Konstanty wzdrygnął się. Jego nóż przebił woalkę opadającą na twarz Olgi. Wasia zwróciła się do Konstantego takim tonem, jakby przemawiała do przestraszonego konia:

– Czego ty chcesz, *batiuszka*?

Konstanty nie odpowiedział, widziała, że tak naprawdę sam tego nie wie. Wszystkie jego modlitwy przyniosły jedynie milczenie Boga. Oddanie duszy Niedźwiedziowi nie zapewniło mu ani jego szczerości, ani lojalności. W bolesnym uścisku nienawiści do samego siebie chciał tylko za wszelką cenę zranić Wasię, nie zastanawiał się, co będzie potem.

Ręce mu się trzęsły. Jedynie kokosznik i woalka chroniły Olgę przed przypadkowym zranieniem. Niedźwiedź obrzucił tę scenę dobrotliwym spojrzeniem, sycąc się intensywnymi emocjami, uwagę skupiał jednak na świecie poza murem pałacu Dymitra.

Oldze zbieleły wargi, mimo to nie straciła godności. Odwzajemniła spojrzenie siostry bez drżenia. Z ufnością.

Wasia pokazała Konstantemu otwarte dłonie i oznajmiła:

– Poddam ci się, *batiuszka*. Musisz jednak pozwolić mojej siostrze iść na górę, do teremu, pozwól jej wrócić do kobiet.

– Chcesz mnie przechytrzyć, wiedźmo? – Głos Konstantego wciąż był piękny, lecz gdy opanowanie zniknęło, łamał się i drżał. – Już raz się poddałaś, ale to był tylko podstęp. Mam znowu dać się nabrać? Ty i twoje diabły! Związać jej ręce – rozkazał wartownikom. – I nogi. Umieszczę ją w kaplicy, gdzie diabły nie mogą wejść nieproszone i gdzie ona nie zdoła mnie oszukać.

Strażnicy poruszyli się niespokojnie, żaden z nich jednak nie zrobił kroku.

– No już! – wrzasnął Konstanty, tupiąc. – Żeby jej diabły nie przyszły po nas wszystkich! – Ze zgrozą przenosił wzrok z Morozki u boku Wasi na Niedźwiedzia stojącego obok niego i na domowe czarty, które zebrały się na dziedzińcu. Nie przyglądały się jednak dramatycznej rozgrywce, lecz obserwowały bramę. Pomimo deszczu Wasia wychwyciła powiew zgnilizny. Na wargach Niedźwiedzia pojawił się triumfalny uśmiezek. Nie ma czasu. Musi zabrać stąd Olgę...

Nagle pełną napięcia ciszę przerwał nowy głos:

– Świątobliwy ojczy, co tu się dzieje?

Na dziedziniec wszedł Dymitr Iwanowicz, za jego plecami pomykali służący. Jego długie żółte włosy pociemniały od wody i zwijały się w loki pod czapką. Strażnicy rozstąpili się, żeby go przepuścić. Zatrzymał się pośrodku kręgu i spojrzał na Wasię. Jego twarz wyrażała zdumienie, lecz nie zaskoczenie, jak zauważyła dziewczyna... Odwzajemniła spojrzenie Dymitra z nagłą nadzieją.

– Widzisz? – warknął Konstanty, nie puszczając Olgi. Odzyskał panowanie nad głosem i to słowo wystrzeliło niczym pięść. – Oto czarownica, która wywołała pożar Moskwy. Sądziliśmy, że została słusznie

ukarana, jednak dzięki czarnej magii znów stoi przed nami. – Tym razem strażnicy zaszemrali, jakby zgadzali się z jego słowami. Kilkanaście mieczy mierzyło w pierś Wasi.

– Przytrzymaj ich jeszcze przez parę chwil – polecił Niedźwiedź Konstantemu. – Odniesiemy zwycięstwo.

Twarz Konstantego wykrzywił spazm wściekłości.

– Wasiu, powiedz Dymitrowi, że musicie się schować – odezwał się Morozko. – Nie ma już czasu.

– Dymitrze Iwanowiczu, musimy wejść do pałacu – powiedziała Wasia. – Teraz, zaraz.

– Zaiste czarownica – powiedział Dymitr lodowatym tonem. – Pójdiesz z powrotem na stos, ręczę za to moim tronem. Nie zostawimy przy życiu żadnej czarownicy. Świętobliwy ojciec – zwrócił się do Konstantego – obie te kobiety zostaną jak najsurowiej ukarane. Ale sprawiedliwość musi być im wymierzona na oczach wszystkich, a nie w błocie dziedzińca.

Konstanty się zawahał.

– Kłamstwa, on kłamie! – huknął nagle Niedźwiedź. – On wie. Ten mnich mu powiedział.

Brama zadrżała. Z miasta dobiegały przeraźliwe krzyki. Burzowe niebo rozświetliła błyskawica.

– Cofnąć się! – zagrzemiał Morozko. Tym razem ludzie go usłyszeli. Głowy odwróciły się w jego stronę, wszyscy chcieli zobaczyć, kto przemówił. Na jego twarzy malowała się groza. – Schowajcie się w pałacu albo wszyscy będziecie martwi, zanim wzejdzie księżyc.

Wiatr przywiał smród, od którego Wasi zjeżyły się włoski na całym ciele. Z miasta dobiegły kolejne wrzaski. Światło błyskawicy ukazało dwornika obiema rękami podpierającego trzęsącą się bramę.

– *Batiuszka*, błagam cię! – krzyknęła do Konstantego i padła na kolana w błoto u jego stóp.

Pop dosłownie na moment opuścił na nią wzrok, lecz to wystarczyło. Dymitr odciągnął Olgę od popa w chwili, gdy brama się rozwarła. Nóż Konstantego zaplątał się w woalkę i rozdarł ją z boku przy podbródku księżnej, jednak jej nie zranił, a Wasia natychmiast poderwała się na nogi i odskoczyła do tyłu.

Na dziedziniec pałacu Wielkiego Księcia Moskiewskiego wdarły się żywe trupy.

Tego lata dzuma nie była tak straszna, jak mogłaby być. Nie tak straszna, jak dziesięć lat wcześniej, rozprzestrzeniła się jedynie wśród moskiewskiej biedoty, była jak hubka, która nie chce się porządnie rozpalić.

Ci, którzy umarli, odeszli jednak w strachu, i to ich właśnie mógł wykorzystać Niedźwiedź. I teraz ofiary tego lata weszły przez bramę. Niektórzy byli w odświętnych ubraniach, w których złożono ich do grobów, inni nadzy, o ciałach napuchłych i poczerniałych od choroby, która ich zabiła. Najgorsze jednak, że w ich oczach wciąż widać było strach. Nadal się bali i szukali w ciemności czegoś, co byłoby znajome.

Jeden ze strażników Dymitra wykrzyknął, wpatrując się w nich z przerażeniem:

– Ojcze świętobliwy, ratuj nas!

Konstanty nie mógł wydobyć głosu, stał jak sparalizowany, wciąż z nożem w dłoni. Wasia chciała go zabić, tak jak nigdy nikogo w całym swoim życiu. Pragnęła zagłębić nóż w jego sercu.

Nie było jednak na to czasu. Rodzina znaczyła dla niej więcej niż jej własny żal.

Wobec milczenia Konstantego strażnicy zaczęli się cofać, tracąc odwagę. Dymitr, który wciąż podtrzymywał Olgę, niespodziewanie odezwał się do Wasi, głosem wyraźnym i spokojnym:

– Czy te upiory można zabijać jak ludzi, Wasiu?

Wasia przytoczyła odpowiedź Morozki, którą wyszeptał jej do ucha:

– Nie, ogień ich spowolni, podobnie jak rany, ale to wszystko.

Zirytowany Dymitr zerknął na niebo. Wciąż padał ulewny deszcz.

– Jeśli nie ogień, to rany – stwierdził, po czym wydał zwięzłe rozkazy.

Nie miał takiego głosu jak Konstanty, nie przemawiał miodowym tonem, mówił jednak głośno, energicznie, wręcz pogodnie, zagrzewając ludzi do walki. I nagle to nie była grupka przerażonych mężczyzn, cofających się przed czymś potwornym – to byli wojowie gotowi stawić czoła wrogowi.

W samą porę. Unieśli miecze w chwili, gdy umarli puścili się biegiem, z rozdziawionymi ustami. Przez bramę wchodziło coraz więcej upiorów. Tuzin... jeszcze więcej.

– Morozko! – krzyknęła Wasia. – Czy możesz...

– Mogę powalić ich dotknięciem – odparł. – Ale nie potrafię zapanować nad wszystkimi naraz.

– Musimy wejść do pałacu – powiedziała Wasia. Teraz ona podtrzymywała Olgę. Jej siostra, przyzwyczajona do gładkich posadzek teremu, na błotnistym dziedzińcu poruszała się niezdarnie. Dymitr oraz strażnicy jego i Olgi utworzyli wokół kobiet czworobok najeżony mieczami i wszyscy razem wycofywali się w stronę wejścia do pałacu.

Konstanty wciąż stał na deszczu jak skamieniały. Niedźwiedź czaił się za nim z gorejącymi oczami i radośnie zagrzewał do walki swoją armię.

Pierwsze upiory starły się z wojami Dymitra. Któryś z mężczyzn wrzasnął przeraźliwie. Konstanty się wzdrygnął. Ten mężczyzna, właściwie jeszcze chłopiec, leżał na ziemi z poderżniętym gardłem.

Dotyk Morozki był delikatny, spojrzenie miał jednak srogie, gdy odsyłał upiora z powrotem do grobu, po czym odwrócił się, by tak samo postąpić z dwoma kolejnymi.

Wasia wiedziała, że nie zdołają z Olgą dotrzeć do pałacu. Na rozświetlany błyskawicami dziedziniec napływało coraz więcej upiorów.

Czworobok strażników został otoczony i jedynie ich kruche ciała oddzielały Olgę i Wasię od...

Muszą ujarzmić Niedźwiedzia. Muszą.

Wasia ścisnęła dłoń siostry.

– Muszę im pomóc, Olu – powiedziała.

– Dam sobie radę – odrzekła Olga stanowczo. – Bóg z tobą. – Złożyła dłonie do modlitwy.

Wasia puściła jej rękę i stanęła w szeregu obok Dymitra Iwanowicza.

Wojowie odpierali upiory włóczniami, twarze mieli wykrzywione z przerażenia i obrzydzenia, Dymitr musiał jednak wystąpić do przodu, żeby ściąć jednemu głowę, a wtedy podbiegł drugi, korzystając z wyłomu w czworoboku.

Wasia zacisnęła pięści i zapomniała, że upiór nie płonie.

Potwór zajął się ogniem niczym pochodnią, a potem drugi i trzeci. Nie paliły się jednak długo, deszcz gasił ogień i żywe trupy wciąż nacierały, poczerniałe i jęczące.

Dymitr to zauważył. Kiedy najbliższy upiór stanął w ogniu, jego lśniący miecz przebił się przez wodę i płomienie i odciął mu głowę.

Wielki Książę posłał Wasi uśmiech niekłamanego zachwytu. Policzek miał zakrwawiony.

– Wiedziałem, że władasz mocami nieczystymi – powiedział.

– Bądź wdzięczny, kuzynie – odparowała Wasia.

– Och, jestem – odrzekł Wielki Książę Moskiewski, a jego uśmiech pomimo rześkiego deszczu i koszmarnych stworów rojących się na dziedzińcu przywrócił jej nadzieję. Dymitr się rozejrzał. – Chyba potrafisz wykrzesać coś więcej niż małe ogieńki... kuzynko.

Na to przyznanie się do pokrewieństwa Wasia też się uśmiechnęła, chociaż Dymitr siekł właśnie mieczem kolejnego upiora, po czym w ostatniej chwili uskoczył pod osłonę włóczni swoich ludzi. Podpaliła trzy kolejne zmory, tyle że deszcz zaraz znów szybko zgasił ogień. Trupy

uważały teraz na miecze i włócznie i śmiertelnie się bały rąk Morozki, jednak bóg śmierci był jedynie zjawą w deszczu, mgliście mającym czarnym kształtem i już sześciu wojów leżało bez ruchu w błocie.

Niedźwiedź rozrósł się do gigantycznych rozmiarów, utuczony letnim upałem, chorobą i cierpieniem, a jego głos wydawał się Wasi głośniejszy niż pioruny, gdy podjudzał swą armię. Nie wyglądał już jak człowiek, przybrał kształt niedźwiedzia o barach tak szerokich, że przesłaniał gwiazdy.

Dymitr wbił miecz w kolejnego potwora i nie mógł go wyrwać. Nie chciał stracić broni, lecz Wasia w ostatniej chwili wciągnęła go do szeregu, gdzie był osłaniany przez strażników. Czworobok bardzo się skurczył.

– Oboje krwawicie – stwierdziła Olga, a jej głos drżał tylko odrobinę. Wasia opuściła wzrok i zauważyła, że została draśnięta w ramię, a Dymitr w policzek.

– Nie bój się, Olgo Władimirowa – uspokoił ją Dymitr. Wciąż się uśmiechał, pogodny i spokojny, a Wasia zrozumiała po raz kolejny, dlaczego jej brat czuł taką lojalność wobec księcia.

W kręgu strażników ktoś krzyknął, a Morozko zbyt późno rzucił mu się na ratunek. Niedźwiedź śmiał się nawet wtedy, gdy Morozko powalił upiora. Na dziedziniec przybywały kolejne.

– Gdzie jest Sasza? – spytała Wasia Dymitra.

– Udał się do monasteru po Sergiusza – odrzekł Wielki Książe. – Wysłałem go po niego, gdy tylko pop oszalał. I dobrze się stało. To zadanie dla świętych mężów, nie dla wojowników. Jeśli nie nadejdzie pomoc, wszyscy zginiemy – stwierdził rzeczowo jak dowódca oceniający szanse swoich wojsk. Potem jednak skierował spojrzenie zmrużonych oczu na Konstantego, który stał nieruchomo obok ogromnego cienia Niedźwiedzia. Była w nim śmierć. Upiory nie zważały na popa.

– Wiedziałem, że ten pop coś knuje, kiedy wmawiał mi, iż mój kuzyn jest podłym człowiekiem – powiedział Dymitr, sapiąc i postępując, bo odciął właśnie głowę kolejnemu upiorowi. Po chwili podjął. – Kazałem

wtrącić Saszę do więzienia, żeby zmylić Konstantego. Kiedy poszedłem się zobaczyć z twoim bratem, wszystko mi powiedział. W samą porę. Zawsze miałem tego popa za szarlatana, ale nigdy bym nie pomyślał...

Dymitrowi wydawało się, że Konstanty sam panuje nad umarłymi. Nie mógł zobaczyć Niedźwiedzia. Wasia wiedziała więcej. W świetle błyskawic ujrzała udręczoną twarz Konstantego, dostrzegła także zawziętą, radosną, niepokonaną gębę Niedźwiedzia.

– Muszę dotrzeć do Konstantego – rzekła. – Stoi obok diabła, który jest temu wszystkiemu winny. Ale nie przejdę żywa przez dziedziniec.

Dymitr zacisnął usta. Przez chwilę nic nie mówił. Wreszcie kiwnął głową, odwrócił się i zaczął wydawać swoim ludziom zdecydowane rozkazy.

– Nie masz władzy nad umarłymi – wyszeptał dwornik do ucha Konstantego. Ten tylko lekko się wzdrygnął, tak był pochłonięty strasznymi scenami rozgrywającymi się na dziedzińcu. – Masz jednak władzę nad nim.

Konstanty odwrócił się powoli.

– Tak?

– Twoja krew uwiąże diabła. Nie jesteś bezsilny.

Wasia czuła odór ziemi, zgnilizny i zakrzepłej krwi. Ogłuszał ją szum deszczu i szuranie wielu stóp. Wszystko oświetlały błyskawice, podkreślając jeszcze makabryczność tego, co się działo. Wasia słyszała, jak Olga, wciąż chroniona przez krąg mężczyzn, modli się cicho i nieprzerwanie.

Twarz Morozki pałała strasznym niebieskobiałym blaskiem, mokre od deszczu włosy przykleiły mu się do czaszki, nie wyglądał jak człowiek. Wasia widziała gwiazdy z lasu poza życiem odbite w jego oczach. Kiedy

mijał krąg mężczyzn, chwyciła go za łokieć. Odwrócił się. Przez chwilę z jego spojrzenia bił cały ciężar jego dziwnej mocy i odwiecznych lat. Po chwili na jego twarzy znów pojawiła się odrobina człowieczeństwa.

– Musimy iść do Niedźwiedzia – powiedziała Wasia.

Kiwnął głową, nie była pewna, czy potrafi mówić.

Dymitr skończył wydawać rozkazy i jego ludzie się rozdzielili. Olga pozostała w pomniejszonym kręgu wciąż kierującym się ku wejściu do pałacu.

Reszta wojów utworzyła klin i z krzykiem ruszyła w stronę Niedźwiedzia i Konstantego, przedzierając się przez kłębowisko umarłych.

Wasia pobiegła wraz z nimi i po obu jej stronach w ogniu stanęło kilkanaście upiorów. Morozko łapał je za nadgarstki i za gardła i wypędzał.

Było ich tak wiele. Nadciągały teraz wolniej, lecz wciąż skupiały się wokół Niedźwiedzia, obstępowały go ze wszystkich stron. Wojowie się zawahali. Na ich twarzach malowała się odraza i strach. Nawet Dymitr wydał się nagle zalękniony.

To było dzieło Niedźwiedzia, który uśmiechał się triumfalnie. Zjawy ruszyły naprzód ze wznowioną siłą. Jeden z wojów upadł z rozerwanym gardłem, potem następny. Trzeci wrzasnął przeraźliwie, gdy ostre kły wbiły się w jego przegub.

Wasia zacisnęła zęby. Ją też zżerał strach, jednak on nie był prawdziwy. Wiedziała o tym. To była sztuczka Niedźwiedzia. Znów wyzwoliła z duszy ogień i tym razem buchnął z ociekającego wodą futra potwora.

Odwrócił głowę, kłapnął zębami i ogień natychmiast zgasł. Wykorzystała jednak ten moment nieuwagi. Podczas gdy Morozko odciągał od niej upiory, przebiegła ostatnich kilka kroków, odwinęła z nadgarstka złotą linę i spróbowała zarzucić ją Niedźwiedziowi na głowę. Niestety zdołał się uchylić. Złota lina chybiła o włos. Odsunął się ze śmiechem, rozdziawiając gębę, by pochwycić Morozkę. I chociaż demon mrozu w porę uskoczył, Wasia nie miała czasu na kolejną próbę, bo król zimy oddalił się od niej i obstąpiły ją upiory.

– Wasiu! – krzyknął.

Oślizgła ręka złapała ją za włosy, nie zdołała nawet zerknąć kto to, tylko od razu podpałała tę istotę. Ta odskoczyła, wyjąc. Było ich jednak tak dużo.... Klin Dymitra się rozpadł, wojowie walczyli z potworami jeden na jednego na całym dziedzińcu. Niedźwiedź trzymał Morozkę z dala od Wasi, zmory znów ją otaczały...

Od strony bramy dobiegł nieznany głos. To nie był czart ani upiór.

To był brat Wasi stojący tam z mieczem w dłoni. Towarzyszył mu jego mistrz, Sergiusz z Radoneża. Obaj byli rozczochrani, ubranie mieli w nieładzie, jakby przedzierając się przez miasto, zaznali wielu niebezpieczeństw. Po mieczu Saszy spływał deszcz.

Sergiusz uniósł rękę i uczynił znak krzyża.

– W imię ojca – przemówił.

Upiory znieruchomiały. Nawet Niedźwiedź zamarł na dźwięk jego głosu. Gdzieś w ciemności rozległo się bicie dzwonu.

W oczach króla zimy pojawił się cień strachu.

Twarz Konstantego oświetliła błyskawica, rozdziawił usta z podszytego lękiem zdumienia. On sądził, że na tym świecie nie ma niczego poza diabłami i jego wolą, pomyślała Wasia.

Modlitwa Sergiusza była cicha, wyważona. Jego głos przebijał się jednak przez szum deszczu, a każde słowo rozbrzmiewało wyraźnie na całym dziedzińcu.

Upiory ani drgnęły.

– Zostańcie w spokoju. I nie zakłócajcie więcej świata żywych – zakończył Sergiusz.

I, rzecz niebywała, wszystkie upiory runęły na ziemię.

Wyczerpany Morozko głośno wypuścił powietrze.

Wasia dostrzegła wykrzywiony wściekłością pysk Niedźwiedzia. Nie docenił ludzkiej wiary i jego armia w jednej chwili zniknęła. Sam

Niedźwiedź jednak wciąż pozostawał wolny, nieujarzmiony. Jeszcze chwila, a ucieknie w burzową noc.

– Morozko – syknęła Wasia. – Szybko...

W tym momencie kolejna błyskawica przecięła niebo i ukazała Konstantego stojącego przy ogromnym cieniu Niedźwiedzia, z pociemniałymi od deszczu złotymi włosami. Jego donośny głos niesiony porywistym wiatrem rozbrzmiał wyraźnie w uszach Wasi.

– Na ten temat też kłamałeś – powiedział Konstanty cicho, lecz dobitnie. – Mówiłeś, że nie ma Boga, ale świątobliwy ojciec pomodlił się i...

– Boga nie ma – usłyszała Wasia odpowiedź Niedźwiedzia. – Jest tylko wiara.

– Co za różnica?

– Nie wiem. Chodź, musimy iść.

– Skłamałeś, diable. Znowu skłamałeś. – Ten nieskazitelny głos nagle się załamał, przeszedł w chrypienie przypominające starczy kaszel. – Bóg tam był, przez cały czas.

– Może tak – mruknął Niedźwiedź. – A może nie. Prawda jest taka, że nikt tego nie wie, ani człowiek, ani diabeł. Chodź teraz ze mną. Jeśli zostaniesz, zabiją cię.

Konstanty wytrzymał spojrzenie Niedźwiedzia.

– Nie – odrzekł. – Nie zabiją. – Uniósł nóż. – Wracaj tam, skąd wypełzłeś – wycedził. – Mam jedną moc. Czarty też mi to powiedziały, poza tym kiedyś i ja byłem człowiekiem bożym.

Niedźwiedź wysunął szponiastą łapę, jednak pop był szybszy i przeciągnął nożem po swoim gardle.

Niedźwiedź wyrwał mu nóż. Za późno. Wszystko odbyło się bez słowa. Niebo znów przecięła błyskawica. Wasia zobaczyła twarz Niedźwiedzia, widziała, jak podtrzymuje upadającego Konstantego i przykłada ręce – teraz to znów były ludzkie ręce – do krwi tryskającej z rany na jego szyi.

Wasia podeszła bliżej, zarzuciła sznur na szyję Niedźwiedzia i mocno zacisnęła.

Tym razem nie zrobił uniku. Nie mógł, sparaliżowany ofiarą popa. Wzdrygnął się tylko i zwiesił głowę pod działaniem złotego sznura.

Drugim sznurem Wasia okręciła mu nadgarstki. Nawet się nie poruszył. Powinna triumfować.

Było już po wszystkim, zwyciężyli.

Kiedy jednak Niedźwiedź na nią spojrział, na jego twarzy nie malowała się już wściekłość. Odszukał wzrokiem swojego brata bliźniaka.

– Proszę – wyszeptał.

Proszę? Miej litość? Uwolnij mnie raz jeszcze? Wasia nie była przekonana, że o to chodzi. Nie rozumiała.

Spojrzenie Niedźwiedzia znów padło na popa konającego w błocie. Potwór sprawiał wrażenie, jakby nie zauważył złotego sznura.

– Wiesz, że tego nie zrobię. – W głosie Morozki słychać było triumf i dziwną nutę, jakby niechętnie zrozumienie.

Niedźwiedź wykrzywił usta. To nie był uśmiech.

– Wiem – przyznał. – Musiałem spróbować.

Złota i błękitna głowa popa była ciemna od deszczu i blada od śmierci. Uniósł zakrwawioną dłoń. Niedźwiedź wysapał:

– Daj mi go dotknąć, przekłeta.

Wasia cofnęła się oszołomiona, pozwalając, by Niedźwiedź uklęknął i ujął drżącą dłoń Konstantego. Zacisnął na niej grube palce, nie zważając na krępujący mu nadgarstki sznur.

– Jesteś głupcem, człeku boży – powiedział. – Niczego nie rozumiałeś.

– Niby czego? – wycharczał Konstanty.

– Że jestem lojalny na mój własny sposób – odrzekł Niedźwiedź. Jego wargi drgnęły. – Kochałem twoje dłonie.

Dłoń artysty o ekspresyjnych palcach i okrutnych szpiczastych paznokciach w uścisku czarta była bezwładna niczym martwy ptak. W oczach Konstantego, zamglonych, wpatrzonych w Niedźwiedzia, widać było zdziwienie.

– Jesteś diabłem – powtórzył, z trudem łapiąc powietrze. – Ja nie... Czyż nie zostałeś pokonany?

– Zostałem pokonany, człeku boży.

Konstanty miał szeroko otwarte oczy, lecz Wasia nie potrafiłaby stwierdzić, na co patrzy. Być może widział nad sobą twarz stwora, którego kochał i nienawidził, tak jak kochał i nienawidził samego siebie.

A może widział jedynie oświetlony gwiazdami las i biegnącą prosto drogę.

Być może na jej końcu czekał go spokój.

A może tylko cisza.

Niedźwiedź położył głowę Konstantego w błocie, włosy popa nie były już złote, lecz ciemne od krwi i wody. Wasia uświadomiła sobie, że przyciska dłoń do ust. Żli ludzie nie powinni odczuwać żalu ani odnajdywać wreszcie Boga w czyjejś niezachwianej wierze.

Niedźwiedź wypuścił powoli dłoń popa z uścisku i równie powoli się podniósł. Wydawało się, że złoty sznur mu ciąży, lśniąc złowieszczym blaskiem. Owinięte złotą liną dłonie Niedźwiedzia zacisnęły się na rękach króla zimy.

– Bracie, prowadź tego popa łagodnie – poprosił. – Jest teraz twój, nie mój. – Spojrzał na kształt leżący w błocie.

– Ostatecznie nie należy do żadnego z nas – odparł Morozko. Wasia się przeżegnała, prawie bezwiednie.

Z otwartych oczu Konstantego, niczym łzy, wypływała woda deszczowa.

– Twoje zwycięstwo – powiedział Niedźwiedź do Wasi i skłonił się do samej, usianej trupami ziemi. Głos miał zimniejszy niż głos Morozki. – Oby przyniosło ci radość. – Nie odpowiedziała. – W modlitwach tego

człowieka zobaczyłaś nasz koniec. – Ruchem głowy wskazał Sergiusza. –
Bracie, będziemy trwali w naszej wiecznej wojnie, nawet kiedy
przemienimy się w proch i szron. Świat jest na zawsze zmieniony. Nie ma
już nadziei dla czartów.

– Będziemy się dzielili tym światem – powiedziała Wasia. – Znajdzie się
w nim miejsce dla nas wszystkich: ludzi, diabłów oraz dzwonów.

Niedźwiedź zaśmiał się cicho.

– Idziemy, mój bracie bliźniaku?

Morozko bez słowa wyciągnął rękę i chwycił złotą linę krępującą
nadgarstki brata. Zerwał się lodowaty wiatr i obydwaj rozplłynęli się
w ciemności.

Woda spływała z włosów Dymitra i z jego zakrwawionej ręki
trzymającej miecz. Ciężkim krokiem przemierzył dziedziniec, odgarniając
z oczu mokre włosy.

– Cieszę się, że żyjesz, kuzynko – powiedział do Wasi.

– Ja też – odrzekła drwiąco.

– Zabierzcie księżną sierpuchowską do domu – zwrócił się Dymitr do
Wasi i jej brata. – A potem... wróćcie tu oboje. Tylko, na litość boską, żeby
nikt was nie widział. To jeszcze nie koniec. To, co teraz nadejdzie, będzie
gorsze niż tych kilku zmarłych.

I odszedł, nie dodając ani słowa, grzęznąc w błocie i wydając kolejne
rozkazy.

– Co ma nadejść? – spytała Wasia Saszę.

– Tatarzy. Odprowadźmy Olgę do domu, chcę się przebrać w coś
suchego.



Część piąta





24.

Zakrety

Kiedy Olga była już bezpieczna w teremie swojego pałacu, Wasia i Sasza zmienili brudne przemoczone ubrania i pośpiesznie wrócili do siedziby Wielkiego Księcia. Wasia zarzuciła na ramiona futrzaną pelerynę, którą dostała w krainie Północy, ponieważ deszcz zakończył upały i w wilgotnej ciemności było chłodno.

Zostali wpuszczeni tylną bramą i natychmiast zaprowadzeni w milczeniu do małej sali audiencyjnej Dymitra. Przez szeroko otwarte okna wpadał z wyciem wiatr. Nie było żadnych służących, tylko zastawiony stół ze słojem i czterema kielichami, a także chlebem, wędzoną rybą i marynowanymi grzybami – przez wzgląd na Sergiusza strawa nie była wyszukana. Stary mnich czekał na nich razem z Dymitrem. Sączył powoli miód i wyglądał na bardzo zmęczonego.

Dymitr wstał, energiczny i niecierpliwy, o niespożytych siłach, w tle miał winorośle, kwiaty i świętych namalowanych na ścianach.

– Siadajcie – zaprosił Saszę i Wasię. – Jutro będę musiał zapytać o zdanie moich bojarów, ale najpierw chcę sam podjąć decyzję.

Nalano miodu do kielichów, a Wasia, która bez apetytu przełknęła tylko kilka kęsów, kiedy zatrzymali się nad rzeką, teraz syciła się chlebem i dobrą tłustą rybą, słuchając rozmowy mężczyzn.

– Powinienem był się domyślić – mówił Dymitr. – Ten żółtowłosy szarlatan paradujący po Moskwie i egzorcyzmujący upiory. Sądziliśmy, że

to boska moc, a on przez cały czas był w przymierzu z diabłem.

Wasia żałowała, że Dymitr poruszył ten temat. Wciąż miała przed oczami mokrą od deszczu twarz Konstantego.

– Dobrze, że się go pozbyliśmy – ciągnął Dymitr.

– Nie wezwaleś nas tu chyba, mimo naszego zmęczenia, żeby się tym napawać – mruknął Sasza.

– Nie – przyznał Dymitr, spuściwszy z tonu. – Dostaję raporty: Tatarzy są przy dolnym nurcie Wołgi i idą na północ. Mamaj nadciąga. Nie mam żadnych wieści o Włodzimierzu Andriejewiczu. Srebro...

– Straciliśmy srebro – wtrąciła się Wasia. – Wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę. – W powodzi. – Odstawiła kielich i się wyprostowała. –

Jeśli miało być okupem za Wielkie Księstwo Moskiewskie, Dymitrze Iwanowiczu, nie zostało dostarczone. – Trzej mężczyźni wciąż się w nią wpatrywali. Wasia spokojnie odwzajemniała ich spojrzenia. – Przysięgam, że to prawda. Mam wam powiedzieć, skąd to wiem?

– Nie jestem ciekaw. – Dymitr się przeżegnał. – Wolałbym dowiedzieć się czegoś więcej o Włodzimierzu. Czy żyje? Zginął? Trafił do niewoli?

– Tego nie wiem. Ale mogłabym sprawdzić.

Dymitr tylko zmarszczył z namysłem czoło i zaczął przemierzać salę: posepny, niespokojny, w postawie i ruchach niczym lew.

– Jeśli moi szpiedzy potwierdzą to, co powiedziałaś o srebrze, wyślę wiadomości do ruskich książąt. Nie mamy wyboru, musimy zmobilizować armię w Kołomnie, zanim księżyc zniknie, i ruszyć na południe, by walczyć. A może mamy pozwolić, by Ruś została podbita? – Te słowa skierował do wszystkich, lecz patrzył na Saszę, który błagał go kiedyś, żeby nie stawał do walki z Tatarami.

Teraz Sasza zapytał równie posepnie jak Dymitr:

– Którzy książęta stawią się na wezwanie?

– Rostów, Starodub. – Dymitr prostował kolejne palce. Wciąż chodził tam i z powrotem. – Te księstwa, które są moją własnością lenną. Niżny

Nowogród, bo jego książę jest moim teściem. Twer, na mocy traktatu. Ale co z księciem sierpuchowskim? Jest mądrym i lojalnym doradcą i będę potrzebował jego ludzi. – Zatrzymał się i popatrzył na Wasię.

– A Oleg Rianzański? – zapytał Sasza.

– Oleg się nie stawia. Rianzań jest zbyt blisko Saraju, a Oleg jest z natury ostrożny, nie będzie ryzykował, bez względu na opinię swoich bojarów. Jeśli już, pomaszeruje razem z Mamajem. Ale i tak staniemy do walki, bez Riazania i bez Sierpuchowa, jeśli będzie trzeba. Jaki mamy wybór? Próbowaliśmy wykupić Wielkie Księstwo Moskiewskie, lecz się nie udało. Mamy się poddać, czy też będziemy walczyć? – To pytanie skierował do wszystkich trojga. Nikt nie odpowiedział. – Jutro wyślę posłańców do książąt. Ojciec – zwrócił się do Sergiusza – czy pojedziesz z nami, by pobłogosławić armię?

– Pojadę, mój synu – odrzekł Sergiusz. Wydawał się znużony. – Ale wiesz, że nawet zwycięstwo będzie cię drogo kosztować.

– Gdybym mógł, uniknąłbym wojny. Jednak nie mogę, więc... – Twarz Dymitra pałała. – Po całym lecie strachu i czołobitności wreszcie będziemy walczyć. Bóg da, a nadejdzie czas, by zrzucić jarzmo.

I niech Bóg im pomoże, pomyślała Wasia. Gdy Dymitr przemawiał w taki sposób, wierzyli mu. Nie miała wątpliwości, że książęta stawiają się na jego wezwanie. Niech Bóg ma nas w swej opiece.

Nagle Wielki Książę zwrócił się właśnie do niej:

– Mam oręż twego brata. I błogosławieństwo świątobliwego ojca. A co dostanę od ciebie, Wasiliso Pietrowna? Było mi przykro, gdy myślałem, że nie żyjesz. Potem jednak usłyszałem, że to ty wywołałaś pożar mojego miasta.

Wstała, by mu odpowiedzieć.

– Zawiniłam wobec ciebie, *gosudar*, jednak dwa razy pomogłam pokonać wrogów zagrażających miastu. Pożar wybuchł z mojej winy, lecz śnieżyca... ją też wywołałam. A jeśli chodzi o karę... Zostałam ukarana. –

Odwróciła głowę, tak by blizna na jej policzku była dobrze widoczna

w blasku ognia. Dyskretnie zacisnęła palce na rzeźbionym słowiku, którego skrywała w rękawie, jednak przed tymi mężczyznami nie zamierzała okazywać smutku po śmierci swego konia. – Czego ode mnie żądasz?

– Dwa razy omal nie spłonęłaś żywcem, a jednak wróciłaś, żeby ocalić to miasto przed złem. Może powinnaś zostać nagrodzona? Czego ty zażądasz, Wasiliso Pietrowna?

– Istnieje sposób, by dowiedzieć się, czy Włodzimierz Andriejewicz żyje. Jeśli żyje, zamierzam go odnaleźć. Zmobilizujesz armię w ciągu dwóch tygodni?

– Tak – odparł Dymitr ostrożnie. – Ale...

Nie pozwoliła mu dokończyć.

– Będę tam. A jeśli Włodzimierz Andriejewicz żyje, on również tam będzie ze swoimi ludźmi.

– To niemożliwe – mruknął Dymitr.

– Jeśli mi się uda, uznam, że spłaciłam swój dług wobec ciebie i wobec tego miasta. A teraz? Proszę cię jedynie, byś mi zaufał. Nie chłopcu imieniem Wasilij Pietrowicz, który nigdy nie istniał, lecz mnie.

– Dlaczego miałbym ci ufać, Wasiliso Pietrowna? – spytał Dymitr, świdrując Wasię wzrokiem. – Jesteś czarownicą.

– Broniła cerkwi przed złem – wtrącił Sergiusz i uczynił znak krzyża. – Niezbadane są dzieła Boże.

Wasia też się przeżegnała.

– Może i jestem czarownicą, Dymitrze Iwanowiczu, lecz siły Rusi muszą się teraz połączyć: książę, cerkiew i niewidzialny świat. W przeciwnym razie nie ma nadziei na zwycięstwo.

Najpierw potrzebowałam ludzi, żeby pomogli mi pokonać diabła, pomyślała. Teraz będę potrzebowała diabłów, by pokonać ludzi.

Kto jednak, jeśli nie ona, mógłby tego dokonać? „Możesz stać się pomostem między ludźmi i czartami”, powiedział Morozko. Miała wrażenie, że teraz to rozumie.

Przez chwilę słyhać było tylko triumfalne wycie wiatru wpadającego przez okna. A potem Dymitr powiedział:

– Zaufam ci. – Położył dłoń na jej głowie: książęce błogosławieństwo dla wojownika. Zamarła. – Czego potrzebujesz?

Zastanowiła się. Wciąż czuła dumę z powodu tych słów: „Zaufam ci”.

– Ubranie, jakie mógłby nosić syn kupca – powiedziała.

– Kuzynie, jeśli ona pojedzie, muszę jej towarzyszyć. Odbyła już dość podróży bez kogokolwiek bliskiego – odezwał się Sasza.

Dymitr nie krył zaskoczenia.

– Potrzebuję cię tutaj. Mówisz po tatarsku, znasz tereny między Moskwą a Sarajem.

Sasza nie odpowiedział.

Nagle na twarzy Dymitra odmalowało się zrozumienie. Może przypomniał sobie tamtą noc, gdy zapłonął stos, kiedy siostrę Saszy siłą wyciągnięto w mrok.

– Nie będę cię zatrzymywał, Saszo – zadeklarował niechętnie. – Musisz jednak wrócić do dnia mobilizacji wojsk, czy jej się uda, czy nie.

– Saszo... – zaczęła Wasia, lecz on podszedł do niej i powiedział cicho:

– Opłakiwałem cię. Nawet kiedy Warwara zapewniała, że żyjesz. Gardziłem sobą za to, że pozwoliłem, by moja siostra zmagala się sama z takim koszmarem, i gardziłem sobą, kiedy pojawiłaś się przy moim ognisku tak odmieniona. Nie pozwolę ci jechać samej.

Wasia położyła rękę na ramieniu brata.

– W takim razie, jeśli pojedziesz dziś ze mną... – ścisnęła go mocniej, ich spojrzenia się spotkały – ostrzegam cię, że ta droga prowadzi przez ciemność.

– W takim razie będziemy jechali w ciemności, siostrze.

Kiedy wrócili do pałacu Olgi, Warwara czekała na nich w łaźni. Sasza wykapał się szybko i poszedł się położyć. Północ – godzina ich wyjazdu – miała nadejść wkrótce. Wasia jednak zwlekała.

– Nigdy ci nie podziękowałam za tamtą noc na rzece – zagadnęła Warwarę. – Uratowałeś mi życie.

– Mogło mi się nie udać – odrzekła Warwara. – Nie wiedziałam, co mogę dla ciebie uczynić poza pogrążeniem się w żalu. Ale przemówiła do mnie Północnica. Od tak dawna nie słyszałam jej głosu. Powiedziała mi, co trzeba zrobić, tak więc przyszedłam na rzekę, gdzie płonął stos.

– Warwaro, w krainie Północy poznałam twoją matkę.

Służąca zacisnęła wargi.

– Pewnie sądziła, że to wróciła Tamara. Że odzyskała córkę i to taką, nad którą może mieć władzę, a nie pannę zakochaną w czarowniku.

Na to Wasia nie znalazła odpowiedzi. Zamiast tego zapytała:

– Dlaczego przyjechałaś do Moskwy? Dlaczego zostałam służącą?

Na twarzy Warwary rozgorzał dawny gniew.

– Nie mam daru widzenia. Nie mogę zobaczyć czartów, czasem słyszę te silniejsze i znam trochę mowę koni, to wszystko. W królestwie mojej matki nie było dla mnie cudów, tylko zimno, niebezpieczeństwo i wyobcowanie, a później jeszcze jej złość. Tamarę potraktowała zbyt surowo. Zostawiłam ją więc, wyruszyłam na poszukiwanie siostry. Kiedy dotarłam do Moskwy, człowieczego miasta, znalazłam Tamarę, lecz nie mogłam jej już pomóc, była zgnębiona i zbłąkana, przygnieciona żalem ponad jej siły. Urodziła córkę, którą chroniałam, jak mogłam. – Wasia pokiwała smutno głową. –

Kiedy jednak ta córka wyjechała na północ, żeby wyjść za mąż, nie towarzyszyłam jej. Miała nianię, a jej mąż był dobrym człowiekiem. Nie chciałam żyć w bezludnej krainie wśród lasów, lubiłam dźwięk dzwonów, barwy i pośpiech Moskwy. Zostałam zatem i czekałam. Po pewnym czasie zjawiała się inna dziewczyna z mojego rodu i znów czułam się spełniona, opiekując się twoją siostrą i jej dziećmi.

– Ale dlaczego zostałam służącą?

– Jeszcze pytasz? – zdumiała się Warwara. – Służące mają większą wolność niż szlachetnie urodzone damy. Mogłam chodzić wszędzie, dokąd chciałam, grzać się w słońcu z odkrytą głową. Byłam szczęśliwa. Czarownice umierają samotnie. Matka i siostra pokazały mi to na własnym przykładzie. Czy tobie twój dar przyniósł szczęście, ognista panno?

– Tak – odparła krótko Wasia. – Lecz także smutek. – W jej głosie pojawiła się gniewna nuta. – Skoro znałaś ich oboje, Tamarę i Kasjana, dlaczego nic dla niej nie zrobiłaś, kiedy umarła? Dlaczego nas nie ostrzegłaś, kiedy Kasjan przyjechał do Moskwy?

Warwara nie poruszyła się, nagle jednak jej twarz się wyostrzyła, zrobiła się bardziej pomarszczona i jakby zapadnięta na wspomnienie dawnej udręki.

– Wiedziałam, że moja siostra nawiedza pałac, nie mogłam jednak skłonić jej do odejścia i nie wiedziałam, dlaczego wciąż tam jest. Kiedy Kasjan się zjawiał, nie rozpoznałam go. W Moskwie wyglądał inaczej niż wtedy, gdy uwiódł Tamarę nad jeziorem podczas letniego przesilenia. – Musiała dostrzec niedowierzanie w oczach Wasi, ponieważ wybuchnęła:

– Nie jestem taka jak ty, nie mam przepastnych oczu i szaleńczej odwagi. Jestem tylko kobietą niegodną mego pochodzenia, która robi, co może, by zadbać o swoich bliskich.

Wasia bez słowa wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Warwary. Milczały przez chwilę. Wreszcie Wasia spytała z wysiłkiem:

– Powiesz mojej siostrze?

Warwara już otworzyła usta, by odpowiedzieć coś ostro, jednak się zawahała.

– Nigdy wcześniej się nie ośmieliłam – przyznała niechętnie. – Dlaczego miałyby dać mi wiarę? Nie wyglądam tak staro, bym mogła być czyjąś cioteczną babką.

– Myślę, że Olga widziała ostatnio dość dziwów, by uznać, że mówisz prawdę. Sądzę, że powinnaś jej powiedzieć, sprawiłabyś jej radość. Chociaż cię rozumiem. – Wasia zobaczyła Warwarę w innym świetle: miała silne ciało, żółte włosy, jedynie leciutko poprzetykane siwizną. – Ile masz lat?

Warwara wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Więcej, niż na to wyglądam. Nasza matka nigdy nam nie wyjawiała, kto był naszym ojcem. Zawsze jednak przypuszczałam, że moje długie życie to swego rodzaju podarunek od niego. Kimkolwiek był. Jestem tu szczęśliwa, naprawdę, Wasiliso Pietrowna. Nigdy nie pragnęłam władzy, tylko ludzi, o których mogłabym się troszczyć. Ocal Moskwę i zabierz moją dzięk Maszę tam, gdzie będzie mogła oddychać pełną piersią, a będę szczęśliwa.

Wasia się uśmiechnęła.

– Tak zrobię... ciociu.

Warwara się oddaliła, a Wasia dokończyła kąpiel i się ubrała. Potem wyszła na kryty pasaż łączący łaźnię z teremem. Wciąż padał deszcz, lecz nie tak ulewny. Błyskawice były rzadsze, burza przesunęła się dalej.

Chwilę trwało, nim Wasia wypatrzyła ten cień. Znieruchomiała, na plecach czuła szorstkie drewno drzwi do łaźni.

– Udało się? – wyszeptała.

– Udało – potwierdził Morozko. – Jest skrepowany moją mocą, poprzez ofiarę swojego cziciela oraz przez złotą uzdę Kościeja, a więc po trzykroć. Już nigdy nie wyrwie się na wolność. – Deszcz był teraz zimny, ubijał letni pył na dziedzińcu.

Wasia oderwała się od drzwi. Krople uderzały cicho o dach. Zrobiła kilka kroków, aż mogła zobaczyć jego twarz i zadać dręczące ją pytanie:

– Co miał na myśli Niedźwiedź, kiedy powiedział do ciebie „proszę”?

Morozko zmarszczył czoło, zamiast jednak odpowiedzieć słowami, uniósł dłoń, w której natychmiast zebrała się woda.

– Zastanawiałem się, czy o to zapytasz. Daj mi rękę.

Zrobiła to, a on pokropił wodą rany na jej ręce i palcach. Zagoiły się natychmiast, choć towarzyszyło temu ostre ukłucie bólu. Cofnęła dłoń.

– Woda śmierci – wyjaśnił Morozko, strzepując resztę kropel. – To moja moc. Mogę odradzać ciało, żywe lub martwe.

Od pierwszej nocy, kiedy spotkała go w lesie i uleczył jej odmrożenia, wiedziała, że potrafi goić rany. Nie powiązała tego jednak z bajką, nie sądziła...

– Mówiłeś, że umiesz uzdrawiać jedynie te rany, które sam zadałeś.

– To prawda.

– Kolejne kłamstwo?

Zacisnął usta.

– Część prawdy.

– Niedźwiedź chciał, żebyś przywrócił Konstantego do życia?

– Nie „przywrócił”. Mogę naprawiać ciało, lecz on odszedł zbyt daleko. Niedźwiedź chciał, żebym wygoił ciało popa, by on sam mógł wrócić go do życia. Mój brat i ja wspólnie potrafimy wskrzeszać umarłych, ponieważ darem Niedźwiedzia jest woda życia. Dlatego właśnie powiedział „proszę”.

Wasia zmarszczyła czoło i przyjrzała się swoim uleczonym palcom, bliznom na dłoni i nadgarstku.

– Tylko my nigdy nie działamy razem. On jest potworny, zarówno on sam, jak i jego moc.

– Niedźwiedź cierpiał – zauważyła Wasia. – Cierpiał, kiedy ojciec Konstanty...

Morozko cmoknął niecierpliwie.

– Nawet potwory mogą cierpieć, Wasiu.

Nie odpowiedziała. Stała bez ruchu, podczas gdy wokół nich padał deszcz, znów przytłoczona tym wszystkim, czego nie wiedziała. Król zimy był częścią wciąż trwającej burzy, jego człowieczeństwo stanowiło jedynie cień jego prawdziwej natury, gdy lato mijało, jego moc rosła.

Oczy Morozki błyszczały w ciemności. A jednak zależy mu na niej, ma wobec niej plany. Dlaczego miałyby zaprzętać sobie głowę Niedźwiedziem albo Konstantym? Obaj byli mordercami i obaj już odeszli.

Odpedziła te wątpliwości i zapytała:

– Wejdiesz na górę, żeby poznać moją siostrę? Obiecałam.

Morozko wydawał się zdziwiony.

– Mam iść do niej jako twój zalotnik i prosić o pozwolenie? Czy to coś zmieni? Może jedynie pogorszyć sprawę.

– Mimo wszystko, w przeciwnym razie ja...

– Nie jestem człowiekiem, Wasiu. Żaden sakrament nie zwiąże mnie z tobą. Nie mogę się z tobą ożenić na mocy praw boskich ani ludzkich. Jeśli liczysz na to, że twoja siostra przyjmie mnie z otwartymi ramionami, zawiedziesz się.

Wasia wiedziała, że to prawda, mimo to...

– Chciałabym jednak, żebyś ją poznał – upierała się. – Przynajmniej... może nie będzie się o mnie bała.

Zapadła cisza i Wasia dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że Morozko się trzęsie z bezgłośnego śmiechu. Urażona skrzyżowała ręce na piersi.

Popatrzył na nią przejrzystymi oczami.

– Wątpię, czy zdołałbym rozwiać obawy czyjejkolwiek siostry – powiedział, gdy przestał się śmiać. – Ale pójdę z tobą do niej, jeśli tego chcesz.

Olga siedziała w komnacie Maszy i patrzyła na śpiącą córeczkę. Długie napięcie rzuciło cień na bladą, ściągniętą buzię dziewczynki. Była za mała na tak wielkie obciążenia. Olga także czuła się wyczerpana.

Wasia zatrzymała się w progu, nagle niepewna, czy jest tu mile widziana.

Łóżko zasłano pierzynami, futrami i wełnianymi kocami. Przez chwilę Wasia zapragnęła znowu być dzieckiem, położyć się obok Maszy i zasnąć, głaskana przez siostrę po włosach. Olga, słysząc lekkie kroki Wasi, odwróciła się i to pragnienie zniknęło. Nie da się cofnąć czasu.

Wasia przeszła przez komnatę i dotknęła policzka Maszy.

– Nic jej nie będzie? – spytała.

– Myślę, że jest po prostu zmęczona – odparła Olga.

– Była taka dzielna...

Olga bez słowa wygładziła córeczce włosy.

– Olu – zaczęła Wasia z zakłopotaniem. Spokój, jaki odnalazła w sobie podczas spotkania z Dymitrem, najwyraźniej ją opuścił. – Ja... powiedziałam, że go poznasz. Jeśli chcesz.

Olga zmarszczyła czoło.

– Jego, Wasiu?

– Prosiłaś o to. On tu jest. Chcesz go zobaczyć?

Morozko nie czekał na odpowiedź ani też nie wszedł drzwiami jak człowiek. Po prostu wyłonił się z cienia. Domowik, który siedział przy piecu, zerwał się na równe nogi, cały najeżony. Masza poruszyła się przez sen.

– Nic im nie zrobię, mały. – Morozko przemówił najpierw do domowika.

Olga wstała, jakby chciała bronić córkę przed złem. Wasia, sztywna z napięcia, nagle zobaczyła demona mrozu takim, jakim widziała go jej siostra: cień o zimnych oczach. Zaczęła wątpić w słuszność swoich wyborów. Morozko odwrócił się od domowika i ukłonił Oldze.

– Ja cię znam – wyszeptała Olga. – Po co tu przyszedłeś?

– Nie po czyjeś życie – zapewnił Morozko. Głos miał spokojny, lecz Wasia czuła jego nieufność.

Olga zwróciła się do Wasi:

– Pamiętam go. Pamiętam. To on zabrał moją córeczkę.

– Nie... on... – zaczęła Wasia, lecz Morozko posłał jej ostre spojrzenie i umilkła.

Jego twarz pozostała niezmienną, jednak widać było, że jest spięty. Wasia rozumiała dlaczego. Chciał zbliżyć się do ludzi na tyle, by być pamiętany i móc dalej istnieć. Wasia jednak przyciągała go coraz bliżej i bliżej, jak ćmę do płomienia świecy. Teraz musiał patrzeć na Olgę, rozumieć udrękę w jej oczach i nieść ją ze sobą długimi drogami swego życia.

Nie chciał tego. Nie poruszył się jednak.

– To niewielka pociecha – zaczął ostrożnie – ale twoja starsza córka ma przed sobą długie życie. A ta młodsza... będę ją pamiętał.

– Jesteś diabłem – odparła Olga. – A moja maleńka nie miała nawet imienia.

– Mimo to będę ją pamiętał.

Olga patrzyła na niego przez chwilę, a potem nagle aż zgięła się w pół z bólu i żalu. Ukryła twarz w dłoniach.

Wasia, czując się zupełnie bezradna, podeszła do siostry i niepewnie ją objęła.

– Olu, tak mi przykro. Tak bardzo mi przykro.

Olga nie zareagowała, a Morozko stał w cieniu. Już się nie odezwał.

Zapadła długa cisza. Wreszcie Olga odetchnęła głęboko. W oczach miała łzy.

– W ogóle nie płakałam – powiedziała. – Ani razu od tamtej nocy, kiedy ją straciłam.

Wasia mocno ją przytuliła, lecz Olga delikatnie wysunęła się z jej objęć.

– Dlaczego moja siostra? – zapytała Morozkę. – Ze wszystkich kobiet na świecie... dlaczego ona?

– Z powodu jej krwi – odrzekł Morozko. – A później z powodu jej odwagi.

– Co możesz jej dać? – zapytała Olga i dodała ostrzej: – Poza szeptami w ciemności?

Wasia zdusiła okrzyk protestu. Jeśli to pytanie zaskoczyło Morozkę, nie okazał tego.

– Całe królestwo zimy. Czarne drzewa i srebrzysty szron. Złoto i bogactwa stworzone przez ludzi, może z nich czerpać pełnymi garściami, jeśli tylko zapragnie.

– Odmówisz jej wiosny i lata?

– Nie odmówię jej niczego. Są jednak miejsca, gdzie ona może iść, lecz mnie byłoby trudno jej towarzyszyć.

– On nie jest człowiekiem – zwróciła się Olga do Wasi, nie odrywając wzroku od Morozki. – Nie będzie dla ciebie mężem.

Wasia pochyliła głowę.

– Nigdy nie chciałam męża. On przyszedł tu ze mną ze środka zimy, żeby ratować Moskwę. To wystarczy.

– I myślisz, że nigdy cię nie skrzywdzi? Przypomnij sobie tę martwą dziewczynę z bajki!

– Nie jestem nią.

– A jeśli ten... związek oznacza twoje potępienie?

– Już i tak jestem potępiona – odparła Wasia. – Wedle wszystkich praw boskich i ludzkich. Nie chcę jednak być sama.

Olga westchnęła i powiedziała ze smutkiem:

– Skoro tak mówisz, siostro. – Po czym dodała gwałtownie: – Niech będzie. Błogosławię wam obojgu. A teraz niech już idzie.

Wasia wyszła z komnaty za Morozką. Tym razem skorzystał z drzwi, jak wszyscy. Kiedy znalazł się na zewnątrz, zatrzymał się i opuścił głowę jak człowiek po ciężkiej pracy.

– Do łaźni – zdołał wycedzić przez zaciśnięte zęby.

Wzięła go za rękę, zaprowadziła do łaźni i zamknęła drzwi, i zapomniała, że nie pali się żadna świeca. Natychmiast rozbłysły cztery. Morozko opadł na jedną z ław w zewnętrznej izbie i nabrał powietrza. Łaźnia była miejscem narodzin i śmierci, przemiany i magii, a może również pamięci. Tu łatwiej było mu oddychać. Ale...

– Dobrze się czujesz? – spytała Wasia.

Nie odpowiedział.

– Nie mogę zostać – oznajmił natomiast. Oczy miał przejrzyste jak woda, splótł palce, ich kości rysowały się ostro w blasku świec. – Nie mogę. Tutaj nie nastał jeszcze mój czas. Muszę wracać do mojego królestwa. Ja... – Urwał, po czym dokończył: – Ja jestem zimą i zbyt długo byłem oderwany od samego siebie.

– To jedyny powód?

Nie patrzył na Wasię. Rozwarł zaciśnięte dłonie, położył je na kolanach i powiedział bardzo cicho:

– Nie mogę poznawać więcej imion. To przyciąga mnie zbyt blisko...

– Zbyt blisko czego? Śmiertelności? Możesz stać się śmiertelny?

– Jak? – zdumiał się. – Nie jestem cielesny. Ale to mnie... rozdziera.

– Wobec tego chyba zawsze tak będzie – odparła Wasia. – Dopóki my... o ile... mnie nie zapomnisz.

Wstał.

– Dokonałem już wyboru, ale muszę wracać do mojego królestwa. Nie tylko ty możesz popaść w obłąd od pokonywania niemożliwości. Dłużej

tego nie wytrzymam. Nie należę do lata. Wasiu, zrobiłaś już wszystko, co musiałaś zrobić. Jedź ze mną.

Te słowa sprawiły, że przeszła ją nagła tęsknota za błękitnym niebem i głębokim śniegiem, za leśną głuszą i za ciszą, za jego oświetlonym blaskiem ognia domem w kępie jodeł i za jego dłońmi w ciemności. Mogłaby z nim pojechać i zostawić za sobą wszystkie ludzkie sprawy, opuścić miasto, w którym Słowik stracił życie.

Mimo tych myśli powiedziała:

- Nie mogę. To jeszcze nie koniec.
- Twoja część została już zakończona. Jeśli Dymitr będzie walczył z Tatarami, to będzie wojna ludzi, nie czartów.
- To Niedźwiedź ją wywołał!
- Możliwe, że i tak by do niej doszło. Od lat się na nią zanosilo.

Przyłożyła dłoń do policzka, który przecinała blizna po kamieniu rzuconym, kiedy prowadzono ją na śmierć.

- Wiem – powiedziała. – Ale jestem Rusinką, to mój naród.
- Chcieli cię spalić na stosie – przypomniał jej Morozko. – Nie jesteś im nic winna. Jedź ze mną.

– Ale... kim będę, jeśli z tobą wyjadę? – spytała. – Ledwie śnieżynką, narzeczoną króla zimy zapomnianą przez cały świat, tak jak ty! – Zobaczyła, że wzdrygnął się na te słowa. Przygryzła wargę i spytała nieco spokojniej: – Kim jestem, jeśli nie mogę pomóc mojemu narodowi?

- Twój naród to coś więcej niż jedna, źle rozegrana bitwa.
- Uwolniłeś swojego brata, bo myślałeś, że zdołam zapobiec zniknięciu czartów z tego świata. Być może zdołam. Ale ta druga Ruś, Ruś mężczyzn i kobiet, zapłaciła za to ogromną cenę, i zamierzam to naprawić. Szkody wyrządzone przez Niedźwiedzia nie ograniczają się do samej Moskwy, moje zadanie nie jest jeszcze skończone.

– A jeśli zginiesz? Czy myślisz, że chcę zanieść cię w ciemność i nigdy więcej nie zobaczyć?

– Wiem, że nie chcesz. – Westchnęła. – Mimo to muszę spróbować.

Ze względu na nią Morozko sprzymierzył się z jej bratem, poprosił jej siostrę o wybaczenie, przybył do Moskwy w środku lata, poskromił Niedźwiedzia. Wyczerpała już jednak zarówno jego siłę, jak i wolę. Nie zamierzał walczyć na wojnie Dymitra.

Ona natomiast tak. Ponieważ chciała być kimś więcej niż śnieżynką. Pragnęła zaufania Dymitra i jego dłoni na swojej głowie. Pragnęła zwycięstwa osiągniętego dzięki odwadze.

Jednak pragnęła także Morozki. W dymie, kurzu i smrodzie Moskwy był świeżością sosen, zimną wodą i spokojem. Pragnęła go tak bardzo, że nie mogła się skupić.

Dostrzegł jej wahanie. Ich spojrzenia spotkały się w półmroku. Podszedł do Wasi.

Nie był delikatny. Podobnie jak ona czuł gniew, zakłopotanie i pożądanie, jego dłonie błędziły zachłannie po jej skórze. Kiedy go pocałowała, stał się cielesny w dotyku, urealniony gwałtownie dzięki miejscu, godzinie i jej namiętności. Milczenie się przeciągało, a ich dłonie mówiły to, czego oni nie potrafili powiedzieć, i Wasia omal nie uległa jego perswazjom. Prawie pozwoliła mu się posadzić na jego białej kłaczy i uwięzić w ciemną noc. Nie chciała więcej myśleć.

A jednak musiała. Tamara pozwoliła, by jej demon omamił ją snami o miłości, aż straciła wszystko, co było dla niej ważne.

Wasia nie była Tamarą. Szarpnęła się, z trudem łapiąc oddech, i Morozko wypuścił ją z objęć.

– Wracaj zatem do zimy – usłyszała swój ochrypły głos. – Ja wyruszę drogą przez Północ, by odnaleźć szwagra, o ile jeszcze żyje. Pomogę Dymitrowi Iwanowiczowi wygrać tę wojnę.

Morozko stał bez ruchu. Gniew, zmieszanie i pożądanie zniknęły powoli z jego twarzy.

– Włodzimierz Andriejewicz żyje – powiedział tylko. – Nie wiem jednak, gdzie jest. Wasiu... nie mogę kroczyć tą drogą obok ciebie.

– Odnajdę go.

– Odnajdziesz – potwierdził Morozko ze znużoną pewnością. Ukłonił się chłodno, wszelkie uczucia ukrył głęboko pod lodem na dnie swoich oczu. – Szukaj mnie po pierwszych przymrozkach.

Wymknął się z łaźni jak duch. Wasia podążyła za nim, wciąż czuła gniew, nie chciała jednak, by odszedł z niezagojoną raną między nimi. Sprawiała, że stał się ze swoją naturą, a to był wróg nie do pokonania.

Wyszedł na dziedziniec i uniósł twarz ku niebu. Na chwilę wiatr stał się prawdziwie zimową wichurą, która mrozi oddech.

Nagle odwrócił się do niej, a na jego twarzy znów malowały się emocje, jakby były silniejsze od niego.

– Uważaj na siebie i nie zapomnij, Snieguroczka – powiedział.

– Nie zapomnę, Morozko...

Prawie go nie było. Wiatr zdawał się przenikać go na wskroś.

– Ja także kochałam cię, jak umiałam – szepnęła Wasia.

Spojrzeli sobie w oczy. A potem on zniknął, porwany przez silny podmuch.



25.

Droga przez ciemność

Sasza i Wasia wyruszyli tuż przed północą.

– Przepraszam za to, co powiedziałem przy naszym poprzednim rozstaniu – zwrócił się Sasza do Olgi, zanim opuścili pałac.

Olga prawie się uśmiechnęła, lecz kąciki jej ust szybko opadły.

– Ja też się rozgniewałam. A powinnam przecież przywyknąć do pożegnań, braciszku.

– Jeśli na południu źle nam pójdzie – podjął Sasza – nie możesz zostać w Moskwie. Zabierz dzieci do Leśnej Ziemi.

– Wiem – odparła księżna sierpuchowska. Wymienili ponure spojrzenia. Olga przeżyła trzy oblężenia miasta, Sasza walczył u boku Dymitra, odkąd tylko obaj wyrosli z chłopięctwa.

Przyglądając im się, Wasia uświadomiła sobie z zakłopotaniem, że chociaż widziała już dużo, nigdy nie doświadczyła wojny.

– Jedźcie z Bogiem – pożegnała ich Olga.

Za bramą miasta rozciągało się uśpione podgrodzie. Silny zimny wiatr przegonił odór choroby. Umarli wreszcie mogli spoczywać w spokoju.

Wasia zaprowadziła brata do lasu, w to samo miejsce, z którego Warwara po raz pierwszy wyprawiała ją przez Północ – ile czasu minęło od tamtej chwili? Na Rusi upłynęły dwie pory roku, lecz Wasia straciła rachubę własnych przeżyć.

Gdzieś w Moskwie rozbrzmiał dzwon. Mury miasta majaczyły biało za drzewami. Wasia wzięła brata za rękę. Była północ. Ciemność stała się jakby dziksza, groźniejsza i bardziej intensywna zarazem. Wasia zrobiła krok do przodu, pociągając za sobą brata.

– Myśl o kuzynie – przykazała mu.

Jeden krok, drugi i nagle Sasza gwałtownie wypuścił powietrze, był wstrząśnięty.

Moskwa zniknęła. Znajdowali się w rzadkim wiązowym lasu, suchym i ciepłym. Pod gołymi stopami Wasia wyczuła piach zamiast błota, nisko na niebie wisały wielkie gwiazdy końca lata. Wkroczyli w inną północ.

– Matko Boska – szepnął Sasza. – To lasy koło Sierpuchowa.

– Mówiłam ci. To szybka droga, lecz... – Urwała.

Spomiędzy drzew wyłonił się czarny ogier Kruk. Lśniące niby gwiazdy oczy dosiadającej go postaci świeciły w ciemności.

Ręka Saszy przesunęła się na rękojeść miecza. Być może kraina Północy obudziła coś w jego krwi, gdyż widział konia i jeźdźca.

– To Północnica – powiedziała Wasia, nie odrywając od niej oczu. – A to jej królestwo. – Skłoniła głowę.

Sasza się przeżegnał. Północnica posłała mu drwiący uśmiezek i zsunęła się z konia.

– Bóg z tobą – pozdrowił ją Sasza niepewnie.

– Lepiej nie – odparła Północnica. Kruk machnął czarną głową i żałośnie położył uszy. Północnica zagadnęła Wasię: – Znów w moim królestwie? Dumna ze zwycięstwa?

– Istotnie zwyciężyliśmy – przyznała Wasia czujnie.

– Nie – zaprzeczyła Północnica. – Wcale nie. Myślisz, że o co toczy się prawdziwa walka, ty głupia, arogancka dziewucho? Nigdy tego nie rozumiałaś, co?

Wasia milczała.

– Mieliśmy nadzieję... ja miałam nadzieję... że jesteś inna – wycedziła Północnica przez zęby. – Że przerwiesz tę ich odwieczną walkę opartą na zemście i zniewoleniu. Ale ty jeszcze wsparłaś wojnę tych bezmózgich bliźniaków.

– O czym ty mówisz? – zdumiała się Wasia. – Ocaliliśmy Moskwę przed upiorami. Nie wiem, dlaczego tak się złościś. Niedźwiedź jest zły. Podstępny i zły. A teraz został poskromiony. Ruś jest bezpieczna.

– Czyżby? – prychnęła Północnica. – Nadal nic nie rozumiesz. – W jej oczach rozbłysła wściekłość, odraza i... rozczarowanie. – Nie możesz panować nad czartami, zatrzymać chatki nad jeziorem ani uratować nas przed zniknięciem. Przegrałaś. Droga nad jezioro będzie dla ciebie zamknięta. Odcinam ci do niej dostęp, ryzykując gniew staruszki. Nie będzie miała dziedziczki. Żegnaj, Wasiliso Pietrowna.

I zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Mignęły im jeszcze jej blade włosy, kiedy dosiadała Kruka. Ostatnim, co usłyszała Wasia, był cichnący w oddali tętent kopyt. Wstrząśnięta wpatrywała się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stała Północnica. Sasza miał zdziwioną minę.

– O co jej chodziło? – mruknął.

– Nie rozumiem, dlaczego się złości. – Wasia czuła się jednak nieswojo. – Musimy iść. Trzymaj się blisko mnie. Nie możemy się rozdzielać.

Szli ostrożnie, Wasia bała się bowiem gniewu Północnicy, byli przecież w miejscu podlegającym jej władzy. Sasza kroczył za nią, lękając się cieni, oszołomiony zmieniającymi się nocami. Mimo wszystko ufał Wasi.

A ją później dręczyło poczucie winy.



26.

Złota Orda

Nie było żadnego ostrzeżenia. Nie zobaczyli w oddali światełka, nie usłyszeli żadnych odgłosów. Po prostu nagle wyszli z ciemności w blask ogniska wypełniony śmiechem.

Na chwilę oboje zamarli.

Ludzie przy ognisku również znieruchomieli. Wasi mignęła broń: wygięte szable i krótkie łuki bez cięciwy. Czują zapach koni, widziała błysk ich oczu patrzących na nich spoza kręgu światła.

Mężczyźni poderwali się na równe nogi. Nie mówili po rosyjsku. Ich język przypominał tamten, który Wasia słyszała w ciemną zimową noc, kiedy ocalała uprowadzone dziewczynki przed... przed...

– Cofnij się! – syknęła do Saszy. Kątem oka dostrzegła blade włosy i ściągniętą, triumfującą twarz Północnicy. Wydawało jej się, że słyszy szept: „Ucz się albo giń, Wasiliso Pietrowna”.

Kilkanaście szabli w męskich dłoniach. Miecz jej brata wyszarpnięty z pochwy rozbłysnął odbitym światłem ogniska.

– Tatarzy! – krzyknął Sasza. – Wasiu, uciekaj!

– Nie! – Wciąż starała się go odciągnąć. – Nie, musimy tylko cofnąć się do drogi przez Pół... – Tatarzy jednak otoczyli ich ze wszystkich stron, nie widziała drogi przez Północ.

– Wasiu – powiedział Sasza głosem tym straszniejszym, że spokojnym. – Ja jestem mnichem, nie zabiją mnie. Ale ty... Uciekaj. Uciekaj! – Rzucił się na tamtych, roztrącając ich. Wasia cofnęła się, siłą woli rozdmuchała ognisko w burzę iskier. Skaczące w górę płomienie sprawiły, że Tatarzy odskoczyli, choć miecz jej brata skrzyżował się z szablą któregoś z nich.

Tuż poza kręgiem światła znajdowała się droga przez Północ. Ogień znów strzelił w górę, Tatarzy się zlekli, a ona krzyknęła:

– Saszo, tędy!

A raczej spróbowała krzyknąć, bowiem w skroń uderzyła ją rękojeść szabli i świat pociemniał.

Sasza, widząc, jak siostra upada, opuścił miecz i zwrócił się po tatarsku do mężczyzny, który ją powalił:

– Jestem człowiekiem bożym, a to mój sługa. Nie róbcie mu krzywdy.

– Istotnie jesteście człowiekiem bożym – odparł Tatar. Mówił po rosyjsku z lekkim akcentem. – Jesteś Aleksander Pierieswiet. Ale to nie jest twój sługa.

Głos Tatara wydał się Saszy znajomy, nie mógł jednak dostrzec jego twarzy. Tamten stał nad Wasią, po drugiej stronie ogniska, i właśnie podnosił ją z ziemi. Zatrzepotała powiekami, z rany na czole spływały na twarz strugi krwi.

– To ta czarownica, twoja siostra – stwierdził Tatar. W jego głosie pobrzmiwała jednocześnie satysfakcja i zdumienie. – Skąd się tu wzięliście? Szpiegujecie dla Dymitra? Dlaczego tak naraża swoich kuzynów?

Sasza milczał oniemiały. Rozpoznał tego człowieka.

– Idziemy – rozkazał Tatar w swoim języku. Przerzucił sobie Wasię przez ramię. – Zwiążcie mnichowi ręce i chodźcie za mną. Naszego wodza to zaciekaw.

Ktoś ją niósł. Każdy krok oznaczał wstrząs dla głowy. Zwymiotowała. Jej czaszkę rozsadał taki ból, jakby ktoś kłuł ją odłamkami lodu. Mężczyzna, który ją niósł, wydał okrzyk obrzydzenia.

– Zrób to jeszcze raz, a sam cię pobiję, kiedy wódz już z tobą skończy – usłyszała dziwnie znajomy głos.

Próbowała się rozejrzeć, wypatrując drogi przez Północ, nie mogła jednak jej dostrzec. Musiała ją zgubić, kiedy straciła przytomność. Teraz noc ciągnęła się dalej i byli z Saszą uwięzieni aż do następnej północy.

Kręciło jej się w głowie. Nie mogła sprawić, by zniknęli z Saszą na oczach całego obozu. No, może by mogła, nie potrafiła jednak zebrać myśli, by obmyślić plan działania.

Kiedy znów odzyskała przytomność, coś niewyraźnie przed nią majaczyło. To był duży, okrągły namiot z wojłoku. Odsunięto zasłaniającą wejście klapę i wniesiono ją do środka. Strach ścisnął jej gardło i żołądek. Gdzie jest Sasza?

W namiocie byli mężczyźni – nie potrafiła powiedzieć ilu. Dwaj stali pośrodku, bogato odziani, oświetleni niewielkim piecykiem i wiszącą lampą. Ten, który ją niósł, rzucił ją na ziemię. Zdołała jakoś dźwignąć się na kolana. Wnętrze namiotu ociekało bogactwem: lampa była ze srebra, na ziemi leżał kobierzec, czuła woń pieczonego mięsa. Wokół rozbrzmiewał dezorientujący szum obcego języka. Saszę ciśnięto na ziemię obok Wasi.

Jeden ze strojnie odzianych mężczyzn był Tatarem, drugi Rosjaninem, i to on odezwał się pierwszy.

– Cóż to? – spytał.

– To... – rozległ się tuż za Wasią dziwnie znajomy głos. Spróbowała się odwrócić, lecz unieruchomił ją ból rozsadzający jej czaszkę. Zaraz jednak mężczyzna wystąpił do przodu i mogła zobaczyć jego twarz. Poznała go. Kiedyś omal nie zabił jej w podmoskiewskim lesie. Przy pomocy złego czarodzieja próbował również zdetronizować Dymitra Iwanowicza.

– Wygląda na to – odezwał się Czelibej po rosyjsku, uśmiechając się do niej – że Dymitr Iwanowicz obmyślił nowy sposób na pozbycie się swoich kuzynów.

Ten wysoki, którego nazywali tiemnikiem – czyli dowódcą *tümenu*, oddziału złożonego z dziesięciu tysięcy wojowników – to musiał być Mamaj, chociaż Sasza znał go tylko ze słyszenia. Rosjanina nie rozpoznał.

– Kuzynów? – zapytał tiemnik w swoim języku. Mamaj był mężczyzną w średnim wieku, znużonym, dostojnym i siwym. Swego czasu lojalny wobec Berdiego Bega, jednego z niezliczonych chanów, jednak Berdi utrzymał się na tronie tylko przez dwa lata. Od tamtej pory Mamaj snuł plany odzyskania utraconej pozycji, co utrudniał mu fakt, że sam nie wywodził się z rodu Wielkiego Chana. Sasza wiedział – jak zapewne również cała tatarska armia – że Mamaj musi pokonać Dymitra, inaczej bowiem wrogie skrzydło zwaśnionej Ordy powstałoby przeciwko niemu, co oznaczałoby jego koniec.

Ludzie mający tyle do stracenia są niebezpieczni.

– Ten człowiek to świątobliwy Aleksander Pierieswiet, z pewnością o nim słyszałeś – powiedział Czelibej, nie spuszczając wzroku z Wasi. – Ten drugi zaś... kiedy po raz pierwszy spotkałem go w Moskwie, powiedziano mi, że to szlachetnie urodzony brat Aleksandra Pierieswieta. To było kłamstwo. – Czelibej ściszył głos. – To wcale nie jest chłopak, tylko dziewczyna, mała czarownica. Przebrana za chłopca zwiodła całą Moskwę. Zastanawiam się, dlaczego Dymitr ich tu wysłał – czarownicę i mnicha. Jako szpiegów? Może mi to wyjaśnisz, *diewuszka*? – To ostatnie pytanie skierował do Wasi niemal łagodnym tonem, Sasza jednak usłyszał kryjącą się za tym groźbę.

Wasia bez słowa odwzajemniła spojrzenie Czelibeja. Oczy miała szeroko otwarte z przerażenia, twarz zakrwawioną.

– Zraniłeś mnie – szepnęła drżącym głosem, jakiego Sasza nigdy jeszcze u niej nie słyszał.

– Zranię cię jeszcze boleśniej – odparł Czelibej spokojnie. To była nie tyle groźba, ile stwierdzenie faktu. – Co tutaj robicie?

– Zostaliśmy zaatakowani – szepnęła – a nasi ludzie zabici. Podeszliśmy do ognia, szukając pomocy. – Oczy miała ogromne i ciemne, spojrzenie zdeorientowane i przerażone, policzek oblepiony krwią. Pochyliła głowę, po czym znów spojrzała na Czelibeję. Łzy żłobiły ścieżki w zaskorupiałej krwi.

Sasza uznał, że Wasia przesadza z tym odgrywaniem bezbronnej istotki, po chwili jednak spostrzegł, że nieufność na twarzy Czelibeję przemienia się w pogardę. W myślach odmówił modlitwę dziękczynną. Chcąc odwrócić uwagę Czelibeję od Wasi, powiedział:

– Nie strasz jej. Natrafiliśmy na was przypadkiem. Nie jesteśmy szpiegami.

– Czyżby? – spytał Czelibej aksamitnym głosem, odwracając się do niego. – A czy również przypadkiem twoja siostra wędruje z tobą sama, ubrana tak nieskromnie?

– Wiozłem ją do klasztoru – skłamał Sasza. – Zażądał tego ode mnie Wielki Książę. Bandyty zaatakowali nasz orszak, zostaliśmy sami, bez pomocy. Zdarli z niej sukienkę, zostaliśmy z niczym, nie licząc tego, co widzicie. Przez kilka dni błakaliśmy się głodni, zobaczyliśmy wasze ogniska i podeszliśmy. Liczyliśmy na pomoc, nie zniewagi.

– Dziwi mnie jednak – ton Czelibeję był zgryźliwy – dlaczego najbliższy doradca Wielkiego Księcia Moskiewskiego wiezie swoją siostrę do zakonu akurat teraz?

– Odradzałem Dymitrowi Iwanowiczowi wyruszenie na wojnę – wyjaśnił Sasza. – Odprawił mnie w gniewie.

– No cóż – podchwycił Mamaj prędko – jeśli tak jest, chętnie poinformujesz nas o zamiarach i planach swego kuzyna, byś mógł powrócić do modlitwy.

– Nic mi nie wiadomo o planach Dymitra. Mówiłem...

Czelibej uderzył go w twarz wierzchem dłoni tak mocno, że Sasza upadł na ziemię. Wasia krzyknęła i rzuciła się Czelibejowi do stóp, by nie mógł kopnąć Saszy w brzuch.

– Proszę! – wykrzyknęła. – Proszę, nie rób mu krzywdy!

Czelibej odepchnął ją i patrzył ze zmarszczonym czołem, jak przed nim klęczy, złączywszy błagalnie dłonie. Wasi nigdy nie można by nazwać piękną, lecz jej wydatne kości policzkowe i ogromne oczy przykuwały wzrok. Sasza, któremu krwawiła warga, stwierdził z niepokojem, że uwaga mężczyzny skupiła się na niej w inny sposób niż przedtem. A ona jeszcze ich zachęcała, przeklęta dziewczyna, żeby odciągnąć ich od niego.

– Wybacz, ale nie wierzę twojemu bratu – powiedział Czelibej spokojnie.

– Mówił prawdę – szepnęła Wasia cienkim głosem.

Mamaj zwrócił się nagle do Rosjanina.

– A co ty powiesz, Olegu Iwanowiczu? Czy oni kłamią?

Brodata twarz Rosjanina była nieodgadniona, lecz Sasza rozpoznał jego imię. Wielki Książę Rianzański, który stanął po stronie Tatarów.

Oleg zacisnął wargi.

– Nie potrafię stwierdzić, czy kłamią, jednak opowieść mnicha wydaje się dość wiarygodna. Po co Dymitr Iwanowicz miałby wysyłać na przespiegi dwoje swoich kuzynów, w tym jedną dziewczynę przebraną za chłopaka? – Posłał Wasi spojrzenie pełne dezaprobaty.

– To czarownica, ma dziwne moce – upierał się Czelibej. – Sprawiała, że nasze ognisko buchnęło nienaturalnym ogniem, w Moskwie zaczarowała mojego konia.

Oczy wszystkich skierowały się na Wasię. Spojrzenie miała błędne, wargi jej drżały, rana na czole wciąż krwawiła, wokół niej tworzył się guz. Płakała cicho.

– Istotnie, przedstawia straszny widok – odezwał się Oleg po chwili znaczącego milczenia. – Jak masz na imię? – To pytanie zadał po rosyjsku.

Wasia patrzyła tępo i nie odpowiedziała. Czelibej znów się zamachnął, lecz głos Olega powstrzymał go przed zadaniem ciosu.

– Od kiedy bijesz związane dziewczęta?

– Mówiłem ci, to czarownica! – warknął Czelibej.

– Nie widzę na to żadnych dowodów – odparł Oleg. – Dodam, że jest już późno i może rano zadecydujemy o ich losie.

– Sam się nimi zajmę – oznajmił Czelibej. W jego oczach pojawił się pożądlivy błysk, zapewne nie zapomniał o upokorzeniach, jakich doznał w Moskwie. A może był ciekawy tej zielonookiej dziewczyny w chłopięcym przebraniu. Może nawet znalazł się na rzece, tamtego dnia, kiedy Kasjan ujawnił jej sekret na oczach całej Moskwy w najokrutniejszy możliwy sposób.

– Dymitr Iwanowicz zapłaci za nią okup – wtrącił się Sasza. – Jeśli będzie cała i zdrowa.

Zignorowali jego słowa.

– Dobrze więc – przyzwolił Mamaj. – Zajmij się nimi i powiedz mi potem, czego się dowiedziałeś. Olegu Iwanowiczu...

– Metropolita moskiewski nie będzie zadowolony, jeśli ten mnich umrze na skutek tortur – przerwał mu Oleg. Sasza odetchnął głęboko.

– Pilnuj, żeby przeżył – przykazał Mamaj Czelibejowi.

– Wodzu – zwrócił się Oleg do Mamaja, znów przenosząc spojrzenie na Wasię – tej nocy zatrzymam dziewczynę przy sobie. Może jeśli zostanie rozdzielona z bratem, samotna i zlékniona, wyjawi mi więcej.

Czelibej wyglądał na niezadowolonego. Już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale Mamaj uprzedził go z rozbawioną miną:

– Jak sobie życzysz. Chociaż jest trochę za chuda, co?

Oleg uklonił się i dźwignął Wasię na nogi. Nie zrozumiała większości rozmowy, jako że mówiono głównie po tatarsku. Spojrzała na Saszę.

– Nie bój się – powiedział.

Marna pociecha. Nie bała się o siebie, lecz o niego.



27.

Oleg Rianzański

Po wyjściu z namiotu Mamaja Oleg gwizdnął przez zęby. Pojawiło się dwóch uzbrojonych mężczyzn i ruszyło za nimi. Spojrzeli na Wasię z ciekawością, po czym znów przybrali stosownie obojętny wyraz twarzy. Strasznie bała się o brata. Wszystko stało się tak szybko. Mimo drwin i gróźb Północnicy Wasia nigdy by nie pomyślała, że służąca jej prababki mogłaby ją wydać Tatarom. Dlaczego, na Boga?

„Przegrałaś”, powiedziała Północnica.

Oleg pociągnął Wasię za sobą. Starła się zebrać myśli. Czy gdyby zdołała stąd uciec, mogłaby kolejnej północy wrócić po brata? W tym ogromnym obozie, mając twarz lepka od krwi, czuła, że magia jest równie daleka jak obojętne gwiazdy.

W ciemności majaczył drugi okrągły namiot, mniejszy. Oleg pchnął Wasię do środka i wszedł za nią, odprowadzając swych podejrzanych służących.

W środku nie było pieca, tylko gliniana lampa. Ledwie Wasia zdążyła obrzucić spojrzeniem surowe wnętrze namiotu ze schludną stertą futer, gdy Oleg się odezwał:

– Jedziesz do klasztoru, co? W takim stroju? Napadli was bandyci? A potem ty i twój brat byliście tak niemądrzy, by natknąć się na ognisko Czelibeja? Macie mnie za durnia? Powiedz mi prawdę, dziewczyno.

Myślała gorączkowo.

– Mój brat powiedział prawdę.

– Trzeba przyznać, że odwagi ci nie brakuje – stwierdził łagodniejszym tonem. – *Diewuszka*, mogę ci pomóc, ale muszę poznać prawdę.

Wasia pozwoliła, by łzy napłynęły jej do oczu. To nie było trudne. Potwornie bolała ją głowa.

– Powiedzieliśmy prawdę – szepnęła znowu.

– W porządku, jak sobie chcesz. Jutro oddam cię Czelibejowi, a on wydobędzie z ciebie prawdę. – Usiadł, by zdjąć buty.

Wasia przyglądała mu się przez chwilę.

– Jesteś człowiekiem Rusi, który walczy po stronie wroga – stwierdziła. – Dlaczego miałabym ci zaufać?

Oleg podniósł głowę.

– Walczę po stronie Ordy – powiedział z naciskiem, odkładając but – ponieważ nie chcę, w przeciwieństwie do Dymitra Iwanowicza zapewne, by moje miasto zostało zrównane z ziemią, a moi podwładni umarli jako niewolnicy. To jednak nie oznacza, że nie mogę ci pomóc. To nie oznacza także, że cię nie ukarzę, jeśli będziesz mi się sprzeciwiała.

Drugi but dołączył do pierwszego, po czym Oleg zdjął czapę i rzucił ją na stertę futer. Zmierzył Wasię oceniającym spojrzeniem. Zapomnij, myślała. Zapomnij, że on może cię zobaczyć. Nie mogła się jednak skupić, ból rozsadzający jej czaszkę był niczym rozgrzany do białości pręt. Oleg podszedł do niej boso, jedną ręką chwycił jej związane nadgarstki, drugą obmacał w poszukiwaniu broni. Była nieuzbrojona. Ktoś zabrał jej nóż, kiedy została powalona na ziemię przy ognisku Czelibeja.

– No cóż, chyba jednak jesteś dziewczyną – stwierdził, wodząc dłońmi po jej ciele.

Nadepnęła mu na nogę. On uderzył ją w twarz.

Kiedy odzyskała przytomność, leżała na ziemi. Oleg rozciął jej więzy. Podniosła głowę. Siedział na stercie futer, przesuając osełkę wzdłuż szabli

wyjętej z pochwy i leżącej na jego kolanach.

– Ocknęłaś się? – zagadnął. – Zaczniemy od początku. Powiedz mi prawdę, *diewuszka*.

Z trudem dźwignęła się na nogi.

– Bo co? Będziesz mnie torturował?

Przez jego twarz przemknął cień odrazy.

– Może nie przyszło ci to do głowy, bo jesteś zdeterminowana cierpieć w słusznej sprawie, ale masz szczęście, że siedzisz tu ze mną, a nie z Czelibejem. W Moskwie został upokorzony, cała armia zna tę historię. I będzie cię torturował. A być może wpadnie na pomysł, żeby zgwałcić cię na oczach twojego brata, by przekazać dalej choć część swego upokorzenia.

– A więc taki mam wybór? Zostać zgwałcona publicznie tam albo bez świadków tutaj?

Prychnął.

– Na twoje szczęście wolę kobiety, które wyglądają i zachowują się jak kobiety. Powiedz mi, co chcę wiedzieć, a będę cię chronił przed Czelibejem.

Ich spojrzenia się spotkały. Wasia odetchnęła głęboko i zaryzykowała:

– Mam wiadomość od Wielkiego Księcia Moskiewskiego.

Rysy twarzy Olega się wyostrzyły.

– Czyżby? Dziwny wybór posłańca.

Wzruszyła ramionami.

– Jestem tutaj, prawda?

Odłożył szablę i osełkę.

– To prawda. Możesz jednak kłamać. Masz jakiś dowód? A jeśli tak, to czy go połknęłaś? Bo mogę przysiąc, że przy sobie go nie masz.

Nie była pewna, czy da radę tego dokonać, oznajmiła jednak pewnym głosem:

– Mam znak.

– Doskonale. Pokaż.

– Zrobię to, jeśli mi powiesz, dlaczego Czelibej powiedział, że Dymitr Iwanowicz obmyślił nowy sposób na pozbycie się swoich kuzynów.

Oleg wzruszył ramionami.

– Książę sierpuchowski również jest tu więźniem. Czy Dymitr nie zastanawiał się, gdzie on się podział? – Oleg umilkł na moment. – A! Jesteś posłańcem? Czy może zostałaś wysłana z odsieczą? Jedno i drugie wydaje się mało prawdopodobne. – Wasia nie odpowiedziała. – Tak czy owak, Dymitr źle to rozegrał. Teraz Mamaj ma aż troje jego kuzynów. – Skrzyżował ręce na piersi. – No dobrze. Co to za znak?

Nie zważając na ból głowy, Wasia stuliła dłonie i wypełniła je wspomnieniem ognia.

Oleg zaklął, zerwał się na równe nogi i cofnął przed ogniem w jej palcach.

Podniosła wzrok i spojrzała na niego przez płomienie.

– Olegu Iwanowiczu, Mamaj przegra tę wojnę.

– Łączone oddziały Rusi zamierzają zwyciężyć Złotą Orde? – Mimo sarkazmu jego głos był piskliwy i cichy. Wciąż wpatrywał się w płomienie. Wyciągnął rękę, by ich dotknąć, szybko jednak cofnął ją przed ich gorącem. Ogień nie robił Wasi krzywdy, widziała jednak, że włoski na jej przedramionach się przypalają. – Niezła sztuczka – stwierdził Oleg. –

Czyżby Dymitr sprzymierzył się z diabłami? W ten sposób nie pokona regularnej armii. Wiesz, ile koni posiada Mamaj? Ile strzał, ilu wojów? Nawet gdyby wszyscy mężczyźni Rusi walczyli po stronie Dymitra, oddziały Ordy wciąż przewyższałyby ich liczebnie dwa do jednego.

Oleg nie odrywał wzroku od dłoni Wasi.

Wasia natężyła wszystkie siły, przezwyciężając znużenie i ból głowy, by nie stracić pewności siebie i utrzymać ogień. Oleg stanął po stronie wroga, żeby chronić swoich poddanych. Był człowiekiem praktycznym. A więc może da się przekonać.

– Sztuczki z ogniem? Tak ci się wydaje? Nie. Ogień, woda i ciemność, dawne moce tej ziemi, staną do walki u boku nowych. – Miała nadzieję, że to prawda. – Twój przywódca przegra. Ja jestem tego znakiem i dowodem.

– Tego, że Dymitr Iwanowicz zaprzedał duszę czarnej magii? – Oleg się przeżegnał.

– Obrona ziemi, która nas zrodziła, to dla ciebie czarna magia? – Zacisnęła gwałtownie dłonie, gasząc płomienie. – Dlaczego zabrałeś mnie od Czelibaja, Olegu Iwanowiczu?

– Źle ulokowana łaskawość – mruknął. – Poza tym nie lubię Czelibaja. – Ostrożnie wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej dłoni. Były chłodne.

– Dymitr ma po swojej stronie moce, których nie możesz zobaczyć – powiedziała Wasia. – My posiadamy moce, których nie możesz zobaczyć. Lepiej walczyć po stronie swoich, Olegu Iwanowiczu, niż bronić najeźdźcy. Pomożesz mi?

Mogłaby przysiąc, że się zawahał. Po chwili jednak na jego twarzy pojawił się zgryźliwy uśmiech.

– Jesteś bardzo przekonująca. Teraz niemal mógłbym uwierzyć, że Dymitr naprawdę cię przysłał. Jest sprytniejszy, niż sądziłem. Od dawna jednak nie wierzę w bajki, *diewuszka*. Oto, co zrobię: powiem Mamajowi, że jesteś tylko głupią dziewczyną przeznaczoną do klasztoru i że powinnaś trafić do mojego domu zamiast zostać sprzedana jako niewolnica. Kiedy wojna się skończy, możesz robić swoje sztuczki z ogniem dla mnie, w Riazaniu. Tylko nikomu ich nie pokazuj. Tatarzy nienawidzą czarownic.

Ból głowy znów się nasilał. Wasi pociemniało w oczach. Chwyła Olega za nadgarstki. Wszelkie sztuczki, gierki i podstępny były ponad jej siły.

– Proszę – wyszeptała.

Przez mgłę nadciągającego omdlenia usłyszała jego odpowiedź:

– Umówmy się tak: jeśli zdołasz odnaleźć i ocalić twojego brata i księcia sierpuchowskiego, i zrobisz to w taki sposób, że moi wojowie i bojarzy

podadzą w wątpliwość swoją lojalność wobec Ordy, to może uznam to za wystarczający znak i cię posłucham. Na razie jednak będę sprzyjał Tatarom.

Nie była pewna, czy spała tamtej nocy, czy też ból głowy sprawił, iż znów straciła przytomność. Jej sny były pełne twarzy wpatrzonych w nią wyczekująco. Morozko zatroskany, Niedźwiedź skupiony, Północnica wściekła. Jej prababka, szalona kobieta zabłąkana w krainie Północy. „Przeżyłaś trzy próby ognia, nie zrozumiałaś jednak ostatniej zagadki”.

A potem przyśnił jej się torturowany Sasza, aż w końcu Czelibej zabił go ze śmiechem.

Ocknęła się gwałtownie w mroku tuż przed świtem, by stwierdzić, że leży okryta ciepło na czymś miękkim. Ktoś zmył jej nawet z twarzy zaskorupiałą krew. Leżała bez ruchu. Ból głowy przeszedł w tępe ćmienie. Odwróciła głowę i zobaczyła Olega, który leżał na brzuchu obok niej i na nią patrzył.

– Jak można się nauczyć trzymać ogień w dłoniach? – spytał, jakby nawiązywał do przerwanej poprzedniego wieczoru rozmowy.

Blady świt sączył się z wolna do namiotu. Leżeli na stercie futer i pod nimi. Wasia poderwała się gwałtownie.

Oleg ani drgnął.

– Urażona cnota? – mruknął. – Po tym, gdy o północy pojawiłaś się w obozie Tatarów przebrana za chłopaka?

Wyskoczyła spod futer jak kot i może wyraz jej twarzy dał mu do myślenia, bo dodał łagodnie, z rozbawioną miną:

– Sądzisz, że bym cię tknął, wiedzmo? Dawno jednak nie spałem obok ciepłego dziewczęcego ciała, nawet kościstego. I dziękuję ci za to. A może wolałabyś spać na ziemi?

– Wolałabym – odrzekła zimno.

– No cóż – Oleg również wstał – skoro zamierzasz cierpieć, możesz iść przywiązana do mojego strzemienia, żeby Mamaj nie uznał, iż jestem zbyt łagodny. Czeka cię długi dzień.

Oleg wyszedł z namiotu, który nazywał gerem. Wasia myślała gorączkowo. Uciekać? Zapomnieć, że mogą ją zobaczyć, i chodzić po obozie, aż znajdzie brata? Czy jednak zdoła zapomnieć, że mogą zobaczyć jego? A jeśli jest ranny? Niechętnie zrezygnowała z tego planu. Lepiej, mądrzej poczekać do północy. Dwóch szans nie dostanie.

Oleg przysłał do niej służbę z kubkiem czegoś o wstrętnym zapachu. Sfermentowane mleko klaczy. Było gęste, zsiadłe i kwaśne. Żołądek jej się skręcał. Po jakimś czasie wrócił Oleg.

– Wiem, że nie pachnie najlepiej – powiedział – ale Tatarzy maszerują całymi dniami, żywiąc się tylko tym. I krwią swoich koni. Wypij, mała czarownico.

Wypiła, starając się nie zwymiotować. Kiedy Oleg podszedł, by związać jej ręce, spytała:

– Olegu Iwanowiczu, co z moim bratem?

Mocno zacisnął sznur na jej nadgarstkach i przez chwilę miała wrażenie, że nie odpowie. Zaraz jednak odparł:

– Żyje, choć być może wolałby nie żyć. I nie zmienił swojej historyjki. Powiedziałem Mamajowi, że ty nic nie wiesz i jesteś tylko głupią dziewczyną. Uwierzył mi, chociaż Czelibej nie. Strzeż się go.

O północy, powiedziała sobie Wasia, starając się opanować dygot. Musimy tylko wytrwać do północy.

Oleg wywłókł ją z namiotu w blask wschodzącego słońca, a ona zadrżała. W świetle dnia obozowisko było większe niż miasto, i to duże miasto. Namioty i padoki dla koni ciągnęły się dalej, niż mogła sięgnąć wzrokiem, częściowo przesłonięte drzewami i zaroślami. Żołnierzy były

setki, nie, tysiące, dziesiątki tysięcy. Dalej jej umysł nie sięgał. Koni było więcej niż ludzi, wszędzie stały wozy. Jak Dymitr miałby zebrać armię dorównującą tej? Jak mógłby liczyć na to, że ich pokona?

Oleg jeździł na krępej, wielkogłowej, gniadej klaczy. Spojrzenie miała łagodne i bystre. Oleg poklepał ją czule po szyi.

– Witaj – zwróciła się Wasia do klaczy mową ciała, w języku koni.

Zadziwiona klacz zastrzygła uchem.

– Witaj – odparła. – Ty nie jesteś koniem.

– Nie – odrzekła Wasia. Oleg zaś przywiązał do siodła sznur, którym miała skrępowane nadgarstki, po czym wskoczył na grzbiet klaczy. – Ale cię rozumiem. Pomożesz mi?

Klacz wydawała się zdumiona, lecz nie niechętna.

– Jak? – spytała i ruszyła kłusem, pobudzona uciskiem łydek Olega. Wasia starała się wymyślić odpowiedź, lecz szarpnięcie liny zmusiło ją do truchtu. Modliła się, by starczyło jej sił.

Wkrótce zdała sobie sprawę, że Oleg trzyma ją przy sobie nie tylko po to, by ją upokorzyć, lecz także uchronić przed gorszymi zagrożeniami ze strony maszerującego wojska. Być może uwierzył, że została wysłana przez Dymitra Iwanowicza, choć tego nie okazywał. Może nawet nie jest aż tak lojalny wobec Tatarów, na jakiego wygląda? Kiedy po raz pierwszy ktoś rzucił w nią końskim łajnem, Oleg skierował w tamtą stronę zwodniczo łagodne słowa i więcej jej nie dręczono.

To był jednak ciężki dzień, czas mijał powoli. Pył wpadał Wasi do oczu i do ust. Trochę później rozpadało się i pył przemienił się w błoto, co przyjęła z ulgą. Po jakimś czasie zaczęła jednak dygotać, a mokre ubranie drażniło jej skórę. Wreszcie wyszło słońce i znów była zlana potem.

Klacz Olega dała się przekonać, by ułatwić Wasi wędrówkę – jechała prosto i nie zbijała jej z nóg. Musiała jednak biec równym kłusem, godzina

za godziną, wlokła Wasię za sobą. Dziewczyna oddychała ciężko, nie czuła nóg, rana na czole pulsowała boleśnie. Oleg nawet na nią nie spojrział.

Nie zatrzymali się aż do południa, niestety i to był krótki postój. Gdy tylko stanęli, Wasia oparła się o wygodny bark klaczy, dygocząc. Usłyszała, że Oleg zsiada.

– Kolejne czary? – zapytał ją dobrotliwie.

Uniosła bolącą głowę i zamrużyła z urazą.

– Wychowałem ją od źrebaka – wyjaśnił, klepiąc klacz po szyi. – Ani razu cię nie ugryzła, a teraz opierasz się o nią jak o konia od pług.

– Może po prostu nie lubi mężczyzn – zasugerowała Wasia, ocierając pot z czoła.

Parsknął śmiechem.

– Może... Masz. – Podał jej bukłak z miodem, a ona napiła się łapczywie, po czym wytarła usta wierzchem dłoni. – Będziemy jechać aż do zmierzchu – oznajmił, wkładając stopę w strzemię. – Jesteś silniejsza, niż wyglądasz – dodał. – Na twoje szczęście.

Wasia modliła się, by wytrwać do północy.

Zanim Oleg podciągnął się na siodło, jego klacz położyła ucho. Przygalopował do nich Czelibej. Oleg odwrócił się z ostrożną miną.

– Nie jesteś już taka dumna, co, dziewczyno? – zagadnął Czelibej po rosyjsku.

– Chcę zobaczyć brata – odparła Wasia.

– Nie, wcale nie chcesz. Ma cięższy dzień niż ty – prychnął Czelibej. – Mógł sobie ułatwić życie, ale wciąż powtarza te same kłamstwa bez względu na to, co robią muchy na jego plecach.

Wasia przełknęła falę mdłości.

– On jest mnichem, człowiekiem bożym – warknęła. – Nie masz prawa go krzywdzić.

– Gdyby siedział w swoim klasztorze, tobym go nie krzywdził. Mnisi powinni zajmować się modlitwą. – Pochylił się nad nią. Ludzie Olega odwracali się w ich stronę. – Albo jedno z was powie mi to, co chcę wiedzieć, albo go zabiję – wycedził. – Dziś wieczorem.

Czelibej ustawił swojego konia tuż obok klaczy Olega. Wasia się nie poruszyła, nagle jednak gniadoszka wierzgnęła i tylnymi nogami kopnęła konia Czelibeja w udo. Koń pisnął, spłoszył się, zrzucił jeźdźca i cofnął się, łypiąc dziko na boki, a w jego sierści widniały dwa wgłębienia w kształcie końskich kopyt.

Klacz Olega odwróciła się, stając dęba, i szarpnięciem przewróciła Wasię na ziemię. Wasia cieszyła się z tego, chociaż boleśnie się potłukła. Dzięki temu nikt jej nie oskarży, że podjudziła klacz. Oleg rzucił się do przodu, by chwycić klacz za uzdę.

Wszyscy jego żołnierze się śmiali.

– Wiedźma! – syknął Czelibej, podnosząc się z ziemi. Ku zaskoczeniu Wasi wydawał się nieco przestraszony, nie tylko wściekły. – Ty...

– Nie możesz winić dziewczyny za temperament mojego konia – odezwał się łagodnie Oleg za plecami Wasi. – Podjechałeś swoją klaczą zbyt blisko.

– Zabieram ją teraz ze sobą – oznajmił Czelibej. – Jest niebezpieczna.

– Klacz czy dziewczyna? – zapytał Oleg niewinnie. Jego ludzie znów ryknęli śmiechem. Wasia patrzyła na Czelibeja. Rosjanie skupiali się po obu jej stronach, zwierając szyki przeciw Tatarowi. Ktoś złapał jego konia. Czelibej wpatrywał się w Wasię z gniewną fascynacją, po chwili jednak odwrócił się nieoczekiwanie, mówiąc:

– Przyrowadź mi tę dziewczynę o zmroku.

Następnie wsiadł na konia i spiąwszy go ostrogami, pogalopował wzdłuż zakurzonej kolumny.

Wasia patrzyła za nim. Oleg kręcił głową.

– Uważałem Dymitra Iwanowicza za człowieka rozsądnego – mruknął. – Ale żeby wysyłać kuzynów na śmierć? I to w imię czego? – Widząc, że Wasia wciąż jest blada i przerażona, rzucił z szorstką serdecznością: – Proszę. – I podał jej kawałek podpłomyka. Wasia nie mogłaby jednak niczego przełknąć, choć od tego zależało jej życie. Schowała podpłomyk do rękawa. Na później.

Popołudnie ciągnęło się niemiłosiernie, a wojowie z Riazania zaobserwowali coś dziwnego: ich konie szły coraz wolniej. I to nie z powodu kulawizny czy choroby. Chociaż ściskali je łydkami i kłuli ostrogami, konie biegły przez chwilę ociężałym galopem, a po kilku susach stawały z położonymi uszami.

Oleg i jego ludzie zostali w tyle za jadącą szybko kolumną Tatarów. O zmroku całkiem stracili z oczu główny oddział. Jedynie kurzawa, blada na tle zielonożółtego nieba, zdradzała położenie reszty armii.

Wasia była cała poobijana. W głowie huczało jej z wysiłku prowadzenia milczących negocjacji z całą kolumną koni. Na szczęście klacz Olega była mądrym stworzeniem, poważanym przez inne zwierzęta. Bardzo pomogła w spowodowaniu tak potrzebnego Wasi opóźnienia. Jeśli miała znowu stanąć przed Czelibejem, chciała, żeby stało się to jak najbliżej północy.

Podjechali do brodu i zatrzymali się, by napoić konie. Wasia z jękiem uklękła nad brzegiem rzeki. Piła łapczywie, gdy nagle, zupełnie niespodziewanie, Oleg chwycił ją pod pachy mokrymi rękami, postawił na nogi i obrócił w swoją stronę.

– No dobrze – przemówił do niej srogo. – Czy to ty?

– Czy co ja? – spytała niewinnie.

Potrząsnął nią tak mocno i nieoczekiwanie, że ugryzła się w język. Poczowała w ustach smak krwi. Uświadomiła sobie, że choć książę okazuje jej łaskawość w tej czy innej kwestii, gotów był zdradzić Dymitra Iwanowicza, by zapewnić bezpieczeństwo swoim poddanym, i zabije ją bez skrępów.

– Chroniłem cię, lecz czy zasłużyłem na oszustwo? – zapytał. – Czelibej mówił, że w Moskwie zaczarowałaś konia. Powątpiewałem w to, ale... – Teatralnym gestem wskazał tatarski oddział, który zniknął w oddali. – Jest, jak jest. Czy robisz coś z końmi?

– Ani na chwilę nie straciłeś mnie z oka – odrzekła, nie starając się ukryć znużenia ani poczucia porażki, które pobrzmiwały w jej głosie. – Jak mogłabym zrobić coś z końmi?

Przyglądał jej się jeszcze przez chwilę zmrużonymi oczami, po czym stwierdził:

– Coś knujesz? Co?

– Oczywiście, że knuję – przyznała zmęczonym głosem. – Próbuję wymyślić, jak uratować życie bratu. Ale jeszcze na nic mądrego nie wpadłam. – Spojrzała na niego. – Znasz jakiś sposób, Olegu Iwanowiczu? Zrobię wszystko, żeby go uratować.

Wciągnął powietrze i wstrzymał oddech, patrząc niepewnie w jej oczy.

– Wszystko?

Nie odpowiedziała, ale nie ugięła się pod jego spojrzeniem.

Zacisnął wargi, przeniósł wzrok z oczu Wasi na jej usta. Nagle puścił ją i się odwrócił.

– Zobaczę, co da się zrobić – rzucił oschle.

Jest człowiekiem honoru, pomyślała, i bynajmniej nie głupcem. Mógł grozić, ale nie okłamałby kuzynki Dymitra. Natomiast jego gniew świadczył o tym, jak silną odczuwa pokusę. Ogrom jego gniewu widziała w nabrzmiąłych żyłach na jego szyi. Nie potrząsnął nią już jednak i przestał myśleć o koniach, a o to właśnie jej chodziło.

Co do reszty... cóż, zamierzała zniknąć wraz z bratem, zanim przyjdzie co do czego.

Oleg wskoczył na konia i spiął go ostrogami, pociągając za sobą Wasię. Więcej się już nie zatrzymywali.

Zapadła noc, księżyc dawno wzeszedł, kiedy Rusini Olega znaleźli swoje miejsce wśród Tatarów. Ich konie były rześkie i bardzo zadowolone z podstępu Wasi, żołnierze natomiast spoceni, posępni i obolali.

Kiedy Rusini w świetle księżyca dotarli do obozu, ze wszystkich stron posypały się na nich dobrodusze, jak się wydawało, wyzwiska i drwiny. Wyczerpani mężczyźni pokrzykiwali na rozbrykane konie. Przez ostatnią godzinę marszu – Wasia była tego pewna – Oleg nie spuszczał jej z oka. Kiedy wreszcie się zatrzymali, zeskoczył z siodła i przyjrzał jej się ponuro.

– Muszę zaprowadzić cię do Czelibeja.

Cienka i zimna witka strachu drążyła sobie drogę przez jej żołądek. Zdołała jednak spytać:

– Gdzie? Gdzie jest mój brat?

– W namiocie Mamaja. – Musiał dostrzec w jej oczach lęk, bo dodał szorstko: – Nie zostawię cię tam, dziewczyno. Postaraj się mieć najbardziej tępą minę, na jaką tylko możesz się zdobyć. Najpierw jednak muszę rozłokować moich ludzi.

Zostawił ją siedzącą na kłodzie pod okiem strażnika. Spojrzała na księżyc i usiłowała odgadnąć, która godzina. Z pewnością dość późno. Ubranie, przesiąknięte potem po całym dniu wędrówki w upale, teraz ją ziębiło. Nabrała powietrza. Wystarczająco blisko północy? Uznała, że tak.

Mimo zmęczenia myślała jasno. Mdłości ustały, podobnie jak ból głowy. Starła się odsunąć na bok lęk o brata i się skoncentrować. Na małych rzeczach. Drobnych czarach, które nie są ponad jej siły i które nie wpędzą jej w obłąd. Opierając stopy na rozgrzanej ziemi, zapomniała, jak mocne krępują ją więzy.

Nagle poczuła, że sznur się poddaje. Odrobinę. Odprężyła się siłą woli. Sznur powoli robił się coraz luźniejszy. Mogła teraz poruszać obtartymi nadgarstkami, przekręcić je.

Rozejrzała się i dostrzegła przyjazne spojrzenie klaczy Olega, która stanęła usłużnie dęba, piszcząc donośnie. Wszystkie konie Rusinów poszły w jej ślady. Wpadły w istną ekstazę strachu, brykania, napinania pęt oraz szarpania lin i palików, do których były przywiązane. Wszędzie wokół Wasia słyszała przekleństwa. Wszyscy mężczyźni pognali do swoich koni, nawet pilnujący Wasi strażnik. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Jedno umiejętnie szarpnięcie i uwolniła nadgarstki. Zamęt rozszerzał się po całym obozie, jakby końska panika była zaraźliwa.

Nie wiedziała, gdzie stoi namiot Mamaja. Wmieszała się w tłum kotłujących się mężczyzn i koni i położyła dłoń na szyi miłej gniadoszki. Wciąż była osiodłana, do sakwy przy siodle był nawet przytroczony długi nóż.

– Weźmiesz mnie na swój grzbiet? – szepnęła.

Klacz machnęła życzliwie głową i Wasia wdrapała się na siodło. Z góry mogła wreszcie rozeznąć się w tym chaosie. Ścisnęła łydkami boki klaczy i obejrzała się przez ramię.

Mogłaby przysiąc, że dostrzegła Olega Rianzańskiego, który patrzył za nią bez słowa.



28.

Pożoga

Wasia szeptała tatarskim koniom o ogniu, wilkach i innych strasznych rzeczach. Gdziekolwiek się pojawiała, siała chaos. Ogniska buchały w górę, strzelając deszczem iskier. Dziesiątki koni – nie, nawet więcej – wpadły w panikę. Niektóre rzucały się do ucieczki, tratując po drodze wojów, inne tylko stawały dęba, wierzgały i szarpały się na uwięzi. Wasia jechała na gniadej klaczy wśród oszalałych stworzeń. Co chwila błogosławiła równy chód i rozsądek swojego wierzchowca. Poczucie zagrożenia buzowało jej w gardle i w żołądku.

Ciemność i chaos są nawet lepszymi sprzymierzeńcami niż magia, pomyślała.

Przed namiotem Mamaja zsunęła się z grzbietu klaczy.

– Zaczekaj na mnie – poprosiła, a klacz usłużnie opuściła łeb. Tutaj konie też szalały, wszędzie uwijali się przeklinający mężczyźni. Wasia zebrała się na odwagę i wślizgnęła do namiotu Mamaja, modląc się w duchu.

Jej brat był sam. Ręce miał wykręcone do tyłu i przywiązane do słupa podtrzymującego namiot. Był nagi od pasa w górę, na jego plecach widniały krwawe ślady od uderzeń pejczem, twarz miał posiniaczoną. Podbiegła do niego.

Sasza uniósł wyczerpane spojrzenie na jej twarz. Na palcach prawej dłoni brakowało mu dwóch paznokci.

– Wasiu, wyjdź stąd – wycharczał.

– Wyjdę, ale razem z tobą – odparła. Z sakwy przy siodle Olega zabrała nóż i teraz jednym ruchem rozcięła więzy krępujące brata. – Chodź.

Oszołomiony Sasza kręcił głową.

– Oni wiedzą, że przestraszyłaś konie. Czelibej... mówił coś o gniadym ogierze i o klaczy w Moskwie. Wiedział, że to ty, gdy tylko wybuchło zamieszanie. Oni... oni się na to przygotowali. – Pot zrosił mu brodę, lśnił na skroniach i na ogolonym czubku głowy. Wasia odwróciła się gwałtownie.

Stali w wejściu do namiotu: Mamaj i Czelibej. Patrzyli na nich, a za nimi kłębił się tłum mężczyzn. Czelibej powiedział coś po tatarsku, a Mamaj mu odpowiedział. W ich spojrzeniach czaiła się zapalczywość.

Wasia, nie odrywając od nich wzroku, wyciągnęła rękę do brata, by pomóc mu wstać. Podniósł się, gdy podciągnęła go w górę, widać było, że każdy ruch sprawia mu ogromny ból.

– Odsuń się od niego. Powoli – rozkazał jej Czelibej po rosyjsku. W jego oczach widziała swoją powolną śmierć.

Miała dość. Teraz nie była oszołomiona ciosem w głowę, więc podpaliła namiot.

Płomienie buchnęły w kilku miejscach, mężczyźni odskoczyli do tyłu, krzyżąc z przerażenia. Wasia złapała brata za rękę i pociągnęła go, kulejącego, na drugą stronę namiotu, gdzie nożem rozcięła wojłok.

Nie od razu wyszła na zewnątrz, odczekała chwilę, wstrzymując oddech z powodu dymu, po czym gwizdnęła przez zęby. Poczciwa gniada klacz stawiała się na wezwanie, a nawet, mimo dymu i rozszerzającego się ognia, przyklękała na prośbę Wasi, żeby Sasza mógł wsiąść na jej grzbiet.

Sam nie mógł utrzymać się w siodle. Wasia musiała usiąść przed nim i otoczyć się w pasie jego ramionami.

– Mocno się trzymaj – przykazała.

Klacz ruszyła galopem akurat w chwili, gdy za nimi rozległ się krzyk. Wasia zaryzykowała spojrzenie przez ramię. Czelibej dopadł jakiegoś konia, gdy oni wydostali się z kłębow dymu. Dołączyło do niego kilku ludzi, już ją doganiali. To był wyścig: albo zaraz nadejdzie północ, albo tamci najpierw ją dopadną.

Z początku myślała, że zdoła wygrać. Czuła w kościach, że północ jest blisko, a klacz pędziła szybko.

Obóz jednak był zatłoczony, wszędzie kłębili się ludzie i żeby ich nie stratować, musieli robić uniki i skręcać. Sasza trzymał się Wasi ze wszystkich sił, choć oddychał z trudem i przy każdym susie klaczy jęczał z bólu. Dzielna mała klaczka zaczynała już się męczyć pod ciężarem dwojga jeźdźców.

Wasia nabrała powietrza i pozwoliła, by wspomnienie tamtej nocy, gdy w Moskwie wybuchł pożar, wróciło do niej z całą intensywnością. Przerazenie i poczucie mocy. Rzeczywistość uległa skrzywieniu i każde ognisko w obozie Tatarów buchnęło w górę triumfalną kolumną ognia.

Oszołomiona Wasia starała się jakoś wziąć w garść. Zaryzykowała kolejne spojrzenie za siebie, wychylając się zza brata. Większość ścigających ich mężczyzn została w tyle, bo ich konie się spłoszyły. Kilku jednak zdołało opanować swoje wierzchowce, a Czelibej wciąż był tuż za nimi. Klacz Olega powoli traciła siły. Nadal nie było śladu północnej drogi.

Czelibej krzyknął na swego konia. Był tuż przy zadzie gniadej klaczy. W ręku trzymał szablę. Wasia dotknęła szyi klaczy, a ta odskoczyła w bok, kładąc uszy po sobie, jednak przez ten manewr jeszcze bardziej wytracili prędkość. Czelibej zaganiał ich z powrotem w stronę obozu, zajeżdżając im drogę. Sasza opierał się ciężko o plecy Wasi. Czelibej znów się z nimi zrównał, jego koń był szybszy. Po raz drugi uniósł miecz.

Zanim zdążył zadać cios, Sasza gwałtownie wychylił się z siodła, pchnął Tatara i zrzucił go na ziemię, również spadając.

– Sasza! – wrzasnęła Wasia. Klacz natychmiast przyspieszyła kroku, dźwigając mniejszy ciężar, lecz Wasia już ją zawracała. Jej brat i Czelibej

walczyli na ziemi, jednak Tatar był górą. Pięścią uderzył Saszę w głowę, Wasia dostrzegła w blasku ognia krew. Czelibej wstał, zostawiając jej brata tam, gdzie leżał. Przywołał swego konia i krzyknął coś do pozostałych jeźdźców.

Sasza dźwignął się na kolana. W ustach miał krew. „Jedź!”, wymówił bezgłośnie.

Zawahała się. Klacz wyczuła to i zwolniła.

W tym momencie niebo przecięła ognista smuga.

Zupełnie jakby spadała gwiazda: szkarłatna, niebieska i złota. Ognista smuga była coraz niżej i niżej, wzbierała niczym fala i nagle obok nich, lśniąc w trawie, galopowała wysoka złota klacz.

Wśród Tatarów rozległy się okrzyki wściekłości i zdumienia.

– Pożoga – szepnęła Wasia. Klacz zastrzygła uchem w stronę gniadoszki, drugie ucho skierowała ku doganiającym ich jeźdźcom.

– Wskakuj na mój grzbiet.

Wasia nie zamierzała się sprzeciwiać. Wstała, balansując w galopie na grzbiecie gniadej klaczy. Pożoga skróciła krok, by zrównać się z drugą klaczą, a Wasia opadła lekko na kłęb Żar-Ptaka. Skóra zwierzęcia parzyła ją w uda.

Niektórzy ze ścigających mieli łuki. Koło ucha Wasi świsnęła strzała. Znalazła się w zasięgu strzałów, wracała bowiem tam, gdzie został jej brat. Co robić? Cudownym trafem miała teraz po swojej stronie prędkość Pożogi, lecz Sasza wciąż leżał na ziemi. Kolejna strzała niemal musnęła jej policzek akurat w chwili, gdy dostrzegła drogę przez Północ.

Wpadła na pewien pomysł, tak nierozważny, że aż zaparło jej dech. Wściekłość i przerażenie ścisnęły jej serce, a granice jej wiedzy i umiejętności były tak żałośnie oczywiste, że nie mogła wymyślić niczego innego.

– Musimy się cofnąć do tej samej północy. Musimy po niego wrócić – wyjaśniła klaczy ponuro. – Najpierw jednak trzeba wezwać pomoc.

„Nic nie zrozumiałaś”, powiedziała jej Północnica.

Klacz dotknęła kopytem północnej drogi i pochłonęła je noc.

Wróćą do obozu Tatarów jeszcze tej samej północy – inaczej Wasia wcale by stamtąd nie uciekła. Jednak galopując przez ciemność, smagana po twarzy przez gałęzie drzew, miała okropne poczucie, że zostawiła brata na pewną śmierć. Długo szlochała, przytulona do szyi klaczy, z przerażenia, ze strachu o Saszę, z obrzydzenia, że wciąż popełnia błędy i że tak niewiele umie.

Złota klacz nie poruszała się jak Słowik, który miał okrągły korpus i łatwo się na nim jeździło. Pożoga była szybsza, smuklejsza, miała twardy sterczący kłęb i sadziła potężne rozkołysane susy. Wasia odniosła wrażenie, że dosiada grzbietu fali.

Po paru chwilach podniosła głowę i spróbowała się opanować. Czy mogła to zrobić? Gdyby nie miała przed oczami widoku zakrwawionego brata otoczonego wrogami, nawet nie wzięłaby tego pod uwagę. Mimo to starała się wymyślić coś innego.

Cokolwiek.

Nie potrafiła.

Skupiła się zatem na tym, dokąd chce się udać. To akurat było łatwe. Krew Wasi znała drogę, właściwie nie musiała o tym myśleć.

Zaledwie po kilku minutach galopu wypadły z ciemnego lasu na znajome pole, na którym szumiała na wpeł zebrana pszenica. Niebem płynęła rzeka gwiazd. Wasia się wyprostowała. Pożoga zwolniła, roztańczona i dzika.

Na niewielkim wzniesieniu za zżętymi polami znajdowała się mała wioska. Niewyraźna pod gwiazdami, jednak Wasia znała każdy jej zakamarek. Tęsknota ścisnęła jej gardło. Była północ w wiosce, w której się

urodziła. Gdzieś w pobliżu, w ich rodzinnym domu, spał jej brat Alosza i siostrzyczka Irina.

Nie przyjechała jednak do nich. Pewnego dnia może tu wróci – przywiezie Maszę, żeby poznała krewnych, spróbowała pysznego chleba, siedząc w nagrzanej słońcem trawie. Teraz jednak nie może szukać tu pociechy. Ma inną misję.

– Pożogo – zwróciła się do klaczy – dlaczego po mnie wróciłaś?

– To Dziadek Grzyb – odparła klacz. – Rozpuszczał wieści z pomocą wszystkich grzybów na Rusi i zarozumiale obwieszczał każdemu, że jest twoim największym sprzymierzeńcem. Dziś przyszedł do mnie i oznajmił, że znów jesteś w niebezpieczeństwie i jeśli ci nie pomogę, okażę się tępą kobyłą. Pojechałam do ciebie tylko po to, żeby zamknąć mu gębę, potem jednak zobaczyłam wywołane przez ciebie pożary. To były dobre pożary. – Zabrzmiało to niemal jak pochwała. – Poza tym nie ważysz zbyt dużo. W ogóle mi nie przeszkadzasz.

– Dziękuję – powiedziała Wasia. – Powieziesz mnie jeszcze dalej?

– To zależy. Zrobimy coś ciekawego?

Wasia pomyślała o Morozce, daleko w białej ciszy swego zimowego królestwa. Czekają ją tam serdeczne przyjęcie, wiedziała o tym. Lecz nie pomoc. Mogła raz jeszcze wyciągnąć go z zimy, jako cień, lecz z jakim skutkiem? W takim stanie nie mógł walczyć z całą tatarską armią, żeby ratować jej brata.

Przychodziła jej do głowy tylko jedna postać, która mogła tego dokonać.

– Ciekawszego, niżbyś chciała – stwierdziła ponuro, raz jeszcze zastanawiając się, czy nie jest zbyt nierozważna.

Potem jednak pomyślała o Północnicy. O tym, co miała na myśli, mówiąc: „Mieliśmy nadzieję, że jesteś inna”.

Wasia miała wrażenie, że już rozumie.

Reagując na jej dotyk, Pożoga zawróciła i pogalopowała między drzewa.



29.

Między zimą a wiosną

Na granicy między zimą a wiosną jest polana. Kiedyś Wasia powiedziała, że przełom zimy i wiosny to moment w czasie. Teraz wiedziała, że to także miejsce na skraju królestwa zimy.

Pośrodku polany rośnie dąb. Pień ma wielki niczym wiejska chata, jego gałęzie rozpościerają się jak belki dachu albo jak kraty więzienia.

U stóp drzewa, oparty o pień, z kolanami podciągniętymi pod brodę siedział Niedźwiedź. Wciąż była północ. Polanę spowijała ciemność, księżyc opadł za linię horyzontu. Jedyne Pożoga rzucała światło odbijające się w blasku złotego sznura krępującego szyję i nadgarstki Niedźwiedzia. W lesie panowała cisza, jednak Wasia miała nieodparte wrażenie, że obserwują ją niewidzialne oczy.

Kiedy Niedźwiedź je zobaczył, nie poruszył się, tylko jego usta wykrzywiły się w grymasie bardzo odległym od uśmiechu.

– Przyjechałaś napawać się swoim triumfem? – warknął.

Wasia zsunęła się z grzbietu klaczy. Nozdrza demona rozszerzyły się, gdy patrzył na jej potargane włosy, podarte ubranie, ranę na skroni i oblepione błotem stopy. Pożoga cofnęła się niepewnie, strzygąc uszami, wspominając być może zęby jego upiórów wbijające się w jej zad.

Wasia zrobiła krok do przodu.

Niedźwiedź uniósł brew.

– A może przyjechałaś, żeby mnie uwieść? Mój brat ci nie wystarcza?

Nie odpowiedziała. Nie mógł się cofnąć, oparty plecami o drzewo, więc tylko otworzył szerzej oko. Był skrepowany złotym sznurem.

– Nie? – mruknął drwiąco. – Po co zatem?

– Cierpiełaś po śmierci popa? – spytała.

Niedźwiedź przechylił głowę i zaskoczył ją, mówiąc po prostu:

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo był mój. I był piękny. Potrafił stwarzać i niszczyć jednym słowem. Wkładał całą duszę w śpiew i w pisanie ikon. I już go nie ma. Oczywiście, że cierpię.

– Zniszczyłaś go.

– Być może. Ale nie zostawiłem żadnych śladów.

Może to było właściwe epitafium dla ojca Konstantego – bycie opłakiwanym przez ducha chaosu. Niedźwiedź opierał głowę o pień dębu, na pozór beztrosko, lecz jego jedyne oko wpatrzone było w Wasię.

– *Diewuszka*, ty nie przyszłaś tu po to, by opłakiwać Konstantego Nikonowicza. Dlaczego zatem?

– Mój brat jest jeńcem tatarskiego wodza Mamaja. A mój szwagier razem z nim.

Niedźwiedź parsknął.

– Miło, że mi o tym mówisz. Mam nadzieję, że obaj umrą, wrzeszcząc wniebogłosy.

– Nie mogę uwolnić ich sama. Próbowалаm, ale się nie udało.

Znów obrzucił spojrzeniem jej sponiewieraną postać.

– Czyżby? – Uśmiechnął się. – Co to ma wspólnego ze mną?

Wasi trzęsły się ręce.

– Zamierzam ich uratować. A potem muszę ocalić Ruś przed najeźdźcą. Nie dam rady dokonać tego sama. Zaangażowałam się w wojnę między tobą a twoim bratem, kiedy pomogłam mu cię związać. Ale teraz chcę, żebyś ty zaangażował się w moją wojnę. Niedźwiedziu, pomożesz mi?

Był w szoku. Wybałuszył szare oko, lecz ton jego głosu wciąż był lekki.

– Mam ci pomóc?

– Zawrzemy umowę.

– Skąd myślisz, że jej dotrzymam?

– Ponieważ nie sądzę, byś chciał spędzić pod tym drzewem całą wieczność.

– No dobrze. – Pochylił się do przodu tak bardzo, jak pozwolił mu na to złoty sznur. Jego słowa były niewiele głośniejsze niż oddech tuż przy jej uchu. – Co to za umowa, *diewuszka*?

– Rozwiążę ten złoty sznur – powiedziała Wasia. Powiodła palcem wzdłuż krępujących go więzów, od szyi do nadgarstków i dłoni. Złota uzda nie chciała, żeby ją zdjęto, była narzędziem służącym do nagięcia jednego stworzenia do woli innego. Stawiała opór, lecz gdy Wasia wsunęła pod nią palec i odciągnęła nieco sznur, ustąpiła.

Niedźwiedź się wzdrygnął.

Nie chciała widzieć nadziei w jego oku. Chciała, żeby pozostał potworem.

Jednak potwory są dla dzieci. Był potężny, na swój sposób, i ze względu na brata potrzebowała go.

Z tą myślą drasnęła skórę kciuka sztyletem. Niedźwiedź bezwiednie wyciągnął rękę, przyciągany mocą jej krwi. Cofnęła dłoń, zanim zdążył jej dotknąć.

– Jeśli cię uwolnię, będziesz służył mi tak, jak Północnica służy mojej prababce – oznajmiła Wasia surowo. – Będziesz walczył w moich bitwach i sprzyjał moim zwycięstwom. Jeśli cię wezwę, stawisz się natychmiast. Przysięgniesz, że nigdy mnie nie okłamiesz, lecz będziesz służył mi dobrą

radą. Nie zdradzisz mnie, zawsze pozostaniesz lojalny. Przysięgniesz także, że nigdy nie skierujesz swoich płag na Ruś: żadnego terroru, ognia ani żywych trupów. Pod tymi i tylko tymi warunkami cię uwolnię.

Roześmiał się.

– Co za tupet – prychnął. – Tylko dlatego, że mój brat poniżył się dla twojej brzydkiej twarzy? Powiedz mi, dlaczego ja miałbym być twoim psem.

Wasia się uśmiechnęła.

– Ponieważ świat jest wielki i bardzo piękny, a ty masz już dość tej polany. Widziałam, jak patrzyłeś na gwiazdy tamtej nocy nad jeziorem. Ponieważ, jak sam zauważyłeś, ja też jestem jak duch chaosu i tam, gdzie się pojawię, pojawiają się również zamieszki. Lubisz takie rzeczy. Ponieważ walka między tobą a twoim bratem jest zakończona, bo obaj angażujecie się w moją wojnę. I... może spodoba ci się służba u mnie. To będzie przynajmniej pojedynk na inteligencję.

– Twoją inteligencję, mała czarownico?

– Jest coraz bardziej wyostrzona. – Wasia dotknęła jego twarzy zranioną dłonią.

Szarpnął się do tyłu, choć jego ciało pod jej palcami zrobiło się bardziej wyraziste. Napiął mięśnie pod złotym sznurem. Wpatrywał się w nią, oddychając płytko.

– Och, teraz wiem, dlaczego mój brat tak cię pragnął, morska nimfo, córko czarownicy – szepnął. – Jednak pewnego dnia oszalejesz od magii. Tak jak każda czarownica i każdy czarownik, którzy kiedykolwiek chodzili po ziemi. A wtedy będziesz moja. Może po prostu... poczekam.

– Pewnego dnia – odrzekła Wasia łagodnie, opuszczając rękę – umrę. I wejdę w ciemny las pomiędzy światami, tam, dokąd twój brat odprowadza umarłych. Wciąż jednak pozostanę sobą. Jeśli oszaleję, nie będę twoja. Martwa zaś nie będę jego.

Jego urywany oddech był na wpół śmiechem, szare oko patrzyło bystro.

– Być może. Ale miałbym zamienić moje obecne więzienie na niewolę u ciebie? Nosić złoty sznur tutaj, więziony przez krew popa, czy nosić go gdzie indziej i być niewolnikiem twojej woli? Nie zaoferowałam mi wystarczająco dużo, żebym zechciał ci pomóc.

Nagle Pożoga pisnęła. Wasia nie obejrzała się za siebie, jednak ten dźwięk dodał jej odwagi. Wiedziała, że gdyby pojmała niewolnika, kogokolwiek, za pomocą złotej uzdy, klacz nie byłaby wobec niej lojalna.

Odetchnęła głęboko.

– Nie, nie będziesz nosił złotego sznura. Nie jestem Kościejem Nieśmiertelnym. Żądam jedynie twojej przysięgi. Czy ona cię zwiąże, Niedźwiedziu?

Wpatrywał się w nią.

– Sądzę, że tak, skoro twój brat bliźniak trzymał cię za słowo. Złóż mi przysięgę, a cię uwolnię. Wolisz siedzieć tutaj, zamiast walczyć na wojnie?

W jego twarzy rozbłysnął i zniknął pożądliwy głód.

– Wojna – wyszeptał.

Wasia zmusiła się, by mówić spokojnie.

– Między Mamajem a Dymitrem – wyjaśniła. – Chyba wiesz. To ty doprowadziłeś do utraty srebra.

Wzruszył ramionami.

– Ja tylko wrzucam chleb do wody, *diewuszka*. I patrzę, co wypłynie, żeby go zjeść.

– No w każdym razie dojdzie do wojny, Dymitr nie ma wyboru. A ty, miłośnik walki, możesz nam pomóc. Czy złożysz przysięgę i ruszysz ze mną w noc? – Wstała i cofnęła się o krok. – A może wolisz tu zostać, może to poniżej twojej godności być sługą dziewczyny?

Śmiał się i śmiał, po czym rzekł:

– Przez tysiąc ludzkich żywotów nigdy nie byłem niczym sługą. – Omiótł ją przeciągłym spojrzeniem. – To rozwścieczy mojego brata. – Wasia przygryzła wargę. – Masz moją przysięgę... Wasiliso Pietrowna. –

Przybliżył związane nadgarstki do ust i zniechęta ugryzł się w miejscu, w którym kciuk łączy się z dłonią. Trysnęła krew, przejrzysta i cuchnąca siarką. Wyciągnął do Wasi rękę o grubych palcach.

– Jak działa twoja krew na kogoś, kto nie jest umarły? – spytała.

– Karachun ci mówił, prawda? Daje ci życie, szalona dziewczyno. Czyż nie przysiągłem, że nie zrobię ci krzywdy?

Zawahała się, po czym uścisnęła jego dłoń. Jej krew spływała wolno po jego skórze, jego krew zapiekła ją w miejscu, gdzie zetknęła się z jej skórą. Poczła nieprzyjemny przypływ energii przepędzający jej znużenie.

Cofnęła rękę i powiedziała:

– Jeśli złamiesz przysięgę, trafisz z powrotem pod to drzewo ze związanymi złotym sznurem rękami, nogami i szyją. Wyłupię ci też oko i będziesz żył w ciemności.

– Byłaś takim słodkim dzieckiem, kiedy po raz pierwszy spotkałem cię pod tym właśnie drzewem. Co się stało? – Ton Niedźwiedzia był drwiący, Wasia czuła jednak jego napięcie, kiedy zaczęła rozpinać złote sprzączki.

– Co się stało? Miłość, zdrada i czas. Co się przydarza komuś, kto zaczyna cię rozumieć, Niedźwiedziu? Życie. – Przesuwała dłonią po oleistym złocie, zdejmując więzy. Zastanawiała się, jak Kościej zrobił tę uzdę. Być może gdzieś kryje się odpowiedź, gdzieś znajdują się sekrety magii będącej czymś więcej niż rozpalanie ognia i widzenie czartów.

Może pewnego dnia pozna je w dalekich krainach, pod bardziej przepastnym niebem.

Nagle sznur opadł, wijąc się jak wąż. Niedźwiedź trwał bez ruchu, napiąwszy mięśnie oswobodzonych rąk z niedowierzaniem, którego nie zdołał ukryć. Wasia wstała. W dłoniach trzymała dwa kawałki złotego sznura: część, która była wodzami, i tę, która stanowiła kantar uzdy. Owinęła je sobie wokół nadgarstków – straszliwy lśniący skarb.

Niedźwiedź podniósł się i stanął obok niej. Plecy miał proste, jego oko błyszczało.

– Ruszajmy zatem, moja pani – powiedział na wpół drwiąco. – Dokąd pójdziemy?

– Do mojego brata – odparła Wasia ponuro. – Póki wciąż jest północ, a on ciągle żyje. Ale najpierw...

Odwróciła się, próbując przeniknąć wzrokiem ciemność.

– Północnico! – zawołała.

Nie wątpiła, że tam jest, i rzeczywiście nocny demon natychmiast pojawił się na polanie. Wielkie kopyta Kruka miażdżyły paprocie.

– Zdradziłaś mnie – powiedziała Wasia.

– Ale wreszcie rozumiałaś – odparła Północnica. – Twoim zadaniem nigdy nie było oddzielanie dobrych od złych. Miałaś nas zjednoczyć. Tworzymy jeden naród. – Z jej głosu zniknął gniew.

Wasia podeszła do niej.

– Mogłaś mi powiedzieć. Torturowali mojego brata.

– Czegoś takiego nie można dowiedzieć się od kogoś – odrzekła Północnica. – To trzeba zrozumieć samemu.

Jej prababka powiedziała to samo. Wasia czuła, że Niedźwiedź je obserwuje. Zaśmiał się cicho, kiedy bez słowa rozwinęła złoty sznur, zamachnęła się i zarzuciła go Północnicy na szyję. Nocny demon próbował się wyrwać, nie mógł jednak, zniewolony czarodziejską siłą złota. Wstrząśnięta Północnica jęknęła i znieruchomiała, wytrzeszczając oczy.

– Nie lubię być zdradzana, Północnico – syknęła Wasia. – Nie miałaś dla mnie litości, kiedy uciekłam ze stosu, nie miałaś też litości dla mojego brata. Może powinnam zostawić cię tu przywiązaną do drzewa.

Czarny ogier Północnicy stanął dęba i zarżał. Wasia się nie poruszyła, chociaż ogromne kopyta dzieliła od jej twarzy jedynie szerokość dłoni.

– Jeśli mnie zabijesz, Kruku, zabiorę ją ze sobą.

Koń się uspokoił, a Wasia musiała być twarda. Północnica patrzyła na nią z przerażeniem.

– Niedźwiedź jest mi teraz winien posłuszeństwo i ty także, Północnico. Już nigdy mnie nie zdradzisz.

Północnica wpatrywała się w nią ze strachem i z fascynacją.

– Teraz naprawdę jesteś dziedziczką Baby Jagi – stwierdziła. – Kiedy już skończysz ze sprawami ludzi, wracaj nad jezioro. O północy czarownica będzie czekać.

– Jeszcze nie skończyłam – odparła Wasia ponuro. – Muszę uratować brata. Ty też złożysz mi przysięgę, Północnico, a potem mi pomożesz.

– Przysięgałam wierność twojej prababce.

– Sama powiedziałaś, że jestem jej dziedziczką.

Ich spojrzenia spotkały się w milczącym pojedynku woli. Północnica pierwsza spuściła wzrok.

– Przysięgam zatem – wymamrotała.

– Co przysięgasz?

– Służyć ci, dbać o ciebie i nigdy już cię nie zdradzić.

Wasia jednym ruchem uwolniła Północnicę ze złotych więzów.

– Ja zaś przysięgam wspierać cię, jak tylko zdołam – powiedziała. – Moją krwią i pamięcią. Nie możemy już sobie pozwolić na walki i kłótnie.

Za plecami Wasi Niedźwiedź rzucił lekkim tonem:

– Wygląda na to, że będę się dobrze bawił.



30.

Wróg mojego wroga

Sasza był na wpół świadomy, co się działo po tym, gdy zrzucił Czelibeję z siodła. Nie myślał jasno, kiedy to robił. Pamiętał tylko szablę i odsłoniętą szyję siostry, a także swoją nienawiść do tego Tatarę, taką, jakiej nie czuł do nikogo w swoim życiu. Nienawidził jego bezosobowego okrucieństwa, bystrego umysłu i cichych pytań.

Tak więc kiedy Tatar się z nimi zrównał, Sasza dostrzegł sposobność i się nie wahał. Tyle że był poraniony, a Czelibej silny. Cios w szczękę sprawił, że zobaczył gwiazdy, a potem Czelibej wrzeszczał nad jego głową, zagrzewając innych mężczyzn do boju. Sasza dźwignął się na kolana i zobaczył, że siostra wciąż siedzi na koniu i właśnie zawraca, by go uratować.

– Wasiu! – próbował krzyknąć. – Jedź!

I świat pociemniał. Gdy odzyskał przytomność, wciąż leżał na ziemi, a nad nim stał Czelibej.

– Uciekła – usłyszał czyjś głos. – Rozpłynęła się w ciemności.

Sasza odetchnął z ulgą, a Czelibej kopnął go w zębra. Trzasnęła kość, Sasza zgiął się wpół, zabrakło mu powietrza, żeby krzyknąć z bólu.

– Myślę, że po przeżyciach tej nocy wódz nie będzie miał wątpliwości, że powinien umrzeć w męczarniach. Postawcie go na nogi.

Jego ludzie jednak nie patrzyli już na Saszę, tylko cofali się przerażeni.

Droga powrotna przez Północ była krótka. Krew Wasi przyzywała brata, a Pożoga nie miała nic przeciwko szaleńczej galopadzie przez las. Kruk pędził obok nich. Czarny ogier był zdecydowanie szybszy od każdego śmiertelnego konia, mimo to z trudem dotrzymywał kroku złotej klaczy.

Wasia w milczeniu opłakiwała Słowika, chociaż rozkoszowała się siłą klaczy. Ognisty ptak nie był i nigdy nie mógł stać się jej drugim ja, natomiast gracja Pożogi raz po raz przypominała Wasi o poniesionej stracie.

Niedźwiedź w ciszy podążał za końmi. Porzucił ludzki kształt, biegł jako wielki niedźwiedzi cień posilony krwią Wasi. Po drodze obwąchiwał niebo, obnażając zębiska i z trudem panując nad zachłannością.

- Liczysz, że będziesz mógł zabijać? – zagadnęła go Wasia.
- Nie. Nie zależy mi na umarłych. Do mnie należą cierpiący żywi.
- Naszym zadaniem jest ocalenie mojego brata, a nie przysparzanie ludziom cierpienie – rzuciła ostro. – Tak szybko zapomniałeś o swojej przysiędze, Niedźwiedziu?

Dwa kawałki złotego sznura migotały upiornie na jej nadgarstkach. Niedźwiedź posłał im mroczne spojrzenie i ni to burknął, ni to warknął:

- Obiecałem.
- Przed nami – odezwała się Północnica. Wasia zmrużyła oczy, usiłując dojrzeć coś w ciemności. W oddali ogniska rozświetlały noc, a wiatr niósł zapach ludzi i koni.

Požoga niechętnie zwolniła. Jej nozdrza się rozszerzyły, nie lubiła zapachu ludzi.

- Zostawiłam brata w północnej części obozu, niedaleko strumienia – powiedziała Wasia do Północnicy. – Czy wciąż tam jest?

W odpowiedzi Północnica zsunęła się z konia, lekko oparła dłoń na jego szyi i szepnęła mu coś do ucha. Kruk stanął dęba na tle nieba, jego grzywa

trzepotała niczym pióra, a po chwili w ciemną noc wzleciał prawdziwy kruk.

– Słowik nigdy tego nie zrobił – powiedziała Wasia, patrząc, jak czarny koń przemienia się i odlatuje.

– Nie przyjmował ptasiego wcielenia, ponieważ był na to za młody – wyjaśniła Północnica. – Wciąż był źrebakiem. Młode przemieniają się z trudem. Nauczyłyby się panować nad swoją naturą, gdyby...

– Miał więcej czasu – dokończyła Wasia bezbarwnym głosem. Niedźwiedź łypnął na nią, uśmiechając się półgębkiem, jakby poczuł smak jej cierpienia.

– Musimy iść za Krukiem – oznajmiła Północnica.

– Usiądź więc za mną – zaproponowała Wasia. – O ile... Pożogo, pozwolisz?

Klacz miała taką minę, jakby rozważała odmowę, choćby po to, by przypomnieć wszystkim, że może.

– No dobrze – rzuciła rozdrażniona, wymachując ogonem.

Wasia wyciągnęła rękę – wydawało się, że Północnica nic nie waży. Jechały na klaczy we dwie. Niedźwiedź biegł obok. Drzewa rosły teraz rzadziej, w ciemności zakrakał samotny kruk.

Tatarzy byli tam, gdzie ich zostawiła. Niektórzy siedzieli na koniach, inni stali w nierównym kręgu. Dwóch pochylało się, podnosząc coś z ziemi – Wasia dostrzegła niewyraźną sylwetkę brata. Był nieprzytomny, głowa opadała mu na pierś.

– Możesz ich przestraszyć? – spytała Wasia Niedźwiedzia, z trudem panując nad drzeniem głosu.

– Być może, moja pani – odparł Niedźwiedź, posyłając jej szeroki psi uśmiech. – Panikuj dalej. To mi pomaga.

Patrzyła na niego z kamienną twarzą, więc ustąpił.

– Zrób więc jakąś inną pożyteczną rzecz. Widzisz tamto drzewo? Podpal je.

Iskra pamiętanego ognia i drzewo stanęło w płomieniach. To się stało niepokojąco łatwe. Bliskość Niedźwiedzia podsyciała chaos w jej sercu. Napotkała jego spojrzenie.

– Szaleństwo dobrze by ci zrobiło – mruknął. – Byłoby ci łatwiej. Będąc szaloną, mogłabyś odprawiać wszystkie czary, jakich byś zapragnęła. Burze, pioruny i ciemność w środku dnia...

– Zamilcz! – uciszyła go. Ogień na drzewie buchał złocistym światłem. Rzeczywistość zamigotała, Wasia wbiła paznokcie we wnętrze obu dłoni i wyszeptała swoje imię, żeby to przerwać. Siłą woli uspokoiła głos. – Przestraszysz ich czy nie?

Wciąż z uśmiechem, Niedźwiedź odwrócił się i zaczął skradać w stronę Tatarów. Ich konie cofnęły się z rozszerzonymi nozdrzami. Mężczyźni z wybałuszonymi oczami wpatrywali się w ciemność, dzierżąc szable.

W blasku ognia cień stał się większy. Dziwny, pełzający, zmienny cień przemykający chyłkiem w stronę ludzi i koni. Cień niewidocznej bestii.

Cichy głos Niedźwiedzia zdawał się dochodzić z samego cienia.

– Zadzieracie z moim sługą? – wyszeptał. – Kładziecie ręce na tym, co należy do mnie? Umrzecie za to. Umrzecie z krzykiem.

Jego głos przeniknął do uszu Tatarów i do ich umysłów, a jego cień podpełzł bliżej, na wypalanej ziemi tańczyły powyginane kształty. Mężczyźni trzęśli się ze strachu. Noc wypełniło ciche nieziemskie warczenie. Cienie zdawały się skakać. W tej samej chwili iskra wspomnienia Wasi podsyciła płomienie na płonącym drzewie.

Wojacy stracili resztki odwagi. Rzucili się do ucieczki, konno i pieszo, aż został tylko jeden, stojący nad leżącym na brzuchu Saszą i wołający coś do uciekinierów. To oni zostawili jej brata na ziemi, pierzchali w popłochu.

Mężczyzną, który został, był Czelibej. Wasia dała znak Pożodze i wjechała w krąg światła.

Czelibej zbladł i opuścił szablę.

– Ostrzegałem ich – powiedział. – Olega i Mamaja... tych głupców. Ostrzegałem...

Wasia posłała mu olśniewający zimny uśmiech.

– Nie powinieneś im mówić, że jestem dziewczyną. Może wtedy uwierzyliby, że jestem groźna.

Oczy Pożogi były jak bursztyny, jej grzywa – jak kłęby dymu i iskry. Wasia dotknęła zadu klaczy i ta stanęła dęba. Zaczęła kopać przednimi nogami i nawet Czelibejowi zabrakło odwagi. Puścił się biegiem, wskoczył na konia i odjechał galopem. Pożoga, na wpół oszalała, rzuciła się w pogoń. Wasia wstrzymała ją po kilku długich susach. Krew w niej wrzała, musiała zapanować również nad własnym impulsem, by dogonić Czelibeja. Zupełnie jakby obecność Niedźwiedzia działała na nie pobudzająco i powodowała brak rozwagi.

No cóż, mógł na nie działać, jak chciał, Wasia i tak zamierzała podejmować samodzielne decyzje.

– Mój brat – przypomniała, opanowując się, a Pożoga z trudem dała się przekonać, że muszą zawrócić.

Niedźwiedź wydawał się nieco zawiedziony. Wasia zignorowała go i zeskoczyła na ziemię obok brata. Sasza leżał skulony, obejmując rękami brzuch. Jego usta i plecy plamiła czarna w świetle ognia krew. Żył.

– Sasza – szepnęła Wasia, podtrzymując mu głowę. – Braciszku.

Powoli podniósł wzrok na jej twarz.

– Kazałem ci jechać – wychrypiał.

– Wróciłam.

– Jestem rozczarowany, że poszło tak łatwo – odezwał się Niedźwiedź za jej plecami. – Co teraz?

Sasza próbował usiąść, jęknął z bólu.

– Nie – powstrzymała go Wasia. – Nie bój się. On mi pomógł. – Delikatnie obmacywała ciało brata. Krew na jego dłoni i plecach zrobiła

się zimna i lepka, oddech miał urywany, nie znalazła jednak żadnych świeżych ran. – Saszo, muszę iść do ich obozu i znaleźć Włodzimierza Andriejewicza. Dasz radę wstać? Nie możesz tu leżeć.

– Chyba tak – odparł. Spróbował się podnieść. Kiedy się oparł na zranionej dłoni, prawie krzyknął. Dźwignął się jednak na nogi, opierając się ciężko o Wasię. Zachwiała się pod jego ciężarem, Sasza był półprzytomny.

Może należało jednak uznać to za błogosławieństwo, zważywszy na to, jak przyjąłby jej sprzymierzeńców.

– Weźmiesz go na Kruka? – spytała Wasia Północnicę. – I ukryjesz przed Tatarami?

– Chcesz, żebym niańczyła mnicha? – obruszyła się Północnica. Potem jednak niedowierzenie na jej twarzy zmieniło się w zaciekawienie. Wasi przyszło do głowy, że czarta można by namówić na zrobienie każdej niezwyklej rzeczy, aby urozmaicić mu wieczność.

– Przysięgnij, że nie wyrządzisz mu krzywdy ani nie pozwolisz, by ktoś inny skrzywdził go lub przestraszył – przykazała jej Wasia. – Spotkamy się tutaj. Pójdziemy po mojego kuzyna.

Na to Sasza wyrzęził:

– Czy ja jestem małym dzieckiem, Wasiu, że ona musi składać te przysięgi? Kto to jest?

– Podróż przez północ sprawia, że nawet mnich zyskuje dar widzenia – wtrącił Niedźwiedź. – Ciekawe...

– To Północnica – odpowiedziała niechętnie Wasia.

– Ta, która cię nienawidzi?

– Doszliśmy do porozumienia.

Północnica obrzuciła Saszę przeciągłym spojrzeniem.

– Przysięgam, Wasiliso Pietrowna. Chodź, mnichu, wsiadaj na mojego konia.

Wasia nie była pewna, czy mądrze robi, powierzając brata Północnicy, nie miała jednak wyboru.

– Chodź – zwróciła się do Niedźwiedzia. – Musimy uwolnić księcia sierpuchowskiego, a potem przekonać Olega Rianzańskiego, że walczy po złej stronie.

Drepcząc za nią, Niedźwiedź mruknął refleksyjnie:

– To mi się nawet może spodobać. Chociaż jeszcze zależy od tego, jakie środki perswazji zastosujesz.

Požary wywołane przez Wasię wypaliły się do żarzących się węgielków, które spowijały obóz Tatarów piekielnym, czerwonym blaskiem. Zmęczeni żołnierze łapali pokryte smugami piany konie i szeptali między sobą. Niepokój był wręcz namacalny. Niedźwiedź obrzucił zamęt krytycznym spojrzeniem.

– Znakomicie – stwierdził. – Jeszcze zrobię z ciebie wyznawczynię chaosu.

Wasia obawiała się, że już niewiele jej brakuje, wołała jednak nie mówić tego głośno.

– Co teraz zamierzasz? – chciał wiedzieć Niedźwiedź.

Wasia przedstawiła mu swój plan.

Roześmiał się.

– Lepiej posłać kilka powłóczących nogami trupów. Nic tak nie skłania ludzi do zrobienia tego, czego od nich chcesz.

– Nie będziemy zakłócali spokoju kolejnym martwym duszom! – oburzyła się Wasia.

– Ostatecznie może się jednak okazać, że uznasz to za kuszące.

– Nie dzisiaj. A czy ty umiesz wzniecać ogień?

– Owszem, a także go gasić. Strach i ogień to moje narzędzia, słodka panienko.

– Czujesz zapach mojego kuzyna?

– Zapach ruskiej krwi? Uważasz mnie za czarownicę z bajki?

– I tak, i nie.

Niedźwiedź uniósł głowę i węszył przez chwilę.

– Tak – odrzekł, powarkując. – Chyba tak.

Wasia odwróciła się, by pomówić z Pożogą, po czym pieszo ruszyła za Niedźwiedziem do obozu Tatarów. Idąc, odetchnęła głęboko i zapomniała, że jest czymś więcej niż tylko cieniem kroczącym obok drugiego cienia. Takiego z ostrymi zębami.

Niewidzialni, wślizgnęli się w obozowy zamęt, a Niedźwiedź, będąc w swoim żywiole, jakby jeszcze urósł. Sunął nieomylnie przez zgiełk, mijał małe grupki przestraszonych koni, płosząc je, a ogniska buchały ogromnym płomieniem. Żołnierze zwracali lepkie od potu twarze w stronę ciemności, a Niedźwiedź szczyrzył do nich zęby i obsypywał iskrami ich odzienie.

– Dosyć – zarządziła Wasia. – Znajdź mojego kuzyna albo zwiążę cię czymś więcej niż tylko sznurem obietnic.

– Tu jest niejeden Rusin – burknął Niedźwiedź z rozdrażnieniem. – Nie mogę... – Podchwycił jej spojrzenie i dokończył niemal potulnie, jeśli nie liczyć nagłego błysku rozbawienia w jego oku. – Ale ten akurat pachnie daleką północą.

Ruszyła za nim szybkim krokiem. Wreszcie zatrzymał się pośrodku obozu. Odruchowo chciała się skulić i ukryć w cieniu okrągłego namiotu, lecz to by znaczyło, że uważa, iż wojowie mogą ją zobaczyć.

Nie mogli. Trzymając się tej myśli, została tam, gdzie była.

Przy sporym ognisku klęczał związany mężczyzna. Wszędzie wokół Tatarzy uspokajali spłoszone konie.

Przy ogniu stało trzech mężczyzn, o coś się spierali. Blask płomieni oświetlał ich od tyłu, więc dopiero po chwili Wasia rozpoznała Mamaja, Czelibeja i Olega. Żałowała, że nie rozumie, o czym mówią.

– Dyskutują, czy powinni go zabić, czy też nie – odezwał się Niedźwiedź. – Wygląda na to, że twoja ucieczka zwiększyła ich czujność.

– Znasz tatarski?

– Rozumiem ludzką mowę – odparł Niedźwiedź i w tym samym momencie obóz zalało oślepiające światło, wywołując jeszcze większą panikę wśród koni. Wasia nie podniosła wzroku. Wiedziała, co by zobaczyła: Pożogę szybującą w górze, buchającą dymem i każdym machnięciem skrzydeł tworzącą szkarłatno-błękitno-złoto-białe łuki.

– Nie mogę podpalić tu ziemi, tak jak zrobiłam w mieście – odpowiedziała wcześniej klacz na pytanie Wasi. – Wtedy... byłam taka wściekła, oszalała z gniewu. Nie dam rady tego powtórzyć.

– Nie musisz – odrzekła Wasia. – Wystarczy, że ich oślepisz. A to da do myślenia moim rodakom. – Poklepała pocieszająco Pożogę, a ta ugryzła ją w ramię.

Teraz wszyscy spoglądali w niebo. Gwar przybrał na sile. Wasia usłyszała trzask napinanej cięciwy, zobaczyła kilka strzał szybujących w powietrzu, Pożoga jednak trzymała się poza ich zasięgiem. Nagle rozbrzmiał, prędko uciszony, zdumiony okrzyk jednego z Rusinów:

– Żar-Ptak!

– Możesz sprawić, że cię zobaczą? – spytała Wasia Niedźwiedzia, nie odrywając wzroku od wodza Tatarów.

– Dzięki twojej krwi.

Podąła mu podrapaną dłoń, a on przywarł do niej łapczywie. Po chwili ją wyszarpnęła.

– W odpowiednim momencie – zaznaczyła.

Z całej siły trzymając się przekonania, że nie mogą jej zobaczyć, podkradła się do ogniska. Tamci trzej wciąż się kłócili, krzycząc, a nad ich głowami krążył lśniący niemożliwie ptak.

Wasia zaszła ich od tyłu, rozwinęła złoty sznur i zarzuciła go Mamajowi na szyję.

Zacharczał, po czym zamarł, unieruchomiony czarami Kościeja i jej wolą.

Wszyscy w polu widzenia również zastygli bez ruchu. Teraz mogli ją zobaczyć.

– Dobry wieczór – przemówiła Wasia. Trudno było jej złapać oddech, by mówić spokojnie. Czowała na sobie wzrok kilkunastu doświadczonych łuczników, wielu z nich już do niej mierzyło.

– Nie możecie mnie zabić, zanim ja zabiję jego – powiedziała. – Nawet jeśli naszpikujecie mnie strzałami. – W jednej ręce trzymała złoty sznur, w drugiej nóż przyłożony do gardła Mamaja. Wydawało jej się, że słyszy głos Olega, który tłumaczy jej słowa, nie odwróciła się jednak, by to sprawdzić.

Czelibej dobył szabli, zrobił w jej stronę jeden wściekły krok, zatrzymał go jednak zboląły jęk Mamaja.

– Przybyłam tu po księcia sierpuchowskiego – oznajmiła Wasia.

Mamaj wydał kolejny nieartykułowany chrapliwy jęk, potem zaś powiedział coś, co zabrzmiało jak rozkaz.

– Cisza! – warknęła, a on wyprężył się, gdy nieco mocniej wbiła mu w szyję nóż.

Oleg wpatrywał się w nią, otwierając i zamykając usta, jak ryba wyrzucona na brzeg. Nad ich głowami Żar-Ptak krzyknął, zataczając kolejne jaskrawe koło na tle chmur. Tatarskie konie rzuciły się do ucieczki. Kątem oka Wasia dostrzegła, że wojowie, jakby mimowolnie, unoszą twarze do światła.

Czelibej pierwszy odzyskał rezon.

– Nie wyjdiesz stąd żywa, dziewczyno.

– Jeśli ja i Włodzimierz Andriejewicz nie wyjdziemy z tego żywi, to wasz przywódca także. Jesteś gotów zaryzykować?

– Opuścić łuki! – huknął Czelibej, gdy Wasia rozcięła skórę na szyi Mamaja na tyle mocno, że krzyknął z bólu i strachu. Po jej rękach popłynęła pachnąca miedzią krew. Łucznicy się zawahali.

Niedźwiedź wykorzystał ten moment, by wyłonić się z mroku jako ogromny niedźwiedzi cień. Jego zdrowe oko błyszczało diabelską wesołością.

Brzęknęła pojedyncza cięciwa, strzała poleciała na oślep i zapadła nabrzmiała przerażeniem cisza.

Wasia przerwała ją, mówiąc:

– Uwolnijcie księcia sierpuchowskiego. Jeśli tego nie zrobicie, spalę cały obóz i okulawię każdego konia. A on zje to, co z was pozostanie. – Ruchem głowy wskazała Niedźwiedzia, a ten posłusznie obnażył zęby.

Mamaj coś wycharczał. Jego ludzie rzucili się, by wykonać jego polecenie. Po chwili w jej stronę szedł mężczyzna znad rzeki, mąż Olgi.

Wydawał się cały i zdrowy. Kiedy rozpoznał chłopca znad wody, wytrzeszczył oczy.

– Włodzimierzu Andriejewiczu – powitała go Wasia. Miał taką minę, jakby sądził, że ocalenie może okazać się gorsze od niewoli. Próbowała go uspokoić: – Przysłał mnie Dymitr Iwanowicz. Nic ci nie jest? Możesz jechać konno?

Przytaknął ostrożnie, nieznacznie opuściwszy podbródek, po czym się przeżegnał. Nikt się nie poruszył.

– Chodź ze mną – poleciała Wasia kuzynowi. Zrobił to z wciąż niepewną miną. Zaczęła się wycofywać, prowadząc Mamaja na złotym sznurze.

Oleg nie odezwał się słowem, jednak uważnie się jej przyglądał. Nabrała powietrza.

– Teraz – rzuciła do Niedźwiedzia.

Wszystkie obozowe ogniska równocześnie zgasły, podobnie jak lampy i pochodnie. Jedyne światło rzucał Żar-Ptak krążący nad ich głowami. Znienacka Pożoga zapikowała w dół, a konie znów naprężyły sznury, którymi były przywiązane do palików, i rżały przenikliwie.

W ogólnym rwetesie i ciemności Wasia szepnęła Mamajowi do ucha:

– Podążaj dalej tą drogą, a zginiesz. Ruś nie da się podbić. – Pchnęła go w ramiona jego ludzi, złapała szwagra za rękę i wciągnęła w cień, słysząc szum napinanych cięciw. Ona jednak zniknęła już w mroku, a wraz z nią Niedźwiedź i Włodzimierz Andriejewicz.

Niedźwiedź biegł i zanosił się śmiechem.

– Ależ oni się bali jednej małej chudej czarownicy! Wyborne. Och, zanim to się skończy, nauczymy ten naród, co to znaczy się bać! – Mrugnął do niej zdrowym okiem i dodał krytycznie: – Powinnaś poderżnąć ich wodzowi gardło jak należy. A tak będzie żył bez żadnego uszczerbku.

– Oddali mi szwagra, byłoby niehonorowo...

Niedźwiedź zapał nieprzyjemnie.

– Myślałby kto! Co za dziewczyna! Wielki Książę Moskiewski wyznaczył jej zadanie, a ona od razu ma się za bojara i zabawia w wojenne kurtuazje. Ciekawe, ile czasu minie, zanim nauczysz się prawdziwej wojaczki.

Wasia milczała. Podeszła do koni stojących na skraju obozu, przecięła sznur, którym jeden z nich przywiązany był do palika, i powiedziała:

– Proszę, Włodzimierzu Andriejewiczu, wsiadaj.

Włodzimierz nie ruszył się z miejsca. Wpatrywał się w Niedźwiedzia.

– Co to za czarna magia? – wyjąkał.

– Najgorsza z możliwych – zapewnił Niedźwiedź radośnie.

Włodzimierz przeżegnał się drżącą ręką. Któryś z Tatarów krzyknął. Wasia odwróciła się gwałtownie i zobaczyła, że Niedźwiedź, rozkoszując się ich przerażaniem, ukazał się armii Mamaja na tle nieba. Włodzimierz Andriejewicz omal nie popędził z powrotem do swoich wrogów.

Wasia z wściekłością odwinęła złoty sznur i wycedziła:

– Jesteśmy sojusznikami czy nie, Niedźwiedziu? Zaczynam mieć ciebie dość.

– Och, nie lubię tego sznura – jęknął Niedźwiedź. Zamknął jednak pysk i jakby się skurczył. Tatarzy byli coraz bliżej.

– Wsiadaj na konia – przykazała Wasia Włodzimierzowi.

Walach nie miał siodła ani uzdy, lecz książe sierpuchowski wspiął się na jego grzbiet, Wasia zaś wskoczyła na stojącą obok srokatą klacz.

– Kim ty jesteś? – szepnął Włodzimierz głosem drżącym z przerażenia.

– Jestem młodszą siostrą Olgi. Ruszaj! – Klepnęła zad wierzchowca Włodzimierza i ruszyli pędem po trawie, klucząc w ciemności między rzadkimi drzewami i zostawiając Tatarów za sobą.

Niedźwiedź śmiał się z Wasi, gdy tak galopowali.

– No nie mów, że to ci się nie podobało.

W odpowiedzi wezbrał w niej śmiech: oszałamiająca radość z wywołania strachu w sercach wrogów. Stłumiła ją, najpierw jednak napotkała spojrzenie króla chaosu i ujrzała swoją euforię odbitą w jego oku.

Sasza i Północnica, dosiadający razem Kruka, byli w tym samym miejscu, w którym Wasia ich zostawiła. Spotkali tam również Pożogę, znów pod postacią klaczy. Przy każdym kroku krzesła iskry, oko jej błyszczało.

Na ich widok Wasia poczuła ogromną ulgę.

– Bracie Aleksandrze – odezwał się Włodzimierz, wciąż się jękając. – Czy to...

– Włodzimierzu Andriejewiczu – przerwał mu Sasza. – Wasiu... – Ku jej zaskoczeniu zsunął się z grzbietu Kruka w tej samej chwili, w której ona zeskoczyła z tatarskiej klaczy. Uściskali się.

– Saszo – wykrztusiła Wasia. – Jak... – Na plecach i dłoni miał opatrunki. Poruszał się sztywno, lecz nie był już półprzytomny z bólu.

Spojrzał na Północnicę.

– Wjechaliśmy w ciemność – powiedział, marszcząc czoło, jakby z trudem to sobie przypominał. – Byłem prawie nieprzytomny. Słyszałem

plusk wody uderzającej o skały. Stała tam chata pachnąca miodem i czosnkiem. I staruszka, która opatrzyła mi rany. Powiedziała... powiedziała, że woli córki, ale że i ja się nadam. Spytała, czy chciałbym zostać. Nie wiem, co odpowiedziałem. Zasnąłem. Nie mam pojęcia, jak długo spałem, jednak za każdym razem kiedy się budziłem, była północ. A potem przyszła Północnica, orzekła, że spałem wystarczająco długo, i przywiozła mnie z powrotem. Zdawało mi się, że staruszka wołała coś za nami ze smutkiem, ale może mi się to przyśniło.

Wasia uniosła brew i zapytała Północnicę:

– Zabrałaś go nad jezioro? Jak długo tam był?

– Tak długo, jak było trzeba – odparła butnie Północnica.

– I nie pomyślałaś, że mógł od tego zwariować? – spytała ostro Wasia.

– Nie. Na ogół spał. Zresztą on jest bardzo podobny do ciebie. – Obrzuciła Saszę władczyim spojrzeniem. – Poza tym nie mógł siedzieć prosto i cuchnął krwią, a to mnie irytowało. Łatwiej było pozwolić, żeby czarownica go opatrzyła. Wiesz, ona żałuje Tamary mimo złości, jaką wciąż czuje.

– To miło z twojej strony, moja przyjaciółko – powiedziała Wasia do Północnicy, na której twarzy malowały się i podejrzliwość, i zadowolenie. –

Poznałeś naszą prababkę – zwróciła się do brata. – To ona jest tą szaloną kobietą, która mieszka w krainie Północy. Jest okrutna, samotna, a czasami dobra.

– Ta staruszka? – zdumiał się Sasza. – Ja... nie... Na pewno nie. Nasza prababka z pewnością nie żyje.

– To prawda. Ale w krainie Północy nie ma to znaczenia.

Sasza się zamyślił.

– Wrócę tam. Kiedy już będzie po wszystkim. Okrutna czy nie, odniosłem wrażenie, że ona bardzo dużo wie.

– Może będziemy mogli pojechać tam razem.

– Może... – Uśmiechnęli się do siebie jak dzieci obmyślające wspólne przygody, a nie czarownica i mnich przed bitwą.

Włodzimierz Andriejewicz rzucał im obojgu ponure spojrzenia.

– Bracie Aleksandrze – przemówił sztywno, kreśląc znak krzyża – dziwne to spotkanie.

– Bóg z tobą – pobłogosławił go Sasza.

– A co na Boga... – zaczął książę sierpuchowski, lecz Wasia przerwała mu pośpiesznie:

– Sasza wszystko wyjaśni, bo ja mam jeszcze coś do zrobienia. Jeśli nam się poszczęści, podczas wędrówki na północ będziemy mieli towarzystwo.

– Lepiej się pośpiesz – poradził Niedźwiedź. Spoglądał krytycznie na obóz Tatarów, którzy zaczęli rozpalać ogniska. Pożoga zastrzygła uszami, słysząc w oddali ich przytłumione gniewne wrzaski. – Roją się tam jak rozwścieczone pszczoły.

– Pójdiesz ze mną – oznajmiła Niedźwiedziowi Wasia. – Wolę nie spuszczać cię z oka.

– I słusznie – mruknął, po czym spojrzął w niebo, wzdychając błogo.

Kiedy Oleg Riazański wrócił wreszcie do swego namiotu, wyglądał jak ktoś, kto w ciągu jednej nocy przeżył całą wieczność. Odchylił kłapę, wszedł do środka i stał przez chwilę w milczeniu. Wasia delikatnie wypuściła powietrze i jego gliniana lampa się zapaliła.

Oleg nie wyglądał na zaskoczonego.

– Jeśli Mamaj cię znajdzie, umrzesz powolną śmiercią.

Weszła w krąg światła.

– Nie znajdzie mnie. Wróciłam po ciebie.

– Czyżby?

– Widziałeś Żar-Ptaka na niebie. Widziałeś płomienie w ciemności i oszalałe konie. Widziałeś Niedźwiedzia czającego się w mroku. Widziałeś naszą siłę. Twoi ludzie już szepczą o dziwnej mocy Wielkiego Księcia Moskiewskiego, która dotarła nawet do obozu Tatarów.

– Dziwna moc? Może Dymitr Iwanowicz nie dba o swoją nieśmiertelną duszę, ale to nie znaczy, że ja mam skazać się na wieczne potępienie, sprzymierzając się z diabłami.

– Jesteś człowiekiem praktycznym – zauważyła Wasia łagodnie. Podeszła bliżej. Oleg splótł dłonie. – Nie stanąłeś po stronie Tatarów z lojalności, lecz z chęci przetrwania. Teraz widzisz, że może to nie był dobry wybór. Że to my możemy zwyciężyć. Pod władzą chana zawsze będziesz jedynie wasalem, Olegu Iwanowiczu. Jeśli zwyciężymy, staniesz się prawdziwym księciem.

Z trudem panowała nad głosem. Zaczęła dygotać, bo zbyt długo przebywała w krainie Północy. Obecność Niedźwiedzia dodatkowo ją rozstrajała. Przysłuchiwał się ich rozmowie jako najczarniejszy cień w ciemności.

– Wiedźmo, masz brata i szwagra – powiedział Oleg. – To ci nie wystarczy?

– Nie. Zbierz swoich bojarów i jedźcie z nami.

Oleg wodził wzrokiem po wnętrzu namiotu, jakby mógł nie tyle zobaczyć, ile wyczuć obecność Niedźwiedzia. Gliniana lampa przygasła, ciemność wokół niej zgęstniała.

Wasia spiorunowała Niedźwiedzia wzrokiem i mrok nieco się wycofał.

– Jedźcie z nami i odnieście zwycięstwo – powtórzyła Wasia.

– Może i zwycięstwo – mruknął Niedźwiedź za jej plecami. – Kto wie?

Oleg przesunął się bliżej lampy, sam nie wiedząc, co go przestraszyło.

– Jutro znowu zostańcie trochę z tyłu, za głównym oddziałem. Będziemy czekali.

Po długim milczeniu Oleg oznajmił stanowczo:

– Moi ludzie zostaną z Mamajem. – Odebrała te słowa jako swoją porażkę, Niedźwiedź natomiast westchnął z satysfakcją. Kiedy jednak Oleg dokończył myśl, Wasia zrozumiała. – Jeśli mam zdradzić Tatarów, lepiej poczekać na właściwy moment.

Spojrzeli na siebie.

– Kocham sprytnych zdrajców – westchnął Niedźwiedź.

– Moi bojarzy chcą walczyć po stronie Rusinów – dodał Oleg. – Sądziłem, że powinienem ich powstrzymać przed zrobieniem tego głupstwa, lecz...

Wasia skinęła głową. Czyżby skłoniła go z pomocą sztuczek i czartów, a także dzięki swojej wierze, by zaryzykował utratę pozycji, a nawet życia? Popatrzyła mu w twarz i poczuła ciężar jego zaufania.

– Dymitr Iwanowicz stawi się w Kołomnie w ciągu dwóch tygodni – powiedziała. – Przyjedziesz tam wtedy i wyłożysz mu swoje plany?

– Przyślę kogoś. Sam nie mogę przybyć, bo Mamaj zacznie coś podejrzewać.

– Możesz. Zabiorę cię tam i z powrotem w ciągu jednej nocy.

Oleg wytrzeszczył oczy, zaraz jednak uśmiechnął się z przekąsem.

– W twoim mózdzierzu? No dobrze, czarownico. Musisz jednak wiedzieć, że nawet jeśli połączymy siły, Dymitr i ja będziemy niczym dwa żuki, które próbują pchać głaz.

– Gdzie twoja wiara? – zapytała Wasia i nagle się uśmiechnęła. – Wypatruj mnie o północy za dwa tygodnie.



31.

Cała Ruś

Mężczyźni z Rusi stawili się w Kołomnie na wezwanie Dymitra w ciągu czterech szarych chłodnych dni. Książęta, reprezentujący ksiąstwa: rostowskie, starodubskie, połockie, muromskie, twerskie, moskiewskie i inne, przyjeżdżali jeden po drugim, podczas gdy nad błotnistymi polami szemrał zimny deszcz.

Dymitr Iwanowicz rozstawił swój namiot między zbierającymi się zastępami, a pierwszej nocy po tym, gdy zgromadzili się wszyscy, przywołał do siebie książąt, by się z nimi naradzić.

Byli ponurzy, ociężali ze zmęczenia po przeglądzie wojsk i jeździe w pośpiechu. Zbliżała się północ, księżyc dawno już zaszedł, kiedy ostatni z nich wcisnęli się do okrągłego wojłokowego namiotu Dymitra, popatrując nieufnie na siebie nawzajem.

Przez cały ten dzień Wielki Książę otrzymywał raporty.

– Tatarzy zbierają się tutaj. – Wskazał na mapie bagienny obszar w zakolu Donu, przy ujściu mniejszego dopływu. Z powodu ptaków zamieszkujących tamtejsze bagniska nazywano go Kulikowe Pole. –

Czekają na posiłki, oddziały z Litwy, najemników z Kaffy. Musimy uderzyć, zanim posiłki dotrą na miejsce. Trzy dni jazdy i bitwa o świcie czwartego dnia, jeśli wszystko pójdzie dobrze.

– Jak bardzo w tej chwili przewyższają nas liczebnie? – chciał wiedzieć Michał Twerski.

Dymitr nie odpowiedział.

– Utworzymy dwa szeregi – ciągnął. – Tutaj. – Postukał palcem w mapę.
– Włócznie i tarcze, by otoczyć konie, wykorzystamy też las do ochrony naszych skrzydeł. Oni nie lubią atakować w lesie, bo ich strzały odbijają się od drzew.

– Jak bardzo, Dymitrze Iwanowiczu? – powtórzył pytanie Michał. Przez większość swej historii Twer był księstwem większym od Moskwy, przez resztę zaś jej rywalem, więc ich sojusz nie był oczywisty.

Dymitr nie mógł dłużej unikać odpowiedzi.

– Dwukrotnie – odparł. – Może trochę więcej, lecz...

Wśród książąt rozszedł się szmer. Michał Twerski znów się odezwał:

– Są wieści od Olega Rianzańskiego?

– Maszeruje z Mamajem.

Szmery się wzmogły.

– To bez znaczenia – podjął Dymitr. – Mamy sporo ludzi. I błogosławieństwo świątobliwego Sergiusza. To wystarczy.

– Wystarczy?! – wybuchnął Michał Twerski. – Błogosławieństwo wystarczy być może do tego, by ocalić nasze dusze, kiedy zginiemy na placu boju, nie do tego, żeby wygrać bitwę!

Dymitr wstał gwałtownie. Jego głos uciszył na chwilę szemranie książąt.

– Wątpisz w bożą moc, Michale Andriejewiczu?

– Skąd mamy wiedzieć, że Bóg jest po naszej stronie? O ile mi wiadomo, Bóg chce, byśmy byli pokorni na podobieństwo Chrystusa i ulegli Tatarom!

– Być może – zabrzmiał spokojny głos przy wejściu do namiotu. – Gdyby jednak tak było, czy Bóg przysłałby wam księcia sierpuchowskiego, a także rianzańskiego?

Głowy wszystkich odwróciły się w tamtą stronę, kilku książąt położyło dłonie na rękojeści mieczy. Oczy Wielkiego Księcia rozbliły.

Do namiotu wszedł Włodzimierz Andriejewicz, a za nim Oleg Rianzański i brat Aleksander, który dodał:

– Bóg jest z nami, książęta Rusi, nie ma jednak czasu do stracenia.

Wielki Książę Moskiewski wysłuchał opowieści o tym, co im się przydarzyło, dopiero późną nocą, kiedy zakończono planowanie. Wraz z Saszą opuścił cicho obóz. Oddalili się od światła, dymu i zgiełku i dotarli do ukrytej kotlinki, gdzie płonęło niewielkie ognisko.

Sasza zauważył z niepokojem, że księżyc wciąż jeszcze nie zaszedł.

Wasia obozowała samotnie i na nich czekała. Stopy wciąż miała bose, twarz osmaloną dymem, wstała jednak z godnością i pokłoniła się Wielkiemu Księciu.

– Bóg z tobą – powiedziała. Za nią stała Pożoga i jaśniała w ciemności.

– Matko Boska. – Dymitr się przeżegnał. – Czy to koniec?

Sasza musiał stłumić śmiech, kiedy jego siostra wyciągnęła rękę do klaczy, ta zaś natychmiast położyła uszy i kłapnęła zębami.

– Legendarne zwierzę – wyjaśniła Wasia. Klacz prychnęła pogardliwie i odeszła dalej, by skubać trawę.

– Dwa tygodnie temu wyruszyłaś o północy, by ocalić szwagra. Wróciłaś z całą armią – powiedział Dymitr, przyglądając się uważnie jej twarzy w świetle księżyca.

– Chcesz mi za to podziękować? Udało się trochę przez przypadek.

Wasia mówi o tym tak lekko, pomyślał Sasza, te dwa tygodnie były jednak ciężkie. Przez północną ciemność pojechali najpierw szybko do Sierpuchowa, pozostawiając Włodzimierza modlitwom i mamrotaniu. Następnie odbyła się gorączkowa mobilizacja jego ludzi, długa wędrówka w deszczu, by na czas dotrzeć do Kołomy, gdyż Wasia uznała, że nie może przeprowadzić przez Północ tylu ludzi na raz.

– Zdziwiłabyś się, ile zwycięstw odnosi się w taki właśnie sposób – powiedział Dymitr.

Wasia spokojnie wytrzymała jego badawcze spojrzenie. Wyglądało na to, że dobrze się z Dymitrem rozumieją.

– Inaczej się nosisz – zauważył Wielki Książę i spytał na wpół żartobliwie: – Czy podczas twoich wędrówek natrafiłaś na swoje królestwo?

– Chyba tak. A w każdym razie znalazłam swoje miejsce w dziwnej odległej krainie i naród tak stary, jak ta ziemia. Ale jak się tego domyśliłeś?

– Mądry książę rozpozna władzę. – Milczała. – Sprowadziłaś wojów na moje wezwanie – ciągnął Dymitr. – Jeśli istotnie rządysz własnym narodem, czy poprowadzisz swoich podwładnych do tej walki... kniahini?

To słowo – kniahini, księżniczka – dziwnie poruszyło Saszę.

– Chcesz więcej ludzi, Dymitrze Iwanowiczu? – spytała. Jej twarz lekko się zarumieniła.

– Tak. Jeśli mamy zwyciężyć, potrzebuję każdej bestii, każdego człowieka, każdego stworzenia.

Sasza nigdy nie widział podobieństwa między Dymitrem Iwanowiczem a swoją siostrą. Teraz jednak je dostrzegł. Pasja, spryt, niecierpliwa ambicja.

– Spłaciłam mój dług wobec Moskwy – powiedziała Wasia. – Prosisz mnie, bym zebrała moich ludzi i sprowadziła ich, by walczyli w twojej bitwie? Duchowni mogliby ich nazwać diabłami.

– Tak, proszę – potwierdził Dymitr po krótkiej chwili milczenia. – Czego chcesz w zamian?

Wasia nie odpowiadała. Dymitr czekał. Sasza obserwował światło na trawie, gdzie pasła się złota klacz, i zastanawiał się, co oznacza mina Wasi.

Wreszcie powiedziała powoli:

– Chcę obietnicy. Ale nie tylko od ciebie. Także od ojca Sergiusza.

Zdziwiony, lecz bynajmniej nie niechętny Dymitr oznajmił:

– Udamy się zatem do niego rano.

Wasia pokręciła głową.

– Przykro mi, oszczędziłabym go, z uwagi na jego wiek, ale to musi być tutaj i teraz. Natychmiast.

– Dlaczego tutaj? – spytał Dymitr ostro. – I dlaczego teraz?

– Ponieważ jest północ, nie ma czasu do stracenia, a nie tylko ja muszę usłyszeć, co ojciec Sergiusz powie.

Sasza odjechał galopem na szarej Mgle i nie minęło wiele czasu, a przywiózł ojca Siergiusza na polanę. Księżyc wciąż wisiał na niebie dziwny i nieruchomy. Wasia, czekając na brata, zastanawiała się, czy Sasza wie, że uwięziła ich czworo w Pólnocy, dopóki nie zdecyduje się wyruszyć dalej albo... pójść spać. Tej nocy nie mogła jednak jeszcze pozwolić sobie na sen. Gdy tak czekali na Saszę, ona i Dymitr siedzieli przy dogasającym ognisku, przekazywali sobie bukłak z miodem i rozmawiali półgłosem.

– Skąd bierzesz te wspaniałe konie? – spytał Dymitr. – Najpierw gniadosz, a teraz ta klacz. – Łypał pożądliwie na Pożogę. Złota klacz położyła uszy i się oddaliła.

– Ona cię rozumie, *gosudar* – ostrzegła Wasia. – Znikąd jej nie wzięłam, to ona postanowiła nosić mnie na grzbiecie. Żeby zyskać lojalność takiego konia jak ona, musiałbyś przemierzyć w ciemności dziewięć królestw, i to trzy razy. Proponuję, żebyś najpierw zajął się swoim obleganym krajem – dodała oschle.

Dymitr nie wyglądał na zniechęconego. Już otwierał usta, by zadać kolejne pytania, lecz Wasia wstała pośpiesznie na widok mnichów i się przeżegnała.

– Ojcie, pobłogosław – zwróciła się do Sergiusza.

– Niech cię Bóg błogosławi – powiedział stary mnich.

Wasia odetchnęła głęboko i powiedziała im, czego od nich żąda.

Sergiusz milczał przez długą chwilę, a Sasza i księżę przyglądali mu się w napięciu.

– One są złe – stwierdził Sergiusz wreszcie. – To siły nieczyste tej ziemi.

– Ludzie też są źli – odparła Wasia zapalczywie. – Tak samo jak dobrzy, a najczęściej są i tacy, i tacy jednocześnie. Czarty po prostu istnieją, podobnie jak ludzie i ziemia. Czasem są mądre, a czasem głupie, czasem dobre, niekiedy zaś okrutne. Bóg rządzi przyszłym światem, ale co z tym? Ludzie mogą szukać zbawienia w niebie, jednocześnie składać ofiary duchom domowego ogniska, żeby uchronić dom przed złem. Czyż to nie Bóg stworzył czarty, tak jak stworzył wszystko inne w niebie i na ziemi? –

Rozłożyła ręce. – Oto cena mojej pomocy: przysięgnijcie, że nie będziecie posyłali czarownic na stos. Przysięgnijcie, że nie będziecie potępiali tych, którzy zostawiają dary przy piecach. Pozwólcie naszemu narodowi wierzyć, w co chce. – Odwróciła się do Dymitra. – Tak długo, jak ty i twoi potomkowie będziecie zasiadali na tronie Wielkiego Księstwa Moskiewskiego. A mnisi – te słowa skierowała do Sergiusza – zakładają monastyny, budują cerkwie i wieszają dzwony. Im także powiedz, by pozwolili ludziom wierzyć i w Boga, i w co tylko pragną. W zamian za wasze obietnice wyruszę teraz w noc i sprowadzę wam na pomoc resztę Rusi.

Mnich nie odzywał się przez długą chwilę.

Wasia stała w milczeniu, wyprostowana, poważna, czekała. Sergiusz pochylił głowę, jego usta poruszały się w bezgłośnej modlitwie.

– A jeśli się nie zgodzimy? – zapytał Dymitr.

– Wtedy wyjadę jeszcze dziś. Spędzę życie, starając się chronić to, co zdołam i jak długo zdołam. Wy obaj będziecie robili to samo i wszyscy staniemy się słabsi.

– A jeśli się zgodzimy i wygramy tę walkę, co będzie potem? – chciał wiedzieć Dymitr. – Gdybym znów cię potrzebował, stawisz się na moje wezwanie?

– Jeśli zrobisz to, o co cię teraz proszę – zastrzegła Wasia. – Jak długo trwać będzie twoje panowanie, zjawię się, ilekroć mnie wezwiesz.

– Zgadzam się, jeśli ojciec Sergiusz się zgadza. Silne państwo nie może sobie pozwolić na dzielenie swej siły. Nawet jeśli jego moce nie są do końca ludzkie.

Sergiusz podniósł głowę.

– Ja także się zgadzam – powiedział. – Dziwne są wyroki Boże.

– Obietnica została złożona przy świadkach – oznajmiła Wasia, po czym otworzyła dłoń. Z nasady kciuka płynęła cienka strużka krwi, czarna w półmroku. Kiedy jej kropla spadła na ziemię, pojawiły się dwie postacie: jednooki mężczyzna i kobieta o skórze barwy nocy.

Dymitr skoczył do tyłu, a Sasza, który widział ich przez cały czas, stał nieruchomo. Sergiusz zmrużył oczy i wyszeptał kolejną modlitwę.

– Wszyscy byliśmy świadkami waszej obietnicy – powiedziała Wasia. – I będziemy trzymać was za słowo.

Dymitr i Sergiusz, wyraźnie wstrząśnięci, pożegnali się i pojechali do obozowiska w Kołomnie.

– Słyszałam ich obietnice – przemówiła Północnica. – Czy muszę jeszcze tu być? Nie jestem jak Niedźwiedź, nie kocham nieskończenie dziwnych poczynań ludzi.

– Nie musisz – odparła Wasia. – Jedź, jeśli chcesz. Ale przybędziesz, kiedy znów cię wezwę?

– Przybędę – obiecała Północnica. – Choćby po to, żeby zobaczyć, jak to się skończy. Bo otrzymałaś ich obietnice, ale musisz teraz dotrzymać swojej i walczyć.

Skłoniła się i zniknęła w mroku.

Sasza został z siostrą.

– Co teraz zamierzasz?

Nie podniosła wzroku, rzuciła mokre liście na ognisko. Zgasło z sykiem, a polana pograżyła się w gwiaździstej szarości.

– Chciałabym znaleźć Olega i odwieźć go do jego ludzi – powiedziała Wasia, prostując się. – Lepiej, żeby wiadomość o tym, że jest tutaj, się nie rozeszła. Jestem pewna, że w obozie Dymitra jest przynajmniej kilku szpiegów. Chociaż... – Uśmiechnęła się nagle. – Kto w to uwierzy? Oleg był z Mamajem dzisiaj i będzie z nim jutro. – Podeszła do złotej klaczy.

Sasza cierpliwie ruszył za nią i znów spytał:

– A potem... co planujesz?

Oparłszy dłoń na szyi klaczy, obejrzała się przez ramię i odpowiedziała pytaniem na pytanie:

– Gdzie Dymitr chce zaatakować Tatarów?

– Gromadzą się w miejscu zwanym Kulikowe Pole – odrzekł Sasza. – Kilka dni jazdy stąd, Dymitr musi rozpocząć walkę, zanim tamci zbiorą wszystkie posiłki. Umyślił sobie, że zrobi to za trzy dni.

– Jeśli zostaniesz z wojskiem, znajdę was bez trudu. Wrócę za trzy dni – obiecała Wasia.

– Ale dokąd jedziesz teraz?

– Nękać nieprzyjaciela. – Kiedy to mówiła, nie patrzyła na brata. Ze zmarszczonym czołem wpatrywała się w ciemność. Pożoga strzygła uszami, ale wyjątkowo nie próbowała ugryźć Wasi.

Sasza chwycił siostrę za ramię i obrócił w swoją stronę. Klacz uskoczyła spłoszona i rozjarzyła się ze złością. Wasia wyglądała na śmiertelnie wyczerpaną, jej twarz pałała blaskiem jak nie z tego świata.

– Wasiu – zaczął chłodnym tonem, bo w jej spojrzeniu zobaczył lekkomyślny śmiech – co się z tobą stanie, gdy będziesz żyła w ciemności z diabłami, parając się czarną magią?

– Co się ze mną stanie? Ja właśnie staję się sobą, bracie. Jestem czarownicą i zamierzam nas ocalić. Nie słyszałeś, co mówił Dymitr?

Sasza spojrział tam, gdzie za złotą kłaczą obserwował ich jednooki stwór, ledwie widoczny w słabo rozświetlonej gwiazdami północnej ciemności. Sasza mocniej ścisnął ramię Wasi.

– Jesteś moją siostrą. I ciotką Maszy. Twoim ojcem był Piotr Władimirowicz z Leśnej Ziemi. Jeśli będziesz spędzała samotnie w ciemności zbyt dużo czasu, zapomnisz, że jesteś kimś więcej niż tylko wiedźmą z lasu, zapomnisz o tym, by powrócić do światła. Wasiu, ty jesteś kimś więcej niż ten nocny stwór, ten...

– Ten kto, bracie?

– Ta bestia – dokończył Sasza bezwzględnie, ruchem głowy wskazując obserwującego ich diabła. – On chce, żebyś zapomniała o sobie. Cieszyłby się, gdybyś oszalała, zdziczała, zabłądziła na zawsze w ciemnym lesie, jak nasza prababka. Czy ty wiesz, jakie podejmujesz ryzyko, podróżując samotnie z tą bestią?

– Nie wie – wtrącił Niedźwiedź, słuchając z uwagą ich rozmowy.

Wasia go zignorowała.

– Uczę się na błędach – powiedziała. – A zresztą... czy mam wybór?

– Tak! – wykrzyknął Sasza. – Wracaj ze mną do Kołomny, a ja się tobą zaopiekuję.

– Braciszku, nie mogę. Nie słyszałeś, co obiecałam Dymitrowi?

– Do diabła z Dymitrem, on myśli tylko o swojej koronie.

– Saszo, nie bój się o mnie.

– A jednak się boję... O twoje życie i o twoją duszę.

– Jedno i drugie należy do mnie, nie do ciebie – odrzekła łagodnie, a z jej spojrzenia zniknęła wcześniejsza dzikość. Odetchnęła głęboko. – Nie zapomnę tego, co powiedziałeś. Jestem twoją siostrą i kocham cię. Nawet błakając się w ciemności.

– Wasiu – podjął znękany głosem. – Już lepszy król zimy od tej bestii.

– Oboje przeceniacie przymioty mojego brata – odezwał się Niedźwiedź, a Wasia wybuchnęła:

– Króla zimy tu nie ma! – I dodała nieco spokojniej: – Bo to nie jest zima. Muszę radzić sobie sama.

Klacz potrząsnęła grzywą i tupnęła niecierpliwie.

– Już jedziemy – uspokoiła ją nieco ochrypłym głosem Wasia, jakby Pożoga coś powiedziała. Wyrwała się bratu. – Żegnaj, Saszo. – Wskoczyła na grzbiet klaczy i spojrzała z góry na jego zafrasowaną twarz. – Nie zapomnę, co mi powiedziałaś.

Sasza tylko nieznacznie skinął głową.

– Za trzy dni – rzuciła Wasia.

Klacz wyrwała do przodu, wierzgając dziko, i jego siostra natychmiast zniknęła w ciemności. Diabeł odwrócił się jeszcze, mrugnął do Saszy i ruszył za Wasią.

Wasia zostawiła Olega tam, gdzie go spotkała, na skraju porośniętego krzakami stepu, gdzie jego ludzie rozbili obóz, dzień drogi od Kulikowa. Pożoga wierzgnęła tylnymi nogami, kiedy Wielki Książę Rianzański zsunął się z jej złotego grzbietu, i oznajmiła stanowczo:

– Ostatni raz noszę kogoś takiego jak on. Jest za ciężki.

Oleg powiedział w tym samym momencie:

– Zostawię tobie jazdę na legendarnych koniach, mała czarownico. To zupełnie jakbym próbował dosiąść burzy z piorunami.

Wasia mogła tylko się roześmiać.

– Na twoim miejscu zwlekałabym z dołączeniem do Mamaja. Czeka ich kilka ciężkich dni. Zobaczymy się na polu bitwy.

– Jak Bóg da – odparł Oleg Iwanowicz, kłaniając się.

Wasia pochyliła głowę, zawróciła Pożogę i znów znalazły się na północnej drodze.

Matko Boska, mam dość tej ciemności, myślała Wasia. Pozoga stąpała pewnie, nic sobie nie robiąc z mroku nocy i zmieniającego się pejzażu, lecz przy jej falującym galopie, wystającym kłębie i prędkich ruchach nie sposób było się odprężyć. Wasia potarła twarz i próbowała się skoncentrować. Ostrzeżenie Saszy nią wstrząsnęło. Jej brat miał rację: wszystko, co wiązało ją z życiem, zniknęło: dom, rodzina, czasem miała wręcz wrażenie, że w ogniu utraciła swoje ja. Nawet Morozko odszedł, by wrócić dopiero wraz z pierwszym śniegiem. Teraz w ciemności towarzyszył jej stwór będący ucieleśnieniem szaleństwa. Czasem jednak wydawał się zwyczajny, wręcz rozsądny, i za każdym razem, kiedy tak się działo, musiała upominać samą siebie, że powinna jednak mieć się na baczności.

Teraz Niedźwiedź w swej zwierzęcej postaci biegł obok złotej klaczy.

– Ludzie nie dotrzymają słowa – wieszczęł.

– Nie przypominam sobie, że bym pytała cię o zdanie – warknęła.

– Lepiej, żeby czarty walczyły z nimi, zanim oni nas zniszczą – ciągnął Niedźwiedź. W jego niskim głosie pobrzmiwało echo ludzkich wrzasków.
– A jeszcze lepiej, żeby Rusini i Tatarzy wytłukli się nawzajem.

– Dymitr i Sergiusz dotrzymają słowa – upierała się Wasia.

– A pomyślałaś kiedyś, ile będzie cię kosztować wmieszanie się w ich wojnę? – spytał. – Jaka będzie cena obietnicy i podziwu Dymitra? Widziałem wyraz twoich oczu, kiedy nazwał cię kniahinią.

– Czy ta cena nie jest warta ryzyka?

– To zależy. Nie jestem pewny, czy wiesz, jak bardzo ryzykujesz.

Nie odpowiedziała. Ten jego pozorny rozsądek nie budził w niej większego zaufania niż jego nikczemność.

W blasku księżycy jezioro było ciemne – falująca czerń z błyskami bieli na grzbietach fal. Tym razem Wasia nie dotarła tu po długiej i przerażającej wędrówce. Szybko znalazła jezioro, jakby jej krew je pamiętała.

Wraz z Pożogą i Niedźwiedziem wypadli spomiędzy drzew i znaleźli się nad rozległą taflą wody. Wasi aż zaparło dech, gdy zsunęła się z grzbietu klaczy.

Konie pasły się przy brzegu, tam, gdzie widziała je ostatnio. Tym razem przed nią nie uciekły, tylko stały spokojnie. Niesamowicie w zimnej mgle wczesnojesiennej nocy uniosły swoje nieskazitelne głowy i patrzyły. Pożoga postawiła uszy i zawołała cicho do swoich pobratymców.

Pusta chata Baby Jagi stała czarna i nieruchoma na wysokich palach po drugiej stronie łąki. Wciąż była ponurą ruiną, domowicha pewnie znowu zasnęła, czekając w piecu. Wasia wyobraziła sobie przelotnie chatę ogrzaną ogniem i śmiechem, bliskością jej rodziny, a także konie – wielkie stado – pasące się obok pod gwiazdami.

Pewnego dnia.

Tej nocy jednak nie przybyła tu ani ze względu na chatę, ani dla koni.

– Dziadku Grzybie! – zawołała.

Mały czart, lśniący zielono w ciemności, czekał na nią w cieniu wielkiego dębu. Krzyknął cicho i puścił się biegiem w jej stronę, po czym przystanął w pół drogi. Albo starał się zachować godność, albo zdenerwował go widok Niedźwiedzia. Wasia nie potrafiła tego stwierdzić.

– Dziękuję, przyjacielu – powiedziała, kłaniając się – za to, że poprosiłeś Pożogę, by do mnie przybyła. Oboje uratowaliście mi życie.

Dziadek Grzyb wydawał się z siebie dumny.

– Myślę, że ona mnie lubi – wyznał. – Dlatego pojechała. Lubi mnie, bo oboje świecimy w ciemności.

Pożoga prychnęła i potrząsnęła grzywą.

– Dlaczego wróciłaś? – spytał Wasię Dziadek Grzyb. – Zamierzasz tu zostać? Dlaczego Żarłok jest z tobą? – Grzybowy duszek nagle zrobił się napastliwy. – Nie będzie przewracał moich grzybów!

– To zależy – mruknął Niedźwiedź. – Jeśli moja dzielna pani nie da mi niczego lepszego do roboty niż bieganie po ciemku tam i z powrotem,

chętnie poprzewracam wszystkie twoje grzyby.

Dziadek Grzyb się nasrożył.

– On nie tknie tego, co należy do ciebie – zapewniła go Wasia, piorunując Niedźwiedzia wzrokiem. – Podróżuje teraz ze mną. Wróciliśmy po ciebie, ponieważ potrzebuję twojej pomocy.

– Wiedziałem, że beze mnie nie dasz sobie rady! – wykrzyknął Dziadek Grzyb triumfalnie. – Mimo że teraz masz większych sprzymierzeńców. – Rzucił Niedźwiedziowi bardzo nieprzychylnie spojrzenie.

– To będzie straszna wojna – znów wtrącił się Niedźwiedź. – Jakie szkody zamierzasz wyrządzić przy pomocy grzyba?

– Zobaczysz – odparła Wasia i podała rękę małemu grzybowemu duszkowi.

Armia Mamaja ciągnęła się wzdłuż Donu. Jej czoło już dotarło na Kulikowe Pole. Kolejne oddziały obozowały etapami na ogromnym odcinku na północy, gotowe ruszyć dalej o brzasku. Przemieszczając się po cichu przez Północ, Wasia, Pożoga i dwa czarty wspięły się na niewielkie zalesione wzniesienie i spojrzały na wojsko w dole.

Widząc ogrom wrogiej armii, Dziadek Grzyb wytrzeszczył oczy. Jego lśniące zielono ciało zadrżało. Jak okiem sięgnąć wzdłuż brzegu rzeki płonęły ogniska.

– Jest ich tak wielu – szepnął.

Wasia, patrząc na niezmierzoną liczbę ludzi i koni, oznajmiła:

– W takim razie lepiej bierzmy się do roboty. Najpierw jednak...

Požoga nie zgodziłaby się na siodło ani sakwy, więc Wasia musiała wieźć sakwę przewieszoną przez ramię, co było bardzo dokuczliwe podczas szybkiej jazdy. Wyjęła z niej teraz chleb i paski twardego wędzonego mięsa, pożegnalny prezent od Dymitra. Odgryzła po kawałku jednego i drugiego, po czym rzuciła trochę swoim dwóm sprzymierzeńcom.

Zapadła cisza. Podniosła głowę i zobaczyła, że Dziadek Grzyb z zadowoloną miną trzyma swój kawałek chleba. Niedźwiedź natomiast wpatrywał się w nią, trzymając mięso w dłoni, ale go nie jedząc.

– Przekupstwo? – burknął. – Już jestem twoim sługą, chcesz ode mnie czegoś więcej?

– Na razie nie – odparła Wasia chłodno. – To tylko jedzenie. – Spojrzała na niego spod oka, nie przerywając posilania się.

– Dlaczego? – spytał.

Nie miała na to odpowiedzi. Nienawidziła jego złośliwości, okrucieństwa, śmiechu, nienawidziła tym bardziej, że wyzwałał podobne reakcje w niej samej. Może tu właśnie tkwi przyczyna. Nie mogła go nienawidzić, nie ryzykując, że znienawidzi samą siebie.

– Jeszcze mnie nie zdradziłeś, Niedźwiedziu – powiedziała wreszcie.

– Skoro tak twierdzisz... – W głosie Niedźwiedzia wciąż pobrzmiwało zdziwienie. Zaczął jeść, przyglądając jej się uważnie. Po chwili jednak otrząsnął się, posłał przerażający uśmiech rozciągającym się w dole uśpionym obozowiskom i oblizał palce. Wasia wstała niechętnie i dołączyła do niego.

– Nie znam się na pleśni, grzybku – zwrócił się Niedźwiedź do Dziadka Grzyba – ale strach szerzy się wśród ludzi jak choroba. Ich liczebność tu nie pomoże. Do dzieła zatem.

Dziadek Grzyb posłał Niedźwiedziowi spłoszone spojrzenie. Odłożył chleb i spytał Wasię drżącym głosem:

– Co mam zrobić?

Strzepnęła okruszki z koszuli. Jedzenie trochę ją pokrzepiło, jednak teraz czekała ich okropna nocna misja.

– Jeśli możesz... zepsuj ich chleb – poprosiła Wasia, unikając złośliwego uśmiechu Niedźwiedzia. – Chcę, żeby byli głodni.

Zeszli powoli do śpiącego obozu. Wasia owinęła szmatami niktę skrzydła złota na swoich nadgarstkach. Jej nóż i pazury Niedźwiedzia

rozcinały skrzynki i worki z racjami żywności, a tam, gdzie Dziadek Grzyb zanurzał ręce, mąka i mięso zaczynały się psuć i śmierdzieć.

Kiedy Wasia uznała, że Dziadek Grzyb rozumie swoje zadanie, zostawiła jego i Niedźwiedzia, by skradali się niezauważeni między namiotami wojsk Mamaja, szerząc strach i zgniliznę. Sama zaś przemknęła nad rzekę i przywołała dońskiego wodnika.

– Czarty zawarły sojusz z Wielkim Księciem Moskiewskim – powiedziała cicho. Kiedy wyjaśniła mu wszystko, przekonała go, by podniósł poziom wody i uniemożliwił Tatarom spokojny suchy sen.

Trzy noce później armia tatarska była w rozsypce, a Wasia i tak nienawidziła siebie.

– Nie możesz zabić żadnego z nich, gdy śpią – tłumaczyła Niedźwiedziowi, gdy ten uśmiechał się i węszył z lubością, ponieważ jeden z Tatarów rzucał się dręczony koszmarnym snem. – Nawet jeśli nie mogą nas zobaczyć, to nie jest... – Urwała, nie wiedząc, jak wyrazić swoją odrazę. Niedźwiedź zaskoczył ją tym, że tylko wzruszył ramionami i się odsunął.

– Oczywiście, że nie – powiedział. – To złe rozwiązanie. Z mordercą w ciemności można walczyć, można go odszukać i zabić. Strach jest o wiele skuteczniejszy, a ludzie boją się tego, czego nie widzą i nie rozumieją. Pokażę ci.

I, Boże dopomóż, tak właśnie zrobił. Wasia, jak podczas potwornej nauki, chodziła z Niedźwiedziem po obozie Tatarów i razem siali przerażenie. Podpalała wozy i namioty, sprawiała, że wojowie krzyczeli na widok niewyraźnych cieni. Straszyla ich konie, choć cierpiała, widząc, jak wytrzeszczają oczy i rzucają się do ucieczki.

Dziewczyna i dwa czarty wędrowały od jednego końca ciągnących się wzdłuż Donu obozowisk do drugiego. Nie dawali Mamajowi i jego armii chwili wytchnienia. Konie wyrywały paliki i uciekały. Kiedy Tatarzy

rozpalali ogniska, płomienie bez ostrzeżenia strzelały w górę, syjąc iskry na twarze niczego niepodejrzewających mężczyzn. Wojowie szeptali, że prześladowe ich jakaś bestia, lśniące w ciemności potwory i duch dziewczyny o oczach zbyt wielkich w twarzy o ostrych rysach.

– Sami podsycają swój strach – powiedział Niedźwiedź z uśmiechem. – Wyobraźnia jest gorsza niż najstraszniejszy widok. Wystarczą szepty w ciemności. Chodź ze mną, Wasiliso Pietrowna.

Trzeciej nocy był napuchły z rozkoszy jak kleszcz. Wasia natomiast czuła się wycieńczona i marzyła o brzasku.

– Wystarczy – zarządziła po kolejnej rundzie po obozowiskach. Wszystkie zmysły miała wyczulone, była na wpół przestraszona, na wpół podzielała szaleńczą radość Niedźwiedzia z tych diabelskich igraszek. – Koniec. Teraz znajdę nam jakieś miejsce do spania, a potem wrócimy do mojego brata w świetle dnia. – Nie mogła już znieść tej ciemności.

Dziadek Grzyb wyraźnie poczuł ulgę, a Niedźwiedź nasycenie.

Powietrze było chłodne i mętne od lodowatej mgiełki. Znalazła osłoniętą kotlinkę w najgęstszej części lasu, z dala od głównych oddziałów. Dygotała, mimo że owinęła się peleryną i leżała na sosnowych gałęziach. Nie ośmieliła się rozpalić ogniska.

Na Niedźwiedziu pogoda nie robiła wrażenia. Obóz Tatarów terroryzował w swej zwierzęcej postaci, teraz jednak, po wszystkim, wyglądał jak człowiek. Leżał zadowolony w paprociach, ręce podłożył pod głowę i patrzył na niebo.

Dziadek Grzyb ukrył się pod kamieniem, jego zielonkawy blask był przytłumiony. Psucie tatarskiej żywności zmęczyło go i zniechęciło.

– Piją mleko swoich klaczy – powiedział wcześniej. – Jego nie mogę zepsuć. Nie będą zbyt głodni.

Wasia nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, wciąż ją mdliło. Nadal czuła w kościach panikę wojów i koni, nie wiedziała jednak, czy zabiegi jej swity wystarczą, by zmienić bieg zbliżającej się bitwy.

– Jesteś odrażający – mruknęła do Niedźwiedzia, widząc błysk jego zębisk w uśmiechu.

Nawet nie podniósł głowy.

– Dlaczego? Bo jestem zadowolony z siebie i dobrze się bawiłem?

Migoczące złoto na nadgarstkach Wasi w nieprzyjemny sposób przypomniało jej o ich umowie. Nie odezwała się.

Niedźwiedź przekręcił się na bok i podparł na łokciu, żeby na nią spojrzeć. Na jego krzywych wargach igrał uśmieszek.

– Czy dlatego, że ty też miałaś z tego radość?

Miałaby zaprzeczyć? Po co? To dałoby mu tylko przewagę.

– Tak – przyznała. – Podobało mi się straszenie ich. Najechali mój kraj, a Czelibej torturował mego brata. Robi mi się też jednak niedobrze na myśl o tym, co uczyniliśmy, wstydzę się tego i jestem bardzo zmęczona.

Niedźwiedź wydawał się nieco rozczarowany.

– Powinnaś trochę bardziej to sobie wyrzucać – stwierdził i przekręcił się na plecy.

W tym właśnie kryje się szaleństwo: unikać najgorszych części własnej natury, aż nagle rozrosną się do monstrualnych rozmiarów i pochłoną ją całą. Wiedziała o tym, podobnie jak Niedźwiedź.

– Tak właśnie robił ojciec Konstanty. I zobacz, dokąd go to doprowadziło – powiedziała.

Niedźwiedź milczał.

Armia Tatarów znajdowała się teraz poza zasięgiem ich wzroku, wciąż jednak na tyle blisko, by mogli wyczuć jej zapach. Nawet śmiertelnie zmęczona i rozdrażniona wilgocią, Wasia czuła się przytłoczona samą jej liczebnością. Obiecała Olegowi magię, nie wiedziała jednak, czy na całym świecie jest wystarczająco dużo magii, by zapewnić Dymitrowi zwycięstwo.

– Ciekawe, co powiesz mojemu bratu, kiedy spadnie śnieg – zagadnął Niedźwiedź, patrząc w niebo.

– Słucham? – Wasia aż podskoczyła, zaskoczona tym pytaniem.

– Jego moc będzie teraz rosła, a moja słabła. Możesz mnie związać groźbami i obietnicami, niedługo jednak – Niedźwiedź powęszył znacząco – bardzo niedługo będziesz musiała spotkać się z królem zimy. Zamierzasz grozić również jemu? – Uśmiechnął się leniwie. – Chciałbym to zobaczyć. Och, ależ on się rozgniewa. Mnie bawi ten świat: jego brzydota i jego piękno, i wtrącanie się w ludzkie sprawy. Karachun jest inny. – Niedźwiedź puścił do niej oko. – Dla ciebie poświęcił swoją siłę, udał się do Moskwy, walczył ze mną latem wbrew swojej naturze. A potem ty odwróciłaś się jak chorągiewka na wietrze i mnie uwolniłaś. Ależ będzie się gniewał.

– To nie twoja sprawa, co mu powiem – wycedziła Wasia lodowatym tonem.

– Jeszcze jak moja! Ale mogę poczekać. Lubię niespodzianki.

Nie miała żadnych wieści od Morozki, odkąd zostawił ją w Moskwie. Czy wie, że uwolniła jego brata? Czy zrozumie dlaczego? Czy ona sama to rozumie?

– Idę spać – oznajmiła. – Nie wolno ci mnie zdradzić, zwrócić na nas niczyjej uwagi, czy to samemu, czy z pomocą kogoś innego, ani mnie obudzić, ani dotknąć, ani...

Niedźwiedź się zaśmiał i unióśł rękę.

– Dosyć, dziewczyno, wyczerpałaś już moją wyobraźnię. Śpij.

Raz jeszcze spojrzała na niego spod oka i przekręciła się na drugi bok. Rozsądny, roześmiany Niedźwiedź był o wiele groźniejszy niż jako bestia na polanie.

Tuż przed świtem obudził ją przeraźliwy krzyk. Z łomoczącym sercem chwyciła się na nogi. Niedźwiedź, w ogóle nie zaniepokojony, wypatrywał czegoś między drzewami.

– Ciekaw byłem, kiedy się zorientują – mruknął, nie odwracając się.

– W czym?

– Że tam jest wieś. Pewnie większość wieśniaków zabrała, co się dało, i uciekła, kiedy wojsko rozbiło tu obozowiska. Ktoś jednak został. A twoim Tatarom zbrzydło końskie mleko.

Wasi zrobiło się słabo. Podeszła niepewnie do punktu obserwacyjnego.

To była maleńka wioska ukryta w zagłębieniu terenu, osłonięta wielkimi drzewami. Pewnie pozostałaby niezauważona, gdyby Tatarzy nie szukali w okolicy czegoś, czym mogliby napełnić brzuchy. Nawet ona jej nie wypatrzyła.

Zastanawiała się, czy Niedźwiedź wiedział o jej istnieniu.

Teraz jednak płonęła w kilku różnych miejscach.

Rozległ się kolejny krzyk, cichszy i bardziej piskliwy.

– Pożogo – szepnęła Wasia. Klacz podeszła do niej, sapiąc z niezadowoleniem, nie protestowała jednak, kiedy Wasia wskoczyła na jej grzbiet.

– Najdalszy jestem od hamowania twoich jakże szlachetnych odruchów, wątpię jednak, czy spodoba ci się to, co tam zastaniesz. Poza tym możesz zginąć – odezwał się Niedźwiedź.

– Skoro naraziłam tych ludzi na takie ryzyko, mogę przynajmniej...

– To Tatarzy narazili ich na...

Nie dokończył, bo Wasia już odjechała.

Zanim dotarła do maleńkiej osady, domy niemal doszczętnie spłonęły. Jeśli były tam jakieś zwierzęta, znikły. Wszędzie panowała cisza i ziało pustką. W Wasi obudziła się mimowolna nadzieja. Może wszyscy wieśniacy uciekli, gdy tylko spostrzegli Tatarów, może to jakaś konająca świnia wydała ten odgłos przypominający krzyk.

Wtedy właśnie usłyszała cichy zduszony jęk.

Požoga zastrzygła uszami, w tym samym momencie Wasia dostrzegła drobny ciemny kształt skulony obok płonącego domu.

Wasia zsunęła się z Pożogi i odciągnęła przerażoną kobietę od szalejących płomieni. Poczowała, że dłonie ma lepkie od krwi. Kobieta wydała ledwie słyszalny bolesny jęk, poza tym się nie odezwała. Światło bijące z płonących domów bezlitośnie ją oświetliło. Miała poderżnięte gardło, nie na tyle jednak głęboko, by od razu umarła.

Poza tym była w ciąży. Być może tuż przed porodem. Dlatego właśnie nie uciekła wraz z innymi. Wasia nie widziała, by we wsi został ktoś jeszcze. Była tylko ta kobieta, miała podrapane ręce – zapewne usiłowała się bronić przed Tatarami – i krew, tyle krwi na spódnicy... Wasia położyła dłoń na jej brzuchu, nic się w nim jednak nie poruszyło, była tam natomiast wielka rana, z której sączyła się krew...

Kobieta z trudem łapała powietrze, jej wargi zsiniały. Mętym wzrokiem szukała twarzy Wasi. Wasia ujęła jej zakrwawioną dłoń.

– Moje dziecko? – wyszeptała kobieta.

– Wkrótce ją zobaczysz – zapewniła ją Wasia spokojnie.

– Gdzie ona jest? Nie słyszę jej płaczu. Byli tu mężczyźni... och! – Załkała cicho. – Zrobili jej krzywdę?

– Nie. Jest bezpieczna i wkrótce ją zobaczysz. Chodź, pomodlimy się do Boga. *Ojcze nasz...* – Ta cicha, znajoma modlitwa była taka krzepiąca. Kobieta przyłączyła się do Wasi, aż jej spojrzenie stało się nieruchome i puste. Wasia nie wiedziała, że płacze, dopóki jej łza nie kapnęła na ich złożone dłonie. Uniosła głowę i ujrzała boga śmierci stojącego obok swojej białej klaczy.

Ich spojrzenia się spotkały, lecz jego twarz nie zmieniła wyrazu. Wasia zamknęła kobiecie oczy, położyła ją na ziemi i odsunęła się. Morozko milczał. Ciało zmarłej leżało na ziemi, a przecież bóg śmierci wziął ją delikatnie na ręce i umieścił na grzbiecie swojej klaczy. Wasia się przeżegnała.

„Możemy dzielić się światem”.

Znów spojrział jej w oczy. Czyżby dostrzegła w nich błysk emocji? Gniew? Pytanie? Nie... jedynie pradawną obojętność boga śmierci.

Wskoczył na grzbiet białej klaczy i odjechał w milczeniu.

Wasia była mokra od krwi zmarłej kobiety i płonęła ze wstydu, że spała w lesie, uważając się za sprytną, podczas gdy inni ponosili konsekwencje tatarskiej furii.

– No – odezwał się Niedźwiedź, pojawiając się obok niej – jedno jest pewne, położyłaś kres obojętności mego brata. Biedaczysko, czyżby był skazany na żal z powodu śmierci każdej dziewczyny, którą uwozi na łęku swego siodła? – Wydawał się zadowolony z tej perspektywy. – Gratuluję ci. Od lat starałem się wywołać w nim jakieś uczucia, głównie złość, lecz on jest równie zimny jak jego pora roku. – Wasia ledwie go słyszała. –

Cudownie będzie zobaczyć, co się stanie, kiedy spadnie śnieg – dodał Niedźwiedź.

Powoli odwróciła głowę.

– Nie ma popa – powiedziała cicho. – Nie mogłam nic dla niej zrobić.

– Dlaczego miałybyś coś robić? – prychnął Niedźwiedź. – Niedługo jej bliscy wyjdą z ukrycia, będą się za nią modlić, opłakiwać ją i zrobią wszystko, co trzeba. Zresztą ona już i tak nie żyje i wszystko jej jedno.

– Gdybym... gdybym nie...

Niedźwiedź spojrzał na nią z pogardą.

– Gdybyś co nie? Gra idzie o całą Ruś, widzialną i niewidzialną, nie o życie jednej wieśniaczki.

Zacisnęła wargi.

– Trzeba było mnie obudzić – powiedziała. – Mogłam ją ocalić.

– Czyżby? – spytał Niedźwiedź spokojnie. – Może i tak. Ale jej wrzaski sprawiły mi przyjemność. A ty zakazałaś mi się budzić.

Odwróciła się od niego i zwymiotowała, po czym podniosła się i nabrała wody ze strumienia. Zmyła krew z ciała martwej kobiety i ułożyła jej ręce na piersi. Następnie wróciła do strumienia i umyła się w świetle dogasających ogni, nie zważając na chłód. Szorowała skórę garściami

piasku, aż zaczęła dygotać z zimna. Na koniec sprząła krew z ubrania i włożyła je, mimo że było wilgotne.

Kiedy skończyła, odwróciła się i stwierdziła, że Niedźwiedź i Dziadek Grzyb jej się przyglądają. Żaden z nich nie odezwał się słowem. Dziadek Grzyb miał poważną minę. Z twarzy Niedźwiedzia wyjątkowo zniknęło szyderstwo, wydawał się skonsternowany.

Wasia strząsnęła wodę z włosów i zwróciła się najpierw do Dziadka Grzyba:

– Zamierzasz przybyć na bitwę, przyjacielu?

Dziadek Grzyb powoli pokręcił głową.

– Jestem tylko grzybem – szepnął. – Nie lubię strachu i ognia, no i mam dość tych walczących ludzi, oni nie dbają o to, co rośnie.

– Mnie się to podobało – przyznała Wasia, postanowiwszy się nie oszczędzać. – Ten strach i ogień ostatnich nocy. Budząc w ludziach lęk, poczułam się wolna i silna. Inni zapłacili za moją przyjemność. Dziadku Grzybie, jeśli Bóg da, spotkamy się nad jeziorem.

Stworek kiwnął głową i zniknął między drzewami. Właśnie wschodziło słońce. Wasia odetchnęła głęboko.

– Wracajmy do Dymitra Iwanowicza i zakończmy to już.

– Pierwsze rozsądne słowa, jakie wypowiedziałas po przebudzeniu – skwitował Niedźwiedź.



32.

Kulikowe Pole

Rusini zjechali na Kulikowe Pole pod koniec trzeciego dnia i rozbili obóz. Nawet Dymitr milczał, chyba że musiał wydać niezbędne rozkazy, by ulokować swoich ludzi na noc, a następnie rozmieścić oddziały o świcie. Miał oczywiście raporty dotyczące liczebności wroga, lecz raporty i zobaczenie czegoś na własne oczy to dwie różne sprawy.

Mamaj skończył gromadzić swoje wojsko. Szeregi ciągnęły się aż po horyzont.

– Wojowie się boją – powiedział Sasza do Dymitra i Włodzimierza, kiedy zjeżdżali do ujścia Niepriadwy, dopływu Donu, by przeprowadzić rozpoznanie terenu. – Modlitwy nie zmniejszą ich strachu. Możemy im powtarzać przez cały dzień, że Bóg jest po naszej stronie, oni jednak mają oczy i widzą, jak liczne są oddziały Tatarów. Dymitrze Iwanowiczu, oni już mają ponad dwukrotną przewagę liczebną, a nadciągają kolejne oddziały.

– Sam widzę – mruknął Włodzimierz. – I wcale mnie to nie cieszy.

Orszak Dymitra i Włodzimierza jechał poza zasięgiem słuchu, lecz nawet oni popatrywali na armię wroga i szeptali między sobą, pobladli.

– Teraz nic już nie można zrobić, jak tylko się modlić, dobrze wszystkich wieczorem nakarmić, a jutro z samego rana rzucić ich do walki, by nie mieli za dużo czasu na myślenie – orzekł Dymitr.

– Możemy zrobić jeszcze jedno – odezwał się Sasza.

Obaj kuzyni odwrócili się w jego stronę.

– Co takiego? – zapytał Włodzimierz. Był podejrzliwy wobec Saszy od chwili ich spotkania w obozie Tatarów, nieufny wobec jego piekielnych sojuszników oraz Wasi, swojej szwagierki o dziwacznych mocach.

– Wyzwać ich do walki jeden na jednego.

Zapadła cisza. Walka jeden na jednego była rodzajem wróżby. Nie mogła wstrzymać bitwy, jednak zwycięzca zyskiwał przychyłność Boga i każdy w obu armiach o tym wiedział.

– To dodałoby ludziom ducha – przekonywał Sasza. – Zmieniłoby wszystko.

– Gdyby nasz wojownik wygrał – zaznaczył Włodzimierz.

– Gdyby wygrał – przyznał Sasza, patrząc na Dymitra.

Ten milczał. Wpatrywał się w błoto i wodę otwartego pola i dalej, tam, gdzie czekali Tatarzy z końmi niezliczonymi jak jesienne liście w chylącym się ku zachodowi świetle. Za nimi Don rozciągał się niczym sztaba srebra. Przez trzy dni padał rześisty zimny deszcz, teraz niebo pociemniało, co zdawało się zapowiadać wczesny śnieg.

Wreszcie Dymitr zapytał powoli:

– Myślisz, że zgodziliby się na coś takiego?

– Tak – odparł Sasza. – Na pewno. Mielibyśmy uznać, że boją się wystawić wojownika?

– Jeśli zapytam, a oni się zgodzą, kogo miałbym wskazać? – Dymitr powiedział to takim tonem, jakby znał odpowiedź.

– Mnie – rzekł Sasza.

– Mam stu ludzi, którzy mogliby się tego podjąć. Dlaczego właśnie ty?

– Jestem najlepszym wojownikiem. – Sasza nie chełpił się, tylko stwierdził fakt. – Jestem mnichem i sługą bożym, twoją największą szansą.

– Potrzebuję cię u mego boku, Saszo, a nie... – zaprotestował Dymitr.

– Kuzynie – przerwał mu Sasza zapalczywie – złamałem serce mojemu ojcu, wyjeżdżając z domu jako chłopak. Nie dotrzymałem ślubów, bo nie potrafiłem wysiedzieć spokojnie w monasterze. Nigdy jednak nie zdradziłem ziemi, która mnie zrodziła, byłem jej wierny i jej broniłem. I będę bronił teraz, na oczach naszej armii i armii wroga.

– On ma rację – odezwał się Włodzimierz. – To mogłoby wszystko zmienić. Mężczyźni wystraszeni to mężczyźni pokonani, wiesz o tym równie dobrze jak ja. – Po czym dodał niechętnie: – A on umie walczyć.

Dymitr wciąż wydawał się nieprzekonany. Po chwili jednak spojrzął na zastępy wroga, słabo widoczne w gasnącym świetle, i rzekł.

– Nie odmówię ci, jesteś z nas najlepszy. Wojowie to wiedzą. – Urwał. – Jutro rano zatem – dokończył z westchnieniem. – Jeśli Tatarzy się zgodzą. Wyślę do nich posłańca. Ale nie możesz dać się zabić, Saszo.

– Nigdy – Sasza się uśmiechnął. – Rozgniewałbym siostry.

Było już niemal całkiem ciemno, gdy Sasza pożegnał się z książętami. Posłaniec Dymitra jeszcze nie wrócił, ale Sasza musiał się wyspać przed tym, co miał przynieść kolejny dzień.

Nie miał geru, tylko ognisko, kawałek suchej ziemi i konia spętanego obok. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że obok Mgły stoi złota klacz.

Wasia dorzuciła drew do ogniska i usadowiła się przy nim. Wydawała się zmęczona i smutna. Tamta nawiedzona, obłąkana istota, jaką była w Kołomnie, zniknęła.

– Wasiu, gdzie ty byłaś? – zagadnął Sasza.

– Nękałam tatarską armię w towarzystwie najokropniejszych diabłów. I po raz kolejny poznawałam granice tego, czego mogę dokonać. – Głos jej się załamał.

– Sądzę, że dokonałaś zbyt wiele.

Potarła twarz, wciąż skulona na kłodzie między końskimi nogami.

– Nie wiem, czy zrobiłam wystarczająco dużo. Próbowałam nawet zakraść się i zabić ich wodza, ale jest dobrze strzeżony, bo dostał nauczkę, kiedy uwalniałam Włodzimierza. I... nie chciałam zginąć. Podpaliłam natomiast jego namiot.

– Zrobiłaś wystarczająco dużo – stwierdził Sasza stanowczo. – Dałaś nam szansę, jakiej wcześniej nie mieliśmy. To bardzo wiele.

– Próbowałam podpalać ludzi – wyznała zdławionym głosem, a potem słowa popłynęły same: – Próbowałam, a Niedźwiedź się śmiał. Ale nie mogłam. On powiedział, że najtrudniej jest poddać czarom żywe istoty, które mają wolną wolę, a ja nie dość jeszcze umiem.

– Wasiu...

– Podpalałam za to inne rzeczy: cięciwy łuków i wozy. I to ja się śmiałam, kiedy płonęły. A... oni... Tatarzy... zabili kobietę. Kobietę, która miała urodzić dziecko. Bo zepsułam im jedzenie, a oni byli wściekli i głodni.

– Niech zatem spoczywa w Bogu – szepnął Sasza. – A teraz, Wasiu... przestań. Mamy szansę. Dała nam ją twoja odwaga i twoja krew. To bardzo dużo. Nie ubolewaj nad tym, czego nie możesz zmienić.

Wasia nie odpowiedziała, lecz kiedy jej roztargnione spojrzenie padło na ogień, płomienie skoczyły w górę, chociaż cennego drewna nie było zbyt dużo, a ona zacisnęła pięści tak mocno, że wbiła sobie paznokcie we wnętrze dłoni.

– Wasiu! – rzucił Sasza ostro. – Dość tego. Kiedy ostatnio coś jadłaś?

Zastanowiła się.

– Chyba... wczoraj rano... Nie mogłam znieść czekania i wrócić do krainy Północy, więc Pożoga i ja przyjechałyśmy prosto do ciebie, trzymając się poza zasięgiem wzroku armii Mamaja.

– I dobrze. Zaraz ugotuję zupę. Tak, tutaj. Mam zapasy i umiem gotować, w Ławrze nie mamy służących nam kobiet. Zjesz, a potem pójdziesz spać. Wszystko inne może poczekać.

To, że nie protestowała, dobitnie świadczyło o tym, jak bardzo jest zmęczona.

Nie mówili wiele, kiedy woda się gotowała, a gdy podał jej zupę, podziękowała mu ledwie słyszalnie i pochłonęła całą porcję. Zjadła trzy miski, a do tego podplomyk upieczony na rozgrzanym kamieniu, i jej twarz odzyskała kolor.

Sasza podał jej swoją pelerynę.

– Idź spać – polecił.

– A ty?

– Dzisiaj zamierzam się modlić. – Zastanawiał się, czy nie powiedzieć jej o tym, co może przynieść kolejny dzień. Nie zrobił tego jednak. Wydawała się taka wyczerpana, taka zmęczona. Ostatnie, czego potrzebowała, to bezsenna noc z powodu lęku o niego. Możliwe zresztą, że Tatarzy nie przyjmą wyzwania.

– Ale będziesz w pobliżu? – upewniła się.

– Oczywiście, że tak.

Kiwnęła głową i powieki same jej opadły. Sasza, patrząc na nią, stwierdził zaskoczony:

– Wyglądasz zupełnie jak nasza mama. – Wasia otworzyła oczy, a cienie na jej twarzy rozproszyła niespodziewana radość. Sasza dodał z uśmiechem: – Wieczorem zawsze wkładała trochę chleba do pieca. Dla domowika.

– Ja robiłam to samo! – wykrzyknęła Wasia. – Kiedy mieszkałam w Leśnej Ziemi.

– Ojciec dokuczał jej z tego powodu. W tamtych czasach zawsze był wesoły. Oni... bardzo się kochali.

Wasia usiadła.

– Dunia niewiele o niej mówiła. W każdym razie wtedy, gdy miałam wystarczająco dużo lat, by coś zapamiętać. Myślę... chyba Anna Iwanowna jej zabroniła. Bo nasz ojciec jej nie kochał, a mamę tak.

– Byli radością dla siebie nawzajem. Nawet jako chłopiec to widziałem.

Z trudem przychodziło mu mówić o tamtych czasach. Kilka lat po śmierci matki wyjechał z domu. Czy zostałaby, gdyby żyła? Sasza nie wiedział. Odkąd przybył do Ławry, starał się zapomnieć o chłopcu, którym był: Aleksandrze Pietrowiczu. Z jego wiarą i siłą, z entuzjazmem i głupią dumą. O chłopcu, który uwielbiał swoją matkę.

Teraz jednak to wszystko sobie przypominał. I opowiedział siostrze o ucztach z okazji zimowego przesilenia, o dziecięcych wypadkach, o swoim pierwszym mieczu, pierwszym koniu, o podniesionym głosie i śmiechu matki w lesie. Opowiadał o jej dłoniach, jej piosenkach, o jej darach dla domowych duchów.

A potem mówił o Ławrze zimą, o głębokim spokoju monastynu, o dzwonie rozbrzmiewającym nad uśpionym lasem, o powolnym rytmie modlitw, w którym upływały chłodne dni, o głębokiej wierze swego mistrza, do którego przyjeżdżali ludzie ze wszystkich stron. Opowiadał o dniach spędzonych w siodle i nocach przy ognisku, o Saraju, Moskwie i innych miejscach, które odwiedził.

Mówił też o Rusi. Nie o Wielkim Księstwie Moskiewskim ani o Twerze czy Włodzimierzu, o księstwach synów Kijowa, lecz o samej Rusi, o jej niebie i ziemi, jej narodzie i dumie.

Wasia słuchała w zachłannym milczeniu, oczy miała ogromne niczym kubki wypełnione cieniem.

– O to właśnie walczymy. Nie o Moskwę i nawet nie dla Dymitra, nie przez wzgląd na któregokolwiek z jej skłóconych książąt. Lecz o ziemię, która nas zrodziła, zarówno ludzi, jak i czarty – zakończył Sasza.



33.

Na progu zimy

Wasię obudził dotyk wczesnego śniegu na twarzy.

Sasza także w końcu zasnął, szmer jego modlitw ucichł w głębokiej nocnej ciszy. Powietrze było rześkie, przyjemnie szczypało w policzki, ziemię pokrywała cieniutka warstewka szronu. Męskie głosy wokół rozplynęły się w ciszy. Wszyscy, którzy mogli spać, spali, by nabrać sił przed nadchodzącym dniem.

W obozie Rusinów szalał chłodny wiatr, łopotał sztandarami i tworzył na ziemi śnieżne wiry.

Wasia odetchnęła głęboko i wstała, po czym pochyliła się i nakryła peleryną śpiącego brata. Zobaczyła Niedźwiedzia. Był w ludzkiej postaci i stał nieruchomo za czerwonym żarem ogniska. Obserwował delikatne płatki spadające z nieba.

– Jeszcze za wcześnie na śnieg – stwierdziła Wasia.

Po raz pierwszy pod złośliwością malującą się zawsze na twarzy Niedźwiedzia przemknął strach.

– To wzrastająca moc mego brata – odparł. – Kolejny sprawdzian, morska nimfo. Ten może okazać się najtrudniejszy.

Wasia się wyprostowała.

Morozko wyłonił się z ciemności, jakby przywiał go tutaj zimny wiatr. Kopyta jego klaczy bezgłośnie dotykały glazurowanego na białe błota.

Dwie wrogie armie, a nawet jej śpiący brat, mogłyby nie istnieć. Była tylko ona, król chaosu i król zimy w wirującej pelerynie świeżego śniegu. Morozko nie był już chudym, niemal bezkształtnym tworem, jak latem, ani też potężnym, odzianym w aksamity panem środka zimy. Był cały w bieli, niczym pierwszy mroźny powiew nowej pory roku.

Zatrzymał konia i zeskoczył na ziemię.

Wasi zaschło w gardle.

– Królu zimy – powitała go.

Morozko zmierzył ją wzrokiem z góry na dół. Nie spojrzał na Niedźwiedzia, ale to jego niepatrzenie też miało moc.

– Wiedziałem, że zamierzasz walczyć, Wasiliso Pietrowna – odezwał się po chwili. – Nie wiedziałem jednak, jaki sposób wybierzesz.

Dopiero teraz omiół wzrokiem brata. Między nimi przeskoczyła iskra prastarej nienawiści.

– Zawsze byłeś nie do zniesienia, Karachunie – odrzekł Niedźwiedź. – A myślałeś, że co się stanie, kiedy zostawiłeś ją, by walczyła na wojnie, choć nie miała pojęcia, jak ją wygrać?

– Sądziłem, że czegoś już się nauczyłaś. – Morozko znów zwrócił się do Wasi. – Przekonałaś się na własne oczy, do czego on jest zdolny.

– Ty wiedziałaś o tym lepiej ode mnie – odcięła się Wasia. – A jednak ty też go uwolniłeś w przypływie rozpaczy. Ja również byłam w rozpaczy. I tak jak wtedy przysięgał tobie, tak teraz złożył przysięgę mnie.

Podniosła rękę. Na jej nadgarstkach lśniły dwa sznury, uśpiona moc w oleistym złocie.

– Czyżby? – mruknął Morozko, obrzucając sznury lodowatym spojrzeniem. – A potem, kiedy już przysięgł? Co było potem? Wędrowałaś, terroryzując ludzi wraz z nim? Zasmakowałaś w okrucieństwie?

– Czyżbyś mnie nie znał?! – wybuchnęła. – Niebezpieczeństwo kocham od dziecka, nigdy jednak nie pokocham okrucieństwa.

Morozko wbił uważne spojrzenie w jej twarz, patrzył i patrzył, aż rozgniewana odwróciła wzrok.

– Spójrz na mnie! – warknął.

– Czego tak wypatrujesz? – odburknęła.

– Szaleństwa. Złej woli. Sądzisz, że wszystkie zagrożenia związane z Niedźwiedziem są oczywiste? Będzie manipulował twoim umysłem, aż pewnego dnia zaczniesz się śmiać na widok przelewu krwi i cierpienia.

– Jeszcze się nie śmieję. – Jego spojrzenie znów padło na złote sznury. Czy powinna się zawstydzić? – Czerpałam moc tam, gdzie mogłam ją znaleźć. Nie stałam się jednak zła.

– Nie? On jest sprytny. Wpadniesz w jego sidła, nawet o tym nie wiedząc.

– Nie miałam czasu w nic wpadać, świadomie czy nieświadomie. –

Teraz czuła prawdziwy gniew. – Przemierzałam ciemność, starając się ratować wszystkich tych, którzy mnie potrzebowali. Czyniłam dobro i czyniłam zło, nie jestem jednak ani zła, ani dobra. Jestem tylko sobą. Nie wywołasz we mnie wstydu, Morozko.

– Nienawidzę się z nim zgadzać, ale chyba powinnaś mieć większe poczucie winy – odezwał się Niedźwiedź. – Powinny cię dręczyć wyrzuty sumienia.

Zignorowała go. Podeszła bliżej do Morozki, aż mogła mimo ciemności wyczytać coś z jego twarzy. I dostrzegła w niej wiele różnych uczuć: gniew, głód, strach, nawet żal... nie był już obojętny.

Złość ją opuściła. Wzięła go za rękę. Pozwolił jej na to, palce miał chłodne i lekkie w dotyku. Powiedziała cicho:

– Wezwałam do boju wszystkie siły tej ziemi, królu zimy. Musiałam. Nie możemy walczyć między sobą.

– On zabił twojego ojca – przypomniał Morozko.

Przełknęła ślinę.

– Wiem. A teraz jest zobowiązany pomóc mi ocalić mój naród. – Dotknęła jego policzka. Stała tak blisko, że mogła zobaczyć, jak oddycha. Obwiodła palcami jego twarz i sprawiła, że spojrzał jej w oczy. Padał coraz gęstszy śnieg. – Będziesz jutro walczył razem z nami? – spytała.

– Przybędę do umarłych. – Odwrócił od niej wzrok i patrzył na obóz. Zastanawiała się, ilu z wojów zobaczy jutrzejszy zmierzch. – Ale ty wcale nie musisz tam być. Jeszcze nie jest za późno. Zrobiłaś, co mogłaś, dotrzymałaś słowa. Ty i twój brat możecie...

– Już za późno – przerwała mu. – Teraz Sasza za nic nie opuści Dymitra. A ja... mnie też wiąże przysięga.

– Wiąże cię własna duma – prychnął Morozko. – Pragniesz posłuszeństwa czartów i podziwu książąt i dlatego podejmujesz to szalone ryzyko u boku Dymitra. Nigdy jednak nie widziałaś prawdziwej bitwy.

– Nie, nie widziałam – przyznała tonem równie lodowatym jak zabarwienie jego głosu. Opuściła ręce, ale się nie odsunęła. – I zgadza się, pragnę podziwu Dymitra. Pragnę zwycięstwa. A nawet władzy nad książętami i nad czartami. Mam prawo chcieć różnych rzeczy, królu zimy.

Stali tak blisko siebie, że mogli oddychać nawzajem swoim oddechem.

– Wasiu – powiedział cicho Morozko – pomyśl nie tylko o samej bitwie. Świat jest bezpieczniejszy, gdy Niedźwiedź siedzi na swojej polanie, a ty musisz żyć, nie możesz...

– Co się stało, to się nie odstanie – ucięła. – Przysięgam twojemu bratu, że nie będzie musiał tam wrócić. On i ja dobrze się rozumiemy. Co czasem mnie przeraża...

– Wcale mnie to nie dziwi. Twoje żywioły to morze i ogień, a on uosabia najgorsze części twojej natury, tylko jeszcze spotęgowane. – Położył dłonie na jej ramionach. – Wasiu, on jest dla ciebie zagrożeniem.

– Więc mnie pilnuj. – Spojrzała mu w oczy. – Ratuj mnie, kiedy on pociągnie mnie za daleko w dół. Tu także trzeba ustanowić równowagę, między tobą a nim, między ludźmi a czartami. Urodziłam się, żeby być pomiędzy... myślisz, że tego nie wiem?

Morozko patrzył na nią smutno.

– Tak, wiem. – Znów spojrział na Niedźwiedzia i tym razem bracia milczeli, mierząc się wzrokiem. – To twój wybór, nie mój, Wasiliso Pietrowna.

Wasia usłyszała, że Niedźwiedź wypuszcza powietrze, i uświadomiła sobie, że on naprawdę się boi.

Pozwoliła swojej głowie oprzeć się na moment na wełnie i futrze na ramieniu Morozki, poczuła, że jego ręce obejmują ją w pasie i trzymają tak przez chwilę, zawieszoną między dniem i nocą, między porządkiem i chaosem. „Zabierz mnie w jakieś spokojne miejsce”, miała ochotę powiedzieć. „Nie zniosę dłużej zgiełku i smrodu ludzi”.

Jednak czas na to minął, już wybrała swoją drogę. Uniosła głowę i cofnęła się o krok.

Morozko sięgnął do rękawa i wyjął z niego coś małego i lśniącego.

– Przywiozłem to dla ciebie.

Był to zielony klejnot na sznureczku, bardziej prymitywny niż doskonały w swym pięknie szafirowy naszyjnik, który kiedyś nosiła. Nie dotknęła kamienia, tylko patrzyła nań nieufnie.

– Dlaczego?

– Pojechałem bardzo daleko. Dlatego właśnie nie przyszedłem do ciebie nawet we śnie, kiedy uwalniałaś Niedźwiedzia z jego więzienia. Wyprawiłem się na południe, przez śniegi mego królestwa, i dotarłem aż do morza. Tam wywołałem z głębin Czarnomora, króla mórz, którego nikt nie widział przez wiele ludzkich żywotów.

– Dlaczego tam pojechałeś?

Morozko się zawahał.

– Powiedziałem mu to, czego nigdy nie wiedział: że czarownica z lasu urodziła mu dzieci.

Wasia wpatrywała się w niego uważnie.

– Dzieci? Bogu mórz?

Morozko skinął głową.

– Bliźniaczki. Powiedziałem mu też, że wśród jego prawnuków jest dziewczyna, którą kocham. A wtedy król mórz dał mi to dla ciebie. –
Niemal się uśmiechnął. – Nie ma w tym naszyjniku żadnej magii ani wiążącej mocy. To prezent.

Nadal nie sięgała po klejnot.

– Od jak dawna wiedziałeś?

– Nie tak długo, jak sądzisz, chociaż zastanawiałem się, skąd masz taką siłę. Rozwazałem, czy to możliwe, że czarownica, śmiertelna kobieta obdarzona magicznymi zdolnościami, przekazała po prostu swój dar córkom. Potem jednak zobaczyłem Warwarę i zrozumiałem, że to coś więcej. Czarnomor od czasu do czasu płodzi synów, którzy często przejmują magię ojca i żyją dłużej niż zwykli ludzie. Poprosiłem więc Północnicę, żeby wyznała mi prawdę, i zrobiła to. Jesteś prawnuczką króla mórz.

– A więc będę długo żyła?

– Tego nie wiem... bo któż to wie? Jesteś czarownicą, czarciem i kobietą zarazem, potomkinią ruskich książąt i córką Piotra Władimirowicza. Czarnomor mógłby wiedzieć, oświadczył, że odpowie na pytania, ale tylko jeśli do niego przybędziesz.

To wszystko było dla niej zbyt trudne do przyjęcia. Wzięła jednak klejnot. Był ciepły, uchwyciła nikły zapach soli. Miała wrażenie, że Morozko wręczył jej klucz do niej samej, tyle że nie mogła teraz poświęcić mu więcej uwagi. Miała zbyt dużo do zrobienia.

– W takim razie pojedę nad morze – postanowiła. – Jeśli przeżyję dzisiejszy świt.

– Będę tu podczas bitwy – stwierdził ponuro Morozko – jednak moją misją wciąż są umarli, Wasiu.

– Moją zaś żywi – oznajmił Niedźwiedź z uśmiechem. – Ależ z nas para, bracie bliźniaku.



34.

Niosący światło

Dzień był ponury, a wszędzie wokół kłębili się żołnierze, dalej zaś, na drugim krańcu wielkiego Kulikowego Pola, Tatarzy już się obudzili. Rusini słyszeli, jak tatarskie konie parskają na zimnie. Nic jednak nie było widać, świat przesłaniała gęsta mgła.

– Nie będzie bitwy, dopóki mgła się nie podniesie – stwierdził Sasza. Nie miał apetytu, ale wypił trochę miodu i podał bukłak Wasi. Kiedy się zbudził, ona już nie spała, siedziała samotnie przy właśnie rozpalonym ognisku, brwi miała ściągnięte, pobladła, lecz spokojna.

Było zimno, ponad mgłą momentami przezierało szare niebo, zapowiadające jeszcze więcej przedwczesnego śniegu. Wreszcie słońce wysunęło zimny brzeżek ponad krawędź ziemi i mgła zaczęła zanikać. Sasza odetchnął głęboko.

– Muszę iść do Dymitra. Czeka na posłańca. Cokolwiek się zdarzy, znajdę cię, zanim rozpocznie się walka. Tymczasem zostań z Bogiem, siostró. Zrób się niewidzialna i nie ryzykuj.

– Nie będę – zapewniła go z uśmiechem. – Dzisiaj interesują mnie tylko czarty, a nie miecze czy szable.

– Kocham cię, Wasoczka – szepnął i odszedł.

Posłaniec wrócił z wieścią, że Tatarzy przyjęli wyzwanie Dymitra. Podali także imię wojownika wyznaczonego do walki przez Mamaja. Sasza i Dymitr wysłuchali go z tym samym zimnym dreszczem wściekłości.

– Mam mnóstwo wojów, którzy mogą zająć twoje miejsce – powiedział Dymitr. – Ale...

– Z tym wojownikiem nie może walczyć nikt inny – odrzekł Sasza. – Jeśli on nie ma być twój, to jest mój, bracie.

Dymitr nie protestował. Stali w jego namiocie, podczas gdy członkowie świty Dymitra wbiegali i wybiegali. Wszędzie wokół słychać było rżenie koni, brzęk stali i okrzyki budzących się żołnierzy. Wielki Książę poczęstował kuzyna chlebem i Sasza zmusił się do przełknięcia paru kęsów.

– Zresztą – dodał Sasza, powściągając gniew – inny wojownik przypisałby chwałę swojemu miastu, Twerowi, Włodzimierzowi czy Suzdalowi. A chwała musi przypaść Rusi i Bogu, bracie, bo na tym polu bitwy jesteśmy jednym narodem.

– Jednym narodem... – powtórzył Dymitr z namysłem. – Czy twoja siostra wróciła? Ze swymi... sojusznikami?

– Tak. – Sasza rzucił kuzynowi mroczne spojrzenie. – Jest teraz jak hartowana stal, a przy tym wciąż taka młoda, i mam ci za złe, że ją w to wciągnąłeś.

Dymitr nie okazał skruchy.

– Ona wie, jaka jest stawka, równie dobrze jak ja.

– Mówi, żeby ludzie strzegli się rzeki – powiedział Sasza. – Oraz że mogą zaufać drzewom, że ich zasłonią, i żeby nie obawiali się burzy ani ognia.

– Nie umiem stwierdzić, czy to dobra, czy zła wróżba.

– Być może i taka, i taka. Nic, co dotyczy mojej siostry, nie jest proste. Bracie, jeśli ja...

Dymitr pokręcił gwałtownie głową.

– Nie trzeba tego mówić. Tak, będzie dla mnie także jak siostra, nie musi się niczego obawiać z mojej strony.

Sasza skłonił głowę i nic już nie dodał.

– Chodźmy zatem, uzbroję cię.

Kolczuga i kirys, tarcza, włócznia w kształcie liścia, o czerwonej rękojeści. Porządne buty, nabiodrki. Szpiczasty hełm. Wkrótce Sasza był gotowy. Czuł, że końce jego palców są lodowate.

– A gdzie twoja zbroja? – spytał Dymitra. Wielki Książę był odziany jak pomniejszy bojar, jeden z setek.

Dymitr wydawał się zadowolony z siebie jak chłopak przyłapany na psocie. Członkowie jego świty, ci, których Sasza widział, wydawali się zaniepokojeni.

– Zamieniłem się z jednym z moich bojarów – wyjaśnił książę. – Sądziś, że chcę siedzieć na wzgórzu odziany w szkarłaty? Nie. Będę walczył jak należy, a nie służył za żywą tarczę tatarskim łucznikom.

– Jeśli cię zabiją, będzie po nas – zauważył Sasza.

– Będzie po nas, jeśli nie stanę na czele tych zastępów. Jeżeli nie będę władcą Rusi, rozpadnie się. W przypadku porażki bojarzy rozproszą się na wszystkie strony jak liście na wietrze, a gdy zwyciężymy, zachłysną się dumą i każdy będzie sobie przypisywał największe zasługi. Nie, będę walczył o wszystko. Inaczej jaki to ma sens?

– W rzeczy samej – przyznał Sasza. – Służyłem ci tak wiernie jak Bogu, kuzynie. I czyniłem to z dumą. Za wszystko, co zrobiłem, lub czego nie zrobiłem, proszę cię o wybaczenie.

– Kto mówi o wybaczeniu, bracie? Lewa ręka nie błaga prawej o wybaczenie. – Dymitr poklepał Saszę po plecach. – Idź z Bogiem.

Wyszli do wojów stojących w szeregu na Kulikowym Polu. Nastąpiło południe i mgły już się rozwiewały.

– Muszę odnaleźć siostrę – powiedział Sasza. – Nie pożegnałem się z nią należycie.

– Nie ma czasu – odparł Dymitr. Jeden z ludzi przyprowadził mu konia, a on wskoczył na siodło. Kiedy słońce przebiło się przez resztki mgły, uniósł rękę, by osłonić oczy. – Patrz, ich mąż już jest.

Dymitr miał rację. Tatarski wojownik już się pojawił i z dziesięciu tysięcy gardeł wyrwał się ryk. Sasza, z łomoczącym sercem, dosiadł Mgły. Spokojna klacz tylko zastrzygła uszami, słysząc ten hałas.

– Pożegnaj ją ode mnie, skoro ja nie zdążę – poprosił Sasza.

Kiedy wyjechał na wielkie podmokłe pole rozciągające się między wrogimi zastępami, wydało mu się, że widzi złoty refleks: między ruskimi oddziałami galopowała Pożoga. Sasza uniósł rękę w stronę błysku. Tylko tyle mógł zrobić.

Zostań z Bogiem, siostrzyczko.

Wasia wsiadła na Pożogę zaraz po tym, gdy jej brat udał się do Wielkiego Księcia. Niedźwiedź węszył, zadowolony z narastającego napięcia – tak przynajmniej wydawało się Wasi. Uśmiechnął się do niej, obnażając zęby.

– Co teraz, o pani?

Morozko odjechał o pierwszym brzasku. W zimnej mgle wciąż wyczuwało się jednak jego obecność. Na ziemię spadały pojedyncze płatki śniegu niesione wiatrem, który szarpał proporce ruskiej armii. Wasia znów miała wrażenie, że jest rozdarta między bitewną radością Niedźwiedzia i smutkiem Morozki wobec zniszczenia i śmierci. Pomiedzy obecnością Niedźwiedzia i nieobecnością króla zimy.

No cóż, domeną Morozki są umarli.

Jej – żywi.

Teraz jednak, w tej chwili, nie ludzie.

Najpierw ujrzała wielkiego czarnego ptaka o twarzy kobiety. Szybował nad polem bitwy, od ruchu jego skrzydeł łopotały sztandary i chociaż

wojowie nie mogli go zobaczyć, zadzierali głowy, jakby czuli cień padający na nich i na ten wielki dzień.

Następny był leszy, który wyszedł bezszelestnie na skraj lasu, tego lasu o rzadkich drzewach okalających pole bitwy, lasu, który teraz zasłaniał Włodzimierza Andriejewicza i jego kawalerię, czekających na właściwy moment do ataku.

Wasia ścisnęła Pożogę łydkami i złota klacz, sypiąc iskry, pogalopowała między szeregami mężczyzn i namiotów, żeby Wasia mogła zamienić słowo z panem lasu.

– Zapewnię im kryjówkę – obiecał leszy, kiedy Wasia uścisnęła jego patykowate ręce swoimi zakrwawionymi – i zmylę ich wrogów. W zamian za obietnice twoje i Wielkiego Księcia, Wasiliso Pietrowna.

To wszystko działo się wokół pola bitwy. Gdy Sasza się zbroił, a wojowie jedli śniadanie i ustawiali się w szeregi, czarty zebrały się w gęstej mgle. Wodnik bulgotał w rzece, jego córki rusałki czekały na brzegu. Część z nich Wasia znała z widzenia. Wielu jednak nie. Mimo to czarty przybywały, aż pole bitwy roło się od nich, a ona czuła na sobie ciężar ich spojrzeń i ich zaufania.

Gęsta mgła zaczęła się rozwiewać. Wasia, pomimo chłodu, była spocona z nerwów i z wysiłku, jeździła bowiem na Pożodze tam i z powrotem, by mobilizować, rozmieszczać i zagrzewać do walki swych poddanych.

Wreszcie rozległ się długi pojedynczy dźwięk trąbki i uwaga Wasi skierowała się na ludzi. Spojrzała na wielkie bagniste pole. Miejscami między Tatarami i Rusinami wciąż kłębiła się mgła, teraz jednak można było dojrzeć tatarskie oddziały.

Wasia zdrętwiała.

Żołnierzy było tak wielu. Cóż może zdziałać trochę strachu wobec tak ogromnej liczby ludzi? Ich szeregi ciągnęły się jak okiem sięgnąć, parskanie koni w oddali brzmiało niczym grzmot. Na północy zbierały się ciężkie od śniegu chmury, od czasu do czasu spadały pojedyncze płatki. Dymitr ustawił na przedzie najlepsze oddziały, z Michałem, Wielkim

Księciem Twerskim, na lewej flance. Z prawej stali żołnierze Włodzimierza, księcia sierpuchowskiego, ukryci jednak za drzewami.

Gdzieś za linią Mamaja czał się także Oleg i jego bojarzy, czekając na sygnał, by zaatakować tatarskie tyły.

Wszędzie wokół kryły się czarty, Wasia widziała kątem oka jednego czy drugiego, migwały niczym płomienie świecey.

Niedźwiedź, który przyglądał się im, stojąc obok niej, powiedział:

– Żyję już długo, ale nigdy nie widziałem takiej magii jak ta, która wezwała wszystkich nas do boju. – Oczy błyszczały mu piekielnym blaskiem oczekiwania.

Wasia nie odpowiedziała, modliła się tylko, by okazało się, że postąpiła słusznie. Starła się wymyślić, co jeszcze mogłaby zrobić, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

Požoga zrobiła się narowista, z trudem dało się na niej usiedzieć. Napięcie gęstniało. Nie było już osłony ciemności, mgła się rozwiała. Nic nie mogło ukryć tego, że sto tysięcy ludzi miało za chwilę zacząć się zabijać. Gdzie jest Sasza?

Niedźwiedź obrzucił pole radosnym spojrzeniem.

– Błoto i wrzaski. Czarty i ludzie walczący razem. Och, to będzie wspaniałe!

– Wiesz, gdzie jest mój brat? – spytała go Wasia.

Niedźwiedź uśmiechnął się drapieźnie.

– Tam. – Wskazał palcem. – Ale nie możesz teraz do niego jechać.

– Dlaczego?

– Ponieważ twój brat walczy z Czelibejem jeden na jednego. Nie wiedziałaś?

Odwróciła się gwałtownie, przerażona, ale było już za późno, ponieważ żołnierze ustawili się w szeregach naprzeciwko siebie i z każdej strony wystąpiły naprzód dwie sylwetki. Po chwili ruszyły ku sobie, jeździec na siwym koniu i wojownik na kasztanie.

– Wiedziałaś i nic mi nie powiedziałaś – wyjąkała Wasia.

– Mogę ci służyć. I mogę nawet czerpać z tego przyjemność. Nigdy jednak nie będę dla ciebie godny zaufania. Zamiast porozmawiać ze mną zawczasu, wolałaś spędzić noc na sporach z moim bratem, który mimo swych błękitnych oczu nie zna się na armii tak jak ja. Twoja strata.

Pozoga machnęła głową, czując nagły pośpiech.

– Muszę do niego jechać – powiedziała Wasia w tej samej chwili, w której Niedźwiedź rzucił się, warcząc, by zastąpić jej drogę.

– Rozum ci odjęło?! – wrzasnął. – Myślisz, że wśród tych wszystkich mężczyzn nie ma ani jednego, który ma dość oleju w głowie, by zobaczyć ciebie albo tę złotą klacz? Czy możesz na to liczyć, gdy oczy wszystkich będą wpatrzone w twojego brata? Czy możesz być pewna, iż żaden z Tatarów nie podniesie wrzasku, oskarżając was o zdradę? – A widząc, że Wasia wpatruje się w niego zmartwiała, dodał z kamienną twarzą: – Twój mnich wcale ci nie podziękuje. Tamten Tatar go torturował. On robi to dla Dymitra, dla swego narodu i dla siebie. To jego chwała, nie twoja.

Zawróciła, niezdecydowana i udręczona.

Oddziały Rusi i oddziały Mamaja stały w szeregach, drżąc z zimna już od świtu. Wśród nich czały się także niewidzialne moce. Wodnik z Donu, czatujący, by zatopić nieostrożnych. Leszy z lasu ukrywający wojów za gałęziami. Uśmiechnięty krwiożerczo król chaosu. Pomniejsze czarty leśne i wodne.

A także potężny i wyniosły, choć niewidoczny, król zimy. On krył się w chmurach nadciągających z północy, w ostrym chłodnym wietrze, w płatkach śniegu na policzku Wasi. Nie przybędzie jednak, by stanąć wśród nich. Nie będzie walczył w wojnie Dymitra. Widziała w jego oczach straszną wiedzę: „Moją misją są umarli”.

Mogłam być daleko stąd, myślała Wasia, patrząc na swoje drżące dłonie. Nad jeziorem albo w Leśnej Ziemi, albo w czystym lesie bez nazwy.

A jednak jestem tutaj. Och, Saszo, Saszo, coś ty zrobił?!

Brat Aleksander wyjechał na środek bagnistego Kulikowego Pola. Minął włącznie awangardy Dymitra i znalazł się na otwartej przestrzeni między wrogimi armiami. Nie było słycać żadnych dźwięków poza parsającym oddechem Mgły i bulgotem podmokłej ziemi pod jej kopytami.

Na spotkanie Saszy wyjechał Tatar na wysokim kasztanie. Na polu znajdowało się ponad sto tysięcy mężczyzn, a jednak było na tyle cicho, że Sasza słyszał szum coraz mocniej wiejącego wiatru, który zdawał się wzdychać ze smutkiem, zdmuchując z drzew ostatnie liście.

– Piękny poranek – odezwał się Czelibej, siedząc swobodnie na krępym tatarskim koniu.

– Zamierzam cię zabić – oznajmił Sasza.

– Nie sądzę – odparł spokojnie Czelibej. – Właściwie jestem pewien, że tego nie zrobisz, biedny mnichu z bliznami na plecach i rozciętą dłonią.

– Chcesz mnie poniżyć?

Czelibej odrzekł z ponurą miną:

– Na co ci to? To jakaś gra? Duchowe wyzwanie? Walczą jedynie ludzie przeciw ludziom i którejkolwiek strona zwycięży, na końcu będzie jedynie lament kobiet i krew na ziemi.

I nie dodając nic więcej, zawrócił konia i oddalił się galopem o kilka kroków, po czym ustawił się przodem do Saszy i czekał.

Sasza uczynił podobnie. Nadal panowała cisza. Dziwna tego szarego poranka, gdy wokół czekały dziesiątki tysięcy ludzi. Miał wrażenie, że w pasmach mgły dostrzega złoty błysk konia ze smukłym jeźdźcem na grzbiecie, obok zaś ogromny czarny cień.

Odmówił cichą modlitwę, uniósł włącznie i krzyknął, a za jego plecami rozległ się ryk z sześćdziesięciu tysięcy gardeł. Kiedy ostatnio Ruś się zjednoczyła? Nie od czasów wielkich książąt kijowskich. A Dymitr Iwanowicz zebrał ich wszystkich razem, tutaj na zimnym brzegu Donu.

Czelibej także krzyknął z twarzą pałającą radością, bo jego ludzie również wsparli go gromkim wrzaskiem. Mgła stała spokojnie, po czym pod dotknięciem Saszy wystrzeliła do przodu. Czelibej spiał ostrogami potężnego kasztana i oba konie pędziły po bagnistej ziemi, a spod ich kopyt pryskały błoto i woda.

Wasia z łomoczącym sercem i ściśniętym gardłem patrzyła, jak galopują. Przy każdym susie spod końskich kopyt tryskały fontanny błota. Włócznia Czelibeja opadła w ostatniej chwili i dosięgła barku Saszy. Jego tarcza odparła pełną siłę uderzenia, a włócznia zagrzechotała o naramiennik Czelibeja i się złamała.

Wasia zakryła usta dłonią. Sasza odrzucił ułamaną rękojeść włóczni i dobył miecza w chwili, gdy Czelibej z lodowatym spokojem zawrócił kasztana. Wciąż dzierżył zarówno włócznię, jak i tarczę, kierował swoją klaczą, ściskając jej bok kolanami. Miecz Saszy miał o ponad połowę mniejszy zasięg.

Drugie podejście. Tym razem Sasza w ostatniej chwili dotknął boku Mgły. Rączka klacz zrobiła zwód w lewo i miecz opadł na rękojeść włóczni Czelibeja. Teraz obaj byli uzbrojeni jedynie w miecze i po raz kolejny zawracali konie.

Tymczasem walczyli niemal w zwarciu, uderzali, robili zwód, wycofywali się. Nawet z oddali brzęk ich broni docierał do uszu Wasi.

Niedźwiedź, obserwując pojedynek, uśmiechał się z czystą radością.

Kasztanka Czelibeja była odrobinę szybsza od Mgły, a Sasza był trochę silniejszy niż Czelibej. Teraz obaj mieli twarze zachłapane błotem, szyje ich koni były brudne i zakrwawione, stękali za każdym razem, gdy ich ciężkie miecze się krzyżowały.

Wasi serce podeszło do gardła, nie mogła jednak pomóc bratu. To była jego wielka chwila, rozumiała to. Zacisnęła zęby, na jego twarzy malowało

się uniesienie. Wasia miała zakrwawione dłonie, tak mocno wbijała w nie paznokcie.

Drobny śnieg szczypał ją w twarz. Słyszała podniesione głosy czartów i Rusinów zagrzewających jej brata do walki.

Sasza odparował kolejny cios i siekł wzdłuż żeber Czelibeja, rozrywając mu kolczugę. Czelibej zablokował swoim mieczem kolejne uderzenie i dwaj wojownicy napierali na siebie mieczami rękojeść przy rękojeści. Sasza się nie ugiął, pchnął z całej siły i zrzucił Czelibeja z siodła.

Niedźwiedź ryknął, kiedy Tatar spadł na ziemię, a wojowie po obu stronach wrzasnęli. Teraz Czelibej i Sasza mocowali się w błocie, nie mieli już mieczy, tylko pięści. Nagle Sasza, macając na oślep, natrafił na sztylet.

I wbił go w szyję Czelibeja aż po rękojeść.

Rusini wydali okrzyk zwycięstwa, czarty Wasi również wiwatowały. Sasza zwyciężył.

Wasia sapnęła.

Niedźwiedź westchnął z satysfakcją.

Sasza wyprostował się, w rękę trzymał zakrwawiony miecz, który podniósł z błota. Pocałował go i uniósł do nieba, oddając cześć Bogu i Dymitrowi Iwanowiczowi.

Wasi wydawało się, że słyszy głos Dymitra krzyczącego do swoich ludzi:

– Bóg jest po naszej stronie! Zwycięstwo jest pewne! Ruszajmy do ataku! Do ataku!

I wszyscy Rusini uderzyli jednocześnie, łącząc siły, wykrzykując imiona Wielkiego Księcia Moskiewskiego i Aleksandra Pierieswieta.

Sasza odwrócił się wyprężony, jakby chciał przywołać swego konia i dołączyć do szturmu. Nie zrobił tego jednak.

Niedźwiedź spojrzał na Wasię wyczekująco i uważnie. I wtedy zobaczyła: ogromne rozdarcie w skórzanej zbroi Saszy, tam gdzie przebił go miecz, czego w zamieszaniu nikt nie zauważył.

– Nie!

Jej brat odwrócił głowę, jakby ją usłyszał. Mgła podeszła do niego, a on położył dłoń na łęku siodła, jakby chciał wskoczyć na jej grzbiet.

Zamiast tego padł na kolana.

Niedźwiedź się zaśmiał. Wasia krzyknęła. Nie wiedziała, że może wydobyć z siebie taki dźwięk. Pochyliła się, Pożoga popędziła przez otwarte pole do Saszy, prześcigając szarżujące armie. Niedźwiedź ruszył za nią, Wasia, jak przez mgłę, słyszała głosy ruskich czartów biegnących wraz z żołnierzami.

Wasia nie myślała jednak o zwycięstwie. Po obu stronach pędziły wrogie armie, lecz pośrodku pola była jedynie oszalała ze strachu Mgła i martwy Czelibej, leżący twarzą w błocie. Wasia nie miała czasu przejmować się ani koniem, ani Tatarzynem, bo jej brat wciąż klęczał w błocie, tylko teraz dygotał cały, a z jego ust płynęła krew. Podniósł wzrok.

– Wasiu...

– Ciii – szepnęła. – Nic nie mów.

– Przepraszam. Chciałem żyć. Naprawdę.

Požoga cichutko uklękła w błocie, by mogli razem usiąść na jej grzbiecie.

– I będziesz żył. Wsiadaj na konia – poleciła Wasia.

Nie miała pojęcia, jak cierpi, wykonując jej polecenie. Ziemia drżała od łoskotu dwóch ścierających się armii. Nie mógł usiąść prosto, więc zgarbił się ciężko.

– On umrze – odezwał się Niedźwiedź. – Trzeba go pomścić.

Wasia bez słowa rozcięła sobie dłoń mieczem brata. Krew zalała jej palce. Rozsmarowała ją na twarzy Niedźwiedzia, wkładając w to całą swą wolę.

– Pomścij go za mnie – powiedziała bezbarwnym głosem.

Niedźwiedź zadrżał od zdobytej mocy. Oczy mu pały, jaśniejsze niż Pożoga o północy. Patrząc na nią, podniósł z błota hełm Saszy i zatopił

zęby w swojej dłoni. Trysnęła przejrzysta jak woda krew, lecz o ostrym zapachu siarki, i wypełniła hełm.

– W zamian daję ci moją moc wskrzeszania umarłych – oznajmił Niedźwiedź, łypiąc chytrze okiem.

I odszedł, znikając w zamęcie walki, władając strachem jak bronią. Wasia, ostrożnie trzymając hełm, usiadła za bratem na grzbiecie Pożogi. Klacz położyła uszy i wstała mimo podwójnego ciężaru, nogi i brzuch miała całe w błocie. Puściła się galopem szybka niczym gwiazda, a wokół trwała zażarta walka.



35.

Gwiaździsta droga

Wasia odczuwała każde uderzenie kopyt Pożogi, jakby to ona była śmiertelnie ranna. Klacz kluczyła i skręcała, wymijając zarówno walczących ludzi, jak i czarty, a w pewnym momencie przeskoczyła nad martwym koniem. Przez cały czas Wasia obejmowała brata i trzymała hełm z jego magiczną zawartością. I się modliła.

Wreszcie opuścili pole bitwy i zostawili za sobą wszechobecny ryk, ukrywszy się między drzewami porastającymi brzeg rzeki. Znaleźli spokojne miejsce w małym zagajniku. Nie oddalili się zbyt daleko, bitewny zgiełk wciąż zdawał się rozrywać niebo i ziemię. Wasia miała wrażenie, że słyszy śmiech Niedźwiedzia.

Zagajnik znajdował się nieco wyżej niż moczary. Wasia zsunęła się z grzbietu Pożogi akurat w porę, by pochwycić spadającego z klaczy brata. Omal nie wpadła do wody. Utrzymanie go wymagało od niej ogromnej siły. Ułożyła Saszę na miękkiej ziemi. Wargi miał sine, dłonie zimne.

Zapatrzyła się w wodę wypełniającą hełm. Moc wskrzeszenia umarłych... Ale on jeszcze nie umarł. Morozko... Morozko, gdzie jesteś?

Sasza skierował wzrok w górę, nie widział jej jednak... Może miał przed oczami drogę pod gwiaździstym niebem, drogę, z której nie ma powrotu.

– Wasiu... – odezwał się, a jego szept był cichy jak oddech.

Nie miała nic, tylko dwie ręce. Futrzaną peleryną starła mu z twarzy krew i błoto i położyła sobie jego głowę na kolanach.

– Tu jestem – powiedziała. Łzy same popłynęły jej z oczu. – Wygrałeś. Nasza armia jest pewna zwycięstwa.

Oczy Saszy rozbłysły.

– Cieszę się. Jestem...

Obrócił nieco głowę, jego spojrzenie znieruchomiło. Wasia też popatrzyła w tamtą stronę i zobaczyła boga śmierci. Stał, za jego plecami majaczył nikły zarys jego kłaczy, blady niczym mgła. Długo na niego spoglądała, nie padły między nimi żadne słowa. Kiedyś go błagała, przeklinała za to, że przyszedł po tych, których kochała. Teraz tylko patrzyła i spostrzegła, że jej wzrok przeszywa go niczym sztylet.

– Mogłeś ocalić mu życie? – wyszeptała.

W odpowiedzi ledwie dostrzegalnie pokręcił głową. Podeszedł, wciąż bez słowa, i uklęknął obok niej. Zmarszczył czoło i stulił dłonie. Zebrała się w nich woda, przejrzysta i czysta, polał nią ostrożnie twarz Saszy. Tam, gdzie kapnęła, rany, sińce i brud znikwały, jakby zostały zmyte. Wasia pomagała mu, również w milczeniu. Działali powoli i systematycznie. Wasia zdjęła z Saszy poplamioną i rozciętą zbroję, a Morozko polał go wodą. Po kilku chwilach twarz i tors jej brata były czyste i gładkie, wyglądał, jakby spał, spokojny, bez żadnych ran.

Nie poruszył się jednak.

Sięgnęła po hełm.

Morozko śledził ruchy Wasi zatroskanym wzrokiem. W jej gardle pulsowała nadzieja, krucha i paląca.

– Czy to naprawdę może przywrócić mu życie?

– Tak – potwierdził Morozko niechętnie.

Wasia uniosła hełm i przechyliła go nad ustami brata.

Morozko wyciągnął rękę, żeby ją powstrzymać.

– Najpierw chodź ze mną.

Nie wiedziała, co ma na myśli, ale kiedy podał jej rękę, splotła palce z jego palcami i znalazła się w miejscu poza życiem: w lesie z drogą i gwiaździstą siecią.

Brat czekał tam na nią, wyprostowany, nieco blady, z błyszczącymi oczami.

– Sasza – powitała go.

– Siostrzyczko. Nie pożegnałem się, prawda?

Podbiegła do niego i go objęła, lecz był w jej ramionach lodowaty i daleki. Morozko patrzył na nich.

– Saszo, mam coś, co sprowadzi cię do świata żywych – powiedziała Wasia zapalczywie. – Możesz żyć dalej, wrócić do nas, do Dymitra.

Sasza spoglądał w dal, na usianą gwiazdami drogę, a w jego oczach malowała się tęsknota.

– Proszę – podsunęła mu poobijany hełm – wypij to, a znów będziesz żył.

– Ale ja umarłem.

Pokręciła głową.

– Nie musi tak być.

Sasza zaczął się cofać.

– Widziałem powracających umarłych. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

– Nie! To będzie inaczej... to... to tak jak Iwan w bajce.

Jej brat wciąż kręcił głową.

– To nie jest bajka, Wasiu. Nie zaryzykuję mojej nieśmiertelnej duszy, wracając do życia, gdy już je opuściłem.

Patrzyła na niego. Twarz miał spokojną, smutną, nieugiętą.

– Sasza, Sasza, proszę. Możesz żyć. Możesz wrócić do Sergiusza, do Dymitra i Olgi. Proszę...

– Nie. Ja... ja walczyłem. Oddałem życie i uczyniłem to z radością. Teraz inni muszą nadać temu znaczenie. Moja śmierć należy teraz do Dymitra... i... do ciebie. Strzeż tej ziemi. Spraw, by była całością.

Wpatrywała się w niego. Nie mogła w to uwierzyć. Przez jej głowę przelatywały szalone myśli. Może w świecie żywych zdoła siłą wlać mu tę wodę między wargi. Tylko że... tylko że...

Wybór nie należy do niej. Przypomniała sobie furię Olgi, kiedy podjęła taką samą decyzję dla niej. Przypomniała sobie słowa Morozki: „To nie twój wybór”.

Starając się zapanować nad głosem, spytała:

– Tego właśnie chcesz?

– Tak – potwierdził jej brat.

– A zatem... a zatem Bóg z tobą – powiedziała Wasia i głos jej się załamał. – Jeśli... jeśli zobaczysz ojca i... i mamę... powiedz im, że ich kocham. Że zawędrowałam daleko, ale nie zapomniałam. Ja... będę się za ciebie modliła.

– A ja za ciebie. – Sasza się uśmiechnął. – Zobaczymy się znowu, siostrzyczko.

Kiwnęła głową, ale nie mogła wydobyć głosu. Wiedziała, że ma twarz wykrzywioną płaczem. Objęła jeszcze brata, po czym się cofnęła.

A wtedy Morozko odezwał się cicho, lecz jego słowa nie były przeznaczone dla niej:

– Chodź ze mną. Nie bój się.



36.

Armia trojga

Wasia szlochała pochylona nad nieskazitelnym ciałem brata. Nie wiedziała, jak długo płakała, podczas gdy w pobliżu toczyła się bitwa. Z otępienia wyrwał ją dopiero cichy odgłos końskich kopyt i czyjaś chłodna obecność za jej plecami.

Odwróciła głowę i ujrzała króla zimy. Zsunął się z konia i patrzył na nią.

Nie miała dla niego słów. Łagodna mowa lub delikatny dotyk by ją zdruzgotały, on jednak nie dał jej ani jednego, ani drugiego. Wasia zamknęła bratu oczy i szeptem odmówiła modlitwę. Gdy wstała, jej duszę przepełniała niecierpliwa agresja. Nie mogła przywrócić brata do życia, mogła jednak dokonać tego, czego pragnął i za co zginął.

– Tylko ze względu na umarłych, Morozko? – spytała. Wyciągnęła rękę, wciąż we krwi brata i jej własnej w miejscu, w którym rozcięła ją dla Niedźwiedzia.

Zawahał się.

Na jego twarzy dostrzegła jednak zaciekłość, którą czuła i ona. Nagle wyglądał tak, jak podczas uczyty z okazji zimowego przesilenia: dumny, młody, groźny. Na jego dłoniach także widniały smugi krwi Saszy.

– Również dla żywych, ukochana – odrzekł cicho. – To także mój naród.

Chwycił jej zakrwawioną dłoń i wokół nich rozbrzmiał przeraźliwy gwizd wiatru, ryk pierwszej śnieżycy. W jej duszy zapłonął niespokojny

ogień, a kiedy spojrzała na Pożogę, złota klacz była równie napięta, uderzyła kopytem o ziemię. Dosiedli koni, zawrócili i pogalopowali na pole bitwy na skrzydłach śnieżycy, która właśnie nadciągnęła.

Ona miała w dłoniach płomienie, on dzierżył moc najsroźszej zimy.

Z pola bitwy dobiegło ich wołanie, to Niedźwiedź cieszył się na ich widok.

– Musimy znaleźć Dymitra! – powiedziała Wasia, przekrzykując zgiełk i kierując Pożogę w stronę grupy tatarskich wojowników galopujących prosto na oddział ruskich pikinierów. Konie rozproszyły się spłoszone, psując szyki ich przeklinającym jeźdźcom.

Nagły poryw wiatru zagarnął strzałę wymierzoną w Wasię, a Morozko powiedział:

– Tam jest jego sztandar.

Powiewał na szczycie małego wzniesienia, na pierwszej linii. Skierowali się w tamtą stronę, po drodze siejąc spustoszenie wśród Tatarów. Śnieg padał coraz gęstszy i gęstszy. W stronę stanowiska Dymitra leciała kaskada strzał. Jeźdźcy ustawieni w klin zmierzali ku cennej chorągwi.

Biała klacz i Pożoga, stąpające lekko, szybko przemierzały pole bitwy, lecz Tatarzy znajdowali się bliżej. To był dramatyczny wyścig. Położywszy płasko uszy, Pożoga robiła uniki, skakała i galopowała, podczas gdy Wasia pokrzykiwała na tatarskie konie. Kilka z nich usłyszało ją i się zawahało, lecz niewiele to pomogło. Ziemia zrobiła się śliska od lodu, jednak tatarskie konie były krzepkie i nawykłe do jazdy po każdej powierzchni, więc nawet to ich nie spowalniało. Śnieg dmuchał jeźdźcom w twarze, oślepiając, wciąż jednak świstały wprawnie i celnie wystrzelone strzały.

– Niedźwiedziu! – zawołała Wasia.

Pojawił się z jej drugiej strony, w jego głosie wciąż pobrzmiwał wrzaskliwy śmiech.

– Ale uciecha! – zapał zachwycony.

Był bestią skapaną w ludzkiej krwi i wyjąca radośnie, co stanowiło dramatyczny kontrast z powściągliwym milczeniem Morozki po jej drugiej stronie. We troje utworzyli klin i przedzierali się przez kłębowisko walczących. Wasia rozpalala ogień u ich stóp, który jednak mokra ziemia i sypiący gęsto śnieg szybko dusiły. Morozko oślepił przeciwników i zawracał wystrzelone przez nich strzały psotnym wiatrem.

Niedźwiedź po prostu przerażał wszystkich i wszystko, co stanęło mu na drodze.

To był wyścig między nimi a Tatarami o to, kto pierwszy dotrze do Dymitra.

Tatarzy wygrali. W ślad za swymi strzałami runęli na chorągiew księcia niczym fala, kilka susów przed Wasią i jej sojusznikami. Sztandar przewrócił się i został wdeptany w błoto, rozległy się triumfalne okrzyki. Strzały wciąż świstały ze śmiertelnością precyzją. Biała klacz trzymała się boku Pożogi, Morozko najwięcej wysiłku wkładał w to, by ochronić Wasię i obie klacze przed strzałami.

Straż Dymitra została rozbita, jego koń stanął dęba i runął na ziemię. Trzech Tatarów rzuciło się na niego z uniesionymi mieczami.

Wasia krzyknęła i Pożoga spadła na nich z brutalną siłą. Komu potrzebny miecz, gdy dosiada złotej klaczy? Jej kopyta mogły roztrzaskać napastnikom czaszki i odegnąć ich konie, zniecka u ich stóp buchał ogień i odrzucał ich do tyłu. Wasia zeskoczyła na ziemię i uklękła przy głowie Wielkiego Księcia.

Zbroję miał pociętą, krwawił z licznych ran. Zdjęła mu hełm.

Ale to wcale nie był Wielki Książę Moskiewski. To był młody mężczyzna, którego nie znała. Umierał.

Wytrzeszczyła oczy.

– Gdzie jest Wielki Książę? – szepnęła.

Młody człowiek z trudem wydobywał słowa. Między jego wargami pojawiły się pęcherzyki krwi. Patrzył na nią niewidzącym wzrokiem.

Musiała się pochylić, żeby zrozumieć, co mówi.

– W pierwszej linii – wyrzeźił. – Dał mi swoją zbroję, żeby Tatarzy go nie rozpoznali. Byłem zaszczycony. Byłem...

W jego oczach zgasło światło.

Wasia zamknęła mu je i się odwróciła.

– Na pierwszą linię! – rzuciła. – Szybko!

Wszędzie kłębili się walczący Tatarzy. I świstały nadlatujące ze wszystkich stron strzały. Morozko jechał kolano w kolano z Wasią, odwracając od niej strzały z zawziętą wytrwałością. Wraz z Niedźwiedziem uderzali, gdzie tylko mogli, przynosząc śnieg, ogień i strach.

– Pierwsza linia słabnie – zagał Niedźwiedź. Oko mu błyszczało, futro miał lepkie od krwi. – Dymitr będzie musiał...

Wtedy Wasia usłyszała głos Dymitra. Donośny, krzepki, przebijający się przez bitewny szum.

– Wycofujemy się! – krzyknął.

– Nie jest najlepiej – mruknął Niedźwiedź.

– Gdzie on jest? – Wasia niewiele widziała przez śnieg i kotłujących się, walczących mężczyzn.

– Tam. – Morozko wyciągnął rękę.

Wasia spojrzała w tamtą stronę.

– Nie widzę.

– Chodź zatem. – Ramię w ramię przedarli się przez tłum. Teraz mogła dojrzeć Dymitra, wciąż na koniu, w zbroi zwykłego bojara i z mieczem w rękę. Z głośnym okrzykiem siekł jednego z Tatarów i użył masy swego konia, by wysadzić z siodła kolejnego. Na policzku miał krew, która plamiła także jego siodło i szyję wierzchowca.

– Wycofujemy się!

Tatarzy wciąż nacierali. Wszędzie wokół latały strzały. Jedna drasnęła ramię Wasi, lecz ona prawie tego nie poczuła.

– Wasiu! – krzyknął Morozko, a ona uświadomiła sobie, że jej ramię krwawi.

– Wielki Książę musi żyć – powiedziała Wasia. – Jeśli zginie, wszystko na marne...

I nagle Pozoga zrównała się z koniem Dymitra. Koń stanął dęba, odstrasząc kolejnego napastnika.

Dymitr odwrócił się i ją zobaczył. Wyraz jego twarzy się zmienił. Wychylił się z siodła i chwycił ją za ramię, nie zważając ani na jej rany, ani na swoje.

– Sasza... Gdzie jest Sasza?

Walka przytępiła jej zmysły, lecz na dźwięk słów Dymitra mgła spowijająca jej umysł nieco się przerzedziła, odsłaniając udękę. Dymitr dostrzegł ją w jej twarzy. Zbladł i zacisnął usta. Nie mówiąc do Wasi nic więcej, zwrócił się do swoich ludzi:

– Wycofujemy się! Dołączyć do drugiego szeregu i zamknąć kolumnę!

To nie był uporządkowany szyk. Linia Rusinów załamała się, żołnierze uciekali, kryli się w drugim szeregu, który też słabł. Niedźwiedzia nie było nigdzie widać, a...

Nagle Dymitr znów odwrócił się do niej:

– Jeśli Oleg chce wziąć udział w bitwie, to teraz jest dobry moment.

– Odszukam go – odpowiedziała Dymitrowi. – Nie pozwól mu umrzeć – przykazała Morozce.

Morozko miał taką minę, jakby chciał jej to przysiąc. On też miał na twarzy błoto i krew. Szyję jego klaczy szpeciło długie zadrapanie. Nie był teraz wyniosłym królem zimy. Skinął tylko głową i zawrócił klacz, by ruszyć za Dymitrem, który krzyknął jeszcze:

– Jeśli Oleg nas nie zdradził, powiedz mu, żeby zaatakował Mamaja od prawego skrzydła. – Po czym popędził, by wydać kolejne rozkazy.

Wasia zawróciła Pożogę, próbując znów stać się niewidzialną, by przeciąć napierający na Rusinów szereg Tatarów i odszukać Olega.

Znalazła wojów z Riazania czekających na niewielkim wzniesieniu i przyglądających się bitwie.

– Zazwyczaj nie to ma się na myśli, kiedy przysięga się Wielkiemu Księciu wspólną walkę – odezwała się Wasia, podjeżdżając do Olega.

Tylko się do niej uśmiechnął.

– Kiedy stawia się wszystko na jedno uderzenie, czeka się na odpowiedni moment. – Popatrzył na pole. – I ten moment właśnie nadszedł. Pojedziesz ze mną, mała czarownico?

– Szybko – ponagliła go Wasia.

Wydał rozkaz, Wasia zawróciła Pożogę. Klacz była gorąca jak rozżarzony węgiel, ale Wasia tego nie czuła.

Wojowie z Riazania, wydając gromkie okrzyki, popędzili ze wzgórza co koń wyskoczy. Rozbrzmiewały trąbki. Wasia galopowała tuż przy strzemieniu Olega, z pewnym wysiłkiem utrzymując Pożogę w tempie pędzących koni. Zobaczyła, że Tatarzy odwracają się wstrząśnięci, by odeprzeć niespodziewany atak od tyłu, po chwili zaś dostrzegła ruch pod lasem, z lewego skrzydła oddziałów Dymitra – to kawaleria Włodzimierza wyłoniła się wreszcie zza drzew, a wśród nich Niedźwiedź popędzający ich konie siłą strachu. Słyszała jego głośny śmiech.

Zaatakowali więc Tatarów z trzech stron – Oleg, Włodzimierz i Dymitr – i rozbili ich pierwszą linię.

Mimo to walka wciąż trwała, mijały kolejne krwawe godziny i Wasia nie miała pojęcia, ile czasu minęło, kiedy wreszcie czyjś głos wyrwał ją z otępienia.

– Wasiu, to już koniec. Uciekają – powiedział Morozko.

Zupełnie jakby z jej oczu opadła mgła. Rozejrzała się i zobaczyła, że spotkali się pośrodku: Oleg, Włodzimierz, Dymitr, a także ona, Niedźwiedź i Morozko.

Dymitr był półprzytomny wskutek odniesionych ran, Włodzimierz musiał go podtrzymywać. Oleg miał triumfującą minę. Wszędzie wokół widziała jedynie Rusinów. Zwyciężyli.

Wiatr ustał, śnieg padał teraz równo. Lekko i bezgłośnie przykrywał grubą warstwą zmarłych przyjaciół i wrogów.

Wasia patrzyła na Morozkę, ogłupiała ze zmęczenia i z nadmiaru wrażeń. Ze szramy na szyi białej kłaczy płynęła cienka strużka krwi. Morozko wydawał się równie zmęczony jak Wasia i równie smutny, dłonie miał brudne i zakrwawione. Tylko Pożoga wyszła z tego cało: wciąż była tak samo lśniąca i silna jak rano.

Wasia żałowała, że nie może tego samego powiedzieć o sobie. W zranionym przez strzałę ramieniu czuła rwący ból, który był jednak niczym w porównaniu z bólem jej duszy.

Dymitr wyprostował się z wysiłkiem, śmiertelnie blady, i szedł w jej stronę. Zsunęła się z grzbietu Pożogi i ruszyła mu na spotkanie.

– Zwyciężyłeś – powiedziała głosem pozbawionym emocji.

– Gdzie jest Sasza? – zapytał Wielki Książę Moskiewski.



37.

Woda śmierci, woda życia

Armia Dymitra ścigała wroga prawie przez pięćdziesiąt wiorst. Włodzimierz Andriejewicz, Oleg Rianzański i Michał Twerski stali na czele zwycięzców, książęta jechali obok siebie jak bracia, a ich ludzie się wymieszali i nie sposób było stwierdzić, kto jest z Moskwy, kto z Riazania czy Tweru, bo wszyscy byli Rusinami. Pojmali członków orszaku Mamaja i zniszczyli kukłę chana, którą przywiózł. Sam wódz uciekł do Kaffy, bał się bowiem pojechać do Saraju, gdzie niechybnie straciłby życie.

Ani Wielki Książę Moskiewski, ani Wasia nie wzięli udziału w pościgu. Dymitr pojechał za Wasią do małego osłoniętego zagajnika w pobliżu rzeki.

Sasza leżał tam, gdzie go zostawili, owinięty w futrzaną pelerynę Wasi, twarz miał czystą, nieskazitelną.

Dymitr prawie upadł, zsiadając z konia, i wziął w ramiona ciało swego najdroższego przyjaciela. Milczał.

Wasia nie potrafiła go pocieszyć, płakała.

W zagajniku pod koniec tego długiego dnia panowała cisza, światło zrobiło się przydymione i powoli gasło. Wciąż padał śnieg.

Wreszcie Dymitr podniósł głowę.

– Powinno zawieźć się go z powrotem do Ławry – powiedział ochrypłym głosem. – By mógł zostać pochowany z innymi mnichami w poświęconej ziemi.

– Sergiusz będzie się modlił za jego duszę – podchwyciła Wasia. Jej głos też był ochryply od krzyku i płaczu. Przycisnęła dłonie do oczu. – Zjeździł całą tę krainę. Znał ją i kochał. A teraz zostaną po nim tylko kości w zmarzniętej ziemi.

– Będą też pieśni – odparł Dymitr. – Obiecuję. Nie zostanie zapomniany.

Wasia milczała. Nie miała słów. Jaki jest pożytek z pieśni? Nie przywróci jej brata.

Kiedy przyjechał wóz, by zabrać jego ciało, zapadła noc. Wyłonił się z ciemności z łoskotem, towarzyszyły mu krzyki i blask pochodni członków świty Dymitra, których triumfu nie zdołał zgasić szacunek dla zmarłego. Wasia nie mogła znieść ich hałaśliwej radości.

Pocałowała brata w czoło, po czym wstała i skryła się w mroku.

Nie wiedziała, kiedy pojawili się Morozko i Niedźwiedź. Miała poczucie, że długo wędruje sama, nie zważając na to, gdzie jest i dokąd zmierza. Chciała po prostu oddalić się od zgiełku i smrodu, przelanej krwi, bólu i dzikiego triumfu.

W pewnym momencie podniosła głowę i zobaczyła, że idą obok niej.

Dwaj bracia, których jako dziecko spotkała na leśnej polanie, ci dwaj, którzy naznaczyli i zmienili całe jej życie. Obaj byli oblepieni krwią, oko Niedźwiedzia wciąż błyszczało w bitewnym zapale, Morozko był poważny, o nieodgadnionym wyrazie twarzy. Między nimi wciąż była wrogość, lecz zmieniona, przeobrażona.

To dlatego, że nie stoją już po przeciwnych stronach, pomyślała Wasia, wyczerpana walką i udręką. Boże, dopomóż, obaj są moi.

Morozko odezwał się pierwszy, lecz nie do Wasi, ale do brata:

– Wciąż jesteś mi winien jedno życie.

Niedźwiedź prychnął.

– Próbowałem spłacić dług. Proponowałem Wasi jej życie, a jej bratu jego. Czy to moja wina, że ludzie są głupi?

– Pewnie nie. Ale wciąż jesteś moim dłużnikiem.

– Niech będzie. – Niedźwiedź się naburmuszył. – Czyje życie chcesz?

Morozko spojrzał pytająco na Wasię, ona jednak patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc. Jakie życie? Jej brat odszedł, a pole bitwy jest usiane trupami. Czyjego życia mogłaby teraz pragnąć?

Morozko bardzo ostrożnie sięgnął do rękawa i wyjął coś małego, owiniętego w kawałek haftowanego materiału. Rozłożył tkaninę i wyciągnął ręce do Wasi.

To był martwy słowik, jego ciało sztywne i doskonałe, nietknięte dzięki wodzie życia. Wyglądał zupełnie jak tamta drewniana figurka, którą miała przy sobie w ciągu tych wszystkich długich nocy i ciężkich dni.

Oniemiała przeniosła wzrok z ptaszka na Morozkę.

– Czy to możliwe? – wyszeptała. W gardle jej zaschło.

– Zaraz się okaże – odparł i odwrócił się do brata.

Nie mogła na to patrzeć. Nie mogła też słuchać. Odeszła od nich, niemal bojąc się nadziei, która pojawiła się tak szybko po rozpacz. Nie mogłaby znieść, gdyby im się udało, tak samo jak nie mogłaby znieść widoku ich porażki.

Nawet gdy usłyszała za plecami cichy tętent kopyt, nie odwróciła się. Nagle miękkie chrapy musnęły delikatnie jej policzek.

Odwróciła głowę.

Patrzyła, patrzyła i nie była w stanie uwierzyć. Nie potrafiła się poruszyć ani wykrztusić słowa. Zupełnie jakby mowa albo ruch mogły rozwiązać to złudzenie i znów pogрузić ją w rozpacz. Syciła się jego widokiem. Gniada sierść, która w ciemności wydawała się czarna, gwiazdka na jego czole, ciepłe ciemne oko. Znała go. Kochała.

– Słowiku – szepnęła.

– Spałem – rzekł koń. – Ale ci dwaj, Niedźwiedź i król zimy, mnie obudzili. Tęskniłem za tobą.

Wasia myślała, że serce jej pęknie z wyczerpania i niewiarygodnej radości. Zarzuciła ręce na szyję gniadosza i wybuchnęła płaczem. Nie był duchem. Ciepły i żywy pachniał sobą, a jego grzywa, do której przyciskała policzki, była rozdzierająco znajoma w dotyku.

– Już nigdy cię nie opuszczę – obiecał ogier i wygiął szyję, by się do niej przytulić.

– Tak za tobą tęskniłam – powiedziała i na czarną grzywę popłynęły gorące łzy.

– Jestem tego pewny. – Słowik trącił ją nosem i potrząsnął z wyższością głową. – Ale już tu jestem. Zostałaś strażniczką jeziora? Od bardzo dawna nie miało opiekunki. Cieszę się, że ty nią jesteś. Ale powinnaś była mieć mnie. Zrobiłabyś wszystko o wiele lepiej, gdybym był z tobą.

– Jestem tego pewna – odrzekła Wasia i z jej gardła wyrwał się dźwięk, który był prawie śmiechem.

Z palcami wplecionymi w grzywę konia, wsparta o jego szeroki ciepły bark, usłyszała słowa Niedźwiedzia jak przez mgłę.

– No, wszystko to bardzo wzruszające, ale ja zmykam. Mam cały świat do zwiedzenia i jej obietnicę dotyczącą mojej wolności, bracie. – Ostatnie słowa skierował ostrożnie do Morozki. Wasia otworzyła oczy i zobaczyła, że król zimy patrzy na bliźniaka z niesłabnącą podejrzliwością.

– Wciąż podlegasz mnie – zwróciła się Wasia do Niedźwiedzia. – I jesteś związany przysięgą. Umarli nie mogą wstawać z grobów.

– Ludzie wywołują wystarczający chaos beze mnie – odparł Niedźwiedź. – Będę po prostu się nim cieszył. Może zapewnię kilku osobom koszmarne sny.

– Jeśli zrobisz coś gorszego, czarty mi powiedzą – ostrzegła go Wasia i uniosła obwiązane złotym sznurem nadgarstki w geście, który był zarazem groźbą i obietnicą.

– Niczego gorszego nie zrobię.

– W razie potrzeby cię wezwę – uprzedziła.

– Oczywiście. I może nawet przybędę. – Ukłonił się, po czym zniknął, jakby rozpułynał się w ciemności.

Pole bitwy opustoszało. Gdzieś za chmurami wzeszedł księżyc. Ziemia była twarda od mrozu. Umarli leżeli z otwartymi oczami, ludzie i konie, a żywi krążyli między nimi z pochodniami, szukając przyjaciół lub łupiąc, co się dało.

Wasia odwróciła wzrok.

Czarty wycofały się ukradkiem do swoich lasów i strumieni, zabierając ze sobą obietnicę Dymitra, Sergiusza i Wasi.

„Możemy dzielić tę ziemię. Tę ziemię, którą zachowaliśmy”.

Trzy czarty jeszcze zostały. Jednym z nich był stojący w milczeniu Morozko. Drugim kobieta, której blade jak świt włosy opadały na jej ciemną skórę. Trzecim był grzybowy duszek lśniący zielonkawo w ciemności.

Wasia ukłoniła się Dziadkowi Grzybowi i Północnicy, po czym wyprostowała się uroczyście, chociaż wiedziała, że twarz ma spuchniętą i zaczerwienioną od płaczu.

– Przyjaciele, wróciliście.

– Odniosłaś swoje zwycięstwo, o pani – odrzekła Północnica. – Jesteśmy tego świadkami. Złożyłaś obietnice i ich dotrzymałaś. Teraz my, czarty, naprawdę jesteśmy twoje. Przyszłam ci powiedzieć, że staruszka się cieszy.

Wasia mogła tylko kiwnąć głową. Cóż jej po obietnicach, dotrzymany czy złamanych? Cena była zbyt wysoka. Oblizwała jednak wargi

i powiedziała:

– Przekaż... przekaz mojej prababce, że przyjadę do niej przez krainę Północy, jeśli pozwoli. Muszę się jeszcze dużo nauczyć. I dziękuję wam obojgu. Za waszą wiarę. I za cenne lekcje.

– Nie dzisiaj – rzucił praktycznie Dziadek Grzyb swoim cienkim głosikiem. – Dzisiaj niczego już się nie nauczysz. Jedź i znajdź jakieś czyste miejsce. – Posłał Morozce ponure spojrzenie. – Ty z pewnością znasz takie miejsce, królu zimy. Nawet jeśli w twoim królestwie jest za zimno dla grzybów.

– Znam – potwierdził Morozko.

– Zobaczymy się nad jeziorem w świetle księżyca – obiecała Wasia Dziadkowi Grzybowi i Północnicy.

– Będziemy tam na ciebie czekali – odparła Północnica, a potem ona i Dziadek Grzyb zniknęli równie nagle, jak się pojawili.

Wasia oparła się o bark Słowika w równym stopniu oszołomiona bólem i radością. Morozko złączył dłonie.

– Jedźmy wreszcie – powiedział.

Bez słowa postawiła stopę na jego dłoniach i pozwoliła mu podsadzić się na grzbiet Słowika. Nie wiedziała, dokąd jadą, lecz jej dusza mówiła, że daleko. Daleko od hałasu i smrodu, chwały i daremności walki.

Słowik niósł ją ostrożnie, wyginając szyję, Pożoga zaś, lśniącą w ciemności, ogrzewała ich oboje swym blaskiem.

Wspięli się na niewielkie wzniesienie. U ich stóp rozciągało się nasiąknięte krwią pole bitwy. Wasia zsiadła ze Słowika i podeszła do Pożogi.

– Dziękuję ci – powiedziała. – Czy odleczysz teraz, wolna jak ptak, jak tego od dawna pragnęłaś?

Požoga zadarła wyniośle złotą głowę, jej nozdrza się rozszerzyły, jakby chciała sprawdzić podniebne wiatry. Potem jednak pochyliła się i delikatnie musnęła chrapami włosy Wasi.

– Będę nad jeziorem, kiedy tam wrócisz – powiedziała. – Będiesz mogła przygotować dla mnie ciepły kąpiel na burzowe noce i czesać moją grzywę.

– Załatwione. – Wasia się uśmiechnęła.

Požoga odchyliła odrobinę uszy.

– Nie zaniedbuj jeziora. Ono zawsze będzie potrzebowało strażniczki.

– Będę go strzegła – zapewniła ją Wasia. – I będę czuwała nad moją rodziną. A pomiędzy jednym a drugim zjeżdżę cały świat aż po najodleglejsze krainy nocy i dnia. To dość dużo jak na jedno życie. – Umikła na chwilę. – Dziękuję ci – dodała. – Bardziej, niż potrafię wyrazić.

Odsunęła się o krok.

Požoga znów zadarła głowę, na końcach jej grzywy rozjarzyły się małe płomyczki. Jedno ucho skierowała w stronę Słowika, być może z odrobiną kokieterii, a on mruknął coś do niej cicho. A potem stanęła dęba, unosząc przednie nogi coraz wyżej i wyżej. Jej skrzydła rozbłysły jaśniej niż poranne słońce, złocąc płatki śniegu i tworząc z nich wirujące cienie. Aż wreszcie Żar-Ptak wzleciał ku niebu w pełnej glorii. Ludzie, którzy obserwowali to z daleka, opowiadali potem, że widzieli komety, znak bożego błogosławieństwa, lecącą między niebem a ziemią.

Wasia odprowadzała Pożogę wzrokiem, wpatrzona w podniebną jasność, i dopiero kiedy Słowik trącił ją w plecy, opuściła głowę. Wtuliła twarz w jego grzywę, wdychając krzepiący zapach, który w niczym nie przypominał charakterystycznej dla Pożogi, ostrej, niepokojącej woni dymu. Mogła nawet na chwilę zapomnieć o dymie, krwi, błota, ognia i żelaza.

Poczuła za plecami chłodny powiew, podniosła głowę i się odwróciła.

Morozko miał brud pod paznokciami i smugę sadzy na policzku. Biała klacz stojąca za nim wyglądała na równie zmęczoną jak on, zwiesiła nisko swą dumną głowę. Czule trąciła nosem Słowika, swojego syna.

Morozko był znużony, tak jak znużeni są ludzie pod koniec dnia ciężkiej pracy. Przyglądał się Wasi uważnie.

Ujęła jego dłonie w swoje.

– Czy tak będzie już zawsze? Do końca twoich dni? Będziesz stał przy nas i cierpiał wraz z nami? – spytała.

– Nie wiem. Może... Ale... myślę, że wolę odczuwać ból niż nie czuć zupełnie nic. Może ostatecznie stałem się śmiertelny.

Mówił drwiącym tonem, potem jednak objął ją mocno, a ona zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła twarz do jego ramienia. Pachniał ziemią, krwią i strachem bitewnej rzezi. Pod spodem jednak, jak zawsze, wyczuła woń zimnej wody i sosen.

Odchyliła głowę, przyciągnęła do siebie jego twarz i pocałowała go namiętnie, jakby wreszcie mogła się zatracić w jego objęciach, zapomnieć o obowiązkach i o koszmarach tego dnia.

– Wasiu – szepnął jej do ucha – dochodzi północ. Dokąd chcesz jechać?
– Jego dłoń błędziła w jej splątanych włosach.

– Gdzieś, gdzie jest czysta woda. Chcę zmyć krew. A potem? Na północ. Żeby powiedzieć Oli, jak... – Urwała, musiała zapanować nad głosem, zanim podjęła: – Może... później... moglibyśmy razem pojechać nad morze i zobaczyć światło na wodzie?

– Tak.

Prawie się uśmiechnęła.

– A potem? No cóż, ty masz swoje królestwo w zimowym lesie, a ja swoje w zakolu jeziora. Może moglibyśmy w sekrecie stworzyć jeden kraj, kraj cieni, ukryty za czy też pod Rusią Dymitra. Bo zawsze musi istnieć kraina dla czartów, czarownic i czarowników, a także dla czcicieli lasu.

– Tak – powtórzył. – Lecz dzisiaj jedzenie, chłodne powietrze, czysta woda i nieskażona ziemia. Chodź ze mną, Śnieżynko. Znam pewien dom w zimowym lesie.

– Wiem – odrzekła, a on otarł kciukiem jej łzy.

Sądziła, że jest zbyt zmęczona, by wskoczyć na grzbiet Słowika, lecz jej ciało zrobiło to bez jej woli.

– Co zyskaliśmy? – spytała Morozkę, kiedy odjeżdżali. Śnieg przestał padać, niebo lśniło gwiazdami. Rozpoczęła się pora mrozów.

– Przyszłość – odrzekł Morozko. – Ludzie po latach będą mówić, że to ta bitwa zjednoczyła Ruś w jeden naród. A czarty będą żyły dalej, nie znikną.

– Mimo wszystko cena była bardzo wysoka – westchnęła Wasia.

Morozko nie odpowiedział. Jechali obok siebie, kolano przy kolanie. Spowijała ich nieprzenikniona ciemność Północy, lecz gdzieś daleko przed nimi między drzewami jaśniało światełko.

Od autorki

Niemal od samego początku, czyli od pierwszych notatek do *Niedźwiedzia i słowika*, wiedziałam, że chcę zakończyć moją trylogię bitwą na Kulikowym Polu. Zawsze miałam wrażenie, że bitwa ta jest naturalnym punktem kulminacyjnym i rozwiązaniem wielu konfliktów, które pragnęłam przedstawić na stronach moich trzech książek: Rusi z Tatarami, chrześcijaństwa z pogaństwem, a także Wasi próbującej znaleźć równowagę między swoimi pragnieniami i ambicjami a potrzebami swojej rodziny i narodu.

Droga, którą dotarłam na Kulikowe Pole, różni się od tej, którą pierwotnie planowałam, lecz cel podróży pozostał niezmienny.

Bitwa na Kulikowym Polu rozegrała się naprawdę. W 1380 roku nad Donem Wielki Książę Dymitr Iwanowicz zyskał historyczny przydomek Doński, po tym, jak poprowadził połączone siły kilku ruskich księstw przeciwko armii dowodzonej przez tatarskiego wodza Mamaja.

Dymitr zwyciężył. Po raz pierwszy w historii naród ruski połączył się pod wodzą Moskwy, by pokonać wroga. Niektórzy przekonują, że wydarzenie to wyznacza duchowe narodziny narodu rosyjskiego. Postanowiłam tak to właśnie potraktować, chociaż w rzeczywistości wciąż trwają dyskusje na temat historycznego znaczenia tej bitwy. Kto, jeśli nie powieściopisarz, ma prawo wybierać interpretacje historyczne według własnego uznania?

Moja bajkowa wersja tej batalii pomija ogromną liczbę politycznych i wojskowych manewrów, które doprowadziły do tego starcia – groźby, potyczki, zgony, mariaże i opóźnienia – jednak najważniejsze wydarzenia mojej wersji bitwy zaczerpnęłam ze źródeł historycznych.

Mnich wojownik o imieniu i przydomku Aleksander Pierieswiet rzeczywiście walczył w bezpośrednim starciu z tatarskim harcownikiem Czelibejem i zginął, choć pokonał przeciwnika. Dymitr naprawdę zamienił się z jednym z bojarów, by móc walczyć ze swymi żołnierzami, nierozpoznany przez wroga. Oleg Rianzański natomiast odegrał w bitwie niejednoznaczną rolę: być może zdradził Rusinów, być może zdradził Tatarów, być może po prostu dążył do porozumienia między nimi.

To wszystko prawda.

A może pod tą historyczną bitwą toczyła się druga, między świętymi mężami a czartami o to, jak współistnieć na wspólnej ziemi. Kto wie? Przecież pojęcie *dwojewieria*, podwójnej wiary, utrzymywało się w Rosji aż do rewolucji. Prawosławie zgodnie współistniało z pogaństwem. A kto dowiedzie, że nie było to dziełem zielonookiej dziewczyny obdarzonej magiczną mocą?

Kto jednoznacznie zaprzeczy, że trojgiem strażników Rusi nie byli czarownica, demon mrozu i duch chaosu?

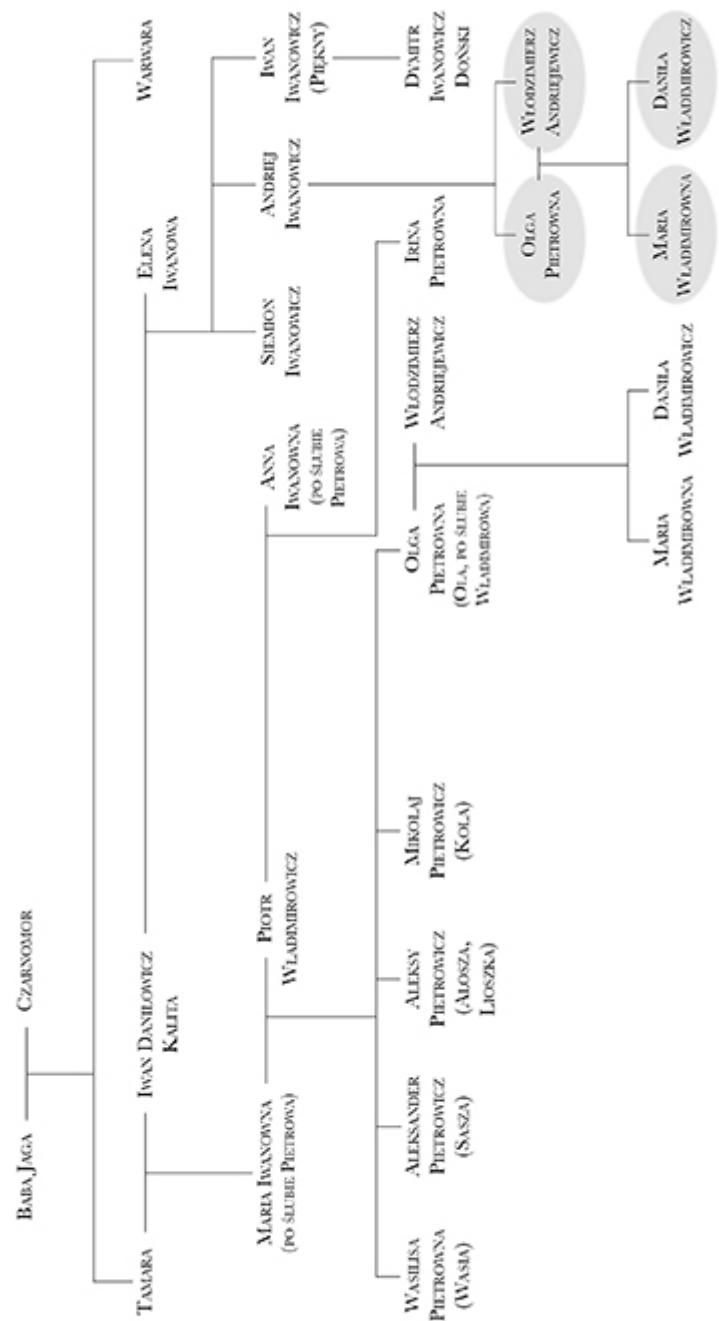
Mnie to odpowiada.

Dziękuję Wam za doczytanie tej opowieści do końca. Zaczęłam ją pisać w namiocie na hawajskiej plaży, kiedy miałam dwadzieścia trzy lata, a teraz trzymacie w rękach ostatnią część mojej trylogii.

Wciąż nie przestaje mnie zdumiewać podróż, jaką odbyłam, i jestem niewymownie wdzięczna, że mi się przytrafiła.



RODOWÓD
WASILISY PIETROWNY



Podziękowania

W ciągu tych siedmiu lat mojego życia, które poświęciłam *Zimowej trylogii*, spotkałam się z ogromną życzliwością niezliczonych osób. Pisanie książki to zajęcie samotnicze, lecz dokończenie jej i opublikowanie to w mniejszym lub większym zakresie wysiłek zbiorowy. Jestem wdzięczna wszystkim, którzy w 2011 roku zagłębili się w gęsty las z Wasią i ze mną, a potem wytrwali aż do słodko-gorzkiego końca.

Wydziałowi Filologii Rosyjskiej Middlebury College, obecnemu i dawnemu – co prawda wykorzystałam zdobyte tam wykształcenie w trochę nietypowy sposób – jestem wdzięczna za te wszystkie lata historii, gramatyki i koniugacji, bez których nigdy nie podjęłabym się napisania tej trylogii. Dziękuję zwłaszcza Tatianie Smorodinskiej i Siergiejowi Dawidowowi, moim mentorom i przyjaciółom, także za sprawdzenie mojego tłumaczenia Puszkina.

Wielkie dzięki dla mojego agenta, Paula Lucasa, który jako pierwszy, nie licząc mojej mamy, przeczytał tę książkę i uwierzył w nią w 2014 roku, i który od tamtej pory wspierał mnie dobrymi radami i zdrowym rozsądkiem. A także dla wszystkich w Janklow and Nesbit oraz Cullen Stanley International, a szczególnie dla Stephanie Koven, Brenny English-Loeb oraz Suzannah Bentley.

Dziękuję również ekipie z wielkiej wody w Ebury: Gillian Green, Stephanie Naulls i Tess Henderson, za udostępnienie mojej pracy brytyjskim czytelnikom, a także za Waszą niezawodną gościnność i babeczki, ilekroć przyjeżdżałam. Specjalny okrzyk na cześć Vlada Severa i jego chorwackiego zespołu, którzy stworzyli najpiękniejsze wydanie *Niedźwiedzia i słowika*, jakie kiedykolwiek widziałam.

Pracownikom Del Ray and Ballantine, którzy w ciągu ostatnich kilku lat stworzyli dla moich książek i dla mnie najlepszy dom wydawniczy, o jakim może marzyć pisarz. Dziękuję Wam: Scott Shannon, Tricia Narwani, Keith Clayton, Jess Bonet, Melissa Sanford, David Moench, Anne Speyer i Erin Kane.

Dziękuję Jennifer Hershey, mojej genialnej redaktorce za to, że mnie dopingowała, kiedy myślałam, że nie dam rady. Dzięki za cztery lata wspaniałych pomysłów, za to, że wytrwałaś przy mnie przez te wszystkie najbardziej wątpliwe wersje. Bez ciebie ta trylogia by nie powstała.

Moim współlokatorom ze Slimhouse: RJ i Pollaidh (dziewczyno, jesteś honorową członkinią), Garrettowi, Camili i Blue – kochani, nie mogłabym marzyć o wspanialszej rodzinie. Dzięki temu, że mam Was, stukających garnkami w kuchni, opowiadających kiepskie dowcipy, zachęcających mnie do wypicia kolejnego paskudnego piwa i dokuczających mi z powodu pudeł z książkami pod moim łóżkiem, wciąż jestem zdrowa na umyśle i szczęśliwa. Kocham Was wszystkich.

Johnsonowie: Peter, Carol Anne, Harrison i Gracie – dziękuję Wam za gościnność i entuzjazm. Abhay Morrissey, dzięki, że zabrałaś mnie do nieba – dosłownie – kiedy potrzebowałam zrobić sobie przerwę. Roxendalowie: Bjorn, Kim, Josh, David, Eliza, Dana, Mariel, Joel, Hugo i cała reszta, dziękuję, że pozwoliliście mi spędzić tyle miesięcy na kanapie i gryzmolić. Allie Brudney, jesteś niesamowita, przychodzisz na wszystkie moje spotkania, bo studenckie przyjaźnie są na zawsze. Dziękuję także Jenny Lyons i pozostałym pracownikom Vermont Book Shop za nieustające wsparcie. A pracownikom Stone Leaf Tea House za te wszystkie zimowe wieczory, kiedy przesiadywałam u Was, pracując nad książką.

Mojej rodzinie: Mike Buls i Beth Fowler, John Burdine, Sterling Burdine i Elizabeth Burdine – kocham Was i dziękuję Wam za wszystko.

Evanowi Johnsonowi, który pilnuje, żebym jadła i spała, kiedy myślę wyłącznie o pisaniu, mojemu kompanowi w bieganiu i przygodach, mojemu partnerowi i najlepszemu przyjacielowi. Kocham Cię.

I wreszcie, dziękuję wszystkim tym osobom, których jest zdecydowanie zbyt wiele, żebym mogła je tutaj wymienić z nazwiska: księgarzom, którzy sprzedają moje książki, i czytelnikom, którzy je czytają, opowiadają o nich przyjaciołom czy recenzują. Dziękuję wszystkim, którzy towarzyszyli Wasi w jej podróży.

Mam nadzieję, że wyruszycie wraz ze mną również w następną.



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz